

ARTUR RUBINSTEIN

młode lata

1986

Polskie Wydawnictwo Muzyczne

Tytuł oryginału: My Young Years

Autoryzowany przekład z języka angielskiego TADEUSZ SZAFAR

Copyright © 1973 by Aniela Rubinstein, Eva Rubinstein Coffin, Alina Anna Rubinstein and Arthur Rubinstein

Redaktor Aleksandra Orman

Okładką i strony tytułowe projektował Władysław Targosz

ISBN 83-224-0303-8

Neli, mojej ukochanej żonie od lat czterdziestu,

która zachęciła mnie do napisania tej książki

i okazywała tyle cudownej wyrozumiałości

dla moich burzliwych młodych lat

SŁOWO OD AUTORA

Nigdy nie prowadziłem dziennika. A gdybym nawet prowadził, zapewne zaginąłby wraz z resztą mego dobytku podczas dwóch wojen światowych. Szczęściem dla mnie, obdarzony jestem niezwykle wręcz pamięcią, która pozwala mi całe moje długie życie prześledzić nieomal dzień po dniu.

Zwracając się do czytelników, pragnę w tych kilku słowach przeprosić ich za tę tak prostą, acz wierną opowieść o zmaganiach, błędach i przygodach, a także o cudownym pięknie i szczęściu moich młodych lat.

• f

Dzieciństwo w Polsce

1

Życie zawdzięczam ciotce Salomei. Miałem być siódmym z kolei dzieckiem, urodzonym w osiem lat po najmłodszym z rodzeństwa, rodzice więc absolutnie nie życzyli sobie mego przyjścia na świat i gdyby nie entuzjastyczne perswazje ciotki Salomei Meyer, z pewnością zdołano by zapobiec memu wtargnięciu do tej doliny łez i cierpienia.

Rodzice mieszkali w Łodzi, mieście znajdującym się w zaborze rosyjskim. Położona nieopodal Warszawy, była Łódź najmłodszym, a mimo to drugim co do wielkości miastem Polski. Mniej więcej w połowie XIX wieku car Mikołaj I, dążąc do stworzenia nowoczesnego przemysłu wełnianego i bawełnianego, zaczął sprowadzać niemieckich mistrzów tkackich ze Śląska; osiedlali się oni w zapadłej mieścinie, która nazwę Łódź nosiła jak na ironię — w pobliżu bowiem nie było żadnej rzeki. Do miasta napływały setki rzemieślników, otwierali oni warsztaty, budowali wspaniałe fabryki i szybko doprowadzili do rozkwitu przemysłu. Przyciągani obietnicą nowych bogactw, z całego kraju do młodego miasta ściągali Żydzi. Rychło przyswoili sobie niemieckie metody przędzenia wełny i niebawem zaczęli nawet dorównywać swym mistrzom. Między tymi dwiema grupami doszło wkrótce do zażartego współzawodnictwa; fabryki rosły jak grzyby po deszczu. W mgnieniu oka wyrastały domy, hotele, teatry, kościoły i synagogi. Dysponując rynkiem zbytu w całej Rosji, a także w znacznej części Azji, Łódź stała się obok Moskwy największym ośrodkiem przemysłowym w cesarstwie.

Rodzima ludność polska niewielkie przejawiała zainteresowanie tymi ogromnymi możliwościami. Nie pociągał jej świat interesów, ulubionymi zajęciami pozostawały nadal rolnictwo, nauka i sztuka. Pracy w fabrykach poszukiwały jedynie tysiące chłopów. I tak wkrótce — choć brzmi to jak paradoks — Łódź przekształciła się w miasto w samym sercu Polski.

o] dziadek Heyman był jednym z pierwszych, którzy szukali

szczęścia w nowym mieście. Powiodło mu się, dochował się tą ośmiu córek i dwóch synów;

najstarszą była moja matka. Ojciec pochodził z Pułtuska, miasteczka położonego na północ od Warszawy; założył niewielki warsztat wyrabiający samodziałowe sukno i poślubił moją matkę. W

niewielkich odstępach czasu wydali na świat sześcioro dzieci, trzy córki i trzech synów, a potem — w osiem lat później, 28 stycznia 1887 roku — ja, spóźniony i raczej nieproszony gość, zapukałem do furty życia. Opowiadano mi, że matka miała ogromne trudności z wydaniem mnie na świat, ale nic nie było w stanie przeszkodzić mi w tryumfalnym wkroczeniu do tej doliny łez. Miałem nazywać się Leon — przypuszczam, że z jakichś sentymentalnych względów — ale mój brat Ignacy, który liczył

sobie wówczas osiem lat, gwałtownie zaproteutował:

— On musi nazywać się Artur — zawołał. — Skoro Artur (syn jednego z sąsiadów) tak pięknie gra na skrzypcach, to moź i ten mały wyrośnie na wielkiego muzyka! Tak więc zostałem Arturem. 1 Zajmowaliśmy obszerne, słoneczne mieszkanie w ładnym domu przy głównej ulicy Piotrkowskiej. Troskę o moje potrzeby cielesne powierzono mamce imieniem Tekla, która była mi bardzo oddana, ale później, jak słyszałem, przyłapano ją na kradzieży i osadzono w więzieniu. Byłem ogromnie przestraszony, czy aby wraz z jej i mlekiem nie wyssałem także któregoś z jej haniebnych nałogów, ale przyszłość pokazała, że były to obawy nieuzasadnione: nigdy niczego nie ukradłem — jak na razie!

Moje pierwsze muzyczne przeżycia kształtowało posępne, płacziwe zawodzenie setek fabrycznych syren budzących robotników o szóstej rano, gdy miasto spowite było jeszcze w ciemność. Wkrótce jednak zacząłem spożywać znacznie przyjemniejszą muzyczną strawę: na podwórzu naszej kamienicy pojawiali się Cyganie, którzy śpiewali i tańczyli ze swymi poprzebieranymi małpkami, a tak zwany człowiek-orkiestra przygrywał im na wielu dziwnych instrumentach. Do tego dochodziły jeszcze monotonne nawoływania żydowskich handlarzy starzyzną, rosyjskich sprzedawców lodów, a także polskich wieśniaczek, śpiewnie zachwalających przyniesione jaja, warzywa i owoce. Uwielbiałem te dźwięki, a choć żadna siła i nie mogła mnie skłonić do wypowiedzenia choćby jednego słowa, \ zawsze gotów byłem śpiewać, to jest naśladować głosem wszystkie zasłyszane dźwięki, co u nas w domu budziło istną sensację. Sensacja ta rychło jednak przerodziła się w swoisty sport: wszyscy usi-j

1 Taką właśnie, polską pisownię mego imienia przyjął później, w celach rekla-| mowych, mój impresario, Soi Hurok. Ja sam natomiast podpisywałem się Arthurl w krajach, gdzie przyjęta jest taka pisownia, Arturo w Hiszpanii i we Włoszech,! Artur zaś w krajach słowiańskich.

10

uczycieł mnie jakichś piosenek. W ten sposób nauczyłem się 6 ludzi według kojarzących mi się z nimi melodii. Kto ci dał to ciastko - zapytywała mnie mama. aaa\_a \_\_ śpiewałem w odpowiedzi, a matka z zadowoleniem kiwała głową:

— Aha rozumiem, to ciocia Lucia...

Kiedy zaś chciałem, aby dano mi kawałek świątecznego mazurka, śpiewałem jakąś znaną melodię mazurkową.

Przez mniej więcej dwa lata bawiła mnie ta rola papugi w ludzkim ciele, aż wreszcie pewne doniosłe wydarzenie zupełnie przeobraziło moje życie. Rodzice nabyli pianino, na którym dwie starsze siostry, Jadwiga i Hela, rozpoczęły naukę gry. Pojawienie się tego boskiego instrumentu wywarło na mnie tak ogromne wrażenie, że odtąd salonik stał się dla mnie rajem. Ponieważ zaś krzyk i płacz stanowiły mój jedyny oręż, posługiwałem się nim do woli, kiedy tylko ktoś usiłował mnie stamtąd przepędzić.

Tak się złożyło, że najstarsza siostra, wówczas już zaręczona, pobierała lekcje gry na pianinie, co miało przydać blasku jej edukacji. Każde słowo, każda uwaga wypowiedziana przez nauczycielkę Jadwigi, korpulentną panią Kijeńską, znajdowały we mnie naj-uważniejszego słuchacza — a cóż to była za rozkosz patrzeć, jak pani Kijeńską bije siostrę po łapach za zagranie fałszywej nuty! Bywało, że gdy siostra w czasie ćwiczeń popełniała błąd, ja byłem tym, który karcił ją kłapsem. Pół żartem, pół serio, nauczyłem się nazw wszystkich klawiszy i odwrócony tyłem do pianina, wykrzykiwałem nazwy dźwięków każdego akordu, nawet najbardziej dysonansowego. Opanowanie zawiłości klawiatury stało się już teraz dla mnie dziecinną igraszką, niebawem zaś nauczyłem się wygrywać — najpierw jedną ręką, a potem obiema — każdą melodię, jaka tylko wpadła mi w ucho. Czasem zamiast siostry grywałem z panią Kijeńską utwory na cztery ręce, wtedy to w odpowiednim momencie uroczyście przerywałem, by przewrócić kartkę, udając, że rzeczywiście czytam nuty. To wszystko nie mogło, rzecz jasna, nie wywrzeć wrażenia na całej rodzinie, w której — trzeba to tu powiedzieć — nikt, nie

włączając dziadków, wujków i ciotek, nie przejawiał najmniejszych uzdolnień muzycznych. Początkowo robili wrażenie rozbawionych, ale później odkrycie tak przekonujących dowodów mojego talentu wprawiło ich w istne osłupienie. Ojciec miał sła-osc do skrzypiec — uważał je za instrument bardziej ludzki i zna-rT^h d^11^6^ wytorny niz fortepian. Powodzenie kilku „cudow-ki H 'Z16C1' \*akże wywarło na nim pewne wrażenie. Podał mi COOJs m.^te skrzypki, które natychmiast rozbiłem na kawałki, za wiście dostałem lanie. Ojciec próbował raz jeszcze przekonać

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

11 ciem się do Henny po wiadomości: zastałem ją roześmianą. Cóż iiała się do łez, a potem opowiedziała mi wszystko. Barth zaczął Ssterg na moje postępy:

\_\_\_per Junge jest leniwy, wciąż nie przygotowany do lekcji, gorsza, łatwo się męczy i nawet pamięć często go zawodzi. p bi wrażenie chorego i zmartwionego. Czy pani tego nie zauważyła?

— powiedziała mu — mówiła Henny — że nie. Tu, w domu, wvdaje się zupełnie normalny, ale może jest przepracowany?

\_\_\_- Bzdura! — ciągnął dalej Barth. — To musi być co innego. — I nagle rumieniąc się, dorzucił: — Przypuszczam, pani Winter, że nie słyszała pani nigdy o pewnych praktykach, którym oddają się młodzi ludzie... Ale proszę, zechce pani zajrzeć do słownika... To słowo brzmi „onанизm"... — po czym zerwał się i wyszedł w pośpiechu.

Biedny profesor! Nagle zrobiło mi się go żal. Taki był naiwny i tak w pewnych sprawach niedoświadczony! Był to ten sam rys charakteru, który przejawiał się w dobieranym mi przez niego repertuarze koncertowym. Jego propozycje na mój pierwszy recital w Berlinie i na drugi występ z hamburską orkiestrą filharmo-niczną były nieporozumieniem — czułem to przez skórę. I — niestety — miałem słuszność. Publiczność hamburską, entuzjastycznie oklaskującą obiecującego chłopca, noszącego jeszcze krótkie spodenki, za wspaniałe wykonanie Koncertu Saint-Saensa, była rozczarowana, słuchając w rok później bladego, chudego wyrostka, który sucho i nieprzekonywająco grał Koncert Mozarta. Musiałem przyznać jej rację! Rozległo się nieco grzecznościowych oklasków, raz wywołano mnie przed kurtynę — i tyle.

Hamburski Barth (Richard), u którego i tym razem się zatrzymałem, był oburzony na swego imiennika.

— Powinieneś go rzucić — wołał. — Nie jesteś pierwszym talentem, który on stara się zmarnować... Znam jeszcze innych.

W jego słowach było wiele prawdy i od pewnego czasu ja sarn także to wyczuwałem. Popadłem w muzyczną depresję, i to zupełnie niezależnie od lenistwa, jakie ogarniało mnie w trakcie ćwiczenia.

Praca z Barthem stawała się coraz bardziej jałowa, a teraz nawet już i moje prywatne życie muzyczne nie było w sta-Ue wyciągnąć mnie z apatii. Nieszczęsny recital berliński po-ierdij tylko moje obawy. Pierwszy utwór, Sonata e-moll op. 90 słab ena ^\*a ty™ właśnie, czego powinienem był unikać: zbyt bit rfj ro?uimałeni jej drugą część. Potem następowały Davids-dł • ertznze. Uwielbiałem ten utwór — choć może nieco przy- istotn • a^e ^artl1 doprowadzał mnie do rozpaczyny jakimiś nie--ymi szczegółami i w końcu zdołał zdusić we mnie ostatnią

85 gorsza. Drugi zeszyt

m

ta

,

^

do

•i +«iPi Za nic nie chciałem urazić uczuć matki. k najdeUkatnie\* Za mc ^^ propon ukt ad.

absolutnie zdecy 4ierdził jakoby moi protek-

Się n^futrzymywania mnie przez tyle lat dodawa-już mieli utrzy^ .. Hwai z nich, pan Warschauer

> do siebie do

z iu^J-r:-,„\*« nigdy nawei me \*«Fw-.....":^iptTin^ć

itą wobec mnie obojętność.

vm głosem wołającego na puszczy. Rodzice roświeckim, patriarchalnym przeswiadcze-1

-^ dzieci nie mają ffłosu

matka

\*« gory

ieSdelihnowie n.«dy nawet:

zuj byl

krzyczałem. - Jak mogą lekceważyć moje

^je uczucia! ilem zrobić wszystko co w mo-

tak oburzony^ze pos pierwszym pociągnięciem było

Joachimowi, który w milczeniu wy-oskarżeń, żalów i protestów, a potem, uśmiechając się

smutno: |

się życzeniom matki musi być - pojmuję twoje racje. Kie-  
Była

jej mocy, żeby mierzenie się. słuchał lawiny po krótkiej Porwie

- Mój chłopcze, s  
natychmiast można było

I tego i niejixxj nadzieję,

Barth zareagował w sposób pć poznać jego pruskie P^wff^płacania pieniędzy. ..

- Zawsze mogę °d™owl^P ze natychmiast pożalowałem, iz

Powiedział to z taką miną, Bruch^ ^ Martm L

w ogóle zwracałem się do niego . okazywali mi swe współ-

Engelmannowie, S^\*^^^„w^^ak fatalne w skut-Sfbę^dFatr^^szkanie w tej sytuacji wraz z matką.

Matka przyjechała do Berlina ^^1^^Tnl Zl~cu !902 roku". Z powodu lekcji me mogłem ^J P

d(J siebie

rzec zajęli się nią więc Mey^wie^torzy p^ m poszedłem

do domu. Gdy po skończonej pracy pozny ^ dości { ze zwykłą S|^ z nią przywitać, przyjęła mme

°\*\*yKa""j\_ się matczyną wylewnością, natychmiast też zaczęła się

86Ale teraz wszy-

tagtUl i totó«, "idelf bilo tego tyle, » »

dusza w Sńdym raM ttóem "ie°PiSaf„r miesiąc )

seszcze, « K\* . począ\*us» j dwa m• ^

<\*le lataorzjjazdu mattó \*\*L«\* o\*res \*a « c^Uwszy

i,roiU. \_\_\_\_rrwracn \* " -„miiacymi- A

w

ponieważ lekcje nie pozwalały mi odwiedzać matki u Meyerów, którzy mieszkali dość daleko, skazani byliśmy na spotkanie się !w różnych dziwnych miejscach, na przykład na ławce w Tiergar-tenie, w Ogrodzie Zoologicznym albo w jakiejś kawiarni; czasem po prostu spacerowaliśmy po ulicy. To było żalosne! Błagała, płakała, z wściekłości krzyczała na mnie, ale byłem uparty — nie chciałem się poddać, nie chciałem i nie mogłem myśleć o tym, że mam mieszkać z nią dzięki czyjejś hojności. Ale gdy widziałem, w jakim znajdowała się stanie, po prostu pękało mi serce.

Bardzo kochałem rodziców, ale kochałem ich na swój sposób. Byłem matce oddany, ale nie istniała między nami prawie żadna więź. Jej całkowita niemuzykalność sprawiała, że byliśmy sobie zupełnie obcy w bardzo istotnej dziedzinie; niewiele też okazywała zrozumienia dla tego wszystkiego, co reprezentowałem. A mimo to wiedziałem, że była na swój sposób idealną żoną i matką; reszta rodziny czciła ją jak świętą. Z ojcem rzecz miała się nieco inaczej — był także niemuzykalny, ale starał się, dociekał !— no i był biegły w filozofii; może nieco nadmiernie talmudyczny, ale umysł miał otwarty na nowe idee. W interesach mu się nie poszczęściło, bo był za uczciwy i zbyt obojętny na pieniądze. Najbardziej podobała mi się jego wszechstronność; niewiele przywiązywał wagi do "i^o-nwh czy rodzinnych, ale za to namiętne zainteresowa-

<—At» literacki czy przypadkowo

WSBiB

datny. Tak tu /.«««——. . jałowymi, niekończącymi się grażającą mi brodą Bartna -zniesienia.

\*

gią wrąCz

11

oł mnie do swego gabi-

Któregoś dnia profesor Joachim zavezwał mm o+" w Akademii:

, 1 wzkrością

dowiaduję się,

Mein Junge — powiedział — z pi^ \_ -^ws^ ci więc

1 "ie możesz porozumieć się z

crością dowiauu^ .

.. Chciałbym ci więc coś

bardzo i sztuczny

I

zapropnować. Otóż na ostatnim Festiwalu Beethovenowskii^ w Bonn grywaliśmy tria z twoim sławnym rodakiem, Padere^skim, który jest nie tylko doskonałym muzykiem, ale i szlachetny^

człowiekiem. Ponieważ pozostajemy w przyjaźni, napisałem m<sup>a</sup> o tobie i spytałem, czy mógłby cię przyjąć u siebie w swej szwajcarskiej willi, posłuchać twojej gry i zawiadomić mnie, co o tobie sądzi. Właśnie otrzymałem od niego depezę, że uczyni to z przyjemnością, ale musiałbyś tam pojechać natychmiast, gdyż wkrótce udaje się na leczenie. No więc, moja propozycja jest taka: wyje. dziesz pojutrze, ani słowem nie wspominając o tym matce, i spędzisz w Szwajcarii tydzień. Powiadomię ją tymczasem, że udałeś się do Paderewskiego, gdyż nie mogłeś dłużej znieść napiętej sytuacji ostatnich miesięcy. Problem czasu trwania twojej nieobecności pozostawię otwarty. Wątpię, czy zdecyduje się pojechać za tobą do Szwajcarii, zresztą nie będzie nawet znała adresu. Z radości serce podskoczyło mi w piersi — miałem ochotę wyściskać go i wycałować. Proponował mi nie tylko wyrwanie się z przykłej sytuacji, ale dawał mi też okazję zwiedzenia nowego, pięknego kraju i poznania fantastycznego człowieka, który wówczas znajdował się u szczytu sławy. Pan Levy hojnie zaopatrzył mnie w pieniądze na drogę... Miałem ich wystarczająco dużo, aby spędzić tydzień, nie licząc się z groszem. Profesor Barth jednak przyjął tę wiadomość z niejaką obawą:

— Jeśli profesor Joachim życzy sobie tego wyjazdu, nie mogą ci w tym przeszkodzić — powiedział — ale kiedyż ty się wreszcie zabierzesz do poważnej pracy?

Miał rację, ja też byłem pełen obaw co do występu przed wielkim Paderewskim, ostatnio przecież tak bardzo zaniedbywałem fortepian.

Mimo to profesor Barth okazał się bardzo łaskawy, odprowadzając mnie na dworzec. Wyliczał mi różne miejscowości, które k<sup>o</sup> niecznie powinienem odwiedzić, a wręczywszy list polecający <fl swego przyjaciela, profesora w Lozannie, spytał cicho:

— Tak więc od dziś za tydzień mogę się ciebie spodziewać na lekcji?

Skinąłem głową.

— No... — odparł sceptycznie — to się dopiero okaże.

Pociąg ruszył, a ja odetchnąłem głęboko. Całe moje ciało przeniknięte było wspaniałym uczuciem wolności — nawet jeśli miała trwać zaledwie kilka dni!

Jechałem nocnym pociągiem, ale siedząc przy oknie przedziaM drugiej klasy, nie mogłem zasnąć.

Przyglądałem się mijanym kraj' obrazom, przetrawiałem w myśli cały ten koszmar, jaki ostatnio

90

zeżyłem, zastanawiałem się nad niedalekim już występem przed Abliczem Paderewskiego.

VVe wczesnych godzinach rannych (było to w połowie maja)

ciąg przebywszy bardzo długi tunel wypadł nagle na słońce. Nie P ogłem powstrzymać okrzyku radości i stałem jak porażony iskrą elektryczną; ujrzałem wysokie góry pokryte śniegiem, a niżej nieco natowe, majestatyczne Jezioro Genewskie w otoczeniu jaskra-i zieleni łąk, na któych tu i ówdzie rozsiane były kępki polnych kwiatów o intensywnie żółtym kolorze, jakiego nigdy dotąd nie widziałem. A te nie kończące się winnice porastające łagodnie zbocza! Całe to piękno urzekło mnie!

W dwie godziny później, gdy dotarliśmy do Lozanny, znalazłem skromnie wyglądający hotel naprzeciw dworca kolejowego, zjadłem obfite śniadanie i wypłem trzy filiżanki wyśmienitej kawy.

Potem długo zażywałem kąpieli i doprowadzałem się do porządku, na koniec odświeżony po bezsennej nocy, zebrałem się na odwagę i zszedłem do telefonu. Portier nie chciał mi wierzyć:

— Co? Pan chce rozmawiać z panem Paderewskim? Czego pan od niego chce?

Musiałem mu długo tłumaczyć, nim wreszcie zgodził się mnie połączyć. Odpowiedział kamerdyner, po francusku, ' że pan Pade-rewski wie o moim przybyciu i prosi, bym o tej a tej godzinie wsiadł do pociągu jadącego do Morges, miejscowości położonej nie-\* daleko Lozanny. Tam na dworcu czekać będzie powóz, który" zawiezie mnie do willi pana Paderewskiego.

Trzymałem się tychx instrukcji i oto w godzinę później, o jedenastej w południe wysiadłem z powozu u bram Riond Bosson. Gdy pociągnąłem za dzwonek, brama otworzyła się automatycznie, a groźnie wyglądający pies zaczął wściekle ujadać i obnażył kły, gotów rozszarpać mnie na kawałki; na szczęście był uwiązany przy budzie.

Na końcu rozległego ogrodu stał dom z drewna i cegły, architektonicznie nieciekawym: ni to willa, ni to zamek, przypominał raczej wygodny pension de familie w miejscowości letniskowej. Drzwi otworzył uprzejmie uśmiechnięty kamerdyner, który zaprowadził mnie do ogromnego kwadratowego, dwukondygnacyjowego "aUu, otoczonego krużgankiem, skąd drzwi prowadziły do pokoi położonych na piętrze. W środku hallu stał duży stół bilardowy. Kamerdyner odebrał ode mnie płaszcz i

kapelusz i poprosił, abym na mistrza zaczekał w salonie, do którego otworzył mi drzwi na wprost wejścia. Traktował mnie z nadmierną poufałością, prócz go czułem się onieśmielony z powodu mojej słabej francuszczyzny- Toteż rozstałem się z nim z radością i wszedłem do imponującego salonu. Przede wszystkim uderzył mnie widok dwóch forte-

91

>raz bardziej ^^rfod-Czulem »« •—^ weszła inna ""pl^Swska - \*id^ojM I

92

— Wiele miłych rzeczy słyszałem o panu od profesora Joachima, którego podziwiam i szanuję — powiedział. — Cieszę się także, że jest pan Polakiem — dodał, klepiąc mnie dobrotliwie po ramieniu — A teraz... niech pan zagra coś, na co pan ma ochotę.

I wtedy popełniłem wielki błąd, błąd właściwy wielu młodym pianistom w podobnych okolicznościach — o czym miałem przekonać się później. Zamiast utworu, który mogłem odegrać z łatwością, jak najkorzystniej prezentując swój talent, wybrałem drugą część Wariacji na temat Paganiniego Brahmsa, czego jeszcze w pełni nie opanowałem, po to tylko, by zaimponować najtrudniejszymi pasażami. Zostałem też za to srogo ukarany, myśląc się wielokrotnie, tym bardziej że byłem utrudzony i podenerwowany.

Kiedy skończyłem, zwiesiłem ze wstydem głowę. „To już ko-niec — pomyślałem. — Zaraz pokaże mi drzwi.” Ale nie, przeciwnie, stał się jeszcze bardziej miły i serdeczny.

— Mój drogi młodzieńcze — powiedział — niech pan nie upada na duchu z powodu kilku fałszywych nut. Wiem, że to nie wszystko, na co pana stać, za to mogłem się przekonać, jak bardzo jest pan utalentowany.

„Aha — pomyślałem. — Mówi tak przez wzgląd na Joachima...” Wstałem, gotów do wyjścia.

— Nie opuszcza pan nas jeszcze, prawda? — powiedział. — Mam nadzieję, że zostanie pan na obiedzie? — i nie czekając na odpowiedź, objął mnie ramieniem i zaprowadził do jadalni. Poddałem się bez reszty jego urokowi. Pani Paderewska czekała już na nas, a gdy całowałem ją w rękę, nie wspomniała nawet, że widziała mnie już wcześniej.

Zasiedliśmy do stołu we trójkę: staruszka nie pojawiła się. Dowiedziałem się, że to ciotka pani domu i że posiłki spożywa u siebie w pokoju, ale wstaje o piątej rano, żeby nakarmić konkursowe kury pani Paderewskiej. Była w iście biblijnym wieku — miała -os około dziewięćdziesięciu pięciu lat!

Rozmowa przy stole toczyła się bardzo żywo. Paderewski był świetnym causeurem, mówił głosem wysokim, przypominającym głos recytującego tenora, lekko sepleniąc przy wymawianiu litery „s”, tak że słyszało się „sz” lub „s” z lekkim poświsem. Efekt był urzekający. Doskonale pojmo-SWQen? dlaczego zyskał sławę jednego z największych mówców ^yn Czas°w; z łatwością rozprawił zresztą w pięciu językach. głośnie -Z teg.° obiadu Ószcze więcej przyjemności, gdyby nie pr2y stU,Wag\* Pam Paderewskiej o moich „właściwych manierach” wypow? ri ^wazałem, że takie komentarze co do mego zachowania, ży} an W mo^eJ obecności, są w złym guście i z satysfakcją Po obied™-' Że Pan Paderewski marszczył brwi z dezaprobatą. Zle Przerwał moje wylewne podziękowania i zaprowadził

93

mnie do frontowego hallu, wybrał ze stojaka piękną laskę nową zakończoną gałką z kości słoniowej i powiedział właściwy^ sobie, niezwykle ujmującym tonem:

— Młody przyjacielu, ponieważ mój powóz nie może pana teraz zawieźć na stację, będzie pan zmuszony pójść pieszo... Ale to bardzo niedaleko, a ta laska panu pomoże. Może ją pan zatrzymać na pamiątkę naszego spotkania. Niech pan złapie pierwszy pociąg do Lozanny, szybko spakuje swoje rzeczy i zaraz tu wróci: mamy goŚCi na kolacji i będzie się pan musiał przebrać. Mam nadzieję, że może pan zatrzymać się u nas przez pięć dni, aż do naszego wyjazdu do Aix-les-Bains. Wszystko to powiedziane zostało tak, jakbym był bliskim krewnym. Czuję się bardzo wzruszony i nie mogłem wydusić z siebie słowa, ale mistrz domyślił się, co przeżywam, i tylko się uśmiechnął. Wyszedłem, podśpiewując i pogwizdując i nie tyle poszedłem, co pobiegłem na stację. Nie minęły dwie godziny, gdy byłem już z powrotem w Morges i wziąłem z dworca dorożkę do Riond Bosson. Kamerdyner Marcelim zaprowadził mnie do pokoju na drugim piętrze, przestronnego i wygodnego, z loggią i idealnym widokiem na Mont Blanc. Przebrałem się w czarny garnitur i czarne półbuty (jeden wieczorowy strój, jakim dysponowałem) i zszedłem na dół, do gospodarzy. Goście już przybyli: trzy amerykańskie małżeństwa w średnim wieku i pewien Szwajcar. Zostałem przedstawiony, ale nazwisk nie dosłyszałem. Rozmowa toczyła się po angielsku, w języku, który

rozumiałem, ale którym nie miałem jeszcze odwagi mówić.

Kolacja była wyśmienita i podana w sposób nad wyraz wykwintny. Pamiętam, że jadłem wtedy po raz pierwszy langustę i piłem różowego szampana, szczególnie lubianego przez pana domu.

Gdy w salonie podano kawę, pan Paderewski powiedział gościom parę pochlebnych słów na mój temat, po czym poprosił, abym coś zagrał. Tym razem byłem już we właściwym nastroju. Z sercem wykonałem moje ulubione utwory Brahmsa, dwie rapsodie i intermezzo, a także impromptu Chopina. Gdy skończyłem, Paderewski zerwał się na równe nogi i uściskał mnie:

— Od razu wiedziałem, że ma pan wielki talent. Napiszę m profesora Joachima o tym występie.

Goście także obdarzyli mnie wieloma komplementami, odniosłem jednak wrażenie, że w obecności Paderewskiego nie ośmieliliby się zbyt chwalić żadnego pianisty — wyrażali się raczej dość hł no. Po ich wyjściu ten wielki człowiek odprowadził mnie do P<sup>o</sup>l rozsiadł się wygodnie na niskim fotelu i po ojcowsku zaczął wyl

tywać mnie o rodzinę, o Polskę, o okoliczności zetknięcia się z

jor

94

hme, słowem — o całe moje życie. Nie wiem, czy to pod wpływ jego osobistego uroku i szczerego zainteresowania, czy też

oowodu nieczystego sumienia w związku z ostatnimi tygodniami Z Berlinie, odczułem jednak potrzebę opowiedzenia mu o wszystkim, co mi leżało na sercu.

Choć nie widziałem w jego oczach aprobaty, gdy snułem smutną nowinę o matce, podobnie jak zacy Joachim okazał mi dużo zrozumienia:

—, Artyści muszą przebyć trudną drogę, zanim odnajdą swoje

łejsce — powiedział jakby trochę do samego siebie. — Kariera lekarzy, prawników czy inżynierów wytyczona jest jasno i prosto, natomiast my, biedni artyści, żyjemy wciąż pełni wątpliwości.

Wstał z krzesła, przez chwilę spacerował po pokoju, pałac papierosa, po czym usiadł znowu i zaczął mi opowiadać rozdzierającą serce historię swego życia. Ponieważ jest to dziś rzecz powszechnie znana, nie będę się nad tym rozwodził, muszę tylko wspomnieć o jego synu jedynaku. Biedny chłopiec urodził się ze straszną deformacją czaszki i całkowitym paraliżem kończyn. Matka zmarła przy porodzie, biedny sierota pozostał więc pod opieką dziadka, a potem przyszłej macochy.

Chłopiec był niezwykle inteligentny, o anielskim wręcz usposobieniu, ojciec uwielbiał go.

— Zbyt rzadko go widywałem — powiedział Paderewski. — Liczne podróże koncertowe sprawiły, że spędziliśmy razem w tym domu zaledwie ostatnich kilka lat, a potem... — urwał. —

Zmarł parę miesięcy temu... — głos mu się załamał, był bliski łez.

— Marcellin — podjął po chwili — wie pan, mój kamerdyner, pielęgnował go i troszczył się o niego jak matka, traktujemy go teraz jak członka rodziny. Jest moim służącym, sekretarzem i przyjacielem. Wyczerpany wzruszeniem, mistrz życzył mi dobrej nocy, ale przed wyjściem dodał:

— Niech pan sobie tych młodzieńczych zmartwień nie bierze zbyt do serca... Widzi pan, w życiu artysty bywają sprawy o wiele trudniejsze.

Ta długa opowieść zrobiła na mnie ogromne wrażenie. „A więc

ł Jest ten sławny, szczęśliwy, bogaty, wielki Paderewski?” —

myślałem ze zdumieniem, uświadomiwszy sobie, że oto stanąłem

^ obliczu jednej z najbardziej nieszczęśliwych istot ludzkich, jakie

^ykolwiek w życiu spotkałem.

Nazajutrz widziałem go tylko przelotnie. Przesłał mi wiadomość zez Marcellina, proponując, bym odwiedził profesora Buddę, z^aciela Bartha w Lozannie. Mój list polecający do profesora został niezmiernie serdecznie. Starszy pan okazał się i przedstawił mnie swojej rodzinie, która zatrzymała mnie

95

;...;.l i

\*nie na wieczorem wróciłe

BoS

Późnym wiecz" g0 dnia.

y dni pobytu w

E

tete\*\* cay jawi na

Pracował nad W .rza]ąc^

dieiSZ!rze pomnie P"es;

p  
co  
e medost lo  
częstoP obie.  
dz ^azem do ogrodu by \_ tQ Marcem  
chodziliśmy razem n&szcych wys pracodawcą^ w  
PartiQ ^fnagfocS ustanawiane P«^e grywajmy troc^ ^ zazwyczaj nagr ^ampanem, a po ^^ ze  
atrzy .

to  
Zostałem na  
96

mam byc \* powrotem w BerHme  
Bartha' CZy ^ ZJaTidi rozkład jazdy i ^  
już za pół godziny  
e najlepiej będzie się bez Gene- l  
3SS

P°owltaPła ffii wołaj,  
"Wyjechała, wyjechała! m,,,,,em słowa wykrztusić, i nagle  
tak wstrząśnięty, że me mogłeir^ słów ytał błagac  
12

Profesor Joachim zachwycony byłwlfiae1^tOttoySenSa wątpli-rewskiego. „Chłopiec ma autentyczny  
™eiL rzepOwiadam mu wości — napisał między innymi nns^z h słów 0 mojej  
wspaniałą przyszłość." Dorzucił też kilka uprze3mycyn osobie i ponowił zaproszenie na lat°;  
nadzieje — zauważył

- No widzisz, spełniły się wsz^1ce6^Szgodz-ła się z nami i zo-Joachim. - Twoja matka koniec  
koncow zšoazi\* o iata w towa-stawiła cię w spokoju, a sposobność .SP^S człowieka bardzo rzystwie  
prawdziwie szlachetnego i wieJKiego

d°Łt,rk ciągle jeszcze wstręty cucony pełnym wyrzutów listem od ciotki Pokonany byłem o swojej  
racji. Młły staruszek, pan Martin Levy, na temat całokształtu sytuacji.

m°Ją °sobą ^P°nowało mU

2a0 J6g0 Wiarę W m°ją ?^m Z C2as' abym rozstał się z Barthem ie) )Zabija we mnie zapał do  
muzyki...

biad i roz- Paderew-  
on że nad- ? jego

e)

— Frau Engelmann —dodał — jest tego samego zdania, Joachim zaś, choć nie mówi tego  
otwarcie, z pewnością nie będzie się sprzeciwiał.

Moja odpowiedź brzmiała:

— Nie, to niemożliwe. Nie mógłbym nagle opuścić człowieka, który okazał mi tyle oddania, nie brał  
przez tyle lat pieniędzy i poświęcił mi tak wiele swego cennego czasu... Czuję, że to by go złamało.  
Pan Levy uznał, że jestem zbyt sentymentalny, ale wysunął inną propozycję:

— Moja córka jest żoną profesora bakteriologii na uniwersytecie w Marburgu; to śliczne  
miasteczko, bardzo przypominające Heidelberg. Chcąc być blisko córki i wnuków, wynająłem tam na  
lato willę. Może byś pojechał ze mną? Załatwię z Joachimem, żeby przedłużył ci wakacje o dwa,  
trzy tygodnie. A do Szwajcarii będziesz mógł udać się wprost z Marburga.

Byłem oczarowany tym pomysłem, ale bałem się reakcji Bartha. I miałem rację. Kiedy się o tym  
dowiedział, zawrzał gniewem, najbardziej zaś rozwścieczyło go to, że Paderewski zaprosił mnie za  
pośrednictwem profesora Joachima, ignorując jego prawo do decydowania o moim losie.

— Jeśli on do mnie nie napisze, to nie pozwolę ci tam jechać — oświadczył, a zabrzmiało to jak  
ultimatum.

Pan Levy, dowiedziawszy się o wszystkim, nawiązał dyplomatyczną korespondencję z Paderewskim  
i skłonił go do wysłania depechy do Bartha z prośbą o zezwolenie „Pańskiemu utalentowanemu  
uczniowi na spędzenie lata w charakterze naszego gościa".

Tak więc Barth porzucił swe obiekcje, ja zaś uszczęśliwiony, przygotowywałem się do spędzenia  
długiego, rozkosznego lata.

i



## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

Przestronna i wygodna willa pana Levy zbudowana była na wzgórzu górującym nad miastem, skąd rozciągał się widok na stary zamek położony na wzgórzu przeciwnym. Wszystko tu było w bardzo dobrym guście: boazerie z jasnego drewna, ładne urny, łazienki ze wszystkimi nowoczesnymi urządzeniami, a nawet znakomity fortepian Bechsteina. Pan domu część służby sprawował ze swej rezydencji w Berlinie: mieli obsługiwać tylko na dwóch! Nic dziwnego, że szybko odzyskałem dobry humor. Córkę pana Levy — młodą, ciemnowłosą i pełną wdzięku kobietą, obdarzoną była świetnym i dobrze wyszkolonym głosem. Akompaniowałem jej do pieśni Schuberta i Brahmsa, rychło też zostaliśmy serdecznie przyjaciółmi. Jej mąż, słynny uczonek, asystent profesora Williama Jennera, miał wygląd typowego naukowca: nosił z najwyższą godnością, całkowicie pozbawiony był poczucia

98

mu i absolutnie niemuzyczny. W willi pana Levy jadało się smacznie i wykwintnie; był prawdziwym koneserem! Podejrzewam, że właśnie pobyt w jego domu zapoczątkował moją długotrwałą karierę smakosza. Truite au bleu, joie gras, raki w koprze, kaczka à la rouennaise oraz wiele innych podobnych arcydzieł sztuki kulinarnej stanowiło nowość dla mego niewyrobionego podniebienia — przeżywałem pierwsze rozkosze wtajemniczenia w wyrafinowane tajniki smaku.

Takie życie, beztrudne i przyjemne, trwało trzy tygodnie; a potem nadszedł czas wyjazdu do Szwajcarii. Muszę przyznać, że miałem porządnego stracha przed tą drugą wizytą u państwa Paderewskich! Przede wszystkim pożegnanie z Barthem pozostawiło mi nieprzyjemne uczucie moralnego długu w stosunku do niego. Powiedział wówczas z patosem w głosie:

— No tak, teraz oczywiście będzie pan pobierał nauki u Paderewskiego?

— Ależ nie, skądże... — odpowiedziałem z przekonaniem. — Zostałem zaproszony wyłącznie jako gość i rodak.

Uśmiechnął się smutno, nie przekonany, ja zaś wyjechałem z zadrą w sercu.

Pan Levy wraz z całą rodziną odprowadził mnie na dworzec. Tym razem podróżowałem w warunkach komfortowych, gdyż mój historyczny protektor załatwił mi przedział w wagonie sypialnym. Atmosfera w Riond Bosson zmieniła się znacznie od czasu moich pierwszych odwiedzin.

— Dom jest pełen gości — powiedział Marcellin, wnosząc moje rzeczy tym razem do małego pokoiku. — Mistrz ciężko pracuje — dodał. — Przygotowuje repertuar na zbliżające się tournée i komponuje sonatę fortepianową; schodzi tylko na posiłki.

Znaczyło to, że spotkam go dopiero podczas obiadu. Pani domu również nie udzielała się, co mnie martwiło. Dla zabicia czasu zszedłem do hallu, zająłem swoje ulubione miejsce i zabrałem się do czytania gazet. Wkrótce posłyszałem, że Paderewski zaczął grać. Grał długie fragmenty swojej Sonaty, wiele z nich było nowych, gdyż słuchałem ich często podczas pierwszej

był-  
sie ° ^ S\*ę Song wzywający na obiad i goście natychmiast zaczęli śmieć — przybywali z ogrodu lub schodzili po schodach. Wrażenie nader niejednorodne, jak gdyby nie mieli Przywódcy Wspólnego - Niebawem pojawiła się też pani Paderewska; Przed \ • mn\*ę dość serdecznie, nie zadając sobie jednak trudu ftinut awier\*ia mnie komukolwiek. Wreszcie, z około dwudziesto-→Wyrn opóźnieniem, do hallu wszedł Paderewski. Stwierdzi-

99

SE

Pani doffiu. -

ed śniadaniem

nie wyglądającej butli, dorzuciła: ^

— Teraz proszę wziąć jedną, a Juxro

musi pan połknąć jeszcze dwie. ^i^m Nazajutrz, kiedy

Obiecałem i wycofałem się. do swojego P^g^^ panią z butelką w ręku schodziłem do jadalni, U3rzał@m kłamStewka, Nossigową popijającą kawę. Przyznałem się jej]do ^™&™ jakim posłużyłem się poprzedniego wieczora, i \*&L"> ^ P nieniem zażyć teraz lekarstwo, którego nie ^™°L\* powiedzia-

~ Oczywiście, że nie musi pan brać tych pigułek\* i\*> ła.~ Mogłyby nawet zepsuć panu żołądek  
czytałem gazetę

Odetchnąłem z ulgą. Po jakimś czasie, gdy ^y mnie  
hallu, pani Paderewska ubrana w szlafrok zawołała a z krużganka:

~ I co, wziął pan pigułki? Śmiertelnie przerażony tonem jej głosu

Nie, proszę pani. Czuję się dziś znacznie i dił i żb ich nie zażywał  
lękliwie: ie^

SS^SriSSsSę^Sł ^-a^iri^^^za^aT - do swego0

^t^^^S^^a \*I Paderewska też słowa M  
...„«« .;^«TQ"li 20&C1

lieWaU go^ci - ^laCii

zgromadził nas w hallu, gdzie czekaUśmy jak zawsze

101

100

! ..

pana domu, który pojawił się wreszcie z marsem na czole i gniewną miną. Podszedł wprost do pani Nossigowej i huknął:

— A więc podejrzewa pani moją żonę o chęć wytrucia naszych gości?

Biedaczka popatrzyła na mnie z konsternacją, wybuchnęła płaczem i uciekła, za nią zaś pospieszył jej mąż, który pojęcia nie miał, o co tu chodzi. Daremnie usiłowałem wyjaśnić wszystko Pa-derewskiemu; przez cały obiad pozostał w gniewnym nastroju. Nikt się nie odzywał prócz Jaczewskiego, którego opowieści całkiem nie d propo były przez wszystkich ignorowane, ja zaś poczułem głęboki niepokój, uświadomiwszy sobie, jak silny jest wpływ pani Paderewskiej na męża. Nieco później mistrz przeprosił panią Nossigową, ale w ich uprzedni^ serdecznych stosunkach pojawiło się coś wymuszonego; po jakimś tygodniu Nossigowie wyjechali.

Inny incydent potwierdził moje przecucia. Pan Charles Stein-way, w owym czasie szef sławnej wytwórni fortepianów, który wprowadził Paderewskiego na teren Stanów Zjednoczonych, zapowiedział przybycie do Genewy i na następny dzień został zaproszony na obiad w Riond Bosson. Wszyscy byliśmy wprost oczarowani jego prostotą i bezpośredniością. Siedząc między panem a panią domu, zainicjował ożywioną rozmowę na tematy muzyczne. W pewnym momencie honorowy gość zapytał Paderewskiego, jaki fortepian uważa za drugi po steinwayu.

— Niewątpliwie erard.

— Jak może pan twierdzić coś podobnego! — zawołał Amerykanin, wznosząc ręce do góry. — Erard to instrument przestarzały. Owszem, ma pewne zalety mechaniczne, ale brzmi zupełnie jak klawikord.

— Doskonale potrafię wydobyć z niego piękne brzmienie — odpowiedział dość ostro Paderewski.

— Ależ tu nie ma porównania z bechsteinem, tak pod względem tonu, jak i mechaniki — wołał zniecierpliwiony pan Steinway.iB Nie wyobrażam sobie pianisty, który przedkładałby erarda ta bechsteina!

— Tak się składa, że jestem pianistą, i mogę pana zapewnić, że jest pan w błędzie — odparł ze spokojem Paderewski, uśmiechaj! się ironicznie.

Fabrykant fortepianów roześmiał się, absolutnie nie przekonaj W tym momencie pani Paderewska, która tej wymiany

słuchała z rosnącą irytacją, zawołała nagle, dławiąc się z łości:

— Nie zniosę, aby ktokolwiek pozwalał sobie zwracać się, zuchwale do mistrza!

Pan Steinway podniósł się z krzesła i opuścił pokój. Zapano1

102

nWila powszechnej konsternacji. Paderewski wybiegł za gościem w nadziei, że skłoni go do powrotu, ale to mu się nie udało. yy chwilę później honorowy gość wyjechał do Genewy.

Mistrz bardzo często grywał mi długie fragmenty swej Sonaty, którą zacząłem poznawać i lubić.

Muszę przyznać, że własne kompozycje grał z idealnym smakiem, nie zniekształcając frazowania, jak to czynił w innych utworach. Raz, gdy poprosił mnie, bym zagrał mu kilka utworów, nad którymi ostatnio pracowałem, okazałem niesłychaną wprost zuchwałość, błagając go, aby nie udzielał mi pouczeń, gdyż mogłoby to urazić profesora Bartha. Każdy mniej wybitny artysta poczułby się dotknięty taką prośbą, ale Paderewski, choć przez moment zakłopotany, pochwalił jednak moją lojalność uśmiechem pełnym wyrozumiałości.

Długie letnie wakacje dobiegały końca i mimo wrodzonego lenistwa sam zacząłem odczuwać potrzebę poważniejszej pracy. W Riond Bosson ćwiczyłem bez zapału na pianinie znajdującym się w małym pawilonie w ogrodzie. Uważałem, iż rzeczą znacznie bardziej interesującą jest przysłuchiwanie się, jak mistrz pracuje nad swoją Sonatą. W ciągu ostatnich dni pobytu widywałem

go rzadko; absorbował go bez reszty pan Jaczewski i przygotowania do tournée po Rosji, ćwiczył więc całymi dniami. Ale zszedł, aby mnie pożegnać — polskim zwyczajem ucałował mnie w oba policzki i życzył szczęśliwej drogi. Poprzedniego wieczora podziękowałem już za wszystko pani Paderewskiej, która pomachała mi tylko ręką z krużganka. Wyjeżdżałem z Riond Bosson z sercem przepelnionym wdzięcznością.

Po olśniewająco barwnej Szwajcarii Berlin wydał mi się zimny i szary. Jesienne deszcze działały przygnębiająco na moje zwykle wesołe usposobienie. Znow zacząłem jeździć z lekcji na lekcję, godzinami wyczekując na omnibus. Profesora Bartha wyraźnie usatysfakcjonował mój punktualny powrót, zwłaszcza gdy upewnił się, że nie studiowałem u Paderewskiego. Pod moją nieobecność przeprowadził się do nowego mieszkania, słonecznego i miłego, przy rnodnej Tauenzienstrasse. Minionej wiosny zmarła jego macocha, raz więc mieszkał sam z siostrą, która zaczęła troskliwiej nim się Piekować; na stołach pojawiły się wazony ze świeżymi tulipanami, Stein\*Um\*niem też zauważyłem duże popiersie Antoniego Rubin-umieszczone jako główna ozdoba pokoju muzycznego. Sam I\* się bardziej ludzki, bardziej swobodny, i dzięki temu wzajemne stosunki były teraz cieplejsze i jakby bardziej bez-f- Posunął się nawet do tego, że zaprosił mnie kiedyś na homarem, słyszał bowiem, jak bardzo ten przysmak lubię; wybraliśmy się do drogiej restauracji, której specjalnością były rybne, i tam raczyliśmy się królewskim daniem.

tak były

103

eistotnych,

jest

w BerUnie!

Jak to

mmmmm

Stolikiem do kawy oraz miękkie fotele

nastrój ciepła i komfortu

Barman podszedł do \*

Zjedliśmy podwieczorek a potem

{a Q nieco Pie^

pianu i zaczął grać swoje komP^f"fe% Jutworem niezwykle ro nalnym tytule „Per aspera ad astra  
?\* którego Hanna

mantycznym, zależnym silnie od Czajko autentyczną^?1

uwielbiał. Mimo to wyczuwało się ^^ydueryk grał swobodnie, rację; tematy były naturalne i płynne,  
słuchającemu

przejrzyście i z zapalem, który ^zietó ffi , arnbi

Jego Fantazja na fortepian z °rk est'J,,;kterze nie miał w sob e nyn, Utwór 0'zdecydowanie poi

skunczą akt^ ^ \_\_\_\_ ^^ ale nic z posępnego nastroju symfonii, brzm\_

urokliwym- przypominał raczej Pj^ewskiego tylko powie-

a Niełatwo mi opisać tę pierwszą ^^Hnteligencja i ^ital-d^ć, że miała w sobie coś ^^„cje, tak

doskonale ode-ność Fryderyka jego interesujące kompozycje, koinfort jego

\*\*\*. przyjemnośćgmówienia z nim po V^T^ faklm wówczas

^ FrydeTyTa, Wo^resurt^^P^S: cTaW komfort jego grane, przyjemność mówienia z nim po P  
\_\_jaki:

Po«oiu sprawiły, że niedojrzały jeszcze chłopiec byłem- poczuł się ZUpełnie

bezbronny. \_\_\_\_\_Vniacii, s

m wówczas

^iuYpwwił^że niedojrzały jeszcze cniOPi~ - --Złem- poczuł się ZUpełnie bezbronny. koiacji,  
serwowanej

beryle zatrzymał mnie tego ^^Sto Kuchnia była r^ej jadalni na pierwszym pierze pensjo> ^  
małyin

^konuta, Fryderyk i ja usiedliśmy we a ^

stoliku, skąd można było obserwować pozostałych biesiadników. Dzięki zabawnym, nierzadko  
złośliwym komentarzom Fryderyka pod koniec kolacji o większości z nich wiedziałem już wszystko.

Później przedstawił mi co bardziej interesującym współlokato-rom, między innymi dwóm  
malarzom, utalentowanym — jak twierdził; jeden okazał się Niemcem, bardzo gadatliwym; drugi  
Szwed, milczał jak ryba. Poznałem też pewną damę, bardzo atrakcyjną młodą niewiastę, świeżo  
rozwidzoną ze sławnym dramaturgiem. Jej makijaż, szczupła figura i głęboki, melodyjny głOs  
zaintrygowały mnie; zdawało mi się też, że pozostaje z Fryderykiem w jak najlepszej komitywie.

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

Począwszy od tego dnia, Berlin zmienił dla mnie charakter, stał się jakby nowym miastem. Pierzchnęły wszystkie dotychczasowe zmartwienia, przestałem po prostu o nich myśleć. Moje życie obracało się teraz wokół Fryderyka, widywałem go codziennie, pomagałem mu w przygotowaniach do koncertu i aktywnie uczestniczyłem w jego życiu. Dzięki hojnym przekazom z domu stać go było na częste zapraszanie mnie do siebie na posiłki, do teatrów i na koncerty, a także do drogich restauracji. Innymi słowy — pokazał mi życie, jakiego dotąd nie znałem. Rozmowa z nim była nieustającą przyjemnością, bez względu na to, czy rozprawialiśmy o muzyce, literaturze, sztuce czy o ludziach; jego błyskotliwa inteligencja sprawiała, że cokolwiek powiedział, brzmiało interesująco; władał zresztą biegle pięcioma językami.

U podstaw naszej przyjaźni leżała, rzecz jasna, muzyka: na-j mięiiiiie dyskutowaliśmy o kompozytorach, wykonawcach, dyrygentach. Coraz to doskakiwaliśmy do fortepianu, chcąc dowieść tego czy owego. Nauczyłem go kochać Brahmsa, którego uprzednio znał bardzo niewiele, on zaś z kolei sprezentował mi istic boski! podarunek — odkrycie prawdziwego, autentycznego

Chopin. Chciałbym szczególnie mocno podkreślić ten wielki dług wdzięczności, jaki u niego zaciągnąłem, i poprosić- czytelników, by i lekceważyli tej deklaracji.

Chopina znałem, oczywiście, dość dobrze. Wiele jego utworów słyszałem na koncertach i prywatnie, ale w Niemczech twórczo-5' tę uważano często za — jak to tu nazywano — muzykę salo\* wą; parokrotnie słyszałem też interpretację Paderewskiego, j? jego często przesadne dowolności w tempach i ekspresji nie trał mi do przekonania. I tak skończyło się na tym, że przyswoi sobie powszechne zdanie o Chopinie jako o młodej, chorowitej \* mantycznej postaci, kompozytorze sentymentalnej muzyki fortel nowej, eleganckiej i trudnej, lecz niezdolnej wyrazić nic prócz lancholii.

Chopin stanowił pasję Fryderyka. Harman nie był wielkim pianistą — przeszkadzał mu brak pamięci oraz pewne niedostatki techniczne — ale jego Chopina cechowało "właściwe brzmienie, ponieważ rozumiał prawdziwą mowę tej muzyki: mazurek tętnił rytmem polskiej ziemi, polonez miał dostojność i moc, scherzo czy ballada — wielką, właściwą im namiętność, walc był pełen uroku i elegancji. Zaiste, zacząłem uświadamiać sobie, że teraz dopiero słucham muzyki Chopina w jej właściwym brzmieniu! Z głębokiego, intuicyjnego zrozumienia tego geniusza przez Harmana wywodziła się więc w znacznym stopniu moja własna inspiracja, obudzona przez polskiego mistrza.

Zupełnie niezależnie od naszych niekończących się dyskusji muzycznych i intelektualnych lubilem słuchać barwnych opisów Warszawy, życia w Polsce, rodziny i własnych przeżyć mego przyjaciela. Posiadał rzadki dar opowiadania, dzięki czemu mogłem sobie dokładnie wyobrazić każde wydarzenie, każdą wspomnianą przezeń postać. Jego opowieści tak mnie fascynowały, że w porównaniu ze światem, który on przede mną roztaczał, wszyscy i wszystko wokół mnie bladło. Niemalą rolę w tym zainteresowaniu odgrywało też moje wrodzone umiłowanie Polski. Fryderyk opowiadał mi o swych trudnościach z ojcem, który nie wierzył w jego talent; dlatego też zbliżający się koncert miał dlań tak doniosłe znaczenie. Ale z miłością wyrażał się o matce, która rozumiała jego ambicje i sama była bardzo muzykalna. Któregoś dnia oświadczył mi, że matka i młodsza siostra przyjadą na to wielkie wydarzenie.

W miarę jak zbliżał się ów doniosły dzień, coraz mocniej angażowałem się w tę imprezę, błagałem przyjaciół o wykupywanie biletów na koncert, zachwalałem im Fryderyka i chełpiłem się naszą przyjaźnią. Moi młodzi przyjaciele muzycy, jak Fritz Miiller i wielu innych, okazywali zainteresowanie i obiecywali przyjść na kon--ert, ale starsze pokolenie było dość powściągliwe. Wszędzie wyczuwało się niemieckie uprzedzenie do niegermańskiej muzyki. Barth siłował mnie zniechęcić, twierdząc, że słyszał o Harmanie niepocholebne opinie, ale wyjawić ich źródła nie chciał. Winterowie

"! niezadowoleni z mojej ciągłej nieobecności i z tego, że coraz n^r ziej się od nich odsuwam, a przy tym niepokoiły ich moje póź-  
odn • r^o^ o\*\*o domu; zazdrość pani Winterowej oraz poczucie owiedzialności pana Wintera podały tu sobie ręcę. Ale ku stko mi[.w\*elkiemu zadowoleniu na lekcjach i w nauce mimo wszy-  
tiotyg ° . \*em Postępy — po prostu dlatego, że odkryłem w sobie

zainteresowanie dla muzyki i dla życia w ogóle.

Na d

\* Przed koncertem matka i siostra Harmana przyje-ina i wynajęły apartament w jego pensjonacie.

Tego

107

Siostrą oka-

m

^SkodU\* iiem opuszczać P«We ,^».

opuszczać

108

nazbyt przypominał Czajkowskiego, tylko specyficznie polska, naiwna świeżość była osobistym wkładem Harmana — cechą charakterystyczną wszystkich jego kompozycji. Fryderyk dyrygował swoją Symfonią niepewnie, nie pozwalając swobodnie płynąć muzyce, co kładłem na karb chwilowego zdenerwowania. Ale gdy te same niedostatki wystąpiły w jego pianistycznym wykonaniu Fantazji, zacząłem się niepokoić. Zdałem sobie nagle sprawę z poważnej luki w całokształcie jego struktury muzycznej. Mimo to pięknie akompaniował niemieckiej śpiewaczce wykonującej jego pieśni. Koncert dobiegł końca bez zakłóceń; można by go nawet uznać za sukces, względny sukces; Fryderyk spodobał się publiczności, oklaskiwano go więc dość gorąco. On sam wyglądał na zachwyconego tym gorącym aplauzem, matka zaś i siostra były pełne entuzjazmu.

Jak się dowiedziałem, na Józefie Hofmannie największe wrażenie zrobił występ Fryderyka w potrójnej roli. Po koncercie Hofmann i ja udaliśmy się z Harmanami na kolację do dobrej restauracji, gdzie na cześć udanego debiutu Fryderyka szampanem piliśmy jego zdrowie.

Po koncercie opinie publiczności były podzielone, ze zrozumiałą obawą czekałem więc na poranne recenzje prasowe. Gazety berlińskie zamieściły obszernie relacje i na ogół odniosły się doń przyjaźnie. Najbardziej podobały się pieśni Harmana, chwalono też jego grę, choć niewiele miano do powiedzenia o utworach orkiestrowych.

Przez kilka następných dni wszystkie wolne godziny spędzałem z Harmanami. Basia, siostra Fryderyka, okazała się niebezpieczną małą kusicielką i coraz to przyprawiała mnie o męki Tantala. Ni stąd ni zowąd, bez widocznego powodu wybuchała też niepohamowanym śmiechem, doprowadzając nas wszystkich do ostateczności. Zaprzyjaźniliśmy się serdecznie, choć na nieco śmiesznej zasa-1 — kiedy była rozbawiona, pozwalała mi się całować, a ja Przyjmowałem te reguły gry, nie mając odwagi wyznać, że ją ocham. Częstym gościem pań był także Józef Hofmann i wkrótce skonałem się, że mam w nim niebezpiecznego rywala. Nękanym j r°Ścia-' spostrzegłem z ulgą, że Basia zdaje się nie reagować na 281?^ Przeciwnie — wołała raczej mnie prosić, bym coś niz słuchać wielkiego Józefa Hofmanna. Później dowiedzia- że prosił nawet o jej rękę.

zi. ^as\* z matką wprawił mnie w skrajne przygnębienie, się z y, nie Fryderyk, byłbym zupełnie załamany. Toteż spotykałem rezUjt lrn częściej niż kiedykolwiek. Liczył na jakieś materialne °rgailizoy swego koncertu, ale Herman Wolff, który ten koncert Wa\*, nie przejawiał większego zainteresowania, zbywał go

j

jein

109

. . . t nie wspomina! o tadnych pianach na ttumaczeruarm

^^ 1

Ojciec

wiera na nie zniosą

jażni. 110

ojca uważał si<

rażnie, co o jej zdradzie myślę, ona zaś, chcąc się ze mną pogodzić, przyrzekła ułatwić mi w przyszłości spotkania z Fryderykiem, dzięki temu miałem nadal możliwość widywania go bądź u siebie, bądź u niego w domu.

13

Berlin obrzydł mi zupełnie. Wszystkie myśli kierowałem teraz ku Warszawie, a miłość do Basi nie była tego jedynym powodem. Czułem ogólne zniechęcenie do całego obecnego życia.

Przygnębienia tego nie przezwyciężyło nawet nowe, dość interesujące przeżycie. Doktor Max

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

Friedlander, sławny muzykolog na Uniwersytecie Berlińskim, wraz z żoną, niegdyś uczennicą Leszetyckiego, zapraszali mnie często do siebie na wieczory muzyczne; miałem tam sposobność grywać muzykę kameralną z doskonałymi artystami, między innymi ze skrzypkami Karlem Fleschem i Bronisławem Hubermannem. Pani Friedlanderowa poprosiła mnie kiedyś o udzielanie jej lekcji gry na fortepianie. Prośba ta ogromnie mi pochwaliła. Byłem dumny, że po raz pierwszy w życiu zarabiam jako nauczyciel.

Niestety, moja uczennica okazała się trochę histeryczką — przy najdrobniejszej krytycznej uwadze wybuchła płaczem, po czym przepraszała, całując mnie po rękach; wszystko to zaczynało być koszarne. Złościło mnie też wiele innych rzeczy, miałem Berlina już powyżej uszu. A że moja miłość do Basi rosła z każdym dniem, biedny Fryderyk zmuszony był wysłuchiwać mej niekończącej się Paplaniny na ten temat.

Któregoś dnia poczułem, że dłużej tego już nie znoję, i napisa- em do Basi namiętny list. Istny fajerwerk romantyzmu! Przyrze-

item cały świat rzucić jej do stóp, miałam zakasać Liszta i Antogo Rubinsteina, nie mówiąc już o Busonim i d'Albercie, obiecy- i t n f1 zaca^owac ją na śmierć i kochać aż do samej śmierci. Ona Pot °K°na — pisałem — może wzbudzić we mnie pragnienie i siłę zaHn ną do osiągnięcia tego celu; bez niej życie nie ma dla mnie ^eg° sensu.

S2liiv • . m tC płomienną epistolę i cały tydzień spędziłem w stra-Na J n, lepowności, oczekując odpowiedzi.

t °Zn° ^Ty^eryk starał się odwrócić moje myśli od siostry. eatry i dobre restauracje przestały mnie pociągać, próbo-

111

wał zainteresować mnie spirytyzmem. Parę razy poszliśmy <j0 jakichś jego bogatych przyjaciół, gdzie po dobrej kolacji rozpoczynał się seans spirytystyczny, a ja żądałem, by „duchy” umożliwiły mi kontakt z Basią.

Drugą dystrakcją była młoda rozwódka z pensjonatu. Zadzurzona w Fryderyku, przysyłała mu listy, kwiaty i słodczyce, podczas posiłków wbijała weń płomienny wzrok i chwytowała się wszelkich sposobów typowych dla kobiet „wampów”. Nieczuły na jej wdzięki Fryderyk próbował za to wykorzystać swój wpływ na nią dla zaprotegowania mojej osoby. Dama owa, o niezwykle giętkich zasadach moralnych, nie dopatrywała się niczego złego w takiej zamianie i zaczęła szukać miłości u mnie. To miłosne intermezzo wprawdzie bardzo mi pochwalało, wprowadziło jednak jeszcze więcej zamieszania w mój już i bez tego dość pogmatwany żywot. Henny czuła się urażona z powodu perfumowanych kopert, adresowanych do mnie przez nie znaną jej osobę i nawet profesor Barth zwrócił uwagę na dziwne zapachy emanujące z moich kieszeni — Cuchniesz paczulą — mawiał, a ja domyślałem się, że była to jedyna znana mu nazwa, którą stosował dla wszelkiego rodzaju pachriideł.

Ale miewałem także i miłsze chwile, na przykład intymne herbatki w przytulnym saloniku rozwódki, kiedy to Józef Hofmann, Fryderyk i ja doskakiwaliśmy raz po raz do fortepianu, grając to tę, to inną melodię. Przy takich właśnie okazjach mogłem w pełni docenić szczególne uzdolnienia Hofmanna — pamięć i absolutne opanowanie lewej ręki; potrafił na przykład zagrać z pamięci całą partię lewej ręki w Sonacie Beethovena, podczas gdy ja grałem partię prawej — co jest o wiele łatwiejsze. Zapoznał mnie z twórczością niektórych współczesnych Rosjan, w szczególność zaś Mikołaja Medtnera, którego I Sonata niezwykle przypadła mi do gustu. W tym czasie zaskakiwał nas też czymś innym — przynosił z sobą koncert, który właśnie komponował, i spokojij zasiadał do pracy nad nim, podczas gdy wszyscy rozmawialiś\$ głośno, popijając herbatę — zaiste, szczyt natchnionego skupieii

Gdy minęły już przeszło dwa tygodnie, a od Basi ciągle jeszcze nie miałem żadnej odpowiedzi, byłem do tego stopnia wytrącony z równowagi jej milczeniem, że w krótkich odstępach czasu ^B sałem dwa dalsze płomienne listy miłosne (w porównaniu z ^ ten pierwszy wydawał się wręcz powściągliwy). Zapewniałeftj że bez niej życie straciło dla mnie sens, i ponuro sugerows możliwość samobójstwa... Minął znowu tydzień — i nic.

Aż tu nagle pewnego popołudnia Fryderyk pokazał mi lis siostry, który pisany był — jak twierdziła — na poleceni^ Harmanowie zamierzali wydać uroczystą kolację oraz \J^

112

około dwustu osób i pragnęli poprzedzić to przyjęcie koncertem. QZy Artur — pisała — nie zechciałby przyjechać do Warszawy F zagrać mniej więcej godzinny program? Ojciec z łatwością załatwiłby mu także koncert publiczny. Mógłby zatrzymać się u nas w domu na jakieś dwa tygodnie i wykorzystał wszelkie inne możliwości." Dalej dodawała, że ojciec skłonny jest zapłacić mi trzysta rubli (150 dolarów) honorarium, pokryć koszty podróży, a także zapewnić podobną sumę za występ publiczny.

Wszystko to brzmiało jak typowy list handlowy, pisany przez sekretarkę. Ale pod spodem było jeszcze post scriptum! „Namów Artura!” — te dwa słowa miały całkowicie zmienić tok mego życia. Byłem zdecydowany jechać. Dwa słowa Basinego post scriptum brzmiały dla mnie jak rozkaz, długo oczekiwana odpowiedź na moje listy. Zebrałem się na odwagę i stanąłem przed obliczem profesora Bartha, prosząc go o zgodę. Byłem pewny, że odmówi. Ale nie doceniałem jego szacunku dla pieniędzy. Gdy tylko usłyszał o dwóch honorariach, zachwiał się w swej niezłomności:

— Pozwolę ci jechać, jeśli przyrzekniesz, że przywieziesz całą kwotę, potrąciwszy sobie tylko niewielką sumkę na wydatki osobiste. No i za dwa tygodnie masz być z powrotem.

Pakowałem walizy niemal w ekstazie. Fryderyk zaopatrzył mnie w bilety — kolejowy i sypialny — i zawiózł na dworzec, udzielając po drodze dodatkowych informacji o wszystkich domownikach oraz wskazówek, jak mam się zachować przy pierwszym spotkaniu z jego ojcem.

— Jest bardzo przenikliwy — powtarzał. — Będzie się starał przekonać cię, że nie jestem aż tak utalentowany, jak myślisz, a jednocześnie będzie ci się pilnie przyglądał, chcąc się przekonać, na ile szczerą jest twoja wiara we mnie.

Robiłem, co tylko mogłem, aby go uspokoić, podziękowałem mu za wszystko, po czym serdecznie uściskaliśmy się i ucałowali, dociąg ruszył w kierunku Warszawy. Nadeszła nareszcie tak gorąco przeze mnie upragniona chwila.

Do stolicy Polski dotarłem nazajutrz o siódmej rano i czułem JC nieco skrępowany na myśl, że obudzę Harmanów o tak wczesnej porze. Drzwi otworzył mi ten sam wytworny kamerdyner rany w pasiastą czarno-żółtą kamizelkę, którego pamiętałem z poprzedniej bytności. Polecił młodemu loka językowi odebrać mi walizkę, płaszcz i kapelusz, po czym oświadczył, że pan n]a^ Pragnie zjeść ze mną śniadanie, czy byłbym więc łaskaw na niego w jadalni? „Panie jeszcze śpią” — dorzucił. Mu-Zać> że na myśl> iż mam samotnie stanąć przed obliczem o papy, poczułem porządny strach.

113

• -Fryderyka. Zaskoczył

mmmm

mmmm

nowiedziai- , ,; . i?rvderyK-a, gU.

bardz0

114

młody człowiek, malarz. Przedstawię pana, proszę postarać się być dla niego miłym — powiedziała nagle.

Poczułem się tak, jakby mi ktoś wymierzył potężny policzek. Tak, domyśliłem się natychmiast — był to mężczyzna, którego kochała!

Serce miałem złamane, lecz mimo wszystko kochałem ją. Ostatnią moją nadzieją pozostawała muzyka: Basia — wiedziałem to — lubi, jak gram; muzyka mogła jeszcze być mi orędowniczką. Owszem, postaram się polubić pani przyjaciela — odpowiedziałem chłodno, po czym wyszedłem do sypialni, żeby rozpakować

rzeczy.

Pani Harmanowa pojawiła się dopiero w porze obiadu i uściskała mnie na powitanie; jej mąż także wrócił z biura do domu. Podczas obiadu rozmawiano wyłącznie o przyjęciu i związanych z nim przygotowaniach. Nie otwierałem prawie ust, a zaraz potem udałem się do siebie do pokoju, gdzie pracowałem nad programem aż do chwili, kiedy trzeba się było przebierać; zdecydowany byłem zagrać tego wieczora najlepiej, jak potrafię.

Około dziewiątej zaczęli schodzić się goście, a gdy rozpocząłem koncert, było już grubo po dziesiątej. Nigdy dotąd nie grałem z taką pasją i z takim zapamiętaniem jak tego wieczora; przelałem w ten występ całą rozpacz, a być może także odrobinę nadziei, i wiedziałem, że

odniosłem sukces. Po ostatnim utworze, Scherzu b-moll Chopina, które przygotowałem specjalnie na tę okazję za ledwie na kilka dni przed wyjazdem, słuchacze dosłownie obiegli mnie; wiele pań miało łzy w oczach. Państwo Harmanowie byli oczarowani, a pani Harmanowa wyczuła mnie wylewnie.

Kiedy rozejrzałem się za Basią, zobaczyłem, jak z wielkim ożywieniem rozmawia z jakimś, mniej więcej trzydziestopięcioletnim mężczyzną. We fraku prezentował się bardzo wytwornie, w butonierce nosił czerwony goździk, w oku monokl; miał wygląd klasycyzującego uwodziciela — granatowo-czarne, krótko przystryżone włosy, niewielki wąsik (na modłę angielską), duże usta o bardzo czerwonych wargach, nerwowe nozdrza rasowego konia, słowem — wszystko, co potrzeba! Asia, czując, że jest obserwowana, podeszła wybawić mnie

od moich wielbicieli, po czym zaprowadziła mnie wprost do

„Tędy, gdzie widać \*en Pan» ° którym panu mówiłam — powie-<sup>^</sup>k gdybym sam o tym nie wiedział.

— To wielki artysta  
m' żebyście się- zaprzyjaźnili.  
styCzn y gratulował mi występ, widziałem na jego twarzy sarkazm; wtedy też zauważyłem, że kuleje, potrafił jednorazowo, 2e kalectwo to czyniło go tylko jeszcze bardziej atrak-

cyjnym. Mój nieomylny instynkt podpowiedział mi natychmiast, że nie jest to przelotny flirt, lecz że mam przed sobą kochankę Basi.

Opuściłem ich raptownie i przeszedłem do jadalni, gdzie stał wielki stół zastawiony jedzeniem i picciem. Poprosiłem o wódkę i duszkiem wypłem pięć czy sześć kieliszków, potem przerzuciłem się na wino: czerwone, białe czy szampan — bez różnicy, piłem, co popadło. Naszła mnie głupia myśl, że to okazać się może najprzyjemniejszym sposobem popełnienia samobójstwa. Ale jakimś cudem wciąż byłem zupełnie trzeźwy i tylko coraz bardziej uświadamiałem sobie swój pożałowania godny stan ducha.

Bal trwał do białego rana; gdy chodzi o tańce i picie, Polacy są niezmordowani, a przy tym zawsze potrafią zachować się z właściwą sobie kurtuazją i elegancją manier.

Sądziłem, że ta pamiętna noc będzie moim pierwszym spotkaniem z „warszawską socjetą"; później jednak miałem się przekonać, że określenia tego nie da się precyzyjnie odnieść do gości państwa Harmanów — jedynie przypadkowo zebranych przedstawicieli różnych warstw społecznych; niektórzy wywodzili się z arystokratycznej śmietanki, ale ci pojawiali się bez żon, chyba że tak się składało, iż małżonka okazywała się być aktorką lub dziedziczką wielkiej żydowskiej fortuny; ponadto znajdowało się tu kilku prawników i lekarzy, wszyscy, rzecz jasna, z żonami, oraz paru przedstawicieli świata interesów. Przytłaczającą większość stanowili poeci, pisarze, artyści i muzycy — grono kipiące życiem, ciekawe i atrakcyjne. Nigdy później nie zdarzyło mi się spotkać bardziej czarującej mieszanki towarzyskiej aniżeli owej wie- ! czora, kiedy to po raz pierwszy zetknąłem się z tak zwaną socjetą warszawską, którą słuszniej byłoby nazwać socjetą harmanowską.

14

Dzień po balu — to historyczna data najgorszego w moim „kaca"! Głowa mi pękała, czułem, że żołądek mam spalony na i pióło, tak że przez cały dzień nie byłem w stanie zwlec się z łóżka! Na szczęście moi gospodarze okazali głębokie zrozumienie dla tego pożałowania godnego stanu i traktowali mnie w sposób naturalny bez przesadnego współczucia.

Po kolacji, podczas której nie mogłem nic przekonać, pani Bermanowa i Basia zmusiły mnie, bym akompaniował im do kilkunastu pieśni. Matka miała miły głos i śpiewała z wycuciem, ale w

116

ujawiała pewne niedostatki techniczne; córka zaś była jeszcze debiutantką, choć rokującą nadzieję. Pan Harman nie pojawił się na kolacji, a jego żona tak wyjaśniła mi przyczynę tej nieobecności: „Mąż ma kochankę, baletnicę, z którą spędza wszystkie wieczory w domu jada kolacje jedynie przy szczególnych okazjach.

Muszę przyznać, że taki stosunek do małżeństwa był dla mnie nowością, zacząłem lepiej pojmować cyniczne często komentarze Fryderyka, gdy opowiadał o swojej rodzinie.

Tego wieczora, zanim udałem się na spoczynek, poszedłem za Basią do jej pokoju.

— Ten malarz, którego mi pani wczoraj przedstawiła, to pani kochanek, prawda? — spytałem bez ogródek.



Zarumieniła się nieco i obrzuciwszy mnie gniewnym -spojrzeniem, zagryzła wargi, a potem już zupełnie opanowana odparła:

— Tak, to mój kochanek... A jeżeli panu naprawdę tak bardzo na mnie zależy, to proszę mi pomóc! Będę udawała, że zabieram pana na zwiedzanie miasta, w rzeczywistości zaś pójdę do niego. Pan może sobie robić w tym czasie, co się panu żywnie podoba. Potem spotkamy się w jakiejś kawiarni. Proszę, niech pan to dla mnie zrobi... Proszę!  
W pierwszej chwili miałem ochotę wymierzyć jej policzek, a jednocześnie poczułem, że rumienię się z wściekłości i wstydu.

— No cóż, spodziewałem się takiego ciosu — powiedziałem wreszcie po chwili milczenia. — I już nie chodzi o to, że jestem zazdrosny... Nie mam do tego prawa... Nigdy mi pani niczego nie obiecywała... Ale to coś gorszego. Wiem, że już nigdy nie będę zdolny do tak czystej i tak wielkiej miłości. Zgoda, pomogę pani... Będę idealnym „powiernikiem”, może mi pani zaufać! — i wyszedłem z pokoju.

Nie czułem ani urazy, ani nienawiści. To było coś poważniejszego, co sięgało głębiej: z dnia na dzień jak gdybym dojrzał, wyzbył się wszelkich złudzeń, a choć miałem świadomość tego, że zostałem sam, byłem na tyle zahartowany, by móc udawać obojętność. Chłodny egoizm Basi okazał się zaraźliwy. Kiedy dziś wspominam ten wieczór, jednego wszakże jestem pewien — nic już nigdy nie wywarło takiego wpływu na mój charakter. Z rozdartego miłosnymi cierpieniami „Wertera” po przyjeździe do Warszawy przeistoczyłem się w cynicznego nicponia.

— Zostawała matka, wciąż jeszcze atrakcyjna, kipiąca życiem i wdziękiem, biegle mówiąca po angielsku, francusku i niemiecku. Miała wspaniały smak artystyczny i literacki, a umysł jej otwarty był dla każdej interesującej nowości. Do przesady dychrysty często zapraszała na modne angielskie herbatki młode pisarzy, aktorów i muzyków.

117

ze względu

3

do skutku, mimo trudem, udając, że \*

tylko jedynie o tym

o Berliiina ma b

potem dyszał głęboko zapadł mi w

15

118

o moim pobycie w Warszawie, podejrzewali, że krył się za tym profesor Barth, mimo to mieli do mnie żal, iż nie powiadomiłem ich choćby słowem.

Do Berlina wróciłem punktualnie. Henny uradowała się na mój widok, a Fryderyk umierał z ciekawości, chcąc dowiedzieć się wszystkiego, aż do najdrobniejszych szczegółów, jak spędziłem w jego domu owe dwa tygodnie.

Opowiedziałem mu wszystko. Śmiał się do łez, gdy parodiowałem sposób bycia i głos niektórych doskonale mu znanych osób, ale potem spoważniał nagle i zapragnął usłyszeć, jak ojciec zareagował na moje opowieści i na relację z jego berlińskiego koncertu. Z ulgą przyjął wiadomość o planach dotyczących nas obu (chyba sam w jakimś stopniu przyczynił się do ich powstania).

Opowiedziałem mu też pokrótce o Basi i o moim złamanym sercu, ale nie zdradziłem jej tajemnicy. Profesor Barth przyjął mnie chłodno i natychmiast spytał o pieniądze, gdy zaś wręczyłem mu je w całości, jego stosunek do mnie od razu zmienił się na lepsze; Barth zatrzymał mnie nawet dłużej u siebie, rzucając śmiało pomysły co do mojej przyszłości.

— Za jakiś rok — powiedział — będziesz miał szansę otrzymania posady w Akademii Muzycznej jako asystent jednego ze starszych profesorów, może nawet u mnie!

Milczałem, nie wyrażając ani zgody, ani sprzeciwu, choć jego ciągle podkreślanie prawa do decydowania o mojej przyszłości złościło mnie tylko.

— Na następny sezon nie ma widoków na żadne koncerty, mój chłopcze — ciągnął dalej. — Twój ostatni występ dowiódł, że za mało nad sobą pracujesz.

Przez następne dwa czy trzy tygodnie znów wpadłem w utarty tryb zajęć — lekcja za lekcją, ukradkowe spotkania z Fryderykiem, od czasu do czasu jakaś dobra sztuka lub koncert, choć sezon miał się już ku końcowi. W powietrzu czuć było wiosnę, moi przyjaciele okazywali mi jak zawsze wiele sympatii, może nawet więcej niż zwykle, jak gdyby przeczuwając, że coraz mniej mi

y, j gyy pją, j  
e mnie już z Berlinem i że w rezultacie mogą mnie niebawem  
utracić.

ainie ranka PrzYjechał pan Harman. Fryderyk powiadomił  
u Dr ° tym kartka- \* w imieniu ojca zaprosił na kolację. Jedliśmy ge^sefa na Unter den Linden,  
najlepszej wówczas restauracji 11^ Starszy Pan stara\* sie. nas olśnić, zamawiając wyłącznie  
dania- Dopiero przy deserze zaczął rozwijać swój plan ania warszawskiej orkiestry filharmonicznej;  
koncert od- 0Cywiscie w Warszawie i nie później niż za dwa tygo- być występ galowy na zamknięcie  
sezonu. Dyrygować

119

ie, bym \* rodziną  
wwiadaj „nłudniu miałem profesoR by^ ^^ni^  
^ r,roOOZyCj]

r.-ru.a.-:«-"

120

mi to bardzo potrzebne i podniosłoby mnie to na duchu. Wie pan doskonale, jak bardzo zniechęcił  
mnie miniony rok, a jestem pewien, że jeśli tylko będę mógł samodzielnie stanąć na nogach,  
odzyskam wiarę we własne siły. Tego lata zamierzam zresztą solidnie popracować nad  
poszerzeniem repertuaru — dorzuciłem szybko.

Barth zareagował znacznie gorzej, niż się spodziewałem. Słuchał, nie przerywając mi, z gniewem w  
oczach i kropelkami potu na czole. Jego broda uniosła się jeszcze wyżej niż kiedykolwiek — prawdę  
mówiąc, byłem przerażony, widząc, jak bardzo nim to wstrząsnęło. A potem odezwał się. Z początku  
łagodnie, usiłując zachować spokój, wyłożył mi wszystkie swoje obiekcje.

\_\_Nie jesteś przygotowany do takiego życia — zaczął — a przy  
twoim lenistwie życie w luksusie, bez żadnego nadzoru, całkowicie zrujnuje ci przyszłość.  
Zamierzałem ci zapewnić godziwą posadę w Akademii, gdzie solidnie pracując, mógłbyś z czasem  
zostać profesorem zwyczajnym!

I nagle rozwścieczony krzyknął na mnie:

— Skończysz w rysztoke, niewdzięczny smarkaczu! Przepowiadam ci to, a jeśli wyjedziesz —  
wrzasnął, zrywając się na równe nogi — to lepiej nie wracaj! I nie licz na swoich dobroczyńców.  
Poinformuję ich, że wyjeżdżasz wbrew mojej woli!

Tego było mi już nadto. Poczulem się tak dotknięty, że łzy napłynęły mi do oczu, ale je  
powstrzymałem. Ogromnie zapragnąłem natomiast powiedzieć mu wreszcie wszystko, co od lat  
leżało mi na sercu. Zapomniałem o przerażeniu. Byłem zdecydowany wygarnąć mu całą prawdę.  
Był to jeden z najokrutniejszych postępów, jakich się w życiu dopuściłem. Całkowicie opanowany,  
oświadczyłem:

— Herr Professor, z przykrością stwierdzam, że nic pan o mnie nie wie i nie rozumie pan mojego  
prawdziwego charakteru. Pańskie plany co do mojej przyszłości wiernie odpowiadają wzorcowi  
Pańskiego życia, a to jest coś, na co się nigdy nie zgodzę! Wolę przeżyć jeden pełny i szczęśliwy  
tydzień, a potem umrzeć lub —

a Powiada — skończyć w rysztoke, niż żyć przez długie 3ak ?an" Widze-> Jak Pan całymi  
dniami pracuje bez przy- udzielając lekcji najczęściej mało zdolnym uczniom, nigdy ztec> nigdy nie  
korzystając z rozrywek. Wiem, że bardzo ytrzymawał pan macochę, a teraz siostrę, ale żadne  
11^0 odwagi ożenić się ani wyjść za mąż, bo tak bardzo d ttiuz Siebie nawzajem uzależnieni.  
Nawet pański światopo-ości -ycz.ny ograniczony jest uprzedzeniami oraz brakiem cie-Poniewa2  
^ainteresowań. Oddalił p.an ode mnie doktora Altmanna, \*\*err proforeprezentował to wszystko, co  
nadaje życiu sens. Nie, or> nie chcę zostawać dłużej w Berlinie. Nie chcę być

nie

Was

121

dłużej na cudzym utrzymaniu. Pragną być niezależny. Proszą mi jednak wierzyć, jestem panu  
głęboko wdzięczny za wszystko, co pan dla mnie uczynił, a jeszcze bardziej, o wiele bardziej, za  
miłość jaką mi pan okazywał.

Wybuchnąłem płaczem i złapałem go za ręką, by ją ucałować, ale wyrwał mi ją gwałtownie i  
powiedział z wściekłością:

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

— No cóż, wyjeżdżaj, jeśli musisz, ale pieniądze, którymi dyspo. nują w twoim imieniu, zatrzymam na późniejsze dni, bo teraz byś je tylko w mgnieniu oka głupio roztrwoniał!

— Nie chcę tych pieniędzy i nigdy o nie nie poproszę. Zechce je pan w moim imieniu wypłacić jakiemuś muzykowi znajdującemu się w potrzebie! — odpowiedziałem dumnie.

I to było wszystko. Wyszedłem, wyczerpany do ostatecznych granic i zżerany wyrzutami sumienia. Ten dzień pozostaje, w mej pamięci jak coś, czego się w głębi serca wstydzą.

Wróciwszy do domu, nie mogłem wydusić z siebie słowa, a Henny widząc mnie w takim stanie, bardzo się zdenerwowała; ubłagałem ją wszakże, by zostawiła mnie w spokoju, przyrzekając opowiedzieć o wszystkim, kiedy tylko ochłonę. W pół godziny później rozległ się dzwonek. Profesor Barth oświadczył służącej, że przyszedł porozmawiać z panią Winterową i nie życzy sobie mnie widzieć! Biedna Henny — na nią spłynął cały ten potok gorzkości profesora.

— Powinienem był go zabić za to, co miał czelność mi powiedzieć, ale byłem zbyt osłupiały, by zareagować! — powiedział.

Powtórzył jej swe przemiłe proroctwo, jak to skończę w rysztołu, wreszcie oświadczył, że daje za wygraną, że Winterowie nie powinni mi przeszkadzać w wyjeździe i że nie chce mnie wie; cej widzieć.

Ostatnie dni w Berlinie należały do najbardziej ponurych, spędziłem w tym mieście. Musiałem — a nie było to dla łatwe — złożyć wizytę profesorowi Joachimowi, który jak zawsze okazał mi pełne zrozumienie.

— No cóż, mój chłopcze, wiedziałem, że na to się zanosz — P0" wiedział. — Życzę ci jak najwięcej szczęścia. Staniesz w oblicz" ciężkich prób, jak my wszyscy za młodu, ale wierzę w iP i w twój talent.

Łamiącym się ze wzruszenia głosem podziękowałem temu chętnemu artyście i wybitnemu człowiekowi.

Większość przyjaciół okazała mi wiele sympatii i propono pomoc, choć obawiam się, że wysłuchawszy tylko mojej ^e wydarzeń, skłonni byli niesprawiedliwie osądzać nieszczęsnego?, fesora. Pani Friedlanderowa posunęła się nawet do tego, że ow dziła go i zrobiła mu scenę za „złośliwe i okrutne postępowan^

oWa;

122

Moim trzem protektorom wysłałem kwieciste epistoły z podzie kowaniem oraz powiadomiłem ich, że postanowiłem dalszą przv-szość ując w swoje własne ręce. \* y

I na tym skończył się dla mnie Berlin. W 1904 roku odwróciła się ważna karta w moim życiu!

123

,\_ - •!'-!\*- 'i;-'

III

O własnych siłach

16

Po wielu skropionych łzami pożegnaniach z Henny i z resztą przyjaciół, po wygłoszeniu mnóstwa czczych obietnic, że być może wrócę z nadejściem zimy, byłem nareszcie gotowy do wyjazdu do Warszawy w towarzystwie Fryderyka i jego ojca. Tym razem mój przyjazd przypominał powrót do domu. Wszyscy, nie wyłączając służby, zgotowali mi serdeczne powitanie. Salonik Fryderyka zamieniono w przytulną sypialnię dla mnie. Natychmiast też od nowa poddałem się czarowi podniecającej atmosfery tego domu. Nie potrafiłbym wskazać bezpośredniej przyczyny, ale niezmiernie frapowały mnie stosunki panujące w tej rodzinie wraz z przedziwnymi w niej układami: niekochany, obmierzły ojciec, który czasem potrafił być ogromnie miły; matka ze swą manią śpiewania, lecz także niezwykle wprost towarzyska i gościnna; dwie urocze córki (mężatka bywała tu teraz codziennym gościem) — nie mówiąc już o Fryderyku, który okraszał to wszystko całą swą nieokiełznaną osobowością. Luksusowy tryb życia, wykwinna kuchnia, owe wyprawy do teatrów, po których następowały wesołe kolacyjki w do-aranym towarzystwie — wszystko to, wyznając, powiększało tylko m<sup>o</sup>ją fascynację. Wystarczyło kilka dni takiego życia, aby oszoło-B^Jf1 1-6 do tego stopnia, że zapomniałem o Berlinie, o istnieniu I w" }• \* ° Wszyst^ich niedawnych tarapatach, zacząłem natomiast

Pr ? korzystać z nowo uzyskanej swobody.

I do n < GrylC \* "a z zaPa\*em pogrążyliśmy się w przygotowaniach kreślaSZeg° wyst<\*Pu-

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

Grywałem mu Koncert d-moll Brahmsa, pod- i aJac symfoniczny charakter powiązania fortepianu z orkiestrą, c właściwe tempa i udzielając konkretnych wskazówek, >wać tym pięknym utworem. Jego Fantazja nie spr-tnadności, gdyż znałem ją już na wylot. Oprócz tych vorr>w Fryderyk zamierzał poprowadzić swą ukochaną '60 i Julia Czajkowskiego. Z niecierpliwością oczeki-fconcertu. Odbyliśmy trzy próby. Było to wprost ko-  
127

nieczne, jako że mój przyjaciel wiele jeszcze musiał się nauczyć; gdy chodziło o rytm, ciągle nie był pewien swego, a i pamięć miał zawodną. W czasie jednej z prób zauważyłem, że Emil Młynarski-załamuje rękę z przerażenia.

— Toż to będzie katastrofa! — mruknął. — On nie umie nawet porządnie trzymać pałeczki! Mimo to koncert przeszedł dobrze i obaj odnieśliśmy sukces. Publiczność dopisała. Otrzymałem wysokie honorarium, zostałem też zaangażowany na recital w sali Konserwatorium. Na obu występach obecne były moje siostry Jadzia i Hela, jednak ostro na mnie napadły za moje nikczemne zachowanie w stosunku do rodzi- lny, którą i tym razem pozostawiłem w całkowitej nieświadomości co do swoich zamierzeń. Wkrótce jednak zmieniły zdanie, przeko- l nawszy się, że jestem gościem tak zamożnej i wpływowej rodziny, Ową zmianą frontu poczułem się jeszcze bardziej urażony — milsze mi już było ich oburzenie, i wobec tego starałem się widywać je \* jak tylko mogłem najrzadziej.

Warszawa roku 1904 była miastem czarującym! Polacy nazywali l ją dumnie „Paryżem Wschodu”, i jak się przekonałem, mieli pod-1 stawy do takich przechwałek. Trudno by ją było nazwać miastem! pięknym — z architektonicznego punktu widzenia niezbyt była l interesująca, jednak w powietrzu unosiło się tu coś wyjątkowego: l ulice i parki, domy i pałace, teatry, restauracje i kawiarnie ema-P nowały jakimś nieokreślonym urokiem. Rodowici warszawiacy na-1 leżeli do szczególnego gatunku Polaków. Obdarzeni niezłomnym >-duchem i odwagą, niewyczerpaną siłą witalną i namiętą pasją do zabawy, potrafili stworzyć atmosferę radości i podniecenia, która natychmiast wszystkim się udzielała. Oczywiście, mieli i oni swojej wady — na przykład zbytnią złośliwość, przechodzącą czasem! w kąśliwość, albo nienasyconą ciekawość przy absolutnym brata\* dyskrecji. Byli indywidualistami, przypominali w pewnym sensie paryżan — zawsze gotowych krytykować wszystkich i wszystko

Ale za to kobiety, warszawskie kobiety zasługują na osobny rf dział! W tym miejscu chciałbym jedynie stwierdzić, że — nio» skromnym zdaniem — są to najbardziej pociągające przedsta^ cielki słabej płci na całej kuli ziemskiej! Do niewieściego wdzi\$? i szyku paryżanek dodajmy sławny charme slave, nordycką u» połączmy z włoskim temperamentem i bujnością, a wówczas piero potrafimy wyobrazić sobie typową warszawiankę.

Fryderyk kochał to miasto i jego mieszkańców. Wiedziały z pierwszego pobytu w polskiej stolicy mam nie najlepsze v nienia — oczywiście powodem był dziecięcy wiek i tryb i wówczas prowadziłem. Postanowił więc teraz dać mi posmS prawdziwy czar Warszawy. Wiosna tego roku była cudo»

128

bardzo surowej zimie wybuchła zupełnie nagle. Na drzewach pojawiły się liście w najdelikatniejszym odcieniu zieleni, prześliczny park Łazienkowski przepojony był zapachem bzu i jaśminu, Ogród Saski wypełniała pokrzykująca radośnie dzieciarnia i czule objęte młode pary. Przed kawiarnie i restauracje wystawiono stoliki, przy których tłumy ludzi pograżonych w ożywionej rozmowie sączyły swe napoje. W Alejach Ujazdowskich, najdumniejszej promenadzie Warszawy, -sznur świateł oraz otwarte powozy zaprzężone w rasowe konie, ze stangretem i forsyem w liberii, ukazywały od najlepszej strony towarzyską śmietankę miasta.

Dzięki Fryderykowi stałem się wkrótce częścią tego odurzają- cego świata. Każdy dzień przynosił coś nowego: interesujące obiady proszone u nas w domu, u kogoś ze znajomych lub w wytwornej restauracji, zawsze na cześć jakiejś wybitnej osobistości świata artystycznego, naukowego czy politycznego. Popołudnia poświęcaliśmy muzyce: całymi godzinami grywaliśmy symfonie na dwóch fortepianach albo też akompaniowałem pani domu. Czasem towarzyszyła matce w duecie Basia, Fryderyk zaś, obdarzony przepięknym głosem, śpiewał skomponowane przez siebie pieśni. Wieczory spędzaliśmy w teatrach. Ponieważ żyliśmy w czasach, które nie znały jeszcze radia, telewizji czy kina, jedynym źródłem rozrywki był teatr i cyrk. Teatry warszawskie wręcz uwielbiałem; zwłaszcza Teatr Wielki i Opera były na najwyższym poziomie, niezapomniane występy dawali tu najwięksi ówczesni artyści — Bat-tistini, panna Bellincioni, Anselmi, Caruso, bracia Reszke, panna

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

Sem-brich, sopranistki Korolewicz i Kruszelnicka. Teatr Rozmaitości celował w dramacie klasycznym i w komediach. Niestety, władze carskie zabroniły grać wspaniałe sztuki Mickiewicza i Słowackiego, a ze współczesnych — Wyspiańskiego i Żeromskiego, gdyż ich dzieła zawierały zbyt wiele rewolucyjnej i patriotycznej treści; za to prawdziwą rozkoszą było oglądanie niektórych komedii Fre-iTy> „Polskiego Moliera”, idealnie grywanych przez aktorów, którzy nie mieli sobie równych w świecie.

Najpopularniejsze operetki wiedeńskie wystawiano tu z większą werwą i w wykonaniu nawet lepszych śpiewaków niż w Wiedniu. arsy francuskie nie są z pewnością utworami najwyższych inte-Pr Uflllyck lotów, ale dobry smak, idealna obsada aktorska, uroda, pik Z^ie p^kk\* temperament, u aktorek zaś ponadto odrobina erii, która nigdy nie zniżała się do wulgarności — wszystko

We a\*e°krażało owe błahe i bezpretensjonalne sztuczki w prawdzi- na. diva a ^essa\* — piękna kobieta o wielkim głosie — była ideal- ?^ere^ow^~ Kiedy śpiewała słynnego walca miłosnego Nadi- " erów Oskara Strausa, byłem bliski łez, a jednocześnie oczu 129

nie mogłem oderwać od jej fascynującej urody. Miała naturalny, wrodzony sex ap-peal — nie musiała go podkreślać jak Brigitte Bardot czy Marilyn Monroe. I bynajmniej nie była jedyną, o której można to powiedzieć; pamiętam w rolach subretek Bogorską i Kawecką, stworzenia urocze, cudownie śpiewające i tańczące. Nie mogę przy tym nie wspomnieć mężczyzn. "W operetce działał Redo, doskonały i bardzo przystojny tenor, oraz mój ulubieniec Morozowicz, genialny komik. Trapszo, Winkler i Gasińcki byli gwiazdorama w farsie.

Niech nie dziwi moich nie-polskich czytelników ta feeria teatrów i aktorów z przeszłości. Czuję potrzebę wyrażenia im wdzięczności za ich jedyne w swoim rodzaju osiągnięcia, które wzbogaciły moje młode lata i pozostają wyryte w mojej pamięci i w moim sercu.

17

Po przedstawieniach — podobnie jak za pierwszej mojej bytności — odbywały się uroczyste kolacyjki, w których często brały udział niektóre gwiazdy opery czy teatru. Rosyjski specjał — wą-dzona sieja, podawana z sosem tatarskim, oraz znakomita polska wódka zazwyczaj wpływały ożywczo na atmosferę tych spotkań. Czasem kończyło się na muzykowaniu — któryś z gości śpiewał fragmenty z Don Juana Mozarta lub z Halki Moniuszki, a Fryder lub ja zasiadaliśmy do fortepianu. Nasza gospodyni, pani Magdalena, zawsze upierała się, bym jej akompaniował, twierdząc, istnieje między nami „idealne muzyczne zrozumienie”. Pan zazwyczaj nie brał udziału w tych późnych przyjęciach, gdyż lacię jadał ze swą baletniczką w jakimś cabinet particulier E w restauracji. W tych nielicznych wszakże przypadkach, kie«| wcześniej wracał do domu i udawał się na spoczynek, nieodmi^ nie musiało wydarzyć się coś nieoczekiwanego: późno w nocy, #\*! nasza muzyczno-intelektualna zabawa osiągała punkt kul^ID°. cyjny, nagle drzwi salonu otwierały się, a starszy pan w n^c0; koszuli, z trupio bladą twarzą wykrzywioną grymasem wściekł wrzeszczał co sił swym ochrypłym głosem: „Wynocha, wyn°( wynocha!” — po czym tak mocno trząsknął drzwiami, że przez o° pięć minut trzęsły się kryształowe świeczniki. Kiedy po raz P1 szy byłem świadkiem takiej sceny, zamarłem po prostu z PrZ żenią, ale ku swemu bezgranicznemu zdumieniu stwierdzić

130

obecni przyjmują to z całkowitym spokojem, niemal obojętnie. Wkrótce też dowiedziałem się, że wszyscy dawno już przywykli do tych wybuchów, które stały się nieomal częścią programu. Pani Magdalena zazwyczaj pokrywała wszystko śmiechem:

— Mój mąż jest taki nerwowo! Biedaczek, tak ciężko pracuje... — p0 czyni wracaliśmy do zabawy. Któregoś popołudnia Fryderyk wpadł do pokoju, wołając:

— Arturze, wyobraź sobie, co za szczęście! Właśnie dowiedziałem się, że przyjechał Paweł Kochański! Zatrzymał się u Styczyńskich, a dziś wieczór obaj jesteśmy tam zaproszeni na kolację! Podnieciła mnie ta wiadomość. Fryderyk tyle mi opowiadał o tym bajecznym młodym skrzypku, który pochodził z Odessy, był Żydem i miał mniej więcej tyle samo lat co ja. Odkrył go Emil Młynarski, gdy uczył w Odessie gry na skrzypkach, po czym sprowadził to „cudowne dziecko” do Warszawy i zajął się nim z bezgranicznym oddaniem, traktował go jak syna i dał mu solidne polskie wykształcenie. Chłopiec grał tak znakomicie, że mając lat trzynaście mianowany został przez Młynarskiego pierwszym koncertmistrzem nowo powstałej Filharmonii, ale tylko na przeciąg roku, bo potem Młynarski wysłał go do słynnego Konserwatorium Brukselskiego, gdzie Kochański parę lat

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

studiował. Sam Młynarski wraz z kilkoma polskimi mecenasami sztuki łożył na jego studia w Belgii. Ukończywszy Konserwatorium z odznaczeniem, Kochański wrócił właśnie do Warszawy. Ten krótki szkic biograficzny ogromnie przypominał mój własny życiorys; obaj zostaliśmy właściwie oderwani od naszych rodzin i może nieco za wcześnie skazani na niepewny los artysty. Oczywiście gorąco pragnąłem poznać go wreszcie. O jedenastej w nocy pojechalśmy z Fryderykiem do Styczyńskich — była to jedna z rodzin pomagających Pawłowi w jego karierze artystycznej. Powitali nas trzej młodzi synowie, studenci uniwersytetu. Na Kochańskiego musieliśmy chwilę poczekać. Wszedł i nim jeszcze zywitał się z kimkolwiek, oświadczył, że pani Styczyńska cierpi na ból głowy, przeprasza więc, iż do nas nie zejdzie, i prosiła go, y w jej imieniu pełnił honory domu przy kolacji. ochański był niski i szczupły, miał chude i trochę krzywe nogi, j natychmiast wyczułem w nim ogromny zasób sił witalnych, tacy |^0Wa# by\*a jedną z najwspanialszych i najbardziej fascynu-Podbr"^^6 W życ\*u widziałem — twarz kwadratowa i mocna, dziej ^[ek sPiczasty, nos delikatny, leciutko wygięty. Ale najbar-o icSzt erzaJ3.ce były jego oczy\*— czarne jak węgiel, nieco skośne, mai0Waj e ,migdałów, aksamitne i pełne wyrazu; czasem gdy grał, niesforr> Słę w nick wzruszenie. Głowę pokrywała czarna, falista,

131

yavn\.\_\_powitał  
słyszałem. v  
mnie  
ie po

kolacja

dziewczyną, 132

nie wyrazi zgody na podobny związek. Jej zdjęcie stało u niego na biurku; pamiętam nawet, że nazywała się Helenka Bartosińska, w Warszawie nigdy jednak o niej nie wspominał, nigdy też jej nie widziałem.

Raz, gdy późną nocą wróciliśmy z udanego przyjęcia, na którym była wódka i mnóstwo muzyki, wydusił wreszcie z siebie całą prawdę. Przykra to była historia, ale przynajmniej wszystko się wyjaśniło. Zwierzył mi się, że dotknięty jest chroniczną fizyczną niemocą, wskutek czego niezdolny jest do bliższego obcowania z kobietą. Zacząłem teraz rozumieć jego dziwny zwyczaj — to wzbudzanie u mnie zainteresowania tymi właśnie paniami, które najwyraźniej Ignęły do niego. Robił to nader subtelnie:

— Arturze, czy zauważyłeś, jak urocza pani X. patrzyła na ciebie zeszłego wieczoru, gdy grałeś?

— Nie, za bardzo byłem zajęty muzyką.

— No, więc — upierał się — wyglądało na to, że jest tobą wprost oczarowana.

— Bzdura! Jest zakochana, owszem, ale w tobie... Wszyscy to widzą!

— Nie bądź głupi... Ona tylko udaje. Po prostu próbuje przyciągnąć twoją uwagę. Zrób tylko najmniejszy gest, a sam się przekonasz!

Taka rozmowa zawsze okazywała się niezawodna w skutkach. Natychmiast zaczynałem oblegać ową damę, obsypując ją miłosnymi wyznaniem, a w kilku przypadkach, gdy natrafiłem na namiętny temperament — bitwa skończyła się zwycięsko. Mimo to owe krótkotrwałe sukcesy nigdy nie przynosiły mi pełnej satysfakcji; kończyło się na tym, że siedemnastoletni młodzian często musiał zadowolić się niewdzięczną rolą „cherubinka”. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Wkrótce jednak miałem się przekonać, że jestem w błędzie! Pierwsza aluzja i tym razem pochodziła od Fryderyka:

^ wieczorem matka śpiewała jak w transie, kiedy jej wałeś. Wiesz, Arturze, ona chyba jest w tobie zako-

2 1S Żartu^ Fl>yderyku. Założę się, iż któregoś dnia powiesz jeszcze twój ojciec się we mnie zakochał — roześmiałem

Ale

Prz

ta Ale i

^ bez

°ył poważny.

znam matkę i zapewniam cię, że od czasu tamtej > o której opowiadałem ci w Berlinie, nigdy nie widziałem "" stanie.

przZkUSi0Wałem zbyć wszystko śmiechem, robiłem to jed-onania. Byłem głęboko poruszony jego insynuacjami.

133

Zresztą od jakiegoś czasu sam dostrzegałem zmiany w zachowaniu pani Magdaleny. Choć z natury wesoła i pogodna, teraz stała się nerwowa i niespokojna, co prowadziło do wielu sprzeczek z despotycznym mężem; jedna taka szczególnie niemiła scena rozegrała się kiedyś przy obiedzie, gdy pan Harman wezwał do jadalni kucharza, miłego staruszka, i obraził go, używając nader ordynarnego słownika za jakieś wyimaginowane niedociągnięcia w przygotowaniu posiłku. Dawniej również dochodziło do podobnych scen, ale tym razem okazało się to ponad siły opanowanej zazwyczaj pani Magdaleny: wybuchnęła płaczem, oskarżając męża o okrucieństwo i niesprawiedliwość. Rozwścieczony, zaczął na nią wrzeszczeć, ale chwycił go atak gwałtownego kaszlu. I wtedy stało się coś strasznego: sztuczna szczeka wypadła mu z ust i wylądowała na ziemi! Oniemieliliśmy; nikt nie miał dość odwagi, aby podnieść ów odrażający przedmiot, tak więc starszy pan zmuszony był sam się schylić. Pani domu była bliska hysterii i minęło wiele czasu, nim zdołaliśmy ją uspokoić.

"W porze podwieczorku wszczyniała przykre sprzeczki z córkami, zazwyczaj bez najmniejszego powodu. Jednocześnie całą uwagę skupiała na mnie, okazując przesadną troskę o moje wygody, wypytując codziennie, czy mam czystą bieliznę, i o tym podobne sprawy. Najszczęśliwsza zaś była wtedy, gdy akompaniowałem jej do śpiewu; zdawało się, że tego nigdy' nie ma dosyć.

To było przeznaczenie, to musiało się stać. Któregoś wieczoru, po zakończeniu wzruszającej pieśni Schurrianna Ich grolle nich% ulegając nastrojowi chwili, wzięła mnie w ramiona i namiętnie pocałowała. Nie padło ani jedno słowo. Po prostu wyszedłem z pokoju.

Byłem tak wzburzony, że całą noc nie mogłem zmrzyć oka. Przez głowę przelatywało mi tysiące różnych myśli. Próbowałem przeanalizować nową sytuację: zaczyna się od tego, że była b1 wątplenia kobietą bardzo atrakcyjną, ja zaś niezwykle łatwo ul gałem wdziękom niewieścim. Ale chodziło także o coś innego. Z< wałem sobie na przykład sprawę, że w dalszym ciągu potrzeb\* czegoś w rodzaju matczynej opieki, o czym mnie przekonały n doświadczenia z Henny. Przyszła mi do głowy także inna, \*acZ niezbyt piękna myśl: okoliczności sprawiły, że zająłem w \* domu dominującą pozycję, a to mogło być dla mnie czymś W dzaju odwetu moralnego na Basi, zachowującej się wobec tak wyniośle tylko dlatego, że była o trzy lata starsza; a oto te ogromna różnica wieku nie powstrzymała jej matki od zakocll się we mnie.

Ale na podejmowanie jakichkolwiek decyzji było już za li nieodwołalnie wpadłem w sidła, drogi odwrotu nie było. Nie

134

łem dokąd pójść, a zresztą — last but not least — zbyt byłem słaby, by oprzeć się pokusie.

I tak rozpoczął się długi okres mego życia, atrakcyjny i podniecający, ale z tych samych względów poważnie zagrażający nie tylko mojej karierze artystycznej, ale i uczciwości. Byłby to z pewnością właściwy moment na ingerencję moich rodziców, którzy powinni byli zmusić mnie do powrotu do domu, a potem za wszelką cenę postarać się znaleźć środki na wysłanie mnie choćby do Leszetyckiego do Wiednia czy nawet do samego Busoniego. Ale nic podobnego się nie stało, cała moja rodzina — tak samo jak siostry — zdawała się pochwalać obecny stan rzeczy, i nikt nie zdawał sobie sprawy, że nadszedł czas, kiedy ogromnie stały mi się potrzebne dalsze systematyczne studia.

18

Fryderyk sprawiał wrażenie zachwyconego nowym obrotem rzeczy; wyglądało na to, że spodziewał się takiego właśnie rozwoju wydarzeń, i czułem, że po cichu udziela nam swego błogosławieństwa. Zdążyłem już poznać jego sprytnie posunięcia, podejrzewałem więc, że to on zaaranżował całą tę historię. Matka przypuszczalnie była zadowolona, że znalazła w nim życzliwego powiernika, ale ja czułem się wstrząśnięty i zawstydzony, zwłaszcza gdy po wyjściu ostatniego gościa z przeciągającej się do późna kolacji, w salonie zostawaliśmy tylko my troje, a Fryderyk mówił:

— Dlaczego nie zostaniesz z mamą, Arturze? Ma jeszcze ochotę na muzykę. Pójdę do siebie do pokoju i spróbuję skończyć pieśń, a \*f godzinę wpadnę po was.

Aby dostać się do naszych pokoi, Fryderyk i ja musieliśmy ^J c na dół, przeciąć podwórze i

wejść do drugiej klatki schodo-3- On miał jedyny klucz od naszego mieszkania. Propozycja, że w>mi ! wPadnie, była, rzecz jasna, zwykłym pretekstem dla Rwania Pozorów.

t;SPęci2One ostatnie dni pobytu w Warszawie w połączeniu owyCftym życ^em towarzyskim były bardzo wyczerpujące! Wśród slciego, of rzPaciół pragnę wymienić pana Konstantego Skarżyń-^^resow6?1?11.6^0 z ky\*ą sopranistką Opery, który bardzo się mną ciałekiej pr' zwracałem na niego szczególnej uwagi, ale w nie-'złości znajomość ta miała okazać się dla mnie bardzo

z bo

135

Gdy nadszedł czas wyjazdu do Zakopanego, Fryderyk i ja wyru^B szyliśmy pierwsi, ponieważ chciał mi pokazać Kraków. Przyjechaliśmy wczesnym rankiem i natychmiast po śniadaniu ruszyliśmy na zwiedzanie miasta. To było wielkie przeżycie! Miasto w znacznej mierze nie tknięte zębem czasu, z zachowanymi starymi fortyfikacjami i murami, miało w sobie coś z atmosfery średniowiecza. Wzniesiony na wzgórzu królewski zamek, Wawel, z widokiem na miasto i na Wisłę, był majestatyczną, imponujących rozmiarów budowlą w stylu najczystszej renesansu. W pobliskiej katedrze znajdowały się groby wielu królów Polski.

Nazajutrz wieczorem przybyliśmy do Zakopanego. Zakopane! Już sama nazwa ma w sobie dla mnie coś magicznego. Ileż przywodzi mi na myśl wzruszeń, ileż artystycznych uniesień i depresji ileż marzeń, które później miały stać się rzeczywistością, i doniosłych życiowych decyzji.

Tak, miejscowość ta stała się widownią nieoczekiwanego, no- > wego zwrotu w moim życiu, skoku w nieznanie. "Zakopane było I miejscowością letniskową, dopóki energiczny doktor Chałubiński nie odkrył, że tutejsze czyste powietrze pomaga w leczeniu gruźlicy oraz innych chorób płucnych, i nie stało się wielkim uzdrowiskiem zimowym. Inny lekarz, doktor Dłuski, którego żona była siostrą odkrywczyemu radu, Marii Skłodowskiej-Curie, wybudował na jednym ze wzgórz piękne sanatorium. Rodzina Fryderyka wynajęła obszerną willę na skraju Zakopanego, w miejscu dość odludnym, przy drodze wiodącej w kierunku Giewontu, górującego majestatycznie nad całą okolicą. Kiedy wreszcie przybyliśmy na miejsce, zastaliśmy panią Magdalenę, Basie i służbę już zainstalowane i całkowicie urządzone: wszystko już rozpakowano i położono na swoje miejsce. Na parterze znajdował się salon z fortepianem, jadalnia, kryta weranda, kuchnia? i pokoje służby, a po drugiej stronie hallu wejściowego dwa mniej-~ w\* Basi i jej siostry, która miała przyjechać nazajutrz 1-"q nn lewej stronie, skład\*!

mĘm

na kuracji w

Basia, dos

^Wszystko to stawało się ^ mniejoszm ^ ^^ sdając sobie sprawą z sytuacji, p jętności, służba zaś, w szczególności pokojówka pani Magdaleny, paulina, zachowywała się tak, jak gdyby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem.

Nazajutrz rano przyjechała siostra Basi z rocznym dzieckiem i niańką, ale bez męża. Pola była uroczym stworzeniem. Między siostrami istniało pewne podobieństwo, a różniły się głównie tym, że Pola była ciepła i miękka, Basia natomiast miała w sobie jakąś iście męską szorstkość.

Życie w tej odludnej willi zaczęło komplikować się już od samego początku. W powietrzu wyczuwało się nieustanne napięcie; bez otaczających nas zwykle przyjaciół i znajomych, zdani wyłącznie na siebie, staliśmy się wszyscy przesadnie uczuleni. Chodziliśmy stale podenerwowani. Po paru dniach zauważyłem, że Pola wyraźnie mnie unika — w mojej obecności prawie wcale się nie odzywa, zjawiając się jedynie na posiłki. Siostry stały się nierozłączne, przebywały przeważnie u siebie w pokojach lub chodziły razem na dalekie spacerki, a choć stosunek Basi do mnie nie uległ zmianie, odnosiłem wrażenie, że stara się tylko o zachowanie pozorów. Stosunki między matką a córkami zatruwały częste sprzeczki, niejednokrotnie przeradzające się w sceny z krzykami, płaczem i trzaskaniem drzwiami.

Pani Magdalena zupełnie się tym wszystkim nie przejmowała, kładąc zachowanie Poli na karb jej nowej ciąży.

— Tak samo było, kiedy spodziewała się pierwszego dziecka — mówiła. — Nie sądzę, aby miała coś przeciwko tobie.

Ja jednak nie byłem tego taki pewny.

Nieustanne atencje pani Harmanowej względem mnie przy absolutnym nieliczeniu się z uczuciami pozostałych domowników sprawiły, że znalazłem się w nader przykrych sytuacji. Fryderyk usiłował zachowywać się naturalnie, ale nie bardzo mu to wychodziło; tak był zaabsorbowany



## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

komponowaniem cyklu pieśni, że często nawet późną nocą przychodził do mnie po radę, a nie zastawszy mnie w pokoju, pukał po prostu do apartamentów matki. wreszcie miałem już tego dość. Popadłem w taką depresję, że Postanowiłem zabrać się solidnie do pracy nad fortepianem. Ran-

\*jm lubiłem chodzić na dalekie spacer. Okolica była czarująca — w \*p Bystry z szumem spadał z gór, tocząc swe przezrocyste ^y po skałach i kamieniach, a pstrągi i inne ryby lśniły w pro-pOrniacn słońca jak srebro. Ciemne lasy pełne strzelistych sosen ^yśT łaS°dne dookolne zbocza. Kształty gór przywodziły na 2cja Czafodziejski świat baśni; tajemnicze i dalekie, obcym góry n^ Y sie niedostępne, lecz nie były takie dla swych synów, ' i niezwykłego plemienia, które w odróżnieniu od żyło z nimi w bliskiej więzi. Smukli i wysocy,

137

136

kościach  
rooglem

|

sor

wmmm

cza gdy »wi\*«« ^ial0 t0 doskonale > tyl ^ ^ ^.

drze pon^g^e^SOs°n J przenośnym i muzy niedostatki — w » uj^ć na sucho.

'  
19

pewnej nocy, zaniepokojony jakimiś podejrzanymi odgłosami W ogrodzie, wyjrzałem ostrożnie przez wąską szparę w okiennej zasłonie i zobaczyłem tuż przed wejściem do willi dziwną postać wysokiego mężczyzny w długiej czarnej pelerynie i naciągniętym na głowę kapturze. Ze wstydem przyznaję, że przeraziłem się śmiertelnie. Poetyckie legendy o okrutnych zbójnikach tatrzańskich nagle stały się rzeczywistością, grożąc zakłóceniem spokoju mojej nocnej pracy. Pospieszyłem do swego pokoju i z okna widziałem, iak nieznajomy ginie w ciemnościach. Nazajutrz moją opowieść 0 tym wydarzeniu przyjęto z niedowierzaniem.

\_\_\_ Z pewnością był to wytwór pańskiej wyobraźni — orzekła gasja — Od czasów Tetmajera nigdy nie było tutaj żadnych zbójników.

Wszyscy inni także mnie wyśmiali, ale następnej nocy znów go zobaczyłem, stał tuż pod oknami salonu, tym razem jeszcze dłużej — widziałem go tam nawet wtedy, gdy położyłem się do łóżka.

Tego było mi już nadto. Kolejnego wieczora, widząc, jak postać ostrożnie skrada się pod okno pokoju muzycznego (Fryderyk

1 służba stali w pogotowiu na wypadek niebezpieczeństwa), otworzyłem drzwi do ogrodu i z sercem walącym z przerażenia zawołałem:

— Co pan tam robi? Czego pan chce? Kim pan jest? Przestraszony głos odparł uprzejmie:

— Kocham muzykę i przychodzę posłuchać pańskiej gry. Ale jeśli to panu przeszkadza, pójdę sobie i nie będę pana więcej niepokoił.

Wszyscy, nie wyłączając nieznajomego, wybuchnęliśmy radosnym miechem, a Fryderyk zaprosił go do środka, aby napił się herbaty 1 Poznał rodzinę. Groźne widmo okazało się młodym studentem

medycyny Bronisławem Gromadzkim, skrzypkami-amatorem;

d U2awetgradzie na Ukrainie chodził on do szkoły wraz z mło- a k+A polskim kompozytorem, którego określił mianem geniusza,

^ory nazywał się: Karol Szymanowski.

rzePisałem kilka jego etiud i preludiów — dodał — a także yPC°Wą' która- mi dedykował. Czy mógłbym je państwu

nieJednokrotnie już rozczarowałem się tak zwanymi prami\ protekcyjnie skinałem głową i powiedziałem:

teraz, jak sam pan słyisał, nad bardzo poważnymi

139

6 nam  
utwarki

^ smutkiem: eż  
adzki odpa" strgclł 0]Ca.  
ytorowi,  
aa  
wskiego

łem o ogromnym wrażeniu, jakie wywarła na mnie jego muzyka, jak ożywczo podziałała po okresie zniechęcenia, jak bardzo pokrewne są nasze instynkty muzyczne oraz że palę się do poznania go, do wymiany myśli. Był to jeden z najdonioślejszych, najbardziej naglących listów, jakie w życiu napisałem.

W owym czasie zawarliśmy znajomość z letnikami, głównie z Warszawy i Łodzi, którzy słuchali mojej gry lub też dowiedzieli się o mnie i ogromnie interesowały ich moje plany na przyszłość. Zniecierpliwiony tymi ciągłymi pytaniami, a pragnąc jednak zaspokoić ich ciekawość, zacząłem udzielać następującej odpowiedzi: „Wybieram się do Paryża”. Był to najczystszy wymysł, i równie dobrze mógłbym mówić, że wybierani się do Timbaktu. Jakież więc było moje zdumienie, gdy pewnego ranka pani Magdalena pokazała mi list od pana Konstantego Skarżyńskiego, tego samego, któremu w Warszawie moja gra tak przypadła do gustu. Pisał z Paryża: „Dla młodego Rubinsteina mam bardzo interesujące wieści. Tutejszy knpresario, pan Gabriel Astruc, założył Societe Musicale, chcąc zaprezentować paryskiej publiczności nową muzykę i nowych muzyków — i jest to przedsięwzięcie na wielką skalę. Właśnie podpisał pierwszy kontrakt z polską klawesynistką, Wandą Landowską. Mam wrażenie, że chętnie zaangażowałby młodego Rubinsteina, więc może udałoby się Pani nakłonić tego młodego człowieka, aby przyjechał do Chaville i spędził z nami ze dwa tygodnie? Jestem przekonany, że znajdę sposobność przedstawienia go panu Astrucowi, a także kilku innym znaczącym muzykom paryskim”.

Był to dla mnie grom z jasnego nieba. Moje rzucane na wiatr słowa stały się ciałem — zakrawało to niemal na cud! Wiadomość wywarła wrażenie na wszystkich domownikach. Nie tracąc chwili, zacząłem snuć różne plany — zbyt byłem podniecony, aby myśleć

o czymkolwiek innym. Palącą kwestią stało się teraz zdobycie pieniędzy!

Za nic w świecie nie chciałem pożyczać od Fryderyka, który Miałby przecież zwrócić się o pieniądze do matki. Jedyne, co zostawało, to zorganizować koncert w nadziei, że publiczność nafięciła się na niego — to z ryzykiem, ale nie miałem wyboru. Wy-em w hotelu „Morskie Oko” dużą salę, jedyne nadające się do tego celu pomieszczenie w Zakopanem. Koncert miał się odbyć za f° ' co d° repertuaru — to byłem na tyle bezczelny, że go wy^czn^e z „prawykonań”, to znaczy utworów, nad Pracowałem- I ty111 razem szczęście mi dopijało. .prawie wyprzedana. Zakopiańscy letnicy okazali się 1 ciekawi moich postępów.

141

20

depeszą

odpowiedzi

zapowiadając

mój list Karol Szymanowski przysłał krótką

że tego a tego dnia, o tej a tej godzinie

przybędzie do Zakopanego i ma nadzieję, że mnie tam jeszcze zastanie.

Fryderyk i jak udaliśmy się na dworzec, po drodze przyłączył się do nas Gromaazki i w ogromnym podnieceniu czekaliśmy razem na przybycie pociągu. I oto stanął przed nami wysoki, szczupły młody człowiek. Wyglądał na więcej niż swoje dwadzieścia jeden lat. Ubrany był na czarno, wciąż jeszcze w żałobie, a w meloniku i rękawiczkach bardziej przypominał dyplomatę niż muzyka. Jego piękne, wielkie szarobłękitne oczy miały smutny, inteligentny i niezwykle czuły wyraz. Podeszedł do nas, lekko utykając, serdecznie, ale bez wylewności przywitał się z przyjacielem, a nasze gorące powitanie skwitował uprzejmym, choć powściągliwym uśmiechem. Miał zamieszkać razem z Gromadzkim, który zawiózł go do domu, ale później obaj przyszli do nas na obiad. Przy stole Szymanowski nie czuł się zbyt swobodnie; wyraźnie drażniły go wysiłki Poli i Basi, które za wszelką cenę chciały go oczarować, a także wścibstwo pani Magdaleny w połączeniu z jej nieukrywaną zazdrością o Fryderyka. Szymanowski opowiadał o Festiwalu w Bayreuth, ale czynił to w sposób powściągliwy. Po obiedzie, wymawiając się koniecznością dopilnowania szczegółów w przygotowaniach do koncertu, udałem się wraz z naszymi gośćmi do „Morskiego Oka”, gdzie usiedliśmy przy kawie i koniaku. I tu wreszcie kompozytor otworzył serce. Powiedział, że to mój list

skłonił go do przyjazdu do Zakopanego, że słyszał mnie w Warszawie na jed-nym z koncertów, że marzy o pokazaniu mi swych najnowszy\* utworów i że pragnąłby, abym to ja je wykonywał. Głos mi& miękki i przekonujący, a w oczach ocienionych szerokimi brwi mi było wiele ciepła. Wtedy właśnie, ku mojej radości, poznałeś go jako człowieka! To było udane popołudnie. Przyjąłem jego 2 proszenie na wspólne spędzenie wieczoru.

— Czy mam poprosić Fryderyka, aby się do nas dołączył? spytałem.

— Nie, wolałbym nie — odparł z ociąganiem — jeżeli to « we, rzecz jasna. Odniosłem wrażenie, że on i ja niewiele B z sobą wspólnego, zarówno w życiu osobistym, jak i w sprawach muzycznych — dorzucił.

oSj

Wyczułem to od pierwszej chwili spotkania na dworcu. Za1

142

się na to, że będę miał z tego powodu pewne trudności. Znalazłem jednak pretekst, by tego wieczora pójść do nich bez Fryderyka, powiedziałem, że zamierzają zabrać mnie do jednego z przyjaciół Karola Szymanowskiego, młodego poety, pisarza i malarza spotkanego w „Morskim Oku”, który chciałby narysować mój portret; nazywał się Stanisław Witkiewicz. W rzeczywistości nie chodziło, rzecz jasna, o żaden portret; po prostu siedzieliśmy, pijąc i rozmawiając. Witkiewicz zresztą od pierwszej chwili zafascynował mnie, natychmiast też wyczułem, że on, Karol i Gromadzki — to towarzystwo, które najbardziej przypada mi do serca! Nagle uświadomiłem sobie z całą wyrazistością, jak duszna panuje w willi atmosfera, ile w niej nieudomowien i wymuszonej najczęściej wesołości, pokrywającej tyle posępnych, chorobliwych namiętności.

W towarzystwie tych trzech młodych ludzi czułem powiew świeżego powietrza — prawdziwą młodość i autentyczne siły vitalne. Wkrótce staliśmy się nierozłączni. Dość często wpadali do willi, czasem zostawali na posiłku, ale po uprzejmej rozmowie ogólnej gromadziliśmy się we czwórkę wokół fortepianu i wszczynaliśmy ożywioną wymianę poglądów na temat tego czy innego kompozytora, przy czym każdy starał się dowieść własnych racji. Miałem wtedy swoje wielkie chwile, mogąc wykazać się pamięcią, i ku radości Szymanowskiego grywałem Wagnera, Brahmsa, Skriabina, a także opery i symfonie. Przy takich okazjach Fryderyk jakoś pozostawał na uboczu. Jego często dowcipne, ale nazbyt ostre i kąśliwe uwagi o rozmaitych kompozytorach i wykonawcach nie znajdowały w nas odzewu; nie umiał też dostosować się do atmosfery naszych rozmów. I tak stopniowo stawał się coraz rzadszym gościem na naszych spotkaniach. Jego nową pasją był teraz młody rzeźbiarz, rodowity góral, chłopiec bardzo przystojny i utalentowany. Fryderyk dostrzegał zachodzące we mnie zmiany, ale mimo swej zazdrości wykazywał subtelne zrozumienie dla moich tęsknot za normalnym i zdrowym życiem artystycznym. Jego matka również usilnie starała się ukryć zniecierpliwienie z powodu moich częstych nieobecności, była jednak na tyle inteligentna, żeby się nie wtrącać. Oja nocna praca czyniła stałe postępy, niebawem też byłem przy-D owany do koncertu i wyjazdu do Paryża. Życie zaczynało mi \* rysować w jaśniejszych barwach.

143

21

Koncert w „Morskim Oku” zakończył się sukcesem. Grałem głównie utwory z opracowanego ostatnio repertuaru, których jeszcze dokładnie nie przetrawiłem, ale w występ włożyłem tyle ognia i zapału, że brak szlifowania nie rzucał się zbyt w oczy. Tak czy inaczej, miałem już teraz pieniądze na Paryż; postanowiłem więc wyjechać możliwie najszybciej.

Była to długa podróż: nocnym pociągiem do Krakowa, potem przesiadka na Berlin, a stamtąd jeszcze jedna noc do Paryża. Szymanowski, który wybierał się do domu, do swego rodzinnego majątku na Ukrainie, postanowił towarzyszyć mi do Krakowa. Tak więc w kilka dni po koncercie pani Magdalena i Fryderyk odwieźli mnie na dworzec. Pożegnanie odbyło się w dość pogodnym nastroju. Spodziewali się, iż niebawem powrócą do Warszawy, nie bardzo bowiem wierzyli, że mój paryski gospodarz zdoła dopomóc mi w karierze artystycznej.

Karol i ja znaleźliśmy w pociągu wolny przedział, co pozwoliło nam ułożyć się na noc. Kiedy jednak pociąg ruszył, zdarzyło się coś dziwnego: nagle rozplakałem się. Opanował mnie niepokojony i wprost atak płaczu i przez długi czas nie mogłem się uspokoić. Dawałem upust wszystkim nagromadzonym troskom: zerwaniu z Barthem, które poruszyło mnie głęboko, niepokojowi w związku z przerwaniem studiów, ale tym, co przyprawiało mnie o największe rozgoryczenie, była owa niebezpieczna magia rodziny Fryderyka, której uległem na podobieństwo Tannhausera w grocie Wenus!

Nigdy nie zapomnę uroczej troskliwości, jaką Karol otoczył mnie owej nocy; bez słowa podłożył mi

pod głowę swój płaszcz i niezgrabnie, lecz z czułością okrył mnie jakimiś gazetami. „Będzie ci cieplej” — powiedział. Tej nocy zrodziła się nasza dozgonna przyjaźń; nazajutrz pożegnaliśmy się gorącym braterskim uściskiem.

Do Berlina dotarłem późnym popołudniem. Padał deszcz, for szaro, miasto sprawiało posępne wrażenie. Miałem dwie godziny; czasu między pociągami, zatrzymałem więc dorożką i kazałem wieść się powoli koło domów Henny, Bartha, -pension de jamille Frj ryka; czułem się jak przestępca, którego ciągnie na miejsce zbro< Późnym wieczorem opuszczałem Berlin z westchnieniem i ze ściśniętym sercem na myśl o Paryżu i czekających przeżyciach. Około północy, gdy zatrzymaliśmy się na jakiejś

144

stacji, do mego przedziału wsiadło kilku młodych Francuzów; zafascynowała mnie płynność i wdzięk, z jakim mówili swym macierzystym językiem: wtedy to po raz pierwszy usłyszałem, jak brzmi francuski wymawiany z należytym akcentem.

O dziewiątej rano pociąg zatrzymał się na Gare de l'Est, dworcu ciemnym, cuchnącym i brudnym. Żeby dotrzeć do Chaville, musiałem pojechać na inny dworzec, St. Lazare, trochę mniej odpycha-ający, i tam wsiąść do dymiącej, obskurnej kolejki podmiejskiej, która miała zawieźć mnie do celu. Jadąc niemal cały czas tunelami, zupełnie nie widziałem miasta, tak że gdy wreszcie znalazłem się na maleńkiej stacyjce Chaville, byłem nieco zniechęcony. Hrabia Skarżyński oczekiwał mnie:

— Witam w Paryżu — powiedział wesoło. — Pozna pan najpiękniejsze miasto świata — po czym pomagając mi nieść walizki, zaprowadził mnie do swego eleganckiego landa. Pojechaliśmy do jego willi-

Dom, który hrabia nazywał willą, był raczej nieduży, z malutkim ogródkiem od frontu, i znajdował się przy głównej ulicy niewielkiego przedmieścia w otoczeniu wielu podobnych domków. Zaprowadzono mnie do małego ciemnego pokoiku ze staroświecką, groźnie wyglądającą umywalką; po spieszonych, choć dość niełatwych ablucjach, przebrałem się i zszedłem do jadalni, gdzie pani Skarżyńska czekała na nas ze śniadaniem. Zaimponowała mi, lecz i nieco przestraszyła swym wyglądem. Twarz zdradzała ślady minionej urody, lecz jej ogromny biust oraz brzuch tworzące niemal linię prostą były tak nielitościwie ściśnięte potężnym gorsetem, że wyglądała, jakby lada chwila miała pęknąć z hukiem! W młodości była śpiewaczką operową, nader uroczą i pełną życia; niebawem zorientowałem się, że to właśnie ona zwróciła uwagę w Warszawie na mój talent i zainteresowała się moją osobą.

— Po obiedzie — powiedziała — mąż pokaże panu Paryż, a jutro zaprowadzi piana do monsieur Astruca.

Tak więc wczesnym popołudniem hrabia Skarżyński i ja udaliśmy się do serca Paryża. Na placu de la Concorde zatrzymał Powóz i zaprowadził mnie pod obelisk stojący pośrodku tego je ynego w swoim rodzaju placu, skąd można podziwiać cztery c.,JpiCkniejsze w świecie perspektywy: na prawo Madeleine, kośnych którym odbył się pogrzeb Chopina; na lewo Izba Deputowa-ujj.' ODa gmachy w czysto klasycystycznym stylu; przede mną któ /CZne Pola Elizejskie kończące się Łukiem Tryumfalnym

któ

ry

Elizejskie kończące się Łukiem Tryumfalnym, s^3pany w różowym i czerwonym świetle zachodzącego TuieH ^\Wa\* jakby w powietrze; za mną urocze tarasy ogrodów Lu rowac\*za.ce wprost do potężnych i dostojnych gma-

145

22

starzej]. 146

długi, wąski, mocno zakrzywiony nos, czarną jak węgiel, starannie przystrzyżoną brodę i wąsy. Nie tracąc czasu na długie wstępy czy pytania o moje wykształcenie i studia, uściśnął mi dłoń i zawołał do zdumionego Skarżyń-skiego:

— Czy jutro po południu mógłby pan przyprowadzić tego młodego człowieka do wytwórni fortepianów Pleyela? Zbiorę kilku znakomitych muzyków, by posłuchali jego gry, a po tym przesłuchaniu odpowiednio ułożymy dalsze plany!

Wyraziliśmy, oczywiście, zgodę i pożegnaliśmy się w nastroju pełnym nadziei.

O jedną przecznicę za Pavillon de Hanovre znajdował się Place de l'Opera ze sławną „Cafe de la

Paix" na rogu Boulevard des Capucinas. Z niejakim trudem znaleźliśmy mały stoliczek na rozległym tarasie i zamówiliśmy herbatę; oczu nie mogłem oderwać od tego jedyne go w swoim rodzaju, fascynującego życia, jakie toczyło się wokół mnie. Był to rok 1904; bulwary stanowiły jeszcze wówczas prawdziwe serce Paryża. Na tych historycznych ulicach skupione były wielkie teatry, najlepsze restauracje i kawiarnie.

Chodniki były zatłoczone. Intrygowały mnie zwłaszcza szybko biegnące po ulicach, pełne życia paryżanki, które leciutko, koniuszkami trzech palców unosiły z jednej strony długie do ziemi spódnice; twarze okrywały im woalki, a na głowach nosiły wielkie ozdobne kapelusze. Może właśnie w tej chwili się śpieszyły na jakieś romantyczne rendez-vous? Młode pary przechadzały się, ciasno splecione; jlaneurs, paryska odmiana „szlifbruków” — szukali przygód; zdawało się, że nikt tu nie wie, co to pośpiech. Konne omnibusy, powozy i dorożki jeździły tam i z powrotem; drzewa zaczynały już zrzucać złociste liście. Łagodny jesienny powiew drażnił nozdrza zapachem perfum pomieszanym z ostrą wonią koni. Takie było moje pierwsze zetknięcie z paryskim życiem ulicznym, tore fascynuje mnie nieprzerwanie aż po dzień dzisiejszy. Nazajutrz wyjechaliśmy z Chaville dość wcześnie, obiad zjedli-my w pary2;U) w starej „Brasserie Universelle” przy Avenue de ró.pera> gdzie po umiarkowanych cenach podawano ze dwadzieścia znych odmian hors d'oe.uvres. Skarżyński starał się, jak mógł, st . na to popołudniowe spotkanie udał się w odpowiednim na-zale ' w\*ec\*ział, jak bardzo jestem zdenerwowany i jak wiele Przecf °^ te^° Przeslucnama- Na najbliższą przyszłość nie miałem \Vy.ez,zadnych innych widoków.

Przy j>\_Oni\*a fortepianów Pleyela wówczas mieściła się jeszcze evard Rochechouart. Kiedy czekaliśmy na pana Astruca >znakomitych" muzyków, pokazano nam salę, w której  
147

Chopin zwykł był występować na swych rzadkich koncertach; jego fortepian stał na podium. — Proszę, niech pan zagra na nim kilka taktów — zaproponował pan Lyon, aktualny właściciel wytwórni. — Przekona się pan, jakie piękne brzmienie wciąż jeszcze ma ten instrument. Miał słusność: z nabożeństwem położyłem dłonie na tej uświę. conej klawiaturze. Ktoś przerwał nam:

— Panowie czekają już w salonie.

Monsieur Astruc przywitał nas zachęcającym uśmiechem i przedstawił reszcie obecnych. Było ich tylko trzech: Paul Dukas — kompozytor, autor Ucznia czarnoksiężnika, sławny skrzypek Jacques Thibaud oraz mało jeszcze wtedy znany Maurice Ravel. Z ulgą stwierdziłem, że nie było wśród nich żadnego zawodowego pianisty.

Thibaud przypomniał sobie nasz berliński obiad i ucieszył się z ponownego spotkania ze mną. Dwaj pozostali zachowywali się jak sędziowie przysięgli na rozprawie; w milczeniu czekali na mój występ. Jednakże obecność Thibauda przywróciła mi wiarę we własne siły. Przypomniałem mu jego wspaniałą interpretację Koncertu Brucha w Berlinie, podszedłem do fortepianu i zagrałem; potem przeszedłem na Koncert skrzypcowy Mendelssohna i przypomniałem mu fragmenty, które tak wzruszająco odtwarzał.

Ten niespodziewany gambit rozproszył chłodną obojętność pozo- ; stałych i wzbudził żywe zainteresowanie. Poznali teraz, że jestem muzykiem, a nie tylko siedemnastoletnim początkującym pianistą Zagrałem później toccatę Bacha, jedną część którejś sonaty Beetho vena i trochę Chopina — nie za dobrze, ale podbiłem ich serca Jednomyślnie chwalili mój talent, przepowiadali mi wielką przy szłość i w niedwuznacznych słowach radzili panu Astrucowi, aby się mną zaopiekował. To było właśnie to, o co mu chodziło i czego się spodziewał — z miejsca zaproponował mi kontrakt.

W dorożce, która wiozła nas z powrotem do Pavillon de Hanovre, komentowaliśmy — Astruc, Skarżyński i ja — różne aspekty przesłuchania. Znalazłszy się wreszcie w gabinecie Astruca, przystąpiliśmy do poważnej dyskusji nad kontraktem. Co do mnie — prag' nąłem tylko jednego: zagwarantowania miesięcznego honorarium jako zaliczki na poczet przyszłych zarobków. To by mi dało zab# pieczenie — rzecz, której w Berlinie zazdrościłem Fryderykowi njj bardziej. Astruc skłonny był się zgodzić. Zaproponował rai i franków miesięcznie (wówczas 100 dolarów) na okres pięciu 1 Inne klauzule kontraktu były dość ciężkie. Astruc żądał 60 proc wpływów z koncertów organizowanych na jego ryzyko, a 40 cent w przypadku zaangażowania mnie gdzie indziej. Ale na \* wygórowane żądania nie zwracałem większej uwagi: dla mnie ne było te 500 franków, lśniące jak pięćset gwiazd na niebie'-

Tak więc przystałem z radością na wszystko, co proponował, tfałował mnie w oba policzki i powiedział:

— No cóż, mon petit, teraz pozostaje panu już tylko wrócić do polski i postarać się o podpisanie kontraktu przez oboje rodziców. Kontrakt musi być uwierzytelniony u notariusza i u konsula francuskiego w Warszawie. I proszę wracać z tymi papierami jak najprędzej; musimy szybko zaplanować naszą kampanię — dorzucił, przeszedł mnie zimny dreszcz. Od czasu zerwania z Barthem rodzice nie dostali ode mnie żadnej wiadomości. Trzymałem ich w kompletnej niewiedzy co do miejsca swojego pobytu, a teraz mieli mnie w rękę: od nich zależała decyzja o mojej przyszłości! Cała moja radość uleciała. Co gorsza, w obecności Astruca i Skarżyńskiego musiałem trzymać fason. Nie mieli przecież najmniejszego pojęcia o moich sprawach rodzinnych, w przeciwnym wypadku — Bóg jeden raczy wiedzieć, co mogliby postanowić. Postanowiłem pozostać w Paryżu do końca dnia. — Chciałbym pospacerować samotnie po mieście, może wpadnę na przedstawienie do Comedie Francaise, a potem ostatnim pociągiem wrócę do Chaville. Proszę się o mnie nie martwić.

Hrabia Skarżyński uznał za rzecz całkiem naturalną, że pragnę uczcić ten radosny dzień, podczas gdy ja odczuwałem jedynie nagłą potrzebę samotności — musiałem zdecydować się, co robić. Dość długo łąziłem po ulicach, wciąż bijąc się z myślami — czy narażać się na bardzo prawdopodobną odmowę ze strony rodziców, czy też ze wszystkiego zrezygnować?

Po długim spacerze, w trakcie którego rozważyłem wszystkie pro i contra, podjąłem wreszcie decyzję — pojedę do Łodzi walczyć o swoje! Pełen dobrych myśli, pożywiłem się nieco w jakiejś kafejce i poszedłem do Comedie Francaise, gdzie z balkonu obejrzałem Les affaires sont les affaires pióra Octave'a Mirbeau z cudownym de Feraudy w roli głównej. Sztuka o pozbawionym wszelkich skrupułów człowieku interesu do reszty ukołła moje nerwy; zdałem sobie sprawę, że bywają znacznie gorsze niż mój dylematy. ° o willi wróciłem więc z nadzieją w sercu.

23

PrZepr MaSdalena z resztą rodziny była już znów w Warszawie; ^ f \*\* s^ do nowego mieszkania przy modnych Alejach  
azdoto f. \*\* s^ do nowego mieszkania przy modnych Alejach xc"- W liście z Paryża zawiadomiłem ją o kontrakcie

149

i zapowiedziałem swój przyjazd za kilka dni. Bezwłocznie odpowiedziała depeszą, w której zapraszała mnie w imieniu męża i własnym, abym zatrzymał się u nich w domu. Spędziwszy jeszcze tydzień u Skarżyńskich, którzy wychodzili z siebie w okazywaniu mi przyjaźni i gościnności — hrabia pałał dumą z sukcesu odniesionego przez jego protegowanego — postanowiłem przyjąć zaproszenie Harmanów. Chciałem zasięgnąć ich rady w sprawie uzyskania owych straszliwych podpisów.

Podróż pociągiem z Paryża do Warszawy zajęła mi trzydzieści sześć godzin: dwie bezsenne noce i jeden dzień w zatłoczonym przedziale drugiej klasy. Przyjechałem w stanie skrajnego wyczerpania, ale widok czekającego na mnie na dworcu Fryderyka przywrócił mi życie. Powitał mnie gorąco, jak za dawnych czasów. Zakopane poszło w niepamięć, a nasza przyjaźń zdawała się równie świeża jak niegdyś. W drodze do domu zarzucił mnie pytaniami o wrażenia z Paryża; zawstydziłem się mego zakopiańskiego postępowania w stosunku do niego. W nowym mieszkaniu cała rodzina przywitała mnie wspaniale. Papa oświadczył z namaszczeniem:

— Wygrał pan pierwszą bitwę w swojej karierze; ma pan teraz przed sobą wielką przyszłość!

Pani Magdalena uściskała mnie i nawet Basia okazała pewne wzruszenie. Kiedy opowiedziałem o trudnościach, jakie mnie czekają w Łodzi, zaczęto się oburzać:

— Rodzice stracili prawo do ingerowania w pana sprawy. To i jedyna niezwykła okazja i nie wolno panu z niej zrezygnować.

A ojciec Fryderyka dodał:

— Jeśli będzie pan potrzebował pomocy, zawsze może pan n mnie liczyć.

Harmanowie zajmowali całe piętro w nowiułtkiej kamienicy, w budowanej przez rosyjskiego handlarza kawiozem. Dom nie pasował do pozostałych budynków przy tej eleganckiej alei. Mieszkanie miało obszerniejsze pokoje recepcyjne i dogodniejszy rozkład pozostałych; wyglądało bogato, ale chłodno. Tym razem ulokowali zostałem w autentycznym pokoju gościnnym, z dała od pozostałych sypialni, co w tych okolicznościach uznałem za rzecz dogodi Pewne układy w ich starym mieszkaniu pozostawiły mi raczej &1 miłe wspomnienia.

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

Napisałem do rodziców, zapowiadając przyjazd. Pociągiem z V szawy do Łodzi jedzie się niecałe dwie godziny, ale mnie wydawały się one wiecznością. Na dworcu zebrali się rodzice i ^e a powitano mnie — jak zawsze — pełnymi podniecenia okrK\* pytaniami i zamieszaniem; tak więc natychmiast poczułem stem w domu.

Później, gdy znalazłem się tylko z ojcem i matką, stało stf

?

150

niepojętego: ojciec rozplakał się jak dziecko. Nigdy nie widziałem aO w takim stanie, poczułem się jak zbrodniarz. I daremnie próbowałem później wymazać to z pamięci.

potem się uspokoił; zaimponowała mu propozycja Astruca i ku memu zdumieniu wyraził gotowość dopełnienia warunków prawnych, koniecznych, aby kontrakt nabrał mocy prawnej. W trakcie składania podpisów matka nagle zaczęła robić trudności, słysząc, że dokument ten da mi legalne uprawnienia osoby dorosłej. Ojciec przekonał ją jednak, że nie mają prawa stawać na drodze mojej kariery artystycznej.

Wróciłem do Warszawy z dokumentami w portfelu, lecz też z pewnym poczuciem winy wskutek łatwości, z jaką osiągnąłem zwycięstwo.

W Warszawie czekały mnie niespodzianki. Rodzice Basi postanowili wysłać ją do Paryża do sławnego polskiego tenora, Jana Reszke, na naukę śpiewu; zawieźć miał ją tam ojciec. Pani Magdalena z uśmiechem zapowiedziała, że po kilku tygodniach odwiedzi córkę w Paryżu. Kiepska to była dla mnie nowina!

Znacznie bardziej jednak zdenerwowała mnie inna wiadomość. Mój wuj Paweł Heyman przyjechał do Warszawy, odwiedził pana Harmana w jego biurze i poprosił, by dopomógł memu ojcu, mianując go swym plenipotentem handlowym w Łodzi albo czymś w tym rodzaju. Kiedy pan Harman opowiedział mi o tym — obiecując zrobić w tej sprawie, co będzie mógł — uczułem, że chętnie zamordowałbym wujka za to obrzydliwe wtrącanie się w nieswoje sprawy! Jak się później dowiedziałem, cała historia zakończyła się jeszcze gorzej. Będąc wkrótce potem w Łodzi, pan Harman zwrócił się w tej sprawie do jednego ze swych partnerów w interesach, człowieka spowinowaczonego z moją matką, który od czasu bankructwa ojca całą naszą rodzinę traktował z góry. Ojciec, nie wiedząc nic o tym wszystkim, podejrzewał, że stało się to za moją wiedzą; zresztą nie chciał mieć z tą historią nic wspólnego, a mnie trudem przyszło przekonać go o swej niewinności. Biedak czuł się ogromnie dotknięty.

24

Kiedy t, g pociągu wsiadłem w towarzystwie Basi i jej ojca. \* razem przybyłem na miejsce, brudny, cuchnący i po-^c Gare du Nord zrobił na mnie wrażenie królewskie-

151

^ i.

lat

wyj

się

tach, P

152

urozmaicić, poprosił młodą sopranistkę o odśpiewanie trzech pieśni Debussy'ego, którego opera Peleas i Melizanda była w owym czasie przedmiotem gwałtownych sporów. Sopranistka nazywała się Mary Garden. Młoda i piękna, niedawno kreowała rolę Melizandy; powszechnie podziwiano jej urodę i głos, ale ostro krytykowano silny angielski akcent.

pan Astruc miał w zanadrzu jeszcze inny plan. Hrabina Gref-fulhe (pierwowzór księżnej de Guermantes u Prousta) założyła stowarzyszenie zwane Les Grandes Auditions de France, a składające się ze śmietanki francuskiej arystokracji. Od członków wymagano, aby patronowali jakiemś specjalnemu, wybranemu przez nich wydarzeniu teatralnemu lub muzycznemu, wykupując najlepsze łoża en grandę toilette, damy. décolletees, panowie we frakach, białych rękawiczkach i nieodłącznych jedwabnych cylindrach. Dzięki doskonałym kontaktom pana Astruca hrabina zgodziła się przyjąć mnie w swym chdteau, stanowiącym jej jesienną rezydencję; pragnęła przekonać się, czy zasługuję na jej poparcie.

Po godzinnej podróży pociągiem znalazłem się na małej stacyjce, gdzie czekał powóz, który zawiózł mnie do Chateau du Bois Boudran. Lokaj w liberii zaprowadził mnie na piętro do przytulnego pokoju z ogromnym płonąącym kominkiem. Minęło sporo czasu, nim poproszono mnie. o zejście do

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

obszernej sali muzycznej, gdzie zastałem hrabinę zajętą rozmową z bardzo wysokim i przystojnym młodym człowiekiem. Przez dłuższą chwilę nie zauważyli nawet mojej obecności. Wreszcie hrabina odwróciła się do mnie, przywitała wyniośle, bez uśmiechu, i przedstawiła swemu towarzyszowi, Don Roffredo Caetaniemu, po czym natychmiast poprosiła, bym coś zagrał. Jej pleyel był w kiepskim stanie, rozstrojony, ale jakoś udało mi się odbębnić na nim Poloneza As-dur Chopina. Kiedy skończyłem, bez przekonania zawołała „Bravo!”, jej towarzysz był jednak zadowolony. Powiedział, że studiuje muzykę we Florencji i pracuje nad operą, po czym zdeklarował się jako na-<sup>n</sup>jętny miłośnik Wagnera; to mi wystarczyło — powróciłem do for-<sup>?</sup> i zagrałem mu całą uwerturę do Śpiewaków norymber-<sup>^</sup>ym razem owo niepianistyczne podejście do muzyki przy-<sup>^</sup> zwycięstwo. Don Roffredo tak gorąco chwalił mój występ, a przestała s<sup>3</sup> wahać — z miejsca obiecała obecność Les rab>S ^U(\*it\*ons de France na moim debiucie.

naj lna Greffulhe była osobą zdumiewającą; z wyglądu przypo-<sup>chcąP°</sup>rtrety \* Popiersia królowej Marii Antoniny. Mówiono mi, WeJ» zaŚC Sprostać temu podobieństwu, przybierała maniery królo-<sup>^</sup>rabin slja socJeta poniekąd zaakceptowała ją w tej roli.

Pożegnała mnie, tym razem uśmiechając się z wdzię-

153

—i Obiad zostanie panu podany do pokoju, a potem mój powóz odwiezie pana na dworzec — oświadczyła władczym tonem.

Trudno uwierzyć, że kiedykolwiek miała tu miejsce rewolucja francuska i że Francja jest republiką!

25

Z pomocą pana Astruca znalazłem pokój w pensjonacie przy rue Cardinet 42, kilka domów od jego mieszkania. Był to niewielki, dwupiętrowy hotel particulier przemieniony na pensjonat; właściciel, pan Cordovinus, był jednocześnie zarządzającym i portierem. Żona (jedna z najbrzydszych staruszek, jakie w życiu widziałem) prowadziła kuchnię dla całego domu. Oboje mieszkali na portierni, przy czym do jego obowiązków należało otwieranie frontowych drzwi i obserwowanie wchodzących i wychodzących.

Cena pokoju wraz z utrzymaniem, obejmującym śniadanie, obiad i kolację, wynosiła siedem franków dziennie, co stanowiło wówczas równowartość 1.40 dolara; było to bardzo tanio, ale też i jedzeni było odpowiednie do ceny — karmiono nas głównie sałatą i kaniną.

Wszyscy pozostali goście pochodzili ze Skandynawii: dwie młoc siostry z Finlandii, przybyłe do Paryża na naukę śpiewu, lecz pozbawione talentu, Szwedka, sopranistka operowa o miłym głosie oraz dwóch studentów, również z Północy.

Mój pokój na drugim piętrze był przestronny i słoneczny. Stał tam fortepian przysłany mi przez pana Gaveau. Nie miałem jednak łazienki: w owych czasach we Francji spotykało się je nieczęsto wytworni paryżanie kapali się zazwyczaj w przenośnych gumowym wannach, co było zabiegiem uciążliwym i niewygodnym.

W dniu przeprowadzki pan Astruc zaprosił mnie do siebie kolację; poznałem wówczas jego żonę i pięcio- lub sześćo córeczkę, jedynaczkę, którą uwielbiał. Lucienne, dziewczynka o piękniejszych ogromnych czarnych oczach, uczyniła ze mnie tychmiast swego „narzeczonego”; stanowisko to piastowałem kilka lat.

— Muszę wiedzieć, co pan będzie grał — oświadczył jej Trzeba by już zacząć reklamować koncert, a do tego program.

Jakżeż nienawidziłem takich próśb! Przez całe życie

»\*

154:

!; !:•

up na długo przed koncertem domagał się programu, prze- żywałem istne katusze! Od raz uzgodnionego repertuaru nie było iuż odwrotu. Z zasady bywalcom koncertów nie robi różnicy, co artysta wykonuje, jeśli tylko jest sławny i popularny. Ale niechaj Bóg g° ma w swej opiece, gdyby odważył się w ostatniej chwili wprowadzić jakieś zmiany do programu; publiczność natychmiast staje się podejrzliwa i czuje się oszukana!

No cóż, tego wieczora nietrudno było mi zaspokoić życzenia pana Astruca; mój repertuar wciąż jeszcze był niezmiernie ograniczony. A więc zamierzałem rozpocząć występ Koncertem f-moll Chopina, potem dać jakiś utwór Brahmsa i dwie etiudy Chopina. Po przerwie miały być trzy Ariettes oubliées Debussy'ego w wykonaniu Mary Garden, a na zakończenie Koncert g-moll Saint-Saensa.



— Saint-Saens! — wykrzyknął gospodarz. — To cudownie! Zaraz załatwię panu spotkanie z mistrzem. Chciałbym, aby obecny był na koncercie! I tak jednego z następnych ranków otrzymałem zaproszenie od wielkiego kompozytora. Mieszkał samotnie na parterze starego domu i ku mojemu zdumieniu przyjął mnie dość serdecznie. Mówiono mi, że sływał z szorstkości. Jego pokój był prawdziwym „salonem muzycznym” — wszędzie nuty całe ich stopy na erardzie, stoły zawalone książkami i nutami, na ścianie pośmiertna maska Beethovena, a po całym pokoju porzucane zdjęcia ludzi znanych i nieznanymi. Monsieur Saint-Saens okazał się niskim, tęgim, łysiejącym nieco mężczyzną, o krótkiej szpakowatej brodzie; po obu stronach nosa, niesymetrycznie, miał dwie wielkie brodawki. Wyglądał na francuskiego urzędnika bankowego.

— Cieszę się, że zamierza pan wystąpić z moim koncertem — powiedział. — Prawykonaniem sam dyrygowałem, a grał wtedy pański imiennik, Antoni Rubinstein. Nauczył się go w ciągu tygodnia. Nie będę mógł przyjść na pański koncert. Nie wychodzę wieczorami, ale postaram się być na próbie — dodał.

Kiedy mu powiedziałem, że jestem Polakiem, rzucił się nagle do fortepianu i zakrzyknął: z ~~1 A oto moja ulubiona kompozycja Chopina! — i odegrał Scher-dur, jak na mój gust nieco za szybko, ale technicznie doskómó i n^eJ' kiedy żegnałem się, odprowadził mnie do drzwi i pos włożyć płaszcz; jego maniere niewątpliwie zadawały kłamePutacji.

W ^ociete Musicale była codziennym punktem zbornym ty e^o świata artystycznego — muzyków, śpiewaków opero- pisarzy> dziennikarzy, którzy napływali i odpływali, w niewielkie grupki, wszczynali nie kończące się

155

dyskusje o tym i owym, pomagając sobie gwałtownymi gestami i wybuchając głośnym śmiechem. Obserwowanie tego stanowiło znakomitą rozrywką, choć w rzeczywistości wszyscy przychodzili tu po to, by zwrócić na siebie uwagę pana Astruca. Częstym gościem bywał Ravel; niekiedy graliśmy razem różne utwory na cztery ręce, między innymi przepiękny Kwartet Debussy'ego, który stał się dla mnie objawieniem. To był mój pierwszy kontakt z jego muzyką. Paul Dukas przyniósł mi swoją Sonatę oraz Wariacje na temat Rameau, oba utwory interesujące, ale nieco wymuszone i niezbyt pianistyczne.

Do grupki kompozytorów dołączał niekiedy niski otyły mężczyzna o okrągłej twarzy, czarnej brodzie i sumiastych, podkreślonych góry wąsach. Był to jowialny Hiszpan, którego wesołe oczy miał czarujący blask. Lubiliśmy jego anegdoty, które wywoływały w nas prawdziwe ataki śmiechu. Nazwiska jego nie znałem. W kilka lat później Dukas ofiarował mi odpis Iberii, hiszpańskiej kompozycji, której autor niedawno zmarł.

— Pamiętasz, jak doskonale bawiliśmy się w jego towarzystwie? — spytał.

Był to Izaak Albeniz, człowiek, któremu zawdzięczam moją ogromną popularność w Hiszpanii i we wszystkich krajach kultury iberijskiej. Miałem zaszczyt zapoznać zarówno jego kraj ojczysty, jak i resztę świata z tym jego najwybitniejszym dziełem fortepianowym, z Iberią.

Basia, ulokowana przez ojca w pensjonacie dla panien, przesłuchanie u Jana Reszke, który zgodził się przyjąć ją za uczeń nicę. Przed powrotem do Warszawy pan Harman zarządził, by córka wieczorami nie wychodziła z nikim prócz mnie! Nie miała jeszcze sposobności skorzystać z tego przywileju, gdy matka Bas telegraficznie zapowiedziała swój bliski przyjazd. I oto pojawił się na Gare du Nord z wierną pokojówką Paulina i mnóstwem to' gaży. Basia i ja byliśmy pod ręką i pomagaliśmy we wszystkim Wynajęła apartament w Hotel d'Iena — jednym z owych starych szacownych hoteli, „aby — jak mówiła — być blisko córki”.

Po obiedzie pod pretekstem bólu głowy i wyczerpania ode Basie do domu. Nalegała jednak, abym został, i przetrzymała u siebie przez resztę dnia.

Z miejsca zostałem wciągnięty w tryby starej, zniechęconej rutyny: Paryż zamienił się w Warszawę. Do koncertu pozostały mi już tylko dwa tygodnie, tymczasem pani Magdalena bez przerwy napraszała się, abym towarzyszył a to do sklepów, a to do lekarza lub dentystry — czego o nienawidziłem. Z drugiej zaś strony nie mogę zaprzeczyć,

156

jemność sprawiało mi jądanie w wytwornych restauracjach, a zwłaszcza chodzenie do teatru, który zawsze był moją namiętnością. Krępowało mnie jednak, że zawsze byłem jej gościem. Ja, rzecz

jasna, z moimi pięciuset frankami, z których byłem bardzo dumny, nie mógłbym sobie pozwolić na tak wystawny tryb życia.

Wszystko to nie wychodziło na dobre mojej pracy. Ani się obejrzałem, gdy przyszedł ów pamiętny dzień. Próbę wyznaczono na dziesiątą rano w Nouveau-Theatre (obecnie Theatre de Paris).

Monsieur Camille Chevillard przyjął mnie u siebie w gabinecie i nie tracąc czasu zapytał o moje tempo. Wyglądał tak, jak według mnie powinien wyglądać prywatny detektyw: krępej budowy ciała, 0 kwadratowych barach, kwadratowej głowie i kwadratowych krótko przystrzyżonych włosach, ze szczotkowanym wąsem i małymi, przenikliwym\* oczkami. Czułem przed nim strach. Członkowie orkiestry czekali już na nas na scenie. Zerknąłem w ich stronę

1 przeżyłem mały wstrząs! Większość siedziała w płaszczach i w kapeluszach; szczególnie komicznie wyglądali zwłaszcza kontrabasiści w melonikach. Byłem tym trochę wzburzony, gdyż sądziłem, że chcą w ten sposób zademonstrować brak szacunku dla młodego chłopca, który miał czelność zaangażować ich na galowy koncert. Wkrótce jednak okazało się, że byłem w błędzie; po prostu bali się przeziębici w nieopalanym teatrze.

Chevillard dyrygował jak sierżant ćwiczący musztrę z rekrutami. Doskonale panował nad orkiestrą, posłuszną jego pałeczce, ale nie zwracał większej uwagi na ekspresję i niuansę. Ofiarą tego padł Koncert Chopina: Chevillard nie wiedział w ogóle, co to rubato, a nieziemsko pięknego Largetta zupełnie nie rozumiał.

Zaczynałem czuć się coraz bardziej nieszczęśliwy, gdy nagle usłyszałam czyjś szept: — Przyszedł Saint-Saens!

I rzeczywiście, zasiadł w łoży, nie zwracając uwagi na nasze ukłony, całkowicie obojętny wobec świata. Zabraliśmy się do pró-wania jego Koncertu;-serce waliło mi jak młotem, gdy rozpoczą-wstępną kadencję. Ale monsieur Chevillard był teraz w swoim ' P°g°nił mnie przez cały utwór w straszliwym tempie, b

a fi i' P°g°nił mnie przez cały utwór w straszliwym tempie, krótk Zabrzmiął Jak: fajerwerk!

Poszliśmy przywitać mistrza, który JJWyseplenił: »Dobrze było" — po czym podniósł się i wyszedł, a'ą ik  
nie

nie JJdypenił: »Dobrze było po czym podniósł się i wyszedł, AstrUc a""a° nikomu ręki. W tej chwili na scenie pojawił się pan jestem k^6 svfym sekretarzem Robertem Brusselem. Widząc, że fy[0 ady ] zniechęcony, wesoło zawołał: Pfti1 Ath b acji  
do „Paillarda

] ęony, wesoło zawołał:

cj0 dPfti1; Arthur, nie podoba mi się pańska mina! Zabieram brj

ana cj0 df rthur, nie podoba mi się pańska mina! Zabieram brej restauracji na obiad... To przywróci panu kolory! ^on cje ^y do „Paillarda", sławnej restauracji naprzeciwko Pa-\*ovre. Astruc zamówił dla mnie homara i kazał zamro-  
157

zić butelkę szampana, zapewniając: „To wino dobrze panu zrobi". Miał rację. Po pierwszej szklaneczce musującego nektaru poczułem się lepiej, po drugiej zacząłem się uśmiechać, a po trzeciej — chichotać! W tym radosnym nastroju wróciłem do siebie na rue Cardinet, gdzie rzuciłem się do fortepianu, by przećwiczyć jeden z pasaży Chopina. I wtedy przeżyłem największą chyba w moim życiu tragedię — palce jak kluchy, po prostu nie reagowały! Były to oczywiście skutki szampana. Popadłem w czarną rozpacz, do koncertu pozostało mi już tylko pięć godzin. Jeszcze nigdy w życiu nie znalazłem się w takiej opresji, nie wiedziałem więc, co począć. Zrozpaczony, zaalarmowałem cały dom. Wszyscy Skandynawowie przybiegli do mojego pokoju, siostry-Finki kazały mi się położyć, Szwedka-śpiewaczka przykładła mi na czoło mokre ręczniki, mężczyźni klepali mnie po twarzy i masowali ręce, a pan Cordovinus przyniósł mocnej kawy. Na koniec, po dwóch godzinach tej intensywnej kuracji, zacząłem odzyskiwać władzę w palcach! No cóż, muszę uroczysto oświadczyć, że po tym przeżyciu nigdy w dniu koncertu nie wypilem kropli alkoholu. Nouveau-Theatre wypełniony był do ostatniego miejsca, postarał się o to pan Astruc, wysyłając darmowe bilety wielu wybitnym osobistościom i studentom muzyki. Mary Garden przyciągnęła licznych entuzjastów Debussy'ego, a last but not least, członkowie Les Grandes Auditions de France pojawili się w pełnym blasku, dodał kowo uświetniając galowy koncert.

Łatwo wyobrazić sobie odczucia młodego chłopca, który tak rza ko publicznie występował, bez

praktycznego przygotowania, b doświadczenia, a któremu oto przyszło stanąć przed najbardzi chyba wyrafinowaną i rozgrzaskaną publicznością świata, roz rzoną do białości oczekiwaniem. Byłem po prostu przerażony.

Moje pojawienie się przyjęto przyjaznymi oklaskami, orkiest: wstała z miejsc. Dzięki temu poczułem się o wiele lepiej i zdoł byłem teraz dać z siebie wszystko. Ale Koncert Chopina wypa« niestety, źle, zarówno z winy orkiestry, jak i mojej. Zazwyczaj dobre u mnie i pełne brzmienie fortepianu zatraciło się na " znanym mi i słabym instrumencie koncertowym Gaveau, delika' go, filigranowego Larghetta nie było prawie słycać, a w trze' części wręcz potknąłem się raz czy dwa. Otrzymaliśmy C^ ciowe brawa; zresztą nie zasługiwaliśmy na nic więcej przyszła kolej na moje utwory solowe. Intermezzo Brahmsa, \*' odegrałem zupełnie dobrze, przyjęto z lodowatą obojętnością-ła mnie rozpacz. Przygotowałem dwie Etiudy Chopina z c As-dur nr 1 i f-moll nr 2 — piękne, lecz mało efektowne; nie ślając się więc, zastąpiłem tę drugą wspaniałą Etiudą a-moll ol

158

i

Ter

któ

H — choć daleko mi jeszcze było do prawdziwego jej opanowania. 2 całych sił odbębniłem lewą ręką bohaterski temat, pomagając sobie pedałem prześliznąłem się po trudnym pasażu w wysokim rejestrze, by zakończyć utwór ze wspaniałą błyskotliwością! Wywołało to owację, z balkonu rozległy się nawet okrzyki „Bravo!" j wtedy właśnie stwierdziłem, że głośne, choćby najgorsze z muzycznego punktu widzenia walenie, zawsze spotka się z entuzjastycznym przyjęciem ze strony niewtajemniczonej, niemuzycznej części publiczności. Przyznaję ze wstydem, że i później wielokrotnie to wykorzystywałem.

Mary Garden śpiewała pięknie, odniosła też wielki sukces u słu-chaczy-miłośników Debussy'ego, mniejszy u reszty publiczności. Ostatni punkt programu, Koncert Saint-Saensa, znakomicie zagrany przez orkiestrę, przyjęty został bardzo przychylnie, dla mnie jednak potworną przeszkodą okazały się znów niedostatki fortepianu; eleganckie Scherzo nie miało w sobie ognia, a z ostatniej części nie udało mi się wydobyć dostatecznej mocy. Tak czy inaczej, publiczności Koncert się podobał, zmuszono mnie do bisu, zagrałem więc jeszcze jeden z walców Chopina, i na tym koncert się zakończył: w sumie był to (muszę posłużyć się tym brzydkim określeniem) un demi-succes. Co za straszne słowo!

Później, w garderobie, wszyscy byli dla mnie bardzo mili; obsypano mnie komplementami, które w moich uszach chwilami brzmiały jak kondolencje.

Na kolację umówiony byłem z panią Magdaleną i z Basią u „Pru-niera", ale Astruc zatrzymał mnie. — Mon cher, damy będą musiały poczekać. Jest mi pan teraz potrzebny. Jedziemy do redakcji „Le Figaro".

Przyjąłem to nader kwaśno, gdyż nie byłem w nastroju do rozmów z przedstawicielami prasy, zwłaszcza o tak późnej porze, ale pan Astruc nalegał, więc pojechaliśmy na rue Drouot, gdzie zaprowadzono nas do poczekalni. Wysoki, młody blondyn nerwowo kręcił się po pokoju. Astruc przywitał go słowami:

— Bon soir, mon cher, jak poszło?

w , ^uPełnie dobrze — odparł. — Kurtyna dziewięć razy szła

^L nas przedstawił: Le r an !^•eni>i Bernstein. Właśnie odbyła się premiera jego sztuki

J ercail w teatrze Gymnase.

nał Sjerj:y-'ec^a^smy tu, jak sądzę, w tym samym celu? — uśmiech- t

Tak ty tym przyPuszczam — wymijająco odparł Astruc.

^ Którmmenc,ie ktoś wszedł do P°k°3u-

2 Panów pierwszy? — usłyszeliśmy pytanie.

159

— Jestem tu już od pół godziny — powiedział zniecierpliwiony Bernstein i wyszedł za nim do drugiego pokoju. Po paru minutach inny dziennikarz, pan Charles Joly, zaprosił nas do swego gabinetu.

— Proszę powiedzieć panu Joly, co by pan chciał, aby napisy o pańskim koncercie; już późno, a numer zamyka się o pierwszej

Zarumieniłem się po same uszy, przekonany, że to żart. Ale obaj byli poważni.

— U nas w Paryżu tak właśnie się te sprawy załatwia — oznajmił pan Astruc. — Bernstein też

właśnie dyktuje recenzję ze swojej sztuki.

No cóż, nie pozostawało mi nic innego, jak wziąć udział w tych niemoralnych praktykach paryskiej prasy, zacząłem więc, jękając się ze wstydu, wyliczać parę mocniejszych punktów mego występu, — Nie, nie, to na nic — zawołał Astruc. — Pan Joly sam napisze swój artykuł; potrzebny mu tylko program koncertu.

Później, u „Pruniera”, zastałem obie panie czekające na mnie w posępnym nastroju. Straciły już nadzieję, że w ogóle przyjdą. Zbliżał się czas zamknięcia restauracji, obsłużono nas więc w pośpiechu, a jedzenie było nieszczególne. Pani Magdalena podarowała mi piękny złoty zegarek, pierwszy w moim życiu, „na pamiątkę wielkiej daty twego paryskiego debiutu”, jak powiedziała. Byłem wzruszony, a jednocześnie ze smutkiem przypominałem sobie < biut Fryderyka w Berlinie. Nazajutrz, ku memu zdumieniu, przeczytałem na pierwszej stronie „Le Figaro” jak najbardziej pochlebną recenzję z mego koncertu, z barwnym opisem publiczności, snobistyczną wzmianką o Les Grandes Auditions de France oraz zapowiedzią mojej bajecznej kariery.

Zdania reszty prasy były podzielone. Dzienniki, które w zasadzie\* skąpiły miejsca na sprawy muzyki, w kilkunastu notatkach stwierdzały, że mam talent, i przepowiadały mi wspaniałą przyszłość. Kilka czasopism muzycznych zajęło się tym poważniej. z krytyków, którego nazwiska nie pamiętam, napisał dość s<sup>ł</sup> recenzję. „Daleko mu jeszcze do tego, by przedstawiać go paryskiej publiczności w tak pretensjonalny sposób” — twierdził. Jego : niem, byłem zimnokrwistym, niedojrzałym wirtuozem, który w czelność wykonać Etiudę Chopina, nie nauczywszy się jej należ! Dawał ponadto wyraz swym wątpliwościom co do mego artystycznego rozwoju, choć przyznawał, że posiadam talent oszałał\* słuchaczy temperamentem i techniką (1). Pod wieloma g zgadzałem się z nim, uważałem jednak, iż niesprawiedliwie < wia mi poważnych uzdolnień muzycznych. Pan Astruc wrażenie, jakby go to wszystko niewiele obchodziło;

160

czekając na zadowolonego i postanowił w następnym miesiącu zaprezentować mnie na trzech recitalach w Salle des Agriculteurs, gdzie dość często odbywały się koncerty.

— Tam pan dopiero pokaże, co pan potrafi — był to jedyny jego komentarz.

Dla mnie oznaczało to konieczność solidnej pracy. I chciałem pracować, chciałem pracować całym sercem, gdyż był to jedyny sposób udowodnienia moim nowym przyjaciołom, że zasługuję choć trochę na zaufanie, jakie we mnie pokładają.

przeciwności losu zawsze wywierały na mnie zbawienny skutek. Jednak obecność w Paryżu pani Harmanowej stawiała mnie wobec konieczności pokonania poważnej przeszkody stojącej na poprzek nioim dobrym chęciom. Jakże byłem rozgoryczony, iż osoba obdarzona normalną przecież inteligencją okazuje tak mało zrozumienia dla moich problemów! W dalszym ciągu zmuszała mnie do spędzania całych dni w swym towarzystwie, a gdy próbowałem się od tego uchylić, tłumacząc, że muszę przecież pracować, wdzieriała się bez pardonu do mojego skromnego mieszkania.

Pan Astruc był jedynym człowiekiem, który mógł spotykać się ze mną, kiedy tylko byłem mu potrzebny. Nie muszę dodawać, że uwielbiałem jego towarzystwo; bawiło mnie poznawanie nowych twarzy, a poza tym pomagało mi to w opanowywaniu języka francuskiego.

— Jest pan już prawdziwym paryżaninem — powtarzał z upodobaniem.

Pewnego wieczora, po doskonałej kolacji w jego domu, goście — wśród nich Dukas, Pierre Lalo, recenzent „Le Temps” Gabriel Pierne oraz mój stary przyjaciel Chevillard — uprosili mnie, bym zagrał fragmenty z opery Die Feuersnot Ryszarda Straussa, o której z entuzjazmem w czasie posiłku rozprawiałem. Była to rzecz z gatunku tych, które lubiłem, grałem więc długie wyjątki, nuciłem arie, tłumaczyłem libretto i wskazywałem rozmaite instrumenty. Ostatecznie wprawiłem ich w stan takiego podniecenia, że niebawem wieść o tym wydarzeniu dotarła do Alberta Carre, dyrektora Opera-Comique, który postanowił tą operą otworzyć najniższy sezon.

samego wieczora pan Lalo zapytał mnie: Jakich kompozytorów lubi pan najbardziej?

Bra,ym\*eniłem kilka nazwisk, szczególnie ciepło wspominając C<sup>h</sup> ^szyscy wybuchnęli śmiechem. Oz to za wariat! Podoba mu się muzyka tego ponurego

\* ku\*1 Ot)urzony- Miałem ochotę rzucić się na nich, wkrótce jednemu zgorszeniu przekonałem się, że wszystkie kraje

Stem

161

łacińskie żywiły to samo uprzedzenie do tego mistrza; nic więc dziwnego, że na koncercie jego utwór spotkał się z podobnym przyjęciem.

W tym czasie spotkała mnie miła niespodzianka: mistrz Saint--Saens przysłał mi swoją fotografię z dedykacją: „Pour A.R. avec Vadmiration pour son grand talent. C. S.-S.” Staruszek był doprawdy nieobliczalny.

Astruc zabrał mnie kiedyś na obiad wydany przez jego przyjaciela, hrabiego Camondo, mieszkającego przy rue Gluck 3, naprzeciwko Grand Opera. Jego apartament składał się między innymi z amfilady ośmiu ogromnych pokoi, w których wisiła cudowna kolekcja impresjonistów — świetne płótna Renoira, Degasa, Maneta, Moneta.

Proszony obiad okazał się zabawny: było nas tylko sześć osób. Prócz pana domu, Astruca i mnie, przyszedł jeszcze sławny boulevardier, pisarz Henri Gauthier-Villars, który swoje książki publikował pod pseudonimem „Willy” i był recenzentem muzycznym w „L'Echo de Paris”, jako „L'Ouvreuse”. Przyprowadził z sobą dwie młode damy wyglądające jak bliźniaczki, ubrane były identycznie, a jedyna różnica polegała -na tym, że w krótkich włosach jedna nosiła wstążkę błękitną, druga zaś różową. Ta pierwsza była żoną Willy'ego, który ją nam przedstawił jako „Colette”. Miało jednak upłynąć jeszcze wiele lat, nim stała się ową sławną Colette francuskiej literatury. Drugą z pań była bardzo wówczas wzięta aktorka Polaire. Obie miały niemal jednakowe podługne brązowe oczy i wyjątkowo cienkie wargi przy szerokich ustach; mówiły cedząc słowa z akcentem „titi”, paryskiej gwary, ożywiając rozmowę mnóstwem wyrażenń zapożyczonych z argot. Zauważyłem, że gdy pan Gauthier-Villars wszedł do pokoju, miał na głowie cylinder o szerokim rondzie, w ręku zaś przedziwnie wyglądającą laseczkę trzciniową, którą położył na krześle; chciał, aby go wszyscy bez trudu rozpoznawali, nikt więc nigdy nie widział go bez tych dwóch rekwizytów. Brodę i wąsy wzorował na Napoleonie III, a jego świńskie oczka błyszcząły złośliwością. W Paryżu doskonale znano zarówno jego, jak i obie panie i nawet gapiono się za nimi »' ulicy.

W trakcie obiadu zaśmiewaliśmy się do łez, gdyż Willy P^sW; wym głosem pomiałał reputacją wszystkich znanych i mniej znanych osobistości, w czym dzielnie sekundowały mu panie.

W drodze do domu Astruc z zadowoleniem poinformował mnie „L'Ouvreuse” obiecał mu napisać o mnie — równie pochlebnie „Le Figaro”. O tempora, o mores!

162

26

Przygotowanie programu trzech koncertów stało się dla mnie zmorem. Jeszcze nie zacząłem nawet o nich myśleć. Pan Brussel proponował mi, bym na jednym z nich zagrał Wariacje Dukasa. „Sprawi pan tym przyjemność krytykom” — mówił. Podobała mi się twórczość Dukasa, ale opanowanie tego utworu w tak krótkim czasie nastroczało wiele poważnych problemów, a co gorsza — ze strachem myślałem o obecności kompozytora.

Nie było to takie proste powiedzieć pani Magdalenie, że odtąd tylko wieczory będę mógł spędzać w jej towarzystwie, ostatecznie jednak dała za wygraną i pozostawiła mi czas na pracę.

Przygotowanie dobrego programu trzech recitali jest zawsze rzeczą trudną, a w owym czasie było prawie że niemożliwe. Zacząłem zbierać wszystkie lepsze utwory, nad którymi pracowałem w Zakopanem — ale których właściwie nigdy nie dopracowałem, a także jakieś berlińskie remanenty. Po wielogodzinnej męce niezdecydowania nabazgrałem kilka tytułów, sprawiających wrażenie dość przyzwoitego programu. Byłem na tyle bezczelny, że włączyłem także kompozycję Dukasa, choć nie miałem zielonego pojęcia, czy zdążę się jej nauczyć.

I znów, chwała Bogu, uratował mnie mój dar muzycznego kamuflażu. Opanowałem wprawdzie wszystkie trzy programy, jako że pamięć służyła mi wiernie, a w utworach lirycznych zawsze miałem udane momenty, za to gdy przychodziły trudniejsze pasáže, prześlizgiwałem się po nich brawurowo, nieprzerwanie Postępując się pedalem dla ukrycia brakujących nut. Dzięki memu brio oraz temperamentowi wszystko to osiągało pożądaný efekt.

Większość koncertów przeszła pomyślnie; francuska publiczność mno 1904 zachowywała się zupełnie inaczej niż dziś. W owych latach ulubione ustępy w środku utworu witano okrzykami „Bravo”, uwagami w rodzaju: „C'est charmant!” czy „Quel artiste!” i klaskami, a my musieliśmy wstawiać znak wyznaczący, że wszystko to nie tylko nie prze- % m\* €CZ Przeciwnie — dodawało otuchy (zresztą jeszcze mach prywatnych przyjaciele często w taki sam sposób aprobowali).

«kaj L>?ertuar obejmował dwie sonaty Beethovena: Waldsteinow-r (Pastoralną); Papillons i Karnawał Schumanna; wszyt zdłł pie).

L>e?ertuar obejmował dwie sonaty Beethovena: Waldsteinow-r (P zdłłem sobie przyswoić, z

twórczości Chopina; dwie

na-

rapsonię i Walc „Mefisto” Liszta; nieco staromodnego

163

Mendelssohna; kilka próbek Skriabina i Szymanowskiego oraz złowieszczy Dukasa, który nie bardzo mi wychodził. Zbyt przerażał mnie autor, choć zawsze był niezwykle uprzejmy i pozostał moim przyjacielem.

Ale owego wieczora odniosłem autentyczny sukces; mniejsze rozmiary sali i skromniejsza reklama tym razem pozwoliły krytykom zauważyć, że byłem autentycznym muzykiem i autentycznym — jeśli nawet jeszcze trochę niedojrzałym — pianistą.

Willy, „L'Ouvreuse”, napisał obszerną recenzję z tych koncertów. Jego artykuł, pełen przesadnych pochwał (za to mu przecież płacono), naszpikowany dowcipnymi i złośliwymi uwagami, zupełnie pozbawiony był jakiegoś poważniejszego podejścia do spraw muzycznych, mimo to zupełnie nie znający się na muzyce paryża-nie, a raczej — by użyć trafniejszego określenia — obojętni na muzyką paryżanie czytawali go zawsze z lubością.

No tak, z przykrością muszą stwierdzić, że muzyka była wówczas we Francji tak ogromnie zaniedbana, iż graniczyło to ze stagnacją. Były tego, rzecz jasna, istotne powody, jak choćby brak odpowiednich Sal koncertowych. Stuletnie Salle Erard czy Salle Pleyel były raczej „salonami” niż salami, mieściły bowiem trzystu czy czterystu słuchaczy; bardziej nowoczesna Salle des Agriculteurs miała pojemność niewiele tylko większą. W rezultacie organizowane tam koncerty traktowano jak imprezy prywatne; szeroka publiczność mało się nimi interesowała lub w ogóle nic o nich nie wiedziała.

Aby być jednak sprawiedliwym: w Paryżu istniało coś w rodzaju życia koncertowego, bardzo zresztą specyficznego. W każdą niedzielę po południu, o stałej porze, trzy czołowe orkiestry -Societe des Concerts, Colonne i Lamoureux — grywały muzykę symfoniczną. Odbywało się to tylko w niedzielę, ponieważ w dni powszednie członkowie tych orkiestr mieli inne obowiązki muzyczne, a poza tym teatry, w których Colonne i Lamoureux zwykle wstępowały, były kiedy indziej zajęte, codziennie bowiem dawały własne spektakle.

Koncerty czcigodnej Societe des Concerts du Conservatoire, odt wające się zwykle w małej sali Konserwatorium, były czymś szczerze gołym i nader pożądanym przez jej entuzjastów. Od stu lat — i nament na nie przechodził z ojca na syna, nikt obcy nie mógł tam się wkręcić, chyba że któryś z subskrybentów zmarł potomnie.

Paryskie rodziny mieszczańskie bardzo były z tych niedziel\* koncertów zadowolone; uczęszczano na nie w przeświadczeniu, że robi się to, co robić wypada. Jedyną publiczność przejawiającą autentyczne zainteresowanie muzyką wypełniała balkon skłonna była demonstrować raczej dezaprobatę niż entuzjaz

164

twierdzeniem tego są głośne skandale na prapremierach Tannhause-ra, Peleasa czy Święta wiosny. Po ożywionym życiu koncertowym w Berlinie czułem się zawiedziony panującą tu atmosferą. Nawet chluba miasta, Grand Opera, nie dorównywała swemu wyglądowi zewnętrznemu; śpiewacy byli przeciętni, orkiestra i chór wręcz kiepskie. Aby jednak oddać Sprawiedliwość, wspomnieć muszę o jednym wyjątku. Pan Astruc dał mi kiedyś bilet do Opera-Comique na przedstawienie Manon Masse-neta; nie wiem czy to wskutek zdenerwowania, czy też z jakichś innych przyczyn — ta lekka, zmysłowa, typowo francuska muzyka po prostu mnie oszołomiła. Byłem tak poruszony, że aż bliski płaczu. Tenor Clement oraz Marguerite Carre — grający role główne — byli znakomici; żadne inne potem przedstawienie, nawet z udziałem Carusa, nie mogło się z tym równać.

Pani Magdalena wróciła do Warszawy. Pod koniec stała się niespokojna, gdyż w ciągu dwóch tygodni moich koncertów widywała mnie nader rzadko. Również Basia wpadała do niej tylko z krótkimi wizytami, pragnąc — jak mówiła — żyć własnym życiem, a zresztą nauka śpiewu pozostawiała jej bardzo niewiele wolnego czasu.

Wyjazd pani Harmanowej przyjąłem oczywiście z ulgą, a zarazem uświadomiłem sobie pewną niemiłą prawdę, to mianowicie, iż z moimi pięciuset frankami, które wydawały mi się takim bogactwem, niedaleko w Paryżu zajadę. Po opłaceniu pensjonatu, pralni i różnych innych rzeczy, pieniędzy zostawało mi raczej niewiele. A przecież przywykłem już do codziennych wizyt w „Cafe de la Paix”, którą uważałem za pępek świata i gdzie zawsze z przyjemnością zamawiałem cudowną

mousse au chocolat, oddając się lekturze prasy paryskiej, berlińskiej i warszawskiej, którą kupowałem w kiosku naprzeciwko tarasu kawiarni. Kiedy w Paryżu była pani Magdalena, nie miałem takich po-us< .Nie wypuszczała mnie z rąk, nie miałem więc okazji do wyda-n-arua Pieniędzy. Teraz moja sytuacja finansowa okazała się bardzo Pewna. Pilnie potrzebowałem nowej odzieży, przede wszystkim letniciepleg° płaszcz. Robiło się chłodno, a ja miałem jedynie zosta6 ^Zeczy' ^eszte dobytku (nie było tego zresztą aż tak wiele!) m w Berlinie, dumnie oświadczywszy profesorowi Bartho-żk ^tko to może porozdawać. Najbardziej żałowałem ksią- kolekcJonowałem z takim zapalem.

nCe^y nie Przyniosły oczekiwanych efektów; oferty nie ra pa^ móJ sukces został po prostu zignorowany. „Dlaczego nie ^ paryżu?” — pytano mnie czasem. Cóż miałem tłuma-5Xelne orkiestry akceptowały wyłącznie solistów, których

165

stać było na to, by za ten zaszczyt zapłacić, lub też sławnych artystów zdolnych wypełnić salę. Tak więc, niestety, wtedy i przez wiele następnych lat przyszło mi wieść pełen udręki żywot człowieka, któremu stale brak pie. niędzy, stąd wiecznie pogrążonego w długach!

Mimo to uroki Paryża nie pozwalały mi popaść w całkowitą mizantropię, starałem się więc maksymalnie z nich korzystać, choć miałem do swej dyspozycji jedynie skromne środki.

Pewnego wieczora, na kolacji u państwa Dettelbachów, bogatego alzackiego małżeństwa, miłośników muzyki, poznałem młodego człowieka — pod trzydziestkę, ale już tysego, o przenikliwych niebieskich oczach i zaciśniętych pełnych wargach.

— To genialny wiolonczelista' — powiedziano mi. Jak się okazało, był to Pablo Casals. Po kolacji wdaliśmy się w ożywioną rozmowę

0 muzyce, a Casals, ku mej radości, zdeklarował się jako miłośnik Brahmsa.

— Czy lubi pan jego Koncert fortepianowy d-moll? — spytałem po francusku.

— Nigdy tego nie słyszałem; proszę, niech mi pan zagra jakiś fragment!

Nic nie mogło mi sprawić większej przyjemności. Z pasją odegrałem całe dzieło, partię orkiestry — wszystko. Casals był wniebowzięty. Wyszliśmy wtedy razem, a znalazłszy się na ulicy, postanowiliśmy udać się nie do domu, lecz raczej do kawiarni. „Musimy jeszcze trochę porozmawiać” — powiedział wielki wiolonczelista,

1 tak to gdzieś około trzeciej nad ranem, kiedy uszczęśliwieni, że mamy tyle wspólnych poglądów na wiele spraw, popijaliśmy napoje orzeźwiające, nasza znajomość przerodziła się w przyjaźń.

Mniej więcej w tydzień po tym pamiętnym wieczorze do mego pokoju wszedł pan Cordovinus z kartą wizytową w ręce.

— Ten pan czeka na dole — powiedział, podając mi wizytówką z nazwiskiem krytyka, który napisał miazdzącą recenzję o moim koncercie galowym.

„Czegóż może ode mnie chcieć?” — zastanawiałem się i dosz dłem do wniosku, że pewnie chodzi mu o pieniądze, tak jak red zentowi z „Le Figaro” czy panu „L'Ouvreuse”.

W saloniku podniósł się na mój widok starszawy pan w c nym garniturze, sztywnym kołnierzyku i czarnym krawa z pince-nez luźno nasadzonym na czubek nosa.

— Przyszedłem do pana w imieniu Pablo Casalsa — zwróci\* do mnie. — Ten wybitny artysta, którego wysoce cenię, z op nym oburzeniem przeczytał moją recenzję o pierwszym nl występie.

Powiedział mi tak: „Jeśli rzeczywiście ma pan tak dobre zdanie, to mogę pana zapewnić, że Rubinstein

t

166

mi dorównuje, a może nawet i przewyższa”. Jego słowa, przyznaję, wywarły na mnie takie wrażenie, iż postanowiłem poznać pana bliżej.

Ta szlachetna forma rehabilitacji sprawiła mi ogromną radość. Skutek był łatwy do przewidzenia: od tego dnia krytyk ów (zapomniałem jego nazwiska) należał do najzagorzalszych moich popleczników. Brak ofert koncertowych i wynikający stąd brak pieniędzy zatruwały mi życie. Nie wiedziałem, jak sobie z tym poradzić. Któregoś późnego popołudnia zrozpaczony zabiegałem właśnie u kasjera Societe Musicale o zaliczkę na poczet moich miesięcznych honorariów, gdy przyłapał mnie na tym pan Astruc; już chciał mi zakazać podobnych praktyk, widząc jednak mój smutek i przygnębienie, zmienił zdanie, pozwolił wypłacić mi pieniądze, po czym dorzucił pogodnym ojcowskim tonem:

— Dziś wieczór, mój chłopcze, zabiorę cię na kolację do pięknej pani.'

Nie protestowałem, po godzinie przyszedł więc po mnie do pensjonatu, skąd pieszo przeszliśmy

kilka ulic do domu przy rue Alfred de Vigny będącej jednym z zaułków otaczających Park Monceau. W windzie spytałem, kto to jest ta piękna kobieta.

— Ach — usłyszałem w odpowiedzi — to śpiewaczka operowa, która kiedyś występowała w music-hallach. Nazywa się Cavalieri.

Serce zaczęło mi bić mocniej.

— A czy to przypadkiem nie owa słynna Lina Cavalieri?

— Tak, to właśnie ona — upewnił mnie.

Nie wierzyłem władnym uszom! W pierwszym okresie berlińskim namiętnie kolekcjonowałem kolorowe karty pocztowe z podobizną Liny Cavalieri, najpiękniejszej kobiety świata, jak ją wówczas nazywano; to była moja pin-up-girl. W marzeniach gotów byłem ycie oddać za jeden jej pocałunek, a oto teraz, właśnie w tym

nutnym dniu mam ją poznać osobiście, zjeść z nią kolację... To złyj piękne, by mogło być prawdziwe!

W salonie sześć czy osiem osób piło aperitify. I oto ona! Jeszcze

Mniejsza niż na pocztówkach. Rzuciła się w kierunku Astruca

całowała go w oba policzki, a widząc mnie, spytała swym aksa-

jna,ny^1ł głosem o wyraźnym włoskim akcencie: „A kim jest ten

Zostałem jej przedstawiony jako wielka wschodząca gwiaz-

^ wtedy ucałowała i mnie, mówiąc:

fiył ° kandzo się cieszę z poznania pana.

\* siódmym niebie. A potem zasiedliśmy do stołu. Zajmo-skitn> ijt^Sce. mi^dzy Astrukiem a rosyjskim księciem Bariatyń-iry jak się później dowiedziałem, był jej amant en titre.

167

Pozostałymi gośćmi byli: Constant Say, niezwykle przystojny młody człowiek, spadkobierca cukrowej fortuny i amant de coeur Liny, jeszcze jeden mężczyzna, jej akompaniator, a także dwie panie — starsza, zapewne sekretarka, oraz młoda blondynka, aktorka. Posadzono mnie między paniami, panią domu miałem naprzeciw siebie. Kolacja była wyśmienita, przez cały czas podawano szampana, więc gdy doszliśmy do deseru, rozmowa stała się znacznie głośniejsza i weselsza; zaśmiewaliśmy się z każdego wypowiedzianego głupstwa, ani na chwilę nie przerywając picia.

W czasie kolacji nie mogłem wzroku oderwać od Liny, od jej łagodnych, ciemnych oczu ocienionych długimi rzęsami, od małego, prostego noska o różowych nozdrzach, od ust w kształcie łuku, od długiej szyi, klasycznego podbródka i przepięknej cery — wszystko było wręcz idealne, wpatrywałem się więc w nią z zachwytem. Siedząca po mojej prawej stronie młoda aktorka była dość pospolicie wyglądającą blondynką o zadartym nosku, wydatnym biuście i figurze, którą dziś określono by zapewne mianem sexy. Była już trochę wstawiona i coraz bardziej pochylała się w moją stronę. Zaczęło mnie to podniecać. A potem stała się rzecz dziwna. Boska Cavalieri przeobraziła się w moich oczach w najpiękniejszy poss muzealny, natomiast kobieta siedząca po mojej prawej stronie stawała się coraz bardziej godna pożądania; była z krwi i kości!

Po powrocie do salonu Lina poprosiła, bym zagrał parę arii operowych i kilka jej ulubionych pieśni; ucałowała mnie po raz drugi, wieczór skończył się jednak w sposób dość nieoczekiwany — odprowadziłem młodą blondynkę do domu, Lina zaś na długie lata pozostała moją przyjaciółką. Dzięki memu „szefowi" zostałem zaproszony przez zamożnego prawnika, mecenasa Nuñesa, na wigilię Bożego Narodzenia do jego pięknego domu przy placu Gwiazdy. Dla Francuzów jest to okazja do prawdziwej orgii kulinarnej. Podano świeży foie LfaS z wyśmienitą sałata, truffle en sewiette, sławną canard au sang, na deser zaś crepes Suzette, a do tego wszystkiego najlepsze tunki win. Moje podniebienie, które już uprzednio wyrobiło smak na takie specjały, odtąd rozbestwiło się nieodwołalnie.

W gruncie rzeczy okres ten był typowy dla mego trybu przez wiele lat. Cechował go kontrast między codzienną o byt, a częstymi wycieczkami w świat najbardziej nych luksusów.

168

27

— Koncertuje pan w Nicei! — powiedział pewnego popołudnia Astruc. — Pojadę tam z panem, a potem zabiorę pana do Monte Carlo.

Serce podskoczyło mi z radości: nareszcie widoki na prawdziwy kontrakt, i to na Lazurowym



Wybrzeżu. Przygotowałem bardzo efektowny program, a w parę dni później wyjechaliśmy na sławną Riwierę. Oczarował mnie śródziemnomorski błękit, drzewa palmowe, Promenadę des Anglais... istna kraina baśni.

Koncert przyniósł, mi jednak wielkie rozczarowanie, ponieważ przyszło mi grać w „Salon Rumpelmayer” — czyli znanej herbaciarni. Lokal mieści nie więcej niż sto osób, lecz publiczność nie przekraczała sześćdziesięciu, w większości znużonych starszych pań. Ta ponura impreza odbyła się wczesnym popołudniem, a honorarium było tak skromne, że nawet nie warto o nim wspominać. Tego samego wieczora wyjechaliśmy do Monte Carlo. W roku 1905 już sama nazwa działała magicznie. Było to wówczas jedyne miejsce w świecie, gdzie wolno było grać w ruletę. Sławni pisarze osnuli tę miejscowość legendą, opisując częste tu samobójstwa oraz sensacyjne przegrane i wygrane, prasa zaś donosiła o głośnych kradzieżach i rozpuszczała plotki o zamieszanych w nie sławnych ludziach; krótko mówiąc, była to miejscowość interesująca każdego — Mekka hazardzistów całego świata.

Albert, książę Monaco, dzięki rulecie stał się jednym z najbogatszych monarchów europejskich. W pobliżu kasyna ufundował niewielki, przeładowany ozdobami teatr, w którym mieściła się doskonała opera ze świetną orkiestrą, baletem i chórem; można tam było podziwiać znakomitych śpiewaków i wybitnych dyrygentów. Spiritus movens tego teatru był rumuński Żyd, Raoul Guns-  
cург( osobistość nader barwna, dobry znajomy Gabriela Astruca. D .aJ nar\*iiętnie uwielbiali potężne inscenizacje i śmiałe pomysły, dep\* Panu Gunsbourgowi otrzymaliśmy wygodne pokoje w Hotel ope aris Oraz D^ety na światową prapremierę Cherubina, nowej y Masseneta, z Cavalieri i Rousseliere w rolach głównych. pOrus25stk° to było niezmiernie podniecające, jednak najbardziej do Sa^o y Czułem się wtedy, gdy Gunsbourg pomógł mi dostać się §^y dostęp do owych salles de jeu był dla nieletnich bez-^ Wz^r°niony, toteż musiał podpisać, że ukończyłem dwa- i en lat. Astruc dał mi dwie złote monety wartości czter- ran^ó — nazywano je luidorami lub napoleonami — Próbował szczęścia w rulecie.

169

— Może pan zbić majątek — żartował.

Nieśmiało zbliżyłem się do jednego z groźnie wyglądających stołów i postawiłem luidora na czarne. Wyszło czarne! Krupier na moim położył drugiego luidora, właśnie miałem zgarnąć oba, kiedy zawołał: „Rien ne va plus!” Serce zamarło mi w piersi. Kulka zakręciła się parę razy i znów zatrzymała się na czarnym. Teraz miałem już cztery monety. Stałem się lekkomyślny: tym razem wszystkie cztery monety postawiłem na czerwone. Miałem szczęście! Po niespełna pół godzinie tych hazardowych wyczynów miałem kieszenie pełne luidorów; w owych czasach nie używano jeszcze sztonów.

W radosnym nastroju zwycięzcy próbowałem odszukać pana Astruca, by pochwalić się odniesionym sukcesem, gdy zatrzymała mnie pani Colette:

— Założę się, że pan wygrał, jeune homme. Widzę tryumf w pańskich oczach.

Zamiast odpowiedzi, brzęknąłem złotymi monetami w kieszeniach.

— Oho — powiedziała — a więc to dziś pierwszy raz oddaje się pan hazardowi. To pański wielki dzień, nie może pan przegrać. Wystarczy, że postawi pan jednego luidora na czarne lub czerwone. Jeśli pan przegra, postawi pan dwa, jeśli pan znów przegra, postawi pan cztery, potem osiem, i tak dalej. Ale gdy wyjdzie pański kolor, okaże się, że i tak pan wygrał, bo przecież kiedyś wyjść

musi.

Jej system wydał mi się równie prosty jak gama C-dur, wr łem więc do stołu, by zagrać zgodnie z tym planem. Początkowo wszystko szło doskonale, lecz nagle naciąłem się na Serię, w które; osiem czy dziewięć razy pod rząd wychodziło czerwone, gdy ja obstawiałem czarne; w mgnieniu oka byłem doszczętnie zrujnowany. Długo nie mogłem zapomnieć tej katastrofy i po dziś dziei żywię żal do madame Colette, mimo podziwu jakim darzę jej twórczość.

Światowa prapremiera Cherubina odbywała się z wielką Obecny był książę Monaco, a obok niego w łoży zasiadł Massenet. Na wielkie to wydarzenie z wielu stolic zjechali dyrektorzy oper, krytycy i dyrygenci. Wszyscy mężczyźni byli frakach i przy orderach, panie zaś w najmodniejszych kreacja lśniące od klejnotów. Był to wspaniały widok.

Niestety, sama opera okazała się niewypałem. Mojej P1^ Cavalieri sporo brakowało, aby być primadonną; głos miał\* dostatecznie wyszkolony, przejawiała też niefortunną skłonfIO-fałszowania. A muzyka niewiele tu pomagała. Nie dostawa ^ natchnienia Manon czy Wertera. Mimo to przyjęcie

było i  
170

a Massenet musiał się wielokrotnie kłaniać. Lina otrzymała tyle kwiatów, że scena zamieniła się w ogród; wszyscy starali się udawać, że odniosła wielki sukces. Byliśmy szczęśliwi, kiedy wreszcie się to skończyło i mogliśmy wraz z Gunsbourgiem udać się na kolację wydaną na cześć Masseneta oraz innych znakomitości. Kiedy podano szampana, nasz gospodarz podniósł się, by wygłosić toast na cześć kompozytora, mówił jednak głównie o sobie samym, zapominając o pierwotnym celu swego przemówienia. Nigdy w życiu nie widziałem człowieka, który byłby zdolny do takiego samo-chwalstwa.

Nazajutrz rano Gunsbourg odprowadził nas na dworzec, skąd pociągiem wróciliśmy do Paryża.

— Zajmą się tym chłopcem — powiedział. — Wygląda na to, że ma talent!

Mój „szef” roześmiał się niedowierzająco. Później, w przedziale, Astruc uraczył mnie mnóstwem przeżabawnych anegdot na jego temat.

— Raoul to jeden z największych łgarzy, jakich kiedykolwiek znałem — rozpoczął. — Uważa się za nowego Napoleona. Widziałeś, jak chodzi... z prawą dłonią wsuniętą między dwa rozpięte guziki kamizelki, d la Bonaparte. Przechwala się, że to on, sam jeden, nie dopuścił do przegrania bitwy pod Sewastopolem. Prócz tego sądzi, bieda czyisko, że jest wielkim kompozytorem. Ale przy tym wszystkim to prawdziwy geniusz w swojej dziedzinie. To on sprawił, że ta Opera z nic nie znaczącej stała się jedną z najlepszych w Europie; w ubiegłym tygodniu przedstawił w Monte Carlo największego rosyjskiego basa, Fiodora Szalapina — prawdziwa sensacja! W przyszłym miesiącu sprowadzam go do Paryża.

Po powrocie na rue Cardinet pan Cordovinus, otwierając mi drzwi, szepnął:

Jakaś dama czeka na pana w saloniku.

Ku memu zaskoczeniu istotnie ujrzałem moją najstarszą siostrę, •Jadwigę Landau. W pierwszej chwili przeraziłem się, że uciekła męża i trojga dzieci, ale okazało się, że nie.

~7 Przyjechałam cię odwiedzić i zobaczyć Paryż — powiedziała z uśmiechem.

dopiero domyśliłem się... Rodzina doszła najwidoczniej do  
że zr°biłem już karierę, i oczywiście zapragnęła w niej

zć

Zob

am

o

J uż przy twoim — powiedziała uszczęśliwiona. — ^ idziemy się razem świetnie bawić... Musisz mi pokazać

c Przez kilka następnych dni zwiedzaliśmy zabytki Pa-

171

ryża: Luwr, Inwalidów, Lasek Buloński, bulwary i całą resztą. Na koniec w „Cafe de la Paix” skłoniłem ją nawet do skosztowania mej ulubionej mousse au chocolat. Na szczęście miała dość pieniędzy, swój niedostatek wytłumaczyłem jej więc znacznymi wydatkami na ubranie i dużymi stratami w Monte Carlo. Trzymałem ją jednak z dala od mych nowych przyjaciół i znajomych. Wiele przykrych doświadczeń w przeszłości stało się dla mnie dostateczną nauką.

Którejś niedzieli zaproszony zostałem na obiad do Dettelbachów. Było to przyjęcie w ściśle rodzinnym gronie, dans l'intimite — jak to się mówi. Po obiedzie pan domu udał się na wyścigi, guwernantka z dwojgiem małych dzieci na spacer do Lasku Bulońskiego, ja zaś zostałem sam z panią domu. Była jeszcze młoda i dość atrakcyjna. Kiedyś w Operze, siedząc w ciemnej łoży tuż za nią, pod wpływem nagłego impulsu pocałowałem ją w odsłonięty kark; od tego czasu zaczęła ze mną lekko flirtować. Tego popołudnia, kiedy znaleźliśmy się sami, odniosłem wrażenie, iż chciałaby, abym rozwinął mój niczym nie uzasadniony gest w Operze. Nie byłem jednak w nastroju; sztywny biały kołnierzyk był tak ciasny, że czułem się nieswojo. Pani Dettelbachowa, kobieta doświadczona, wyczuła, że nie jest to chwila stosowna do wymiany czułości, zaproponowała więc, że zaprowadzi mnie do jakichś przyjaciół, którzy zapraszali ją, by przyjechała posłuchać pewnego kwartetu grającego Beetho-vena.

Do przestronnego salonu wchodziliśmy w momencie, gdy wykonawcy byli w połowie adagia, zatrzymaliśmy się więc przy drzwiach. Kark bolał mnie przeraźliwie; ból stawał się tak dojmujący, że nie mogłem już dłużej wytrzymać. Szepnąłem kilka słów wyjaśnienia swej towarzyszce i spiesznie wyszedłem — po prostu musiałem zdjąć ten cholerny kołnierzyk! Ponadto

byłem umówiony tego wieczora z Basią — mieliśmy pójść na koncert polskiego pianisty Augusta Radwana. Radwan, mieszkający stale w Paryżu. urządził właśnie swój doroczny recital, na który schodził się t< Paris, traktując muzyka jak swoje enjant gate.

Znalazłszy się u siebie, zacząłem się przebierać, ale kieroN jakimś podświadomym instynktem, rozebrałem się i położyłem d łóżka. I nagle poczułem się bardzo niedobrze. Po gwałtowni ataku torsji położyłem się ponownie i zapadłem w półsen. W ta» stanie, mającego i z yysoką temperaturą, znalazła mnie -mi później powiedziała — moja siostra. W popłochu zadzwonić pana Astruca, który także się przeraził i nie zwlekając, poste lekarza. Diagnoza brzmiała: szkarlatyna; przypadek dość p<^ z uwagi na mój wiek. Gorączka i majaczenia trwały dwa dni i noce, przesilenie nastąpiło dopiero na trzeci dzień. Miałem wy

172

lifikowaną pielęgniarkę, ale siostra ani na chwilę nie odchodziła od mego łóżka.

Przeraziła nas dziwna depesza z Warszawy wysłana w pierwszym dniu mojej choroby. Cytuję: „Wczoraj wieczorem na seansie spirytystycznym wzywałeś pomocy stop jak twoje zdrowie stop pozdrowienia Fryderyk”.

Rekonwalescencja była długa i powolna; winienem dużą wdzięczność obojgu Cordovinusom za to, że pozwolili mi pozostać u siebie w domu. Był to bardzo niebezpieczny przypadek choroby zakaźnej, lekarz chciał nawet odesłać mnie do szpitala, ale moi gospodarze gotowi byli ponieść ryzyko.

Zostałem oczywiście całkowicie odizolowany od reszty pensjonatu. Przez trzy tygodnie jedynymi twarzami, jakie oglądałem, były twarze mojej siostry i pielęgniarki. Biedna Jadzia naprawdę nie miała szczęścia. Przyjechała do Paryża, licząc, że się zabawi jak nigdy w życiu, że będzie napawać się moją sławą, że pozna słynnych ludzi i skorzysta ze wszystkich atrakcji metropolii. Zamiast tego wszystkiego siedziała przykuta do łóżka chorego, pełniąc najrozmaitsze przykre posługi i ledwie że udawało jej się złapać parę godzin snu; na ulicę prawie nie wychodziła.

Skomplikowany charakter miała ta moja siostra — ładna, choć w nieco zbyt mocnym, orientalnym typie, otrzymała wykształcenie bardzo powierzchowne, obejmujące między innymi naukę gry na fortepianie, język francuski i nieco tańca, jak przystało młodej dziewczynie z żydowskiej rodziny mieszczańskiej w Łodzi. Po wyjściu za mąż za dobrze prosperującego człowieka interesów i po urodzeniu trojga dzieci odkryła w sobie nagle tęsknotę za kulturą, za wznioślejszymi celami życia.

Tęsknota ta przeobraziła się u niej w patologiczną niemal namiętność — i wtedy właśnie na horyzoncie pojawiłem się ja. Wizja olśniewającego, artystycznego życia

zy mnie przekształciła się w taką obsesję, że gotowa byłaby rzucić pastwę losu męża i dzieci, próbując wśliznąć się w moje życie ne Zatne: Mani Jednak dla niej największą wdzięczność za siostrza-°e Za serdeczna- troską. Jaka. mi okazywała przez cały czas

by obieeŞOŚ- dnla' gdy Poczujęm sie- 3\*uz silniejszy, uprosiłem ją, drżącCymZ piele-Şniarka. przysunęły mi łóżko do fortepianu. Bładymi, siS haJ- .pa.ami Próbowałem coś zagrać, a wtedy siostra załała do głębiX l meP°cieszona dłuższą chwilę płakała. Byłem wzruszony D a i d a-

, wi?U Wróciła P° moim wyzdrowieniu, nie ulegając, dzięki cie zarUS°im' Je^ mąż wszelak<> utrzymywał później, że po po-raziła szkarlatyną całą trójkę dzieci.

173

28

Moja sytuacja finansowa dosięgła dna. Byłem zadłużony u lekarza, w aptece, no i oczywiście zalegałem z miesięczną opłatą za komorne. Na domiar złego w uszach zrobiły mi się wrzody; było to nieprzyjemne następstwo przebytej choroby. Niezmiernie bolesne cięcia, które trzeba było robić bez znieczulenia, zrujnowały mi nerwy doszczętnie.

Gwoli sprawiedliwości, mam do odnotowania także parę miłych chwil. Pani Dettelbachowa, która z jakichś względów poczuwała się do winy za moją chorobę, przez cały okres rekonwalescencji przesyłała mi wspaniałe owoce i kwiaty, a pan Astruc, jak przystało na prawdziwego przyjaciela, wykazał wiele troskliwości i zrozumienia. Zapraszał mnie często do siebie na obiady, starannie dobierając odpowiednie dla mnie potrawy.

— Niech pan nabierze sobie więcej, mon petit — mawiał. — Potrzebuje pan wiele nowych sił. A napełniając mi szklankę doskonałym bordeaux, dodawał:

— Proszę pić, to dla pana świeża krew.

Basia wyprowadziła się z pensjonatu i razem z dwiema koleżankami, które również studiowały u Reszkego, wynajęła urocze mieszkanie na Avenue Victor Hugo.

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

— Mój kochanek jest w Paryżu — oświadczyła — muszę więc mieć swobodę. Któregoś wieczora zaprosiła mnie po kolacji na kawę w małym gronie przyjaciół. Jej współlokatorki, Angielki, okazały się urocze; młodsza miała zaledwie szesnaście lat i długie włosy luźno prze-wiązane wstążką. Nazywała się Maggie Teyte, i to właśnie ona miała stać się później wielką Melizandą w Opera Comique oraz najdoskonalszą interpretatorką pieśni Debussy'ego. Drugą była Olg Lynn, w latach późniejszych najpopularniejsza nauczycielka śpiewa w Londynie i ulubienica arystokratycznej socjety. Oprócz mnie gośćmi Basi byli jeszcze dwaj Polacy: jej posej kochanek, malarz z Warszawy, oraz bardzo wysoki, mocno zbuawany mężczyzna mający niewiele ponad trzydziestkę, niejaki J°z j Jaroszyński. Ten mnie zafascynował. Nie zdążyłem jeszcze d wejść do mieszkania, gdy już zaczął wołać najdonioślejszym » sem, jaki w życiu słyshałem, wymachując przy tym rękami ^ szalony i narażając wszystko wokół siebie na niebezpieczeństwo zniszczenia:

174

— Proszę, niech pan coś zagra, błagam! Słyshałem, że pan jest takim wspaniałym pianistą! I niemal Siłą zaprowadził mnie do małego fortepianu, który wynajmowały dziewczęta. Grałem Chopina, Skriabina, Szymanow-skiego i co popadło. Potem akompaniowałem dziewczętom śpiewającym arie operowe, podczas gdy pan Jaroszyński, wrzeszcząc opętańczo, zrywał się raz po raz na równe nogi i wykonywał ćwiczenia gimnastyczne zupełnie jak w transie. Takie dowody entuzjazmu były dla mnie czymś nowym. Donżuan Basi nie ruszał się z fotela, palił papierosa za papierosem i przyglądał się nam z ironicznym uśmiechem. Po dwóch godzinach tej piekielnej wrzawy nasz zaimprovizowany koncert przerwało gniewne pukanie w ścianę — to protestowali rozwścieczeni sąsiedzi. Wreszcie Jaroszyński i ja wyszliśmy, zostawiając malarza na górze.

— Ten malarz nie daje mi spokoju — poskarżył się mój nowy przyjaciel. — Chce malować mój portret, a mnie się jego malarstwo nie podoba.

Poszliśmy do kawiarni, gdzie z tą samą wciąż wena tak głośno mówił i śpiewał, że siedzący, w pobliżu naszego stolika zaczęli sobie szukać bardziej ustronnych miejsc.

Nazajutrz zaprosił mnie na obiad do dobrej restauracji i tam, już nieco spokojniej, opowiedział o sobie. Pochodził z Podola, najbogatszej części Ukrainy, gdzie znaczna część ziemi należała do osiadłych tu od dawna rodzin polskich.

Jaroszyński był jednym z czterech braci, którzy odziedziczyli rozległe majątki i wielkie cukrownie. Za młodu marzył o karierze pianisty — muzyka stanowiła jego obsesję, ale rodzice nie chcieli nawet o tym słyseć.

— No więc musiałem studiować prawo na Uniwersytecie Kijowskim. Ale i tak cały wolny czas spędzałem w Operze, na koncertach lub przy fortepianie — dodał po chwili milczenia. Po śmierci ojca rzucił studia i wrócił na wieś, gdzie wykazał się alentem do rolnictwa: dokupił więcej ziemi i rozwinął gospodarkę, sosując najnowocześniejsze metody uprawy. Był zatwardziałym Kawalerem.

dzi~ł St3s:ie znaJome dziewczęta są niemuzykalne — powie-, ~~~ \* ja lubię podróżować i jak tylko się da: słyshać muzyki. or t 'my dobrymi przyjaciółmi; dzięki niemu znów zacząłem ^ Z bogatego życia paryskiego, z wykwinnego jedzenia, i koncertów; tymczasem jednak moje długi rosły, brakło \*^t Piem'Cdzy na napiwki.

ranka Jaroszyński oznajmił, że musi jechać na Ukrainę.

175

— Muszą pozafatwiać kilka spraw nie cierpiących zwłoki, ale tak mniej więcej za tydzień wracam do Paryża — powiedział, a potem dorzucił pod wpływem nagłego impulsu:

— A może pojechałbyś ze mną? Zmiana dobrze by ci zrobiła I wtedy właśnie przyszedł mi do głowy genialny plan. Dlaczego

nie miałbym wykorzystać tej propozycji, by dać jeden lub dwa koncerty w Łodzi, gdzie sława mego paryskiego debiutu zrobiła wielkie wrażenie i gdzie mógłbym liczyć na wyprzedaną salą?

Natychmiast zadeszowałem do brata Stasia, jedyne go, na którym mogłem w podobnych sprawach polegać, prosząc, by zapowiedział mój koncert, a jeśli przedsprzedaż biletów wypadnie obiecująco — także drugi. W dwa dni później nadeszła entuzjastyczna odpowiedź:

„Zainteresowanie ogromne stop zapowiedziałem dwa recitale”.

Przyczyną mej podróży była, jak powiedziałem „szefowi”, potrzeba krótkiego wypoczynku na łonie rodziny; o koncertach nie wspomniałem. Może się to wydać postępkami nieetycznymi, a nawet trochę nieuczciwymi, ale wierzyłem święcie, że koncerty w moim mieście rodzinnym nie zaliczają się do tej samej kategorii, co te, z których Astruc zatrzymywał czterdzieści procent wpływów dla siebie. A poza tym rozpaczliwie potrzebowałem pieniędzy. Józef zaaprobował moje makiawelskie plany, wyjechaliśmy więc do Polski Nord-Expressem; po raz pierwszy podróżowałem wygodnie. O siódmej rano w Łodzi miałem wysiąść z pociągu, on zaś kontynuował podróż do miejsca przeznaczenia. Tym razem mój przyjazd do Łodzi stał się okazją do hałaśliwej farsy. Poprzedniego wieczora, gdy udawałem się na spoczynek, poprosiłem konduktora wagonu sypialnego, żeby zbudził mnie o szóstej rano, odpowiedział mi jednak tak niegrzecznie, że zmuszony byłem wyrzucić go z przedziału. Po tym incydencie bardzo długo nie mogłem się uspokoić, wreszcie jednak zasnąłem. Było jeszcze ciemno, kiedy pociąg zatrzymał się. Nie zwracałem na to uwagi; w czasie postoju zawsze się budziłem, ale tylko u chwilą. Tak było i tym razem, zaczynałem właśnie ponownie zapadać w sen, gdy nagle usłyszałem głosy wołające po polsku:

— Panie Rubinstein! Gdzie jest pan Rubinstein? Czy widzieliście pana Rubinsteina?

Wyskoczyłem z łóżka zupełnie nagi, podbiegłem do okna, pod\*1 słem zasłonę i ku swemu zdumieniu zobaczyłem brata Stasia, sios Hele i dwie ciotki biegających tam i z powrotem po peronie i PoS kujących mnie. A więc to już Łódź! Zobaczywszy mnie w stroju a mpwym, próbowali gestami dać mi do zrozumienia, że muszę się ko ubrać i wysiądać. Porwałem ubranie, lecz pociąg nagle szał ruszył. Oni krzyczeli, ja krzyczałem, ale cóż mogłem pora ""\*

176

dwie godziny będę w Warszawie i tam zaczekam na następny pociąg do Łodzi. Po chwili więc, uspokoiwszy się nieco, postanowiłem ubrać się porządnie i zjeść z Józefem śniadanie w wagonie restauracyjnym. Wyjąłem przybory do golenia, starannie namydli-łem twarz i już właśnie miałem zacząć się golić, gdy nagle pociąg zatrzymał się znowu. Sądząc, że coś jest nie w porządku, wyjrzałem przez okno — i cóż ku swemu przerażeniu zobaczyłem? Otóż ujrzałem, jak m°3 nieszczęsny brat, siostra i ciotki pędzą zasapani i zdenerwowani w stronę mojego wagonu, a spostrzegłszy mnie stojącego z rozdziawionymi ustami i wyrazem kompletnego oszołomienia na namydłonej twarzy, wrzasnęli ponownie i... pociąg ruszył znowu. Zatrzymywał się tylko minutę na nowym dworcu na drugim końcu miasta, oni zaś rozpaczliwie próbowali mnie tam dopaść. Kiedy później, przy śniadaniu, opowiedziałem całą historię Jaroszyńskie-niu, zaśmiewał się do łez, uparł się jednak, że musi rozprawić się z owym konduktorem, i tylko z wielkim trudem udało mi się go powstrzymać.

Wszystko skończyło się dobrze — na koncert zdążyłem i grałem przy wyprzedanej sali. Później odbyła się tradycyjna „skromna, wyłącznie rodzinna” kolacja na dwadzieścia osób, ze szczupakiem po żydowsku i innymi, tak przeze mnie ulubionymi przysmakami.

Także drugi koncert był prawie całkowicie wyprzedany, co znacznie podreperowało moje finanse. Za to pod innymi względami sprawy nie wyglądały równie zadowolająco. Sytuacja polityczna stała się przyczyną poważnego zaniepokojenia w Polsce, a jeszcze większego w Rosji. Konflikt rosyjsko--japoński, sprowokowany mało ważnym incydentem w Port Arturze, a przez rosyjskie dowództwo wojskowe pogardliwie potraktowany jako „ekspedycja karna”, rozwinął się w prawdziwą wojnę, co dla Cesarstwa Rosyjskiego miało katastrofalne skutki. Po japońskich zwycięstwach na lądzie oraz całkowitym unicestwieniu floty rosyjskiej przez admirała Togo rosyjski kolos postradał znaczną część swego autorytetu i Japonia stała się teraz pierwszym azjatyckim mocarstwem świata. Początkowo nie traktowano tego wszystkiego poważnie; opowia-svb° S°bie aneSdotki ° oficerach jadących na front kolejną trans-Lery^Sk a ich oršie> Picie wódki całymi skrzynkami i towarzyski-kobietki stały się głównym tematem rozmów. Jednak kich postęPu wo3ny. meldunki o nieustannych porażkach i cięż-atach. spowodowały zmianę nastroju. Pojawiły się objawy solenia i niepokoje, które wkrótce przerodziły się w gniew-Qstracje. Jasne było, że w narodzie coraz bardziej narasta Wywołany sposobem, w jaki car prowadzi tę wojnę; winą

177

strant6w wydał >

Siole-

m

29

isktą, która stał się Petersburgu asakrą J W  
reWolucjS

178

miasto. A miasto to umiało reagować: wszystko tu było świeże i wesołe, kasztany w pełnym rozkwicie, pewne siebie paryżanki ożywiały ulice i aleje swoim szykiem i wdziękiem, a blade, szaro-niebieskie niebo jakby przyglądało się temu wszystkiemu z uśmiechem. Oczarowani i uszczęśliwieni, że bierzemy w tym udział postanowiliśmy godnie ten dzień uczcić.

Zaczęliśmy od wytwornego obiadu w nowo otwartym „Pavillon Royal” w Lasku Bulońskim, a po solidnym odpoczynku udaliśmy się do Palais Royal na typową francuską farsę, zatytułowaną Chopin, jedną z najzabawniejszych, jakie kiedykolwiek widziałem. Szczególnie ubawiła mnie jedna zwłaszcza scena: emerytowany generał spotykał się co tydzień ze swą młodą kochanką w maison de rendez-vous, ale aby osiągnąć kulminacyjny punkt miłosnych zalotów, w sąsiednim pokoju pianista musiał grać walca Chopina. Pewnego dnia biedny stary pianista złożony niemocą wysłał w zastępstwie młodego człowieka, który zamiast grać Chopina, z ogromnym temperamentem wykonał walca Straussa. Katastrofa! Generał, czerwony na twarzy, w samej tylko bieliźnie, wpadł do pokoju i wrzasnął na pianistę: „Nom de dieu, nom de dieu, a cóż to za cholerna muzyka!” Randka zakończyła się kompletnym fiaskiem!... Józef śmiał się tak, że aż trząsł się cały teatr, ja zaś dumny byłem z mocy oddziaływania muzyki Chopina!

Zakończyliśmy ten dzień u sławnego „Maxima” — restauracji wówczas jakże innej niż ta dzisiejsza. Otwierano ją dopiero wieczorem, a klientela składała się z pań z demimonde oraz mężczyzn, którzy je utrzymywali — starszych, będących amants serieux i młodszych, kochanków. „Maxim” był jednak miejscem zakazanym dla jemmes du monde. Tańczyło się tu do świtu przy muzyce kapeli węgierskich Cyganów, a kuchnia i piwnica win stały na najwyższym poziomie.

Panujący monarchowie incognito, rosyjscy wielcy książęta, znakomitości świata teatralnego i śmietanka „półświatka” zapełniali lokal noc w noc. Spragnieni intymności mieli do dyspozycji niewielkie gabinety (chambres separees) na pierwszym piętrze, do których godziło się od tyłu dyskretnie ukrytymi schodami. Ale był to wiat bogaczy, niedostępny dla biedaków. Nie była to moja pierw-a2. wizyta u „Maxima”, tyle że zawsze siadywałem na tarasie, le- m°żna było dostać kanapkę z szynką za franka oraz kawę ląjiii centymów i podglądać, co dzieje się w środku, razem bawiłem się wyśmienicie; zaprosiliśmy do na- uroczą rudowłosą Angielkę i tańczyliśmy z nią. ten dzień doskonale, gdyż czułem się szczęśliwy i bez-

s2eg0

i

^

y

jf" nazaJutrz było jeszcze lepiej. Pan Astruc zostawił mi rtkę, na której przeczytałem: „Muszę się z panem natych-

179

miast zobaczyć, sprawa pilna”. Niezwłocznie poszedłem więc d< Pavillon de Hanovre z niejakim poczuciem winy z powodu koncertów w Łodzi i gotowy uiścić owe czterdzieści procent. Szef powitał mnie z uśmiechem i niezwykłą serdecznością, po czym uszczęśliwiony zawołał:

— Mon petit, proponuję panu tournee po Ameryce! Stańmęm jak wryty, rozdziawiwszy usta z niedowierzania.

— To musi być jakaś pomyłka — powiedziałem wreszcie. — Nie znam nikogo w tym kraju, a jeśli mam być szczerzy, nie wierzę, aby moje paryskie koncerty usprawiedliwiały taką ofertę.

Roześmiał się.

— Dziś po południu spotka się pan u mnie w gabinecie z tym amerykańskim dżentelmenem i sam będzie się pan mógł przekonać.

Amerikanin zjawił się punktualnie i łamaną francuszczyzną, trudną do zrozumienia, oznajmił, że od pewnego czasu usiłuje mnie odszukać i cieszy się niezmiernie, że mu się to wreszcie udało.

— Ale skąd wziął się ten pomysł, aby sprowadzić mnie do Ameryki? — spytałem, nie wyzbywszy się jeszcze podejrzliwości.

— Występuję jedynie jako przedstawiciel wytwórni fortepianów Knabe z Baltimore. Pan William Knabe cuda słyszał o panu od najbardziej wpływowego krytyka w Bostonie, który był świadkiem pańskiej gry w domu Paderewskiego w Szwajcarii. Od tego czasu staramy się nawiązać z panem kontakt.

No tak, oczywiście — stanął mi przed oczyma ów pamiętny wieczór w willi Paderewskiego, a także

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

jego amerykański gość. Bywają w życiu wydarzenia, które mogą człowieka ogromnie podnieść na duchu, to zaś przypadło na szczególnie stosowny moment. Zostawiłem obu panów, by ustalili szczegóły kontraktu, a sam popędziłem do „Cafe de la Paix”, gdzie zafundowałem sobie całe dwie mousses au chocolat.

Wszyscy byli ogromnie poruszeni tą nowiną, zwłaszcza zaś „szel i jego personel; poprawiło to znacznie moją pozycję i odtąd traktowałem byłem jako potencjalne źródło dochodu. U młodego artysty nazwiskiem Sacha Guitry zamówiono moją karykaturę dla pras. Jego ojciec, sławny aktor Lucien, wyrzucił go z domu i odmówił łożenia na jego utrzymanie, biedak musiał więc zarabiać na żyd rysowaniem karykatur.

— Ojciec wściekł się, ponieważ chciałem pójść na scenę. Później okazało się, że w teatrze nie ma miejsca dla dwóch Guitrych. Ale ja i nie dam za wygraną!

I dzięki Bogu, dotrzymał słowa, na chwałę francuskiej sztuki aktorskiej oraz dramaturgii. Narysowana przezeń moja karykatura zaginęła, niestety, podczas wojny.

Kontrakt amerykański został podpisany, a główne klauzule 1

180

widywały czterdzieści koncertów w ciągu trzech miesięcy, przy czym koszta podróży pokrywał impresario, koszta utrzymania — ja sam. Honorarium okazało się znacznie skromniejsze, niż oczekiwałem — wszystkiego 4000 dolarów, oczywiście minus owe oślawione czterdzieści procent.

— Niech pan sobie z tego nic nie robi, mój mały — pocieszał mnie szef. — Takie tournée utoruje panu drogę do wielkiej kariery.

A na pociechę podał mi bilet:

— To na dzisiejszy galowy występ w Klubie Automobilowym. Debiutuje Szalapin. Będzie pan siedział w jednej z łóż Les Grandes Auditions de France.

Jakże dobrze mnie znał, ten mój Astruc! Natychmiast się rozchmurzyłem. Rosyjski bas stał się legendą Paryża. Francuskie gazety i czasopisma od lat rozpisywały się o jego bajecznych sukcesach operowych, o jedynym w swoim rodzaju głosie, o burzliwych miłostkach; krążyło też wiele anegdot o jego skromnym, chłopskim pochodzeniu, o zażyłej przyjaźni z wielkim pisarzem, Maksymem Gorkim, oraz — co szczególnie nęciło czytelniczki — o wyjątkowej męskiej urodzie. Nic więc dziwnego, że zarówno Astruc, jak Gunsbourg postanowili oficjalny debiut w Grand Opera poprzedzić galowym koncertem na cele dobroczynne, któremu patronowała wszechmocna hrabina Greffulhe.

Nigdy nie zapomnę tego wieczoru. Szalapin miał odśpiewać dwie wielkie arie Mefista z Fausta Gounoda, na tę okazję wszakże wybrał kostium z Mefistofelesa Boito. I to jaki kostium! Kiedy kurtyna poszła w górę, na scenie ujrzano wspaniałe ciało nagiego mężczyzny. Umieśniony jak Herkules, był uosobieniem męskiego ideału. Zaskoczona widownia zareagowała na to głośnym i pełnym Przeróżenia czy też podziwu „Ach!”. A potem Szalapin zaczął śpiewać słynną Serenadę tym swoim wspaniałym i niepowtarzalnym i „potężnym”

Pieszczotliwym, miękkim jak u barytona Białego, a brzmiącym tak naturalnie jak recytacja. Szalapin świetnym aktorem. Mefisto Gounoda chwytając tendencję do przekształcania się w postać kome-rolę tę kreował Szalapin, stawał się uosobieniem tego Goethe.

„Brawo!”, domagając się bisu; po powtórzeniu w wyjściach przed kurtynę ten rosyjski olbrzym śpiewał arie. Nigdy w życiu nie widziałem większego entuzjazmu, chociaż Jasna zaliczałem się do tych, którzy krzyczyli naj-

PaW  
Po  
zła

° dnia Szalapin stał się koronowanym bożyszczem, a Astruc i Gunsbourg zaprowadzili mnie za kulisy,

181

mKBmm  
kostiumie”

ciami

182

od pewnego czasu widywałem Basie raczej rzadko. Tym większe więc było moje zdziwienie, gdy

któregoś popołudnia przyszła do mnie w towarzystwie malarza.

— Potrzebujemy pańskiej pomocy — powiedziała z miejsca. — Musimy natychmiast zdobyć dwieście franków, a nie mam już ani grosza.

Sam miałem tylko jednego ludwika w kieszeni, nie pozostawało więc nic innego, jak iść i prosić kasjera pana Astruca o zaliczkę. We trójkę pojechaliśmy omnibusem na Boulevard des Italiens. Basia z przyjacielem czekali na ulicy, ja zaś sporo się namęczyłem, nim zdołałem wyciągnąć pieniądze od opornego urzędnika. Basia podziękowała mi uściskiem i pocałunkiem, natomiast jej kochanek zapalił tylko papierosa i zaczął patrzeć w przeciwną stronę. „Jak' żeż zmieniła się sytuacja od zeszłego roku!” — pomyślałem z niemałym zadowoleniem.

— Widziałeś ostatnio Szalapina — spytał mnie kiedyś Józef, który wiedział, że nie tylko słuchałem, ale i osobiście poznałem śpiewaka.

— Owszem — odparłem. — Jutro znów go zobaczę.

— A więc — zawołał mój przyjaciel — musisz mnie z nim poznać. Kiedy studiowałem w Kijowie, był moim bożyszczem. Całymi nocami wystawałem nieraz przed kasą teatralną, aby zdobyć bilet na jego przedstawienie.

Wzruszony takim entuzjazmem, obiecałem sprawę załatwić. Nazajutrz, nie szczędząc słów, opowiedziałem Fiodorowi wzruszającą historyjkę o „ubogim polskim studencie z Kijowa, który głodował, żeby tylko usłyszeć twój śpiew, a teraz umiera z pragnienia, aby poznać cię i wyrazić swój podziw”. Szalapin, który z reguły gości nie lubił, widocznie wzruszył się moją opowieścią.

— Przyprowadź go na podwieczorek — powiedział. — Lubię studentów.

Kiedy nadszedł ów pamiętny dzień, zadzwoniliśmy z Józefem do drzwi apartamentu Fiodora w Grand Hotelu. Otworzył nam osobiście i serdecznie uściśnął dłoń Józefa.

~~ Nie wygląda mi pan- na studenta — zauważył.

arozszyński zmieszał się, ale nic nie odpowiedział. Stół nakryty śl do Podwieczorku w stylu rosyjskim

— z wódką, wędzonymi k<sup>j</sup>, z\*ami, sardynkami i zimnym mięsiwem. Po paru wódkach wiel-

J?lewk

s6ln

oznajmił uroczyście:

rzyniałem list od mego przyjaciela Gorkiego wraz z rękopi- t

s6ln m list od mego przyjaciela Gorkiego wraz z rękop

0 ostatniego opowiadania. Jest przepiękne, koniecznie mu-ram przeczytać — po czym wyszedł z pokoju, aby przynieść Józef

1 odezwał się dotąd ani słowem, opanowało go wzruszenie,

183

o i«r«n z plikiem kartek i wódką. Szalapm | P się po

daremnie otwierał s mu

ie nad sobą, g\* dor zerwał się z

ie Fio

i

anie nad sobą, g dor

ią głośne chrapanie. Fio łyskiem w oku won

wanie się

nych, w sWych kasyna,

sukinsynu, żebym

każdy.

po ^powali ^v0 całorocznym S\* zabójcze skutki

dzenia surową innym uzdr°W u

i

i

stkie okiennice

184

30

Orange, pyszniące się idealnie zachowanym starożytnym teatrem rzymskim, położone jest przepięknie w samym sercu Prowansji, nieopodal papieskiego Awinionu oraz rozświetlonego przez Gauguina i Van Gogha Arles. Potężne mury wzniesione z ogromnych bloków skalnych u podstaw teatru układają się w solidną platformę, która stanowi scenę i znajduje się na wprost rozległej,



amfiteatralnej widowni; całość tworzy imponującą scenerię dorocznego festiwalu opery i dramatu. Muzycznymi wydarzeniami był wówczas Mefisto-feles Boita i Trojanie Berlioza, dramat natomiast reprezentowała Comedie Francaise, wystawiająca Edypa Sofoklesa i Cyda Cor-neille'a. Frekwencja na tym popularnym festiwalu była tak ogromna, że wielu chętnych musiało szukać kwatery w pobliskich mia-staoh. Szczęściem dla mnie miałem wygodny pokój w uroczej willi Fiodora w odległości zaledwie jednej przecznicy od amfiteatru, a do tego bezpłatne bilety na wszystkie przedstawienia.

— Monsieur Szalapin jest w teatrze i tam czeka na pana — oświadczyła młoda, ładniutka pokojówka, otwierając mi drzwi do domu. Aby nie stracić zbyt wiele z próby, pozostawiłem walizkę pod jej opieką, a sam pobiegłem na miejsce, gdzie zamiast „nagiego” Mefistofelesa ujrzałem na scenie tłum starożytnych Greków, którzy z rozdzierającym serce patosem bołeli nad losem nieszczęsnego Edypa. Fiodor w stroju spacerowym siedział na kamiennej ławie, a zobaczywszy mnie, wykrzyknął jak w ekstazie:

— Artusza, co to za geniusz ten Mounet-Sully! Chcę się od niego uczyć, to największy aktor na całym świecie!

I przy każdym patetycznym okrzyku biednego króla-kazirodca ścisnął mi rękę... Mounet-Sully uchodził za największego tragika swoich czasów; był niezrównanym mistrzem starej szkoły przesadnej •klamacji, a modulując każde słowo, grał nieustannie na uczu-  
airt widz°w- Co do mnie, pozostawałem nieczuły na tego typu orstwo, a raczej — o, wstydzie! — przyprawiało mnie ono nie-  
\*T y o niepohamowane ataki śmiechu.

sij uf °, ran^a Fiodor i ja wstaliśmy chyba lewą nogą — on wygło-  
kazanie na temat mojej niekompetencji w sprawach teatru,  
Wkróto .gałem go z ferworem, by nie naśladował starego aktora.  
i nasz w \*'ec\*nak zapanowała między nami całkowita harmonia, gdy  
\* Padł na piękną młodą pensionnaire z Comedie Fran-  
minęła minuta, a niepokromiony Fiedia już ujął ją pod  
Czął szeptać jej coś do ucha.

185

zamiast  
lem

JS3S5S5S-

\)UC

T?r

!ze?

silem g°-

Nadszedł czas wyjazdu do Szwajcarii, gdzie oczekiwali mnie przyjaciele.

— Możemy pojechać razem aż do Lyonu i tam przenocować —  
poradził mój „szef”. — Pan ma pociąg wcześniej rano, mój zaś trochę później zawiezie mnie do  
Aix-leS-Bains, dokąd udaję się na kurację.

Oczywiście zgodziłem się. Po wesołym obiedzie w towarzystwie paru muzyków i krytyków wróciłem  
do willi, żeby spakować rzeczy i pożegnać się. Fiedia uściskał mnie i ucałował.

— Przyjeżdżaj do Rosji, Artusza! Dopiero tam będziesz się mógł naprawdę dobrze zabawić.  
Naprawdę dobrze zabawić? — pomyślałem bliski przerażenia. A czy teraz brakowało mi czegoś?  
Ładniutka pokojówka, jeszcze jedna ofiara śpiewaka, zniosła mi walizkę.

W pociągu Astruc i ja trafiliśmy na miłe towarzystwo i spędziliśmy kilka godzin na ożywionej,  
ciekawej rozmowie. Przykra niespodzianka czekała nas natomiast w Lyonie, gdzie przyjechaliśmy  
około północy. W żadnym hotelu w mieście nie można było znaleźć wolnego pokoju.

— Nic się, chłopcze, nie martw — pocieszył mnie nigdy nie tracący głowy impresario. — Znam tu  
dobry lokal, gdzie będziemy mogli pójść do łóżka, a potem nawet spać — dorzucił z uśmiechem.  
„Dobry” lokal okazał się jednym z najelegantszych burdeli w mieście, a mój „szef” czuł się tam jak u  
siebie w domu.

— Proszę nas obudzić o ósmej rano przyzwoitym śniadaniem — zapowiedział „madame” i pozostawił mnie pod opieką wysokiej, korpulentnej brunetki, dla siebie wybierając kościstą blondynkę. Tej nocy zostałem wtajemniczony w sekrety płatnej miłości.

Nazajutrz rano rozstaliśmy się na dworcu; wsiałem do pociągu jadącego do Montreux. Nieruchome Jezioro Genewskie lśniło słońcu, góry spoglądały nań ze swych majestatycznych wysoko-C1» a cała okolica ubrana była we wszystkie kolory lata. Kiedy cat-f z\*em s^ u celu> uPa\* dawał się mocno we znaki. Szybko prze-ida m °0Ś w ku^ecie dworcowym i wsiałem do kolejki linowej i pój J,z Pobliskiego Territet do „Grandę Pałace de Caux”, która po Na d n^e3 stromej wspinaczcze dowiozła mnie do samego hotelu. rująceronie Przywitał mnie Fryderyk, jak zawsze serdeczny i cza-1 zaprowadził do hallu, gdzie jego matka i Basia zgoto-jśorące powitanie. Zabrzmi to może dziwnie, ale mimo nie-łó- sj eś° Charakteru panujących między nami stosunków, poczu-a\*> jakbym wracał na łono rodziny. -aux” był pięciopiętrowym budynkiem okazałych roz-

187

186

S

poza »<Jl” -  
miecka

;«rrlzałO BttO

188

nik, jego żona była za wysoka i za chuda, a dzieci miały za jasne włosy i były zbyt piegowate. Ale z czułą sympatią przyglądaliśmy się bladej i kruchej damie z Argentyny oraz jej dwóm kilkunastoletnim córkom, a także przystojnemu mężczyźnie, najwidoczniej jej kochankowi. Hałaśliwa grupa Włochów budziła w nas głębokie oburzenie, natomiast głównym obiektem naszej ciekawości stał się pewien Anglik, którego uważaliśmy za chodzącą doskonałość. Nienagannie ubrany, przebierał się trzy lub cztery razy dziennie, zawsze w strój najbardziej stosowny do okoliczności, wieczorem zaś jego smoking, plisowana koszula, lakierki i jedwabne skarpety stanowiły szczyt elegancji. Jadał samotnie, a gładko wygolona, czerstwa twarz oraz monokl, nadawały mu pozory wyższości towarzyskiej, co jest typowe dla Anglików, i budziły pełen szacunku podryw. Z życzliwością obserwowaliśmy trzy wyniosłe Rosjanki, z których jedna była inflancką baronową. Uważałem ją za piękną, ale pani Magdalena nie znosiła jej, co było naturalne.

Po paru dniach tej zimnowojennej atmosfery zaczęliśmy, zrazu nieśmiało, zawierać znajomości z niektórymi spośród hotelowych gości, a poznavszy ich nieco bliżej, ze wstydem musieliśmy przyznać, jak powierzchowne były nasze oceny. Niemcy, na przykład, okazali się namiętymi miłośnikami muzyki; zastałem ich kiedyś pod drzwiami Fryderyka w skupieniu przysłuchujących się jego grze. To nas, rzecz jasna, zbliżyło. Nasze spory o Brahmsa i Brucknera trwały nieraz godzinami, a wspominam je z przyjemnością.

Señora Amelia Luro, owa Argentynka, była chora na gruźlicę, chorobę, która niekiedy w swych ofiarach wyzwała przed śmiercią światłość transcendentnego piękna; tak właśnie było w tym Przypadku. Akompaniując sobie na gitarze, lubiła śpiewać popularne pieśni swej ojczyzny mezzosopranem o tak słodkim, łagodnym i tak wzruszającym brzmieniu, że łzy napływały mi do oczu. Nie-d ore z tych pieśni pamiętam po dziś dzień. Towarzyszący jej rriłó-y człowiek był malarzem z Cambo, w francuskim kraju Basków, 6 Wsp°\*n\*e zamieszkiwali, i nie był jej kochankiem, jak sądzi- tyllc° starym przyjacielem rodziny. Nie muszę dodawać, że y. Zak°chaliśmy się w Amelii i wkrótce staliśmy się nie-

ne Juz trzy wyniosłe damy z Petersburga, dowiedziaw- e mówimy po rosyjsku, porzuciły snobistyczne maniery ° Pozwolem”e przyłączenia się do naszego towarzystwa. 0^łłkacłł nasz stolik w hallu stawał się ośrodkiem życia, airf i.wieczory — ku naszej nieustającej radości — wypeł- filo°Ż^Wiona konwersacja na tematy poważne, takie„jak ^ia, religia czy polityka, albo też najzwyczajniejsze plo-

szy

tak

189

cięte riposty

cygaro,

aw bie

ie dobierał °a5° anU.

fłdY któregoś r

i przypał swemu^ ( gdyFryderyt^  
Trudno op\*a\* Sadzającego ^ P«a"±

J  
I ranka \_ ujrzałem ^  
mego

P"«± ci« na pevmo Zainteresuje^ fescynu.

Cy  
Obaj pocbionu; Jo, nscara WUde'a.

- \*«\*?%Jał doskonale Oscara zn

wia< jącei  
\*?%Jał dos sc ze zn

ai  
iosłego syna

pokoju  
akcentem

w

\_ Mam dwóch partnerów, jeden jest niemieckim baronem, drugi 7aś to Anglik o dobrym nazwisku, udajemy jednak, że się nie !namy Spotykamy się w oznaczonych hotelach, o oznaczonej porze Inku i usiłujemy zdobyć nieco wiarogodnych informacji o sytuacji ^nansowej interesujących nas osób, a potem układamy robocze Sany Jak panowie sami mogliście się przekonać, gościom hotelo-tlm musimy, rzecz jasna, imponować; to ułatwia podejście do ^typowanych ofiar; ich snobizm często każe im zapomnieć o strach Sposobów oszukiwania w kartach, oczywiście, nie mogę

panom'zdradzić - uśmiechnął się. - To musi pozostać tajemnicą  
Siedzieliśmy w milczeniu, na wpół ubawieni, na wpół przerażeni tv«i otwartym przyznaniem się do kryminalnego przestępstwa! Ale Sze op^wLdzLł nam o tym wszystkim jak gdyby od niechcienia z ironią, sprawiło, iż zaczęliśmy powątpiewać w Pra^d^oścJ^ historii; brzmiała zbyt absurdalnie! Jednocześnie pochlebiało nam okazane zaufanie. I tak, niezależnie od tego, czy był oszustem, czy tPŻ nie lubiliśmy fałszywego angielskiego lorda.

Os^ar Wilde, którego twórczość i bogate życie stały się wówczas przedmiotem wielu dyskusji, często bywał tematem także ^aszych rozmów. Przy jakiejś okazji, gdy dyskutowaliśmy o jego ^tukach teatralnych, przedstawiłem, a właściwie w całości odegrałem Sa fome? dramat napisany dla Sary Bernhardt, który widziałem na prywatnym przedstawieniu w Berlinie, wyreżyserowany po nie miecku przez Maxa Reinhardta.

Musiałem być tego dnia w szczytowej formie; moja imitacja^gry aktorskiej oraz ich głosów w połączeniu z dramatyczną opowieść ą o gorączkowym rozwoju akcji kilku scen poruszyły moje niewierne audytorium do tego stopnia, że pan Watson, zapominając o swym zwykłym spokoju i opanowaniu, wykrzyknął w ekstazie:

- A dlaczego nie mielibyśmy wystawić tego tutaj?

Popatrzyliśmy na niego, jak gdyby zaproponował przeskoczenie balustrady -

-Nie róbcie państwo takich niemądrych min — opierał się Pfzy swoim — To zupełnie realne. Scenę mamy, a udział będą j>ra6 wszyscy. W życiu jesteście państwo doskonałymi aktorami Rzucił, uśmiechając się złośliwie.

" I słuszność - w hotelu na parterze znajdowała się sala ba-z niewielką sceną, w soboty odbywały się tam tańce, lecz e dni tygodnia była zamknięta.

nysł wydawał się szalony, ale nam spodobał się właśnie dla 2e był szalony.

nuiac to niecodzienne przedsięwzięcie, zapomnieliśmy o sprawniejszej: jakim posługiwać się językiem! Sztuka zosta a a Po francusku dla Sary Bernhardt, która jej nigdy nie

191

190

H

golach -"\* Z dodałem z auiu\*

ss

192

nienia podjętych zobowiązań. Przypomniałem sobie starą melodię żydowską, którą Fryderyk zaaranżował na zespół sześciu muzyków hotelowych — i to właśnie miał być taniec Salome. Basia przećwiczyła kilka pas z siedmioma zasłonami; doskonale jej to wychodziło — miała do tej roli odpowiedni temperament. Nawet mówiący po niemiecku kelnerzy z przyjemnością brali udział w przygotowaniach do wystawienia sztuki, pod moim kierownictwem ucząc się tekstów i gestów. Całość reżyserowałem kierując się tym, co widziałem w Berlinie.

Fryderyk i ja postanowiliśmy rozpocząć spektakl wykonaniem Ucznia czarnoksiężnika Dukasa, w układzie na cztery ręce; graliśmy to znakomicie, liczyliśmy więc, że w ten sposób wprawimy widownię w dobry nastrój.

Wreszcie nadszedł ów wielki wieczór. Ku naszemu zdumieniu przybyło mnóstwo osób z Lozanny, Montreux, Territet, Clarens oraz innych okolicznych miejscowości. Sala wypełniona była do ostatniego miejsca! Dukasa przyjęto owacyjnie, sztuka zaś odniosła autentyczny sukces.

Występując w roli Heroda, miałem dziwne wrażenie, że odgrywam historię z własnego życia, a namiętne zalecanki Heroda do Salome przypominały mi tego wieczora moją dawną miłość do Basi, wzbudzając jednocześnie spazm nienawiści do jej matki — Herodiady-Magdaleny; był to dziwny, wręcz nie-1 pokojący zbieg okoliczności.

Po spektaklu uszczęśliwiony nad wyraz dyrektor hotelu podejmował nas wszystkich, a także obsługę sceny, wesołą kolacją. Miłe małżeństwo przybyłe z Lozanny w celu obejrzenia sztuki chwaliło nasze przedstawienie, ale szczególne wrażenie wywarł na nich nasz duet fortepianowy. Mężczyzna przedstawił się jako pułkownik Clayton, Anglik, osobisty adiutant księcia Connaught, brata króla Edwarda VII. Jego żona, niezwykle urocza pani, okazała się Francuzką, baronówną de Fouquieres. Zaprosili mnie na kilka dni do Londynu, prosząc, bym zatrzymał się w ich domu i wystąpił P<sup>o</sup>dczas wielkiego przyjęcia, które zamierzali wydać na cześć księ-^a Oraz jego córki, księżniczki Patrycji. Miałem otrzymać honora-atUn? Ofaz zwrot kosztów podróży. Propozycja była niezmiernie tkn •y\*'na — dawała mi doskonałą okazję poznania Londynu i ze-d2a1.^cla.siC z elitą towarzyską, przyjąłem ją więc z radością, zga-lc si<? jeden tydzień listopada spędzić w ich rezydencji.

' Do pj^10.ne> bogate w przeżycia lato w „Caux” dobiegło końca. tftyg dn^2a po;^ecna^smy przez Genewę, gdzie zatrzymaliśmy się \* tak 2' f °k^c miasto bardzo mi się podobało, nie byłem nim ^k z »iatk yC°ny' ;jak t0 obiecywał Paderewski. Z Paryża Fryde-3 udali się pociągiem do Polski. Basia została w mieście,

....!-  
i zacząłem przy-  
mżĘimM  
mmmm HfllHtl  
""«=•""

,  
poczęstował  
194

opisem swego najnowszego dzieła pod tytułem Misterium, które miało być wykonane w specjalnie wybudowanej świątyni! Skriabin był trochę dziwakiem, to prawda, ale zawsze żywił ogromny podziw dla jego muzyki.

31

Do Londynu wyjeżdżałem z uczuciem ogromnej niepewności. W krajach kontynentalnych, które uprzednio poznałem, do Anglików, ich stylu bycia, języka, obyczajów, strojów, sposobu zachowania przy stole — odnoszono się z nabożnym szacunkiem.

Królowa Wiktoria w trakcie swego sześćdziesięcioletniego panowania nad piątą częścią naszej planety usiłowała narzucić swym poddanym surowe zasady postępowania. Jej następca, król Edward VII, znany dotąd jako książę Walii, mimo surowych napomnień matki cieszył się reputacją bon vivanta, admiratora kobiet, wina i hazardu. Tak się złożyło, że do Londynu przybyłem na samym początku ery edwardiańskiej: obserwowanie jej wpływu na społeczeństwo angielskie było wówczas zajęciem wręcz fascynującym.

Podróż do Londynu gorsza już być nie mogła! Przez trzy godziny, aż do Calais, musieliśmy siedzieć w zadymionym przedziale, potem przeprawa przez Kanał małym parowcem, gdzie stłoczeni staliśmy na pokładzie cuchnącym dawnymi resztkami morskiej choroby, od czasu do czasu odświeżanymi

przez nowe ofiary wysokiej fali. Po godzinie takiej męczarni wylądowaliśmy w Dover zupełnie wyczerpani, ale tu czekało nas jeszcze stanie w długich kolejkach do sprawdzenia dokumentów i przejścia przez komorę celną. Wreszcie 'torej godziny w pociągu ekspresowym, w którym rzuciło nami Niemilosiernie, i oto na koniec znaleźliśmy się w Londynie. Ale był to pierwszy w życiu wizyta w Londynie sprawiło, że

zawsze zapomniałem o wszystkich niewygodach. Wskazówkami zawartymi w liście pani Clayton, miałem dwukołowy pojazd, tak zwany hansom, w którym woźnica leciał za mną i powyżej mnie. Nieco przygnębiony widokiem podziurawionych ulic udałem się na Portland Place 78. Go-Przyjęli mnie w buduarze; pułkownik Clayton był we -- jał, żonka zaś w wytwornej sukni wieczorowej.

Smy zaproszeni na kolację u lorda Morley i pan razem

0

p J ^

Więć szybko się- 'przebrać; my jedziemy już teraz,

Pana ^Zę Więć szybko si niebawem przyślemy

powóz.

195

Groźnie wyglądający kamerdyner we fraku i w czarnym krawacie wskazał mi drogę do mojego pokoju. Bez słowa wszedł do łazienki i puścił wodę do wanny. Podczas gdy ja zajęty byłem rozbieraniem się, rozpakował walizkę i wyszedł z pokoju, zabierając do odprasowania mój strój wieczorowy. Z rozkoszą pogrążyłem się właśnie w gorącej kąpiel, gdy wrócił, bliski paniki.

— Nie mogę znaleźć pańskiego cylindra, sir... Szukałem już wszędzie, sir... Czy zechciałby mi pan powiedzieć, gdzie go pan zostawił?

Wpadłem w popłoch. Po prostu nigdy nie posiadałem żadnego cylindra, teraz jednak poczułem nagle, że człowiek bez cylindra niegodzien jest żyć! Na szczęście zachowałem dość przytomności umysłu, aby wyjaśnić:

— To okropność! Mój służący w Paryżu pewnie zapomniał mi go zapakować. Naprawdę nie wiem, co teraz począć. Nie mogę przecież iść na kolację bez cylindra!

— Może w takim razie na dzisiejszy wieczór weźmie pan jeden z cylindrów pana pułkownika? Mam nadzieję, że będzie na pana pasował — odpowiedział kamerdyner.

No cóż, wcale nie pasował! Mam bardzo dużą głowę i nigdy nie udawało mi się znaleźć gotowych kapeluszy na moją miarę. Mimo to pożyczyłem cylinder pułkownika Clayтона i trzymając go w ręku, udawałem, że jest zbyt gorąco, by go nosić na głowie.

U lorda Morleya odbywało się skromne tylko przyjęcie — zaproszonych było około dziesięciu osób — miało ono jednak bardzo oficjalny charakter. Do jadalni musieliśmy wchodzić parami, służąc paniom ramieniem. Kiedy zasiedliśmy już do stołu, rozmowa właściwie umilkła, a całą uwagę skierowano na jedzenie, niezbyt zresztą smaczne, za to podawane w sposób absolutnie doskonały. Przy deserze pan domu wstał i unosząc kieliszek szampana, powiedział uroczyście:

— Ladies and gentlemen, I give you the King! (Panie i panowie) proponuję wnieść zdrowie króla!).

Wszyscy podnieśli się i pili wino w milczeniu. Po kolacji lord Morley poprosiła panie z powrotem do salonu, panowie zaś stali w jadalni, gdzie podano kawę i porto. Dzięki paru kieliszkoj wina rozmowa stała się teraz głośna i ożywiona, a kilka dobrym żartów spowodowało salwy śmiechu, wreszcie — po dobrej J? godzinie — pan domu z trudem nakłonił nas, byśmy przyłączyli do pań. Czułem się na tym przyjęciu straszliwie obco; sądziły że nikt nie wie, iż jestem muzykiem, a zostałem zaproszony i e , • nie jako gość państwa Clayton. Mimo to poznanie typowej, \*& sądziłem, ówczesnej londyńskiej socjety sprawiło mi przyjen111

Moi gospodarze okazali się nad wyraz gościnni. Zaprowa

196

mnie do National Gallery i do British Museum; oba te muzea spodobały mi się ogromnie, zwłaszcza że zwiedzanie ich jest bardzo łatwe. Bez trudu podziwiać można mieszczące się tam arcydzieła, na przykład sławne marmury Elgina, wywiezione z Partenonu' czy — w Galerii — Wenus Velazqueza, jedyny akt namalowany przez tego artystę. Natomiast odwiedziny w Luwrze zawsze mnie nużyły ze względu na ogrom sal, konieczność wspinania się po stromych schodach, kiepskie oświetlenie oraz męczące rozmieszczenie arcydzieł; chcąc w trakcie jednej wizyty zobaczyć Wenus z Milo i Monę Lisę, trzeba było pokonać kilka kilometrów.

Wielkie przyjęcie u Claytonów odbyło się w dwa dni później. Cały dom przewrócono do góry nogami,

usunięto ciężkie meble i zastąpiono je innymi, główny salon przekształcony został na salę koncertową, w której każdy narożnik ozdobiony był pięknymi bukietami kwiatów. Obiad jedliśmy na mieście, aby nie przeszkadzać w przygotowaniach do kolacji.

— A zatem pójdziemy do „Scotta” na homara — powiedział pułkownik Clayton.

„U Scotta” — tak nazywała się sławna restauracja przy Picadilly Circus, jedyny lokal, gdzie można było znaleźć świeże homary

o szczytach dłuższych od ogona.

Tego wieczora w saloniku na parterze, gdzie podawano napoje, państwo Claytonowie i ja czekaliśmy w strojach wieczorowych na przybycie zaproszonych na kolację gości. Z wybicciem ósmej, punktualnie co do minuty, zebrało się dostojne zgromadzenie. Księżę Connaught w towarzystwie syna, księcia Artura, oraz córki, księżniczki Patrycji, przybył ostatni, jak sądzę — zgodnie z protokołem. Ku memu ogromnemu zadowoleniu impreza była mniej oficjalna niż u lorda Morleya. Claytonowie przedstawili mnie wszystkim, wygłaszając uprzejme uwagi o moim talencie, na co w od-Powiedzi wysłuchałem kilku inteligentnych uwag dotyczących mu-W ledy kamerdyner zapowiedział, że podano już do stołu,

4zę otarował ramię pani Clayton, pułkownik Clayton księżnicz-Pusad Wszyscy Powstali weszli bez żadnych ceregieli. Zostałem

1 pr °ny PrZy ksi5zniCzce> co stanowiło zarówno zaszczyt, jak o jd yjeinność, gdyż była piękna i urocza — wysoka brunetka

X kształtneJ Sł°wie i czarnych, inteligentnych oczach. mnie :jak dorosłeg°> interesowała się moimi wrażeniami wypytywała ° życie w Paryżu, tak że gdy kolacja do-a' byliśmy w Przyjaznej komitywie. Jak się później ' Pozostali goście należeli do śmietanki towarzyskiej nteresowali i litt

i tk lil d

2 Lond biegła

^telige .fm' Pozostali goście należeli do śm yj

by\*alcóJ?interesowali się literaturą i sztuką, zaliczali się też do P° PraL?°nCertÓW i P°ważnych przedstawień teatralnych.

^dziwie wyśmienitej kolacji (pani domu była Francuzką!)

197

tota\ e ^ dpi

Polsce

i \*\*»

dopiero całuje

zadowo-

198

binarni, z drugiej zaś szmaragdami. Byłem zachwycony tą wizytą, ale i nieco rozczarowany, ponieważ nie poznałem nikogo z angielskich muzyków. Claytonowie obracali się w ściśle arystokratycznym środowisku.

Wróciłem do Paryża, tym razem już nie tak zmęczony trudami podróży\* a za to w dumnym nastroju człowieka pozostającego w zażyłych stosunkach z angielską rodziną królewską, arystokracją i plutokracją! W drodze do domu uderzył mnie kontrastowo różny wygląd Francuzów — niskich, otyłych, brodatych...

Ujęty jednak przyjęciem zgotowanym mi przez przyjaciół w pensjonacie oraz doskonałymi lodami czekoladowymi na deser, postanowiłem wypuścić się na hulankę.

— Jeśli chcesz się dobrze zabawić, idź do „Folies-Bergere” — poradził mi jeden ze skandynawskich studentów. — To najlepsza rewia w mieście.

Uwierzyłem mu i niestety poszedłem za jego radą. Sala była wyprzedana, pozostały już tylko miejsca stojące, ale ochoczo wykupiłem bilet.

W 1905 roku „Folies-Bergere”, ze swą rewią & grand spectacle> jak ją nazywano, znajdowało się u szczytu formy. Najskromniejszy turysta uważałby sobie za dyshonor wyjechać i nie obejrzeć tego przedstawienia. Jednak wyznać muszę, że mnie Ze grand spectacle rozczarował. Główną atrakcją stanowiło kilkanaście na wpół rozebranych dziewcząt, wolno schodzących po schodach; niektóre prezentowały nagie biusty, ale musiały stać bez ruchu, jak posągi, więc po chwili przestawało się na nie patrzeć. Inne dziewczyny, przystrojone w przedziwne nakrycia głowy, mające rzekomo ilustrować aktualne wówczas wydarzenia, nosiły napisy w rodzaju: „Jestem Kanałem Panamskim” albo

„Jestem Senatem” czy „Jestem rzeźnią”; paradowały bez rytmu i bez wdzięku, z przyklepionym do twarzy stereotypowym uśmiechem. Na domiar złego nieustannie kręcił się jakiś compere czy jakaś commere — francuski Odpowiednik konferansjera — objaśniając te idiotyczne piosenki, «sty i gesty bez ładu i składu. Zasłużoną ulgę przyniosło mi em parę pierwszorzędných numerów wodewilowych. do \* ° mn\*e idzie, to bardziej niż scena fascynowała mnie wi-to nia. Miejsca stojące okazały się czymś zupełnie innym niż stan° S.°k\*e wyobrażałem; nazywano je Ze promenoir i rzeczywiście C2yz y miejsce promenady — co prawda zastrzeżone dla męż-lincj, \* których wielu paradowało w wieczorowych strojach i cy-noir łC \* Oraz dla prostytutek poszukujących klientów. Le prome-C2y\* ę z Przestronnym foyer, to jest czymś w rodzaju hallu gdzie w czasie przerwy można było oglądać wschodni

199

czy

przech "aleV/aC vniw ~^ie bu-

co

Y\ Z

— W porządku, tutaj ma pan pieniądze, ale niech pan nie zapomni zjawić się jutro.

Odetchnąłem z ulgą. Po zapłaceniu hotelu i kobiet — nie bez walki, gdyż chciały zagarnąć wszystkie moje pieniądze — poprzysiągłem sobie, że już nigdy więcej nie dam się wplątać w podobną kabałę! Minęły trzy tygodnie i dopiero w przeddzień wyjazdu do Ameryki zdobyłem pieniądze na wykupienie spinek.. Grubas uśmiechnął się cynicznie:

—! Monsieur, ponieważ nie zgłosił się pan następnego dnia rano, musiałem je sprzedać, ze stratą!

32

Kilka dni przed Nowym Rokiem wsiadłem na pokład francuskiego transatlantyku „La Touraine”. Pan Astruc podarował mi neseser wyposażony w przybory toaletowe, a także nieco więcej pieniędzy na napiwki, które — jak powiedział — na statku bardzo się liczą. Na Gare St.-Lazare życzył mi powodzenia i udzielił pouczeń, jak się zachować w razie niebezpieczeństwa i jak zwalczać morską chorobę. Jego słowa wcale nie dodały mi otuchy — bałem się tego pierwszego zetknięcia z oceanem, a gdy w posępny i mglisty wieczór dotarliśmy do Hawru, byłem w bardzo podłym nastroju.

„La Touraine”, w porównaniu z nowoczesnymi luksusowymi statkami, sprawiała wrażenie skromnej rzecznej łajby. Sala recepcyjna miała nader różnorodne przeznaczenie — służyła jako salon z fortepianem Pleyela w kącie, jako foyer, w którym pasażerowie gromadzili się w porze podwieczorku i po kolacji, a także jako czytelnia i miejsce, gdzie pisano listy. Pośrodku znajdowały się szerokie schody wiodące na pokłady kajutowe i do jadalni. ^Moja kajuta urządzona była po spartańsku: dwie koje, jedna . ^rużą, zajmowały połowę pomieszczenia; łazienki, rzecz jasna, ^ było — o takim urządzeniu we Francji w owych czasach 2 nie słyszano; zastępowała ją mała umywalka, gdzie po Nu guzika i pod warunkiem, że robiło się to dostatecznie tynęła strużka zimnej wody. Poczułem się nieco podnie-kajut na duchu, choć nie pocieszony, dowiedziawszy się, że lepszych i1 statku w ogóle nie ma, z wyjątkiem dwóch na górnym Jedno, z czego byłem zadowolony, to to, że kajutę mia-

201

200

cii Na szczęście ™\*?^L dyspozyc]. Na ominało mnie P^

zni

ieść

em się do saU

202

straty: żołądki buntowały się na sam widok świeżego joie gras czy kaczk d Vorange. Z trudem udało mi się przełknąć consomme i kilka owoców, ale później, w sali klubowej, gdzie obecność fortepianu przywróciła mi siły, pozwoliłem sobie na trochę szampa dla uczczenia Nowego Roku oraz mego amerykańskiego debiutu. Na ogólne życzenie dałem pełny koncert, podczas którego doszło do komicznego wydarzenia. W pewnej chwili tak rzuciło statkiem, że straciłem równowagę i spadłem na ziemię, nic mi się jednak nie stało. Kiedy wreszcie wygramoliłem się i stanąłem na nogach, kapitan polecił dwóm marynarzom, by rzemiennymi pasami przytroczyli mi nogi do stołka, przymocowanego — podobnie zresztą jak i fortepian — śrubami do podłogi. Bez dodatkowych

przeszkód kontynuowałem koncert, ciesząc się, że tak oto zostałem „przykutym do sztuki”.

— Brawo, brawo! — zawołał hrabia Gontaut-Biron, gdy skończyłem grać; klaskał też głośniejsze niż wszyscy. — Czy zechce mi pan towarzyszyć na kieliszek szampana? — zapytał niezwykle uprzejmie. — Uwielbiam muzykę, a pańska gra wzrusza mnie do głębi.

Był to młody człowiek średniego wzrostu, lat około dwudziestu pięciu, o jasnoblonde włosach zaczesanych z przedziałkiem w środku. Sumiaste wąsy a la gauloise zasłaniały wąskie, wygięte usta; nos miał kształtny, dość długi, a błękitne oczy i małe uszy przydawały jego delikatnym rysom wielkiej dystynkcji. Prawdziwy portret francuskiego arystokraty z XVIII wieku!

Tej nocy, na rozkołysanym statku, zostaliśmy przyjaciółmi. Zaprosiliśmy samotną Amerykankę, wypiliśmy całą butelkę szampana i bawiliśmy się do wczesnych godzin rannych. Nasza towarzysząca, atrakcyjna pani w średnim wieku, była wdową po zamożnym obywatelu Los Angeles. Rozpływała się w pochwałach tego małego miasta, o którym nigdy nie słyszeliśmy, twierdząc, że to istny raj na ziemi, gdzie znaleźć można najbardziej przyjaznych ludzi oraz najwspanialsze pod słońcem kwiaty i owoce. A jednak — mówiła z gniewem — Amerykanie omijają je, tłumnie garnąc się do roz-  
zapomnianego-przez Boga i skorumpowanego do cna San , które należałoby zmieścić z powierzchni ziemi! Nam obu to wydawało się czystą fikcją, sprawy, o których mówiła, odleżały i nierealnie. Tak czy inaczej, gorąco, zapraszała gra n' afc>ym 33 odwiedził i muzykował razem z nią — zdradziła, że a harfie-

od tego wieczora, nasza trójka spędzała cały czas

^

C  
po pięciu dniach wysokie fale nieco opadły, mogliśmy się trochę swobodniej; odzyskaliśmy też apetyt na prowadzenie. Któregoś wieczora biznesmeni od kapitańskiego

203

Na

baczy6

biedny mszenie r

5 mała /

204

kilku fotoreporterów i dziennikarzy; zarzucili mnie mnóstwem pytań, które z trudem mogłem zrozumieć.

— Kim byli owi gracze w pokera? Jakie to uczucie, kiedy się jest przykutym do fortepianu? To pan był bohaterem tego rejsu, prawda? Czy pan jest synem Antoniego Rubinsteina? Czy na każdym koncercie zrywa pan struny? Czy jest pan uczniem Paderewskiego?...

Nie czekali wcale na moją odpowiedź. Wreszcie Armand przyszedł mi z pomocą, więc przedstawiłem go memu nowemu impresariowi. Reporterzy rzucili się teraz na niego:

— To pan jest prawdziwym hrabią? Czy przyjechał pan do Ameryki, aby poślubić spadkobierczynię fortuny? Czy nosi pan czasem koronę? — i tak dalej, i tak dalej...

Gontaut miał już dość doświadczenie, szybko więc się ich pozbył.

— Gdzie zamierzasz się zatrzymać, Arturze? — zwrócił się do mnie.

— Zarezerwowałem piękny pokój z fortepianem w hotelu „Netherland” — odpowiedział pan Ulrich.

Armand roześmiał się szyderczo:

i

— Ależ to niemożliwe, nie możesz zatrzymać się w takim miejscu. Jedynym odpowiednim dla ciebie hotelem w tym mieście jest „Waldorf-Astoria”.

— Ależ to bardzo kosztowne — powiedział Ulrich.

— Wszystko, co dobre, musi kosztować — odparł filozoficznie Armand.

Tak więc zdecydowałem się na „Waldorf-Astorię”. „Czterokółka”, jak ją tu nazywano, zaprzężona w jednego konia, zawiozła Ulricha i mnie do potężnego czerwonego budynku u zbiegu Piątej Alei i Trzydziestej Czwartej Ulicy. Po odrazie, z jaką po drodze z portu Przeglądałem się odrapanym dzielnicom nędzy, rozmiary hotelu wydały mi się podwójnie imponujące. Pan Ulrich uśmiechnął się: „-! Proszę poczekać, aż zobaczy pan Flatiron Building; to najwyższy apartment house na świecie, liczy dwadzieścia jeden

Pi^er!

^odeszliśmy do recepcji. Poprosiłem o pokój z łazienką. Pokój [siał być dość przestronny, aby pomieścić fortepian.



Trzymanie fortepianu w sypialni jest sprzeczne z regulami-odparł recepcjonista — ale mogę panu dać mały aparta-3zie będzie pan mógł korzystać z instrumentu. Cena wynosi teścia jeden dolarów za dobę. skłonny był odejść.

a jest zbyt wysoka — szepnął. — W „Netherland” może Piękny pokój za cztery dolary dziennie!

205

d\*adzi

• Intai Biorą apar-podoba mi sxa ^taj. oprotestowałem. - ich dal za  
Wpisałem sie.° . za P^°3tlirkiein, małym Da

2

posadą.

206

chodowej Panhard-Levassor, a to jest moja druga z tego tytułu podróż do Ameryki. Nie myśl jednak, że jestem zwykłym akwizy-torem. Do tego są inni ludzie. Moja praca polega po prostu na dyskretnym zachwalaniu ich samochodów na przyjęciach w domach bogatej nowojorskiej socjety, do której dzięki memu nazwisku mam ułatwiony dostęp. A im się wszystkim zdaje, że poluję na milionerkę! — roześmiał się.

Jego szczerłość mnie oczarowała, więc i ja byłem z nim szczerzy; owa wymiana zwierzeń przypieczętowała naszą przyjaźń: postanowiliśmy razem spędzać możliwie najwięcej czasu.

Nazajutrz rano obudziłem się późno. Chciałem zamówić śniadanie, ale nie mogłem znaleźć guzika, żeby zadzwonić na służbę. Daremnie rozglądałem się po korytarzu za kelnerem lub pokojówką, dopiero uprzejmy sąsiad, widząc mnie w tarapatkach, udzielił mi pożądanej informacji.

— Usługi zamawia się tylko telefonicznie — powiedział. — Niech pan dzwoni i prosi „room service” w sprawie jedzenia, „valet” w sprawie ubrania i prania, a „operator” we wszystkich innych. Brzmiało to zachęcająco, ale w moim przypadku stanowiło znaczne utrudnienie: przyzwyczajony byłem do osobistego kontaktu ze służbą, której mogłem słowami lub gestem wytłumaczyć, o co mi chodzi, przez telefon natomiast trudno mi było jasno się wysłowić oraz zrozumieć amerykańską angielszczyznę.

Tego ranka spotkała mnie jeszcze jedna przykra niespodzianka: buty, które wystawiłem wieczorem do czyszczenia, jak to się robi w Europie, stały nietknięte. Musiało się je odsyłać na dół do ra-zury i godzinami czekać na zwrot. Ale były to drobne tylko niedociągnięcia amerykańskiego systemu hotelowego.

Śniadanie, bardzo zresztą smaczne, podano mi po długotrwałych żaganiach z telefonem. Także kiosk z gazetami odpowiedział na Ql°ją prośbę o poranne dzienniki. Ciekaw byłem, czy w ogóle 0 mnie wspomniano. I oto masz! Znalazłem — duże moje zdjęcie \* porcie i ogromny tytuł na pierwszej stronie jednej z gazet: »ttubinstein, młody polski pianista, obwołany bohaterem przez \*\* sazerów «La Touraine»»; poniżej następowała opowieść o tym, ^ to przykuty łańcuchami (!) do fortepianu grałem przez całą ^ > a°y uspokoić ogarniętych paniką pasażerów rozbitego i uszko-°PuhrS° \*rancuskiego parowca. Inna gazeta, ku memu zdumieniu, pr powała — również na pierwszej stronie — absolutnie nie-ziwą relację o naszej niewinnej partii pokera: „Młody pia-r ą oszustów! Francuscy szulerzy w maratonie pokerowym u°, Ze wszystkich pieniędzy”. Tak mniej więcej brzmiały \*\*óre zapamiętałem; byłem doprawdy wstrząśnięty ową po-

207

»«||

-

-

\*»ami- | \*, uspokoiili 4) natychm.ast i

208

firmy Knabe nie czułem się pewnie i usiłowała™ Pod wieczór prace przerwał mi dziwny ^]

2

ze przegrałem tyle pieniędzy do „tych niebezpiecznych lecz k,edy opowiedziałem mu całą prawdę, śmiaHsmy s

czy nie moglibyśmy pójść gdzie indziej? Nie — odpowiedziałem. — Nie chcę dziś wieczorem

?iL" mam l pr6b\*; koncert- ^ST

Ależ ja nie mogę z tobą pójść — upierał się Dlaczego? Winien im. jesteś pieniądze?

T<sup>4</sup>tnt

To było dla mnie coś zupełnie nowego, moje pierwsze zetknięcie<sup>TM</sup> .prawdzmą demokracją! Czułem się uszczęśliw<sup>^</sup> W głębi<sup>T</sup> du-  
nikogo, nawet pianistów bez talentu nie trakto<sup>^T</sup> Ljąłem mg k Neumarka pod ram<sup>^</sup>  
gdzie >eS<sup>°</sup> eks-koledzy obsTu?

33

moimforw najprędzej<sup>J</sup> z<sup>°</sup>baczyć, co stroiciel zdołał zdziałać 2ed roznn, P1<sup>^</sup>nem' pTzybyłem do  
Carnegie Hali na pół godziny<sup>^</sup> N na ITT-PrÓby- Jednak Wielu czł<sup>0</sup>\*k<sup>°</sup>w orkiestry zasta-<sup>TM</sup>e; z  
Przyjemnością przysłuchiwałem się jakże f strojenia i sprawdzania poszczególnych instru- e tt?  
° dzuieS?1ąteJ P<sup>°</sup>Jawił si? dyrygent, pan Fritz > któr\* f ani Chwih rozP<sup>°</sup>cz<sup>^</sup> Próbę jednej z  
uwertur uura miała poprzedzić mój koncert.

209

kolony,  
solidny, ale

na duchu długo f-radzić na

u

210

całą radość z odniesionego sukcesu. Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wtargnął prawdziwy tłum.  
Pan Ulrich, roześmiany od ucha do ucha, ścisnął mi dłoń, jak gdyby to było ramię pompy, i klepał po  
plecach:

— Wspaniale! Był pan wspaniały! Wygrał pan! — potem przedstawił mnie braciom Knabe, którzy  
okazali się bardzo mili, oraz ich małżonkom; mężczyźni uścisnęli mi dłonie, żony mnie wycłowały.  
William, starszy z braci powiedział wesoło:

— Proszę się nie spieszyć. Niech pan chwilę odpocznie, a potem zabierzemy pana na dobrą  
kolację.

W tym momencie pojawił się Armand w towarzystwie kilku przyjaciół, których mi przedstawił. Z kolei  
ja przedstawiłem go rodzinie Knabe. Arystokratyczny tytuł wywarł, jak zwykle, piorunujące wrażenie.

— Czy pan hrabia nie zechciałby nas zaszczyścić i towarzyszyć nam na kolację? — paplali. — Panie  
hrabio, byłaby to dla nas ogromna przyjemność...

Tak często posługiwali się zwrotem „panie hrabio”, że można by sądzić, iż po prostu ćwiczą się w  
wymawianiu tych słów. Armand, jak zawsze pełen kurtuazji, ucałował ręce pań i zaproszenie przyjął.  
Zdecydowany był spędzić ten wieczór w moim towarzystwie.

Kiedy opowiedziałem panom Knabe i panu Ulrichowi o wybuchu Scheela, zapalali oburzeniem:

— Ależ on ma obowiązek z panem dalej koncertować — oświadczył pan Knabe. — Zapłaciliśmy  
mu za to.

Uspokojony, z radością zacząłem rozdawać autografy oczekującemu tłumowi, gdy tymczasem moje  
towarzystwo cierpliwie czekało. Wreszcie mogliśmy wyjść. Trzy hansoms, dwukołowe pojazdy typu  
angielskiego, zawiozły nas do „Delmonico”, jednego z dwóch najelegantszych nocnych lokali w  
ówczesnym Nowym Jorku (drugim był „Sherry”). W lokalu panował tłok, ale Knabowie już  
cześnie z zarezerwowali stolik. Obaj bracia dopiero co przekroczyli , zydziestkę, byli wysocy i dość  
przystojni, ich żony młode i uro-<sup>^</sup>iwe, a cała czwórka promieniała radością! Raz po raz wznoszono  
sty za mój sukces, jednak ośrodkiem zainteresowania pozostawał J? hrabia”. Zaproсили go do swego  
rodzinnego miasta Baltimore, i się o<<sup>\*</sup>być następny mój koncert; Armand obiecał przy-  
kr<sup>^</sup> ein zadowolony z mego amerykańskiego debiutu. Nazajutrz byjy ey wyrażali sprzeczne opinie o  
moim występie: dwie recenzje 1 ch \*astyczne! Jec\*na przepowiadała mi wspaniałą przyszłość,  
valiła technikę i werwę, lecz mniej była zachwycona opa-Biuzycznym, natomiast jednemu z  
krytyków, niejakiemu

211

spodobałem.

V7 sumie bilans

2

natyjn!f frasowania. żelazko do Pra|<sup>°</sup>roadwa i Piąta AliaBr<sup>°</sup>

c<sup>^</sup>

zas

!f fras           ^^  
do Pra|roadway stanowił           ^^  
Aleia• Br°skich bulwarów   ™a w części  
|       bogaczy^ z^    grand atr-Domy

212

Zawsze lubiłem Aidę, ale polubiłem ją jeszcze bardziej, gdy usłyszałem Carusa. Posiadał najbardziej fenomenalny tenerowy głos, jaki w życiu słyszałem — niezwykle potężny, a jednocześnie miękki. Mistrzowskie opanowanie oddechu i piękne frazowanie świadczyły jednak, że był nie tylko tenorem, ale i muzykiem; gdy śpiewał wzruszającą arię, sama barwa jego głosu wyciskała mi już łzy z oczu. Tylko baryton Battistiniego, bas Szalapina, a później sopran Emmy Destinn wywierały na mnie podobne wrażenie.

Podczas przerwy zaprowadzono mnie za kulisy, bym poznał Carusa oraz pana Conrieda, dyrektora Opery. Śpiewak był wylewnym i serdecznym neapolitańczykiem.

— Brawo, brawo! Słyszałem o pańskim wielkim sukcesie — powiedział, ściskając mnie (prawdopodobnie w ogóle o mnie nie słyszał, ale pochlebiło mi to). W latach późniejszych miałem, dzięki Bogu, okazję słyszeć go częściej, a nawet parę razy występowaliśmy wspólnie na koncertach. Heinrich Conried, Niemiec, ceremonialnie przywitał nas w swym gabinecie; był napuszony i czuł się ogromnie ważny.

— Może słyszał pan ostatnio w Europie jakichś dobrych śpiewaków? — spytał, ucieszony moim entuzjazmem w stosunku do Carusa.

— Znam tylko jednego — powiedziałem — ale to geniusz: rosyjski bas, Fiodor Szalapin.

Dyrektor Opery zaśmiał się nieco drwiąco:

— Mein junger Freund — odparł po niemiecku — wiem, że jest niezły, ale po Edwardzie Reszke żaden bas nie może liczyć na sukces w Nowym Jorku.

Nie upierałem się, w istocie trzeba było wielu lat, nim Fiodor Podbił Amerykę.

Nazajutrz wczesnym rankiem Knabowie, Armand i ja wyjecha-ismy pociągiem do Baltimore. Przed wyjazdem zrobiłem głupstwo. <atrzymałem mój kosztowny apartament na trzy dni nieobecności atego tylko, że byłem zbyt leniwy, by się spakować, i nie życzy-11 s°bie, aby ruszano fortepian.

Lekkomyślność moja stanowiła ^ywarę, która przysparzała mi niezliczonych kłopotów. kolv       ro^u podróż z Nowego Jorku na południe była skompli-stą 'pną Spraw3- Trzeba było konną dorożką udać się na Dwudzie-jer   rzeci3 Ulicę, skąd powolny prom przewoził przez rzekę do szyn ^ ^ty, gdzie czekał pociąg do Filadelfii, Baltimore i Wasi^ °nu oraz dalej na południe. Rozsiadliśmy się w pulmanow-a gonie, który dla mnie stanowił nowość, gdyż w Europie eh nie znano. Podobały mi się wygodne obrotowe fotele slci służący, który oczyścił mi buty, płaszcz i kapelusz.

213

iaastach  
któ-

miała na

— Kiedy i gdzie mogę się z panią spotkać? Pani mi się podoba, pragnę pani!

— Oto mój adres. Proszę przyjść w czwartek o piątą — pocałowała mnie ukradkiem i uśmiechnęła się obiecująco.

Pod pierwszym lepszym pretekstem wymówiłem się od udziału w grze. Stan moich finansów chwilowo nie pozwalał mi na pokera, zwłaszcza że koszty hotelu zaczynały mi już ciążyć. Co gorsza, Armand lubił sprowadzać do mojego pokoju swych zamożnych przyjaciół, a ja częstowałem ich alkoholem, a także grywałem dla nich. Ogromnie bawił mnie ten obraz — młody pianista bez grosza, jakim wtedy byłem, goszczący darmo milionerów w rodzaju Bel-montów, Gouldów czy Astorów.

W czwartek, w dniu umówionej schadzki, na kilka mnut przed piątą pojechałem pod dom Doroty przy Wschodniej Trzydziestej Dziewiątej Ulicy (adres pamiętam do dziś). Serce waliło mi z podniecenia. Zadzwoiłem do drzwi, otworzył kamerdyner, który odebrawszy ode mnie płaszcz i kapelusz, poprosił, bym wszedł na pierwsze piętro. Pobiegłem pełen nadziei, że zastanę Dorotę w negligiu, leżącą na kozetce lub jeszcze lepiej — na łóżku. Łatwo więc wyobrazić sobie moje straszliwe osłupienie, gdy wkroczyłem do pokoju pełnego ludzi, wśród których rozpoznałem kilka znanych mi pań z najlepszego nowojorskiego towarzystwa. Dobrą chwilę trwało, nim się

opanowałem i byłem w stanie w sposób naturalny ucałować dłoń pani domu. Obeszła ze mną wszystkich gości, każdemu przedstawiając mnie wytwornie. Upokorzony nauczka, jaką mi dała, starałem się prowadzić uprzejmą rozmowę, wypilem filiżankę herbaty i już zbierałem się do wyjścia, gdy zatrzymała mnie Przy drzwiach.

— Chyba nie zamierza pan nas już opuścić, prawda? Musi pan zostać na kolacji! — zdecydowała, nie czekając wcale na odpowiedź.

Rozgoryczony, spodziewałem się długiego i nudnego, wieczoru.

Zekąta mnie jednak nowa niespodzianka... Goście powoli zaczęli

ułatwiać, a ja byłem jedynym, który pozostał. Wenus i Lukullus

Jawili się po raz wtóry! Dorota i ja zjedliśmy na dole uroczą

ację!

i w kawie i likierach w salonie Dorota zwolniła służbę na noc, a Wszystko się uspokoiło, udaliśmy się na górę, do jej sypialni. 1Sz „związek” był krótkotrwały, zbyt rzadko bywałem w No-Jorku, ale w pamięci pozostał mi jako jedna z największych tego pobytu. Najbardziej podobała mi się, gdy w chwilach Zego uniesienia jej szeroko otwarte, jasnoblękitne oczy zezować. Mitologia tę samą cechę przypisuje Wenerze.

215

34

pierwszy

4s:

Inne im\*01\*\* : • „toncerw^j” - - , ^rawd^i\*"-"- r„vim

Jo\*. W naszym S^o prowad^ ^ p^nie ^ w ^ dującym, lecz m oni za sensaW f brykanci IO^f aieWe

brane baletnice, tworząc osobliwe tło dla toccaty Bacha, którą właśnie ćwiczyłem; nie nawykłe do muzyki klasycznej, raz po raz przerywały mi, prosząc o melodie popularne. Niektóre z dziewcząt były prześliczne, co dodatkowo rozpraszało moją uwagę.

Moje obawy potwierdziły się: teatr nie nadawał się do recitali fortepianowych, a słuchacze byli niemuzycalni. Klaskali w nieodpowiednich momentach, podczas dłuższych utworów nudzili się; najbardziej przypadły im do gustu krótkie i efektowne bisy. Tym razem, krytycy okazali się surowsi.

Moi wierni zwolennicy w dalszym ciągu chwalili talent, ale to i owo mieli mi za złe, niedostatki przypisując „widocznemu podenerwowaniu”. Pan Krehbiel wyszydził mój występ bezlitośnie, zdradzając oczywiste uprzedzenie; przez długie lata miał pozostać moim nieubłagany wrogiem.

Do Chicago Hochman i ja udaliśmy się pociągiem. Po raz pierwszy zobaczyłem wtedy amerykański

wagon sypialny — coś całkiem dla mnie nowego. Fotele rozkładało się przekształcając je w łóżka,

dwa fotele tworzyły coś w rodzaju przedziału, złożonego z dolnej i górnej kuszetki, jak je tu

nazywano. Na dwóch przeciwległych końcach wagonu mieściły się toalety dla pań i panów.

Zajmowałem górną kuszetkę, która okazała się miejscem do spania okropnie niewygodnym.

Wdrapać się tam trzeba było po drabince w ubraniu i rozbierać dopiero na górze, po zaciągnięciu

ciężkiej ciemnozielonej zasłony, siedząc w skurczonej pozycji — co stanowiło istny wyczyn

akrobatyczny! Jeżeli w północy zdarzyło mi się podnieść nieco głowę, uderzałem nią mocno o sufit.

Wagon przeznaczony był dla pociągów obojga, tak więc widok pań wdrapujących się po drabince na

swoje kuszetki nadawał temu pewnej pikanterii.

Kiedy na krótko przed próbą przybyliśmy do Chicago, Hochman Podrzucił mnie do Orchestra Hali, a

sam z bagażami pojechał do hotelu.

— Niech się pan śpieszy, wszyscy już czekają — zawołał ktoś z obsługi, wskazując mi drogę.

. Nie tracąc ani chwili, rzuciłem płaszcz i kapelusz na podłogę uderzyłem pierwszą oktawę Koncertu

Saint-Saensa; w ciągu nie-p«ia pół godziny przegraliśmy cały utwór, bez powtarzania i bez

zymywania. Młody dyrygent, pan Frederick Stock, zeskoczył ucałował mnie, a orkiestra zawołała

„Brawo!” — taki próbach zdarza się raczej rzadko. Najbardziej zaimpono-im moja niespożyta

energia po wyczerpującej podróży. Nic dodaje mi otuchy, jak uznanie ze strony kolegów-muzyków, 1

teraz podniosło mnie to na duchu.

iHja a\$° Eaa opinię miasta wiatrów, tego zaś dnia panowało przej-iek Zll\*ino. Spacer po

ośnieżonych, śliskich ulicach był nader leczny> a ostry lodowaty wichur omal nie urwał mi głowy.

217

Musiałem porzucić zamiar pieszego zwiedzenia miasta; z żalem też muszę wyznać, że w ciągu

całego tournée nie miałem prawie zupełnie okazji, by cokolwiek zobaczyć. Zbyt szybko przenosiliśmy się z miasta do miasta, tak że z wyjątkiem kilku zdarzeń zapamiętałem wyłącznie dworce, hotele i sale, w których występowałem.

Tego wieczora w Chicago nie chciałem jednak dać za wygraną. Postanowiłem wykorzystać wolny wieczór i dobry nastrój.

— Weźmy dorożkę i jedźmy do teatru burleski — zaproponował Hochman. — To się panu może spodobać, to coś typowo amerykańskiego.

Ucieszyłem się ogromnie! W tamtych odległych czasach spektakle burleski wyglądały zupełnie inaczej niż dziś. Było to połączenie wodewilu, komedii i operetki, przy czym najważniejsze były krótkie skecze wykonywane przez komików często wulgarnych, ale zawsze nieodparcie śmiesznych. Od tego wieczora starałem się nigdy — jeśli tylko miałem po temu okazję — nie opuścić żadnej „burleski”; moimi ulubieńcami byli komiccy Weber i Fields — ich błazeństwa i cudowny amerykański slang sprawiały, że ze śmiechu z trudem utrzymywałem się na fotelu.

Poznane wówczas, w 1906 roku, Chicago dysponowało jeszcze jedną atrakcją. Duża część South Michigan Avenue, tak zwana „dzielnica czerwonych świateł”, wabiła zwiedzających w dość szczególny sposób. Wyjątkowość tego miejsca polegała na tym, że każdy z domów publicznych prezentował inną rasę. Można było wybrać dom z samymi Murzynkami, Japonkami, Chinkami lub też droższy — z dziewczętami importowanymi z różnych państw Europy. Dla etnografa mogłoby się to stać źródłem wiedzy, ale Hochman i ja szybko byliśmy tym zmęczeni. Przed każdymi drzwiami wejściowymi stała tłusta Murzynka, zapraszając do środka, gdzie zawsze jakiś starszek wygrywał na pianinie popularne me' lodie. Po chwili schodziły dwie lub trzy na wpół rozbudzone i °> wpół rozebrane dziewczęta i gapiąc się na nas, czekały, aż zaifi°" wimy im coś do picia. Odwiedzaliśmy te lokale, tak jak się zwiedza muzeum: rozglądaliśmy się wokół siebie, nie dotykając eksponatów. W sumie żywię dla Chicago uczucie wdzięczności. Rudolf C młody Amerykanin szwajcarskiego pochodzenia, któremu się t1 powiodło, obdarzył mnie serdecznymi słowami pochwały i d°z na przyjaźnię. Koncert z orkiestrą Theodora Thomasa pod Fredericka Stocka przyniósł mi wielki sukces 4 zarówno u publiczności, jak u krytyków. „Miasto wiatrów staje mi wiernym przyjacielem aż do dziś, gdy piszę te s1

Mimo napięcia i pośpiechu tournée podobało mi się cor^f ^» dziej. W niektórych miastach teatry Shubertów akurat nie zwykłych wieczornych spektakli, a wtedy brałem je w

swe posiadanie; często też lepiej nadawały się do organizowania koncertów niż w Nowym Jorku, a publiczność lepiej oceniała muzykę.

Monotonię tournée od czasu do czasu przerywały zabawne, a czasem wcale nie tak zabawne incydenty. Podczas koncertu w Co-lumbus (stan Ohio) przystąpiłem właśnie do wykonywania pierwszej części którejś z sonat Beethovena, gdy wcisnąwszy kciuk między dwa białe klawisze, naderwałem sobie paznokieć. Trysnęła krew, zalewając całą klawiaturę, ale pochłonięty bez reszty muzyką, grałem dalej, nie zwracając uwagi na ból. Dopiero gdy doszedłem do końca tej części, stał się on tak przejmujący, że musiałem zejść ze sceny i palec obandażować. Gdy wróciłem, by na świeżo wymytej klawiaturze kontynuować sonatę, słuchacze zgotowali mi owację. Na widok krwi zwątpili, czy będę mógł dokończyć koncertu. Nazajutrz gazety więcej miejsca poświęciły temu „spartańskiemu wyczynowi” niż samemu wykonaniu.

Inne zdarzenie, tym razem komiczne, miało miejsce w St. Louis, najbardziej „zachodnim” mieście mego tournée. Nazajutrz po koncercie jadłem właśnie w łóżku śniadanie, gdy usłyszałem pukanie do drzwi. W przekonaniu, że to ktoś ze służby, zawołałem „Proszę!” — i oto wszedł dziwnie wyglądający osobnik w jasnoszarym garniturze w kratę. Był nie ogolony, nosił długie czarne bokobrody, na głowie zaś miał brudny brązowy melonik, którego nie zamierzał zdejmować. Wyglądał jak typowy „szwarczarakter” z melodramatu. Nie tłumacząc przyczyn swej wizyty, usiadł na łóżku i zaczął coś mówić szybko, gwałtownie i posługując się najgorszym nosowym żargonem Środkowego Zachodu. Zamiast słuchać, o co aiu chodzi, całą uwagę skupiłem na złotym zegarku i pieniądzach, pozostawionych na stole poza zasięgiem mojej ręki.

Nie widząc u mnie żadnej reakcji, nieznamy zniecierpliwiał się 1 zaczął jakoś dziwnie gestykulować, wkładając najpierw jedną rękę, potem drugą, a na koniec obie ręce do ust. Ogarnęła mnie nika — nje m2ałem wątpliwości, że to szalenie! Zbyt byłem każony, by wołać o ratunek lub sięgnąć po telefon. Nagle l\* się na równe nogi, jak gdyby gotując się do wyjścia, wy-J\*3ł z kieszeni długą kartkę

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

papieru i rzucił nią we mnie. Pod-Bm ją i spojrzałem — był to program spektaklu wodewilowego. al: Palcem jeden z figurujących w nim numerów i — no • wszystk° stało się jasne. Jego specjalnością było parodio-J "frunientów, zwłaszcza zaś skrzypiec, wiolonczeli i trąbki. ?a ° }° na „grze" przy użyciu wyłącznie ust i rąk. Potrzebny ó Jec\*nak Pianista, a że przeczytał o mnie, postanowił, iż ^damy się w objazd! Gdy usiłowałem mu nieśmiało wy- że to niemożliwe, wpadł we wściekłość, krzyczał i pa-

219

. w łóżku bezradny,

i

i

ich z pow tętn rozmów.

owrotem- \*\* przyjemnością^d

zmów. go tournee, to V przejmuj ^ieJ

220

Nie udało mi się tylko spotkać mojej

SH6 miałem di ^

na

Ze

Moje koncerty dobiegały końca. Pochlebiał mi fakt uprzednio ustalonego kalendarza występów zaansaW\* powtórne recitale w tak ważnych ośrodkTch łk S^t szynhton, Providence, Cincinnati; był ito na?Lz

touraee przyniosło mi sukces. Niestety ii?ry

orientowała się. podług Nowego to^

chylne recenzje pana Krehbiela wyi^d

muszę tu potępić pewne wynaturzone iz^

my: w surowej recenzji z pierwszego koncertu

coś w rodzaju: „Nie pojął sensu utworu?mimo fenot

zręczności palców". Pan Ulrich nifomL^ tv^h f+ "J

słów wyrwać z kontekstu i przez cały czas Swanif |Y ?statnich

giwał się nimi w celach reklamowych! & t<>Urnee posłu"

Z Baltimore nadszedł list, który stał si

biednego George'a, dla mnie zaś oionin^il^ Knabe pisali, że zarzucili plan wyjazdu do SI

3Cia

tego miałem powtórzyć występ w Chkaeo S^Jrancisco; zamiast była łatwa do odgadnięcia^ łacinie anfej bł ^f J „rmasta wiatrów" niż do dalekiej KUa^?

Koncert chicagowski był już ostatni. Tego dnia zzJS™> w 3ak najlepszej formie, a publiczność zgotowałam mi eoraCP no ^

w

x

szczegóły. ByHśmy

yć właśnie teraz —

wyznaczony był przez\_\_\_m WłaBU™,,\_

osłupieniu. - A ja, głupiec, przeklinałem braci

221

Georse

na wczofajrl kłił

Knabe, że nie pozwolili nam tam pojechać! Przecież oni — wołał — uratowali nam życie! Ja także byłem do głębi poruszony naszym cudownym ocaleniem.

Moja sytuacja finansowa zaczynała przedstawiać się alarmująco. Pieniądze należne mi z tytułu kontraktu wydałem w całości. „Waldorf-Astoria", małe przyjęcia w moim apartamencie, kosztowne dni spędzane w towarzystwie Armanda — wszystko to doprowadziło mnie do ruiny. Moja ekstrawagancja była jednak w pewnym sensie zrozumiała. Po raz pierwszy w życiu dysponowałem dość znaczną sumą pieniędzy, a jeszcze nie nauczyłem się z nich korzystać. Pieniądze nie miały dla mnie żadnej wartości poza tą jedną, że można je było wydawać. Krótko mówiąc, byłem całkowicie pozbawiony zmysłu oszczędności — przez większą część życia wada ta okazywała się dla mnie

zabójcza!

Napisałem i zadepeszowałem o pomoc do pana Astruca, gdyż u niego zdeponowana była mała część pieniędzy należnych mi z tytułu kontraktu. William Knabe bardzo wspaniałomyślnie kazał Ulrichowi uiścić mój ostatni rachunek w „Waldorf-Astoria”. I tak któregoś dnia, pod koniec kwietnia, byłem już spakowany i gotowy do powrotu do Paryża. Moim statkiem i tym razem miała być wysłużona „La Touraine”, z którą wiązało się tyle strasznych wspomnień. Bałem się jej panicznie, ale George zapewniał mnie, że nie ma nic przyjemniejszego jak podróż morską w kwietniu. Pan Knabe, pan Ulrich i George Hóchman odprowadzili mnie na nabrzeże, a w kajucie znalazłem później przepiękne kwiaty, kosz owoców i butelkę szampana od moich nowych przyjaciół. I jeszcze czarujący liścik oraz pudełko eleganckich chusteczek od Doroty.

Gdy jeden z reporterów zapytał o wrażenia z Ameryki, wypomniałem kilka oklepanych i banalnych zdań: „Wielki kraj w pełnym rozkwicie, doskonałe hotele, dobre orkiestry itp.”, a czas dłuższy zastanawiałem się, jakie naprawdę wynosiłem wrażeń.

Większą część Ameryki, jaką widziałem w 1906 roku, brzydota. Kraj — z wyjątkiem kilku wielkich miast — przeważnie widok posępny. Większość miasteczek zaplanowano i rozplanowano w pośpiechu; wszystkie na jedno kopyto. Praktycznie

S<sup>4</sup>

znano tu takich kojących akcentów architektonicznych, jak z ławeczkami, drzewami i fontannami czy parki... Wsie — mogłem to zaobserwować z okien pulmanowskiego wagonu — gładko i pusto i nieciekawie. Przerazał mnie widok wielkich rów nieuprawionej ziemi, niegościnnych lasów, zwalów niecz. i odpadków na krańcach miasteczek położonych w pobliżu kolejowych. Moi amerykańscy przyjaciele piali hymny P<sup>o</sup>

ile

na cześć wodospadu Niagara, Gór Skalistych, Wielkiego Kanionu i Florydy. Byłem rozczarowany, że nie widziałem tego, ale wszak to przecież było dziełem przyrody, nie ludzi. Fascynowali mnie natomiast mieszkańcy Ameryki. Niedawna masowa imigracja Europejczyków bardzo różnorodnego pochodzenia zdołała mimo rozbieżności uformować harmonijną całość. Dynamiczna wola osiągnięcia sukcesu w nowym otoczeniu była czymś, co obserwowało się w napięciu. Amerykę nazywano krajem nieograniczonych możliwości — i słusznie. Jakże lubiłem ich dowcipny, cięty, trafiający w sedno slang! Słuchałem go z prawdziwą przyjemnością, zwłaszcza gdy przypominałem sobie grzeczny, ale podobny do wyuczonej lekcji — tradycyjny język Anglików.

J

Jeśli idzie o kontakty osobiste z ludźmi, wynosiłem wrażenia mieszane; publiczność koncertowa w znacznej mierze ulegała jeszcze rządowi wulgarniej, hałaśliwej reklamy, takiej, jaką stosowano niegdyś w cyrku Barnuma. Dla przykładu: przydomek Jenny Lind „szwedzki słowik” rozstawił ją bardziej niż jej śpiew; twarz Paderewskiego z grzywą złotych włosów oraz jego prywatny pociąg stały się symbolem — ludzie całymi nocami czekali przy torach kolejowych, by zobaczyć przejazd tego pociągu, ale nie zrobiliby najmniejszego wysiłku, by posłuchać gry pianisty. W moim przypadku nazwisko „wielkiego” Antoniego Rubinsteina ciągle działo jak zaklęcie. Często pytano mnie, czy jestem jego synem a gdy zaprzeczałem, nie dawano wiary.

Ku memu zdumieniu nie poznałem w czasie tournée nikogo z ówskich muzyków z wyjątkiem czarującego Rudolfa Ganzera

z orkiestry dyrygentów, z którymi występowałem. Koledzy-pianiści

znali — chyba mnie — moje koncerty — Daremnie próbowałem się tłumaczyć i dopiero później, na statku, dowiedziałem

o przyczynie

ogromnego ślęstwa — Przyklejono mi etykietkę „wielkiego talentu,

ciągłe — temperamentu — zapowiadającego wspaniałą karierę, ale

musze — Cze niedojrzałego... Powinien jeszcze wiele się uczyć”.

Zresztą przyznać, że ja sam byłem podobnego zdania.

35

Pi,

Sjadł na morską podróż, podczas obiadu odkryłem

grę oraz dwóch sławnych Pianistów — Francuza, Raoula Modęgo Rosjanina, Józefa

Lhevinne’a, który sensacyjnie

223

Młode lata - Artur Rubinstain.txt

t ,\*, Później w sali klubowej, obaj byli  
zadebiutował w Nowym Jorku, a potem w Paryżu, zapraszając tak uprzejmi, że Północni zaczęła jedna z najprzyjemniej-na posiłki do swego stołu. Tak się Lantyckich. Pan Pugno był szyPh  
w moim życiu? Odrodzenie otyłym i krępym - wykapanym mężczyzną po pięćdziesiątce bardzo o  
u i sobie około  
wŁrunek iowia, a fanuza, Józef, a twarz, a jego trzydziestki, miał gładko, a jego smutku; chcąc  
ukryć nieco wyłupiaste oczy pene, artystycznie ułożoną przedwcześnie, a jego  
wysoki głos brzmiał jak? Kiedy mówił lub «n»? Było to coś dzetecinnego, a i jako  
człowieka, i jako  
dnia podróży, postanowiłem  
^^  
^

Co pan sądzi o Znakomity. A o Lhevinnie? Cudowny.

~powiedziałem "

było mi i

ie, - upierał się, mej nadto. Byłem o krok od morskiej Hofmann musi być i lym

^zi pan, ja jestem

pani.

rS

Z

99.4

r

i mmmmm : mmmmm

na

barytonowi

Walca

!99?:

Po arii Micaeli z Carmen, śpiewanej przez panią Gilibert, ja odbebniałem Walca, a Liszta, a Gilibertowie wykonali, z moim akompaniamentem, duet z jednej z operetek Messagera, i na tym program się zakończył.

Koncert wywołał powszechny zachwyt, biedne sieroty otrzymały pokaźną sumę pieniędzy, a kapitan poczęstował nas wystawną kolacją. „La Touraine” dołożyła tym razem wszelkich starań, bym zapomniał o koszmarze pierwszej podróży przez Atlantyk.

Łądowanie w Hawrze odbywało się w nastroju szaleństwa. Wszyscy biegali do góry i na dół, tam i z powrotem, martwiąc się o bagaże, witając się z krewnymi i przyjaciółmi. Całe to zamieszanie napawało mnie pewnym smutkiem. Bardzo przypadły mi do gustu te beztrudne osiem dni, spędzone w towarzystwie równie utalentowanych, pełnych życia i inteligencji osób. Mój powrót do Paryża stał pod wielkim znakiem zapytania. Żadnych widoków na koncerty, pieniędzy zostało mi już bardzo niewiele, a do tego jeszcze byłem zadłużony u pana Cordovinusa i u krawca, tak więc najbliższa przyszłość rysowała się w najczarniejszej z czarnych barw!

36

36

— Podpisał pan kontrakt na następny sezon? — spytał monsieur Astruc, gdy wszedłem do jego gabinetu.

— Nie — odparłem. — Zaangażowano Busoniego.

tłumaczyć, że trzyma firmie K.nab

— Podpisał pan kontrakt na Astruc, gdy wszedłem do jego gabinetu.

— Nie — odparłem. — Zaangażowano Busoniego. Próbowałem mu tłumaczyć, że trudno byłoby firmie K.nab

reklamować fortepiany, posługując się przez dwa lata pod rząd

tym samym pianistą.

— Widzi pan — dorzuciłem — moje tournee miało chara

tysta o międzynarod



P reklamować fortepiany, postłuj  
tym samym pianistą.

— Widzi pan — dorzuciłem — moje tournée miało charaW eksperymentalny teraz więc potrzebny  
im artysta o międzynarod  
wej sławie.

iedziony i posępny — a ja tym i nie  
eksperym  
wej sławie.

Astruc był zawiedziony i posępny — a ja tym bardziej! Powrót do pensjonatu pana Cordovinusa nie  
dodał mi °tł3 Biedak żył w przeświadczeniu, że w Ameryce artysta zbija \*&. tek z dnia na dzień, a  
widząc, że wróciłem równie ubogi, ja\*jechałem, stracił i złudzenia, i nadzieję na rychłe wyrów^  
przeze mnie rachunku zaległego od trzech miesięcy. Ale Cordo był człowiekiem wielkiego serca!  
— Niech pan postara się spłacać mi w niewielkich \*ata  
zapropnował.

1

obracasz.

w mieście.

Od kilku dni Kt nie umiał mi powiedzieć, gdzie się

Złudz6ń " d°

yW i re- ^wał sobie

raTw^ Przekonałem się z przyjaciela. ę'

'fouąeta" na Polach Elizejskich zy^ balsamem jest głos prawdziwego

J,y bar ^^StJ^^ ^ iJ^l

kolacje. W porze aperSfu bar stno^^ " P°dawano obiad lub arystokratów i plutokratów ,L i 1

-mie;)SCe Spotkań trowało się wokół wyścSw kon J ^ OdZieŻy' ^^ Żyde był aktywnym człekiem

Te^o t? ' SP°rtU f Płd pięknej' Arm^d wszechstronnym wykSCe'femt°War7stwa' wyróżniał się

jednak - Gdzie teraz mieszkaS ""^owamem muzyki.

mieszkaś? — spytał gdy tylko zasiedliśmy

stołu.

Opisałem swój pensjonat, na co awolafc

. Zamiesi fe^3^^ Zapropnowuję ci cos lep.

wspólnym mieszanu sS y ^^ °Żenił' jegO pokój w w- u ^nie w salonie L? PUSTy" Przyzwoitego

pleyela znaj- W salonie' będziesz więc mógł pracować bez prze-

Ją cdrzuCić b^ienie

0 P™P°z\*cia z^ wspaniałomyślna, abym dL^f Zndazłem w sobie dość sił moralnych, ^ jdownałem  
się na dnie, a oto ofiarowano mi

; Tł

i - P°wiedziałem, szczerze f mam nadzieję' że nie

się też zgodzić'abym pładł

y przygotowuje na mieście- Pi

w tygodniu. Tak więc skowronek, zdołałem w jakiś sposób wygrzebać

227

1

tyle pieniędzy, aby mój dług u Cordovinusa pomniejszyć przynajmniej o jednomiesięczny czynsz;  
resztę przyrzekłem spłacić w najbliższej przyszłości. Nie mogąc pomieścić w walizkach wszystkich  
nagromadzonych książek i nut, znaczną ich część musiałem zostawić. Jeszcze tego samego dnia,  
późnym popołudniem, przenieśliśmy się do uroczonego apartamentu Armanda przy Avenue Kleber.  
Pokój jego brata, który odziedziczyłem, wydał mi się istnym rajem. Było tam szerokie, miękkie i  
wygodne łóżko, wesołe jasne tapety, meble w stylu Ludwika XV i — o, radości! — bieżąca woda.  
Wytworny salon oraz mała jadalnia oddzielały mój pokój od pokoju przyjaciela, korytarz prowadził do  
obszernej łazienki, do kuchni i pomieszczeń dla służby. Ferdynand, który pełnił funkcje lokaja i  
kamerdynera, natychmiast zajął się moimi walizkami, opróżnił je w mgnieniu oka, po czym zniknął,  
zabierając wszystko, co wymagało czyszczenia, prasowania czy prania.

Od tego dnia rozpoczął się w moim życiu nowy etap, nie sprzyjający wprawdzie rozwojowi  
artystycznemu i moralnemu, ale szczególnie podniecający i fascynujący dla dziewiętnastoletniego  
młodzieńca. Spoglądając nań z perspektywy lat, mogę tylko powiedzieć, że zrozumiałem wtedy, co

znaczy rozwiązyły tryb życia.

Armand de Gontaut-Biron był ulubieńcem złotej młodzieży. Przedstawił mnie swym przyjaciółom, nie szczędząc pochwał: byłem najwybitniejszym pianistą, najinteligentniejszym facetem, wielkim poliglotą, „no i opowiada kawały, że można skonać ze śmiechu”. Tego rodzaju rekomendacja nie mogła zawieść: natychmiast też zostałem przez nich zaakceptowany jako stały, nieco egzotyczny kompan. Przez jakieś dziwne skojarzenie pojęć doszukiwałem się w nich pewnej analogii z moim berlińskim „Lesekrantzchen”.

Dzień rozpoczynał się późno. Śniadanie złożone z kawy, rogalików i miodu zjadałem zwykle w łóżku, czytając „Le Gaulois”, najbardziej reakcyjny i rojalistyczny dziennik poranny, założony i w? dawany przez ochrzczonego Żyda, pana Arthura Meyera, ożeń nego z francuską księżniczką. Cóż za absurdalny paradoks! Zaledwie kilka lat minęło od tragicznej afery Dreyfusa, która rozbija rodziny i podzieliła kraj na zwalczające się obozy.

Armand prenumerował właśnie ów „Le Gaulois” oraz jakieś mo sportowe.

^

W południe, jeszcze w szlafroku, ledwie znajdowałem v czasie, by zagrać kilka pasaży na pleyelu, a już trzeba się był<sup>o</sup> rać i iść na obiad. Młodzi ludzie spotykali się na aperitif ie u J aucta” i układali plany na dzień bieżący. Obiad jadałiśmy z czaj na miejscu, chyba że dla odmiany mieliśmy ochotę prawdziwej restauracji. Popołudnia spędzali na wyścigac akurat tego dnia się odbywały, lub hazardując się w któryś

wakow:

5?

ilem adres- Basia wyjechała do w °ni JGdni wie estrad^ie koncertowe ode W Warszawy> a.

moj

wie" a

D

ser-muzyka

229

i pańskie ideały wywierają na mego syna. Mam nadzieję, że odciągnie go pan od bezsensownego trybu życia, jaki prowadzi.

Hm, pomyślałem. W rzeczywistości było wręcz odwrotnie...

Inną rodziną, którą często odwiedzaliśmy, byli państwo Leishma-nowie, teściowie brata Armanda, Ludwika. Pan Leishman, bogaty Amerykanin, później mianowany został ambasadorem w Rzymie. Dzięki tym koneksjom — zresztą początkowo nawet nie zdając sobie z tego sprawy — zostałem zaakceptowany przez najbardziej ekskluzywną część grand tnonde'u. Faubourg St.-Germain było wówczas siedzibą starej arystokracji rojalistycznej, w przeciwieństwie do arystokracji cesarskiej, stworzonej przez Napoleona. Domy rodzin z Faubourg St.-Germain pozostawały zazwyczaj zamknięte dla cudzoziemców, którzy nie potrafili wykazać się błękitną krwią, a małżeństwami z „obcymi” gardzono. Ludzie ci żyli we własnym, zamkniętym światku.

W owych czasach we wszystkich europejskich stolicach arystokracja nadal pozostawała głównym patronem sztuki i postępując w myśl starej tradycji, organizowała dla gości prywatne koncerty we własnych pałacach. Dzięki reklamie uprawianej przez Armanda i jego przyjaciół zostałem zaangażowany na szereg takich soirees musicales; pan Astruc załatwiał stronę finansową i ku swemu ogromnemu zadowoleniu otrzymywał po tysiąc franków za każdy występ.

Szczególnie dobrze pamiętam pierwszy taki koncert zorganizowany przez hrabiostwo de Ganay.

Blisko setka gości en grandę toilette wypełnił? kremowo-złoty salon i czekając na muzykę, rozsiadł się na pozłacanych, filigranowych krzeselkach. Podobnie jak na publicznych koncertach wszedłem bocznymi drzwiami i skłoniwszy się w odpowiedzi na uprzejme oklaski, przystąpiłem do wykonywania utworów zgodnie z wydrukowanym wcześniej programem-Moja wytworna publiczność natychmiast rozpoczęła ożywioną z mowę, od czasu do czasu, zazwyczaj po jakimś głośniejszym mencie, przerywając ją okrzykami „Brawo!”. Gdy program skończył i rozbrzmiewały już ostatnie akordy, otwarto drzwi przestronnej jadalni, w której znajdował się bufet. "W ie oka stół z jedzeniem i winem został obłożony przez gości; to tak, jakby mój koncert wzbudził w nich nieposkromiony i pragnienie.

Inne soirees wyglądały zupełnie podobnie, z wyjątkiem wieczoru u hrabiego Jeana de Castellane, gdzie miałem ^ zaliczyć do swych słuchaczy Gabriela Faure oraz jak się V dowiedziałem, Marcela Prousta, wówczas jeszcze zupełnie nego. Obecna była także sławna poetka Annę de Noailles.

9.30

Któregoś popołudnia w „Cafe de la Paix” zagadnął mnie wysoki brodaty starszy pan.

— Jestem Jan hrabia Zamoyski — powiedział po polsku. — Byłem w Warszawie na pańskim koncercie. Proszę, niech się pan do mnie przysiadzie.

Znałem go ze słyszenia, był to sławny protektor muzyków, który Bronisławowi Hubermanowi ofiarował bezcennego stradivariusa. Rozmawialiśmy o Chopinie.

— Księżna Marcelina Czartoryska, ulubiona uczennica Chopina, była moją ciotką — poinformował mnie. — To ona nauczyła mnie grać jego mazurki.

1 żeby mi to udowodnić, zgrzytliwym, astmatycznym głosem zaczął nucić niektóre z nich.

Zadowolony z mojej pełnej szacunku reakcji, zaprosił mnie na kolację do domu swej siostrzenicy — na „skromne, rodzinne przyjęcie”. Nazajutrz wypadała niedziela, dzień „Grand Prix de Paris” na torze wyścigowym w Longchamps, a ponadto Armand i ja przyjęliśmy na ten wieczór zaproszenie do domu markizy de Laborde. Wy tłumaczyłem to hrabiemu.

— To niech pan wpadnie po kolacji — nalegał. — Chciałbym, aby moja siostrzenica posłuchała pańskiej gry.

Zgodziłem się przyjść o dziesiątej, zanim się więc rozstaliśmy, podał mi adres w pobliżu placu Gwiazdy.

„Grand Prix” rozegrano beze mnie. Zostałem w domu. Wyścigi konne nie bawiły mnie, nie lubiłem podnieconych, rozpychających się tłumów ani długich przerw między gonitwami, a ponieważ nie mogłem sobie pozwolić na zakłady, było mi zupełnie obojętne, który koń zwycięży. Uszczęśliwiony, że zostałem sam, po raz pierwszy od kilku tygodni zabrałem się do pracy. Kiedy wrócił Armand, przebraliśmy się we fraki i włożywszy cylindry, udaliśmy się wynajętym powozem na Wyspę Świętego Ludwika. Punktualnie o ósmej dzwonił do drzwi mieszkania markizy de Laborde.

Markiza w towarzystwie dwóch córek przyjęła nas w bardzo eleganckim salonie w stylu Ludwika XV. Byliśmy jedynymi gośćmi, temu okazała się majestatyczną matroną o nienagannych manerach, nieco wyniosłą, lecz o dużym wdzięku. Córki były piękne 16 były jeszcze podlotkami: starsza Lili, wspaniała brunetka, cie [Zie!n\* e kochała się — jak powiedział mi Armand — w jego bra-2a(l udwiku de Gontaut. Młodsza, Francoise, okazała się wysoką, go stufającą. klondynką. We Francji w pierwszej dekadzie nasze-Jcia niełatwo było znaleźć się w towarzystwie młodych pa-zaś poj6 s\*arych rodzin. Wychowywały się w klasztorach, później farnaWaTlały sie- publicznie wyłącznie na jakimś bal blanc w czasie

2 te^ rzadk- ^C Więce dziwnego> ze z przyjemnością korzystałem iaeJ okazji. Markiza przyjęła moje ramie i zaprowadziła

231

Wf f«aroksyzm śmiechu, Ai | „wyległego P<>-

^włO" ,!\_ „ani d0»u usun^a ^f^^oro zosta-

i^rissL^i

s

ne policzki. Siostrzenica hrabiego Zamoyskiego, licząca sobie z pewnością nie więcej niż trzydzieści lat, była wprost uderzająco piękna. Nosila czarną aksamitną suknię, podkreślającą jasny, alabastrowy dekolt. Małą główkę osadzoną na dumnej szyi ozdabiała długie czarne włosy ułożone w niezwykle kobiecy sposób. Miała najbardziej zielone oczy, jakie w życiu widziałem. A cóż za nerwowy nosek! A jakież zmysłowe, czerwone usta! Oniemiałem z podziwu.

— Był pan na wyścigach? — spytał hrabia i nie czekając na odpowiedź, dorzucił: — Ten koń, Spearmint, co za niespodzianka, nieprawdaż? Nikt w niego nie wierzył, ale ja byłem pewien, że wygra! A ten dżokej, Bartholomew, to dopiero mistrz, nieprawdaż? Zawsze na niego stawiam — i tak ciągnął swój monolog, podczas gdy hrabina i ja piliśmy szampana.

— Czy nie zechciałby mi pan czegoś zagrać? — szepnęła niskim, miękkim głosem.

— Z przyjemnością — odparłem i podszedłem do fortepianu. Mąż zamilkł i rozsiadł się wygodnie na małej sofce, ona zaś podsunęła do fortepianu jeden z foteli.

— Co pan zagra? — spytała, odstawiając na bok wazon ciemnoczerwonych róż stojący na fortepianie.

— Coś Chopina — i poruszony jej pięknnością zacząłem grać jak w transie długi Nokturn Des-dur. Hrabia przymknął oczy; po chwili podbródek mu opadł i ledwie słyszalne, delikatne chrapanie zwiastowało, że zmorzył go sen. Gdy doszedłem do kody z opadającymi pianissimo westchnieniami, hrabina nagle pochyliła się ku mnie i zasłonięta otwartym skrzydłem fortepianu i kwiatami z dziką

namiętnością pocałowała mnie w usta. Zbyt głośno uderzyłem fałszywą nutę: hrabia przebudził się, czar przysł. Dokończyliśmy szampana, żarliwie ucałowałem kilka razy dłoń hrabiny; hrabia odprowadził mnie do drzwi. Opuściłem dom i już nigdy więcej ani jej, ani jego nie widziałem.

∴

Czytelnika zdziwi być może tak szczegółowy opis błahego wyzienia, ale ja zawsze pamiętałem będę wieczór, który tak bez reszty uniósł mnie w romantyczną epokę Chopina i Liszta.

37

ieć2u Ze» za dwa dni muszę wyjechać do Nowego Jorku — anli ( /7manc\* po obiedzie u Romaine Brooks, ówczesnej ko-riela d'Annunzio. Przyjęcie było bardzo udane Pani

233

Brooks, Amerykanka, utalentowana malarka, odznaczała się nader oryginalnym gustem w dziedzinie dekoracji wnętrz. Duże wrażenie wywarła na mnie jej ogromna sofa pokryta białym atłasem i poduszkami z czarnego aksamitu. Oprócz nas dwóch wśród zaproszonych gości były dwie panie z Chile, pani Errazuriz, dobiegająca pięćdziesiątki, lecz jeszcze piękna, znana w Paryżu jako „la belle Madame Errazuriz”, oraz jej córka. Po obiedzie, chcąc sprawić przyjemność tej damie, grałem fragmenty z Tristana, a także całe Popołudnie fauna Debussy'ego. Wyglądało, że była zachwycona. Tego dnia jednak nie mogło mi nawet przejść przez myśl, jak ważną odegra rolę w moim późniejszym życiu.

I zaraz potem, już na dworze, ta nagła zapowiedź wyjazdu Armanda! „Co stanie się ze mną?” — to była moja pierwsza myśl. Widząc moją zaniepokojoną minę, ten czarujący człowiek usiłował mnie uspokoić.

— W mieszkaniu możesz pozostać, jak długo zechcesz — powiedział z uśmiechem, mającym dodać mi otuchy. — Ferdynanda zabieram z sobą, ale konsjerżce wydam polecenie, aby przygotowywała ci codziennie śniadanie i sprzątała pokój.

Oczywiście wyraziłem mu wdzięczność; przemówić nie byłem w stanie.

W upalny, słoneczny dzień odprowadziłem go na Gare St.-Laza-re, a kiedy pociąg ruszył, rozplakałem się. Dobiegł oto kresu krótki, szczególnie piękny i szczęśliwy okres mojej młodości. Natychmiast wszystko się odmieniło; odtąd musiałem radzić sobie sam. Większość zarobionych pieniędzy głupio wydałem już na przedmioty zbytku. Zawsze gotów współzawodniczyć z Armandem, zamawiałem kosztowne batystowe koszule frakowe z wąskimi podwójnymi mankietami, z przodu plisowane i wykończone falbankami, i oczywiście każda musiała mieć monogram. Z tego samego materiału i tego samego kroju były moje długie do kostek nocne koszule (piżam jeszcze wówczas w Paryżu nie znano). Długie skarpety z czarnego jedwabiu oraz lakiery uzupełniały ten elegancki strój. Tak, tej wiosny — bez wątplenia — stałem się prawdziwym dandysem!

A teraz zostałem za tę ekstrawagancję ukarany. Konsjerżka

wyżywienie, pranie, gazety, dorożki — za wszystko musiałem P\*f" cić sam; nie od razu też mogłem się do tej zmiany przyzwyczaić i kierowałem kroki na aperitif do „Fouquetta”. Da

śinność ale pod nieobecność

byciem dla mnie chleba na śniadanie, ale ja miałem jeszcze większe trudności z pieniędzmi, żeby za to zapłacić.

Astruc wydał polecenie, aby miesięczne honorarium wypłacano mi ratami; wiedział o moim zadłużeniu i miał mi je za złe. Tak więc często kładłem się spać głodny; oprócz śniadania wszystko, na co mogłem sobie w ciągu całego dnia pozwolić, to była jakaś kanapka oraz kawa w taniej piwiarni lub owoce kupione na ulicy. Mimo to w dalszym ciągu punktualnie w porze aperitif zjawiałem się u „Fouquetta”, chociaż nigdy nic nie zamawiałem i zachodziłem jedynie po to, żeby móc chwilę z kimś pogadać.

Pewnego wieczora dwaj „złoci młodzieńcy”, Georges Brocheton i Henri de Grandmaison, zaprosili mnie na kolację do „Cafe de Paris”. Tym razem przyjąłem zaproszenie, gdyż bliski już byłem śmierci głodowej.

Ach, „Cafe de Paris!” Cóż to za wspaniały lokal! Mieścił się na rogu Avenue de l'Opera i rue Daunou i składał się z dwóch długich naw w kształcie litery V. Stpliki w prawej nawie zawsze rezerwowano dla „dobrych” gości, natomiast przelotnych turystów i różnych innych posyłano na lewą stronę. Podziwiałem artystów, z jakim praktykowano ten potworny snobizm. Ale kuchnia była boska! Do popularności restauracji przyczyniał się również zespół muzyczny przygrywający w porze

obiadów i kolacji. Kierownikiem był blady Duńczyk o wyglądzie suchotnika, który ze skrzypiec wydobywał najbardziej kliwie melodie w najbardziej kliwy sposób.

Kiedy moi przyjaciele i ja zajęliśmy miejsca przy „dobrym” stoliku i podano nam zamówione befsztyki — dla mnie był to pierwszy od tygodnia kawałek mięsa — ładniutka brunetka siedząca przy stoliku naprzeciw nas zaczęła na cały głos wyśpiewywać mezzosopranem pieśń Griega Ja kocham cię. Akompaniował jej dyskretnie ów Duńczyk, pan Moeller, wraz z zespołem. Kiedy skoń-czyła, wszyscy zaczęliśmy bić brawo. Odpowiedziała uroczym "śmiechem, gdy nagle, spoglądając w moją stronę, zawołała:

Rubinstein, to Rubinstein! Słyszałam go w Nowym Jorku! go poznać.

Moi.

Przyjaciele znali jej towarzysza, Niemca, niejakiego barona

lic!chwaechtera, wszystko więc potoczyło się gładko. Kawę pi-Y Już razem przy wspólnym stoliku.

Nasza śpiewaczka nazy-aSi Olive White i była eks-baletnicą, ale wyszła za męża za rzyst . nowojorczyka. Mąż, zajęty interesami, wysłał ją w towa-2 Przyjaciółki w pierwszą w jej życiu podróż do Europy. — zwróciła się do nas z typowo amerykańską poufa-  
łość

Chło

cią

na co czekamy? Chodźmy do mnie na kielicha! Przyjaciele wymówili się grzecznie, ale ja zaproszenie przy-

235

u ^

wykryto

u nogi — już nie pamiętam — miała właśnie poddać się chirurgicznemu jej usunięciu.

— Ruby, Ruby — wołała — nie pozwolę mu ciąć, jeżeli nie będziesz grał podczas zabiegu.

Będę się streszczał. Chirurg się spóźnił, ja grałem zniecierpliwiony. Olive wyła z bólu, potem musiałem biec, żeby przebrać się w szalonym pośpiechu i — uff! — do willi przybyłem z czterdzie-stominutowym opóźnieniem!

Kiedy wchodziłem do wielkiego salonu, stara księżna uniosła się z miejsca i nie racząc nawet spojrzeć na mnie, przyjęła ramię jakiegoś zażywnego pana, po czym wolno, z namaszczeniem, jak na królewskim dworze poprowadziła dwadzieścia zaproszonych osób do sali jadalnej. Nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi; tylko Bariatyński, przechodząc, syknął:

— Za dużo pan sobie pozwala, przyjacielu.

Czując się jak winowajca, nieśmiało odnalazłem drogę na swoje miejsce pomiędzy dwiema paniami, którym nie zostałem nawet przedstawiony. Próbowałem wytłumaczyć im, w jakich znalazłem się tarapatach, ale wyjaśnienia te przyjmowano z niedowierzaniem. Od czasu do czasu księżna obrzucała mnie spojrzeniem pełnym wyrzutu, co całkiem odbierało mi apetyt; czułem się wprost okropnie!

Gdy po kolacji wróciliśmy do salonu, ubłagałem księcia Baria-tyńskiego, by spytał teściową, czy pozwoli mi zagrać dla swych gości. Odpowiedź była twierdząca. Nigdy w życiu nie pragnąłem bardziej przypodobać się słuchaczom. Zajęło mi to sporo czasu, ale po brawurowym wykonaniu Grandę Polonaise rozległy się gorące oklaski i wołania, a księżna, wciąż jeszcze z surowością w oczach, powiedziała głębokim, niemal męskim głosem: Grał pan jak anioł!

Wkrótce po tym wieczorze Olive otrzymała od męża telegram nakazujący jej natychmiastowy powrót do domu. Dla niej i dla jej

rzyjaciółki zarezerwował już miejsca na statku odpływającym

a^Wa dni 2 Cherbourga.

ska~- sia\*y dojsć do niego jakieś okropne plotki na nasz temat — a się Olive. — A tak chciałam zabrać cię na tydzień do

że ost"tdnak nie mo2ła P^adzić, musiała jechać. Postanowiliśmy, itni wieczór przed wyjazdem musimy uczcić wspañałym C; Ubrani w wieczorowe stroje, zaczęliśmy od galowej kolacji ^ de Paris", gdzie Olive z drzeniem w głosie odśpiewała rue pieŚń Griega- Potem udaliśmy się do małego lokaliku 0 ^tek ^alle na Jeszcze jedną butelkę i wreszcie wróciliśmy Olive, by spełnić ostatni miłosny toast. I wtedy

237

właśnie zaczęły dziać się rzeczy dziwne. Shirley, towarzyska Olive, oświadczyła raptem, że nie ma zamiaru wracać do Ameryki. Na co baron, dość porządnie wstawiony, zerwał się na równe nogi i zawołał:

— Jedźmy natychmiast do Cherbourga, tam spędzimy ostatni dzień z Olive!

Ostatnio rozjeżdżaliśmy się wynajętym automobilem, który czekał jeszcze, aby Aleca i mnie odwieźć do domu. Kiedy stanowczo zaprotestowaliśmy, że nie jesteśmy na taką wyprawę odpowiednio ubrani, baron zaczął histerycznie krzyczeć:

— Jeśli chcemy okazać Olive naszą miłość i szacunek, musimy pożegnać ją w wielkim stylu!

Nikt z nas nie był trzeźwy, więc zarażeni jego entuzjazmem zgodziliśmy się, nie zastanawiając się dłużej.

Nigdy nie zapomnę tej straszliwej nocnej jazdy otwartym samochodem! Wiatr, kurz na starych drogach, ciągłe przerwy z powodu przebiccia opony oraz różnych innych przyczyn, podła kawa w przydrożnej oberży — to był koszmar, koszmar, który trwał czternaście godzin. Wyczerpani i brudni przybyliśmy wreszcie do Cherbourga, zaledwie na trzy godziny przed odpłynięciem statku. W hotelu, dokąd poszliśmy, żeby się umyć i zjeść coś, baron Hochwaechter odwołał mnie do drugiego pokoju i wręczył mi kopertę.

— Proszę przyjąć te dwa tysiące franków — powiedział. — Wiem, że panu ciężko. Może mi pan zwrócić, kiedy będzie to panu na rękę.

Zaczerwieniłem się: wiedziałem doskonale, że to Olive w ten delikatny sposób chciała mi ofiarować pieniądze. Mimo to podziękowałem mu.

Odprowadziliśmy Olive do jej kajuty. Shirley zajęta była szu kaniem swych walizek, gdyż cały bagaż wysłany został pociągiem. Nagle kiedy rozległ się sygnał, by osoby odprowadzające opuściły pokład, Alec głosem łamiącym się ze wzruszenia kategorycznie oświadczył:

— Zostaję na statku! Nie mogę pozwolić, aby jechała sama!

— Jakżeż to możliwe? — zawołałem skonsternowany. — Tak, P\* prostu, bez biletu, bez bagażu, w wieczorowym stroju?

— Wszystko, co trzeba, znajdę na pokładzie — odparł baron zresztą mamy kajutę Shirley.

Olive była zaskoczona, ale pochlebiało jej to.

— Alec, jesteś szalony — to było wszystko, co miała «\*u powiedzenia.

— A co się stanie z Shirley i ze mną? — spytałem. — Jak 1 cimy do Paryża?

.^ 4

— Samochód zawiezie was do domu. Musicie tylko zapłacić benzynę. To już zostało z kierowcą załatwione. Proszę wysadzić Shirley przy Avenue du Bois 80. Było już późno. Ledwie zdążyliśmy ucałować Olive i spieszenie zbiec po trapie!

Droga powrotna była jeszcze jednym koszmarem, tym razem tylko dla mnie. Nasza pulchniutka Shirley okazała się romantyczką; skłonność ta ujawniła się dopiero teraz. W swoim baedekerze wynajdywała jakieś stare, godne zwiedzenia katedry, jakieś położone z dala od drogi lokale z dobrą kuchnią. Od czasu do czasu zatrzymywała samochód, aby zbierać polne kwiaty lub podziwiać dziwaczne nakrycia głowy Bretonek. A my ciągle jeszcze byliśmy w wieczorowych strojach! Na szczęście w Paryżu nie musiałem zajmować się Shirley: nazajutrz miała wyjechać do Szwajcarii. Ale najgorsze mieliśmy jeszcze przed sobą. Na ostatnim postoju, przy Avenue Kleber, kierowca, którego zamierzałem odprawić z sutym napiwkiem, wyciągnął groźnie wyglądający rachunek.

— Monsieur — powiedział — pan baron był mi winien jeszcze za benzynę, poza tym zapłacił tylko za przejazd do Cherbourga; a jazda nocą kosztuje podwójnie.

W sumie rachunek opiewał na przeszło siedemset franków. A ja czułem się taki bogaty, mając w kieszeni dwa tysiące i w perspektywie spłatę długów! Tak czy inaczej kierowcy zapłaciłem, ale napiwek dałem mniejszy, niż zamierzałem.

Jeśli idzie o barona Hochwaechtera, wrócił do Londynu w 1920 roku, tuż po I wojnie światowej, aby upomnieć się o pieniądze, które jak twierdził, byłem mu winien. Zwróciłem mu je według przedwojennego kursu.

38

rzymałem od Fryderyka list skądś z Polski: „Rodzina wyje-  
\* na kurację do Marienbadu. A ja jestem na wsi niedaleko  
UrocZaVVy' U moich przyjaciół Barylskich. Mają czterech synów,  
rch chłopców, wesołych i inteligentnych. Rodzice słyszeli

konnomarZa> al3y^ tu ^ył z nami- Przyjeżdżaj! Będziesz mógł jeździć  
Jed2e' pracować, jeśli Ci przyjdzie ochota, czytać lub wypoczywać.  
Heg0 0 le Pr°ste i zdrowe: świeże mleko i owoce, warzywa z włas-  
Br2nf-r<?du< Jestem pewien, że Ci to doskonale zrobi".

0 to nader pociągająco, choć w związku z Fryderykiem  
zaniepokoila mnie nieco wzmianka o chłopcach. Tymczasem jednak nadal tkwiłem w swej leniwej  
rutynie — wstawałem późno, grałem kilka etiud, potem do „Fouqueta", do teatru na Polach  
Elizejskich, w nocy do „Maxima". Wychudłem i pobladłem, miałem zapadnięte policzki i podkrążone  
oczy.

Ktoregoś popołudnia Paul Dukas zobaczył mnie siedzącego na tarasie „Cafe Weber" — piłem kawę  
i jadłem drożdżowe ciastko; prawdę mówiąc, było to całe moje śniadanie.

— Co pan porabia w Paryżu? — spytał. — Byłem przekonany, że dawno pan już wyjechał.

— No cóż — odparłem chętnie — bawię się, i to jak nigdy w życiu! Co wieczór przyjęcia, potem  
— rozumie pan — „Maxim", no i, ach, te piękne, przepiękne dziewczęta! Jak można wyjeżdżać z  
takiego miasta?

Uśmiechnął się wyrozumiale.

— Jeśli nie ma pan teraz nic lepszego do roboty, to chodźmy do mnie. Chciałbym panu coś  
pokazać.

Poszliśmy do jego mieszkania przy ulicy Waszyngtona; mieszkał na czwartym piętrze, windy nie  
było.

— Przepraszam na moment, mam coś do zrobienia w kuchni. Proszę tymczasem obejrzeć te  
fotografie, spodobają się panu.

Wyciągnął z szuflady tekturowe pudełko, wręczył mi je i wyszedł z pokoju.

Spodziewając się ujrzeć jakieś przyjemne migawki z jego podróży, od niechcenia otworzyłem  
pudełko — zawierało bogaty zbiór kolorowych zdjęć pornograficznych.. Łzy napłynęły mi nagle do  
oczu. Byłem urażony i zawstydzony. Wyczułem, że temu człowiekowi, którego szanowałem i  
podziwiałem i którego uważałem za przyjaciela, sprawiłem teraz zawód, a ten gest, te obrzydliwe  
zdjęcia — to miała być odpowiedź na moją głupią paplaninę.

Drzwi się otworzyły, do pokoju wszedł monsieur Dukas z wielką tacą i postawił ją na stole.

— Przekąsi pan coś ze mną — powiedział przyjaźnie, a moje strapienie, dorzucił łagodnie: — Nie  
zamierzałem pana uraz Ale proszę opowiedzieć mi o sobie.

Zasiedliśmy do posiłku złożonego z zimnego mięsa, serów, chle° i herbaty; otworzyłem przeci nim  
serce.

— Moja kariera artystyczna jest  
skończona!

— zawołał

w przypiływie szczerości. — Jestem niczym, tylko zwykłym Pu głowym noceur.

— Bzdura, mon ami! W pańskim wieku to jeszcze nic s nego, powinien pan jednak bardziej dbać o  
zdrowie. Szczerze radzę, niech pan wyjedzie na wieś, odpocznie porządnie i sta odzyskać siły, a  
chęci do pracy same powrócą!

Nagle przypomniałem sobie list Fryderyka i pomyślałem- Cóż za zataw^ący zbieg okoliczności!

Jego propozycja pokrywa %

ktfa z nich na cz?ery rfce \*

55

je o całej tej sprawie. Hochwaechter znajduje się w dosc kiepskim stanie i najbliższym statkiem  
odpływa do Europy"

spędziłem w towarzystwie Dukasa, z któ-iriane et Barbe-Bleue. Po raz ostatni po-\_\_ a", aby  
pożegnać się z przyjaciółmi, po czym obszerny ST\* Skr°mny багаŻ" Armandowi zostawiłem na  
stoli-óž do Warszawy zmęczyła mnie bardziej niż zazwy-jego serHo ZUpełnie. wyczerpany.

Fryderyk czekał na dworcu, serdeczne powitanie podniosło mnie nieco na duchu. Przed  
tersburXJr djorozka, która zawiozła nas na dworzec kolei pe-ssiej po drugiej stronie Wisły. Tam  
wsiedliśmy do pociągu niej znaleźliśmy się na stacji, gdzie oczekiwało nas -\_ T<) . - ----ych  
chłopców.

°ba3 są L11 Kazio' a to Zygmunt — przedstawił ich Fryderyk. — Mr^rZ r azo muzykalni.

zawiózł nas do majątku odległego o jakieś trzy ^U> całkowivTLXZymaliŚmy się przed frontonem  
obszernego budyn-r,° doni Parter pozbawionego° proporcji architektonicznych — był S^oPodobnir7'

d° którego Później dobudowano długie skrzydła, ?o i' Par> Barvll?°WOdU Stałeg° pow^kszenia się rodziny. Właś-1 zi^ki odpow i' - ezał do zamożnego mieszczaństwa polskie-|niowvrLedziaJnemu stanowisku w rosyjskim towarzystwie ym zdobył majątek i wpływy.

241

Liczył sobie niewiele ponad pięćdziesiątkę, ale był już siwy; intelektualista, o wszechstronnych zainteresowaniach, lubił zwłaszcza muzykę. Pani Barylska, choć niewiele odeń młodsza, zachowała jeszcze młodzieńczy wygląd — dostojna, łagodna, lecz energiczna i pełna sił witalnych, brała czynny udział we wszystkim, co się wokół niej działo. Posiadała te cechy, które według mnie powinna mieć prawdziwa polska matrona.

Chłopcy, jeden przystojniejszy od drugiego, mieli jeszcze wakacje i korzystali z nich w całej pełni. Uwielbiali jazdę konną, łowienie ryb, grę w tenisa oraz wszelkie inne sporty na świeżym powietrzu; wieczorami czytali wartościowe książki, grywali w szachy lub toczyli długie dyskusje polityczne, przeważnie na temat spraw polskich.

Majątek składał się z dużego gospodarstwa rolnego, stadniny koni i hodowli bydła, a także dworu otoczonego ogrodem warzywnym i sadem.

Tryb życia domowego był wręcz idealny. Po śniadaniu wybierałem się z chłopcami na przejażdżkę konną, potem gdy oni grali w tenisa, spędzałem godzinę czy dwie przy fortepianie. Obiad, podawany na werandzie, składał się zwykle z kwaśnego mleka z gorącymi ziemniakami, mięsa na zimno oraz poziomek lub malin ze śmietaną. Po południu Fryderyk pracował nad swymi kompozycjami, a my wszyscy chodziliśmy do pobliskiego lasu na grzyby, co lubiliśmy ogromnie. Zmęczeni, lecz uszczęśliwieni długim spacerem, siadaliśmy do tradycyjnego polskiego podwieczorku, który składał się z najrozmaitszego pieczywa, zimnej lemoniady, dżemu, miodu, serów, wędlin i owoców; w ciągu całego dnia to był nasz ulubiony posiłek. Wieczorami jadałiśmy niewiele, za to wypijałem dwie wielkie szklanki mleka. Dzięki takiemu odżywianiu bardzo szybko przybrałem na wadze i odzyskałem siły.

Czasem, jeśli przyszła nam ochota, Fryderyk lub ja grywaliśmy Chopina, ale nikt nas do tego nie zmuszał. Pani Barylska lubiła wciągać mnie do gry w pikietę, niekiedy zaś wieczór upływał nam na łuskaniu i jedzeniu świeżych orzechów. Moje podejrzania co o> Fryderyka i chłopców okazały się bezpodstawne; wszyscy cztef synowie byli absolutnie normalni i pod każdym względem zdroW Lato minęło, nadeszła pora powrotu do miasta. Pożegnanie wy padło nad wyraz serdecznie. Pani Barylska pobłogosławiła n znakiem krzyża i ucałowała w czoło, a cała rodzina wymusiła Pr2 rzeczenie, że odwiedzimy ich w Warszawie. Byłem bardzo wzrus ny, serce wypełniała mi wdzięczność za wszystko, co dla \* zrobili dobrego — tak co się tyczy mego morale, jak i i»o: zdrowia.

242

39

Jesień była moją ulubioną porą roku. Uwielbiałem świeży wiaterek zrywający z drzew złociste liście, szybciej przesuwające się obłoki, krótsze dni i swobodniejsze krążenie krwi w żyłach. Warszawa powoli znów się zapełniała. Przyjemnie było widzieć ludzi powracających do pracy ze wzmożoną energią, jeszcze ogorzałych od słońca, po długim wypoczynku ciągle pełnych animuszu. A kobiety, śliczniejsze niż kiedykolwiek, działały podniecająco już samą swą obecnością.

Rodzina Fryderyka także powróciła z zagranicy. Pani Magdalena powitała mnie, jak to zwykle ona, w sposób nader wylewny, wyczułem w niej jednak subtelną powściągliwość, będącą być może wynikiem długiej rozłąki. Mąż natomiast był szalenie serdeczny. Moje amerykańskie tournée ogromnie mu zaimponowało, a uczucie to podzielał — o czym miałem się zresztą wkrótce przekonać — cały kraj! Część polskich gazet zamieściła przychylne relacje o moich „sukcesach" we Francji i w Ameryce, wskutek czego stałem się teraz „sławnym polskim pianistą". Na zmaterializowanie się wynikających stąd korzyści nie musiałem długo czekać. Emil Młynarski, dyrektor i pierwszy dyrygent Filharmonii, z miejsca zaproponował mi, za wysokie honorarium, trzy koncerty w charakterze gościnnie występującego artysty. Nowy impresario koncertowy z Łodzi wystąpił z propozycją zorganizowania dwóch recitali w moim mieście rodzinnym. Ze wzmożonym zapałem zabrałem się do przygotowywania repertuaru.

Józef Jaroszyński przybył do Warszawy i zamierzał pozostać aż °° czasu moich koncertów. Nigdy nie zetknął się z Harmanami, ja zas miałem opory przed wprowadzeniem go do ich domu; po pro-s u nie pasowali do siebie. W rezultacie to Józef przedstawił mnie woim przyjaciółom, państwu Rzewuskim, bezdzietnemu małżeń-! Mieli urocze mieszkanie z doskonałym steinwayem i byli



'Cnymi melomanami. Stanisław Rzewuski stracił w pojedynku Często zapadał na zdrowiu, żył więc lekarskami. Jego jedy-stau,kfOC\*z\*ennym zajęciem była gra w brydża o bardzo wysokie w jednym z najwytworniejszych klubów w mieście. Zwie-się:

o dziesięć procent lepiej niż wszyscy pozostali, a to mi 1 roczny dochód w wysokości około trzydziestu tysięcy

Zona, niegdyś piękność, ciągle jeszcze była atrakcyjna na, ?

i pełna życia. Pochodziła z Ukrainy, tak samo jak pani Hańska Balzaca i księżna Wittgenstein Liszta. Państwo Rzewuscy uwielbiali Wagnera i nigdy nie opuszczali dorocznej pielgrzymki do Bayreuth na Festiwal. Pani Rzewuska lubiła utożsamiać się z Brunhildą. Niebawem stałem się l'habitué de la maison, godzinami grywałem im Walkirią i Zmierzch bogów. Rzewuscy ze swej strony wprowadzili mnie do najznakomitszych domów warszawskich. W rezultacie wśród tych, którzy zaczęli traktować mnie jak chodzącą sławę, znalazła się niekoronowana królowa miasta margrabina Wielopolska oraz bogaci Epsteinowie, blisko spowinowaceni z paryskimi Rothschildami. Moje koncerty przyniosły mi prawdziwy sukces. Pan Młynarski był nie tylko znakomitym dyrygentem, ale również okazał się wybitnym pedagogiem. Udzielił mi bezcennych wskazówek dotyczących interpretacji koncertów, które grałem pod jego batutą. Harmanowie byli ze mnie bardzo dumni, a pani Magdalena po pierwszym koncercie wydała wielką kolację, którą zaszczycił swą obecnością nawet jej małżonek. Z tej okazji przyjechała z Łodzi moja siostra Jadzia, przywożąc alarmujące wieści o naszym bracie Ignacym. Powrócił już z zesłania na Sybii i znów wplątał się w działalność rewolucyjną — jeśli teraz zostanie schwytany, grozi mu bardzo surowy wyrok; być może nawet kai śmierci.

— Musi natychmiast wyjechać za granicę — powiedziała Jadzia. — Najlepiej by było, gdyby pojechał do Paryża, gdzie chciałby uczyć się gry na skrzypcach. Postaramy się jakoś wysłać mi miesięczną pensję, a dodatkową dla niego korzyścią będzie fakt, że znajdzie się blisko ciebie. Wzięła ode mnie dwieście rubli na bilet i na pierwsze wydat dla Ignacego, a także zobowiązała mnie do poszukania drogi wyekspediowania go z kraju. „Przy twoich kdrfeksjach nie będzie trudne” — twierdziła.

Miałem szczęście: dzięki jakimś tajemniczym machinacjom z( byłem dokument umożliwiający mu przekroczenie złowrogiej syjskiej granicy. W owych szczęśliwych czasach nigdzie, P°z Rosją i Turcją, nie wymagano paszportów! Tak czy inaczej, Ig° cy do Paryża dotarł bezpiecznie. Ale Jadzia wymierzyła mi jesz jeden cios: poprosiła, abym zapłacił rachunek za jakieś zakup\*0 przez nią stroje, a rachunek ten wynosił trzysta rubli.

— Boję się pokazać go mężowi — wyjaśniła. •— Jest wście kiedy zbyt wiele wydaję.

W efekcie straciłem pięćset rubli, więcej, niż wynosiło honorarium za jeden koncert. Mimo to nie mogę mieć jej \*( złe. Panowała powszechna opinia, że w Ameryce dorobi^ wielkich pieniędzy, a moje eleganckie stroje nie przyczyi

244

do zmiany tego przeświadczenia. Daremnie usiłowałem przekonać siostrę, że ostatnie miesiące wystawnego życia w Paryżu pochłonęły większość tej sumy. Nic też dziwnego, że w Łodzi powitano mnie tym razem nie jak syna marnotrawnego, lecz jak zdobywcę Ameryki. W rezultacie czułem się moralnie zobowiązany do podarowania rodzicom połowy zarobków. Widoki na powrót do Paryża z pokazną sumką nie przedstawiały się więc najlepiej; pieniędzy pozostało mi zaledwie na jeden lub dwa miesiące.

W Warszawie podniósł mnie na duchu przyjazd Karola Szyma-nowskiego; z radością odnowiliśmy naszą przyjaźń. Przywiózł z sobą kilka świeżo opublikowanych kompozycji, między innymi zadedykowane mi Wariacje opus 3. Natychmiast też zabrałem się do pracy nad nimi oraz nad jego etiudami i preludiami. Przyjaciel Karola, Grzegorz Fitelberg, kompozytor i dyrygent, niekiedy dołączał się do nas. Zaledwie o kilka lat starszy od Szymanowskiego, przybierał wyniosłą pozę wyższości. Był to barczysty, mocno zbudowany mężczyzna, choć zaledwie średniego wzrostu, o gęstych, czarnych kędzierzawych włosach, okrągłej, gładko wygolonej twarzy i z surowością w oczach osłoniętych okularami. Właściwie można go było uznać za przystojnego; przypominał z wyglądu fotografię młodego Antoniego Rubinsteina. Instynktownie go nie lubiłem. Jednakże dzięki jego staraniom i energii młodzi polscy kompozytorzy mogli publikować swe utwory, a także słyszeć ich publiczne wykonania.

Książę Władysław Lubomirski, bogaty właściciel ziemski, potomek jednego z najstarszych rodów w Polsce, był namiętym wielbicielem muzyki, co wśród polskich arystokratów nieczęsto się zdarzało.

Fitelberg, od lat jego protegowany, zaproponował mu współzawodnictwo ze sławną rosyjską „Piątką” przez stworzenie czegoś podobnego w naszym kraju. Księciu pomysł się spodobał ^wyłożywszy znaczną sumę pieniędzy, zorganizował Spółkę Nakła-  
°wą Młodych Kompozytorów Polskich, na której czele sam stanął, erws  
yi członkami byli Fitelberg, Szymanowski, Ludomir Ró-(-\*1 (ten, który mnie niegdyś obraził) i Apolinary Szeluto. Po n ostatnim koncercie, na którym na bis grałem jedną z etiud ^nowskiego, księżę zjawił się za kulisami, żeby mi wyrazić ' na co Ja z kolei podziękowałem mu za jego cenny wkład

Syci muzyczne-

® u Harmanów szło utartym trybem. Pan domu kontynuował p°dwie Ze .SW0J3 baletnicą, madame nadal wydawała przyjęcia, zorki i kolacje dla zażytych przyjaciół, a Fryderyk praco-knPoz ^P^estracją swego Koncertu. Zamierzał zawieźć swoje - Basi°Je d° Pary.za i poprobować szczęścia we francuskiej sto-a Popołudnia spędzała przeważnie poza domem, prawdopo-  
dobnie w towarzystwie kochanka, który powrócił do Warszawy. Druga córka, Pola, codziennie w porze podwieczorku przychodziła odwiedzić matkę. Zmieniła się od czasów Zakopanego i traktowała mnie teraz uprzejmie. Moje bliskie związki z panią Magdaleną, jak już wspominałem, uległy ochłodzeniu, częściowo z powodu utrudniającego je rozkładu mieszkania, głównie jednak dlatego, że nie podobało jej się, iż obracałem się teraz w całkiem innych kręgach niż ona. Czując się często nieswojo wskutek dwuznacznej roli, jaką zajmowałem w ich domu, proponowałem, że przeniosę się do hotelu, ale cała rodzina nalegała, abym pozostał u nich.

I oto nagle, jak grom z jasnego nieba, spadło na mnie coś najbardziej niewiarygodnego i najbardziej nieoczekiwanego. Któregoś dnia o zmierzchu Pola i ja siedzieliśmy jeszcze, rozmawiając przy stole nakrytym do podwieczorku; byliśmy zupełnie sami, reszta rodziny opuściła już pokój, gdy nagle — jak gdyby powodowani tym samym nakazem — zamilkliśmy. Serce zaczęło mi mocniej bić. Spojrzałem jej w oczy pytająco, z przejęciem: nie odwróciła wzroku. I wtedy dla nas obojga stało się jasne — kochamy się, kochamy głęboko i namiętnie. Ująłem jej dłoń, a ona moją, nasze palce splotły się, i siedzieliśmy tak w milczeniu, przepelnieni szczęściem. Ktoś nadchodził; ocknęliśmy się, jak gdyby przebudzeni z głębokiego snu. Pola została na kolacji, ale w ciągu całego posiłku nie odważyliśmy się do siebie odezwać. Jej matka sądziła, żeśmy się posprzecziali. Uspokoilem ją w tym względzie, więc poprosiła, bym odprowadził Połę do domu.

— Nie lubię, gdy o tak późnej porze chodzi sama. A mieszka za ledwie kilka przecznic stąd. To był, zaiste, dar niebios! Szliśmy, trzymając się za ręce; zbyt nieśmiali, żeby móc z sobą rozmawiać. Dopiero przed drzwiami jej domu, nim zdążyła zadzwonić, wziąłem ją w ramiona, przytuliłem moc;no i zaczęliśmy się całować... Był to długi, bardzo długi, fl4 miętny i pełen pożądania pocałunek. Ze łzami w oczach szepnęła-

— Jutro rano o jedenastej w cukierni. Drzwi się otworzyły, weszła do środka. Wróciłem oszołomiony.

Fryderyk jeszcze nie spał, czekał na mnie. Powiedziałem e"? co zaszło, nie byłem w stanie ukryć tego przed nim.

— Czułem, że to nadchodzi — powiedział spokojnie. — \*! musi się zamknąć, to było nieuniknione. Miał słusność — było to jakieś nieubłagane fatum. Odkąd znałem Fryderyka i jego najbliższych, żyłem pod ich magic^ urokiem i nie byłem w stanie się wyzwolić — niezależnie od czy byłem blisko, czy też z dala od nich. A teraz widziałeś' 1 nieodwołalnie wciągają mnie w swoje sieci.

246

Nazajutrz w cukierni zastałem ją pijącą herbatę przy narożnym stoliku. Była strasznie zdenerwowana.

— Nie możemy przebywać tu razem — powiedziała szybko, z oczyma utkwionymi w drzwi wejściowe. — Bywają tu niektórzy z moich znajomych. Musimy natychmiast stąd wyjść, i to każde z osobna. Znajdę lepsze miejsce, gdzie będziemy mogli się spotykać — po czym uściśnieła mi rękę i wybiegła na dwór.

Miała, oczywiście, słusność. Nie było żadnych logicznych powodów, dla których moglibyśmy pokazywać się razem poza domem jej rodziców. Po niezliczonych, ale niepraktycznych pomysłach, Pola zaproponowała wreszcie spotkanie w mieszkaniu młodej panny, zakochanej we Fryderyku i wyraźnie zadowolonej, że może wyświadczyć przysługę jego siostrze. Z entuzjazmem przystałem na tę myśl; poszedłbym na kraj świata, byle tylko móc przez chwilę być z Połą sam na sam. Nasza wybawicielka, Zofia Kohn, była córką znanego adwokata, żywą, uroczą, dobrze zbudowaną i

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

elegancką panną. Niestety, długi, bezkształtny, ciągle zaczerwieniony nos, którego koniuszek sięgał niemal ust, szpecił miłą skądinąd twarz. Przyjęła nas w sypialni (przybyliśmy, rzecz jasna, każde z osobna), której umeblowanie składało się z dziewiczo wyglądającego łóżka (ozdobionego białymi firankami z frędzlami), ustawionego naprzeciw ogromnego koncertowego bechsteina. Mała sofa, dwa wyściełane krzesła i niski stolik stały w drugim końcu pokoju. Przez najbliższe tygodnie sypialnia ta była miejscem schronienia naszej miłości. Zofia, zawsze bardzo dyskretna, pozostawiała nas samych pod pretekstem spraw do załatwienia. Ale mimo to jedyne, na co pozwalaliśmy sobie, to siedzenie bez ruchu, trzymając się za ręce, i powtarzanie tych samych zużytych słów, które brzmią tak cudownie świeżo, gdy człowiek jest zakochany! Byliśmy, rzecz jasna, onieśmieleni nieznanym otoczeniem, a prócz tego oszołomieni nagłym zwrotem, jaki dokonał się w naszym życiu. Fryderyk wyjechał do Paryża i napisał mi, że znalazł miłą waterę w mieszkaniu jakiejś starszej Angielki i że gdy tylko ;yduję się przyjechać, znajdzie u niej pokój także dla mnie. miS?. rodzice wybierali się z Basią do Niemiec, gdzie u krewnych pow -Spędzić Boże Narodzenie. Ja, naturalnie, także czułem, że ^J1\*1 Już wyjechać, ale nie byłem w stanie rozstawać się ^^ szybko. Szymanowski i Fitelberg pomogli mi: stwier- 6 \*esteni im potrzebny w związku z jakimś wielkim zamie- Muzycznym. Dzięki nim mogłem pozostać w Warszawie dwa tygodnie. Z Z. m\*eszkać u nas — powiedziała pani Magdalena. —  
dzili  
PUn

na miejscu, a Pola wpadnie od czasu do czasu i do- wszystko było w porządku.

247

Te dwa cudowne tygodnie mijały jak jeden dzień. Pola często przychodziła do domu, gdzie nareszcie mogłem ją niekiedy wziąć w ramiona, co prawda zawsze w strachu, że ktoś nas może zaskoczyć. Przy każdym spotkaniu przysięgaliśmy sobie wieczystą miłość; obiecała pisywać do mnie, ale ja miałem nie odpowiadać. „To zbyt niebezpieczne” — twierdziła. x

Tuż przed Bożym Narodzeniem wydawała obiad, na który zaproszeni byli dwaj bracia jej męża z żonami. Nalegała, abym i ja przyszedł.

— Będzie wyglądać podejrzanie, jeśli cię nie zaproszę, zwłaszcza teraz, kiedy mieszkasz sam w domu rodziców.

Nie był to pomysł udany. Czułem się obco. Wszyscy trzej panowie odnosili się do mnie nieprzyjaźnie, niemal nieuprzejmie, panie zaś czyniły mi afronty o typowo antysemitycznym podtekście. Pola stała się nerwowa i nienaturalna. Z chwilą gdy wstaliśmy od stołu, poprosiłem o wybaczenie i pożegnałem się. Moja obecność popsowała przyjęcie, choć nie mogłem dojść, dlaczego. Być może wiedzieli coś lub słyszeli o nas czy też o mnie?

Nazajutrz u Zofii Pola wytłumaczyła mi, że po prostu uznali mnie za obcy element na ich rodzinnym spotkaniu. Niezupełnie mnie to uspokoiło.

Nasze pożegnanie nastąpiło w dwa dni później, również w domu Zofii. Pola płakała, ja byłem niepokieszony; gdy wyszła, Zofia zatrzymała mnie przez godzinę, przyniosła kawę i starała się mnie pocieszyć. Wreszcie zmusiła mnie, bym siadł do fortepianu i wygrał wszystko, co mi leżało na sercu. To pomogło! I dziś mogę stwierdzić, że raz jeszcze muzyka potrafiła mnie pocieszyć i uspokoić.

40

i

Mój nowy adres paryski brzmiał rue Lauriston 25, a gospody0\* pani Cowl, była Angielką po sześćdziesiątce, drobna ^  
zawsze schludną w swych sukniach uszytych według mody nieodmienione z zadrukowanego perkalu. Ciemne włosy wała na nieokreślony żółty kolor, nosiła dziwaczny zestaw bursz1 nowych, kryształowych i metalowych naszyjników, a na ręk& prawie równie hałaśliwe bransoletki, których pobrzękiwanie ry ją zapowiadało. Pani Cowl była najmilszą istotą, niezbyt kształconą, ale żądną wiedzy. Dla Freda straciła głowę i aby

248

więc mii przyjemność, mnie również przyjęła z otwartymi ramionami. Byliśmy jedynymi jej lokatorami, a że obaj mieliśmy w pokojach fortepiany, mieszkaliśmy oddzieleni od siebie salonikiem i jadalnią. Pierwsze kroki po powrocie do Paryża w 1907 roku skierowałem do Astruca. Nasze wzajemne stosunki ostatnio nie układały się najlepiej, i to z oczywistych względów. Astruc najwyraźniej

rozzarowany był powolnymi postępami mojej kariery artystycznej, a chyba jeszcze bardziej rozwiązyłem trybem życia podczas minionego lata. Ale gdy tylko wszedłem do gabinetu, jego serdeczny uśmiech dodał mi otuchy; Astruc nadal był po mojej stronie, jeszcze nie spisał mnie na straty.

— Alors, jeune homme — powiedział, klepiąc mnie przyjaźnie — do czego się teraz zabieramy? Na razie mam dla pana jedynie koncert w Societe Philharmonique, a potem zobaczymy.

Był to właściwie recital w małej Salle des Agriculteurs, a za dumną nazwą Societe Philharmonique kryło się nieliczne grono posiadaczy abonamentów na krótką serię koncertów muzyki kameralnej lub recitali.

— Ale mam też dla pana doskonałą propozycję — ciągnął dalej monsieur Astruc. — Organizujemy kolosalny poranek na cele dobroczynne; wszystkie znakomitości w mieście zadeklarowały udział.

Francis Plante, wielki pianista francuski, który liczy sobie osiemdziesiąt sześć lat, przybywa specjalnie z Tarbes, gdzie teraz mieszka, żeby wykonać Tarantelę Gottschalka z orkiestrą Gardę Re-pubJicaine oraz jakiś utwór solowy. Ponieważ figuruje na końcu programu, który potrwa co najmniej trzy godziny, pan mógłby wykonać jeden czy dwa krótkie utwory na samym początku. Świetle to panu robi, jeśli pana nazwisko pojawi się w takim programie.

Niezbyt podobał mi się ten pomysł, ale czułem, że nie jest to odpowiednia pora, aby czegokolwiek odmawiać, zgodziłem się więc 1 zaproponowałem do programu „dwa utwory Chopina”.

~ Tylko proszę się nie spóźnić — uprzedził mnie. — Koncert °poczyna się o trzeciej, a pan będzie trzeci lub czwarty na liście.

1 była imponująca: Sarah Bernhardt miała wykonać cały

2 Adrienne Lecouvreur, Lucien Guitry scenę ze sztuki, w któ-

J ostatnio odniósł sukces, zaś Mounet-Sully, Coquelin (starszy),

j-t . rSy> de Feraudy — monologi i recytacje; wielki sopran Felia

oii r ^e oraz Lucienne Breval, Vallandri i tenor Alvarez z Opery

\*\*Ua] sP\*ewać, i wreszcie last but not least, wielki Francis Plante

nje , P°Jawić się w Paryżu po raz pierwszy po dziesięcioletniej

mOj Wl\$ć dziwnego, że byłem raczej dumny, widząc na afiszach a2wisko w tak doborowym towarzystwie.

249

Do Theatre Sarah Bernhardt przybyłem na czas. Widownia była wyprzedana — i to mimo drogich biletów. Paryżanie lubią takie widowiska — są przeświadczeni, że otrzymają pełną równowartość wydanych pieniędzy. Kiedy się zjawiłem, za kulisami panowało zamieszanie i nieład. Mężczyźni i kobiety, w kostiumach lub w zwykłych ubraniach, biegali tam i z powrotem, wszyscy mówili coś i gestykulowali. Kiedy daremnie usiłowałem zdobyć wydrukowany program, ktoś złapał mnie za ramię i popchnął w kierunku sceny.

— Chwała Bogu, że pan jest — powiedział zdenerwowany — Vallandri sprawiła nam zawód, a więc pan musi wystąpić teraz!

Nagle znalazłem się na scenie przed publicznością. Ukłoniłem się i dopiero siadając do fortepianu, odzyskałem jasność umysłu, nokturn i etiuda Chopina zostały praktycznie zagłuszone przez głośnie rozmowy na widowni, co tak mnie rozwścieczyło, że w odpowiedzi na letnie, uprzejme okłaski zagrałem mój popisowy, wystrzałowy numer — Poloneza As-dur. Tym razem zmusiłem ich do słuchania, wywoływano mnie trzykrotnie. Zadowolony z siebie, j! miałem zejść na widownię, aby stamtąd wysłuchać reszty programu, gdy reżyser, ten sam, który wypchnął mnie na scenę, zatrzymał mnie znowu.

— Brawo, brawo! — powiedział, poklepując mnie po ramieniu. Na pewno sprawi panu przyjemność, gdy powiem, że mistrz Plant pragnie pana poznać! Proszę ze mną.

Zapukaliśmy do drzwi wielkiego pianisty. Osobliwy był to "V dok! Plante był niski, łysy, o różowej, niepomarszczonej twarzy i krótkiej okrągłej siwej bródce. Zdjął buty i siedział ubrany j! do wyjścia na scenę, z nogami w białych skarpetkach oparty\* o mały elektryczny piecyk. Kiedy tylko mnie dojrzał, zawołał:

— Ach, ach, cóż to za miły młodzieniec! Ach, widzę, że ma wi< talent. Czy nie jest uroczy? — zwrócił się do reżysera, tak wcale mnie tam nie było.

— Ogromnie mi przykro, że nie mogłem pana posłuchać, słyszałem, że odniósł pan wielki sukces

— ciągnął dalej. — A pan takiego grał, mon jeune ami?

Powiedziałem mu. Lecz kiedy wspomniałem o Polonezie, to spojrzał na mnie z niepojętą wściekłością, przewrócił się, wstał i wrzasnął:

— On mi ukradł mój numer! Ten łajdak ukradł mi numer! chodź! To jedyny utwór, jaki przygotowałem, a on mi go u\*\*

Wybiegłem przerażony, ukryłem się na widowni za łóżkami i z innymi posiadaczami biletów stojącymi przyglądałem się \* co działo się na scenie. Dwie godziny trwało, nim przy akomP' mencie burzliwej owacji na scenie pojawił się wreszcie

250

j

mistrz i ku mojej niewysłowionej uldze, jak gdyby chcąc zadać kłam swemu wiekowi, odegrał Tarantelę z animuszem godnym młodego człowieka i idealnie panując nad palcami. Gdy umilkła zasłużona owacja, podniósł rękę i zwrócił się do publiczności:

— Mój młody kolega zaprezentował państwu doskonale wykonane wykonanie utworu, którym niechcący mnie ubiegł. Niczego innego nie przygotowałem — po czym zszedł ze sceny, uśmiechając się z gracją. Mimo tego dramatycznego interludium koncert nieoczekiwanie przyniósł mi pomyślne rezultaty. Wielki aktor Coquelin (starszy) pod wrażeniem mego sukcesu poprosił mnie o udział w galowym koncercie, który organizował na rzecz domu starych aktorów. Ponieważ swój udział przyrzekli mu już Caruso i Geraldine Farrar, był tak uprzejmy, że zareklamował nas jako trójkę wielkich zagranicznych gwiazd — ku radości Astruca i mojej własnej. Koncert odbył się w obskurnej sali starego Trocadero, która mieściła jednak trzy tysiące krzesel. Po wspaniałym sukcesie arii operowych śpiewanych przez Carusa i Farrar miałem szczęśliwy pomysł, by jako ostatni utwór wykonać „Śmierć miłosną Izoldy” z Tristana w transkrypcji Liszta; cały teatr zatrzęsł się od oklasków. Obecny na koncercie Saint-Saens bardzo serdecznie mi pogratulował.

— Na fortepianie brzmi to lepiej niż w wykonaniu wokalnym — zauważył.

Często więc grywałem ten utwór także na późniejszych koncertach.

Mając na koncie dwa udane występy, znów zwróciłem na siebie uwagę le grand monde'u i trzy razy pod rząd zostałem zaangażowany na „niemuzyczne” soirees musicales. Jeden z nich wszakże okazał się wyjątkiem. Hrabina de Bearn, prawdziwa melomanka, poprosiła sławną sopranistkę Felię Litvinne, aby wykonała cykl Poetyckich pieśni Dichterliebe Schumanna na organizowanym przez nią Przyjęciu, a śpiewaczka wyraziła życzenie, abym jej akompa-\*• Po dziś dzień wspominam ten wieczór jako jedno z naj-ni k eJ Wzruszających przeżyć muzycznych. Felia i ja staliśmy się

znów

251

wyjechał do Nowego Jorku, dając do zrozumienia, że tym razem naprawdę postara się złowić bogatą dziedziczkę.

Chcąc zrekompensować mi jego nieobecność, byli w stosunku do mnie jeszcze miłsi niż zazwyczaj. Jeden z przyjaciół Armanda, młody Recope, przekazał mi zaproszenie na obiad od hrabiego Mikołaja Potockiego.

— To prawdziwy Potocki z Polski. Jest bardzo bogaty — dorzucił. — Nie mówi wprawdzie po polsku, ale bardzo oddany jest starej ojczyźnie i swym rodakom. Kiedy mu wspomniałem, że i pan jest Polakiem, kazał mi pana koniecznie zaprosić.

Obecna siedziba Izby Handlowej przy Avenue Friedland wówczas stanowiła rezydencję hrabiego. Mieszkał sam jeden w tym wielkim gmachu, do którego należał rozległy ogród, garaże i stajnie. Gdy weszliśmy do obszernego salonu de jęte powitał nas dość wysoki pan pod pięćdziesiątkę, był łysy, miał jasne wąsy i niezwykle łagodne błękitne oczy, osadzone w okrągłej, kształtnej twarzy. Ponieważ utykał na nogę, podszedł ku nam podpierając się laską.

—! Żałuję, że nie mogę powitać pana po polsku — powiedział — ale nigdy nie miałem okazji nauczyć się tego języka. Urodziłem się na Syberii, gdzie rodzice moi zesłani zostali po powstaniu 1863 roku, a po ich śmierci osiedliłem się w Paryżu.

Salon zaczął się stopniowo wypełniać gośćmi wszelakiego autoramentu i najrozmaitszych zawodów, starymi i młodymi. Niektórzy zachowywali się bardzo ceremonialnie, inni czuli się jak w domu, lecz

większość wchodziła tu jak do restauracji. Recope wyjaśnił mi, w czym rzecz. Hrabia Potocki utrzymywał tak zwany „dom otwarty” — pozostałość wspaniałej starej polskiej tradycji; znaczyło to, że pewnej liczbie osób, które chciał spotykać lub które chciał bliżej poznać, udzielał stałego zaproszenia. Ilekroć dysponowali wolnym czasem, byli mile widziani. Codziennie nakrywano do stołu na dwadzieścia cztery osoby. Tamtego dnia — jak póż tam — obecnych było dwóch ambasadorów, jakiś rosyjski generał kilku Polaków, sławny podówczas malarz-portrecista Bonnat i nie mniej sławny karykaturzysta Sem, aktor Le Bargy oraz k członków rządu. Do stołu zasiadło chyba z szesnaście osób; miejsc pozostała wolna. Jedzenie było wyśmienite, a rozmowa czyła się na wysokim poziomie intelektualnym.

Stałem się częstym gościem na Avenue Friedland. Już od póż szego dnia hrabia i ja poczuliliśmy do siebie wzajemnie dużą s>-patię; hrabia pozyskał moje serce, ponieważ wyczułem, że^ bardzo samotny, a prócz tego — że kocha Polskę, ja zaś pód\*1 łem go chyba do życia swą energią i wszechstronnymi zaintef\*

252

waniami. No i uwielbiał muzykę. Po obiedzie, gdy wszyscy eoście już się pożegnali, bardzo często grywałem tylko dla 1S \*

Moje życie w Paryżu wypełnione było wówczas niezwykłym bogactwem doznań artystycznych, które stały s^dl^mS n<T wym nieocenionym bodźcem do pracy. Dzięki pełnym słodyczy" delikatności hstom Poli oraz inteligentnemu wspardu^red^t byłem zawsze w jak najlepszym nastroju

ęzyk

francusko-niemieckiej

c Salome do Jana Chrzciciela oraz długa

wywx Idęta g^W^eZaca na ^ w^atohckieTFranc ITstruo^grOmne wzburz^ie. Nie zważając jednak na to , Astruc z właściwym mu savoir-faire raz leszcze

^T^131117 GreffUlh ' L G L2L

' że

obietnicę prezydenta na premierowe przed-  
niej

P' ^owa6 miał oso- spektaklu była Emmy Destinn -SOfran dramatyczny owych czasów. Za  
f7 tO g^Śne były jej kostki z kil- konserwatorium, straciłem nawet dla

nklaTw nrñh l P-y> aem W nieJ czynny udział' solisto\* stZ n +a Z r^Znymi zesP^łami i niektórymi  
spośród scenę końcnwt DeSt+lni\ Prosiła mnie, żebym z nią przeciwiczył Nie'daiac S- najt+rudnie^ i  
najbardziej zawiła część opery. CałL\* Partyturę Z g^ Sprawy' wkrótce znałem już na pamięć  
franZk6w gal^Wych Przedstawień, wszystkie wyprzedane po sto Strauss ora7 t1SCe T był t0 dla  
Astruca wyśmienity interes. niezty)yt sryl SgO małżonka' kt^ra z początku zachowywała się nieJszych  
nrZhie' tGraZ okazywali zadowolenie. Na jednej z wcześ-łała z bali; Pam Strauss' bardzo  
przeciętna Liedersangerm,

gOsię wla T W SWym bawarskim dialekcie do męża znajdując-

^ Ach • orkiestrowym:

^ra/ MLSfChreCkliCh! C^ Za Parszywy teatr! I ta obrzydliwa

ty^saQlymWslam ci> ze Francuzi są do niczego! ~ i tak dalej

253

Na premierze, przed rozpoczęciem spektaklu, hrabina Greffulhe wezwała mnie do siebie do łoży.  
— Czy zna pan osobiście panią Destinn? — spytała, a gdy odpowiedziałem twierdząco, dorzuciła:  
— Proszę ubłagać ją w moim imieniu, aby głowę Jana Chrzciciela całowała najbardziej dyskretnie  
jak tylko może, a najlepiej by było, gdyby mogła nie całować jej wcale.

Wyszedłem z łoży rozbawiony tymi obawami; pocałunek stanowił przecież punkt kulminacyjny całej  
opery!

Doszło zresztą do jeszcze jednego zabawnego incydentu. Sacha Guitry lubił czasami, ot tak, dla  
żartu, zabierać mnie z sobą do supereleganckiego maison de passę, lokalu, w którym po bardzo  
wysokich cenach można było korzystać z usług pięknych „dziewczynek”. „Madam” tego zakładu,  
wdowa po wyższym urzędniku państwowym, szczyliła się wpływową i bogatą klientelą. Miała  
słabość do Sachy i jego błyskotliwego dowcipu. Nasze wizyty były jednak czysto platoniczne, żaden  
z nas bowiem nie mógł sobie pozwolić na korzystanie z wdzięków jej podopiecznych. Lubiała przecie  
chwalić się nimi.

Młode lata - Artur Rubinstain.txt

— Viens ici, petite — wzywała zazwyczaj posagową brunetkę. — Pokaż panom swój śliczny derriere — i zadowolona z uznania, jakie okazywaliśmy dla tego pięknego eksponatu, pozwałała nam na bis podziwiać jeszcze jędrne, sterczące piersi należące do cudnej blondynki.

Któregoś popołudnia, w okresie przedstawień Salome, spotkałem Guitry'ego na ulicy.

— Może wpadniemy na chwilę do starej — zaproponował Sacha, więc poszedłem z nim.

„Madam” poczęstowała nas sherry i biszkoptami, a ja opowie<sup>^</sup> działem kilka zabawnych anegdotek o Strausie i o Salomie, za cL zostaliśmy nagrodzeni hojniejszym niż zwykle widokiem anatom<sup>^</sup> naszej brunetki.

W dwa dni później w PAVILON de Hanovre wręczono mi l\*f nadawczynią była „madam”, a pisała mniej więcej co następuj\* „Jeden z moich najznacniejszych klientów zbiera autografy. <sup>^</sup> rzy on o posiadaniu autografu mistrza Straussa. Czy mógłby l ewentualnie pomóc mi w tej sprawie? Nie ośmieliłabym się fl ponować Panu za tę przysługę pieniędzy, mam jednak kor<sup>^</sup> niejszą ofertę. Vous pouvez coucher gratui tement avec la b brune”.

^  
Kiedy pokazałem ten list Straussowi, Astrucowi oraz i członkom zespołu, wybuchło istne szaleństwo: nie mogli pows1 mać się od śmiechu. Biedaczka nigdy, oczywiście, żadnej odp<sup>o</sup> dzi ode mnie nie otrzymała.

9.54

l  
w owym a tożT  
nie

JJ ? P \*\*\*\* \*\*” 2łoż<sup>^</sup>my z Sachą wizytę Zdec/dowany byłem odparować wszelkie wyrzuty

Wied21ałem jej list<sup>^</sup> rzymując, że nigdy żad- \* do saloniku, a „madam”

kowafzften

dokładnTe wał mu za <sup>^</sup>

Nie wiem, jak mam ci dzie- aUt<sup>o</sup>graf! MÓJ klient b<sup>^</sup> schwycony!

prostu osłu<sup>^</sup>iałem-jak

! ^^ owa sławna CZym llst<sup>^</sup> w którym Strauss dzięki- W Sukces odniesiony przez operę”, W towarzys<sup>^</sup>wie pysznej brunetki! W Chatelet Emmy Destinn zaprosiła mnie w hotel» "Regina", gdzie miesz-

we

sować rubato swobodne 4

to w&lt> rubata. Sme

na

l, pani' jak należy prawidłowo sto-

k °ZęStO bywa oP<sup>^</sup>znie pojmowane jako ie mel0dii' Staram si<sup>^</sup> Przenieść pani idealne fa m<sup>o</sup>je

frazowanie i jestem przekonany, że myśl<sup>^</sup> gdy w swych utworach domagał

<sup>^</sup>wf/a<sup>^</sup>11 Wysłuchiła moJeJ Przydługiej przemowy ze sku-do góry szklif, l Z pewnym

zniecierpliwieniem, nagle podniosła

- Dobrze tl SZampana l <sup>TM</sup>z<sup>TM</sup>\* K na kawałki o kominek. Jestem dobra «„• 7 <sup>^</sup>rzykn<sup>^</sup>a z

wściekłością. — Wiem, że . OsWL<sup>o</sup>tem S<sup>^</sup>czk<sup>^</sup> ale Jestem też kobietą! oto zostałem Z

Sp<sup>o</sup>ko<sup>^</sup>nie wstała> Po czym wyszła z pokoju, °feiewano <sup>^</sup>p <sup>^</sup>yT<sup>^</sup>61106111 i duszą oddany Poli

— a tu kobieta , ?° .n5leł Ze zachowam się jak mężczyzna! Dziwna <sup>^</sup> TeJ <sup>^</sup>mmy Destinn.

Doprawdy przeraziłem się, na jej udzie — miała wytatuowanego b<sup>o</sup>a który °Pl<sup>^</sup> jj d kotki

P<sup>o</sup>

łeb

Sa\*

a\* ąsnąćsi

L!lO

jj iała wytatug

b<sup>o</sup>a' który °Pla<sup>^</sup> jej nogę od kostki <sup>^</sup>.

i potrzebowałem dobrej chwili, aby

i fZ azemal Obawiam się, że nie byłem tego wieczoru Ll! Wyglądał0 Jednak, że nie przejęła się

tym

ę łag<sup>o</sup>dna f ma«erzyńska. v nazajutrz musiała wyjechać do <sup>^</sup>ndynu, aby

r SeZonie w Covent Garden Opera. I oto  
cze jedna niepojęta cecha charakteru tej wielkiej  
255

artystki -sjonarka.

kilka

Szelak senUntama pen

SS?5LrŁS?L«3?

dla nich odegrał go „zawodowo<sup>™</sup>?° Ustaliłem jednolitą jako zupełnie nowa forma  
zarob<sup>^c^ec^Tfr?nków</sup>, a jedno-L tego rodzaju występ w wysokości p<sup>^cmset</sup> ra  
cześnie niezmiernie P<sup>°^eb\*\* ^/?JSS</sup>spotkaniach panowała wielkie wrażenie na słuchaczach. Na  
takich spo wusicales.

zupełnie inna atmosfera amzel na ^^ h entuzjastów Publiczność składała się jedynie z  
falku <sup>™</sup> o<sup>^e</sup>śnie z uwagą Straussa bacznie słucha<sup>3</sup>ających muzyki, a Jean czytających  
partyturę i tekst zanadru jeszcze jedną

Na sezon wiosenny pan Astruc cnowai złożyć

niespodziankę: wielki <sup>^^^SS</sup> ^ ł tego

się miały cztery wieczory słowa znaczeniu sens<sup>^3</sup> nym tych koncertów był S ih RiskiKorsa  
y całym tego

nym tych koncertów był Artu

Sd nich Rimski-Korsakow, Głazunow,

osobiście dyrygowało swoimi ^^

y

<sup>^ro</sup>Jnikiem muzyc\* ale kilku kompozytorów , a { { Skriabin

<sup>^^</sup>manin

oży { Skriabin,

wyjątki' z Bory\*

Astrucowi

wi. Młody Rosjanin był

zadania i

przystąpić do podpisywania kontrakty d0 „

Nie muszą dodawać, zeFryd<sup>^L^h</sup>czy festiwalu; duż

festiwalu; dużą

256

księcia Halickiego z Kniazia Igora ora\* i ale tym razem przyszło <sup>™7, ^ • 1 -</sup> scena-

s - To moja żona bardzo oficjalnie.

Bawiłem się doskonale, w od tamtego donżua„a, jakim

! \*«\*\*\* - przedstawii »„!

odmiennej

artv

, które

<sup>^or2e^»</sup> okina, który w tańcach f? ł • ftyczneg Spie<sup>^akól U CZeg0Ś</sup> n<sup>°</sup>wego No 7<sup>^</sup> mazia

<sup>^ora</sup> darzył

mmmmm

ności nieodparte wrażenie i rychło stało się tematem rozmów w całym Paryżu.

— A co by pan powiedział na pełny sezon tego rodzaju baletów przyszłej wiosny w Paryżu? —  
spytał Diagilewa Astruc.

Nim jeszcze padło to pytanie, Rosjanin już snuł najrozmaitsze fantastyczne plany. W rezultacie  
Paryż otrzymał najwspanialsze teatralne wydarzenie stulecia. Ani przedtem, ani potem nie widziano  
niczego, co dorównywałoby sukcesom baletu Szeherazada według poematu symfonicznego  
Rimskiego-Korsakowa — oszałamiające zielono-błękitne dekoracje i fantastyczne orientalne  
kostiumy Baksta, debiut Niżyńskiego w roli zakochanego niewolnika oraz piękna Karsawina jako  
nałożnica z haremu. Para ta tańczyła także w Duchu róży balecie do muzyki Webera, przy czym  
Niżyń-ski okazał się wręcz rewelacyjny, gdy wyskakiwał przez okno tak lekko, że zdawało się, iż



ulatuje w powietrze.

Największą sensacją sezonu była jednak Anna Pawiowa, natychmiast uznana za najwybitniejszą tancerkę klasyczną owych czasów. Była natchnieniem poetów, którzy na jej cześć pisali ody, ilekroć się ukazywała. Na scenie wyglądała jak sylfida, jak czarodziejka, natomiast Karsawina tańczyła jak zmysłowa kobieta z krwi i kości. Począwszy od tego niezapomnianego sezonu, cały świat z niecierpliwością czekał na kolejne występy „Baletów Rosyjskich”. Astruc był mózgiem organizacyjnym zespołu, Diagilew jego duszą artystyczną. To właśnie Diagilew, usłyszawszy krótki utwór na orkiestrę jednego z młodych uczniów Rimskiego-Korsakowa, zamówił u niego oryginalną partyturę baletową. Owym młodym człowiekiem był Igor Strawiński, a jego balet Ognisty Ptak odniósł prawdziwy tryumf. Kolejne sezony, aż do czasu I wojny światowej, przy niosły jeszcze jego Pietruszką oraz Święto wiosny, które wywołał głośny skandal. Wielki sukces odniosły Dajnis i Chloë Ravela 01 Gry Debussy'ego, prócz tego zespół Diagilewa miał na swym kofie jeszcze wiele innych, większych i mniejszych sukcesów. Del racje i kostiumy projektowali najwybitniejsi malarze naszych & sów, wśród nich Picasso, Matisse, Braque, Rouault, Chagall, ^ rain, Dufy i Marie Laurencin. Diagilew zrewolucjonizował świat artystyczny, nie tylko sztuki piękne zresztą; moda, dekor« wnętrza, kolorystyka tkanin — wszystko uległo przemożnemu ^ wowi jego inscenizacji. Tak, bez obawy można stwierdzić, że poprzedzające I wojnę światową były epoką „Baletów Rosyjskich”. Po śmierci Diagilewa zaczęło powstawać wiele zespołów balet\* a dzięki wielkiemu amerykańskiemu impresariowi, Soi i balet wkroczył w swój wiek złoty.

41

Pewnego ranka Fryderyk wszedł do mego pokoju i dał mi do przeczytania list Basi, a z jego miny wywnioskowałem, że są tam dla mnie złe wieści. Basia we właściwym sobie zwięzłym stylu prosiła brata, aby skłonił mnie do natychmiastowego zwrotu Poli jej listów! Żadnych dodatkowych komentarzy. Do głębi dotknięty, bez słowa wręczyłem Fryderykowi tak drogie mi listy. Ale od tej chwili życie straciło dla mnie urok. Na koniec, po kilku bezsennych nocach, doszedłem do wniosku, że Pola z pewnością została zmuszona do tego raptownego zerwania, żyłem więc, czekając dnia, w którym będę mógł ją znów zobaczyć i dowiedzieć się prawdy.

Tymczasem miła niespodzianka odwróciła moją uwagę od tego koszmaru. Dzięki mojej sztuczce z graniem na pamięć całej Salome otrzymałem z Londynu interesującą propozycję. Bogata Amerykanka, pani Potter Palmer, pragnąc przyjmować u siebie londyńską socjetę> wynajęła na sezon stołeczną rezydencję księcia Sutherland. Dowiedziawszy się, że opera Salome została w Anglii zakazana ze względu na zawarte w niej religijne aluzje oraz że król Edward VII wyraził życzenie jej wysłuchania, postanowiła zaaranżować dla niego spektakl. Nie dysponując dostatecznie wielką salą, aby pomieścić orkiestrę, zdecydowała się zaangażować mnie do wykonania tej °pery na fortepianie; swego czasu słyszała mnie grającego Salome na jednym z paryskich soirees. Królewskie honorarium w wysokości stu gwinei, okazja ponownego spotkania z Emmy Destinn (która była gwiazdą sezonu w Covent Garden Opera) i zaszczyt grania w obecności króla Anglii — prawdy, że propozycję tę uznałem za wyjątkowo atrakcyjną. Przyem d Londynu pełen wielkich nadziei. Podczas naszej pierwszej

pawi

em

oz \_\_\_\_\_ dynu pełen wielkich nadziei. Podczas naszej pierwszej  
ka °-Wy pani P°tter Palmer wyraziła obawę, że cała opera może !!aLSi b  
y mógłby pan odegrać jedynie kilka wyjątków? — spytała, zem — odparłem — lecz obawiam się, że  
mogłoby to wy- franie. — Mogę więc zagrać jedynie „Taniec  
zem — odparłem iu fra^mentarycz

lon", a jeśli pani zaangażuje Emmy Destinn, by odśpiewała końcową scenę z Salome, złoży się to na znakomity

« tak tTż hurra! — zawołała. — To cudowny pomysł! Tak, właś-załatwię! — i pędem wybiegła z pokoju, polecając dlakże k Z2wlocznie zabrała się do roboty.

Cieniu rozczarowaniu w nagłym przypiływie patrio-  
tyzmu zaangażowała do sceny końcowej amerykańską sopranistkę  
Olive Fremstad.

Emmy Destinn przyjęła mnie z radością i zatrzymała na kolacji, ale wyglądała na nieco urażoną z powodu mojej współpracy z Fremstad. Mimo to zaprosiła mnie do Covent Garden, abym posłuchał

Carusa oraz jej samej w Aidzie.

Koncert połączony z przyjęciem rozpoczął się o trzeciej po południu. Zaproszonych było nie więcej niż trzydzieści osób; król przybył ostatni. Wskazano mi cztery spośród obecnych dam jako były metresy Jego Królewskiej Mości. Muszę przyznać, że gust miał dobry — wszystkie cztery były piękne. Pani Potter Palmer kazała w jednym krańcu sali wznieść małą estradę, na której stanął specjalnie dla mnie wynajęty, wielki fortepian Bechsteina. Król zajął miejsce w pierwszym rzędzie, bardzo blisko estrady, inni zaś rozsiedli się wokół niego.

Moje wykonanie „Tańca siedmiu zasłon” przyjęto doskonale; przynajmniej raz wysłuchano tej nowoczesnej muzyki w milczeniu — Angolicy w czasie koncertu odznaczają się lepszymi niż Francuzi manierami. Olive Fremstad była sopranistką znakomitą; długi lament Salome odśpiewała z idealną intonacją i w wielkim stylu (choć mnie brakowało owej chwytającej za serce żarliwości głosu Destinn). Osiągnęła zasłużony sukces, którym z wielkim wdziękiem i podzieliła się ze mną — parokrotnie musieliśmy kłaniać się klaszczącym.

Jeśli o jej sukcesie mówię „zasłużony”, to pragnę dodać, że za- i służywała nań nawet jeszcze bardziej, choć z zupełnie innego powodu: gdy śpiewała, król przez cały czas palił grube cygaro, puszczając jej dym prosto w twarz; pokonanie takiej przeszkody graniczyło wręcz z cudem.

Po koncercie podano herbatę, a pani Fremstad i ja zostaliśmy; przedstawieni Jego Królewskiej Mości. Najbardziej uderzyła mnie w nim elegancja, a także zręczność, z jaką ukrywał swój emulj point. Jego sława najlepiej ubranego człowieka na świecie by\* w pełni zasłużona. Tego dnia nosił długi, ciemny jednorzędowy surdut z szerokimi jedwabnymi kłapami (ten oficjalny strój d pił później miejsca żakietowi). Zamiast normalnie stosować guzików, przez odpowiednie dziurki przewleczony był cienki z\*?; łańcuszek zakończony z obu stron szafirami, co nadawało su\*0 towi znakomitą linię.

Król miał dźwięczny, niski głos i mówił z wyraźnym niemieckim akcentem. Wygłosił kilka serdecznych słów pochwały pod adresem pani Fremstad, a następnie zwrócił się do mnie, dyskutując o tej operze Straussa.

— W tym, co słyszałem, nie zauważyłem niczego szokującego!

260

^M

mogę pojąć, dlaczego nasi cenzorzy mieli zastrzeżenia — powiedział. Najwidoczniej spodziewał się, że zostanie co nieco zgorzany, a teraz w głębi serca czuł się rozczarowany.

Tego samego wieczora oglądałem Aidę z Destinn i Carusem — niezapomniane wydarzenie w moim życiu/ Na tym spektaklu Emmy otrzymała brawa większe niż jej partner, ale przypisywałbym to temu, że Verdi piękniejszą muzyką obdarzył partię Aidy niż Ra~ damesa.

Zatrzymałem się w Londynie jeszcze przez kilka dni, cały wolny czas spędzając w uroczym domu przy Tavistock Square, który Destinn z siostrą wynajęły na sezon. Wiele muzykowaliśmy razem, cieszyliśmy się doskonałą kuchnią lub chodziliśmy do Opery, żeby posłuchać jej śpiewu. Z przyjemnością wspominam naszą krótkotrwałą przygodę; była romantyczna, choć żadne z nas nie było zaangażowane tak naprawdę głęboko.

Powrót do Paryża ściągnął mnie znów na ziemię. Grandę saison miał się ku końcowi, a wraz z nim przyjęcia, bale, wyścigi, koncerty oraz premiery teatralne, ja zaś nie miałem na lato żadnych planów. Fryderyk podpisał kontrakt na tournée po Ameryce jako akompaniator śpiewaka-solisty. Bez niego nie miałem kontaktu z moimi kochanymi Barylskimi, a wyjazd do Warszawy czy Łodzi wcale mnie nie nęcił. Państwo White (Olive) wyjechali do Deauville, a Armand de Gontaut nadal przebywał w Nowym Jorku. Jednak los uśmiechnął się do mnie raz jeszcze. Baronowa Gustawowa de Rothschild zwróciła się do mnie, bym zagrał na soiree zamykającym sezon i uważanym za najważniejsze wydarzenie towarzyskie roku. Kiedy dla omówienia programu zjawiłem się w jej rezydencji Pf2y Avenue Marigny, baronowa, dama w podeszłym już wieku, wykazała żywotność osoby co najmniej o połowę młodszej. ~~~] Chciałabym, żeby pan wykonał solo tylko krótki program — ^ladczyła — po przerwie zaś będzie pan akompaniował pannie ^estinn w dwóch ariach z Carmen i w końcowej scenie S^ni^~s«ie honorarium wyniesie tysiąc franków. owiła tonem ni«----- Dreyfusa, Academie Francaise, uniwersytet, artyści, pisarze, muzycy — wszyscy byli tu bogato reprezentowani. Wielki salon z białymi i złotymi paneaux, z bezcennymi obrazami i gustownie ułożonymi kwiatami, a także wykwiłt zaproszonych gości tworzyły razem olśniewający widok. Koncert przyniósł tryumf Emmie Destinn, a i mnie wcale nie mały sukces. Kiedy umilkły oklaski,

poproszono nas, abyśmy przyłączyli się do gości przy kilometrowym bufecie zastawionym nieskończoną różnorodnością potraw. Na stołach znaleźć można było w dużej obfitości langusty na zimno i ryby w sosach majonezowym lub zielonym, kaczkę i kurczaki na zimno, gorące dania w sosie curry, specjalnie przyrządzone lody, całe stopy czereśni i truskawek oraz wyśmienite ciasta."Z win podawano wyłącznie szampana.

Kiedy odprowadziłem Emmy do hotelu, było już bardzo późno, ale nie pozwoliła mi zostać u siebie; wcześniej rano musiała wracać do Londynu.

Żywe wspomnienie tego wieczoru miało swój, jakże miły ciąg dalszy. Tak się złożyło, że pod koniec I wojny światowej ja, a później także moja żona zaprzyjaźniliśmy się bardzo z Robertem i Nelly de Rothschild, spadkobiercami nieokreślonej baronowej Gustawowej. A kiedy po II wojnie światowej wróciliśmy do Paryża, nasza przyjaźń z następnym pokoleniem tej wielkiej rodziny zafacieśniała się jeszcze bardziej i trwa po dzień dzisiejszy.

42

— Dlaczego tak dawno nie był pan u mnie na obiedzie? — spył hrabia Potocki, gdy pojawiłem się znów w jego „domu otwartym”. Zrelacjonowałem szczegółowo wizytę w Londynie, doprowadzając go do śmiechu swym parodiowaniem króla Edwarda oraz innej znakomitości. Kiedy wspomniałem o przyjęciu u Rothschil<sup>l</sup> hrabia zawołał:

— Urządźmy przyjęcie muzyczne także tutaj, u mnie! Jeszcze tego samego dnia wyznaczył datę i rozesłał zaproszenie

Mój koncert w jego pałacu różnił się od wszystkich innych. G zostali dobrani spośród śmietanki demimonde, przemieszanej z »jstką sławnych aktorek. Przypominam sobie obecność Bartet, G Sorel i Eve Lavalliere. Mężczyźni, wszyscy bardzo bogaci, i nich wyżsi dostojnicy państwowi lub członkowie „Jockey Clubu” byli przeważnie amantami pań z demimonde. Resztę stanowili stali bywalcy obiadów u hrabiego. Tego rodzaju audytorium, złożone z osób nie bywających z reguły na koncertach, wykazywało, rzecz jasna, niewielkie zrozumienie dla muzyki klasycznej. Toteż gdy grałem Chopina, rozmowy nie tylko nie ustawały, lecz przybierały na sile. Ale gdy skończyłem, wszyscy wstali i oklaskiwali mnie gorąco! Kulminacyjnym punktem wieczoru była podana przy małych stolikach kolacja. Pan domu dał nam godny przykład polskiej gościnności. Przy moim stoliku siedziała piękna Włoszka imieniem Mariellr, inteligentna i wolna od wszelkich przesądów. Na przyjęcie przyszła sama, bez męskiego towarzystwa.

— Strasznie mi się podobał pański koncert — powiedziała — ale moim bogiem jest Puccini. Później zaś rozgrzana szampanem, opowiedziała mi o sobie wszystko.

— J'ai un ami serieux — oświadczyła — jest nim bankier Oppenheimer z Kolonii. Nazywam go l'O. de Cologne, cha, cha, cha! Urządził mi uroczę mieszkanie i co miesiąc przyjeżdża do mnie na kilka dni, ale resztę czasu, mam wolną. Jutro będzie u mnie na kolacji kilku moich uroczych przyjaciół. Przyjdzie pan?

Zgodziłem się z przyjemnością. Jej gośćmi były dwie młode kobiety z tego samego milieu oraz bankier fidouard Weisweiller, zdolny muzyk i pianista-amator. Mariella lubiła zapraszać gości do swego przytulnego mieszkania; sama przygotowała spaghetti, wino było z dobrego rocznika, a ponadto miała dar opowiadania zabawnych anegdotek swym niskim głosem o włoskim akcencie. Chcąc się odwdziżyć, zagrałem wszystko, co tylko mogłem sobie przypomnieć z twórczości Pucciniego, i zostałem nagrodzony uściskami i pocałunkami.

w drodze do domu Weisweiller spytał, czy nie mógłbym udzielić mu kilku lekcji gry. Szybko przystałem na tę propozycję, uważając, że wykazuje pewne zdolności; zresztą spodziewałem się wysokiego honorarium. Jak zwykle, wszystkie pieniądze po prostu przeciekały przez palce, a moje zadłużenie znów rosnęło z dnia na dzień. c nien byłem pieniądze krawcowi, Cordovinusowi, kochanej pani 2a Cały miesiąc, a honoraria należne mi od Astruca w znacznej — wybrałem już z góry zaliczkami. Istny koszmar!

dnia pan Biernacki, polski sekretarz hrabiego Potoc- przyniósł mi od hrabiego prezent — parę spinek wykonanych z czterech półkolistych szlifowanych szafirów oprawionych wraz z listem zapraszającym na weekend do jego „miejscowości” koło Ramboumet; miał mnie tam zawieźć swoim

^ał- Liczyłem, że za swoją grę otrzymam pokaźną sumkę

w gotówce, powiedziano mi natomiast, że jeśli zechcę spinki spieniężyć, szafiry, jako zbyt łatwe do podrobienia, nie osiągną wysokiej ceny.

Hrabia nazywał swą posiadłość pawilonem myśliwskim, ale w rzeczywistości zastałem dużą willę, dostatecznie przestronną, by pomieścić kilkunastu gości. Tym razem zaprosił tylko mnie. Całe lato oraz wrześnieowy sezon polowań pan domu spędzał tam ze swoją metresą, niejaką panią Mathilde d'Avignon; jego posiadłość graniczyła z letnią rezydencją prezydentów Francji. Otrzymałem piękny, biało-różowy pokój wraz z przylegającym doń buduaem; na stołach stały kwiaty i owoce, na półkach zaś wartościowe książki. Przyjemnie było wejść do łazienki. Z okna miałem widok na uroczy trawnik i piękne kwiaty.

Biernacki opowiedział mi o pasji, jaką hrabia żywił do koni.

— Ponieważ utyka, nie może już jeździć wierzchem — mówił — ale wykazuje dużą aktywność jako prezes „fiperon”, klubu, który organizuje doroczny konkurs hippiczny w Paryżu.

W niedzielę rano hrabia zawiózł mnie kabrioletem do swych stajni; czterokonnym zaprzęgiem powoził pewnie i z elegancją. Z dumą pokazał mi kilka wspaniałych koni pełnej krwi, po czym zaprowadził mnie do maneżu specjalnie wyposażonego do nauki jazdy konnej. Zasiadliśmy w łoży przypominającej teatralną, skąd i zwykle wszystkim kierował; z zadowoleniem zauważył moje zainteresowanie końmi.

— Musi pan tutaj przyjechać latem, nauczę pana jeździć, jak przystało dżentelmenowi — powiedział.

— Bardzo chętnie bym się tego nauczył — odparłem uprzejmie, ale z radości omal nie podskoczyłem do góry. Byłem mu bardzo wdzięczny — znalazłem miejsce, gdzie będę mógł spędzić to przekłętą lato!

Mathilde d'Avignon (było to jedno z jej przybranych nazwisk! była kobietą po czterdziestce, o przeciętnej twarzy i dobrej figu' rze. Za wszelką cenę chciała wyglądać dystyngowanie i naśla<sup>^</sup> wała w tym celu ruch oraz sposób bycia swych przyjaciółek-ak\* rek — wszystko jednak na próżno. A na dodatek była, biedacz\* głucha wa.

Po powrocie do Paryża przystąpiłem do pracy z panem Weis<sup>^</sup> lerem. Jak na bankiera grał zupełnie dobrze i chciał się dosk01

lić, miał jednak trudności z techniką, a na ćwiczenia mógł

<sup>^</sup> \*

cać zbyt mało czasu. Honorarium wynosiło luidora za lekcję zdaniem za mało, ale Mariella uprzedziła mnie: „To skąpić powiedziała, opierając się na własnym doświadczeniu. Wy1\* dziłem to sobie, udzielając mu codziennie po godzinie lekcji-Pewnego dnia Fryderyk uprzedził mnie:

264

\_\_ Wyjeżdżam jutro do Bretanii; potrzebny jestem do prób memu śpiewakowi — a widząc, że jestem tym nieco zmartwiony, dorzucił: — Nie odczujesz mego braku, Arturze, bo od jakiegoś czasu i tak prawie się nie widzujemy. Jeśli mam być szczerzy, odnoszę wrażenie, że to, czy jestem, czy też mnie nie ma, nie sprawia ci najmniejszej różnicy.

Ostro powiedziane, ale miał słuszność. Początkowo chciałem, by poznał moich przyjaciół, ale wciąż odmawiał, twierdząc, że to nie jego świat. Z drugiej strony martwił się moim trybem życia i tym, że zaniedbuję poważną pracę na rzecz grania po „salonach”. Co się zaś tyczy Poli, to zupełnie się do tego nie mieszał.

Mimo to rozstaliśmy się jak przyjaciele, bo też pozostaliśmy nimi. Pani Cowl, która go uwielbiała i po jego wyjeździe czuła się osamotniona, postanowiła zamknąć mieszkanie i wyjechać na lato do Anglii. Znalazłem się wskutek tego w trudnym położeniu. Zostałem jej winien sporo pieniędzy, których nie byłem w stanie zapłacić. Okazała się jednak dobra i wielkoduszna. Kiedy na poczet długu zaproponowałem skromną sumkę, na jaką mogłem sobie pozwolić, odmówiła jej przyjęcia.

— Zapłaci mi pan, mój drogi, kiedy pan będzie mógł, proszę więc na razie zatrzymać te pieniądze. Przydadzą się panu, ma pan przed sobą długie lato.

Z najgłębszą wdzięcznością uściskałem tę szlachetną osobę. Hotel przy Avenue Carnot bynajmniej nie przedstawiał się zachęcająco, jedyną jego atrakcją były niskie ceny. Pokój, jaki wynająłem na ostatnim piętrze, okazał się tak mały, że nie było mowy o wstawieniu instrumentu, choćby nawet pianina. Życie bez fortepianu stało się dla mnie prawie nie do zniesienia. A jako batalista, którym byłem i którym jestem nadal, przyjąłem, iż jest to kara za zaniedbywanie fortepianu przy rue Lauriston. Ostatnie tygodnie lipca wspominam głównie jako posępną walkę byt; fundusze, jakimi dysponowałem, absolutnie nie wystarczały na pokój i wyżywienie. Tak więc — o wstydzie — uzależniony od przyjaciół, którzy zapraszali mnie na posiłki. Kolacje w tym także dwie wystawne biesiady w restauracji zafundowane nam przez godzącego się na wszystko Cologne'a",

pozwalają mi obejść się bez jedzenia do następnego popołudnia, zaś /wspaniałe obiady przy Avenue Friedland za-2adłf'iaiy mój apetyt na resztę dnia. Ponieważ u Astruca byłem >ny, jedyne źródło dochodów stanowiły dla mnie lekcje w°; był Jir'em> który wszakże zredukował je do trzech tygodnio-

f>Ocz 2°yt gorąco — twierdził.

Jak gdybym °groinną ulgę, gdy hrabia Potocki przypomniał mi — V trzeba mi było o tym przypominać — że przyrzekłem

j spędzić lato w jego „pawilonie myśliwskim” w Rambouillet.

— Proszę przyjechać pierwszego sierpnia i pozostać tak długo jak długo będzie pan miał ochotę. Specjalnie dla pana kazałem wysłać tam dobrego fortepian.

Ogromnie podniosło mnie to na duchu i przywróciło radość życia lecz także — niestety! — mój jak zawsze beztrudny stosunek do pieczędy. W rezultacie któregoś wieczora przeżyłem coś, co niełatwo zapamiętać. Pozwoliwszy sobie u „Maxima” na kanapkę z kawiora i kawę, późną nocą wróciłem do hotelu i poprosiłem nocnego portiera o klucz do pokoju.

— Nie mogę wydać panu klucza, dopóki nie zapłaci pan rachunku — oświadczył.

— Bzdura! — powiedziałem. — Zalegam z zapłatą tylko za kilka dni. Jutro rachunek ureguluję.

— Otrzymałem surowy zakaz wręczania panu klucza, jeśli nie dostanę pieniędzy natychmiast — upierał się portier.

To mnie rozżaliło.

"epio,. Naprawdę wistości było skarżyć!

Nie odezwała się ani słowem - Proszę pójść i SpaWal' Zabieram pana z tego okropne\* Kiedy zniesiono mOie rPeg( Hśmy, warknął: rzeczy, zawołał dorożkę

— A napiwki niech pani rł\* •

mnie na «»-!-!-!-!-! •

panią 2a\_

— J'avais loue que j'avais fichu le avec

P°Ur Une charm\*nf - powidi

ny, Petite

ich znaleźć, czy pan tego nie rozumie? Zapewniam pana, że jutro zapłacę, ale teraz musi mnie pan wpuścić do pokoju!

Nie odpowiedział, tylko sięgnął po gazetę.

Rąbnąłem pięścią w stół, z wściekłości nie panując nad sobą;

— Pan nie ma prawa! Zawezwę policję — wrzeszczałem, ale on) jedynie wzruszył ramionami.

Tego było mi już nadto. Wybiegłem na ulicę, żeby coś wymyślić, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Usiadłem wreszcie na jednej z ławek przy placu Gwiazdy i wyczerpany zasnąłem. Przebudził mnie ranny brzask. Zacząłem spacerować po pobliskiej Avenue Wagram, czekając na otwarcie kawiarni, a potem chcąc się rozgrzać, wypłem trzy czy cztery kawy z rogalikami i zacząłem & poważnie zastanawiać nad tym, co robić. O dziewiątej postanowi^1" zadzwonić do pana Weisweillera i poprosić go o pomoc. Dług spł3' ciłbym lekcjami. Człowiek, którego Mariella nazwała skąpcem, zJ3' wił się w kawiarni w ciągu niespełna pół godziny, poszedł wraz\* mną do hotelu i zażądał widzenia z kierownikiem. Kierownik « zał się niewiasią o wąskich wargach, która zwracając się do && spytała oschle:

— Przyniósł pan pieniądze?

^^™ Na to mój przyjaciel ujął w rękę

rachunek, przeczytał go

nie i rzucił na stół odliczoną sumę pieniędzy. A potem dał swoje:

— Pani traktuje gości po barbarzyńsku, madame — krzyk Ten młody człowiek to wybitny artysta i przez panią mógł na zawsze zrujnować zdrowie, spędzając noc na zimnie

266

, xauet oyl z tego Weisweillera! Jeszcze jedno „ ...^xxc się w mym życiu dobrze znanego deus ex machina. Dziwnym zbiegiem okoliczności mieszkanko znajdowało się przy tej samej rue Cardinet, na której przeciwnym końcu mieścił się pensjonat Ćordovinusa. Składało się z saloniku, sypialni, cabinet de toilette oraz małej kuchenki. Panowała tu ciemność jak w piwnicy, gdyż parter wąskiej

uliczki nie dawał dostępu słońcu. A co za umeblowanie/ W petit salon stał kwadratowy stół i cztery krzesła z taniego drzewa oraz drugi stół, zastępujący kredens. Ale najgorsza była sypialnia! Łóżko zakupiono chyba na wyprzedaży mebli z burdelu: wyplatane wezgielnie pomalowane było na

5&

był bidpf- ^^ || n^ orecik Pr°°Z tego

taborecik

było różowo ^jdowała l

Cabtnet

z Weisweillerem kolację w jakiejś brasserie. Nie mogłem się po-( wstrzymać, by nie powiedzieć mu: — Jak to, na Boga jest możliwe, że są tacy, co nazywają pana skąpym? Po tym, co pan dla mnie uczynił, zmuszę ich do odszcze-j kania tych słów!

— Wiem, skąd się to bierze — roześmiał się, a po chwili już bardziej serio dorzucił: — Te urocze stworzenia z naszego demiÅ monde są nienasycone, jeśli chodzi o pieniądze, klejnoty, futra i wszelkie inne przedmioty zbytku. Znam wielu żonatych mężczyzn,..! których doprowadziły do kompletnej ruiny. Ja wciąż jeszcze jestem kawalerem, ale nie zgadzam się na wydawanie pieniędzy w tak idiotyczny sposób ani też na prowadzenie takiego trybu życia, jafej mój przyjaciel Oppenheimer z Kolonii. Za to jeśli mogę okazać^, się pożyteczny komuś z dziedziny sztuki, a zwłaszcza muzyki, którą uwielbiam, zapominam nawet, co znaczą pieniądze.

Oto człowiek, który serce miał na właściwym miejscu!

43

- Po ostatnim tygodniu w Paryżu willa Potockiego wydała mi się rajem. Lato, które osiągnęło właśnie punkt kulminacyjny, roztaczało teraz wszystkie swe czary. Kwiaty wszelkich gatunków, kształtów i kolorów rosły w całym ogrodzie i sięgały dalej jeszcze, aż po park. Kwitnący pod moim oknem jaśmin napełniał pokój charakterystyczną, słodkawą wonią. Ciężkie, gęsto pokryte liśćmi gałęzie dwóch ogromnych dębów spokojnie i majestatycznie kołysały się na wietrze.

Otrzymałem znów ten sam mały apartament, który tak mi się podobał, lecz tym razem dom nie był pusty. Dwóch wytworny\* panów, bliskich przyjaciół hrabiego, przyjechało, by spędzić z ni\*\*1 lato. Jednym z nich był Rosjanin, hrabia Strogonow, lat około sześć' dziesięciu, poruszający się jednak z taką ostrożnością, że wygl^a na znacznie starszego; drugim zaproszonym był kuzyn pana don11}1 jeden z najbardziej interesujących i najinteligentniejszych luj jakich w życiu poznałem: Stanisław Rembieleński, potomek arys^ kratycznej rodziny polskiej. Liczył sobie około pięćdziesiątki, Jj wysoki i szczupły, miał bladą, wąską, wrażliwą twarz, czar\* okrągłe i przenikliwe oczy, krzaczaste brwi, wąski orli nos, włosy, długą, kwadratową czarną brodę i wspaniałe wąsy.

Koncertowy fortepian Pleyela stał w ogromnym hallu, urz3

268

i

„j na modłę angielską. Znajdował się tam duży kominek, dwa długie stoły zarzucone czasopismami i gazetami oraz kilka wygodnych sof i foteli. Na ścianach wisiały kolorowe sztychy przedstawiające sceny myśliwskie. Było to najbardziej atrakcyjne miejsce w całym domu; lecz — pomyślałem sobie — mała szansa, abym mógł tu ćwiczyć bez świadków.

Kiedy po kolacji wróciliśmy do hallu, hrabia Potocki poprosił mnie o wypróbowanie fortepianu; wypróbowałem go już wcześniej, więc teraz miałem ochotę zagrać. Z wielką przyjemnością przeko-1 nałem się, że wszyscy trzej panowie są muzyką głęboko poruszeni! Moje obawy, czy będę mógł grać w hallu, rozwiały się — od tej chwili pokój ten należał do mnie. Hrabia zaprowadził mnie w kąt pokoju.

— Jeune homme — powiedział — jutro rano zabieramy się do poważnej pracy. O ósmej proszę być gotowy. Mój kamerdyner przyniesie panu parę bryczesów, które mam nadzieję będą na pana pasowały. W manerze mam też dla pana sztylpy.

Mówiąc o poważnej pracy, hrabia bez wątpienia traktował to dosłownie. Nazajutrz rano, punkt ósma, czterokonna zaprzęg pokłu-sował z nami w stronę ujeżdżalni. Rozsiadłszy się wygodnie w łoży, już od tego pierwszego dnia hrabia zaczął wtajemniczać mnie w arkana sztuki jeździeckiej.

— Przyrowadź klacz — rozkazał stajenemu. — Na początek ta będzie najbezpieczniejsza. I bez siodła!

Dumny z idealnie leżących na mnie bryczesów oraz skórzanych sztylpów, z pomocą stajennego dosiadłem konia.

— Powoli, spokojnie, niech pan pozwoli jej chodzić, lejce w jednym ręku — komenderował głos z łoża.

Te ćwiczenia w powolnej jeździe zajęły całą godzinę pierwszej lekcji. Nazajutrz pozwolono mi na klus, ale tylko przez dziesięć minut Hrabia wołał:

— Stopy do wewnątrz! Proszę trzymać się prosto i pozwolić, by Ciałło złapało rytm klusa!

Staralem się, ale na oklep trudno było podskakiwać. Kiedy osiągnęłam taki poziom, że zezwolono mi już na galop, mój nauczyciel był ogromnie podekscytowany.

Niech pan siedzi spokojnie i trzyma ją kolanami! Proszę nie śmiać się — krzyczał, obserwując przez lornetkę moje postępy.

Czasu do czasu kazał mi zatrzymywać się tuż przy łożu, wyjmując z kieszeni marchewkę lub kostkę cukru i dawał złanej potem

ła. Zyskoki przez płot były bez siodła prawdziwą męczarnią. Nie chciałem zdać się upominania hrabiego:

Jeżeli pan pochyli się nieco do przodu i stara się siedzieć lekko, należy poddawać się miękko jej ruchom!

Kilka razy spadałem z konia, więc podłoga ujeżdżalni wyłożona

była z korka. Na szczęście do korka nie dosięgłem.

W tym czasie ja i ona byliśmy pod urokiem „anegdota”. Do kuchni zwracał dowcip i

o „odsmiędzenia”, a mój

Chodźmy na mały spacer „ależ do najmielszego”, zachodzie słońca. Te „smawiliśmy” o wszystkim, od

wspomnień „architekturę”, od polityki aż po religię. „Możesz, d

„mu”? „Jo” nie miała granic, ale na „ekonomię” — jego „dawki” — zawsze było pełne życia

bardziej podobało mi się, że to, co mi dał mi do serca.

„S” — obadał mi dziwne, romantyczne historie z „cały świat” —

dził w na

„is!am. Ale on odrzucił,

— „Pięć — gowa” —

„ecnał g.ównie ze

270

nacki. — Kochankowie rozeszli się po roku czy coś w tym rodzaju — ona stała się zbyt zaborcza, on

był zbyt niezależny. No więc DO jakimś czasie, gdy cała sprawa przycichła, Rembieliński wrócił do

ćwego nieutulonego w żalu kuzyna i opowiedział mu szczegółowo jak to hrabina zmusiła go, by z nią

uciekł, jaka była władczą i bezlitosną, a także jak bardzo cierpiał, wiedząc, że przysparza kocha

nemu kuzynowi tyle zgrzyoty. Cała historia zbliżyła ich jeszcze bardziej, obaj są

przeświadczeni, że stali się ofiarami tej samej kobiety! — roześmiał się głośno.

Piękna historia, nawet jeśli tylko w połowie prawdziwa! Któregoś dnia zadzwonił monsieur Astruc,

prosząc, abym zaaranżował spotkanie z hrabią Potockim, w bardzo ważnej — jak twierdził —

sprawie. Ponieważ wiedziałem, jaką siłą perswazji dysponował gdy potrzebował poparcia dla swych

zamierzeń, nie miałem wątpliwości, że pragnie wykorzystać przyjazny stosunek Potockiego do mnie

i poprosić go o finansowe wsparcie mojej kariery artystycznej. Mimo awersji, jaką żywiłem dla tego

rodzaju metod, oceniając jednak realnie swoje nikłe widoki na przyszłość, uznałem że

uczyszczęśliwiony i podekscytowany, objął mnie i uścisnął tylko —

— „Quel grand seigneur!”

„Zkoniał tego samego dnia hrabia Mikołaj zwrócił się do mnie — „dencjonalnym uśmiechem:

„żenie — m. P&n rac?ą: ten człowiek wywarł na mnie ogromne wrażenie — mam nadzieję że będzie pan

zadowolony z wyników naszej

T j

gi Pnać- nDle ^iedziałem» o 3'akie wyniki chodzi, a nie miałem odwa-ICiedy jedn vn°Wiłem Więc P°Jechac do Paryża i dowiedzieć się. dzi°tty m , doszedłem wreszcie prawdy, byłem równie zawie-

d°d? CZ°ny Struc atru

ma pocza-tku naszej znajomości wiedziałem, że Gabriel j 1]?ną obses;te na punkcie stworzenia nowoczesnego 6 ą Skal Zż k

atru na Wj ]]?ną obses;te na punkcie stworzenia nowoczesnego nie mając 6d ą. Skalę>

Zfażony opłakany stanem teatru Chatelet, °wi najpiek • ?u d° gmachu oPery, postanowił ufundować Pa- budynek poświęcony sztuce teatralnej. Głów-

271

nowiło problem szczególnie delikatny w świetle istniejącej między chateau a willą rywalizacji o najlepszych strzelców. Moje lekcje jazdy konnej dobiegły końca, Rembieliński pojechał na tydzień do Paryża. Hali upodobił się nagle do westybulu hotelowego, gdzie ludzie wpadali i wypadali w pośpiechu, wskutek czego biedny fortepian był do mojej dyspozycji wyłącznie w późnych godzinach nocnych. Na dodatek zirytował mnie ogromnie pewien drobny incydent z gatunku nieprzyjemnych.

Młoda panna, licząca sobie nie więcej niż dwadzieścia lat, chrzestna córka hrabiego Mikołaja i protegowana madame d'Avignon, przyjechała z wizytą na kilka tygodni. Jasnowłosa, błękitnooka, o uroczym imieniu Emmanuela i obdarzona doskonałą figurą, panna była dość atrakcyjna. Mnie jednak najbardziej podobała się u niej namiętność do muzyki; ilekroć grałem, błagała, abym pozwolił jej słuchać, a rzadko zdarzało mi się widzieć kogoś równie zachwyconego. Nic więc dziwnego, że któregoś wieczora, widząc ją we łzach po skończeniu mej ulubionej Barkaroli Chopina, wycisnąłem na jej ustach długi namiętny pocałunek, który mi odwzajemniła. Łoskot przewróconego nagle krzesła i czar prysł. Zza krzesła wyłonił się Biernacki, błąd z wściekłości.

— Wstydz się pan! To skandal! Żeby dobierać się tak do młodej panienki! — krzyczał na mnie po polsku, Emmanuela zaś wybiegła tymczasem z pokoju.

— Jak pan śmie podnosić na mnie głos! — odparowałem. — A to, co pan widział, to nie pańska sprawa!

— Acha, dobrze, dobrze, tak pan uważa? — mówił z szatańskim uśmieszkiem. — Za to moją sprawą będzie powiadomienie o wszystkim jej ojca chrzestnego i pani Matyldy!

— A niech pan sobie robi, co się panu żywnie podoba — powiedziałem i wyszedłem.

Rzeczywiście złożył obojgu meldunek o moim „dobieraniu się > odmalowując całe wydarzenie w najokropniejszych barwach. Hrabia roześmiał się, gdy opowiedziałem mu, jak było naprawdę, a ma\* damę d'Avignon mrugnęła nawet do mnie z aprobatą. Emmanuela -lii wyjaśniła mi wszystko.

— Od dwóch lat narzuca mi się ze swoją miłością. Oświadczył mi się-nawet — mówiła z oburzeniem. — I to w tym wie\* Wyobraź sobie, on ma przeszło pięćdziesiątkę!

— A na dodatek ma nadzieję, że chrzestny da mi spory PoS^ A ja go po prostu nie cierpię i odrzucam wszystkie jego zaloty dorzuciła po chwili.

R.ei-

Biedna Emmanuela, z gniewu i złości aż się zarumieniła, nacki odtąd stał się istnym Jagonem i poprzysiągł mi zel a nieszczęsnej dziewczyny nie spuszczał z oka.

Tymczasem trwały wielkie łowy. Goście, wszyscy bez

znakomici strzelcy, przyjeżdżali i odjeżdżali, a ułożone przed frontonem domu setki ubitych kuropatw, bażantów dzikich kaczek i zajęcy stanowiły niezwykły obraz. W czasie posiłków podawano wyłącznie delikatną dziczyznę, przyrządzaną na wszelkie najwymyślniejsze sposoby — ucsta trwała nieprzerwanie. Gdy sezon miał się już ku końcowi, hrabia błyskawicznie przerzucił się z polowania na łowienie ryb, które także stanowiło jego hobby.

— Lubi pan łowić ryby, Arturze? — spytał mnie.

— Uwielbiam — odpowiedziałem — i ze wstydem muszę się przyznać, że choć czuję awersję do strzelania do pięknego ptactwa, jestem na tyle okrutny, by z zimną krwią nadziewać rybę na haczyk.

Roześmiał się, słysząc ten przytyk, i postanowiliśmy rozpocząć nasz prywatny sezon wędkarski. Jak wszystko inne, tak i to było drobiazgowo przygotowane. Dwaj ludzie zanieśli nad pobliską rzekę



(jesh się me myślę, była to Eure) wędki oraz wszystkie potrzebne przybory, sieci, wiadra i wygodne składane krzeselka, a następnie poszukali najatrakcyjniejszych rybnych miejsc. Było to najbardziej komfortowe wędkowanie w moim życiu!

Ale też przyszło .mi zapłacić za nie wysoką cenę: któregoś dnia, Kiedy złowioną rybę zdejmowałem z haczyka, skaleczyłem nim koniuszek prawego palca wskazującego. Poczulem dotkliwy ból, ale nie zwracałem na to uwagi: byłem bez reszty pochłonięty sportem. Ino coż, w nocy obudziło mnie bolesne rwanie w palcu. Ze strachu, że coś się stało z moją ręką, nie mogłem zmrużyć oka. Wczesnym rankiem zadzwoniłem na służącego i posłałem go do hrabiego po J Kies leki. Zatrwożony tą prośbą, hrabia Potocki sam przybiegł do me do pokoju, przynosząc bogaty asortyment fiolek i maści. Prze-koia ^ Paie° W°dą utleniona-> zalał jodyną bolące miejsce i nałożył niark maSC) P° CZym fachowo Palec obandażował — że i pielęg-znieśahWiSZpitalU me zrobiłaby teS° bardziej umiejętnie! Ale żeby sionań, musiałem całymi godzinami trzymać rękę sztywno unie-2e to o° SÓry' Kiedy nazajutrz rano hrabia zdjął opatrunek, orzekł, 26 powanam> niebezPieczne zapalenie palca pod paznokciem. Uznał, s\*y wmiem natychmiast jechać do Paryża, do lekarza-specjali-zaś' telPfg°dZinę później byłem Już w drodze samochodem, hrabia okiem ^ onicznie uprzedził lekarza o moim przyjeździe. Rzuciwszy ^ hrabię ^ leczony Palec> doktor natychmiast potwierdził diagno-  
n,,. es i nie chce pan stracić czucia w tej części palca, musi się bardzo bolesnemu zabiegowi — powiedział. — Żeby c swobodne krążenie krwi, muszę usunąć wszystkie ślady  
Şani, doktorze, błagam — prosiłem zdjęty panicznym stra-  
275

chem. — Pan musi uratować mi palec, od tego zależy moje życie! Jeśli to ma mi pomóc, przysięgam, zniosą każdy ból!

No i, dzięki Bogu, wyleczył mi palec z tego koszmarnego panaris i przywrócił swobodne władanie stawem, ale do dziś jeszcze drzę na samą myśl o katuszach, jakie musiałem wtedy znieść! Bez żadnych środków znieczulających, cienkim srebrnym lancetem przebił zainfekowane miejsce i przez dobrych kilka chwil grzebał mi w koniuszku palca, a ja wierciłem się na krześle i darłem wniebogłosy. Ból był nieopisany!

— Tylko w ten sposób można usunąć całą ropę — powiedział doktor, gdy po krótkim omdleniu wróciłem do siebie.

Znęcał się nade mną jeszcze trzykrotnie, nim ta bolesna próba dobiegła wreszcie końca. Ponieważ nigdy nie żądał honorarium, sądzę, że rachunek posłał hrabiemu.

Po wspaniałych dniach w Rambouillet Paryż wprawił mnie w przygnębienie. Żalodne, ponure mieszkanie przy rue Cardinet działało destruktywnie. Przebywałem w nim tylko nocą.

Włóczenie się po ulicach także nie przynosiło ulgi; fetor koński, silny odór miasta, spotęgowany przytłaczającym upałem, w tych ostatnich dniach lata stał się jeszcze dokuczliwszy. Ale najbardziej załamywał moje morale fakt, że byłem bez pieniędzy. Ponieważ zaś ani Astruca, ani Weisweillera w mieście nie było, zupełnie nie miałem pojęcia, do kogo mógłbym zwrócić się o pomoc. Skromna sumka, jaką za garnitur i płaszcz uzyskałem w lombardzie, wystarczyła zaledwie na tydzień — i to przy jednym skromnym posiłku dziennie. Cóż to było za okropne przeżycie, owa pierwsza wizyta w lombardzie! Kiedy tam dojechałem metrem, był już zamknięty, musiałem więc wracać pieszo, wstydząc się, że widzą mnie na ulicy z dwoma ciężkimi okryciami na rękę. Jedyne pożywienie, na jakie mogłem sobie tego dnia pozwolić, to filiżanka kawy i bułeczka. Następnego dnia znów musiałem przejść te same katusze, tym razem posępny przybytek zastałem otwarty!

Jeden wzruszający incydent da wyobrażenie o moich ówczesny\*5" tarapatach. Od czasu przyjazdu do Paryża kupowałem zwykle ga' zety w kiosku przed tarasem „Cafe de la Paix”. Pozostawałem w przyjaznych stosunkach ze sprzedawczynią, która lubiła śmiać się z byle czego. No więc tamtego pamiętnego późnego popołudn^ kiedy za całodziennie wyżywienie musiała mi wystarczyć filiżan\*\*J kawy i rogalik, podszedłem do kiosku, by przynajmniej przeczytać nagłówki gazet — nie miałem zamiaru żadnej z nich kupować.

— Dzień dobry, młody człowieku. Co to, nie chce pan dziś 8 zety? — spytała sprzedawczyni.

— Nie, dziękuję, dziś nie — odpowiedziałem.

276

Przyjrzała mi się uważnie, musiałem wyglądać na głodnego. \_\_ Proszę jednak wziąć — siłą wcisnęła mi do ręki gazetę oraz pięciofrankówkę.

— Niech pan weźmie te pieniądze, młody człowieku, i pójdzie coś zjeść. Zwróci mi je pan, kiedy pan zechce.

Zarumieniłem się, lecz pieniądze wzięłem — zachowała się przecież iście po macierzyńsku. Kiedy stopniało mi także te kilka franków, postanowiłem pójść do Pavillon de Hanovre i spróbować wydusić jakieś pieniądze od kasjera, który nieraz już okazywał się wyrozumiały dla moich ekstrawagancji finansowych.

— Ach! Jak to dobrze, że pan przyszedł — zawołał. — Jest tu list do pana, a ja nie znałem adresu.

List był z Warszawy i zawierał zaproszenie do udziału — wspólnie z dwoma innymi wykonawcami — w wielkim galowym koncercie dobroczynnym. Honorarium miało wynosić czterysta rubli. Dla mnie wybrano Koncert j-moll Chopina, Paweł Kochański miał grać Koncert Czajkowskiego, trzecim zaś wykonawcą okazała się Basia! Serce zaczęło mi bić mocniej, gdy czytałem ten list. Właśnie na to czekałem! Teraz wreszcie dowiem się, co się stało z Połą: czy kocha mnie, czy też nie chce mnie już więcej widzieć. Byłem pewien, że spotkam ją na koncercie — nie opuści przecież debiutu Basi. Szybko jednak wróciłem na ziemię: koncert miał się odbyć za tydzień, mogłem więc jeszcze zdążyć, ale pytanie — skąd wziąć pieniądze na pociąg i na wszelkie inne wydatki związane z koncertem? Przyjazny kasjer skłonny był pożyczyć mi dwadzieścia franków z własnej kieszeni.

— Nic więcej nie mogę dla pana zrobić — powiedział. Z wdzięcznością przyjąłem luidora i wyszedłem. Na ulicy powziąłem decyzję, a nie była to decyzja łatwa! Hrabia Potocki! Tak, po-Proszę o pieniądze właśnie Potockiego! Wprowadzie Biernacki w pierwszych dniach naszej znajomości powiedział, że hrabia nie ^osi, gdy się go nachodzi z prośbą o pożyczki, z drugiej jednak strony przypomniałem sobie, z jaką łatwością Astruc uzyskał jego hojne poparcie dla swych-teatralnych zamierzeń. Co do mnie — wiedziałem, że arystokrata Potocki uważa za rzecz samą przez się Rozumiała, iż jestem należycie zabezpieczony, a moje kariera artystyczna znajduje się w pełnym rozkwicie. Na szczęście nie mógł ^leczyć, że dawno już sprzedałem jego szafirowe spinki. Tak więc k Clężkim sercem zatelefonowałem do willi w Rambouillet i przez ^erdynera poprosiłem pana domu.

b ""^ Mon cher comte — powiedziałem, starając się, by mój głos ZQliął radośnie — za parę dni wyjeżdżam do Polski i jeśli nie

277

przeszkodzę panu, chciałbym przyjść się pożegnać, a także pokazać, jak dzięki panu wyleczyłem sobie palec! W słuchawce usłyszałem radosne gdakanie:

— Parfait, parfait! Jutro sobota. Proszę przyjechać na kolację i zostać przez niedzielę. Może spróbowałibyśmy też odświeżyć trochę pańskie umiejętności jeździeckie, co?

Kiedy dokładnie w porze kolacji znalazłem się w willi, połowa mego luidora już się rozeszła. Hrabia Potocki wyszedł do hallu, żeby mnie przywitać, uważnie zbadał idealne funkcjonowanie wszystkich części palca i wyraził w związku z tym zadowolenie i dumę. Potem zaprosił mnie do jadalni, gdzie zastaliśmy madame d'Avignon, Emmanuelę, Rembielińskiego, który wrócił na tydzień, nie znanego mi prawnika, no i posępnego, jak zawsze, Biernackiego. Kolacja była wyśmienita, ale mimo chronicznego głodowania nie miałem apetytu. Za bardzo pochłonięty byłem koniecznością dokonania wyboru: poprosić go już dziś wieczór czy dopiero jutro rano na tarasie, gdy będzie w lepszym humorze? Był cudowny, ciepły wieczór, w powietrzu unosiły się rozkoszne wonie, wokół ćwierkały ptaki, a świerszcz urządził nam prawdziwy koncert.

— Chodźmy się przejść, Arturze — zaproponował nieoczekiwanie Rembieliński. — Mikołaj nie pogńiewa się.

Hrabia ze względu na swą ułomność nie cierpiał spacerów. Wyszliśmy do parku, a gdy znaleźliśmy się w bezpiecznej odległości, tak że nikt nie mógł nas słyszeć, mój towarzysz nagle zatrzymał się.

— Ile panu trzeba? — spytał znienacka.

— Nie rozumiem — odparłem zaskoczony.

— Nie udawaj, Arturze — powiedział cicho. — Obserwowałem cię przez cały wieczór: masz to wypisane na twarzy. Potrzebujesz pieniędzy i zamierzasz poprosić o nie Mikołaja. Ale nie rób tego, mój drogi, nie rób tego; może stracić do ciebie serce, a już z pewnością straci do ciebie zaufanie. Jeśli potrzebna ci suma mieści się w granicach moich możliwości, chętnie służę.

— Nie, nie — omal nie wybuchnąłem płaczem. — Nie mogę na to pozwolić! To spora suma.

Potrzebują trzystu franków. Dla takiego bogatego człowieka jak hrabia to błahostka, a pan sam mi mówił, że utrzymuje się jedynie ze skromnej renty.

Rembaliński uśmiechnął się.

— Siadajmy... i proszę posłuchać — powiedział, zbliżając się do ławki, a gdy usiedliśmy, ciągnął dalej, przybierając pozę mentora-

— Posłuchaj mojej rady! Wieloletnie doświadczenia sporo nauczyły o stosunkach międzyludzkich. Wyłożę ci to w dwóch słowach: jeśli jesteś w kłopotcie, szukaj pomocy i zrozumienia u tego ' kto sam bywa w tarapatkach! Jeśli stracisz ukochanego człowieka ' jeśli cierpisz na nieuleczalną chorobę lub nawet na zwykły, °r

278

narny ból zęba, prawdziwe współczucie i zrozumienie możesz znaleźć u tych ludzi, których spotkało podobne cierpienie, podobna niedola. Wtedy to najserdeczniejsi przyjaciele zazwyczaj zdolni są jedynie do konwencjonalnych gestów — wyślą ci kondolencje, odwiedzą z kwiatami w szpitalu, polecą najlepszego dentystę, ale serca w to nie włożą... Żyją w innym świecie, w świecie ludzi, którzy nikogo nie utracili, nie chorują i nie znają bólu zęba! Przerwał na chwilę, a potem dorzucił:

— Mikołaj ma dobre serce. Ofiaruje bez wahania każdą sumę przyjacielowi z „Jockey Clubu”, mającemu dług karciany. Wie, czym to grozi, i do długów honorowych odnosi się z szacunkiem. Ale w twoim przypadku nie będzie w stanie pojąć, dlaczego ty, przy twoich zdolnościach i dobrym wychowaniu, młody człowiek przyjmowany przez cały grand monde, wolisz zwrócić się do niego o skromną sumkę, zamiast podjąć ją po prostu z banku, wziąć od pana Astruca lub od rodziny! — roześmiał się.

— A teraz, mon cher Arthur, daruj mi tę krótką dygresję na temat zachowania się ludzi i na temat etyki i pozwól sobie powiedzieć, że te twoje trzysta franków nie zrujnuje mnie. Jutro wieczorem wrócimy razem do Paryża, a w poniedziałek rano otrzymasz pieniądze.

Poklepał mnie po ramieniu i uroczym gestem, unosząc obie ręce, jak gdyby chciał się bronić, udaremnił wszelkie próby podziękowań.

Po dobrze przespanej nocy błyszczałem następnego ranka w ma-neżu, a hrabia czuł się w najwyższym stopniu usatysfakcjonowany:

— Teraz może pan dosiąść prawie każdego konia — powiedział z zadowoleniem nauczyciela.

Jakiż byłem szczęśliwy, że nie musiałem prosić go o pieniądze!

Wieczorem hrabia wraz z resztą osób — z wyjątkiem ponurego Biefnackiego — pożegnał mnie serdecznie.

W poniedziałek z samego rana zadzwoniłem do drzwi mieszkania Rembielińskiego przy quai Voltaire; zajmował dwa jasne, przestronne pokoje, których ściany od podłogi aż po sufit wypełnione były książkami. Pan Stanisław powitał mnie wesołym uśmiechem:

— Oto i moje królestwo. Tutaj jestem szczęśliwy, sam na sam z moimi książkami!

Pokazał mi kilka cennych pierwodruków, a także kilka pochlebnych dedykacji sławnych współczesnych pisarzy, na koniec zaś Wre-czył mi pieniądze.

!—! Musisz ruszać w drogę, więc cię nie zatrzymuję — powiedział,

Prowadzając mnie do drzwi. — Powodzenia, cher Arthur.

Ucałowaliśmy się. Widziałem go wtedy po raz ostatni; wkrótce exn zmarł w Szwajcarii na suchoty.

279

44

Tym razem Warszawa wydała mi się całkiem inna. Wynająłem pokój w skromnym hotelu i czułem się trochę jak wygnany z domu banita. Przez wszystkie te lata nie pisywałem do nikogo, jeśli nie liczyć kilku listów miłosnych, a także paru pilnych wiadomości, które trzeba było koniecznie przesłać. Moja awersja do pisania przerodziła się niemal w chorobę.

Nic więc dziwnego, że zupełnie straciłem kontakt z Fryderykiem i jego rodziną. Nie miałem też możliwości dowiedzieć się, co o mnie sądzą po historii z listami Poli. Musiałem doczekać do koncertu !— sądziłem, że zachowanie Basi dostarczy mi klucza do tej zagadki.

Tymczasem ucieszyłem się z ponownego spotkania z Szymanow-skim, zwłaszcza gdy okazało się, że on, Paweł Kochański, a także dyrygent Fitelberg mieszkają w tym samym co ja hotelu. Hotel „Victoria” znajdował się opodal Filharmonii, z tego też powodu odpowiadał nam wszystkim.

Na koncert dobroczytny wszystkie miejsca były wyprzedane. Salę wypełniała wytworna publiczność, programy sprzedawały młode panie z komitetu. Miałem wystąpić pierwszy, Basia — ostatnia. Nie spodziewano się jej przyścia przed przerwą i to dało mi możliwość dość przyzwoitego wykonania mego Chopina. Gorący aplauz i bis. Paweł Kochański odegrał Czajkowskiego znakomicie — tutaj nikt nie mógł się z nim równać. A potem przerwa. Basia zjawiła się w garderobie sama, wyraźnie

podenerwowana; uprzejmie przywitała się ze wszystkimi, wyraźnie mnie unikając. Ponieważ uparłem się, że musi mnie zauważyć, skinęła mi chłodno głową i uściśnęła rękę bez uśmiechu. Spytałem, co słyhać u jej rodziny.

— Rodzice i Fryderyk są na sali. Pola nie przyszła — odparła krótko, ucinając wszelkie dalsze pytania.

Po przerwie nadeszła jej kolej odśpiewania z orkiestrą kilku pieśni Mahlera i Straussa; dyrygował Fitelberg. Przeniosłem się na widownię, by posłuchać jej śpiewu, a ponieważ byłem wściekły\* życzyłem jej w tym debiucie wszystkiego najgorszego. Pierwsza pieśń wykonała bardzo dobrze, wykazała się świeżością głosu, dobrą intonacją i właściwą ekspresją. Ale gdy orkiestra zagrała trochę preludium do jej drugiego numeru, nasze spojrzenia na scenę spotkały się i przegapiła wejście. Fitelberg zatrzymał orkiestrę, trzeba było zaczynać od początku, tym razem już bez żadnego

280

przeszkód, byłem jednak bardzo zadowolony z tej skromnej próbki hipnozy.

Po zakończeniu koncertu do garderoby wtargnął tłum przyjaciół, z Fryderykiem i jego rodzicami na czele; przyszli ucałować Basie i pogratulować jej wspaniałego debiutu. Potem zwrócili się do mnie, entuzjastycznie chwalać mój występ, a pani Magdalena zaprosiła Szymanowskiego, Pawła i mnie na kolację. Moi przyjaciele odmówili, zasłaniając się innymi zobowiązaniami, ale ja, oczywiście, zaproszenie przyjąłem. Ku memu żalowi — i tu także ani śladu Poli, nikt nawet nie wymówił jej imienia. Przyjęcie było, jak zawsze, cudowne; wszystkiego — jedzenia, win, wesołości i rozmów — pod dostatkiem. Fryderyk w bardzo zabawny sposób zdał nam relację z amerykańskiego tournée, które trzeba było przerwać już po miesiącu: pora roku okazała się nieodpowiednia, grali przed słabo wypełnionymi salami, ale jego samego wszędzie traktowano jak gwiazdora. Przywiózł sporo przyjemnych nowych melodii amerykańskich, które nam odegrał i odśpiewał z właściwym sobie wdziękiem. Kiedy przyszła kolej na mnie, by opowiadać o moim życiu w Paryżu, barwnie opisałem przyjęcie u Rothschildów, bankiet wydany przez prezydenta Francji, sezon polowań w Ram-bouillet, prośzone obiady u hrabiego Potockiego — nie pomijając najdrobniejszych szczegółów jadłospisu. Udało mi się nawet niezgorzej sparodiować króla Edwarda, przez cały czas miałem się jednak bardzo na baczności, by nie odkryć przypadkiem odwrotnej strony medalu. Na panu domu wywarłem spodziewane wrażenie, zaprosił mnie więc, bym i tym razem, jak niegdyś, zamieszkał u nich. Odmówiłem uprzejmie, tłumacząc się, że muszę pracować z Szymanowskim i Kochańskim, a ponadto że chcę być blisko Filharmonii. Obiecałem jednak, jeśli tylko czas mi na to pozwoli, odwiedzać ich jak najczęściej. Przy drzwiach pani Magdalena obrzuciła mnie powłóczystym spojrzeniem, na co odpowiedziałem uśmiechem wdzięczności. Wyszedłem, czując do siebie obrzydzenie.

Pewnego ranka zadzwoniła Zofia Kohn:

"~ Mam dla ciebie ważną wiadomość — powiedziała po kilku łowach serdecznego powitania. — Pola przyjdzie dziś w południe ' krótką wizytą; pomyślałam, że może chciałbyś ją zobaczyć. ""!"" Ach, dzięki, dzięki! — zawołałem, rzucając słuchawkę i biegnąc do swego pokoju, żeby przygotować się do tego spotkania, ziwne to było spotkanie. Pola, ubrana na granatowo, wyglądała C bardziej zachwycająco niż dawniej; grzecznie wstała i przy-

mnie jak przelotnego znajomego. Jak się czujesz? Wiekuję, doskonale.

281

Mai I

— Czy w Paryżu bardzo upalnie?

— Nie, zupełnie znośnie.

— U nas lato było łagodne.

— A jak twoje dzieci?

— Dziękuję, doskonale.

Kiedy Zofia wstała, by wyjść z pokoju, Pola powiedziała w popłochu:

— Muszę już iść, jest strasznie późno, muszę iść — i spieszenie się pożegnała.

—! Nie martw się, wróci, jestem tego pewna; musisz dać jej czas, żeby się przekonała, na jakim świecie żyje — Zosia uśmiechnęła się pocieszająco, po czym nalegała, abym został u nich na obiedzie.

Gościnność Kohnów miała swój jedyny niepowtarzalny charakter: ich jadalnia zatłoczona była o każdej porze dnia. Zuzia, niemłoda już guwernantka, gospodyni i przyjaciółka, na każde życzenie

gotowa była w każdej chwili podać domownikom czy niespodziewanym gościom śniadanie, obiad, podwieczorek i kolację. Taka gościnność zbyt była kusząca, abym się mógł jej oprzeć; dodatkową atrakcją był zresztą doskonały bechstein w sypialni Zosi. Toteż od tamtego dnia stałem się częstym gościem zarówno w jadalni, jak i przy fortepianie.

Pola wróciła, udając na mój widok zdziwienie, i jak zawsze spiesząc się. Nigdy nie była tak naprawdę sobą; kiedy próbowałem ją dotknąć, wpadała w popłoch. A ilekroć spotykaliśmy się u Zosi, zawsze odgrywała tę samą komedię. Wypytywałem Fryderyka, ale udzielał mi wymijających odpowiedzi. Reszta rodziny nigdy o niej nie wspominała, jak gdyby w ogóle przestała istnieć! To wszystko było dla mnie zagadką.

Tymczasem moja kariera koncertowa rozwijała się pomyślnie. Dwa recitale w Warszawie przyniosły dobre wyniki finansowe, inne miasta polskie wystąpiły z korzystnymi propozycjami, a śmiały impresario z Łodzi zaangażował mnie nawet za tysiąc rubli! Od wiedziny mego miasta rodzinnego stały się, jak zawsze, okazją do uczczenia tego wydarzenia. Cała rodzina zjawiała się na koncercie a później na kolacji. Połowę honorarium oddałem ojcu na pokrycie kosztów tego bankietu. Czekając na mnie też wielka niespodzianka: mój szwagier, Landau (pamiętny z incydentu w Dreźnie), który dorobił się majątku na wełnie, często jeździł w interesach do Rosji. Podczas ostatniej bytności w Petersburgu rozmawiał o mnie z Aleksandrem\* Głazunowem, kompozytorem i dyrektorem sławnego tamtejszego Konserwatorium, założonego przez Antoniego Rubinsteina. ^

— Głazunow — powiedział Maurycy — bardzo się tobą zajmę

282

sował i wyraził gotowość do przedstawienia cię na koncercie przeznaczonym dla studentów i profesorów instytutu. Proponuje termin od dziś za tydzień — dodał, nie czekając nawet, jak przyjmę tę propozycję. — Sam odwieżę cię do Petersburga.

— Ależ jak to możliwe? — spytałem zdziwiony. — O ile mi wiadomo, Żydom nie wolno mieszkać w wielkich miastach Rosji, tylko na peryferiach cesarstwa.

— Ty będziesz mógł zatrzymać się tam przez dwadzieścia cztery

godziny, a więcej ci nie trzeba — odparł z rezygnacją. — Ja, jako kupiec pierwszej gildii, jak to oni nazywają, mam zezwolenie na nieograniczony pobyt, ale muszę za to płacić specjalny podatek.

Prawo do mieszkania w dowolnym mieście Rosji przysługuje wyłącznie tym Żydom, którzy ukończyli uniwersytet lub konserwatorium.

Słyszając o tej haniebnej dyskryminacji, poczułem nagły przypływ obrzydzenia, ale na myśl, że mógłbym wystąpić przed moimi kolegami w sali wzniesionej przez Antoniego Rubinsteina, nie potrafiłem się oprzeć. Podziękowałem szwagrowi za inicjatywę i postanowiłem jechać.

Do Petersburga przybyliśmy wczesnym rankiem. Gruby izwoszczyk — rosyjski dorożkarz — zawiózł nas do Hotel d'Europe, najlepszego w mieście, jak twierdził Maurycy. W recepcji urzędnik odebrał mi paszport:

— Otrzyma go pan jutro rano przed wyjazdem.

Po umyciu się i zjedzeniu śniadania udaliśmy się do Konserwatorium, gdzie pan Głazunow przyjął nas bardzo serdecznie i zaprowadził wprost na salę:

— Tutaj właśnie podziwialiśmy Antoniego Grigoriewicza i jego wielką sztukę! — powiedział.

Duże wrażenie wywarł na mnie obraz wiszący na ścianie; przedstawiał Rubinsteina grającego w tej samej sali przed uwielbiającą go publicznością.

— Przypuszczam, że chciałby pan trochę poćwiczyć — powiedział kompozytor. — Koncert ma się zacząć o trzeciej, ma pan więc jeszcze sporo czasu na wypróbowanie fortepianu, zjedzenie czego? 1 Przebranie się.

Wyszli, a ja zabrałem się do gry. Fortepian był produkcji rosyjskiej, Beckera, jeśli się nie mylę, nie bardzo mi odpowiadający, ale ożliwy. Powtarzałem właśnie jakiś trudniejszy pasaż, kiedy zadął mnie młody skrzypek, którego poznałem niegdyś w Berlinie.

No, no, widzę, że pan daleko zaszedł! — powiedział. — Często świadczy takie grzeczności — po czym d

- «o, no, widzę, że pan daleko zaszedł! — powiedział. — Głazunow często świadczy takie grzeczności... — po czym dorzucił ze oshwym chichotem: — W szkole sądzą, że Rubinstein to nie jest

283

0\

pańskie prawdziwe nazwisko, tylko że przybrał je pan, żeby mu zaimponować, cha, cha, cha... Czyniłem nadludzkie wysiłki, by zapanować nad nerwami i „nie dać się”. Podczas obiadu nie mogłem przełknąć ani kęsa, ale gdy przyszła pora koncertu, byłem już zupełnie opanowany. Sala wypełniona była do ostatniego miejsca; przybyli chyba wszyscy studenci i studentki. Pan Głazunow, mój szwagier oraz profesorowie Konserwatorium zajęli miejsca w pierwszym rzędzie, a młodzi ludzie obsiedli dokładnie nawet estradę. Podchodząc do fortepianu, obawiałem się jakichś wrogich demonstracji, ale przyjęto mnie głośnie brawami. Pierwszy numer godzinnego programu, jedno z wolniejszych preludium i fug Bacha, odniósł nadspodziewany sukces. Wołano „Brawo, brawo!” i długo klaskano. Potem nastąpiła sonata, która wywołała na widowni niepokohamowany entuzjazm, a po zakończeniu koncertu wybuchł istny szal: cała publiczność podniosła się z miejsc krzycząc, tupiąc i klaszcząc. Na scenie otoczyli mnie chłopcy i dziewczęta — jakieś dziewczyny mnie całowały, jacyś chłopcy próbowali podrzucić mnie do góry — a bisy grałem wśród okrzyków najwyższego uznania. Kiedy wreszcie udało mi się schronić w garderobie, byłem wzruszony do łez. Nie śniło mi się nawet o takim tryumfie!-

Wszedł Głazunow z Maurycym. Mój szwagier był wstrząśnięty:

— Muszę o tym wszystkim natychmiast zadeszować do domu! — wołał.

Pan Głazunow ucałował mnie w oba policzki, wymamrotał jakieś komplementy na temat mojej gry, ale gdy Maurycy uściśnął mu dłoń, wołając: „Co za sukces, co za tryumf!” — kompozytor odparł spokojnie:

— Petersburska publiczność jest zwykle nad wyraz uprzejma.

W mgnieniu oka ochłoniłem. To była dobra nauczka na przyszłość: zawsze trzeba się wcześniej upewnić, jak zachowuje się publiczność na koncertach obcych artystów!

Nazajutrz rano wróciłem do Warszawy, nie zobaczywszy zupełnie rosyjskiej stolicy. Ponieważ moja sytuacja finansowa ostatnio poprawiła się, postanowiłem przenieść się z „Victorii” do „Bristolu”, jednego z dwóch najlepszych hoteli w mieście. Karol Szyta nowski wyjechał na wieś, żeby dokończyć orkiestrację nowego utworu symfonicznego, ale Paweł został w mieście i był moim codziennym towarzyszem. Nasza przyjaźń rosła z każdym dniem. Odkryliśmy wiele wspólnych zainteresowań, a także duże podobieństwo życiorysów i przebiegu kariery artystycznej. Ogromnie podziwiałem jego talent, a i on do mojego odnosił się z szacunkiem. Posiadał ponadto cudowne poczucie humoru, a prócz łączą nas jeszcze jedna wspólna cecha: był doskonałym mimem!

284

Obaj też przepadaliśmy za grą w bilard, zatem codziennie o czwartej po południu spotykaliśmy się w popularnej cukierni Lourse'a. Obaj należeliśmy do graczy przeciętnych, ale graliśmy z takim zapałem i animuszem, że wokół naszego stołu zawsze zbierała się grupka zaprzyjaźnionych kibiców, którzy robili zakłady o to, kto zwycięży, i dopingowali nas słowami otuchy lub lekceważenia.

A propos — spotkania te przywodzą mi na myśl zabawne zdarzenie. Jeden z wpływowych krytyków muzycznych uparł się pewnego wieczoru, że musi zabrać mnie do swego klubu na partię pokera. Siedliśmy do stołu wraz z trzema niezbyt zachęcająco wyglądającymi panami. Przez pierwsze cztery czy pięć godzin wygrywałem, a potem próbowałem się pożegnać. Ale słysząc o tym nie chcieli i zachowali się przy tym właściwie wręcz niegrzecznie. Tak więc gra toczyła się bez przerwy aż do godziny czwartej po południu dnia następnego! A wówczas, oczywiście, byłem już przegrany! Kiedy znalazłem się wreszcie na zalanej słońcem ulicy, omal nie padłem ze znużenia, postanowiłem jednak dotrzeć do normalnej pory udania się na zasłużony odpoczynek. Nagle przypomniałem sobie, że Paweł czeka na mnie u „Lourse'a”. Nasi kibice przyjęli mnie szyderczymi okrzykami, ale z chwilą gdy zabraliśmy się do gry, zaczęli robić zakłady. Tego dnia Paweł był we wspaniałej formie; o mnie lepiej nie mówić. W pewnym momencie udało mu się wyjątkowo długa seria trafień, podczas której ja stałem spokojnie, wsparłszy się na kiju. Kiedy wreszcie przyszła moja kolej gry, tkwiłem w dalszym ciągu w tej samej pozycji, pogrążony w głębokim śnie! Żadne okrzyki ani potrząsania nie były w stanie mnie dobudzić. Trzeba mi było zatańczyć do dorożki i do łóżka.

Paweł i ja postanowiliśmy zorganizować koncert złożony z trzech sonat na skrzypce i fortepian; cieszyliśmy się wówczas w Warszawie jednakową popularnością i mieliśmy nadzieję przyciągnąć sporo publiczności. Emil Młynarski, który dla Pawła był jakby drugim ojcem, kazał nam odegrać nasz program w swojej obecności. Jego uwagi dotyczące zachowywania równowagi obu instrumentów, frazowania, tempa, pozostaną na zawsze wyryte w mej Pamięci

bajcie swobodnie, ale starajcie się nie gubić frazy; nie graj-- , a.e^e^tu... Muzyka musi przemawiać

sama za siebie... I pa-^0' Że części wolne zyskują, gdy wykonuje się je nieco Presto zaś — kiedy się gra nieco wolniej... No i ćwiczcie, ^, ćwiczcie!

ISTie j w tym °ył cały szkopuł: nie mieliśmy miejsca na próby, ysponując w „Bristolu” fortepianem, musiałem zadowolić się

285

codziennym korzystaniem przez godzinę czy dwie z bechsteina Zosi. Jedynym wyjściem było przedstawić Pawła rodzinie Kohnów. Zabrałem go tam kiedyś późnym popołudniem, po partii bilardu. Gdy tylko weszliśmy do pokoju, pani Kohnowa zawołała: „Zuziu, kolacja!” i już w dziesięć minut później kolacja była na stole. Cała rodzina natychmiast zaadoptowała Pawła, a ojciec Zosi, znany prawnik, który w związku z interesami podróżował po całej Euro- • pie, tak był zafascynowany osobowością Pawła, że nie odstępował go ani na krok. Kiedy schroniliśmy się w buduarze Zosi, aby tam zabrać się do muzykowania, doszliśmy do wniosku, że taka praca to istny raj!

Koncert przyniół nam imponujący sukces; krytycy zwrócili uwagę na nasze idealne zgranie i styl, zwłaszcza w Sonacie Kreutze-rowskiej Beethovena. Po koncercie staliśmy się bardzo poszukiwani, otrzymywaliśmy częste zaproszenia od Rzewuskich, Epstei-nów oraz przyjaciół Pawła, Styczyńskich.

Przypominam sobie pewne zabawne wydarzenie, które miało miejsce mniej więcej w tym czasie. Młody, przystojny książę perski przybył do Warszawy jako emigrant i zatrzymał się w „Bristolu”, gdzie zajmował apartament na tym samym piętrze co ja. Cała warszawska socjeta obsypywała go zaproszeniami, prasa zaś lubowała się w publikowaniu nowinek na temat jego życia towarzyskiego oraz nieprzebranych bogactw. Inną mieszkanką naszego piętra była kokota wysokiej klasy, zmysłowa blondynka.

Któregoś wieczora, gdy szedłem do swego pokoju, zatrzymała mnie.

— Musi mi pan pomóc — powiedziała błagalnym głosem. — Marzę o poznaniu perskiego księcia. Widziałam, jak pan z nim rozmawiał, i jestem pewna, że mógłby mi pan to załatwić. Błagam, błagam!

Roześmiałem się.

— Moja droga, nie jestem stręczycielem i nie mam zamiaru paU pomagać. Ale czemu nie próbuje go pani złapać, kiedy wraca z przyjęcia? Życzę powodzenia!

Poszedłem do pokoju i położyłem się do łóżka. W dwie czy tfZ-godziny później rozległ się przeraźliwy krzyk. Poderwałem się ^ równe nogi i podbiegłem do drzwi. Scena, którą ujrzałem, by ^ prawdziwie sensacyjna — piękna blondynka, zupełnie naga, w^ skakiwała z apartamentu księcia, wrze\$zcząc na cały głos:

— Ratunku, ratunku! On mnie zabije!

Tymczasem sporo gości hotelowych znajdowało się już na k° .^ . tarzu; kilku złapało rozhisteryzowaną kobietę i zaciągnęło ją do J pokoju, gdzie nie przestawała Szlochać:

— On mnie chciał zabić!

286

Ponieważ poznałem księcia na gruncie towarzyskim, odważyłem się wejść do jego apartamentu przez wciąż jeszcze uchylone drzwi. Stał w szlafroku, idealnie opanowany. Poprosił mnie, bym usiadł, i nienaganną francuszczyzną wyjaśnił, co zaszło.

— Wracałem późno do domu i właśnie otwierałem drzwi, gdy ta dziewczyna pojawiła się nie wiadomo skąd, powiedziała coś po polsku, czego nie zrozumiałem, a potem pocałowała mnie i weszła za mną do apartamentu. Wydała mi się ponętna, to muszę przyznać, nie miałem więc na tyle silnej woli, by ją wyrzucić.

Przerwał, a po chwili dodał jakby z pewnym ociąganiem:

— Rozebrała się do. naga i rozsiadła wygodnie na tej oto kozetce, po czym dała mi znak, bym się do niej zbliżył. Tu muszę poruszyć nader delikatną sprawę — dorzucił konfidencjonalnie. — Nam, muzułmanom, nie wolno mieć stosunku z kobietą, która ma owłosiony wzgórek łonowy.

Próbowałem jej to wyjaśnić, ale wciąż nie mogła pojąć, o co mi chodzi. Wyszedłem więc do łazienki po brzytwę i wróciłem, żeby wygolić tę niepotrzebną kępkę. Kiedy dziewczyna zobaczyła, że zbliżam się trzymając brzytwę w ręku, podniosła wrzask. Resztę pan zna...

Moje wizyty u Harmanów stawały się coraz rzadsze, choć nie z powodu mego lenistwa czy też zmiany w Stosunkach między nami. Dwie były tego przyczyny: po pierwsze — ani Paweł, ani Karol nie mieli najmniejszej ochoty dać się wciągnąć do ich kółka, a po drugie — pani Magdalena w dalszym ciągu wierzyła, że możemy kontynuować nasz dawno już zwietrzały romans. Mimo to z

przyjemnością bywałem u nich na poteatralnych kolacyjkach, a także pomagałem Fryderykowi w opracowywaniu kadencji do jego Koncertu. Raz tylko przy drzwiach ich domu stanąłem twarzą w twarz z Połą — minęła mnie, nawet się nie zatrzymując.

Kiedyś, wczesnym rankiem, boy hotelowy zapukał do drzwi mego pokoju przynosząc list. Bardzo ważny i osobisty — jak zaznaczył. Ostrożnie otworzyłem kopertę. Tekst — pamiętam dokładnie — brzmiał tak: „Stanowczo panu radzę natychmiast wyjechać z miasta. Jeśli będzie się pan upierał przy pozostaniu, to przy najbliższej okazji sprawię panu porządne lanie!” Podpisany był mąż "oli. Nagle wszystko stało się jasne. Musiał ją przyłapać, jak pisała 3 mnie, zmusił ją, by zażądała zwrotu listów i prawdopodobnie aż jej dać słowo, że więcej się ze mną nie spotka. Według ^zelkiego prawdopodobieństwa podejrzewał, że spotykamy się 1 °si, i to go skłoniło do napisania tego obelżywego listu. je rostackie pogrożki wymagały stanowczej reakcji. Ale nie mia-żadnego doświadczenia w podobnych sprawach: dotychczas niSdy mi nie groził. Postanowiłem zasięgnąć czyjejs rady,

287

L

a nie znałem osoby bardziej do tego odpowiedniej niż Stanisław Rzewuski, nie kwestionowany arbiter w Sprawach honorowych,; Kiedy złożyłem mu wizytę, przyjął mnie natychmiast i marszcząc czoło, uważnie przeczytał obelżywy list.

— To wyzwanie na pojedynek — brzmiał jego werdykt, gdy skończył studiować treść pisma. — Musi pan zareagować, i to bezzwłocznie. Ktoś, kogo darzy pan zaufaniem, winien udać się natychmiast do pana K. (męża Poli) i oświadczyć mu co następuje: „Mój przyjaciel, pan R., przysyła mnie z żądaniem przeprosin ua piśmie za pański obelżywy list. Jeśli nie wyrazi pan zgody na tę prośbę, wyzywa pana na pojedynek. Sekundanci obu stron mogą spotkać się jutro celem uzgodnienia szczegółów"... — pan Rzewuski uśmiechnął się; był teraz w swoim żywiole.,— Będzie to dla niego dobra nauczka — dodał. — Zaczekam na pana, żeby dowiedzieć się, co ma do powiedzenia.

Do spełnienia tej nieprzyjemnej misji wybrałem Fitelberga, który bez oporów zgodził się wyświadczyć mi tę grzeczność. Po niespełna godzinie wrócił, by zdać sprawę.

— To było fascynujące — powiedział. — Kiedy usłyszał, że przychodzę w twoim imieniu, był przeświadczony, widziałem to po jego minie, że przynoszę mu twoją obietnicę, iż nigdy nie będziesz niepokoił Poli, jeśli tylko pozwoli ci zostać w Warszawie bez obawy, że może spotkać cię krzywda. Nigdy jeszcze nie widziałem człowieka równie osłupiałego jak on, gdy usłyszał, że wyzywasz go na pojedynek! Na chwilę odebrało mu mowę, a kiedy się otrząsnął z szoku, powiedział, że w ciągu dzisiejszego popołudnia wyznaczę sekundantów.

Podziękowałem Fitelbergowi za należyte wywiązanie się z tej misji i pobiegłem do Rzewuskiego, żeby powiadomić go o wynikach. Pan Stanisław był wniebowzięty.

— Poskutkowało, i to wprost idealnie — powiedział. — Ja, oczywiście, z przyjemnością będę pańskim sekundantem. Musimy tylko znaleźć drugiego.

Po rozważeniu kilku kandydatur osób niezupełnie nadających się do tej roli, nasz wybór padł na Jaroszyńskiego.

— Ale on jest w Kijowie — zaproponowałem.

— To nic — odparł Rzewuski, — Ja sam zadeszuję do niego i pewien jestem, że przyjedzie.

Miał słuszność. Józef przyjechał nazajutrz rano; początkowo był nieco zdezorientowany, ale szybko wprowadziliśmy go w rolę-Obaj panowie wynajęli w „Bristolu" pokój, który miał być miejscem spotkań z przedstawicielami strony przeciwnej. Wysoka P<sup>o</sup> zycja społeczna moich sekundantów nad wyraz zaimponowała Pa" mi K. Nie udało mu się znaleźć nikogo lepszego niż swego j

288

postradawszy wszystko podczas II wojny światowej, nie miałbym czym zilustrować tych wspomnień, gdyby nie uprzejmość mych przyjaciół, którzy zewsząd zaczęli mi nadsyłać zdjęcia oraz inne pamiątki będące w ich posiadaniu. Tym wszystkim, którzy tak wielkodusznie przyczynili się do powstania niniejszego albumu, pragnąłbym wyrazić gorące podziękowania.

I

Czteroletni Artur ze swą kuzyneczką, Fanią Meyer, w Berlinie w roku 1891

Artur w Tiergarten



Młode lata - Artur Rubinstain.txt

Sławny skrzypek Józef Joachim -opiekun Artura

Surowy Heinrich Barth, profesor fortepianu

•};;: .-|

Uczestnicy „Lesekrantzchen”; siedzą (od lewej) - Franz Pariser, Kurt Hahn, nie zidentyfikoi chłopiec;  
stoją (od lewej) - Richard Fuchs, Artur, Paul Heinitz, Hugo Perls

\ J34etni Artur w okresie swego , uAthieeo debiutu

tytułowa młodzieńczego Nokturnu"Artura 'olanego pani Engelmannowej

l»

CONCERT-DIRECTION HERMANN WoLFF, BERLIN W,

Jtonnerstag, den ig. Februar

Abendi »tyt uhr

IM

Klavier-Abend

Rrthur J^ubins

td

d

PROGRAMM.

4,

oh'

h tund loaof

» —

ab#r

jfir. C&opśn

12 lutego 1903 roku Artur debiutował w Berlinie, program koncertu był ambitny

Zdjęcie z czasopisma „Muzyka”, Boże Narodzenie 1905 wk

!|S!

Gabriel Astruc,

pierwszy impresario Artura

SEÑOR.

jSBf

Mme.S OFF

TOUft NQW

Zapowiedź przyjazdu Artura do Ameryki, „Musical America”, 6 stycznia 1906

Fitelberg, Szymanowski, Rubinstein

Książę, Władysław Lubomirski, protektor Artura

,

dmsz sent; rośn Olbt

na 1

polski

iników

snu toyla eda»a"»

Wycinek z „Kuriera Warszawskiego' 24 listopada 1912

f^.

ym przyjacielem Antonim Jm w Warszawie w roku

1908

Jadwiga, starsza siostra Artura

Emil Młynarski

ec<

Mr

,«>rt

'-

m\*at%t

the socnriEH OBO CondwtM—Mr. EMIL MŁYNARSKI.

m

w] Second Tuesday Concert

96 ~ ST, ANDREWS HALU

Wir. LEONARD BORWICK.

'•1 ""] THE SCOTTISH OHOHESTBA.

"" ' r^ductor Mr. EMIL MŁYNARSKI

1 | "..... | ....

koncertu w Glasgow

aywEmilaWk

listopada 1915)

Portret Artura namalowany przez Kramsztyka w Paryżu zniszczenia przez Memców w czasie II wojny Artur mieszkał)

roku 1914 (uratowała go

J\*\$

i t |\*\*\*<»

.

•\*

||.||||

||.||||

t\*\*\\*

9

iii|ii.....iii.....u im iii

•

!., .•!•!

..

łjttfi\*

firt.

tradycyjnym stroju toreadora (kapa zasłania mu nie Madryt 1916

dopięte z przodu spodnie),

Za chwilą zabrzmiała muzyka. Artur Rubinstein znów olśni słuchaczy swą wielką sztuką

44-1

Fragment rękopisu całkowicie przepisany jego ręką

'<«(•\*\* t

k r.i wścigowych. Przez dwa dni cała brata oraz trenera Roni. y \* oponenci zapropo-

SSJrta omawiała ^j^f/^ewuski obstawał przy pisto-„owali tradycyjne szP^s^ałPow ze sporej

odległość!. Argumen-S^/^\ ^iS stronie urażonej, przysługuje wybór

znak, trzymając cały i strzeli. Jeśli zrobi pan, jak Powtórzyłem to ć""-^™\* zadowolenie. Jego

chybić mego przec /równy Rzewuski, jak przed wymianą "—1 sane przez mego uspokajali mnie,

jętą i normalną, mnie straszliwe wizje Owego chłodnego i lekarz i ja udaliśmy się starannie

wybrane mie. Stronę przeciwną zastaliśmy « oatimdanci

na Q pan nie chybl.

raa % Rzewuski wyraził

tycn

Ljac Widząc mój niepokój, za-starali się mnie przekonać że i uzyskają przeprosiny

podpi-przygotowania do pojedynku, honorowych rzeczczą przy-przez całą noc dręczyły ~\ogłem

zmrużyć oka.

pan Stanisław, Józef, nej krytym powozem na tvłacn Parku Łazienkowskiego.

Suu«— -,----- 4 ... v iuz na miejscu. Skłoniliśmy się sobie

Stronę przeciwną zasialismy >uz n m do odmierzania z góry ceremonialnie, a sekundanci

przy ^ { si następnie skru-

uzgodnionej odległości ^ZJcP°3mTręczyli je panu Ł oraz mnie. pulatnie zbadali pistolety, po czym

ę \* ^e dla me-

Lekarz tymczasem okłada\* wsz^stK & ^^ sp

sienią pierwszej P0^^^ ^z ustawiono nas na miejscach cone i zimne jak lod. Kieay ]

^ do wymiany ognia,

z pistoletami w dłoni, oczekujęcyn \_\_\_ dali winOwajcy

sekundanci - zgodnie > w^w^i nim pogróżek. Ku ostatnią szansę odwołania listu i . ^

pojedyнку nie doszło,

powszechnej uldze pan K. wyrazu zg |w.adczony przez cztetech

Na miejscu sporządzono ProtOK^ /^ Brzmiał on mniej więcej sekundantów i podpisany przez pan a .

napisałem i wysłałem tak: „Odwołuję każde słowo listu ^ wyłącznie w obronie

^ dniu (tu data) do pana A. «• ^

Pewnej osoby" (sic!). j sie jak skazaniec, któremu

Wróciliśmy do miasta, a ja Z™^^ mogącym przejść obo-darowano życie. Warszawa nie byta iu

^^ podawano sobie

i^nie obok tak smakowitej plotJa. -^ .. . nieprawdopodobne ^irl^b^rp^SSc dętego pojedyнку.

Na

289

10-

Rubinstein

szczęście imię Poli nie padło ani razu; po prostu nigdy nas razem nie widywano. Tak czy inaczej, mój nowy wizerunek młodego człowieka umięjącego bronić swego honoru ogromnie podniósł mój I prestiż społeczny. Najbardziej chyba podniecony całą tą sprawą I był pan Harman. Podobnie jak reszta rodziny znał oczywiście prawdę i nigdy się nie spodziewał, że zachowam się tak, jak się

zachowałem.

Ojciec Fryderyka nie pozostawał z zięciem w najlepszych stoH sunkach; miał mu za złe jego niechęć do pracy i zarzucał mu, że I nie potrafi utrzymać żony i dzieci; w głębi duszy był więc urado-1 wany z nau czki, jaką dałem panu K. W jego oczach urosłem teraz \ na bohatera, a Pola została ponownie dopuszczona do rodzinnego kręgu, i to w mojej obecności, jak gdyby nigdy nic. Fryderyk i BsjH sia, jak zwykle, nie angażowali się, ale pani Magdalena poprosiła ! mnie do swego pokoju na zasadniczą rozmowę.

— Co zaszło między tobą a Połą? — spytała z gniewem.

— Absolutnie nic, zapewniam cię. W ubiegłym roku poznaliśmy się trochę lepiej i zaprzyjaźnili — odrzekłem bardzo spokojnie.

— Arturze, powiedz mi prawdę, musisz powiedzieć mi prawdę — nalegała. — Słyszałam, że pisywała do ciebie i że spotykaliście sid w jakimś potajemnym miejscu.

— Kompletana bzdura — odparłem. — Napisała do mnie kilka miłych listów, ale co w tym złego?

Zaś owym „potajemnym miejscem" było po prostu mieszkanie jej przyjaciółki, Zosi Kohn, gdzieś Paweł Kochański i ja odbywaliśmy próby przed naszym koncertem. I Pan K. okazał się na tyle głupi, że dał posłuch jakimś bzdurnym | plotkom — dorzuciłem z pogardą.

Odniosłem wrażenie, że uwierzyła mi; w każdym razie odzyskała spokój.

Tymczasemna^ler^H^stąd-ni^^owądy-spytała-prawie szep^-

tem:

— Kochasz ją?

Zapadło krótkie milczenie; przez chwilę nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

— I tak, i nie — zacząłem ostrożnie. — Zakochałem się w niej ubiegej jesieni, ale jak ci dobrze wiadomo, to samo przydarzyło mi się kiedyś także w związku z Basią. Dziwna rzecz! Wszystkie panie w tym domu działają na mnie tak erotycznie!

Staralem się, aby to zabrzmiało dowcipnie, ale pani Magdaleny

to nie bawiło.

— Prawdę mówiąc — dorzuciłem — cała sprawa dawno już umarła śmiercią naturalną. Nie potrafię kochać bez wzajemności; a sama przecież widzisz, że Pola odnosi się do mnie z całkowitą obojętnością — i tym razem, jak sądzę, rozwiązałem jej podejrzenie-

Ostatnie dwa nieustająca karuzela

•/osi. sam lub • i-jadłem na kiepsk.

owego 1907 roku w Warszawie — była to ^/f nych, towarzyskich i innych,

^ ^dnem grywałem w domu - czlto pozostawaliśmy na obiedzie. Raz Amvst wprowadzenia Jaroszyńskiego do TM\* LLZ dmem otwartym"; od

\

Rzewuscy których

Wagnera dla mnie 3^ nie wtedy, gdy Muzyczne. Za to u oani Magdaleny ł się też z dą sje poświęcone operom ^^nfinfite Józefa. Teatr pozostał na koncerty zaś uczęszczałem 3edy- ' Sę jakieś znaczniejsze wydarzenie łOlszczałem owych uroczych kolacyjek ^^Ł do domu matki, trzy-o p y> ^ pojedynkiem jej po-

^Fo ^ sprzysięgło słę

Seciw^;^^^ 2 ^akiś utajony strumień

naszej miłości wciąż P1^1^^ Piotrkowie, Częstochowie oraz Cztery udane koncerty ^ ^afcszu, tchnienie po burzliwym

w Lublinie P"ynwswy ft P^ażną sumkę pieniędzy, życiu w Warszawie, a.także P^^81^ ^ował owej

starej Po powrocie do stolicy \*ryu j 7aster»cv w swych stosun-

sztuczki z wykorzystywaniem mme^ako ^^ ^^ od

kach z kobietamL A.m^d^fe^m razem jego wybór padł na siostry? Tego nigdy się m%dXo

uderzających, cudownie zaokrąg-

wysoką, posągową, T^3^0^ skromną kolację dla nas trojga, po lonych kształtach. Przygotował

skórnię , apartamentu

czym ona zaprosiła nas na ^^go polskiego hrabiego, w „Bristolu"; była .^^tS w luksusowych

warunkach, któ tymywał 3ą w tym ^ Cłmielnik! Jej ulubionym

^^mocnych> kragły

w „Bristolu; była . który utrzymywał 3

ud, które klepała oburącz i wołała.

- Jestem prawdziwą tarwj \*

Jej zachowanie zresztą byn niu. Kiedy nadeszła pora pozeg

- Mój drogi, zawsze mia\*am wiem, że nie jestem ci na nic Pot najmniej tego chłopca - wskazała

Wychodząc, Fryderyk zwrócił się

z tego?

syło temu twierdze-ta do Fryderyka: przespać się z tobą, ale , a więc wypróbuję przy-

291

290

L

— Powierzam cię w dobre ręce — zupełnie jak matka, pozostawiająca dziecko po raz pierwszy w szkole.

— Idź do łazienki i weź gorącą kąpiel — zarządziła Genia a jak będziesz już całkiem suchy, to przyjdź do mojej sypialni.

Nie miałem odwagi się jej sprzeciwić. Zrobiłem dokładnie to, co mi poleciła, po czym zastałem ją leżącą nago na łóżku. Przetrzymała mnie tam przez całą noc, a gdy rano wstaliśmy na śniadanie, czułem się jak absolwent wyższej uczelni sztuki kochania.

Następstwa tej nowej przygody chwilami były dość podniecające, częściej jednak po prostu przykre.

Genia nabrała okropnego zwyczaju wydzwaniania po domach moich przyjaciół, gdzie była pewna, że mnie zastanie — i to niezależnie od tego, czy byłem na jakimś towarzyskim przyjęciu, czy też ćwiczyłem u Zosi. Zawsze przedstawiała się pełnym imieniem i nazwiskiem i twierdziła, że to ja prosiłem ją o telefon. Moje stanowcze sprzeciwy pogarszały jeszcze sprawę. Któregoś popołudnia, gdy piłem herbatę z matką Fryderyka, Połą i Basią, zadzwoniła znów. Pokojówka otrzymała polecenie oświadczenia, że pan R. już wyszedł. Bezcelna odpowiedź Geni brzmiała:

— Kłamiesz! Idź i poszukaj go w sypialni pani!

Nie muszę opisywać wściekłości pani Magdaleny. Jednakże nie poczułem się nieszczęśliwy, gdy w

reakcji Poli odkryłem cię zazdrości.

Jeszcze jeden koncert z Pawłem w Filharmonii oraz drugi, cieżący się wielką frekwencją — w Łodzi i mój sezon koncertowy na ziemi polskiej zamknął się. Nie mogłem znaleźć żadnych rozsądnych pretekstów, by przedłużyć i tak już nadmiernie rozdęty pobyt w Warszawie. Barwne, nierzadko chełpliwe opisy moich sukcesów towarzyskich we francuskiej stolicy, stały się powodem powszechnego przeświadczenia, iż jestem na drodze do wspaniałej kariery w Paryżu.

Kiedy pan wyjeżdża? Kiedy odbędzie się pański następny koncert w Paryżu? Czy Rothschildowie znów wydają przyjęcia? — takie pytania padały teraz coraz częściej, a ja coraz trudniej znajdowałem odpowiedź. Przyjaciele byli dyskretniejsi, ale zdawałem sobie doskonale sprawę z ich obaw w związku z moją przydługą ni<sup>A</sup>T obecnością w Paryżu. Nagle poczułem, że nie mam wyjścia: muszę, wyjechać.

Po szampańskiej zabawie sylwestrowej w gronie przyjaciół zapowiedziałem wyjazd na pierwszy tydzień stycznia. Pożegnano mnie wspaniale, otrzymałem mnóstwo książek i słodczy oraz moje ulubione torciki od Wedla.

— Co za szczęściarz z tego Artura, że może mieszkać w Paryżu-Wszystko bym oddał, żeby tylko móc z nim pojechać! — wiele ta-

292

kich uwag podsłuchiłem na dworcu. Paryż był i nadal pozostał Mekką każdego Polaka.

Jak na ironię — wcale nie miałem zamiaru wracać do Paryża, postanowiłem natomiast zatrzymać się w Berlinie!

45

Dlaczego wybrałem właśnie Berlin? Daremnie próbowałem znaleźć logiczną odpowiedź na to pytanie. Wyjazd z Warszawy, do którego zostałem niejako moralnie zmuszony, sprawił, że znalazłem się w kompletnej próżni. Jedno wiedziałem na pewno: do Paryża wracać nie mogę. Monsieur Astruc nie ma w stosunku do mnie żadnych planów i nie zaproponuje mi już żadnego koncertu. Nie ukrywał swego co do mnie rozczarowania, a także zniechęcenia z powodu mojego man<sup>que</sup> de serieux — jak to zwykł był nazywać, oraz nonszalanckiego stosunku do własnej kariery artystycznej. Wiadomości o moich polskich sukcesach ani do niego, ani do paryskiej prasy nie docierały. Z drugiej strony perspektywa życia w obrzydliwym mieszkaniu Weisweillera i utrzymywania się z udzielanych mu lekcji, rysowała mi się jako bardzo żalosna alternatywa, nie mówiąc już o koszmarze wciąż nie spłaconych długów. Nie mogłem też już liczyć na nowe soirees musicales, które poprzedniej wiosny okazały się tak dochodowe, doskonale bowiem zdawałem sobie sprawę, że moje występy w Salome już wyszły z mody i że nadeszła pora, by wykazać się jakimś poważniejszym występem publicznym.

Dopiero gdy w ów chłodny i wietrzny ranek przybyłem do Berlina na stary, dobrze znany dworzec Friedrichstrasse, pojąłem, że decyzja zatrzymania się w tym mieście nie jest niczym innym, jak tylko tchórzliwym kompromisem. Resztki pieniędzy zarobionych w Polsce mogą mi wystarczyć — zależnie od trybu życia — na dwa lub trzy miesiące. W hotelu „Bellevue”, niezbyt kosztownym, ai©  
<Sośc wytworknym, położonym w centrum, przy Potsdamer Platz, Wynająłem wed&ig stawek miesięcznych przyjemny pokój z łożnią. Pan Metzger, właściciel i kierownik hotelu, kochał muzykę i nie sprzeciwiał się wstawieniu fortepianu do mego pokoju. Firma Sechstein, sławni producenci fortepianów, zgodziła się nieodpłatnie dopatrzeć mnie w instrument pokojowy.

Zdecydowany byłem zachować incognito i unikać spotkań oraz

293

odwiedzin u starych przyjaciół, których tak raptownie porzuciłem w roku 1904, zwłaszcza zaś tych, których lubiłem najbardziej. Dlaczego zająłem taką właśnie postawę, trudno wytłumaczyć. Jeśli dobrze pamiętam, przeżywałem wtedy kryzys, cierpiałem na coś w rodzaju kompleksu niższości będącego połączeniem nieśmiałości i ambicji. Wydawało mi się, że moja kariera artystyczna stanęła w martwym punkcie, a zresztą nie potrafiłbym przekonywająco uzasadnić mojej obecności w Berlinie.

Jedyną osobą, którą pragnąłem spotkać, była Emmy Destinn. Jej nie przyjdzie do głowy pytać, co robię w Berlinie: przyjmie to po prostu jak rzecz samą przez się zrozumiałą. Zadzwoniłem do niej i ogarnęło mnie wzruszenie, gdy usłyszałem tak dobrze mi znany, ciepły timbre głosu:

— Jak to miło usłyszeć, że jesteś w mieście! Przyjdź natychmiast na kolację... Chcę, abyś poznał jednego z moich przyjaciół, a jutro musisz mnie zobaczyć w Carmen. Jest to przedstawienie galowe w Operze, obecny będzie cesarz Wilhelm. Załatwię ci: bilet.

Perspektywa ponownego zobaczenia i usłyszenia jej była najlepszym lekarstwem na moją melancholię. Kiedy wszedłem do saloniku, zarzuciła mi ręce na szyję, ucałowała w oba policzki i przedstawiła drugiemu z gości.

— Arturze, to mój narzeczony — oświadczyła. — Jest tancerzem, członkiem baletu naszej Opery. Czy nie wygląda jak Napoleon? — spytała z błyskiem dumy w oczach.

Tak, rzeczywiście, wyglądał jak Napoleon, ten znany z portretów: ta sama rzymska sylwetka, kształt głowy, krótki kark, podbródek, nos, nawet uczesanie. Ale zupełnie nienapoleoński wyraz jego oczu zdradzał człowieka miernej inteligencji i wigoru. Emmy ujęła mnie pod ramię i uroczyście zaprowadziła do sąsiedniego pokoju, gdzie ku memu zdziwieniu ujrzałem istne Napoleońskie muzeum. Znajdowały się tu wyłącznie autentyczne meble w stylu empire; prócz tego ułożone we wzorowym porządku — broń, mundury, dokumenty własnoręcznie podpisane przez cesarza oraz inne pamiątki.

— Napoleon jest moim bożyszczem — powiedziała. — Uwielbiałam go od dziecka.

Niski mężczyzna uśmiechnął się błogo; przyjął ten hołd, W przystało na człowieka wielkiego. Wyobraziłem sobie tych dwój\* w miłosnym uścisku — i Emmy, która dochodząc do szczytowego upojenia, śpiewa wspaniałym swym głosem: „Vive l'Empereur! Vive la France!"; to była koszmarna wizja!

Nazajutrz wieczór miałem sposobność zobaczyć z bliska żywego cesarza, osławionego kajzera Wilhelma II. Spektakl galowy, a I

294

czego jak to tu nazywano — przedstawienie zamknięte — był rzeczywiście efektowną imprezą. Publiczność składała się wyłącznie z osób zaproszonych, w wolnej sprzedaży biletów nie było. Obo- wiązywały stroje wieczorowe, mundury, ordery. Dominowało oczywiście wojsko, kasta uprzywilejowana w cesarskich Niemczech. Kajzer, w towarzystwie cesarzowej oraz dwóch synów, zajmował swą lożę w pobliżu sceny. Nigdy w życiu nie słyszałem Carmen śpiewanej lepiej niż tego wieczora. Destinn przeszła samą siebie. W zatłoczonym teatrze nikt nie śmiał bić brawa, dopóki cesarz nie dał znaku, ale on, ogromnie niemuzyczny, niezbyt uważnie śledził to, co się działo na scenie i w orkiestrze. Ach tak, prawda, w pewnym momencie wybuchnął głośnym śmiechem — gdy Zuniga, zwierzchnik Josego, podkreślając węża i cmokając wargami, obrzuciwszy wzrokiem Carmen, powiedział: „Don-ner-wet-ter!”.

W drodze do domu Emmy wyrażała głośno oburzenie z powodu zachowania kajzera:

— Wyobraź sobie, jak on mnie potraktował! — skarżyła się. — Kiedy wprowadzono mnie do cesarskiej loży dla przyjęcia gratulacji, odciągnął mnie na bok i spytał z prostackim przymrużeniem oka: „Co porabia ta mała Farrar”! — Oczywiście tak, jak gdyby bajzel-mamę pytał o jedną z dziewcząt z jej burdelu!

Przytaczani ten incydent, ponieważ ujawnia on jeszcze jedną cechę charakteru tego człowieka, którego ambicja i zawiść doprowadziły do katastrofalnych wojen i do tylu cierpień we współczesnym świecie.

Oprócz Emmy Destinn odwiedziłem także ciotkę i wuja Meyerów, którzy żyli dość daleko od moich starych znajomych i nigdy nie utrzymywali z nimi kontaktów. Z przyjemnością odwiedzałem muzea, księgarnie i kawiarnie. Teatr przyciągał mnie jak dawniej, starałem się też nie przegapić żadnego dobrego koncertu, mimo obawy że mogę spotkać ludzi, których wolałem unikać.

W tym okresie szukałem po prostu ucieczki, jak gdyby czekając, że wydarzy się coś, co wyrwie mnie ze stanu apatii, w jakiej byłem Pogrążony. Prowadziłem tryb życia prosty i uregulowany: codziennie po śniadaniu trochę grałem i ćwiczyłem, wszystkie posiłki spożywałem w doskonałej restauracji hotelowej, potem bez celu włóczyłem się po ulicach. Jeśli w teatrach nie było nic nowego, wcześniej kładłem się do łóżka z książką i do późnej nocy czytałem.

Pewnego dnia ten spokojny train de vie przerwało pojawienie S13 mojej siostry Jadzi. Ciotka Salomea Meyer napisała jej o moim

Geraldine Farrar. amerykańska sopranistka, której nazwisko plotka kojarzyła 2 osobą kronprinca.

295

pobycie w Berlinie, dodając, że nie mam planów na najbliższą przyszłość. Nic nie mogło Jadzi bardziej ucieszyć, skwapliwie skorzystała więc z nadarzającej się okazji przebywania ze mną w przeświadczeniu, że wiodę żywot światowca, pławiącego się w bogactwie i chwale — i takie właśnie życie pragnęła ze mną dzielić, przynajmniej przez parę tygodni. Moja rodzina w dalszym ciągu przekonana była, że amerykańskie tournee zapewniło mi sukces raz na zawsze.

Niestety, w tym czasie sprawy miały się jeszcze gorzej. Nie miałem się czym wykazać, moja kariera artystyczna — zdawało się — dobiegła kresu.

Nie mając najmniejszego powodu unikać Jadzi, postanowiłem przynajmniej być jej miłym kompanem. Początkowo strona finansowa nie nastęrczała żadnych trudności; siostra zatrzymała się u Meyerów i miała dość pieniędzy na wydatki związane z teatrami, koncertami, nocnymi lokalami, a także innymi atrakcyjnymi miejscami, gdzie pragnęła iść w moim towarzystwie. Wymyśliłem j-kieś wiarygodne powody mego długiego pobytu w Berlinie i jasno dałem do zrozumienia, że chwilowo dysponuję bardzo ograniczonymi środkami. Skoro sprawy te zostały już raz wyjaśnione, rozpoczęła się istna karuzela przedstawień, magazynów i muzeów. Jadzia płaciła za bilety, ale — niestety — polubiła kuchnię w mojej restauracji hotelowej i w rezultacie, wcale tego nie pragnąc, stałem się częstym fundatorem jej posiłków. Ponadto przypadały mi w udziale koszty przejazdów i napiwki. W prowadzeniu podobnego trybu życia siostra okazała się niezmordowana.

Taka sztuczna euforia nie mogła trwać wiecznie. Pewnego dnia siostra oświadczyła mi, że jej fundusze topnieją i że będzie zmuszona wracać do domu. Stan moich rezerw także przedstawiał się nader niepokojąco —! zalegałem z zapłatą rachunków hotelowych, a pozostała mi już tylko bardzo skromna sumka. Jedynym człowiekiem, który potrafił zrozumieć i docenić zawiłości mego życia, był Józef Jaroszyński. Znał całą prawdę o Poli, o Paryżu i o całej reszcie. Napisałem doń obszerny list informując go o sytuacji, w jakiej się znalazłem, i błagając, by wysłał mi pięć tysięcy marek, a więc sumę dość pokaźną (równowartość 1250 dolarów), która pozwoliłaby mi wrócić do Paryża i może nawet własnym sumptem zorganizować tam koncert. „Bez Twojej pomocy — pisałem — wszystko musi się skończyć: stanąłem na skraju przepaści”. Z biciem serca wrzuciłem list do skrzynki pocztowej, czując, że najbliższą przyszłość składam w jego rękę.

—! Wiesz, co zrobiłam? — powiedziała Jadzia w przeddzień wyjazdu. — Zastawiłam bransoletkę i broszkę, których nigdy nie noszę, i'esterrri więc pewna, że Maurycy niczego nie zauważy.

296

Masz

A

tu trzysta marek, wiem, że ci teraz ciężko, tylko proszę cię, zachowaj kwity z lombardu i wykup je, kiedy tylko zdobędziesz pieniądze.

Po wyjeździe Jadzi zrobiło się pusto. Poczujęm się nagle bardzo osamotniony. Jej żywotność i gotowość poświęcenia się dla mnie działały kojąco na moje częste teraz stany depresji. Nie chciałem spotykać się z nikim, nawet z Emmy Destinn czy z Meyerami. Całą uwagę skupiłem na jednej tylko sprawie — na odpowiedzi Jaro-szyńskiego. Mimo to byłem na kilku koncertach, ale tylko wtedy, gdy udawało mi się zdobyć bezpłatne bilety.

Raz spotkałem na ulicy Osipa Gabriłowicza, nie tylko znakomitego pianistę, ale i uroczonego człowieka. Niemal siłą zaciągnął mnie do Józefa Lhevinne'a, który ożenił się i zamieszkał na stałe w Berlinie. Jego żona Rosina, wspaniała pianistka, jeszcze dziś (w roku 1972) należy do najwybitniejszych pedagogów fortepianu.

Lhevinne'owie ucieszyli się na nasz widok i zatrzymali nas na kolacji, po której wszyscy czworo oddaliśmy się z entuzjazmem istnej orgii muzykowania! Najpierw Lhevinne i Gabriłowicz odegrali koncert na dwa fortepiany, potem Gabriłowicz i ja wykonaliśmy parę utworów Schuberta na cztery ręce, a następnie Lhevinne'owie prześlicznie zagrali jedną z suit Rachmaninowa; skończyliśmy dopiero o drugiej nad ranem. Tej nocy udało mi się zapomnieć o kłopotach i pełną pierśią zachłysnąć się życiem.

W dwa dni później poszedłem na recital Gabriłowicza w Beetho-ven-Saal; zachwycił mnie jego Schumann i Chopin, wykonany z perfekcją i czułością. Po koncercie udałem się za kulisy, by podziękować za piękny występ. Garderobę wypełnili po brzegi liczni entuzjaści artyści, wśród nich wielu pianistów, w których kręgu Osip Gabriłowicz był szczególnie lubiany i podziwiany.

— O, Rubinstain — zawołał — jak to miło, że pan przyszedł. Musi pan pójść z nami na kolację... Wybieramy się wszyscy do „Austern--Keller”!

Zaproszenie przyjąłem z przyjemnością, tłumnie udaliśmy się więc do restauracji, gdzie w prywatnym gabinecie zastawiono wielki stół na co najmniej dwadzieścia osób. Posadzono mnie obok Yolandy Mero, młodej pianistki węgierskiej, która właśnie niedawno zadebiutowała z dużym powodzeniem. Kiedy rzuciła okiem na menu, na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie.

— Tu wszystko jest takie drogie — powiedziała. — Po prostu nie mam odwagi zamawiać.

—• Proszę się o to nie martwić. Jestem pewien, że Gabriłowicz doskonale może sobie na to

pozwoić — uśmiechnąłem się.

— Ależ myli się pan — odparła, — Dzisiaj każdy płaci sam za siebie.

297

To był dla mnie wstrząs. Trzeba było działać szybko, powiedziałem więc do Yolandy Mero:

— Proszę wytłumaczyć im, że musiałem wyjść zadzwonić w pilnej sprawie. Za chwilę wracam.

Zbiegłem ze schodów, podniosłem słuchawkę, udawałem, że z kimś rozmawiam, a potem wysłałem boya z wiadomością dla Gabriłowicza: „Pan Rubinstein najmocniej przeprasza, ale musiał nagle wyjść, żeby odwiedzić chorego przyjaciela”.

Na dworze, sam jeden, zziębnięty i głodny, poczułem się bardzo żałośnie.

Pan Metzger, właściciel hotelu, wystosował do mnie stanowczy list w sprawie nie zapłaconego rachunku. Napisał, że cofa mi kredyt w restauracji i że do pokoju nie podadzą mi już nic do jedzenia, dopóki nie zapłacę gotówką. A tymczasem od Józefa wciąż nie miałem żadnych wieści! Napisałem ponownie, tym razem listem poleconym, zaadresowanym do jego posiadłości wiejskiej pod Kijowem. Nie wspomniałem o moich planach paryskich; na to było już za późno. Teraz chodziło mi tylko o utrzymanie się przy życiu. „Musisz mnie wyciągnąć z tego okropnego hotelu — pisałem — a poza tym potrzebuję trochę pieniędzy na jedzenie i na bilet do Warszawy, gdzie mam nadzieję zdobyć jakieś kontrakty. Zawsze wierzyłeś w mój talent i w moją przyszłość, więc teraz nie masz prawa mnie zawieść”. Pisząc ten list, czułem się jak tonący, który wzywa ratunku.

Czekanie na odpowiedź było tym razem katuszą jeszcze okrutniejszą niż poprzednio. Musiałem robić dobrą minę i zapewniać właściciela, że pieniądze, których się spodziewam, nadejdą lada chwila.

Moja dzienna dieta wyglądała następująco: nic na śniadanie, zamiast obiadu jedna kielbaska i sucha bułeczka w automacie u „Aschingera”, co kosztowało dziesięć fenigów (dwa i pół centa), to samo na kolację. A reszta dnia? Szukanie po omacku właściwych dźwięków na fortepianie, włóczenie się po ulicach bez celu i chroniczna rozpacz.

Ale właśnie wtedy zdarzało mi się coś ogromnie dziwnego: co noc, gdy zapadałem w sen, w podświadomości pojawiały się najbardziej fantastyczne i ekstrawaganckie sceny — zawsze grałem rolę osobistości potężnej i szczęśliwej. Raz bywałem sławnym kompozytorem, dyrygowałem swoją nową symfonią, którą przyjmowano niekończącą się owacją, albo grałem własny koncert fortepianowy, utwór nad wyraz oryginalny. Wszystkie piękne kobiety miałem u swych stóp. W innych snach toczyłem zwycięskie boje za Polskę, ratowałem Żydów przed prześladowaniami lub bywałem

298

bajecznie bogatym dobroczyńcą ludzkości. Przebudzenie niosło zazwyczaj bolesny kontrast: jeszcze jeden przykry list kierownika pod drzwiami, beznadziejność mego położenia, pustą kieszeń.

Z rozpacz postanowiłem marzenia senne przyjąć za rzeczywistość, a dni powszednie za zwykły koszmar. Starłem się spać, jak mogłem najdłużej.

Kiedy minęły dalsze dwa tygodnie bez żadnej wiadomości, porzuciłem wszelką nadzieję. Znalazłem się na dnie. Rojenia o śmierci samobójczej nie były dla mnie nowiną, ale teraz nie potrafiłem już myśleć o niczym innym — stało się to moją prawdziwą obsesją. Nie pozostało mi już nic, życie wpędziło mnie w sytuację bez wyjścia. Pragnąłem śmierci, byłem na nią przygotowany. Ale nawet decyzja tak ostateczna wiązała się z najrozmaitszymi problemami. Jak to wykonać? Broni ani trucizny nie posiadałem, a myśl o wyskoczeniu przez okno budziła odrazę — mogłem przecież zostać przy życiu z połamanymi rękami i nogami! Pozostawała jedynie śmierć przez uduszenie, mogłem się powiesić. Tak więc, owego posępnego popołudnia, kiedy czułem się tak osamotniony, że niezdolny nawet pomyśleć, do kogo mógłbym napisać, zacząłem przygotowywać się, by skończyć z tym wszystkim.

Ze starego, znoszonego płaszcza kąpielowego wyciągnąłem pasek i związałem pętlę. W łazience znajdował się hak na ubranie, umieszczony dostatecznie wysoko, by mnie utrzymać. Przystawiłem Stołek, pasek umocowałem na haku i wsunąłem głowę w pętlę. Kiedy jednak odepchnąłem stołek nogą, sznur się zerwał, a ja z hukiem upadłem na podłogę.

Gdybym dziś oglądał podobną scenę w telewizji, to pewnie byłbym ze śmiechu, ale moją pierwszą reakcją jako żywego bohatera takiej tragikomedii był ciężki wstrząs nerwowy; niepokieszony, pozbawiony resztki sił, długi czas gorzko płakałem, leżąc w miejscu, gdzie upadłem. Potem na wpół świadomie pokuśtykałem do fortepianu i wypłakiwałem się dalej za pośrednictwem muzyki.

Muzyko, moja ukochana muzyko, wierny towarzyszu wszystkich wzruszeń, potrafisz zagrzewać do walki, potrafisz rozpalać miłość i namiętność, potrafisz także kończyć cierpienia i przynosić sercom



Spokój — to ty właśnie tamtego haniebnego dnia przywróciłaś mnie życiu!

Kiedy człowiek przestaje płakać, cierpienie ustępuje, tak samo jak znika radość, gdy zamiera śmiech. A że natura ma swoje pra-wa, zacząłem odczuwać głód. „Tym razem pozwolę sobie na dwie kielbaski” — postanowiłem.

Ale gdy wyszedłem na dwór, jakiś nagły impuls kazał mi się zaczynać w miejscu. Naszło mnie coś bardzo dziwnego, co można by określić mianem objawienia czy wizji.

299

Na wszystko, co mnie otaczało popatrzyłem nowymi oczami, jak- j bym nigdy dotąd tego nie widział. Ulica, drzewa, domy, goniące się i psy, mężczyźni i kobiety — wszystko wyglądało inaczej. I ten hałas wielkiego miasta... Byłem tym wszystkim zafascynowany. Jeśli tak na to spojrzeć, życie, nawet w więzieniu czy szpitalu, wydaje się piękne i godne tego, by je przeżyć.

Takie objawienie łatwo wytłumaczyć: usiłując popełnić samobójstwo, najpierw odrzuciłem w całości świat, który zamierzałem opuścić na zawsze, nic więc dziwnego, że po takim suicide manąue, czułem się jak nowo narodzony. Moje „odrodzenie” przyniosło jeszcze jedną niespodziankę: doprowadziło do istnej rewolucji w całej mojej psychice. Nagle zacząłem myśleć. Życie, jakie dotąd prowadziłem, składało się z całej serii wydarzeń; za które nie ponosiłem odpowiedzialności; kierowałem się wyłącznie instynktem, ślepo krocząc drogą wytyczoną przez okoliczności. Nigdy niczego nie próbowałem analizować.

Tak więc tego wieczora na samym środku ulicy, kiedy szedłem do „Aschingera” na mój dinner de lunę i głowę miałem pełną filozoficznych myśli, narodziła się moja nowa koncepcja życia i nowe kryteria wartości na mój wyłączny, prywatny użytek. Odwieczne, nierozwiązane problemy — co zapoczątkowało wszechświat?, jaki jest sens jego istnienia? — wymagałyby długiej dysertacji. Chciałbym tylko stwierdzić, że w tym chaosie myśli odkryłem tajemnicę szczęścia, której pozostaję wierny po dziś dzień: kochać życie na dobre i na złe, nie stawiając żadnych warunków!

46

Jeszcze tego samego wieczora, po powrocie od „Aschingera”, I w liście do brata Stanisława napisałem całą prawdę o moim położeniu, błagając go, aby poratował mnie i zdobył skądś tysiąc marek. Staś, jak go nazywaliśmy, miał złote serce; dochował tajemnicy przed rodzicami, a większość sumy uzyskał od męża Jadzi, Maurycego, sam bowiem nie był w stanie wyłożyć więcej niż trzysta marek. Pieniądze otrzymałem telegraficznie, w hotelu zapłaciłem połowę długu, co dość niechętnie przyjęto na poczet późniejszego wyrównania, i uszczęśliwiony wyjechałem do Warszawy z uczuciem największej w życiu ulgi. Musiałem jeszcze znaleźć tak\*ę uzasadnienie swego nieoczekiwanego powrotu, które przyjaciel

300

\*iihv zaakceptować. Owa potrzeba usprawiedliwienia się wy-m<sup>o</sup>f 1 u mnie z wrodzonej próżności i dumy, a także z braku r<sup>f</sup> rfnności Nie ścieriałbym po prostu, żeby widziano moją słabość skromnos, . zewnętrzna fasada sukcesu musiała pozostać nie-CZy-<sup>^</sup> nawet gdy wszystko układało się jak najgorzej — co, tknięta, i Jczei niesympatyczną cechą mego charakteru.

nCTazS przyszło mi<sup>^</sup>myśl idealne alibi: dojsćie do pełno-, + n?ci wiwiązku z ukończeniem dwudziestu jeden lat. Podlega-fm odtąd obowiązkowi służby wojskowej, zachodziła więc bez-<sup>^</sup>konieczność znalezienia sposobu, jak by tego uniknąć. & osob<sup>^</sup>na którą natknąłem się po powrocie do hotelu

ńki Ui om spotkaniem

&Zą osob<sup>^</sup>na którą natą ę p p

tt- wL»bvł Paweł Kochański. Ucieszeni ponownym spotkaniem, nlszlSmy 'pogadać na górę do mojego pokoju. Kiedy powiedzia-iemmt po co przyjechałem do Warszawy, klasnął w dłonie i za-WCłałWspaniale! Obaj jedziemy na tym samym wózku. Ja też skoń-“ I ddiśi jeden lat — i od razu zaczął snuć plany wspol- d<sup>e</sup> \_\_ ft ci pułkownikowi striemu-

kam?a<sup>^</sup>ZvkTto jego namiętność, mógłby nam wiele pomóc. -nósfw'0 - doL. - O ile mi wiadomo, powoła-

iSSfSł teraz Jaroszyński? Co pora-

^rTT^ - powiedział Paweł - ale musiał właśnie wyjechać do Kijowa i spodziewany jest z powrotem dopieTo za kUka dni. Ale poczekaj - ciągnął dalej - muszę ci onowiedzieć o nim wspaniałą historię. Moja rodzina, jak wiesz, opuTriłf Rosję i osiedliła się w Lipsku, gdzie dwaj bracia studiują a Stry znalazły pracę. Pomogłem im w przeprowadzce,

5 HSSrB f<sup>^</sup>MfiSfi-

czyło dla rodziców, a także dla mnie na cały rok. Czy to me fan-  
^atwo sobie wyobrazić efekt, jaki ta „wspaniała historia wywarła na mnie i ile sprzecznych uczuć we  
mnie wzbudziła. W Pe-wien sposób oczywiście cieszyłem się szczęściem Pawła, z całego serca  
życzyłem mu wszystkiego najlepszego, ale w tym nagłym Przypływie wspaniałomyślności Józefa  
mimo woli upatrywa em

coś w rodzaju zdrady w stosunku do mnie. Doskonale zdawałem w roazaju zaiduj \_\_\_\_\_

pa«ła i iPpo nieoduartym

Sobie sprawę,

zdrady w stosunku do

ze urzeczony był grą Pawła i jego nieodpartym

301

wdziękiem, ale jednocześnie przyzwyczajony byłem traktować Józefa jak serdecznego, oddanego  
przyjaciela, a że nic nigdy między nami nie zaszło, nie mogłem w żaden sposób pojąć jego  
obojętnego i okrutnego postępowania. Chyba że był to przypadek, określany popularnym  
powiedzonkiem francuskim: Les absents toujours ont tort — nieobecni nigdy nie mają racji.

— Gratuluję ci, Pawle — powiedziałem — szczęściarz z ciebie, to jasne, a teraz ja ci opowiem  
moją „wspaniałą historię”. Tylko musisz przysiąc, że zachowasz to w tajemnicy.

Zgodził się. Całej długiej opowieści c berlińskim koszmarze wysłuchał z mieszanymi uczuciami. Gdy  
skończyłem, był zupełnie błądy.

— Jak on mógł coś podobnego zrobić! — zawołał z oburzeniem. — Czuję się tak, jakbym okradł cię  
z tych pieniędzy!

— Nie denerwuj się — powiedziałem. — Niewykluczone, choć mało prawdopodobne, że nie  
otrzymał moich listów albo też musiał mieć jakiś tajemniczy powód, dla którego tak właśnie  
postąpił.

— Tak czy inaczej, zaczekajmy na jego powrót. Wtedy dowiemy się wszystkiego.

Moje obawy, że ujrzę zdumione twarze i usłyszę niedyskretne pytania, okazały się mocno  
przesadzone. Wyglądało na to, że wszyscy przyjmują moje ponowne pojawienie się w Warszawie z  
niekłamana radością. Szymanowski i Fitelberg także mieszkali w „Victorii”, w restauracji „Bachus”  
uczciłiśmy więc nasze spotkanie wódką i śledzikiem.

„Fundacja Kohnów” — z Zosią, Zuzią, bechsteinem i całą resztą, znów otworzyła przede mną na  
oścież swe podwoje. Fryderyk z dumą pokazywał mi ukończoną partyturę Koncertu; pani  
Magdalena, zawsze taka sama, zatrzymała mnie na kolację. Jedyne Pola nadal pozostawała  
niewidzialna. Wszystko to sprawiło, że odzyskałem wiarę we własne siły.

Ale tak naprawdę, to ów stan euforii, owo uczucie radości, które ogarnęło mnie całego, obudził we  
mnie czar warszawskiej wiosny i upajające powietrze, kiedy wszystko wygląda świeżo i odświeżenie i  
kiedy spacerując po ulicach, czuje się skrzydła u ramion.

Pewnego ranka PLweł otrzymał telefon od Jaroszyńskiego; dzwonił z „Bristolu”, właśnie przyjechał i  
proponował wspólny obiad. Paweł zakomunikował mu, że wróciłem do miasta i że jest już umówiony  
ze mną. Spodziewając się usłyszeć w jego głosie wyrzuty sumienia, zdumiał się, gdy Józef z  
radością przyjął wieść o moim powrocie. Nie muszę dodawać, że i Paweł, i ja po prostu  
zglupieliśmy.

Kiedy weszliśmy do restauracji, Józef zerwał się z krzesła, uściskał mnie i zawołał:

302

\_\_Ach, Arturze, tak się okropnie cieszę, że jesteś cały i zdrowy.

Zaczynałem się już o ciebie martwić. No, ale byłem pewien, że wykaraskasz się z tej głupiej historii.

\_\_Czy dostałeś moje dwa listy? — spytałem nieśmiało.

\_\_— Oczywiście — roześmiał się. — Oba były bardzo smutne, ale znając ciebie, wyobrażałem sobie,  
że się w tym Berlinie doskonale bawisz.

Nagle zrozumiałem — wszystko zaczynało się wyjaśniać. Przypomniałem sobie czytana w  
dzieciństwie bajkę o chłopczyku, który za często wołał „Wilk! Wilk!”.

Analogia była całkowita. Już uprzednio pisywałem do Józefa, prosząc o pieniądze w słowach  
bardziej naglących i patetycznych, niżby tp okoliczności rzeczywiście usprawiedliwiały, on zaś  
wspaniałomyślnie zawsze przychodził mi natychmiast z pomocą. Moje ostatnie śmiertelne wołanie o  
ratunek musiało wzbudzić w nim wątpliwości co do powagi mego położenia, i tym właśnie  
tłumaczyła się jego obojętność. Właśnie dopiero co podarował Pawłowi pokazną sumę pieniędzy, w  
głębi serca uważał więc, że zrobił już wszystko, co mógł, dla sztuki i dla artystów.

Wszystkie te przypuszczenia przebiegały mi przez głowę i niezależnie od tego, czy były prawdziwe, czy nie, pomogły mi odzyskać równowagę ducha, byłem w stanie jeść i rozmawiać w jego towarzystwie równie swobodnie jak niegdyś.

Paweł opowiedział mu później ze wszystkimi szczegółami historię mojej berlińskiej katastrofy.

Opowieść o nieudanym samobójstwie tak wstrząsnęła nim, że przybiegł do mnie do pokoju niemal ze łzami w oczach i tu w czasie długiej, parę godzin trwającej rozmowy szczerze przyznał, że barwny opis moich nieszczęść nie trafił mu do przekonania.

— Sądziłem — powiedział — że po prostu potrzebujesz pieniędzy dla zaspokojenia żądzy uciech. Jeśli się nie mylę, życie w Berlinie pełne jest podniet.

A więc okazało się, że było dokładnie tak, jak przypuszczałem. Cała sprawa została zamknięta; nie czułem do niego żalu.

Powróciliśmy, z grubsza biorąc, do tego samego trybu życia, jaki prowadziliśmy dawniej. Dużo muzyki, częste posiłki u Kohnów, bilard z Pawłem, normalne rozrywki towarzyskie. Nowością była zawarta za pośrednictwem Pawła znajomość z pułkownikiem Strie-niuchowem, fanatycznym melomanem. Miał zwyczaj zapraszać nas na kolację, a gdy tylko zjedliśmy nie tyle porządną kolację, co na chybcika przygotowaną zimną zakąskę, potrafił wysłuchać, nie ruszając się z miejsca, sześciu czy siedmiu sonat na skrzypce i fortepian. Jako człowiek był przeraźliwym nudziarzem, ale okazał się nam bardzo pomocny w związku ze służbą wojskową.

I

303

Jaroszyński musiał wracać do Zarudzia, swej posiadłości wiejskiej, i zaproponował, że mnie z sobą zabierze. — Kilka dni na wsi dobrze ci zrobi — mówił. Zgodziłem się chętnie, potrzebowałem bowiem wypoczynku. Nazajutrz wieczór wyjechaliśmy pociągiem, a następnego ranka znaleźliśmy się w Kijowie, gdzie już czekały konie, by zabrać nas do Zarudzia. Ukraina ma najbogatszą, najżyźniejszą glebę w całej Rosji, a posiadłości Józefa znajdowały się w samym jej sercu. Pracę na roli traktował z prawdziwą namietnością i wykupywał każdy wystawiony na sprzedaż skrawek ziemi. Już wówczas uważany był za jednego z największych właścicieli ziemskich tych okolic. Jego liczne majątki i gospodarstwa rolne, cukrownie oraz inne zakłady przetwórcze przynosiły bardzo poważny dochód. Zarudzie było jego główną siedzibą. Miejscowość wyglądała bardzo skromnie, lecz dom, zbudowany nie na pokaz, był przestronny i wygodny. Z werandy rozciągał się widok na bezkresny step aż po linię horyzontu. Wewnątrz dom urządzony był niezbyt ciekawie: duże sypialnie, łazienki bez wanien, kiepska kanalizacja. W jadalni tanie meble. W salonie ku swej radości zastałem doskonały fortepian Bechsteina, ale reszta umeblowania raziła prymitywizmem. Dziwny facet był z tego Józefa, coraz lepiej zaczynałem go poznawać.

Spędziliśmy tydzień na kompletnym nieróbstwie. Spałem jak kamień, przez większość dnia grałem przy akompaniamencie jego\* zwykłych okrzyków radości, jedzenie było proste i niewyszukane, ale wszystko, co nam podawano, było świeże i pochodziło z majątku. Po powrocie do Kijowa, gdzie przyszło nam kilka godzin czekać na pociąg, Józef zabrał mnie do swej rezydencji miejskiej, do wielkiego domu rodzinnego, w którym zajmował drugie piętro. Tu, w pokojach, które zamieszkiwał jako student, wszystko utrzymane było w najlepszym guście.

— Nie będzie mnie przez godzinę — powiedział Józef — a jak wrócę, zabiorę cię na obiad do hotelu „Continental”.

— Nie mógłbym pójść z tobą? — spytałem.

— Nie, lepiej zaczekaj tu. Mam parę spraw do załatwienia. Wrócił po niespełna godzinie, zdyszany, zarumieniony i nieco zażenowany.

— Mam dla ciebie niespodziankę, Arturze! — wyciągnął z kieszeni wielką wypchuią kopertę i wcisnął mi w rękę. Koperta zawierała czterdzieści sturublowych banknotów, w sumie cztery tysiące rubli. To była rzeczywiście niespodzianka!

— Poszedłem do banku załatwić kilka interesów — powiedział — obracając pieniędzmi, pomyślałem o niesprawiedliwości, jaką ci wyrządziłem. No więc tu masz mój dług. Mam nadzieję, że możesz-jeszcze wrócić do Paryża i dalej robić karierę.

304

— Dziękuję ci, Józiu, dziękuję ci, jesteś najhojniejszym przyjacielem na świecie — zawołałem, całując go w oba policzki. — Ale na razie Paryż nie wchodzi w rachubę... Sezon koncertowy już minął- Spędzenie lata we Francji zrujnowałoby mnie. Zresztą wiesz, że aa jesieni Paweł i ja musimy

coś działać w sprawie służby wojskowej.

podniecony jego darem, czując tyle pieniędzy w kieszeni, popadłem nagle w najbardziej szczęśliwy i frywolny nastrój.

— Józiu! — krzychałem. — Mam wielki, wspaniały pomysł. Podejrzywałeś, że chcę użyć twoich pieniędzy wyłącznie dla rozrywki... No, więc zrobmy to, ale tym razem wspólnie: ty, Paweł i ja. Dokonajmy wielkiego objazdu stolic! Jedźmy do JJerlina, Paryża i Londynu, ciesząc się każdą spędzoną tam chwilą. Po co, u diabła, istnieją pieniądze, jeśli nie dla przyjemności? A to jest dla mnie prawdziwe życie... Reszta to tylko przygotowanie do niego. To prawda, że Berlin może mieć mnóstwo pokus, także Paryż, kiedy masz pieniądze, należy cały do ciebie, a w Londynie wielki sezon dopiero się zaczyna. Wiem, że wszystko to wydaje się szaleństwem, ale mogłoby być cudne. No i co ty na to?

Józef wysłuchał mnie z zakłopotanym, zdziwionym wyrazem twarzy; mój zapał i entuzjazm zawsze działały nań jak hipnoza.

— To brzmi cudownie, ale... — milczał chwilę, jakby szukając kontrargumentów, wreszcie dodał zażenowany — ...ale w sierpniu zamierzałem jechać do Karlsbadu na kurację.

— Czemu nie miałbyś jechać? — odparłem szybko. — Pojedziemy z tobą i bez kuracji możemy się doskonale zabawić.

Stałem na moim. Zaczęło się od żartu, aż tu nagle Józef poczuł się w swoim żywiole; skakał do góry, wykonywał swoje sławne ćwiczenia gimnastyczne, śmiał się na cały głos i wrzeszczał:

— Ty szatanie, ty... Tobie nawet morderstwo uszłoby płazem! Kiedy już się nieco uspokoił, spytał:

— A czy jesteś pewien, że Pawłowi ten pomysł się spodoba?

Po powrocie do Warszawy przekonałem się, że namówienie Pawła, «y przyłączył się do naszego „jedynego w swoim rodzaju tournée Po wielkich europejskich stolicach wyłącznie dla przyjemności”, o czymś najłatwiejszym w świecie. Nie zdążyłem jeszcze wyło-ć mu głównych punktów naszego zamierzenia, gdy przerwał mi, i<sup>u</sup>zjastycznie sygnalizując zgodę.

Zabiorę skrzypce do Hilla w Londynie... Potrzebny im re- A w Paryżu może uda mi się znaleźć dobry smyczek od ^ — powiedział, uśmiechając się łakomie. i u + nastrosu radosnego oczekiwania zjedliśmy z Józefem obiad paliliśmy datę wyjazdu.

S2cze jedna długa sesja sonatowa u muzycznie nienasyconego

305

5

5

Warszawy z lekkim sercem.

47

W 1908 roku Berlin jawił mi się jak miasto, które znam wyłącz- I nie ze słyszenia. Kiedy tam mieszkałem jako kilkunastoletni chłopiec, moje życie biegło tak samo jak życie innych chłopców K w mieście: byłem jednym z nich. Mój niedawny nieszczęsny pobyt wspominałem tylko jak jedno długie piekło: do miasta pozostawałem obojętny, czułem się jak banita, utraciłem z nim kontakt; nawet „rozrywki” w towarzystwie siostry nie wywarły na mnie ożywczego wpływu.

Ale tego pięknego wiosennego poranka wszyscy trzej przybywaliśmy jak zdobywcy. Dumny z roli przewodnika i tłumacza, odpowiedzialność za wszystko wzięłem na siebie.

Zatrzymaliśmy się w „Kaiserhofie”, jednym z najlepszych i najdroższych hoteli w mieście.

— Jako chłopiec zawsze pragnąłem ujrzeć wnętrze tego hotelu — zwierzałem się towarzyszom podróży. — Z zazdrością spoglądałem na jego fronton.

Z naszych okien rozciągaj się niczym nie ograniczony widok na wytworną i „ekskluzywną” (nienawidzę tego określenia!) Wilhelro-strasse, na której mieściła się większość ministerstw i zagranicznych ambasad. Dokładnie po przeciwnej stronie ulicy znajdowało się miejsce, gdzie w przyszłości stanąć miał podziemny bunkier Hitlera i gdzie dopełniło się jego haniebne przeznaczenie.

Przede wszystkim pobiegłem do lombardu wykupić biżutertó Jadzi. Umieściwszy ją w bezpiecznym miejscu, na samym dnie ku\* fra, poczułem ogromną ulgę. Kiedy wróciłem, postanowiliśmy dokładnie wypocząć, a następnie zabraliśmy się do klasycznej baedekerowskiego zwiedzania miasta. Pierwszy punkt stanowi^ Kaiser-Friedrich-Museum, galeria malarska, składająca się — rtfc

dzy innymi — z jedynej w swoim rodzaju kolekcji Diirerów, Cra1 nachów, Holbeinów oraz Kilku najwspanialszych Rembrandtów. ^ widok mego ulubionego obrazu Rembrandta „Żołnierz w złoty18 hejmie” Józef zaczął tak krzyczeć i gestykulować, że wypłoszył pozostałych zwiedzających. Następnym punktem programu był Zeughaus, reprezentacyjna kolekcja, w której Prusacy wystawili między innymi broń i trofea zdobyte na wojnie z Francją w 1870 roku, oraz Schloss, rezydencja rodziny cesarskiej. Przed wejściem do paradnych apartamentów kazano nam nałożyć filcowe kapcie, w których ślizgaliśmy się po błyszczących parkietach jak po lodowisku. Nasza trzódka pokornie kroczyła za umundurowanym przewodnikiem, którego monotonne zawodzenie i bezosobowe wygłaszanie po tysiącokrotnie powtarzanych opisów wystawiały naszą cierpliwość na surową próbę. Kiedy znaleźliśmy się znów na świeżym powietrzu, uwolniwszy się od filcowych kapci i całego pałacu, odetchnęliśmy z ulgą.

-- Jeżeli zamierzasz pokazać nam więcej takich miejsc, to ja wsiadam do najbliższego pociągu do Paryża — oświadczył Paweł. Józef milczał i tylko pojękiwał.

Po wyśmienitym obiedzie i krótkiej przechadzce po Unter den Linden wróciliśmy do hotelu. W hallu jakiś kobiecy głos wykrzyknął nazwisko Pawła i moje. Okazało się, że to jedna z naszych warszawskich znajomych, żona bankiera. Niska i nieco korpulentna, lecz mimo swego wieku — musiała mieć już dobrze po pięćdziesiątce — bardzo ruchliwa, a nawet pociągająca nieco przywędłymi śladami urody.

— Co panowie porabiają tu w Berlinie? — spytała.

— Jesteśmy przejazdem w drodze do Paryża — odparłem ostrożnie. — To nasz przyjaciel, Józef Jaroszyński.

— Dziś wieczorem zapraszam wszystkich trzech panów na kolację. Przyrzekam wyśmienite jedzenie... Tutejsza restauracja hotelowa nadal uchodzi za najlepszą. A po kolacji pójdziemy do Winter-garten; zamówię łóżę.

Jej energia była tak zaraźliwa, że zgodziliśmy się. Kolacja, podczas której podano schnapps, kawior oraz inne przysmaki, była doskonała. Butelka wytrawnego francuskiego szampana przyczyniła się jeszcze do polepszenia nastrojów. Paweł był kapitalny; w niezrównany sposób opowiedział kilka swych najlepszych żydowskich kawałów — nasza bankierowa też była Żydówką — tak że Wszyscy po prostu ryczeliśmy ze śmiechu. Ja również wniosłem swój wkład do zabawy, parodiując paru naszych wspólnych znajomych. W drodze do Wintergarten śpiewaliśmy na ulicy. Spektakl był pasjonujący. Program wypełniali akrobaci, żongle-^y> magicy, komicy, tancerze na linie. W drodze do domu, wdzięcz-L za wspaniałą zabawę, postanowiliśmy się zrewanżować.

Chere madame, czy jutro wieczorem zechce pani udać się i na kolację? Ten sam lokal, ta sama godzina, ten sam stolik...

307

306

Była widocznie wzruszona.

— Jakżesz to miło z waszej strony, chłopcy, że chcecie tyle czasij spędzić w towarzystwie starszej pani.

— Nie wolno pani nawet mówić czegoś podobnego! — protestoj waliśmy z udanym oburzeniem. — Mając tyle wdzięku, tyle radości życia, jest pani młodsza od nas!

Podziękowaliśmy i życząc sobie dobrej nocy, udaliśmy się każdy do swego pokoju.

Spałem do południa, moi towarzysze nawet jeszcze dłużej. Wypo części, zrezygnowaliśmy ze śniadania, poprzestając jedynie na lekkim obiedzie. Po kawie uzgodniłem z maitre d'hôtel menu kolacji i poprosiłem portiera o zarezerwowanie dla nas dobrego stolika na występy kabaretu literackiego, które widziałem już wcześniej z Jadzią. Resztę popołudnia spędziliśmy na zakupach przy Unter den Linden.

Tego wieczora ja byłem odpowiedzialny za kolację: doskonała sposobność, by wykazać się nabytym w Paryżu gustem dla haute cuisime jrancaise. Znów jedliśmy kawior zakrapiany wódką, double consomme, potem specjalnie polecaną przez szefa kuchni canard a 1'orange, a na zakończenie soujfle au chocolat. Bardzo starannie dobrałem wina.

W kabarecie panował tłok, ale portier zarezerwował dla nas jej den z najlepszych stolików w lokalu. Zamówiliśmy szampana. Światła pogasły, zaczął się spektakl. W zatłoczonej salce zmuszeni byliśmy siedzieć bardzo blisko siebie — z trudem można było poruszyć ręką lub nogą. Nagle

poczułem na udzie dotknięcie miękkiej, ciepłej ręki, a następnie lekki uścisk. Nasza przyjaciółka nie poprzestała na tym — uścisk stopniowo zmienił się w całą serię prowokujących ruchów. Jej tłusta krótka noga odnalazła moją i na cały czas trwania zabawnego skeczu mocno do niej przywarła. Nawet genialny żydowski komik Fritz Grunbaum, którego dowcipy wywoływały kaskady śmiechu, nie przeszkodził jej w tych zmysłowych manewrach. Maksymalnie podniecony, zacząłem reagować. Nasze pasjonujące działania trwały aż do końca spektaklu. Kiedy kurtyna opadła po raz ostatni, wykorzystując zamieszanie przy drzwiach wyjściowych, szepnęła mi w samo ucho:

— Przyjdź później do mojego pokoju, trzecie piętro, numer 38\$ Po powrocie do hallu hotelowego czas jakiś trwały jeszcze wy\*

lewne podziękowania, pocałunki i życzenia dobrej nocy. Na koniec wsiedliśmy do windy i pojechaliśmy, każde na swoje piętro. Kiedy wreszcie zostałem sam, odczekałem, aż ucichną wszystkie hałasfl wymknąłem się z pokoju, wbiegłem po schodach na trzecie \*\* i wszedłem przez uchylone drzwi. Zdażyła się już przebrać w strój i czekała, siedząc na kozetce. Niezwykła ilość wypitego

308

nje szampana wraz z jej sztuką pobudzania ukrytej zmysłowości przyniosły pożądany efekt. Zaczęliśmy się kochać natychmiast, nie tracąc czasu. Przez cały czas bankierowa jęczała i nie przestawała mówić, posługując się dziwnym słownictwem:

— Bardzo dobrze to robisz, pięknie pracujesz, och, jak dobrze pracujesz, och, to dopiero wspaniała robota!

paplanina ta nasilała się crescendo...

Kiedy się podniosłem, gotów do wyjścia, pocałowała mnie i powiedziała:

—. Dziękuję ci, kochanie, dziękuję ci... I nie martw się o konsekwencje. Przrzekam ci, że nie będziesz się miał czego obawiać.

Biedaczka! To brzmiało tak patetycznie.

Nazajutrz rano obudziłem się skacowany. Śniadanie zjadłem w łóżku i właśnie próbowałem zasnąć ponownie, gdy ktoś zapukał do drzwi. Wszedł Paweł.

— Co z tobą? Jesteś chory? — spytał.

— Nie, jestem po prostu wyczerpany po wczorajszym wieczorze — odpowiedziałem.

— I to wszystko? — upierał się.

— Co masz na myśli? — spytałem, nieco zaniepokojony. Obrzucił mnie długim spojrzeniem swych czarnych jak węgiel,

aksamitnych oczu i nagle z szatańskim uśmieszkiem zaczął:

— Och, bardzo dobrze to robisz, och, jak ty pięknie pracujesz, och, to dopiero wspaniała robota!

Przez chwilę siedziałem z otwartymi ustami, a potem popatrzyliśmy na siebie i wybuchnęliśmy niepoahamowanym, homeryckim śmiechem.

— Paweł, hultaju, a kiedy tobie się to przytrafiło? — spytałem, gdy byliśmy już w stanie mówić.

— Po przedstawieniu w Wintergarten. Nie pamiętasz? Wtedy to właśnie ja siedziałem koło niej.

Tego wieczora nasza namiętna przyjaciółka wracała do Warszawy. Odprawiliśmy ją z kwiatami.

Paweł pojechał na jeden dzień do rodziców do Lipska i następnego ranka był z powrotem.

Ostatnie dni w Berlinie spędzaliśmy przeważnie na załatwianiu własnych spraw, ale spotykaliśmy się

na obiedzie u „Dressela”. ozeł chodził na wystawy rolnicze i z właściwą sobie pasją usiło-ł

tłumaczyć nam sposoby wykorzystywania nowoczesnych trak-°rów. Paweł całe przedpołudnia

ćwiczył w swoim pokoju. Ja po-Zedłem za jego przykładem i ćwiczyłem w składzie Bechsteina,

2częśliwy, że znów mogę położyć ręce na klawiaturze fortepianu. ra to Popołudnia bywały bardziej

urozmaicone. Dynamiczna natu-pa Józefa zmuszała go do dłuższej sjesty po obfitych posiłkach.

We\* lubował się w zakupach; miał istną manię kolekcjonowania

309

wszelakiego rodzaju gadżetów, zwłaszcza tych, które wyprodii kowane były w Niemczech.

Moim ulubionym zajęciem było odwie. dzanie księgarń i magazynów nut w poszukiwaniu nowych

wydaw-nictw. Pewnego ranka w przypływie odwagi zadzwoniłem do kilku moich dawnych

dobroczyńców i przyjaciół. Większość wyjechała na lato, ale przebywający jeszcze w mieście Martin

Levy przyjął j mnie, jak zawsze, nader uprzejmie. Mocno koloryzując, opowiedzia-1 łem mu o swych

sukcesach w Paryżu, w Ameryce oraz w Polsce j i z radością zauważyłem, że mu to zaimponowało.

Jeszcze kilka spektakli, w tej liczbie Księżniczka dolara, pyszni operetka Leo Falla, a także jakaś

zabawna komedia Arthuia Schnitzlera, zakończyły naszą chlubną berlińską przygodę. Mci

towarzysze uznali ją za wielki sukces. Dla mnie jednak było to cm więcej — mój prywatny odwet za katusze, jakie w tym mieście wycierpiałem.

48

Do Paryża przybyliśmy o szarym świcie. Dworzec Gare du Nord wydawał się jeszcze bardziej niż zwykle odrapany i brudny (pierwszy rzut oka na to piękne miasto tak często bywa zniechęcający!). Zmęczeni i głodni, straciliśmy mnóstwo czasu na formalności celne i na znalezienie dorożki. Na koniec jednak, gdy koń kłusem wioził nas w stronę Pól Elizejskich, niebo wypogodziło się i La Ville Lumiere ponownie uśmiechnęła się do nas.

Józef zawiózł nas do „Champs-Elysees Pałace” gdzie i uprzednio się zatrzymywał — był to nowy hotel, położony przy alei o tej samej nazwie, niedaleko placu Gwiazdy. Pretensjonalna atmosfera tego miejsca, białe-żółte ściany i jaskrawe mundury portierów stanowiły rażący kontrast z ciasnymi, niewygodnymi pokojami i kiepską obsługą; godzinami trzeba było czekać, nim służący z pokojową zareagowali na dzwonek. Wzdychając zrezygnowani, złożyliśmy wszakże rozpakować walizy, powiesić garnitury, wziąć kąpiel i przebrać się. A potem, świeżusieńcy jak spod igły ułożyliśmy się na obiad do „Pavillon Royal”, restauracji w Łasku Łódzkim, którą Józio i ja wspominaliśmy czule, ponieważ bywało tam często w pierwszych dniach naszej przyjaźni. Jeszcze tego samego popołudnia, gdy Józef i Paweł wybrali na przechadzkę, usiłowałem dodzwonić się do moich przyjaciół.

310

hrabiego Potockiego, do pana Rembielińskiego i do Armanda de Gontaut. Chciałem przeprosić za długie milczenie, powiedzieć, jak bardzo jestem im wdzięczny za wszystko, co dla mnie uczynili. Ale za każdym razem po drugiej stronie drutu padała odpowiedź — monsieur bawi za miastem, przebywa na wakacjach, znajduje się na kuracji albo wyjechał do Ameryki. W przypływie zniechęcenia cisnąłem wreszcie nieszczęsną słuchawkę. A tak bardzo pragnąłem odnowić stosunki z tymi wspaniałymi ludźmi, którzy okazali mi tyle dobroci. Wieczorem Paweł i Józef wydawali się równie przygnębieni, w „Cafe de Paris” roilo się bowiem od cudzoziemców i z trudem można było usłyszeć jakieś francuskie zdanie. Nawet wieczór u „Maxima”, gdzie ta sama stara gwardia ciągle trwała na posterunku, nie poprawił nam humorów, i gdy następnego dnia Paweł zastał pracownię lutniczą zamkniętą, miarka się przebrała. Po dokładnym zwiedzeniu Luwru i Inwalidów oraz niezapomnianym wieczorze w Comedie Francaise wyjechaliśmy nazajutrz do Londynu.

Podróż ta — pociągami, statkami i znów pociągami — bywa niekiedy jednym z najbardziej skomplikowanych i niewygodnych sposobów pokonywania przestrzeni; często zresztą dodatkowo uprzykrza ją wzburzone morze w Kanale La Manche. Mimo to przybyliśmy wieczorem na Victoria Station raczej w nastroju oczekiwania niż znużenia. W pociągu odbyliśmy długą dyskusję na temat naszych układów finansowych. Józef wspaniałomyślnie pokrył bardzo wysoki rachunek w „Kaiserhofie”, z wyjątkiem naszej kolacji na cześć damy z Warszawy. Paweł i ja kolejno braliśmy na siebie całą resztę wydatków. W Paryżu siłą rozpędu przyjęliśmy ten sam system. Za to w Londynie postanowiliśmy postąpić odwrotnie — wziąć na siebie rachunek hotelowy, a Józefowi pozwolić na płacenie w restauracjach. Drobniejsze wydatki — na dorożki, bilety, napiwki i tym podobne — pozostawiliśmy do każdorazowego uznania; nienawidziliśmy nadmiernej drobiazgowości.

Zarażeni powszechnym w owych czasach snobowaniem się na Anglię i wszystko, co angielskie, postanowiliśmy zatrzymać się

u „Carltonie” — hotelu dla „dobrze urodzonych”. Ale niestety,

nie było tam nic wolnego, musieliśmy więc zadowolić się pokojami

»Victorii”, które znalazł nam uprzejmy recepcjonista z „Carltonu”. Ten sam hotel „Victoria” stanowił prototyp większości prowincjonalnych hoteli angielskich. Nasze pokoje bynajmniej nie należały do przyjemnych. Ten, który dzieliłem z Pawłem, miał dwa wykończone długie łóżka obliczone na wysokich Anglików, umywalkę, kufel ze stojącym lustrem, dwa krzesła i staroświecką szafę przy drzwiach. Pokój Józefa był mniejszy, ale urządzony ani jeden, ani drugi nie miał łazienki.

Postanowiwszy nie

311

p

tracić dobrego humoru, nie zadaliśmy sobie nawet trudu, by rozpakować bagaże czy przebrać się, tylko po prostu spieszenie opuściliśmy hotel i wróciliśmy pieszo do „Carltonu”.

Mieliśmy szczęście — w „Carlton Grill”, słynącym z francuskiej kuchni znaleźliśmy wolny stolik. Tutaj — cha, cha, cha! — znów poczuliśmy się „dobrze urodzonymi”. Po wysmienitej, długo trwałej

kolacji udało nam się zobaczyć ostatnią część programi variete w Empire Musie Hali. Byliśmy nim tak oczarowani, że przysięgliśmy sobie wrócić nazajutrz i obejrzeć tę część, którą straciliśmy. Widowiska typu variete, a także wielkie rewie były gatunkiem typowym dla ówczesnej angielskiej sceny.

Dorożka zawiozła nas do hotelu. Drżeliśmy na samą myśl o powrocie do naszych mało zachęcających kwater, ale gdy przebudziliśmy się, rano okazało się cudowne. Londyn słynie z wiejskiego klimatu, ale jeśli uda się trafić na jeden z idealnych dni tamtejszego lata, miasto staje się najpiękniejsze w świecie. Byliśmy mile zaskoczeni, gdy okazało się, że do pokoju podawane są bardzo smaczne śniadania.

Stałem już gotowy do wyjścia na ulicę, gdy Paweł poprosił, abym towarzyszył mu do Hilla, najbardziej znanej firmy zajmującej się sprzedażą zabytkowych skrzypiec. Józef wolał zwiedzić National Gallery, i tam właśnie mieliśmy się z nim spotkać. Spacerkiem poszliśmy w dół Old Bond Street, ciesząc się słońcem i łagodnym powietrzem. U Hilla byłem świadkiem wzruszającej sceny. Tu Paweł był w swoim żywiole. Kiedy wyjaśnił, na czym ma polegać jego naprawa jego skrzypiec i pozostawił instrument w dobrych rękach, zaczął chciwie i z pasją oglądać bezcenne stradivariusy oraz skrzypce Guarneriego del Gesu, które miały wryty w środku znak krzyża. Dotykał je i czule gładził, przymierzał do podbródka i grał, grał, wydobywając z nich boskie dźwięki. Byłem bardzo poruszony tą sceną. Gdybym był milionerem — marzyłem w skrytości ducha — kupiłbym mu wszystkie te instrumenty.

Przed spotkaniem z Józefem nie mogliśmy się powstrzymać, 1\* nie ulec naszym tajemnym namiętnościom — Paweł do gadżetów i torb podróżnych, ja zaś do ubrań i nowych krawatów. On pospieszył do Aspreya, swego ulubionego sklepu, a ja do sławnego krawca, gdzie zamówiłem kompletny strój wieczorowy, który obiecał ukończyć w ciągu tygodnia. Do Galerii przybyliśmy z opóźnieniem; Józef siedział na ławeczce w jednej z dalszych sal, utrudzony — Gdzieżecie tak długo siedzieli?... Coście robili tyle czasu? " pewnie odegrałeś u Hilla cały swój repertuar? — wołał na całe głośno.

— Spacerowaliśmy sobie tam i z powrotem po Bond Street

312

i oglądaliśmy wystawy w Burlington Arcade — kłamaliśmy, uśmiechem pokrywając nieczyste sumienia. Nie chcieliśmy, żeby wiedział, na co wydajemy jego pieniądze. Nastrój poprawił mu się dopiero po obiedzie u „Scotta” przy Picadilly Circus, gdzie specjalnością były homary o szczypcach większych niż cała demoiselle de Cherbourg w Paryżu (delikatne samice homara z Bretanii). W angielskiej stolicy bawiliśmy się cudownie. Ranki wypełniało nam zwiedzanie British Museum, londyńskiej Tower, Wallace Collection oraz wycieczka do Windsoru. Tymczasem ja musiałem jeszcze potajemnie biegać na przymiarki do krawca. Jadaliśmy przeważnie w „Carltonie” lub w „Savoy Grill”, a także u „Scotta”.

A propos restauracji, przypominam sobie pewne zabawne wydarzenie. Zupełnie przypadkowo znaleźliśmy się, Paweł i ja, w Londynie w korzystniejszej niż Józef sytuacji finansowej. Nasz hotel był oczywiście tańszy od luksusowego „Carltonu”, natomiast restauracje, w których zazwyczaj jadaliśmy, były nawet jeszcze droższe niż w Paryżu czy Berlinie. Otóż Józef, przy całej swej wspaniałomyślności, miał w sobie ową tak charakterystyczną dla ludzi bogatych pewną dozę skąpstwa, czego przy swej bezgranicznej szczerości nie był w stanie ukryć. Często w trakcie jedzenia dawało się słyszeć jego charakterystyczne głośne posapywanie i skarga:

— Aj, aj, aj! Zawsze głodni, zawsze muszą być homary? Zawsze befsztyki? Zawsze szampan? — choć sam zjadał te wszystkie przysmaki z nieposkromionym apetytem.

Dokuczyło nam to do tego stopnia, że wreszcie postanowiliśmy dać mu małą nauczkę. Któregoś wieczora, przygotowując się do pójścia do Covent Garden Opera, żeby posłuchać Carusa śpiewającego w Pajacach, ogromnie marudziliśmy przy przebieraniu się w stroje wieczorowe.

— Pospieszcie się, pospieszcie się! — krzyczał Józef ze swego pokoju. — Spóźnimy się na kolację.

— Nie mamy dziś ochoty na kolację. Za bardzo najedliśmy się Przy obiedzie.

W odpowiedzi usłyszeliśmy głębokie westchnienie; nie wypadało nui nalegać. Do teatru pojechaliśmy o pustych żołądkach.

W Operze, po Rycerskości wieśniaczej, która poprzedzała Pajacach, przez całą przerwę nie ruszaliśmy się z miejsc. Teatr przedstawiał imponujący widok. Wszystkie łoże wypełniał kwiat angielskiej arystokracji. Damy w przepięknych toaletach błyszczały klejnotami i diademami.



Caruso w Pajacach był niedościgniony; jego wielka aria Śmieć Pajacu wzruszyła nas do łez. Po wysłuchaniu opery publiczność

Vstł

2 a z miejsc i zgotowała mu owację. Na ulicy, rozglądając się P<sup>o</sup>wozem, Józef napomknął coś o kolacji.

313

— Nie, kochany Józiu — odparłem z makiawelskim okrucieństwem. — Jesteśmy z Pawłem zanadto zmęczeni i śpiący, ale jak chcesz, możesz iść sam.

Biedny Józef znalazł się w potrzasku: jeśliby poszedł na kolację sam, oznaczałoby to szczere przyznanie się, że to właśnie on jest zawsze głodny i zawsze chętny do jedzenia, my natomiast wyraźnie dowiedliśmy naszej obojętności na potrzeby żołądka. Tak więc wrócił pokornie wraz z nami do hotelu. Nie muszę oczywiście dodawać, że obaj z Pawłem konaliśmy z głodu, postanowiliśmy jednak doprowadzić tę zabawę do końca, choćby najokrutniejszego. Położyliśmy się do łóżek, ale nie mogliśmy zasnąć, po części z głodu, ale przede wszystkim z powodu głośnych „achów” i „ochów” dochodzących z sąsiedniego pokoju. O siódmej rano usłyszeliśmy, jak Józef dzwoni o śniadanie. Zrobiliśmy to samo i poprosiliśmy go, by razem z nami spożył ten boski posiłek. Pożerając łączywie jajka na boczku, rogaliki, grzanki z dżemem i marmoladą i popija jąc to wszystko kawą, zwierzyliśmy się naszemu kochanemu przy jacielowi ze swej szatańskiej złośliwości, a on dowiódł nam, że jeś naprawdę wspaniałym facetem. Nie tylko że nie żywił do nas urazy za to, co zrobiliśmy, lecz odtąd przy każdym posiłku nalegał, abyśmy zamawiali homary, kawior i Bóg wie co jeszcze.

Pobył w Londynie cieszył nas coraz bardziej, gdy nagle Józef oświadczył, że dla niego już czas jechać do Karlsbadu, gdzie ma ^ zarezerwowany hotel na określony termin.

— A wy, czy naprawdę macie zamiar jechać ze mną? — pytał. Obaj z Pawłem byliśmy zaskoczeni — mój garnitur miał być

gotowy dopiero za dzień lub dwa, a tak naprawdę to zamówiłem jeszcze jeden, który obiecano mi doręczyć razem z pierwszym. Na szczęście przypomniałem sobie skrzypce Pawła.

— No, oczywiście, że jedziemy z tobą do Karlsbadu, tylko że na razie nie możemy opuścić Londynu. Hill ma jeszcze coś do zrobienia przy skrzypcach Pawła, ale to nie powinno zająć mu więcej jak dwa dni. Ja zostanę z Pawłem i dołączymy do ciebie tam na miejscu.

Józef wyjechał nazajutrz rano. Odprowadziliśmy go na Victoria Station, a stamtąd jak dwaj niegrzeczni chłopcy, którzy pozbyli stf guwernantki, pojechaliśmy omnibusem do White City w Sbe pherd's Bush — czyli do prawdziwie zwariowanego lunaparku-Tam dopiero używaliśmy jak dzieci. Spróbowaliśmy wszystkiej kolejek amerykańskich, wodospadów, labiryntów, strzelnic or» innych diabelskich wynalazków. Wszystko nam się tu podoba\* Wróciliśmy, konając ze zmęczenia, lecz starczyło nam jeszcze eiw gii, aby pójść posłuchać Kreislera w Queen's Hali.

W dwa dni później byliśmy gotowi do wyjazdu:, oba garnitu

314

oraz skrzypce znajdowały się już w naszym posiadaniu. W czasie pakowania zobaczyłem, jak Paweł wyciąga spod łóżka dwie nowiutkie torby podróżne.

— Wytrzymają sto lat — powiedział z dumą. Ale ja i tak wiedziałem, że wkrótce kupi nowe.

Podróż do Karlsbadu była długa i nudna. Przybyliśmy dopiero następnego dnia o zmierzchu. W hotelu „Pupp”, gdzie zatrzymał się Józef, czekała na nas kartka, informująca, że wszystkie hotele w mieście są przepełnione, ale że znalazł dla nas obu pokój w prywatnym domu znajdującym się w pobliżu. Udaliśmy się tam pieszo w towarzystwie portiera, który niósł nasze bagaże. Przed hotelem panował ożywiony i wesoły ruch. Niebo oświetlone było ostatnimi promieniami zachodzącego słońca, a po esplanadzie przechadzali się tam i z powrotem starzy i młodzi w wesołych letnich strojach, słuchając orkiestry grającej wiedeńskie walce. Wśród spacerujących wypatryliśmy natychmiast kilka wyjątkowo atrakcyjnych kobiet. Pragnąc jak najszybciej włączyć się w ten ożywiony tłum, pospiesznie zainstalowaliśmy się na nowej kwaterze — okazała się nią brzydka mansarda, zaś gospodynią domu była gruba Czeszka, która pozostawiła nas własnemu losowi. Po chwili byliśmy już zainstalowani w naszym lokum i po prostu umieraliśmy z głodu.

— Chodźmy prędko do „Puppa” — powiedział Paweł. — Tam na tarasie możemy zjeść kolację i poprzyglądać się ludziom.

Pomysł był znakomity, ale gdy wróciliśmy, na esplanadzie panowała pustka. Była jakby wymarła, jak gdyby nawiedzona zarazą, która wygnała ludzi. Nigdzie żywej duszy, orkiestra znikła, na ulicach

panowały ciemności. Hotel był już zamknięty, stoliki na tarasie odwrócone. Staliśmy kompletnie oślepiali, na chwilę odebrało nam mowę i tylko głód sprawił, że niebawem odzyskaliśmy zmysły. — Musi tu gdzieś być jakiś lokal, w którym można by coś zjeść — powiedziałem. — Wcale nie jest jeszcze tak późno, dopiero ósma trzydzieści.

Włóczyliśmy się tam i z powrotem w nadziei, że znajdziemy Areszcie jakąś otwartą kawiarnię lub gospodę. Wreszcie na jakiejś Wąskiej uliczce natknęliśmy się na coś, co wyglądało na sklep — wPadła mi w oko butelka wina i dwa jabłka leżące na wystawie; tu w k°ńcu udało nam się dostać coś do zjedzenia.

p° długim nocnym wypoczynku wstaliśmy o dziewiątej, ubraliśmy się i poszliśmy na śniadanie do „Puppa”. Józef zszedł na dół ze SWego pokoju i usiadł z nami.

r~ śniadanie jadam o siódmej, po pierwszej szklaneczce wody feralnej z gorącego źródła — oznajmił.

315

Kiedy mu opowiedzieliśmy historią naszego przyjazdu, roześmiał się, po czym zrobił nam wykład na temat Karlsbadu. Życie mia-! steczka skoncentrowane jest całkowicie wokół tamtejszych źródeł! mineralnych. Rokrocznie tysiące ludzi zjeżdżają tu w nadziei, żej picie tych bezcennych wód podreperuje ich nadwątlone wątroby czy żołądki.

— Ale musimy poddać się surowej dyscyplinie — ciągnął dalej. — Kurację rozpoczyna się codziennie o szóstej rano szklanką wody z gorącego źródła, po czym następują prysznice, masaże i gorąca! kąpiel. O siódmej dostajemy śniadanie, a potem — do łóżka na odpoczynek. W południe, przed obiadem, następna szklaneczka, n<A i oczywiście przestrzegamy specjalnej diety. Po południu długie spacer, czego zresztą najbardziej nie znoszę, i ostatnia szklaneczka] przed kolacją o szóstej. Po kolacji wolno słuchać muzyki na Alte Wiese... I na to właśnie trafiliście — powiedział z uśmiechem. — Nic więc dziwnego, że o ósmej wszyscy kładą się do łóżka, a o dziewiątej już śpią — dorzucił.

— Taki program to nie dla nas — powiedział Paweł. — Arturze, musimy zorganizować sobie jakieś własne życie wśród tych wszystkich ograniczeń i zakazów, i to natychmiast.

Pozostawiliśmy Józefa jego leczniczym zabiegom wątrobowym, a sami zabraliśmy się do gruntownego penetrowania miasta. Główny portier z hotelu, wzięwszy solidny napiwek, udzielił nam wielu bezcennych informacji. Idąc za jego wskazówkami, po krótkim spacerze znaleźliśmy mały placzyk z fontanną pośrodku, otoczony klombami. Dwie kawiarnie-restauracje z ogromnymi tarasami sprawiały, że w tym uroczym zakątku panowała atmosfera wesołości. Jeden z kelnerów powiedział, że posiłki podawane są tu aż do drugiej w nocy. Zaiste, była to dla nas dobra wiadomość! Przez cały czas pobytu w Karlsbadzie placzyk ten traktowaliśmy jako swą kwaterę główną. Dla mnie zasadniczym i najpilniejszy zadaniem stało się znalezienie fortepianu. Od wyjazdu z Berlina tknąłem klawiatury i zaczynałem się już porządnie obawiać o stć moich palców. Ku mojej wielkiej uldze także i ten problem zost rozwiązany jeszcze tego samego popołudnia. W mieście była Sal Zdrojowa; podobne znajdowały się zresztą obowiązkowo w każdej uzdrowisku. „Nasza” okazała się dużą salą, w której odbywały sj bale, przedstawienia teatralne lub koncerty, i tam właśnie stał iot tepian koncertowy, wciąż jeszcze w zupełnie dobrym stanie.

Zarządca, do którego zwróciłem się z prośbą o pozwolenie korzy\* stania z instrumentu przez jakąś godzinę dziennie, był miłośnikiem muzyki.

— Może pan tu grać choćby i cały dzień, nikt nie będzie p przeszkadzał — powiedział. — Sala Zdrojowa i tak zawsze świec1

316

«d Ludzie zbyt są zajęci kuracją. Ale mam nadzieję, że ictnii..- czasem posłuchać. °\*Wf kowalem muT ten człowiek przypadł mi do gustu, podziękowałem ^ zorganizowaliśmy sobie z Pawłem, ku

iteu zadowoleniu, „antykuracyjny” tryb życia Tsi6dmened^n z nas na zmianę schodził na dół i kupował Ran° "wiedeńskie rogaliki i bułeczki, a potem wracał i znów smaczne™ eS^Lliśx5y kiedyś dobrą naukę, gdy w normalnej kładł sxę spać DostaUsmy \_y dziewiątej czy dziesiątej - nie nató6j hPI iufnL kupiToprócz twardych, suchych grzanek. Resztę

m0Zn/ 7,1 a ^oświecaliśmy na ćwiczenia, każdy na swoim mstru-pr,edpołudma Poświęca y ^ ^ ^ zdrQ p

menC1G^P^nadzTe zwanej Die Alte Wiese jakaś bardzo młoda pieńka ff3S> W blondynka, zwróciła

się do mme wy-iobie i władczo. Tturbe iestem uczennicą Leszetyckiego.  
spacer.

ponownie w Madrycie. Była S w6wczas przyiazn, kt6-  
f f

posiłki, poznaliśmy nych tak samo jak m przyjechali z rodzicami,  
tarasie Jozefa

^^ kt6rzy do Karlsbadu

gdy reszta miasta spoczywała f y re ^ n&sz  
rozmawialiśmy na

^ przerwach między jego codzien- w P właściwego smaku

^ p^ »aną w ręku

^owfedt Bayreuth!

antvukuracvinege obozu. Nasi nowi przyjaciele Oyli po n^co zSeni, ale szybko nauczyli się cem6  
jego barw-

ia, gdy siedzieliśmy u „Puppa” wraz z grupką Łl cały w rumieńcach, wymachując trzy-

\_ 2awołał do mnie i nie czekając na ^T - Bilet na Parcia na jutro

317

We mnie jakby piorun strzelił. Od dawna marzyłem, aby pojes chać na Festiwal Wagnerowski do  
Bayreuth, a przede wszystkim ^ by zobaczyć Parsifala, którego w owym czasie wystawiano wyłąc2.  
nie w tej wagnerowskiej Mekce.

— Ten bilet jest dla mnie? !— spytałem, a serce waliło mi z pod-niecenia jak młotem.

— Nie — odpowiedział — bank miał do sprzedania tylko jeden bilet i. musiałem za niego zapłacić  
sto dwadzieścia pięć koron (około dwadzieścia pięć dolarów, pięciokrotnie więcej, niż wynosiła  
cena nominalna). Może dostaniesz coś na następny spektakl.

— I ty miałbyś odwagę pojechać tam sam jeden i zostawić mnie tu z rozdartym sercem? —  
zawołałem. — Wiesz doskonale, że od stycznia wszystkie bilety są wyprzedane. Próbujesz po  
prostu oszukać mnie fałszywymi nadziejami, ale ja i tak pojedę z tobą i zobaczę, może da się coś  
zrobić. A jeśli mi się to nie uda, to będziesz musiał podzielić się ze mną tym nieszczęsnym biletem!

— zacząłem już popadać w histerię.

Tym razem jednak Józef pozostawał niewzruszony:

— Możesz jechać ze mną, jeśli masz na to ochotę oświadczył sucho — ale o tym, że mógłbyś  
mi odebrać bilet, lepiej zapomnij.

Odległość między Karlsbadem a Bayreuth wynosiła przeszło dwie godziny jazdy pociągiem.

Przyjechaliśmy w południe. Sympatyczne bawarskie miasteczko, istna wagnerowska świątynia  
przybrała uroczysty wygląd. Z okien zwisały flagi i transparenty. Główną ulicą przewalał się tam i z  
powrotem w poszukiwaniu pamiątek tłum złożony przeważnie z posiadaczy biletów. Udaliśmy się do  
niewielkiego hotelu, gdzie Józef wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu zdobył dla mnie pokój.

Pobiegłem dowiedzieć się w recepcji, czy jest jakaś możliwość uzyskania biletu wstępu do  
Festspielhausu. Urzędnik nastrojony był bardziej niż pesymistycznie.

— Jest tylko jedna szansa — powiedział. — Niech pan czeka przed kasą, może ktoś zechce  
zwrócić bilet.

Nie wahałem się ani chwili. Zaopatrzwszy się w dwie kanapki z szynką, pobiegłem na wskazane  
miejsce, gdzie w kolejce czekało już pięć osób przybyłych w tym samym celu. Była godzina  
pierwsza, a Parsijał zaczynał się o czwartej. Te trzy godziny czekania były jedną z najcięższych prób  
w moim życiu. Na koniec, gdy zbliżała się już złowieszcza godzina, a widzowie zaczęli wypełniać  
hali, okienko kasy otworzyło się. Pięć osób czekających przede mną kolejno odeszło z kwitkiem.

Kiedy nadeszła moja kolej, byłem tak zrozpaczony, że nie miałem siły otworzyć ust — pytanie  
zawarłem w patetycznym, błagalnym geście. Kasjer szeroko toz-

318

\* wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nic mi ornóc- nie może.

Tymczasem cała publiczność znajdowała się już w teatrze, drzwi eiściowe właśnie zamykano, a w  
Bayreuth nawet królowi bawarskiemu nie pozwolono by wejść do teatru po rozpoczęciu  
przedstawienia.

Odchodziłem zawiedziony ze zwieszoną głową, gdy nagle policjant, który przyglądał mi się od  
jakiegoś czasu i zauważył moją rozpacz, odezwał się:

— Młody człowieku, wygląda pan na podenerwowanego. Czy mógłbym panu w czymś pomóc?

Wymamrotałem coś na temat biletu.

— Tak właśnie myślałem. A czy ma pan może na zbyciu dwadzieścia marek? — spytał.

Skinałem głową na znak potwierdzenia.

— No, to miałbym coś dla pana, i to coś bardzo dobrego — powiedział. — Zatrzymaliśmy właśnie faceta, który ukradł bilet i usiłował go odsprzedać po wygórowanej cenie. Bilet znajduje się obecnie w komisariacie policji, może pan pójść i odkupić go po cenie nominalnej.

Nie wierzyłem własnym uszom. Uścisnąłem mu rękę tak mocno, że omal jej nie złamałem.

Poszliśmy razem na komisariat, który znajdował się tuż za rogiem. Nie minęło dziesięć minut, a ów bezcenny świstek papieru znajdował się już w mych rękach. Pobiegłem z powrotem do drzwi wejściowych teatru. Portier wyglądał groźnie. Nie odezwałem się ani słowem, tylko spojrzałem nań błagalnie szeroko rozwartymi oczyma. Podobnie jak przedtem policjant, musiał zauważyć moją rozpacz, gdyż przypatrując mi się przenikliwie, wymamrotał po chwili:

— Czy może mi pan przysiąc, że do końca pierwszego aktu będzie pan siedział bez ruchu na pierwszym stopniu, tym najbliższym drzwi?

Przysiągłem... Byłem gotów przysiąc wszystko. Uchylił drzwi na tyle tylko, abym mógł wśliznąć się do środka. Miałem szczęście — opuściłem jedynie wielki orkiestrowy wstęp do Parsifala. Pierwszy akt od samego początku wywarł na mnie wstrząsające wrażenie. Od czasów berlińskich byłem zapalonym wielbicielem Wagnera dzięki wspaniałym przedstawieniom Tristana i Izoldy, Śpiewaków norymberskich oraz całej Tetralogii, które udało mi się tam zobaczyć.

Tego dnia w Bayreuth stało się ze mną coś dziwnego. Uległem Osobliwemu zauroczeniu, tak że znaczną część przedstawienia przeplakałem. Teraz, po latach, łatwo to wszystko wytłumaczyć: zasta-ein całe miasto skoncentrowane całkowicie na osobie Wagnera

319

i jego dramacie muzycznym. Co roku w jego przybytku gromadziła się wielbiciele, którzy do Festspielhausu szli jak pątnicy pragnący zbawienia. Kiedy tak siedziałem na pogrążonej w ciemnościach widowni, wydawało mi się, że muzyka płynie wprost z nieba] Staranny dobór śpiewaków, fantastyczne brzmienie orkiestry, wieJ lomiesięczne przygotowania i odpowiedzialny za całość spektaklu] wielki dyrygent Karl Muck, wszystko to sprawiło, że rezultat był nieodparty. Mogę doskonale zrozumieć, dlaczego w młodym wieku uległem magicznemu działaniu Wagnerowskiego geniuszu. Było to coś w rodzaju choroby. Później nazwałem ją moją „wagneritis”.

Podczas przerwy podawano kolację w parku przylegającym do i teatru. Józef, ujrzawszy mnie, zrobił minę winowajcy, czując, że sprawił mi zawód. Można sobie wyobrazić, jak zmieniła mu się mina, gdy opowiedziałem o swoich perypetiach. Wydał głośny! okrzyk i zaczął swoje ćwiczenia gimnastyczne. Zasiadliśmy do stołu przepełnieni entuzjazmem i szalenie podnieceni. Fanfary wezwały nas na powrót do teatru. Po tym niezapomnianym wieczorze wyczerpani wzruszeniami, położyliśmy się zaraz spać.

Wczesnym rankiem, przed powrotem do Karlsbadu, Józef wyszedł na miasto w poszukiwaniu biletów na następne przedstawienie Parstfala. Tym razem zdobył aż trzy dobre miejsca.

— Musimy zabrać z sobą Pawła — oświadczył.

Po powrocie do uzdrowiska nie przestawaliśmy opowiadać o naszych przeżyciach. Podziało to tak zaraźliwie, że niebawem wszyscy marzyli już o wyjeździe do Bayreuth. Nawet Paweł, który do Wagnera odnosił się dość chłodno, zaczął się nim żywiej interesować. Wieść o naszej euforii dotarła do sąsiedniego uzdrowiska, do Marienbadu, gdzie przebywała na kuracji pani Magdalena w towarzystwie Basi. Obie panie przyjechały do Karlsbadu. Poszedłem z nimi na herbaię do „Puppa”. Rozmowa toczyła się, rzecz jasna, wokół Bayreuth i Parsifala.

— Mama zdobyła bilet — powiedziała Basia. — Odkupiła go od jakiegoś pana, który nagle postanowił nie przerywać kuracji. Ale co będzie ze mną? — pytała, przywołując na pomoc cały ój urok.

— Na to nie można już nic, ale to absolutnie nic poradzić odparłem niewzruszony.

— Ale przecież t y masz bilet, nieprawdaż? — upierała Się-Nie miałem najmniejszej ochoty rozstawać się z biletem.

— Jedź z nami do Bayreuth, a zrobię, co będzie w mojej mocy powiedziałem. „W najgorszym wypadku — pomyślałem — b zmuszony wyrzec się dla niej jednego aktu”.

W dniu naszego przyjazdu do Bayreuth .Paweł namówił J abyśmy przeszli się po mieście; obiad jedliśmy w uroczej ^t!

320

Her", gdzie usługiwały kelnerki w bawarskich dirndl. Kuchnia aż panujący tu nastrój tak nam przypadły do gustu, że całkiem zapomnieliśmy o zegarkach. O trzeciej poczułem przyływ wyrzu-+ 'vv- sumienia z powodu Basi. Nie zrobiłem nic, żeby postarać się o bilet dla niej, a nie mogłem wprost myśleć o tym, że miałbym opuścić z jej powodu cały akt. O tak późnej porze jedyne, co mogłem zrobić, to zwrócić się do kasy. Nadzieje były znikome, ale otuchy dodawała mi myśl, że swój bilet mam tym razem w kieszeni. Kiedy zajmowałem miejsce w ogonku, przede mną stało już r,Q dwanaście osób. Czekałem nie denerwując się, lecz też bez cienia nadziei, gdy nagle podszedł przyzwoicie wyglądający mężczyzna i szepnął mi wprost do ucha:

— Proszę zapytać kontrolera o bilet dla Ottona Schultza — i oddalił się.

Byłem speszony; nie wiedziałem, co o tym sądzić. „To może być pułapka” — pomyślałem, przypominając sobie o skradzionym bilecie za mej poprzedniej bytności. Mimo wszystko oferta wydała mi się kusząca. Postanowiłem zrobić tak, jak powiedział nieznajomy.

Powtórzyła się ta sama scena co przed tygodniem: ten sam powolny przemarsz ludzi stojących przede mną, otrzymujących tę samą złowieszczą odpowiedź:

— Dziś nie mieliśmy żadnych zwrotów.

Przestraszyłem się, miałem ochotę uciekać, ale na to było już za późno. Zbliżyłem się do stolika, za którym trzech mężczyzn w ciemnych garniturach zasiedli jak sędziowie trybunału. Wyjąkałem cichutko:

— B-bilet dla O-t-t-ona Sch-sch-ultza — na co jeden z nich bez słowa wręczył mi kopertę.

— ile? \_\_ spytałem drżącym głosem, lecz w odpowiedzi usłyszałem:

— Nic, darmowy.

Oddaliłem się w kompletnym osłupieniu. Koperta zawierała bilet na miejsce w honorowej łoży, obok Cosimy Wagner.

Oddałem swój bilet rozradowanej Basi, zaś ten cudem zdobyty zatrzymałem dla siebie, żeby w wypadku jakichś kłopotów jej w to nie mieszać.

W teatrze zapanowała cisza, wygaszone światła, z kanału orkie-str>y dobiegły pierwsze majestatyczne tony uwertyury. I znów ta P^zna muzyka napełniła mnie nieopisanym wzruszeniem. Nigdy nj\_e zapomnę wspaniałej sztuki dyrygenckiej Karla Mucka. Pierwszy \*«t śpiewano jeszcze lepiej niż poprzednim razem, lecz uwagę moją 2°zpraszała tajemnica biletu oraz nieznajomego mężczyzny. Pewne ^kłócenie spowodował też zabawny incydent na widowni. Dama ledząca w jednym z dalszych rzędów miała na głowie przeogromny

321

kapeluszy przybrany strusimi piórami, którym zasłaniała w doczność wszystkim mającym miejsca za nią. Protestowali ' najpierw szeptem „Hut ab!” (zdjąć kapeluszy), potem zaczęli nieco ! głośniejszy sykać „Hut ab!”, aż wreszcie nieomal krzyczeli „Hut ! ab!” Dama początkowo usiłowała nie zwracać na to uwagi, choć doskonale zdawała sobie sprawę, czego od niej żądają. Wkrótce ! stało się jasne, że raczej umrze, niż zdejmie kapeluszy. Nie mogąc ' tego dłużej znieść, z twarzą wykrzywioną od wściekłości, wybiegła i nagle z teatru histerycznie szlochając „Tas de chameaux, tas de chameaux!” Basia wytłumaczyła mi później, że nieszczęsna Frañ- { cuzka miała włosy upięte w bardzo wymyślną koafiurę, do której f przyczepiony był kapeluszy, nie mogła go więc zdjąć, nie burząc całej fryzury.

Podczas dużej przerwy, zamiast dołączyć do reszty towarzystwa siedzącego przy kolacji, spacerowałem po całym parku, szukając tajemniczego mężczyzny. Ucieszyłem się, zobaczywszy go stojącego \ w pobliżu kasy i rozmawiającego z kontrolerem, który wręczył mi " kopertę.

Najwidoczniej z jego strony nie było się czego obawiać. Kiedy podszedłem bliżej, zawołał:

— Jak się panu podoba przedstawienie, młody człowieku? Pan jest muzykiem, prawda?

— Tak, jestem muzykiem. Nie wiem, komu mam dziękować za to wspaniałe miejsce — powiedziałem — ale pragnąłbym bardzo v dowiedzieć się, co się stało z panem Ottonem Schultzem. Roześmieli się bbaj.

— Niech się pan o niego nie martwi — odparł nieznajomy. — Otto Schultz nie istnieje. Zawsze zatrzymujemy w kasie jeden lub dwa bilety, na wypadek gdyby w ostatniej chwili zaistniała nagła potrzeba albo też dla gościa czy przyjaciela pani Cosimy Wagner. Po prostu nie mogliśmy znieść widoku zrozpaczonej twarzy, jaką pan tu prezentował już raz w zeszłym tygodniu.

Zarumieniłem się ze wstydu, że budzę taką litość, ale poczułem też wdzięczność za ich dyskretną i

wrażliwą reakcją. Oni zaś z przyjemnością usłyszeli, że wyrządzili grzeszność muzykowi darzącemu Wagnera istną namiętnością. Miałem opory, czy opowiedzieć przyjaciółom prawdziwą historię mego biletu. Bałem się, & będą się ze mnie śmiać. I rzeczywiście!

— Ty i te twoje miny — chichotał Paweł. — Ciebie to i diabeł by z piekła wypuścił, gdybyś tylko tak na niego popatrzył.

Wracaliśmy wszyscy do Karlsbadu w podniosłym nastroju, a gdy znaleźliśmy się już z Pawłem w naszym pokoiku na poddaszu przegadaliśmy całą noc. Mowa była o Parsifalu.

— Jestem kompletnie roztrzęsiony przez tego geniusza, teg Wagnera — powiedział, a po chwili jakimś dziwnym skojarzenie\*

322

myśli dorzucił: — Ty i ja nigdy do niczego nie dojdziemy... Jesteg-my zbyt leniwi, nie jesteśmy tak dobrzy.

— Zgadza się z tobą w zupełności — powiedziałem, zarażony jego pesymizmem.

Ktoregoś ranka Paweł i ja ćwiczyliśmy w Sali Zdrojowej jakąś sonatę na skrzypce i fortepian, gdy przysłuchujący się nam zarządca przerwał:

— Jaka szkoda, że nie możecie panowie dać w mojej sali koncertu!

— Dlaczego? — spytałem. — Czy to w tym mieście zabronione? — Nie, oczywiście, że nie — odpowiedział. — W zeszłym roku

zorganizowaliśmy koncert, ale zakończył się katastrofą. Nie udało nam się ściągnąć więcej niż dwadzieścia osób. Kuracjusze wcześniej chodzą spać, a miejscowi nie wydadzą pieniędzy na drogie bilety koncertowe.

— Zaraz, muszę pomyśleć... Może przyjdzie mi coś do głowy — powiedziałem.

Nagle poczułem, że bardzo pragnę tego koncertu. Całe wieki już nie występowałem przed publicznością. Wezwałem na naradę Józefa i Pawła, który wystąpił z bardzo sprytnym pomysłem: za bilety w pierwszych pięciu rzędach pobierać się będzie opłatę dwadzieścia koron (około pięciu dolarów).

— Większość naszych przyjaciół oraz ich znajomych to ludzie bardzo bogaci — wyjaśnił. — Przyjdą na pewno, a nie będzie im wypadało wykupywać tańszych miejsc. Resztę sali możemy roz-sprzedać po cenach minimalnych. Być może przyciągnie to trochę ludzi z miasta, którzy przyjdą choćby z samej ciekawości.

Pomysł przyjęliśmy natychmiast, tak samo zresztą zarządca, który salę oddał nam do dyspozycji za darmo. Ominęły nas wydatki na reklamę — zapewnił nam ją roczny kontrakt Sali Zdrojowej z miejscową gazetą oraz uliczne tablice ogłoszeń. My byliśmy odpowiedzialni jedynie za druk programów, ale otrzymaliśmy prawo sprzedawania ich za opłatą. Ułożenie dobrego repertuaru nie sprawiło nam trudności: jedna z sonat Beethovena na skrzypce i fortepian w wykonaniu Pawła i moim oraz cztery zestawy utworów solowych, granych kolejno przez każdego z nas. Józef z dumą zgodził się akompaniować Pawłowi; robił to zresztą często i doskonale.

Nasz koncert rozpoczął się o godzinie siódmej wieczór i zakonny\* Pełnym sukcesem. Paweł miał słusność. Pierwszych pięć rze-

°w wyprzedano w ciągu jednego przedpołudnia. Następných sześć Czy siedem świeciło pustkami, ale reszta miejsc, na które bilety

Przedawane były po cenie maksymalnie niskiej, wypełnił hałaśli-

323

wy, entuzjastyczny tłum. Zarobiliśmy na czysto przeszło trzy tysiące koron, sumę jak na owe czasy pokaźną. Zarządca dziękował nam wylewnie.

— Uratowaliście honor naszej Sali Zdrojowej — oświadczył z pa-tosem. — Teraz możemy z nadzieją spoglądać w przyszłość.

Nadeszła pora opuszczenia tego przedziwnego uzdrowiska. Wiek. \$zość przyjaciół zakończyła kurację i wróciła do domu. Jaroszyń-skiego, który zatrzymał się dłużej, niż zamierzał, wezwano do powrotu; musiał zająć się swymi licznymi sprawami majątkowymi. Obiecał, że spotka się z nami później w Warszawie. Paweł przed powrotem do Polski chciał jeszcze odwiedzić rodzinę w Lipsku. A ja? Ponieważ stałem się nieuleczalnym entuzjastą Wagnera, I postanowiłem pojechać do Monachium na otwarcie Festiwalu Wagnerowskiego w Prinzregenten (teatrze wzniesionym specjalnie dla wystawiania dramatów muzycznych Wagnera) i posłuchać, jak j wielki Felix Mottl dyryguje Pierścieniem Nibeluga, a na dodatek jeszcze Tristanem i Izoldą.

49

Monachium, stolica królestwa Bawarii, w 1908 roku krańcowo różniło się od miasta, które później mieliśmy poznać jako kolebkę hitlerowskiej potęgi, a także miejsce podpisania haniebnego traktatu.

Moje pierwsze wrażenia z tego miasta były jak najbardziej przyjemne. Na dworcu spotkałem sympatycznego, gadatliwego dorożkarza, który zawiózł mnie do hotelu „Vier Jahreszeiten”. Po drodze udzielił mi praktycznych wskazówek, które bardzo mi się przydały w trakcie pobytu. Dzięki nim potrafiłem — bez przepłacania — zdobyć bilety na wiele przedstawień, one też zaprowadziły mnie do niedrogiej piwniczki, gdzie jedzenie było proste, ale wyśmienite — Ulegając nieposkromionej namiętności zwiedzania, w ciągu jednego dnia dokonałem oficjalnego objazdu całego miasta. Złożyłem długą wizytę w Pinakotece, a także zwiedziłem trzy wspaniałe kościoły oraz wnętrze uroczego barokowego teatru Residenz, gdzie wystawiano operę Mozarta. Moją wyobraźnię wszakże rozpaliała romantyczna przeszłość miasta, tak ściśle związanego z Wagnerem: p<sup>^</sup> stojny młodociany król Ludwik II, którego namiętne uwielbienie\*

324

akim darzył mistrza, doprowadziło kraj na brzeg ruiny i omal nie Wywołało rewolucji; hiszpańska tancerka Lola Montez, metresa króla Ludwika I, która uciekła później z Lisztem, oraz najbardziej patetyczna historia — małżeńska tragedia Hansa von Biilowa. Ten genialny muzyk i fanatyczny wielbiciel Wagnera odważył się dyrygować światową prapremierą Tristana i Izoldy w Monachium. Kiedy on, pogrążony całkowicie w tej trudnej pracy, całymi miesiącami przeprowadzał próby, jego żona Cosima, córka Liszta, zbiegła z Wagnerem do Lucerny. Wywołało to ogromne zgorznienie. Prasa szydziła z nieszczęsnego Biilowa, a jednocześnie ostro atakowała szczęśliwą parę zakochanych.

Ale wszystko to należało już do zamierzchłej przeszłości w Monachium, do którego przybyłem — w roku 1908 całe miasto pławiło się w chwale twórcy Tristana. Kosztowny teatr Prinzregenten miał stanowić konkurencję dla Bayreuth; zresztą przewyższał go też pod wieloma względami — posiadał lepszą akustykę, wygodniejsze fotele i szlachetniejszą architekturę.

Złoto Renu stało się dla mnie objawieniem. Widziałem je już dawniej, ale nigdy nie przypuszczałem, że może tak brzmieć. Wszystko było doskonałe, a Felix Mottl wręcz fantastyczny.

W ciągu następnego dnia do tego stopnia pogrążyłem się w tej muzyce, że nie byłem w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko

o Wagnerze. Zamiast ćwiczyć, przegrywałem partytury Zygfyda, Tristana i wszystko, co tylko wpadło mi w ręce. Już pierwszego wieczora natknąłem się przypadkowo na dwóch śpiewaków, którzy współpracowali ze mną przy wystawieniu Salome w Paryżu; wzruszeni moim zapalem, ułatwili mi wejście na festiwalową salę prób. Miałem zaszczyt przysłuchiwać się dwóm pełnym próbom Tristana prowadzonym przez Mottla — było to niezapomniane przeżycie. Śpiewacy, obaj Bawarczycy, okazali się niezmiernie w oprowadzaniu mnie po wszystkich atrakcjach rodzinnego miasta. Po wspaniałych przedstawieniach Pierścienia oraz Tristana do późnej nocy dzieliliśmy się wrażeniami, zjadając parówki i popijając ciemne „Lbwenbrau”, jedyne piwo, jakie lubię. Zrewanżowałem im się, zapraszając ich później na obiad do siebie do hotelu.

Któregoś wolnego wieczora — obaj byli tego dnia zajęci — za-Pragnałem poznać bardziej wytworne życie miasta. Portier z hotelu Poleciał mi restaurację — rzekomo najlepszą w mieście — gdzie kywała na kolacji monachijska socjeta.

— W czasie kolacji gra tam cygańska orkiestra — powiedział.

Włożyłem najlepszy garnitur i udałem się na miejsce, spodziewając się dań bardziej wyrafinowanych od zawieszonych zup, knedli

1 Parówek, które jadałem codziennie. Restauracja nie zawiodła oih oczekiwań. Kelnerzy we frakach i białych muszkach, goście

325

wytworni, jedzenie wyglądało zachęcająco. Na estradzie Cyganie w czerwonych kaftanach szamerowanych złotem grali jakieś węgierskie melodie.

Kiedy maitre d'hotel zaprowadził mnie do małego stolika tuż przy orkiestrze, pianista nagle przerwał grę, wstał i wyszedł szybko bocznymi drzwiami. Pozostali członkowie orkiestry wyglądali na zdezorientowanych. Jeden z nich poszedł sprawdzić, co się stało. Wróciwszy, podszedł do mojego stolika.

— Nasz towarzysz odmawia powrotu i grania, jak długo pan znajduje się w restauracji —

oświadczył.

Krew uderzyła mi do głowy. „Jakiś antysemita” — pomyślałem.

— To skandal — odpowiedziałem z gniewem. — Nikt nie ma prawa zmusić mnie do opuszczenia lokalu.

s— Ależ pan się myli, mein Herr — wyjaśnił. — On po prostu obawia się pana.

Byłem zdziwiony. Któż, u Boga Ojca, mógł się mnie obawiać i dlaczego?

— Chciałbym porozmawiać z waszym pianistą — powiedziałem. — Muszę się dowiedzieć, o co tu właściwie chodzi.

Zaprowadził mnie do ciasnego pokoiku, który stanowił garderobę muzyków. Kiedy pianista poderwał się z miejsca, przyjrzałem mu się uważnie.

— Fritz, Fritz Miiller! — zawołałem.

Tak, to był ten sam Fritz Miiller, mój przyjaciel i rywal za naszych dawnych, berlińskich lat, obiecujący kompozytor, protegowany Joachima.

— A dlaczegoż, na Boga, ty się mnie obawiasz? — spytałem.

— Nie obawiam się, ale mi wstyd — odparł i rozplakał się. Nie mogłem tego znieść, sam byłem bliski płaczu.

— Jeśli moja obecność tak cię krępuje, to oczywiście, natychmiast wyjdę, ale musisz mi przyrzec, że jutro rano przyjdiesz do mnie do hotelu.

Obiecał, a ja wróciłem do mojej piwniczki na szynkę i kapustę z knedlami.

Fritz przyszedł wcześniej, więc zjedliśmy razem śniadanie. W normalnym ubraniu wyglądał zupełnie tak samo jak dawniej, nawet wiele nie urósł. Nie zadawałem mu żadnych pytań na temat jego grania w cygańskiej kapeli. Uważałem za rzecz naturalną, że P<sup>o</sup>~ potrzebował pieniędzy, by móc komponować nie przymierając g<sup>\*om</sup> dem.

— Dużo ostatnio pisałeś, Fritz? — spytałem.

— Nie — odparł. — Zostałem w Berlinie bez pieniędzy, uciekłem do Hamburga, gdzie przyjąłem pracę jako grajek niany. Spodobałem się i to otworzyło mi drogę do innej kariery-

326

Polubiłem granie lekkiej muzyki, a teraz tu, w Monachium, mam dobrą pracę w tym zespole i zarabiam sporo pieniędzy.

Byłem wstrząśnięty.

— Ależ Fritz — upierałem się — przecież nie możesz wyrzec się 3wego wielkiego talentu i zrezygnować ze wspaniałej kariery pianisty-wirtuoza i kompozytora!

— Muzyka poważna już mnie nie pociąga — powiedział. — Mam jej P<sup>o</sup> dziurki w nosie. Moje wczorajsze histeryczne zachowanie spowodowane było wyłącznie tym, że jesteś jedynym człowiekiem na świecie, który może sprawić, iż wstydzę się mego stroju i kawałków, jakie grywam. Zaproponowałem mu pomoc, chciałem zabrać go z sobą do Warszawy, ale wszystko na nic — mogłem mu jedynie życzyć powodzenia na nowej drodze.

Tristan i Izolda było ostatnim przedstawieniem festiwalu, a dla mnie ostatnim wieczorem w Monachium. Orkiestra i Mottl byli tak wspaniali, że usunęli w cień śpiewaków. Zapomniałem ich nazwisk i dopiero po wielu latach, kiedy usłyszałem duńskiego tenora Lauritza Melchiora oraz norweską sopranistkę Kirsten Flagstad, mogłem powiedzieć, iż byli to najlepszy Tristan i najlepsza Izolda w moim życiu.

Nazajutrz wyjechałem do Warszawy. Moja „wagneritis” dobiegła kresu.

Stary, śmierzący i odrapany, ale swojski hotel „Victoria” stał się schronieniem muzyków. Grzegorz Fitelberg, Karol Szymanowski i Paweł Kochański mieszkali tu jeszcze, a ostatnio przybył także młodszy brat Pawła, Eli, genialny wiolonczelista. Mój powrót przyjęto gromkim „Hurra!”

Poinformowano mnie natychmiast o rewolucyjnych przemianach, jakie dokonały się w składzie orkiestry filharmonicznej. Przez ostatni rok czy dwa, odkąd Emil Młynarski ustąpił ze stanowiska dyrektora i dyrygenta, ogromnie spadła frekwencja. Pod batutą występujących gościnnie drugorzędnych dyrygentów, a także wskutek niestarannego doboru repertuaru orkiestra wyraźnie podupadła. Cała instytucja znajdowała się na skraju bankructwa.

Sytuację uratowała hojność wielkiego mecenasa sztuki — księcia Władysława Lubomirskiego, który zobowiązał się przez całe osiem miesięcy sezonu koncertowego dofinansowywać orkiestrę i pokrywać /spodziewany deficyt. Postawił jednakże dwa warunki: jego Protegowany, Grzegorz Fitelberg, ma być mianowany generalnym dyrektorem i dyrygentem orkiestry, która odtąd nazywać się będzie nie Orkiestra Filharmoniczna, lecz „Orkiestra księcia Władysława Lubomirskiego”. Zarząd



zaakceptował zarówno ofertę, jak

327

i oba związane z nią warunki. Tak przedstawiały się sprawy w chwili mego przyjazdu.

Fitelberg był bez wątpienia doskonałym muzykiem i utalentowanym urygentem, lecz i człowiekiem pozbawionym skrupułów. Nie było dlań nic świętego; aby osiągnąć zamierzony cel, gotów byłby iść po trupach. Z zawodowego punktu widzenia był świetnym odtwórcą Ryszarda Straussa, Gustawa Mahlera i Maksa Regera. Jego bliska przyjaźń z Szymanowskim, na którego wywierał silny wpływ, i to zarówno muzyczny, jak i osobisty, opierała się na autentycznej wierze w geniusz Karola, a także na pełnej świadomości co do korzyści wynikających ze zdobycia opinii jedyne go autoryzowanego interpretatora twórczości polskiego kompozytora. Delikatny, wrażliwy i pełen kompleksów Szymanowski łatwo stał się ofiarą potężnej osobowości tego człowieka.

Nim jeszcze zdążyłem się umyć i rozpakować bagaże, do drzwi zapukał Fitelberg.

— Arturze — powiedział z czarującym uśmiechem — przynoszę ci dobrą wiadomość. Ciebie i Pawła wybrałem jako solistów na mój pierwszy koncert. Mógłbyś zagrać swego Saint-Saensa, a Paweł swego Czajkowskiego.

— Dziękuję ci, Ficiu — powiedziałem. — Będzie to naprawdę cudowny początek sezonu.

Oczywiście z przyjemnością zagram Koncert Saint-Saensa... Zwłaszcza że od dawna jest to mój popisowy numer.

Roześmiał się i już chciał wyjść, lecz zatrzymałem go.

— Poczekaj chwilę, nie wspomniałeś nic o honorarium. Spojrzał na mnie z przyganą.

— No wiesz, Arturze, nie spodziewałem się po tobie takiego pytania. Żądanie pieniędzy za grę z naszą orkiestrą to byłaby czarna niewdzięczność w stosunku do księcia Władysława. Paweł zgodził się, nawet nie wspomniawszy o tym.

Nie miałem wyboru, musiałem się zgodzić, choć bardzo mnie to niepokoiło. Zawsze żywiłem głębokie przeświadczenie, że każda praca zawodowa winna być wynagradzana, chyba że przeznaczona jest na cele dobroczynne. Paweł był tego samego zdania. Pocieszyły mnie nieco propozycje trzech koncertów na prowincji. Honoraria dawano skromne, ale przynajmniej miano mi płacić.

Zadzwoił Fryderyk, że jego matka zaprasza mnie na kolację. Podziękowałem, a serce waliło mi z emocji. Ciągle jeszcze był<sup>131</sup> pod ich urokiem, „Chyba nigdy już się od tego nie uwolnię” ~~ pomyślałem.

Ku memu zdumieniu i rdości ujrzałem Połę. Z trudem udało dc się ukryć wzruszenie, jakie ogarnęło mnie na jej widok. Moja n<sup>11</sup> łość nigdy nie wygasła. Wiedziałem o tym zawsze — tliła się ^e

328  
nie poprzez wszystkie wydarzenia minionych miesięcy — a teraz ^!oka mgnieniu buchnęła płomieniem.

Kolacja była jak zwykle ożywiona. Wśród gości zwłaszcza dwaj byli bardzo zabawni, a moja opowieść o przygodzie w Bayreuth odniosła duży sukces. Gdy po kolacji przechodziliśmy do salonu, pola na sekundę zatrzymała mnie w drzwiach i szepnęła nerwowo:

— Jutro o jedenastej na Poczcie Głównej.

przyszedłem kwadrans wcześniej. Na Poczcie zawsze było mnóstwo ludzi wchodzących i wychodzących, obawiałem się więc, że mógłbym jej nie zauważyć. Nagle poczułem czyjąś rękę, dotykającą mojej. To była Pola — przyszła jeszcze przede mną! W rogu sali Stał pulpit do pisania telegramów, usiedliśmy przy nim.

— Kocham cię — powiedziałem. — Kocham cię — odpowiedziała.

Długą chwilę nie mogliśmy wypowiedzieć ani słowa. Zobaczyłem lzy w jej oczach.

— Arturze — szepnęła — nie mogę już dłużej tak żyć. Chcę być z tobą. Czy potrafiłbyś jakoś załatwić, żebym mogła przyjść do ciebie nie widziana przez nikogo?

Przysięgam, że znajdę taką możliwość.

— A więc do jutra, w tym samym miejscu i o tej samej porze — uśmiechnęła się przez lzy. — Powiesz mi, co mam robić — uścisnęła mi dłoń i wybiegła.

Po powrocie do hotelu usiłowałem rozwiązać ten trudny problem. Główne wejście nie wchodziło w rachubę. Windy nie było, a największe zagrożenie stanowiła klatka schodowa. Pozostawało tylko jedno rozwiązanie, dość trudne zresztą. Hotel miał z boku szeroką bramę, przez którą wjeżdżały na podwórze konne wozy, aby wyładować tam przywieziony towar. Być może służyła także jako wejście dla służby. Istniała jednak pewna poważna niedogodność. Brama była zawsze zamknięta na klucz i

trzeba było dzwonić na stróża, żeby ją otworzył. Musiałem więc skontaktować się z owym Stróżem, innymi słowy — przekupić go. Tak właśnie postąpiłem.

Tego ranka oboje zjawiliśmy się na Poczcie punktualnie. Szeptem Przekazałem jej wskazówki: — Jedyne, co masz zrobić, najdroższa, to delikatnie pchnąć wielką bramę i wśliznąć się do środka; między czwartą a piątą będzie otwarta, nie musisz dzwonić. W środku są schody używane przez służbę, ale tylko z rana i wieczorem. Na pierwszym piętrze, na wprost schodów, znajdziesz mój pokój.

Zarumieniła się i cichutko szepnęła: ~~ przyjdę o czwartej. Już nie mogę się doczekać. Dzień ten noszę wyryty w pamięci, gdyż dał początek naszej Pięknej historii miłosnej. Dwa, trzy razy w tygodniu czekałem

329

w swoim pokoju, nadstawiając uszu na ciche skrzyknięcie bocznej bramy, a już w chwilę później miałem Połę w ramionach. Kochaliśmy się, gadaliśmy, gadaliśmy i potem znów się kochaliśmy. Byliśmy w siódmym niebie.

Inauguracyjny koncert „Orkiestry księcia Władysława Lubomirskiego” pod batutą Fitelberga stał się tryumfem dla wszystkich zainteresowanych; można by go nawet określić jako koncert galowy. Zaczęło się od tego, że sala była wyprzedana. Arystokracja polska, rzadko widywana na koncertach, tym razem pojawiła się w komplecie — przyciągnęła ją nowa nazwa orkiestry. Reszta publiczności, prawdziwi miłośnicy muzyki, byli zachwyceni możliwością posłuchania dwóch solistów zamiast jednego, nie mówiąc już o naturalnej ciekawości, jaką budził nowy dyrygent. Pochwały były jednomyślne, zarówno ze strony publiczności, jak i prasy. Sezon rozpoczynał się więc pod jak najlepszymi auspicjami. Wyglądało na to, że książę Lubomirski szczególnie zadowolony jest z mojej gry. Odbił ze mną długą rozmowę, głównie na temat Wagnera. On także przechodził właśnie atak „wagneritis”. Za przykładem nieszczęsnego króla Ludwika II Bawarskiego żądał od Fitelberga, by co rano prowadził kilka fragmentów Parsifala, podczas gdy on siedział sam jeden w pustej sali. Uskrzydłony miłością, rozpocząłem intensywne życie muzyczne. Paweł, jego brat Eli i ja stworzyliśmy doskonałe trio. Graliśmy wszystkie dostępne utwory Beethovena, Schuberta, Schumann, Brahmsa, tak że, wkrótce byliśmy gotowi do występów koncertowych. Ulubione miejsce prób stanowił pokój Zosi Kohn; próby te niekiedy przeciągały się i kończyły dobrze po północy kolacją przy\* rządzoną przez Zuzię. Koncerty w miastach prowincjonalnych stanowiły dla mnie okazję wzbogacania repertuaru, co było konieczne wobec częstych występów w Warszawie. W tym sezonie w samej tylko Warszawie dałem dwadzieścia jeden lub dwadzieścia trzy koncerty, i wciąż jeszcze jestem rekordzistą wszech czasów, jeśli idzie o ilość koncertów w jednym mieście w ciągu jednego roku.

Pewnego ranka mój szwagier Maurycy Landau wpadł do mego pokoju z gniewną miną. Nie zdejmując nawet kapelusza, wrzasną\* już od progu:

— Moja żona może być dumna ze swego braciszka, co? To skaJ3-dal zmuszać ją, by dla ciebie zastawiała biżuterię! I po co? Żeby\* ty mógł trwonić pieniądze po nocnych lokalach i całymi miesiącami wałkonić się w Berlinie! Twoja siostra była tak miła, że stała się to przede mną ukryć, ale ja i tak dowiedziałem się o wszy stkim. Lepiej oddaj mi zaraz kwity z lombardu. Mam nadzieję\* 2< nie zgubiłeś ich ani nie wyrzuciłeś!

330

poczułem się dotknięty i wściekły. Był to człowiek złotego serca, potrafił nawet zdobyć się na wspaniałomyślność, ale wszystko psuło jego wrodzone grubiaństwo. Bez słowa otworzyłem torbę podróżną, wyjąłem cenne klejnoty i wręczyłem mu je.

— Chciałem oddać je Jadzi osobiście — powiedziałem — ale pozbawiłeś mnie tej drobnej satysfakcji. A teraz chciałbym, żebyś sobie poszedł. Jestem zajęty.

Nie znajdując słów, schował biżuterię do kieszeni i wyszedł.

Historia ta miała piękne zakończenie. Szwagier po swej czarującej wizycie u mnie poszedł do jakiegoś baru na wódkę i przekąskę, a gdy wrócił do hotelu, okazało się, że kieszeń jest pusta — kosztowności znikły. Wyznaję ze wstydem — uważałem wtedy, że dobrze mu tak!

Fitelberg jeszcze trzykrotnie zapraszał mnie na występy w ramach swych koncertów abonamentowych, za każdym razem posługując się tym samym co zwykle, chytrym podejściem. Po prostu nigdy solistom nie płacił. Jednakże odnosiłem pewne korzyści, zdobywając nowe doświadczenia w grze z orkiestrą i wypróbując nowe, nieznanne utwory koncertowe.

Paweł i ja zaczęliśmy poważnie myśleć nad sprawą służby wojskowej, która lada dzień mogła nam

zagrozić. Pułkownik Strie-muchow obiecał pomóc, ale musieliśmy mu płacić z góry niekończącym się grywaniem sonat. Lekarz-Żyd, który wchodził w skład wojskowej komisji lekarskiej, załatwił nam odroczenie na rok, a dzięki naszemu pułkownikowi-nudziarzowi nie musieliśmy stawać na komisji poborowej. Nie wolno nam było wszakże opuszczać kraju, a nasze paszporty unieważniono. Za przysługę lekarz otrzymał, rzecz jasna, sporą sumkę pieniędzy.

W tym samym mniej więcej czasie zaproponowano mi koncert w Krakowie i drugi we Lwowie, a więc w dwóch najznakomitszych Po Warszawie i Łodzi miastach polskich. Zależało mi na przyjęciu tej propozycji, lecz paradoks — oba znajdowały się w Austrii, co znaczyło, że nie mogłem tam udać się bez paszportu. Mój dylemat rozwiązał wszakże wspomniany uprzednio lekarz. „/”””” Niech pan przyjdzie w południe do „Cafe Bristol”. Przy sto- u koło pierwszego okna zobaczy pan mężczyznę w czerwonym \*alvacie, zupełnie łysego. On panu pomoże.

drobiłem tak, jak mi poradził, a dzięki jego opisowi bez trudu °Poznałem nieznanego.

u Niech pan siada, napije się kawy — powiedział — i słucha ażnie. Nie może pan jechać do Krakowa rozkładowym podają? 1 n°cnym, bo tam nie mamy znajomości. Dlatego też proszę ać dziennym pociągiem do Częstochowy. Kiedy wieczorem

331

znajdzie się pan na miejscu, na dworcu będzie czekał inspektor policji, który zawiezie pana do hotelu. Niech go pan zaprosi na obiad do swego pokoju i nie żałuje wódki. Z samego rana osobiście przeprowadzi on pana przez niemiecką granicę, a potem wsiądzie pan do ekspresu jadącego do Krakowa. W sumie przyjedzie pan o trzy godziny później niż rozkładowym pociągiem z Warszawy. Brzmiało to dość dziwnie, ale nie miałem wyboru. Nieznajomy zażądał dwudziestu pięciu rubli; prawdopodobnie musiał podzielić się tą sumą z doktorem.

Wszystko przebiegło zgodnie z planem. Na dworcu oczekiwał już wyższy funkcjonariusz policji, który bezzwłocznie zaprowadził mnie do hotelu po przeciwnej stronie ulicy. Moje zaproszenie przyjął w sposób jak najbardziej naturalny, wszedł do pokoju i przywołał kelnera. Zamówiliśmy wędzone śledzie, cebulę i butelkę wódki; rozpoczęła się wręcz niewiarygodna pijatyka. Mój policjant wychylił półtora litra wódki; ja natomiast całymi godzinami pieściłem trzy kieliszki. Jego zakąskę stanowiły wyłącznie śledzie i mnóstwo cebuli. Ja, żeby nie zasnąć, zamówiłem omlet i kawę. Pijatyka trwała do szóstej nad ranem. Policjant śpiewał cygańskie romanse i mówił do mnie „Arturze”, ja musiałem nazywać go zdrobniale „Wasią”. Zdumiewający szczegół — nie był pijany! Wreszcie spojrzął na zegarek i powiedział:

— Arturze, czas na nas!

Zeszliśmy na dół, zapłaciłem rachunek i skierowaliśmy się w stronę niemieckiej granicy. Nie zatrzymywani przez nikogo, minęliśmy kontrolę paszportową i oto znalazłem się w Niemczech. Byłem śmiertelnie zmęczony. W dzień w pociągu trudno było zasnąć, bo na każdej stacji pasażerowie wysiadali i wsiadali. Wreszcie po pięciu godzinach dotarłem do Krakowa. Postanowiłem va-tychmiast położyć się do łóżka i odpocząć do chwili, kiedy będę się musiał przebrać przed koncertem.

Po drodze do „Grand Hotelu” zauważyłem, że afisze zapowiadające mój koncert mają naklejone w poprzek czerwone paski pa” pieru. Zaintrygowany, zatrzymałem dorożkę, żeby zobaczyć, co tam wypisano, i ku swemu przerażeniu przeczytałem: „Koncert Rubifl-steina odwołany z powodu trudności na rosyjskiej granicy”. Pop” chałem prosto do biura mego impresaria, by dowiedzieć się, c zaszło. Ujrawszy mnić, wprost nie chciał wierzyć własnym oczom

— Skąd się pan tu, u diabła, wziął? Dowiedziałem się, że aresztowano pana na granicy!

— Kto wymyślił taką historię? — spytałem z oburzeniem.

— Pański przyjaciel Szymanowski — padła odpowiedź.

— Co? Co takiego? Karol Szymanowski? On by na pewno go głupstwa nie palną!

332

Kiedy ochłonęliśmy, wszystko się wyjaśniło. Chodziło o innego Szymanowskiego, Aleksandra, zupełnie nie spokrewnionego z kompozytorem. Był moim entuzjastycznym wielbicielem, jeździł za l^ną krok w krok i nieraz dawał mi się porządnie we znaki. !\$ Warszawie wsiadł do nocnego pociągu, aby zdążyć na mój inauguracyjny koncert w Krakowie. Wiedząc o moich kłopotach paszportowych, popadł naturalnie w popłoch, gdy zdał sobie sprawę, że nie przyjechałem. Jego pierwszym pociągnięciem było powiadomienie impresaria o moim aresztowaniu. Według niego nie mogło być innego powodu mojej nieobecności na krakowskim dworcu.

Tego wieczora koncert został definitywnie odwołany, ale na szczęście następnego dnia sala była

wolna. Natomiast występ we Lwowie trzeba było przełożyć na wiosnę. Jediną korzyścią wynikłą ze zwłoki była możliwość wyspania się tej nocy. Mimo to przed koncertem czułem się bardzo zdenerwowany. Krakowska publiczność znana była z tego, że trudno jej dogodzić. Poza tym niepokoiło mnie jeszcze i to, że miałem pierwszy raz wykonać Wariacje na temat ludowy Karola Szymanowskiego, za które czułem się szczególnie odpowiedzialny. Byłem zdecydowany dołożyć wszelkich starań, by zapewnić temu dziełu powodzenie.

Koncert zaczął się od jednej z sonat Beethovena, którą ze zde-nerwowania zagrałem w sposób sztywny i naprężony. Reakcja publiczności była chłodna; dostałem bardzo nikłe brawa. Kiedy przyszła kolej na Wariacje, coś się ze mną stało. Można by to nazwać natchnieniem lub wolą zwycięstwa — tak czy inaczej nigdy w życiu nie grałem tego utworu z takim ogniem i namiętnością jak właśnie tamtego wieczora. Sukces był błyskawiczny. Publiczność wołała „Brawo!” i zmusiła mnie do wielokrotnego wychodzenia przed kurtynę. Kiedy schroniłem się w garderobie, drzwi otworzyły się i wszedł Aleksander Szymanowski. Wymuze-rowany i drżący, rzucił się na sofę i w przypiływie jakiegoś ataku nerwowego zaczął spazmatycznie szlochać. Biedak, cierpiał straszliwe katusze na myśl, że to właśnie on stał się przyczyną wszystkich nioich kłopotów! Wielki sukces, jaki odniosłem, wywołał w nim histeryczne poczucie winy, przemieszane z radością. Musieliśmy Wezwać lekarza, by go uspokoił.

!Pamiętny ten koncert stał się początkiem mojej popularności w "Zagranicznej" części Polski, popularności, której nigdy nie utraciłem. Do Warszawy wróciłem zaopatrzony w przepustkę pod-Jlsaną przez prezydenta miasta Krakowa, a wystawioną na cudze Nazwisko. Dowiedziałem się wówczas, że we wszystkich trzech za-°rach polskich działała rozbudowana organizacja, zaopatrująca ' fałszywe dokumenty tych, którzy ich potrzebowali w celu przemoczenia rosyjskiej granicy.

333

W Warszawie przez cały sezon życie biegło gładko; Nasze koncerty dzięki urozmaiconemu repertuarowi nadal stanowiły atrakcję. Występowaliśmy z orkiestrą, jako trio, duet, no i oczywiście dawa-liśmy też recitale solowe. Ponadto dobijano się o mnie w Łodzi i w wielu mniejszych miastach. Płacono niewiele, ale gdybym kiedykolwiek nauczył się oszczędzać, wystarczyłoby na moje potrzeby.

W naszym hotelu życie wprost kipiało — mieszkało w nim prze-cięż pięciu muzyków. Dzień i noc do któregoś z nas dzwonił telefon, a w całym hotelu był tylko jeden aparat, umieszczony w ciasnej budce koło recepcji. Ilekroć miewaliśmy wolny wieczór, wybieraliśmy się razem lub z osobna na koncerty, do teatru, na prośzone kolacje czy do kabaretu. Nigdy nie kładłem się spać przed drugą lub trzecią nad ranem.

Pewnego wieczora, około godziny dziesiątej, postanowiłem, kompletnie wyczerpany, położyć się wcześniej spać i choć raz należycie wypocząć. Ale u wejścia do hotelu kogóż spotykam, jak nie mego drogiego przyjaciela Pawła, który zatrzymuje mnie przy drzwiach i mówi surowo:

— Arturze, jeśli nie zmienimy trybu życia, to wylądujemy w szpitalu, nerwowo załamani. Trzeba z tym skończyć. Ja już się zdecydowałem i wzywam ciebie, abyś uczynił to samo. A teraz, ponieważ nie jest jeszcze późno, możemy rozegrać partyjkę pikiety, tak do jedenastej.

Poszedłem do jego pokoju, ucieszony, że Paweł myśli tak samo jak ja; ochoczo rozpoczęliśmy grę, oczywiście o drobne stawki. Obaj jednak odznaczałiśmy się nieprzeparłą wolą wygranej, obaj też rościliśmy sobie prawo do mistrzowskiego tytułu w tej starej i zawilej grze. Pierwszą rundę wygrał Paweł.

— Podwajamy stawkę — powiedziałem krótko.

Paweł zgodził się i wygrał po raz wtóry. Tego już nie mogłem znieść: zegraliśmy o wszystko lub nic i tym razem pobitem go. Ale teraz Paweł domagał się rewanżu. Tymczasem wybiła już północ, ale odmówić nie mogłem — byłoby to nie fair! Graliśmy dalej. Na świstku papieru Paweł notował wygrane i przegrane; żaden z nas nie chciał zgodzić się na przerwanie gry, a więc grali> zapominając o czasie. Dopiero o siódmej rano promienie słońca zalały pokój, a wilczy apetyt na śniadanie przywrócił nam roziw11-

Paweł przegrał astronomiczną sumę tysiąca trzystu rubli ffiv dolarów), oczywiście nfv kredyt i na papierze, który podarliśmy ^a kawałki. Żadnemu z nus nie przyszłoby nawet do głowy spłacani takiego długu — ledwie starczyło nam pieniędzy na śniadanie. Al( też żaden z nas nie odważył się już nigdy wspomnieć o chwale\*3 nym zamiarze zmienienia trybu życia.

334

50

Rano obudził mnie natrętny dzwonek telefonu. Mówiła pokojówka Poli-

— Pani jest w ogromnym niebezpieczeństwie! Pan i matka grożą, pani, że ją zamordują, biją ją, wzywa ratunku...

Rzuciłem słuchawkę i pobiegłem do siebie do pokoju, szybko ubrałem się i wyleciałem szukać dorożki. Kiedy wreszcie dotarłem do mieszkania Poli, drzwi otworzyła mi pokojówka.

— Poszli już — powiedziała — i zabrali dzieci. Pani jest w swojej sypialni.

Ukochaną słodką Połę zastałem na łóżku jęczącą. Pokazała mi siniaki na całym ciele. Głowę miała spuchniętą.

— Ukradli mi moje dzieci! — płakała rozpaczliwie. — Chcą mnie zamknąć w domu wariatów! Musisz mnie ratować, Arturze, musisz!

Trzeba było natychmiast coś postanowić.

— Powinnaś najbliższym pociągiem wyjechać z kraju — powiedziałem. — Moje siostry, Jadzia i Hela są w Bad Reinerz 1... To uzdrowisko w zaborze pruskim, niedaleko granicy. Ubierz się i niech pokojówka spakuje ci rzeczy, ja za godzinę po ciebie przyjadę.

Ucałowałem ją z czułością i pobiegłem nadać pilną depeszę do Jadzi, a potem do Zosi, aby jej opowiedzieć całą historię i prosić o pomoc w zorganizowaniu wyjazdu Poli.

Po namyśle zaproponowała, że sama odwiezie Połę na dworzec. Aleksander Szymanowski, zawsze skory do pomocy, pojedzie z bagażami za nimi, w drugiej dorożce, w ten sposób cała operacja przebiegnie możliwie niepostrzeżenie. Ja zaś miałem czekać na Połę w pociągu. Plan ten zrealizowaliśmy w najdrobniejszych szczegółach. Pola miała paszport, bilet oraz trochę pieniędzy — a więc wszystko było w porządku. Pociąg ruszył. Siedzieliśmy w milczeniu i patrzyliśmy na siebie wzrokiem pełnym^sniutku, aż Areszcie na ostatniej stacji przed granicą trzeba się było rozstać.

Jeszcze tylko długi, przepojony żalem pocałunek — i musiałem

ysiąć z pociągu. Stałem na peronie samotny, ze złamanym ser-<sup>em</sup>- Wprawdzie siostry telefonowały i kazały mi o nic się nie j \*rwić; obiecały, że zaopiekują się Połą, i byłem pewny, że słowa

trzymają — obie były dobrymi kobietami — jednak dotkliwie

1 Duszniki Zdrój (przy\*), tłum.).

335

dawało mi się we znaki poczucie odpowiedzialności moralnej, bo to przecież ja nakłoniłem Połę do zrobienia tego fatalnego i niebezpiecznego kroku, nie mając żadnych pomyślniejszych widoków na najbliższą przyszłość. W drodze powrotnej do stolicy nerwy odmówiły mi posłuszeństwa. Musiałem pobiec do toalety, gdzie wymio towałem i płakałem przez dobre pół godziny.

Po powrocie do Warszawy czyniłem ogromne wysiłki, by odży skać równowagę ducha; postanowiłem nawet udać się na końce i posłuchać poematu symfonicznego Tako rzecze Zaratustra szarda Straussa pod batutą Fitelberga. Nie spodziewałem się, muzyka dostarczy mi jakichś wzruszeń lub ześle ukojenie; w działałem tylko, że ważne jest, aby tego wieczora widziano mn w miejscu publicznym. Karol i Paweł mieli miejsca w łoży, więc dołączyłem do nich. Wszystko wyglądało normalnie i nic nie wskazywało na to, że ktoś wie o tym, co zaszło. Po koncercie w szatni zauważyłem państwa Harmanów, stojących w pobliżu drzwi wyjściowych. Na mój widok pan Harman podniósł laskę i zaczął mnie obrzucać ordynarnymi wyzwiskami. Rozwścieczony jego zachowaniem, podszedłem^ do niego, wyrwałem mu laskę z ręki, przełamałem na pół i bez słowa rzuciłem mu pod nogi, po czym wyszedłem z hallu; Karol i Paweł przyglądali się temu w kompletnym osłupieniu. Kiedy zdałem im szczegółową relację o wydarzeniach dnia, strąpili się na dobre.

— Paskudna historia — powiedział Paweł. — Niełatwo ci się będzie z tego wykaraskać. A w ogóle to czy masz zamiar namawiać ją do rozwodu i ożenić się z nią?

— Z pewnością nie — odpowiedziałem. — To w ogóle nie wchodzi w rachubę. Po pierwsze — jest katoliczką, a więc nie może się rozwieść, a po drugie w obecnym stadium mojej kariery artystycznej nie byłbym w stanie zapewnić żonie utrzymania. Zresztą muszę szczerze przyznać, że nie leży w mojej naturze żenić się z kobietą starszą ode mnie, a poza tym matką nie moich dzieci.

— A więc ty nie kochasz jej naprawdę — stwierdził Karol nieco poruszony.

— Jak możesz mówić coś podobnego! — zawołałem z oburzeniem. — Kocham ją bardziej niż kiedykolwiek, uwielbiam ją! \*^a szlachetne serce, jest śliczna, inteligentna i muzykalna. Dzięki j< miłości wyzwoliłem się spod tego szatańskiego uroku, jaki jej & dzina na mnie wywierała... Od \* ej ich nieodpartej siły przyciągania która omal nie doprowadziła mnie do moralnego zepsucia. Jedyny

na czym mi w tej chwili zależy, to bezpieczeństwo Poli; a co o reszty — to jeszcze zobaczymy! Paweł wcale się nie mylił, mówiąc o „paskudnej historii”. \* często się już następnego dnia. Cała Warszawa nagle zaczęła spr\*

336

-wiać wrażenie, jak gdyby wszyscy wiedzieli wszystko o mnie • 0 moich perypetiach z tą rodziną. W kronice skandali pojawiły się drwiące kuplety o matce, córce, bracie i siostrze. Niektóre gazety traktowały mnie jak żigolaka polującego na pieniądze bogatej dziewczyny, także jej ojciec często był celem kpin.

Opinia publiczna podzieliła się. Przyjaciele oraz bywalcy moich koncertów stanęli w mojej obronie, czasem nawet w sposób — jak na mój gust — zbyt agresywny, ale zauważyłem też oznaki potępienia i surowej krytyki ze strony tak zwanego przyzwoitego towarzystwa.

Zniknięcie Poli stanowiło główny temat domysłów. Wielu udawało, że zna jej miejsce pobytu, ale tajemnica była dobrze strzeżona, a moja obecność w Warszawie pozostawała zagadką.

W tych trudnych chwilach najbardziej zabolą mnie reakcja Fryderyka. Nie przywiązywałem większej wagi do tego, co inni członkowie rodziny mieli do powiedzenia. Ojciec, zaślepiony złością, twierdził, jakoby starał się wymusić od niego pieniądze; matka nazwała mnie diabłem w ludzkim ciele. Basia przebywała w Berlinie, przygotowując się do swego debiutu operowego, ale Fryderyk? Zwierzyłem mu się ze wszystkiego, co dotyczyło Poli i mnie, a on udzielił nam braterskiego błogosławieństwa. Teraz, rzecz jasna, ojciec zagroził mu cofnięciem pomocy finansowej, jeśli kiedykolwiek odezwie się do mnie słowem; zdawałem sobie doskonale sprawę, że brak mu odwagi, aby się temu sprzeciwić, ale mógł przynajmniej napisać do mnie parę słów lub spróbować spotkać się ze mną po kryjomu, już choćby tylko w trosce o siostrę.

Spotkałem go tylko jeszcze jeden raz w życiu — po wielu latach, już po I wojnie światowej. Było to po jednym z moich koncertów w Warszawie. Wpadł do garderoby z tak dobrze znanym mi entuzjazmem i zupełnie nieoczekiwanie poprosił, żebym wyszedł z nim, że chciałby porozmawiać. Chętnie zgodziłem się, nie mogłem się jednak wykręcić od udziału w kolacji wydanej na moją cześć. W trzy lata później, siedząc na tarasie kawiarni w Pernambuco, w Brazylii, przeczytałem w miejscowej gazecie, że Fryderyk zmarł na atak serca w trakcie dyrygowania uwerturą do Śpiewaków n°rynburskich w sali Filharmonii w Warszawie.

%ł to dla mnie bolesny wstrząs; przez wiele dni nie mogłem niczym innym myśleć. Biedny Fryderyk miał chwalebny śmierć — jttarł w chwili największego muzycznego uniesienia. Dowiedziałem Później, że stało się to właśnie wtedy, gdy doszedł do kulmi-yj punktu uwertury, którą zawsze tak kochał — wtedy to odmówiło mu posłuszeństwa. Jego matka słuchała tego kon- przez radio . z radia dowiedziała się o jego tragicznym

337

51

Otrzymałem od Poli list — pełen pochwał pod adresem moich.: sióstr, które znalazły jej przyjemny pokój, okazały się miłe i nie wścibskie. Reszta listu była wzruszająca — o dzieciach, o naszej miłości, o tamtym straszliwym ranku w Warszawie, o całej sytuacji. Pola skontaktowała się z Basią: siostra gorąco radziła jej przyjechać do Berlina; miała doprowadzić do spotkania Poli z ojcem. Co ja o tym sądzę? Czy powinna się z nim zobaczyć? Moja odpowiedź brzmiała: „Tak, oczywiście”.

Miałem nadzieję, że po mimo wszystko dopomoże jej w odzyskaniu dzieci, a nasza miłość ukaże mi się w lepszym świetle. Bądź co bądź — ślepa, mściwa wściekłość jej matki było to nic innego, jak tylko dziki paroksyzm zazdrości, uczucia, którego mąż z całą pewnością podzielać nie mógł.

Pola wyjechała do Berlina, a ja w napięciu czekałem na wynik tego przełomowego spotkania. W parę dni później przysłała mi pełne sprawozdanie: rozmawiał z nią spokojnie, niemal dobrotliwie, obiecał jej pomoc w odzyskaniu dzieci i comiesięczną pensję. Ale postawił warunek: miała udać się do sanatorium na wypoczynek, który jest jej niezbędnie potrzebny, który ukoji jej nerwy i pozwoli jaśniej ocenić sytuację. Sanatorium znajdowało się na przedmieściach Berlina, miała tam pozostać przez cały miesiąc, przyrzekłszy, że przez ten czas nie będzie kontaktować się z nikim, zwłaszcza ze mną. „W ten sposób, moje dziecko, może wreszcie zdołasz odzyskać zmysły” — powiedział jej na pożegnanie.

List ten nie tylko nie dodał mi otuchy, lecz przeciwnie — bardzo mnie zaniepokoił. Z natury jestem podejrzliwy, przyznaję, ale takie ojcowskie podejście nie pasowało mi do całej jego osobowości i obawiałem się, że próbuje wywieść ją w pole. Za późno było fi2 jednak na ostrzeżenia — przyjęła jego warunki i była w drodze do sanatorium.

Przecucie nie myliło mnie. Jeszcze w tym samym tygodniu otrzy; małem z Niemiec list, na którym moje nazwisko i adres wypisać były obcym charakterem pisma. W środku znalazłem krótki bil®" ciki od Poli, którego treść sprowadzała się do tego, żebym w oabliższy piątek o jedenastej w nocy czekał na nią w dorożce Pr2 bramie sanatorium (tu następował adres).

Nie miałem chwili do stracenia. Paweł na wszelki wypadek P02 czył mi trzysta rubli. Od znajomego z> „Cafe Bristol" dostałem \*\*\* ny paszport i jeszcze tej samej nocy wsiadłem do berlińskiego 1 338

c-ąU. Znalazłem nie rzucający się w oczy hotel przy cichej ulicy i zarejestrowałem się jako małżeństwo: „Żona przyjeżdża wieczom» —, powiedziałem urzędnikowi w recepcji. O dziesiątej wieczór znalazłem dorożkę zaprzężoną w dobrego konia i podjechaliś-my pod sanatorium; droga zajęła nam dwadzieścia minut. Ulica pogrążona była w ciemności. Kazałem zatrzymać się niedaleko bramy i czekałem. Mniej więcej piętnaście po jedenastej usłyszałem krótkie skrzypnięcie bramy i zobaczyłem Połę, która z walizkami w obu rękach biegła w stronę dorożki. Wskoczyła i padła mi w ramiona. W drodze powrotnej do hotelu z trudem mogła mówić; tuliła się do mnie, płacząc i śmiejąc się na przemian. Ścisnąłem ją mocno, całowałem po oczach, ustach i rękach — znów byliśmy razem i to b5'to cudowne! A potem opowiedziała mi, co zaszło.

— Kochany, to sanatorium to nic innego jak klinika dla umysłowo chorych, prawdziwy dom wariatów. Ojciec mnie tam zawiózł i rozmawiał z miłym, uśmiechniętym lekarzem, który zapewniał, że będę się tam bardzo dobrze czuła i że dobrze wypocznę. Kiedy ojciec odjechał i zaprowadzono mnie do pokoju, zauważyłam żelazne kraty w oknie. Później, na korytarzu, widziałam przeraźliwie blade twarze pacjentów i nagle zrozumiałam, gdzie się znalazłam. Na szczęście mój przypadek uznano za lekki, pozwolono mi więc spacerować po ogrodzie bez asysty. Mężczyzna pilnujący bramy miał sympatyczny wyraz twarzy. Instynktownie wyczułam, że pragnie mi pomóc. To właśnie on mimo grożącego nam obojgu niebezpieczeństwa przesłał ci mój list i przygotował ucieczkę. Nie chciał nawet przyjąć żadnej zapłaty.

Weszliśmy do hotelu Schmidta jako mąż i żona, i była to nasza pierwsza wspólna noc, a miłość pozwoliła nam zapomnieć o wszystkich kłopotach.

Po powrocie do Warszawy Pola pojechała wprost do skromnego, ale wygodnego pensjonatu, gdzie znalazła przytulny pokój, ja zaś Wróciłem do starej, pocziwej „Victorii".

Więć o ucieczce Poli z „sanatorium" wstrząsnęła panem Harmanem. Bardzo był z siebie zadowolony, że chwilowo tak zręcznie jej SIS pozbył.

lak więc doszło do ostatecznego zerwania. Odtąd nie miała do-•SPu ani do domu, ani do dzieci, ale przynajmniej dysponowała

lewiekim miesięcznym dochodem, ponieważ jej dziadek pewną 5^ pieniędzy zapisał w testamencie wnukom.

3 warunki życia w Warszawie zupełnie się zmieniły. Skoń- się beztrudne dni, nocne wyprawy do restauracji i kabaretów, ^iij do hotelu „Victoria". Plotka i obmowa święciły tryumfy. nual nie tylko nie przycichł, lecz przeciwnie — przekształcił v istną l'affaire. Dochodziły mnie echa rozgłaszanych przez

339

pana Harmana insynuacji, jakoby moja ucieczka z jego córką l była po prostu zwykłym szantażem. Tego było mi już nadto. Ułoży-j tem dokument, w którym przysięgałem na moją cześć, że nigdy nie tknę grosza z pieniędzy Poli ani też jej rodziny. Kanonik kościoła katolickiego, którego poznałem u Harmanów i który darzył mnie sympatią, poręczył to oświadczenie i obiecał zanieść je osobiście panu Harmanowi. Odtąd te obrzydliwe insynuacje ustały, Na szczęście, miałem jeszcze kilka umówionych koncertów, ale sezon dobiegał końca i z drżeniem czułem, jak nad głową znów zaczynają mi się gromadzić ciemne chmury długiego lata. Naj- | bardziej jednak cierpiałem dlatego, ponieważ ten okropny skanda] pohańbił i splamił naszą miłość. Nasz słodki sekret, owa intymność i tajemniczość naszych spotkań znikły bez śladu. Moje wizyty w pokoju Poli mogły trwać nie dłużej niż kilka minut, natomiast ona wzbraniała się przychodzić do mnie do hotelu, tak więc przebywać razem mogliśmy wyłącznie u Zosi lub też spotykać się ukradkiem w jakiejś nie uczęszczanej kawiarni, barze czy cukierni.

Teraz, dla kontrastu, koniecznie powinno nastąpić „komiczne odprężenie", tak drogie sercom filmowców, równie dobrze więc i ja mogę w tym miejscu opowiedzieć anegdotę o facecie nazwiskiem Kapnik.

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

W początkach sezonu koncertowego jakiś nieśmiały młody czło- (wiek zaczął mnie podczas przerwy w hallu Filharmonii. Był niski, miał bezbarwne, jasne włosy, wyblakłą twarz i wielkie smutne oczy.

— Pułkownik Striemuchow przysłał mnie do pana po radę — zwrócił się do mnie prawie szeptem.

^ — Pan jest pianistą? — spytałem. — Nie, śpiewakiem — odparł.

— Cha, cha, cha — roześmiałem się. — A więc zwrócił się pa° pod niewłaściwy adres. O śpiewie nie mam zielonego pojęcia.

— Jednak pułkownik zapewnił mnie, że jest pan jedynym człowiekiem, który może mi poradzić — upierał się.

Wiedziałem, że nie mogę sobie pozwolić na lekceważenie życzeń pułkownika.

— No więc dobrze — powiedziałem. — Jutro o dziesiątej przyjdź do mnie do hotelu i przynieść z sobą jakieś nuty.

Nazajutrz rano zupełnie zapomniawszy o nim, spałem JeSZC . kiedy zapukał do drzwi.

Wyskoczyłem z łóżka, naciągnąłem \$zi rok i wpuściłem go do pokoju.

Bez słowa zabrałem mu nuty, które trzymał w ręku, podszed do fortepianu, położyłem je na pulpicie i czekałem, aż zac śpiewać. Ale nieznajomy milczał.

— Na co pan czeka? — spytałem. — Będę panu akompaniował. No więc, śpiewaj pan!

— Ja jeszcze nie śpiewam, nie znam jeszcze żadnej pieśni, ale rnam znakomity głos — powiedział.

— Więc po co, u licha, przyniósł pan nuty?

— przecież sam pan kazał...

— Ależ to szaleństwo — rozgniewałem się. — Nie znam się na głosach... Zresztą dobrze, niech mi pan da jakąś próbkę.

Wydał z siebie długi, donośny dźwięk, bez żadnej wibracji, trochę przypominający puzon. To przesądziło sprawę. Podeszedłem do biurka i napisałem krótki liścik.

— Tu ma pan list polecający do wielkiego basa, Edwarda Reszke, który mieszka w Warszawie. On będzie mógł panu powiedzieć, czy pañ ma głos czy nie — i nie zwracając już więcej na niego uwagi, zrzuciłem szlafrok i wróciłem do łóżka, lecz w tym momencie drzwi znów się otworzyły i stanął w progu.

— Strasznie choruję na żołądek — powiedział spoglądając na mnie zażawionymi, jasnoszarymi oczyma. — Jest tylko jedno lekarstwo, które może mi przynieść ulgę, ale kosztuje pięć rubli, a ja jestem bardzo biedny. Czy mógłby mi pan pomóc?

Miałem wszystkiego trzydzieści rubli, ale dałem mu pięć, o które prosił, nie dlatego jednak, że litowałem się nad jego dolegliwościami, bynajmniej — po prostu chciałem się go pozbyć, a jednocześnie przypodobać pułkownikowi. Nie wiedziałem jeszcze, jak brzemienny w skutki był to gest i że wpadłem w straszliwą pułapkę. Ten człowiek była to istna pijawka, wampir, diabeł wcielony — nigdy mi nie darował! Zawsze wiedział, kiedy miałem dostać jakieś pieniądze, i zawsze wtedy pojawiał się przy mnie, wpatrując się tymi swoimi przekłętymi kaprawymi oczkami. Jeśli próbowałem się Przed nim ukryć, potrafił przez cztery, sześć, a nawet osiem godzin przesiedzieć na ławce na skwerze, obserwując wejście do hotelu 1 Przyłapywał mnie za każdym razem. Trwało to jakieś dwa lub trzy ata. Stałem się pośmiewiskiem wszystkich przyjaciół. Paweł podrwiwał sobie ze mnie:

„Dlaczego się z nim nie ożenisz?” albo: „Dla-^zego nie wezwiesz policji?” — ale nic nie pomagało.

Nie miałem Psc sił, żeby mu się oprzeć, i w dalszym ciągu dawałem mu pie-tr h e" ^Piewak\*em nie został nigdy; Reszke nie zadał sobie nawet

udu, by odpisać na mój liścik, jeśli zaś idzie o pułkownika, do-ił się, że nigdy go do mnie nie przysyłał.

ta ma za^awne zakończenie: po wielu latach koncerto-któ 6rn ^ Petersburgu w wielkiej sali Zgromadzenia Szlacheckiego, cj0 ® pieściło się naprzeciwko mego hotelu. Zbliżałem się właśnie c-, eJścia dla artystów (mróz był 25 stopni), gdy zatrzymał mnie ^d człowiek, prosząc o bilet.

341

— Nie mam żadnych biletów. Proszę mnie przepuścić j zimno! — powiedziałem rozgniewany.

— Ależ pan jest bliskim przyjacielem mojego brata — powied7i nieznajomy.

a\*

— Jak się nazywa pański brat?

— Kapnik — odpowiedział.

Wydałem okrzyk przerażenia, wbiegłem do środka i zatrzasnął za sobą drzwi. Serce waliło mi tak,



jak gdyby rzuciła się na jadowita zmija.

Opowiedziałem tę historyjkę tak szczegółowo, aby przestrzec moich czytelników. Po świecie kręci się wcale niemało ludzi do kroju Kapnika. Żydzi mają dla nich specjalną nazwę: mówią na nich „sznorerzy”. No cóż, mojemu Kapnikowi muszę przyznać tytuł Króla Sznorerów.

y \*

52

Paulina Narbuttowa była wdową po emerytowanym generale rosyjskim, starszym od niej o jakieś trzydzieści lat, który pozostawił jej cały swój majątek, w tym wielką posiadłość ziemską i duży dwór. Wysoka blondynka lat około czterdziestu, o atrakcyjnej figurze, wystających kościach policzkowych i jasnoblękitnych oczach, odznaczała się niezwykłą witalnością i inteligencją. Ta polska Żydówka o tajemniczym pochodzeniu (nigdy nie wyjawiała swego panieńskiego nazwiska ani też nazwy miejscowości, w której się urodziła) stała się sercem i duszą środowiska intelektualnego i artystycznego Warszawy. Moje niezdarne próby opisanie jej są wyrazem głębokiej wdzięczności, jaką żywię dla tej wspaniałej kobiety. Zawdzięczam jej jeden z najszcześniejszych okresów mojej młodości. Namiętna rzeczniczka mojej sprawy przeciwko Harmanom, zaprosiła Połę i mnie, byśmy spędzili z nią kilka tygodni na wsi. Istny dar niebios! Oznaczało to nie tylko niemałą ulgę w kłopotach finansowych, ale i zapowiedź błęgiego diodowego miesiąca kochanków.

Pani Paulina była gospodynią idealną; nigdy nie ciążyła nam jej obecność. Mogliśmy się spóźnić na obiad lub kolację, mogliśmy bez słowa wyjaśnienia zniknąć na cały dzień, mogłem przez całą noc grać na fortepianie — nic jej nie przeszkadzało, do niczego się nie wtrącała.

Nasz pokój był duży i słoneczny, a jego okna wychodziły na ód. Wygodne wiejskie meble, bielone ściany, półki pełne war<sup>o</sup>g/ciowych książek, codziennie świeże kwiaty — wszystko to sprawa. J0 ze nie mieliśmy w ogóle ochoty wychodzić. Wpani domu miała oprócz nas jeszcze dwóch innych gości: poetę i dramaturga Tadeusza Micińskiego oraz legendarnego, cudownego pranca Fiszera. Miciński, mistyk, pisywał dramaty i wiersze najwyższych intelektualnych lotów. Polskie koła literackie ceniły go wysoko, ale trudny styl sprawiał, że jego twórczość była mało dostępna dla mas. Kiedy teraz, z perspektywy lat spoglądam na jego dzieła, odnajduję w nich niejaki pokrewieństwo z francuskim poetą Paulem Claudelem.

Drugi z gości, Fiszer, był jedną z najbarwniejszych postaci, jakie w życiu spotkałem, Wysoki, bardzo otyły, szpakowaty blondyn, którego szlachetna broda i wąsy upodabniały do hidalga z obrazu Velazqueza, miał małe błyszczące złośliwością oczka, mocny prosty nos i duże uszy. Kiedy go poznałem, był już po pięćdziesiątce, ale mnie wydał się człowiekiem bez wieku: Falstaff z wyglądu, o dowcipie i inteligencji Woltera, a sądząc po trybie życia — można by go określić jako przedsartrowskiego egzystencjalistę.

Pola i ja lubiliśmy przebywać w towarzystwie tych ludzi. Dyskusje i spory, krzyki i śmiechy, trzymały nas przy stole całymi godzinami. Stentorowy, deklamatorski głos Fiszera nieodmiennie górował nad wszystkim: przegadać nie potrafił go nikt!

Na to, aby skreślić wierny portret tak barwnej osobowości, trzeba by wielkiego pisarza, ja poprzestanę więc tylko na kilku szkicach, na kilku migawkach naświetlających jego charakter. Franc był potomkiem jednego z bohaterów polskiego powstania; był właścicielem niewielkiego majątku ziemskiego pod Warszawą, ale wieś nudziła go. Rozległa wiedza, a także umiłowanie literatury

1 sztuki nieodparcie przyciągały go do Warszawy, gdzie dołączył się do grupy młodych, utalentowanych pisarzy i poetów. W jednej z Popularnych kawiarni co wieczór rezerwowano dla nich duży, na-rożny stółik.

Fiszer był niebywale rozrzutny — młodych przyjaciół podejmował kawiozem i szampanem, zapraszał ich na kolacje do najdroższych lokali, rozdawał pieniądze każdemu, kto go o to poprosił. Do LruPy dopuszczono jednego jedyne go outsidera — nieśmiałego urzędnika bankowego, kawalera w średnim wieku, namiętnego Nośnika poezji. Raz, późnym wieczorem, Fiszer spytał go: n ~t ^ie ma pan PrzyPadk\*em u siebie w mieszkaniu jakiejś sofę, a której mógłbym się przespać? Zostałem bez grosza, a pora jest

2 z<sup>o</sup>yt późna, żeby wracać na wieś.

~~~ ^leż oczywiście, będzie pan bardzo mile widziany — odpo-ział.

342

343

Od tego czasu Fiszer u niego zamieszkał. Musiał sprzedać całą majątek, aby móc pospłacać długi, i

teraz był szczęśliwy, że wre, cie uwolnił się od „brudnej mamony”. Pan domu dumny był z te że mógł go gościć, a wszyscy, którzy się z Francem stykali, ws rali go — zaopatrywali w gotówkę, podejmowali jadłem i nap kiem. Ten nowożytny Diogenes był filozofem, który szczegóół: przypadł mi do serca. Swych genialnych myśli nigdy nie przele na papier ani nie publikował, ponieważ — jak mi wyjaśnił — k dy dzień przynosi mu nowe pomysły i zmiany w jego świa poglądzie.

Raz przy śniadaniu Franc spytał:

— Arturze, czytałeś Spenglera?

— Nie — odparłem obojętnie.

— Ależ musisz, koniecznie musisz go przeczytać, i to natych- j miast. Dam ci jego najnowsze artykuły... To wielki geniusz, największy umysł naszych ózpsów! — wołał z entuzjazmem.

Pola i ja przestudiowaliśmy tego Spenglera w wielkim skupieniu, j Znalazłem w jego twórczości sporo nader oryginalnych myśli, sporo uderzających argumentów, ale jego teorie nie przekonały ani mnie, ani Poli.

Kiedy zwróciłem artykuły Fiszerowi i dość nieśmiało zauważyłem:

— Tak, Franc, to bardzo absorbujące dzieło, pełne nowych po- \ myśłów — on gestem pogardy rzucił artykuł na stół:

— Spengler to nieprzytomny idiota... Należałoby spalić te bzdury! Wracaj do Nietzschego, Arturze, też był szalony, ale był przynajmniej poetą!

Muszę wyznać, że już w dawnych Altmannowskich czasach czytywałem dzieła wszystkich filozofów, na jakich tylko natrafiłem. Po\* dziwiałem logikę Kanta, uwielbiałem wzniosły umysł Nietzschego oraz pogodę i precyzyjne sformułowania Bergsona, za to niepokoiły mnie pesymistyczne wypowiedzi Schopenhauera o kobietach — a' żaden z nich w niczym nie wywarł na n;nie nigdy trwalszego wpJ wu. Byłem zdecydowany patrzeć na świat własnymi oczyma i \* memu odważnie stawiać mu czoła. Lato 1909 roku u Pauliny było idyllą niezapomnianą. Serce n mi, gdy patrzyłem na łany zbóż leniwie kołyszące się na wie lub na płaczące wierzby nad stawem. W tej czysto polskiej scefl< rozkwitała nasza miłość.

We wrześniu jednak, w związku z planem moich końce zacząłem się trochę niepokoić — nie miałem czasu niczego Pr2 tować, tak więc powrót do Warszawy stawał się koniecznością-postanowiła na razie jeszcze pozostać na wsi.

344

!!!

piasto pogrążone było ciągle w letnim dolce far niente. Większość przyjaciół przebywała za granicą. Paweł bawił u Młynarskich w ich majątku łgowo na Litwie; Karol wrócił do rodziny na Ukrainę. W mieście pozostał tylko Fitelberg; ale nie, nie tylko, zapominam — Kapnik był tu także!

Pan Dropiowski, przedsiębiorczy impresario, zaangażował mnie na koncert w Krakowie, a ponadto znalazł dogodny termin i specjalną okazję na mój spóźniony debiut we Lwowie. Potwierdzono i inne terminy, łącznie z Warszawą, ale do rozpoczęcia sezonu było jeszcze daleko, a mnie nie starczało pieniędzy, aby przetrzymać tak długi okres. Problem jedzenia stawał się wręcz alarmujący. Na szczęście młody dyrektor i właściciel hotelu „Victoria”, wielki miłośnik muzyki, okazał się bardzo wyrozumiały względem mego rosnącego rachunku hotelowego. Ilekroć otrzymywałem honorarium, spłacałem część zaległości, ale nie mogłem sobie pozwolić na zwolnienie pokoju na lato w obawie, że znajdę się na ulicy. Jego uprzejmość sprawiała wszakże, iż czułem się dość nieswojo, również posiłki spożywając na kredyt.

I tak do lombardu trafiły szpilka do krawata z perłą oraz złoty zegarek. Raz zdarzyło się nawet, że Kapnik, usiłując wymusić na mnie kolejny datek, skłonił mnie, bym udał się z nim do dzielnicy żydowskiej i tam sprzedał jeden z najlepszych garniturów.

Ale chwała niech będzie Panu — jak powiadają Irlandczycy — za to, że akurat w odpowiednim momencie pojawił się nowy „deus ex machina” w osobie księcia Władysława Lubomirskiego. Ze wzmianki w gazecie dowiedziałem się, że miał właśnie przybyć do Warszawy na naradę ze swym bratem Stanisławem, bankierem, a mój nieomylny instykt podpowiedział mi, że dla mnie sprawą najwyższej wagi jest zobaczyć się z nim. W porze obiadowej wkro-C2yłem więc do restauracji Hotelu Europejskiego z miną człowieka, na którego czekają przyjaciele, gdy nagle rozległ się donośny głos: Panie Arturze, co pan porabia w Warszawie?

%ł to właśnie książę; siedział przy stoliku z bratem i jeszcze jed-nym mężczyzną. Przywitałem się, udając ogromne zaskoczenie.

“-” Czekam na rozpoczęcie się sezonu koncertowego w Filharmonii — powiedziałem. . . . Ależ

pan powinien być słuchany w wielkich miastach, w Berlinie, Wiedniu, Rzymie, Paryżu. Siedzenie w Warszawie nie przy-

31 Pańskiemu wielkiemu talentowi.

cia~"~ byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym mógł pójść za radą księcia — dla mnie to niemożliwe — powiedziałem, dając mu do zrozumienia ile kosztowałoby zorganizowanie w tych miastach koncertu jeszcze nie powszechnie znanego. — Chyba że księżę miałby zostać moim impresariem — dodałem żartobliwie.

345

— A dlaczegoż by nie? — odparł z całą powagą. — Złożę w banku mego brata depozyt w wysokości dziesięciu tysięcy rubli (5 dolarów). Może pan czerpać z tej sumy na pokrycie wydatków związanych z koncertami — i nie tracąc czasu przelał to poróżnienie na papier, podpisał i wręczył trzeciemu z siedzących przy stoliku, dyrektorowi banku Lubomirskich, panu Gintowtowi. — Za pańskie powodzenie! — wzniesli na moją cześć toast ostatni nim łykiem wina i nie słuchając moich podziękowań, podnieśli się i wyszli.

Byłem w siódmym niebie. To była najpiękniejsza chwila w moim życiu! Teraz już nie będę musiał się o nic troszczyć! A jak się Pola ucieszy! Ale choć to może wydać się dziwne, gdzieś w zakamkach podświadomości już od dawna wiedziałem, że to się stanie. O chwili gdy księżę po raz pierwszy słuchał mojej gry, wyczuwałem że istnieje między nami jakaś tajemna nić porozumienia. Kiedy opowiedziałem Fitelbergowi o tym, co księżę dla mnie zrobił, aż pozieleniał z zazdrości. — Dlaczego miałby coś takiego robić? Po co trwonić pieniądze na taki bezsensowny plan? — mamrotał pod nosem.

Karol, dowiedziawszy się nowiny, zadepeszował: „Gratuluję. Jeśli możesz, przyjedź do nas na tydzień albo dwa”.

Zaproszenie przyjąłem z radością. Pan Gintowt dał mi dwieście rubli na wstępne wydatki i jeszcze tego samego dnia wyjechałem. Nazajutrz rano przybyłem do Kamionki — stacji kolejowej oddalonej od Tymoszwówki o wiele mil — gdzie przyjechali po mnie bracia Feliks, starszy brat Karola, oraz ich najmłodsza siostra, Zofia. Żyłem bezkresnym stepem, który był spichlerzem całej Rosji, jechaliśmy do posiadłości Szymanowskich, wielkiego, lecz bezpretensjonalnego dworu, gdzie rodzina Karola przywitała mnie bardzo serdecznie. Matka okalała się wysoką, dystygowaną damą o jasnoblękitnych oczach, szlachetnie zakrzywionym nosie i przepięknych rękach; Nula, najstarsza córka, była osobą nerwową i nieszczęśliwą; najstarszy syn, Feliks, zarządzał majątkiem jako głowa rodziny. Szymanowscy stanowili typowy przykład starego polskiego ziemiaństwa o wysokiej kulturze reprezentującego najwspanialszy dorobek kraju, w przeciwieństwie do arystokracji, która wolała mieszkać za granicą i swymi wpływami oraz bogactwem imponować Paryżowi, Wiedniowi czy Rzymowi.

Karol i ja zamieszkaliśmy razem w małym domku gościnnym<sup>13</sup> Po śniadaniu lubiliśmy grywać na pianinie Karola na cztery główne kwartety Beethovena; pokazał mi także fragmenty nowej sonaty, które zachwyciły mnie. Najmłodsza siostra — j u r w i s, ale utalentowana poetka, często siodłała dwa wspaniałe koi

k i c j

i galopowała ze mną po polach. Zabawne były obiady i

c j

346

gronie licznej rodziny, w której skład wchodziła także ciotka i kuzyn; do s<sup>o</sup>\*u zasiadało zawsze dziesięć lub więcej osób.

Spędziłem w Tymoszwówce dziesięć uroczych dni; głęboko wzruszyło mnie przywiązanie Karola do rodziny, jego miłość i troska, jaką J e J okazywał aż do śmierci.

Wróciłem do Warszawy bogatszy o piękne przeżycie.

Następnego dnia po powrocie spotkała mnie przykra niespodzianka. Pan Gintowt w uprzejmym liście powiadomił mnie, że na razie nie jest uprawniony do zezwolenia mi na podejmowanie jakichkolwiek pieniędzy z funduszu księcia. Niebawem dowiedziałem się, co się za tym kryło. Pod moją nieobecność Fitelberg zapoczątkował całą serię intryg skierowanych przeciwko mnie. Nawet Jago nie wymyśliłby nic bardziej szatańskiego.

Powiedział mianowicie księciu, że uważa za swój obowiązek przestrzec go, iż jestem zbyt młody i za mało doświadczony, aby powierzać mi pieniądze, które dla mnie przeznaczył; on, Fitelberg, chętnie pomoże mi zorganizować koncert w Berlinie, a być może zgodzi się nawet dyrygować orkiestrą. Co

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

za okropny hipokryta! Jego propozycja dyrygowania była niczym innym, jak próbą wykorzystania mego koncertu dla rozwijania swej własnej kariery artystycznej.

Ale ksiązę uwierzył mu, widząc w tym jedynie przyjacielską troskę o mnie (tak mi powiedział później w Krakowie). Nie pozostawało mi więc nic innego, jak tylko robić dobrą minę do złej gry.

Zbliżał się początek sezonu koncertowego, a w orkiestrze zaszły poważne zmiany. Ksiązę Lubomirski zrzekł się roli jedynego odpowiedzialnego patrona, ponieważ eksperyment nawet dla niego okazał się zbyt kosztowny. Po wielu naradach członkowie orkiestry postanowili kontynuować pracę jako samodzielny zespół. Powołali własną administrację oraz kierownika, który upoważniony był do angażowania dyrygentów i solistów; do jego obowiązków należało także ułożenie programu na cały sezon. Ucieszyłem się z tej zmiany, bo teraz zaczęto nam płacić prawdziwe honoraria; Fitelbergowski system wyzysku należał już odtąd do przeszłości.

Moje koncerty rozpoczęły się pod szczęśliwą gwiazdą. W Warszawie występowałem sporo — z orkiestrą, solo, z Pawłem na wieczorne sonatowym, a także na dwóch wielkich koncertach dobro-2ynnych, które przyczyniły się do poprawy mojej reputacji, nadepniętej osławioną l'affaire.

t lłekroć grywałem w innych miastach, Pola jechała ze mną, i była

Jedyna sposobność, kiedy mogliśmy być razem. Zabrałem ją na-

ja ^ Łodzi, gdzie poznała moich rodziców; po koncercie uraczyli

^ Jedną z owych sławnych Rubinsteinowskich kolacji ze szczupa-

> Wioseczkami i czymś tam jeszcze. Byłem szczęśliwy, widząc,

347

jak bardzo podoba się Poli serdeczna atmosfera panująca w mojej licznej familii, tak bardzo różna od atmosfery w jej rodzinie.

Z powodu zablokowania mi kredytu, sytuacja finansowa znów stała się alarmująca, oczywiście, głównie z mojej winy. lłekroć) otrzymywałem jakieś honorarium, musiałem płacić stare długi ora?! zaliczki na konto rachunku w hotelu; prócz tego kupowałem coś z garderoby, nowy krawat czy też prezent i kwiaty dla Polj\_ W chwilach wielkiej ekstrawagancji zapraszałem ją na wystawny dinner de lux, który podawano nam w prywatnym gabinecie jakiejś eleganckiej restauracji: kawior, wódka, langusta z ryżem, dobrej wina — nie było dla mnie rzeczy zbyt kosztownych! Nie wspomnę już nawet o Kapniku...

!Po wieczorne sonat zostaliśmy z Pawłem zaproszeni na kolację przez pewnego żydowskiego bankiera i jego małżonkę. Poszliśmy, nie przebijając się nawet, każdy ze swym honorarium (trzysta rubli) w kieszeni. Wykwintne jedzenie, parę wódek i trzeci gość,\* opowiadający zabawne historyjki — wszystko to wprawiło nas^ w doskonały nastrój. Po kolacji gospodarz zaproponował grę w pokera o wysokie stawki — nieszczęsny, katastrofalny pomysł! Zarówno bankier, jak i nasz zabawny współbiednik okazali się mistrzami w tej grze. O czwartej nad ranem Paweł i ja zostaliśmy bez grosza — tamci zrujnowali nas. Kiedy w mroźną noc wyszliśmy na ulicę, okazało się, że nie mamy nawet drobnych na dorożkę, ^ Tak więc wciąż jeszcze w koncertowych strojach i lakierkach" musieliśmy — nieszczęśni! — całą długą drogę do hotelu przedzierać się przez zaspy śnieżne. Niezbyt to chwalebne wspomnienie

53

Koncert berliński doszedł do skutku pod koniec roku. Moje # przeczucia sprawdziły się w całej rozciągłości — jak się okazało byłem i tak zbyt optymistą. Fitelberg wynajął salę Filharmofl największą w mieście, i za ogromną sumę zaangażował wielką Be lińską Orkiestrę Filharmoniczną. Uparł się, bym grał Koncert G-dur Beethovena i Brahmsa K° cert B-dur, odrzucając miłsze mi utwory Chopina czy Saint-Saen\* Nie godził się dyrygować niczym innym z wyjątkiem tego, co \* wybrał. Od razu domyśliłem się, skąd ten upór. Zarówno koflC\* Beethovena, jak i Brahmsa — to przede wszystkim dzieła orkiest

348

w6j o bardzo symfonicznym charakterze, które pianiście daia wielkie pole do wirtuozowskiego popisu i rzadko wzbudzała zjaStyczne demonstracje, których tak obawiają się wszyscy genci.

y

Nasz repertuar obejmował także IV Symfonię Mahlera w owvrh czasach utwór nowy, który Fitelberg reklamował jako g^wna atrakcję programu. To ambitne dzieło wymagało solistki — nWw szorzędnego sopranu. Koszt tego przedsięwzięcia pochłonał niemal połowę całego funduszu, i to bez większych nadziei na jakieś znacz niejsze dochody ze sprzedaży biletów. Ale nie dość na

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

tnnv nIT gorsze było jeszcze przede mną. W dniu koncertu próba miała \*L odbyć między dziesiątą a pierwszą w południe. Zjawiłem się w sali punktualnie lecz Fitelberg aż do wpół do dwunastej bez przerwy próbował Mahlera.

Tego było mi już nadto. Z wściekłością krzyknąłem-- Co się z tobą dzieje? Co z moimi koncertami? Zdażymy fe ledwie przegrać, i ty to nazywasz próbą?

Odwrócił się ku mnie z uśmiechem:

-Nie denerwuj się. Symfonia jest najważniejszym punktem programu, a twoje koncerty graliśmy już przedtem. Orkiestra nie ma na pamięć.

Miałem ochotę zamordować go.

- Du verfluchtes Schwein! — krzyknąłem po niemiecku w obecności całej orkiestry.

li, odwrócił się do muzyków

Beethoven — po czym uniósł pałeczkę i zaczęliśmy grać. Próba — Nie rozmawialiśmy z sobą. Ilekroć potrzebowałem zmiany tempa lub ekspresji, zwracałem się bezpośrednio do któregoś z członków orkiestry.

bliźnik

że

Po rat

Sal k

są z

-

Pęć Jedna z \*aj-

moim życiem prób nerwów i cierpliwości. Świadomość

Wprowadzała mnie do stanu

graniczącego z his'

to; t byłem naprawdę zawodowym muzykiem, mimo wszystko nawet w takich okolicznościach

Początek Koncertu grałem z zamkniętymi oczami,

Serwono. Właśnie w tej samej sali słyszałem go w boskim wykonaniu Eugena d'Alberta

f i i był w Płocku a większość obecnych z bezpłatnych biletów. Posiadacze

darmowych biletów; ; y na u,rowszymi krytykami; ludzie okazują entuzjazm wówczas, kiedy sami muszą płacić. Tego wieczora wszakże

349

publiczność była dość podatna i wrażliwa., Mnie samego wywoły, wano trzykrotnie. Nie zwracałem uwagi na Fitelberga, za to szczególnie serdecznie uściskałem dłoń koncertmistrzowi oraz nawcy solą na wiolonczeli w Koncercie Brahmsa. Miałem cichą nadzieję, że po koncercie spotkam kogoś ze starych przyjaciół, ale nikt się nie pojawił. Jak się później dowiedziałem, Fitelberg wydał polecenie, aby nie wpuszczano nikogo za kulisy.

Ale profesor Barth był obecny. Otrzymałem od niego list, który kierownik Berlińskich Filharmoników przekazał mi do Warszawy. Zwracał się do mnie per „Drogi panie Rubinstein!” List ten zaginął podczas I wojny światowej, ale jego treść pamiętam. Bardzo mu się spodobał początek i druga część Koncertu Beethovena, za to całą resztę uznał za „mętną”. Był pod wrażeniem mojej „siły” i „energii rytmicznej” w Koncercie Brahmsa, ale „powinien Pan więcej zwracać uwagi na szczegóły i mniej posługiwać się pedałem”. Wzruszył mnie wielki wysiłek moralny, jakim okupić musiał pisanie do mnie, toteż postanowiłem go odwiedzić po powrocie do Berlina. Recenzenci znaleźli więcej powodów do pochwał niż do przygany. Summa summarum nie był to wielki sukces, ale sukces j „zaszczytny”.

Po wigilii Bożego Narodzenia, mile spędzonej u Pauliny Narbuttowej w towarzystwie Poli, Fiszera i kilku innych jej przyjaciół,» po hałaśliwej całonocnej zabawie sylwestrowej z Pawłem, Jaro-szyńskim, dwoma braćmi Moszkowskimi (opowiem jeszcze o nich obszerniej) oraz ich narzeczonymi, zabrałem się do przygotowań związanych z występami w Krakowie i Lwowie. Pan Dropiowski zapewniał, że oba miasta poruszone są moim przyjazdem. Mnie szczególnie interesował Lwów.

W roku 1910 obchodzono setną rocznicę urodzin Chopina. We Lwowie obchody te zamierzano zainaugurować galowym recitale Chopinowskim w gmachu Opery. Udział w programie miało wziąć dwóch pianistów — sławny polski wirtuoz Ignacy Friedman oraz ja. Jemu przypadła w udziale część pierwsza, obejmująca między innymi Sonatę z Marszem żałobnym, mnie zaś część druga, z Sonatą h-moll. W połowie programu mieliśmy połączyć siły i ó! wykonać Rondo na dwa fortepiany. Układ

bardzo oryginalny, według mnie przypominał trochę zawody.

Ku memu zdziwieniu koncert w Krakowie był niemal całkowi wyprzedany, co w tym mieście zdarzało się nader rzadko. By\*

mój prawdziwy, całkowity tryumf. Publiczność nie chciała

y

j py, y y

sali i musiałem czterokrotnie bisować. A z jakąż satysfakcją — zwłaszcza przy tak wspaniałej okazji — dowiedziałem się, z widowni obecny jest książę Władysław Lubomirski! Książę Pr2

350

szedł za kulisy; promieniał dumą i był rzeczywiście wzruszony

tnoją gr^ \_\_ - Bravo, bravissimo, panie Arturze — wołał. — Jakże jestem

szczęśliwy, że znalazłem się w tym dniu w Krakowie. Proszę przyjść jutro na obiad... Mam z panem wiele spraw do omówienia.

Nie mógłbym sobie wymarzyć nic lepszego.

Książę wraz z rodziną mieszkał w Rajczy, rozległym majątku w Galicji, większość czasu spędzał jednak w Wiedniu, gdzie w sezonie wyścigowym jego konie brały udział w gonitwach. Do Krakowa rodzina Lubomirskich zjeżdżała na karnawał i to tłumaczyło jego obecność na koncercie.

Obiad odbywał się w przestronnym mieszkaniu w centrum miasta. Księżna, wiedeńska ze znakomitej rodziny, dama o wielkim sercu, przedstawiła mi czwórkę swych dzieci: dwóm chłopcom i dwóm dziewczynkom; wcała ta czwórka stanowiła uroczy bezpośredni i wesoły kwartet. W trakcie obiadu książę, zwracając się do mnie, z upodobaniem przybierał pozę zawodowego impresaria.

— Jak było w Berlinie? Na jakie miasta teraz kolej? Kiedy pan zagra w Wiedniu?

Odpowiadałem wymijająco, nie chcąc się angażować. Czekałem, aż nadejdzie odpowiedni moment.

—! Nawiasem mówiąc — ciągnął dalej książę — dzwoniła do mnie hrabina Betka Potocka;

chciałaby, żeby w przeddzień koncertu zagrał pan w jej lwowskim pałacu. Obiecałem jej odpowiedź dziś po południu.

— Książę zechce łaskawie decydować za mnie, zrobię, jak książę uważa — powiedziałem.

Po obiedzie książę poprosił mnie do swego gabinetu, a gdy otrzymał połączenie telefoniczne ze Lwowem, poprosił do aparatu hrabinę. Doskonale pamiętam jego część tej rozmowy.

— Hallo, Betka... Tak, jest u mnie, przyjmuje zaproszenie na kolację i zagra dla twoich gości... Nie, nie zależy mu na prezentach, Potrzebuje pieniędzy... Jego honorarium za prywatny koncert wykosi trzy tysiące koron (600 dolarów). Co? Za drogo? Stać cię na opłacenie sumy dziesięciokrotnie

wyższej!... Nie, nie, nie! Może Przyjść na kolację, ale grał nie będzie — i z wściekłością cisnął s!Jchawkę na widełki. — Taka bogaczka! Jest właścicielką naj-WsPanialszego zamku w

Europie, ma pięćdziesiąt osób służby ^ liberii, w Wiedniu i w Rzymie żyje jak królowa, ale jest zbyt \* 3Pa, żeby artyście zapłacić godziwe honorarium! Ale dałem jej

auczkę, no nie? — roześmiał się bardzo z siebie zadowolony, o był właśnie odpowiedni moment, na jaki czekałem. Spokoj-\*1 rzeczowym tonem opowiedziałem całą historię z Fitelbergiem. nych

głosłownych oskarżeń, a tylko proste wyliczenie faktów.

351

Książę wysłuchał w milczeniu, nie okazując ani zaniepokojenia, ani zdziwienia:

— Zawsze wiedziałem, że to wielki egoista, człowiek, który nie cofnie się przed niczym, by zdobyć to, czego pragnie. Ale wierzę, że tym razem działał w szczerych intencjach.

I właśnie wtedy książę przytoczył mi Jagonowski monolog Fitelberga, wygłoszony przez niego w Warszawie.

— No cóż — podsumował — nie pozwolę mu już mieszać się w pańskie sprawy i sam się nimi zajmę. Przede wszystkim chciałbym, aby w Wiedniu zadebiutował pan w wielkim stylu: z orkiestrą i wiedeńskim dyrygentem. Czy wie. pan, jak się do tego zabrać?

Sprawa była prosta. Mój impresario, Dropiowski, proponował mi już swoje usługi w związku z koncertami za granicą, zwłaszcza w Wiedniu, gdzie miał dobre stosunki. Książę Władysław powierzył mi zajęcie się wszystkimi przygotowaniem, gwarantując pokrycie wydatków, a Dropiowskiemu udało się już na lutowy termin zarezerwować najlepszą w Wiedniu Musikveseinsaal oraz znakomitą Tonkiinstler-Orchester z dyrygentem Oskarem Nedbałem. Książę był zadowolony:

— Będę tam — powiedział.

W przeddzień mego wyjazdu do Lwowa Lubomirscy wydali na moją cześć skromną kolację. Przy stole zasiadło dziesięć czy dwanaście osób. Wśród zaproszonych był wyjątkowo przystojny młody

człowiek z gatunku „wysoki, przystojny brunet”. Był to hrabia Aleksander Skrzyński, Polak z Galicji, podówczas attache ambasady austriackiej w Watykanie. Bardzo bogaty (był właścicielem pól naftowych w Galicji), inteligentny i muzykalny, uchodził za jednego z najbardziej wziętych kawalerów w Europie (wszystkie te szczegóły zawdzięczałem księżnej Lubomirskiej).

Po wyśmienitej kolacji podniosłem wieko fortepianu i ku radości pana domu zagrałem kilka fragmentów z oper Wagnera oraz — ku zadowoleniu wszystkich — parę utworów Chopina. Szczególne wrażenie moja gra wywarła na hrabim Skrzyńskim. Mówił miękkim, melodyjnym głosem, w charakterystyczny, uroczy sposób wymawiając głoskę „r”:

— Bhawo! To było wspaniałe! Wielki z pana artysta. Musi pa& przyjechać do Rzymu, rzymska publiczność będzie panem zachwycona.

To ostatnie zdanie podchwycił książę.

— Panie Aleksandrze, jeśli zagwarantuje pan Rubinsteinowi P^c tysięcy lirów (1000 dolarów), przyjedzie do Rzymu — powiedział bawiąc się swoją nową rolą mego impresaria.

— Zhobię to z phawdziwą hozkoszą — odparł hrabia jestem pewien, że zahobi dużo więcej.

a

352

^ O to mniejsza — powiedział książę. — Zależy nam tylko na pańskiej gwarancji.

\_. Obiecuję — odparł biedak, nie mając zielonego pojęcia o organizowaniu koncertów. —

Najlepsza poha to marzec. Jak tylko whęcę do Rzymu, nawiążę niezbędne kontakty. O hezultatach zadeszuję panu.

Książę dumny był z ubicia interesu. Mnie było trochę wstyd.

54

Gdy wysiadałem z pociągu na stacji we Lwowie, niepozorny mężczyzna o smutnym wyrazie twarzy pochwycił mnie za ramię:

— Nazywam się Tiirk, jestem organizatorem pańskiego koncertu — wyjaśnił i dodał bez cienia uśmiechu: — Na jutro jesteśmy wyprzedani!

Zawiózł mnie do hotelu „George”, gdzie portier wręczył mi list zawierający drukowane zaproszenie na kolację do pałacu Potockich. Hrabina Betka postanowiła więc mimo wszystko mnie zaprosić? A może była to tylko chęć dania nauczki księciu Lubomir-skiemu za jego niegrzeczne słowa? Tak czy owak zdecydowałem się zaproszenie przyjąć i zobaczyć, co z tego wyniknie. A był to wieczór zasługujący na upamiętnienie!

Hrabina Betka i jej mąż, hrabia Roman Potocki, przyjmowali gości w wielkiej sali balowej. Do kolacji zasiadło sześćdziesiąt, a potem przybyło jeszcze ze sto osób. Hrabina, cała w juśmiechach, Pogratulowała mi krakowskich sukcesów i łaskawie dorzuciła:

— Całe miasto wybiera się na pański jutrzejszy koncert, wszyscy oardzo wiele sobie po nim obiecujemy.

Ani słowem nie wspomniała o księciu Władysławie ani o telefonicznej rozmowie z nim.

d .olację spożywaliśmy przy małych stolikach. Siedziałem między pienia czarującymi młodymi damami; jedną z nich była księżna sio t Wiłłowa> bratanica pani domu, drugą zaś hrabina Tarnowska, Poi k\* Aleksandra Skrzyńskiego. Obie fascynowały mnie typowo zai t m wdzic<?kiem> czułem się więc cudownie. Pochlebiali mi ich cjOs^eres^wanie, śmiały się z moich anegdotek, bawiliśmy się

;y {°n,ale- Kiedy teraz o tym myślę, ciągle jeszcze zastanawiam się,

pr2 yły szczere, czy też grały komedię, wcielając w życie starannie gotowany plan, którego celem było skłonić mnie, abym mimo

353

wszystko wystąpił. Kiedy dołączyliśmy się do reszty gości w s« balowej, moje dwie urocze współbiedniczkii natychmiast pr2v stąpiły do ataku:

— Proszę, proszę, niech pan dla nas coś zagra, tylko dla nas Umieramy z pragnienia, aby posłuchać pańskiej gry — powiedział młoda księżna Radziwiłłowa. — Tylko błagam, niech pan nie wspo. mina o tym mojej ciotce... Byłaby na mnie wściekła.

No i jak tu się oprzeć dwóm kusicielkom, i to tak niezwykle czarującym?

Hrabina Betka na moją propozycję gry wdzięcznie skinęła głową Klasnęła w dłonie, a gdy zapanowała cisza, zaanonsowała:

— Pan Rubinstein jest tak miły, że zechciał dla nas zagrać. Pro-szę zajmować miejsca wokół fortepianu.

Zagrałem trzy czy cztery krótkie utwory, otrzymałem nalewne brawa i pocałunki od moich młodych uwodzicielek. Gospodarze w kilku słowach wyrazili uznanie.

— Czy przed koncertem mógłby pan jutro o ósmej przyjść do nas na kolację? — spytała hrabina. — Gra pan dopiero po przerwie, a więc będzie mnóstwo czasu.

Uprzejmie odparłem, że nigdy nie jadłem przed koncertami. Opuszczając pałac, poczułem lekkie wyrzuty sumienia w stosunku do księcia Lubomirskiego.

Pianista Ignacy Friedman był krakowianinem, o dziesięć lat starszym ode mnie. Należał do sławnej szkoły Leszetyckiego, skądj wywodzili się utalentowani, wytworni wirtuozi, cieszący się podówczas dużym wzięciem. Wesoły, dowcipny, jowialny towarzysz i dobry kolega, był jednocześnie groźnym przeciwnikiem w pokerze. [! Wiedząc, że będą mnie porównywać z tym mającym już ugruntowaną sławę ulubieńcem Lwowa, obawiałem się nieco, że zgię w jego cieniu.

Jak się okazało — przeznaczenie — pewne zupełnie nieoczekiwane okoliczności całkowicie zmieniły cały obraz tego napawającego? Zego mnie lękiem wieczoru. Zjedliśmy z Friedmanem obiad, a po południu, już przebrani, udaliśmy się do Opery na próbę. Rozpoczął się o ósmej trzydzieści mieliśmy więc jeszcze dość czasu na filiżankę kawy i wypocznym\* w swoich garderobach. Kiedy Friedman był już gotowy do wyjścia na scenę, pojawił się pan Tiirk z zaaferowaną miną na swej zwykle smutnej twarzy.

— Obawiam się, że trzeba będzie poczekać kilka minut — oś czył. — Przypuszczam, że gazety musiały podać złą godzinę, bo si choć wyprzedana, wciąż jeszcze jest prawie pusta.

Czekaliśmy więc pięć, dziesięć, piętnaście minut, podczas których publiczność wolno napływała do teatru, bynajmniej nie wypełniając go. Kiedy obecni na sali zaczęli się niecierpliwić i tupać no-

'mi Friedman postanowił rozpocząć koncert. Nie słuchałem jego lystępu — na to byłem zbyt zdenerwowany, ale doszły mnie owacyjne oklaski po Sonacie z Marszem żałobnym. Był to dla mnie sygnał do wyjścia na scenę i odegrania ostatniego przed przerwą numeru, Ronda na dwa fortepiany. Wykonaliśmy je (utwór ten nie należy zresztą do najlepszych w twórczości Chopina) z ogniem i spotkaliśmy się z bardzo dobrym przyjęciem.

po długiej przerwie czekała mnie zaskakująca niespodzianka. Kiedy znów pojawiłem się na scenie, zauważyłem, że teatr wygląda zupełnie inaczej niż przedtem: sala wypełniona była po brzegi, a nowo przybyła publiczność przypominała raczej tę, którą widuje się na galowych premierach w Operze, nie zaś na koncertach. W łóżach kwiat lwowskiego beau monde'u, pośrodku zaś królowali Potoccy oraz ich goście.

Kiedy światła przygasły, a na sali zapanowała absolutna cisza, wyczułem ten szczególny nieuchwytny kontakt łączący mnie z publicznością, kontakt, który jest dla mnie natchnieniem w czasie gry. Sukces odniesiony tego wieczora należał do najdonioślejszych w całej mojej karierze artystycznej. Odtąd aż po I wojnę światową Lwów był jedynym miastem, w którym zawsze mogłem liczyć na całkowicie wyprzedaną salę.

Czułem się pośrednio odpowiedzialny za niewybaczalne zachowanie publiczności w stosunku do Friedmana, ale mogłem domyślić się powodów tego braku uprzejmości. Friedman był pianistą dobrze znanym, we Lwowie gościł już nie raz, mnie natomiast zapowiedziano jako wielce obiecującego nowicjusza. Prasa wspominała księcia Lubomirskiego, mój krakowski sukces, warszawskie plotki \* Przyjęcie u Potockich. Nic dziwnego, że publiczność chciała mnie zobaczyć i posłuchać, lecz aby mieć czas na przebranie, dokończenie obiadu i spokojne wypalenie cygara, postanowiono udać się do Opery dopiero na drugą część programu. Dodać muszę, że Friedman zachował się bardzo elegancko, kwitując całą historię uśmiechem pełnym pobłażliwości.

Hrabina Betka nigdy nie przysłała mi słowa podziękowania ani ez nie »wspomniała o pieniądzech czy prezencie. Podobne doświadczenie miałem później w Ameryce. Pani W. K. Vanderbilt (zdrob-! \*a\* e Birdie), która często zapraszała mnie do siebie do domu, po-Prosiła, abym na jednym z jej wielkich przyjęć zagrał „zawodowo” JV ? .na użyła teS° określenia), ale nigdy mi za to nie zapłaciła, doh • eWna> pani Corneliusowa Vanderbilt (Gracie) postąpiła po-so, n,le' tylko jeszcze bardziej nieelegancko. Zapytała mnie o wy-- honorarium, więc skierowałem ją do mego impresaria. I tym

354

355

razem koncertowałem, lecz ani nie skontaktowała się z nim, ani też nie przysłała pieniędzy.



## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

Zauważyłem, że kobiety są bardziej skąpe od mężczyzn, zwłaszcza gdy nie same majątek zdobyły. Powróćmy jednak do mojej opowieści: w drodze powrotnej cM Warszawy zatrzymałem się w Krakowie dla dopilnowania ostatnich przygotowań do zbliżających się koncertów w Wiedniu. Program; miałem ambitny: IV Koncert Beethovena, II Koncert Brahmsa oraz Saint-Saensa Koncert g-moll.

— Najważniejsze — powiedziałem Dropiowskiemu — to przygotowanie na mój koncert pierwszorzędnego bechsteina. To jedyny! fortepian, na którym mogę grać.

Po powrocie do Warszawy chełpiłem się mymi sukcesami w Krakowie i we Lwowie; podnieciło to Połę, która oświadczyła:

— Do Wiednia muszę jechać z tobą... I nic mnie nie obchodzi, księżę może zgorszyć się, widząc nas razem.

Mieć ją przy sobie — to było cudowne!

Do stolicy cesarstwa austro-węgierskiego przybyliśmy w sobotę wczesnym rankiem. Pamiętam, bo druga próba oraz koncert miały odbyć się nazajutrz, w niedzielę (pierwszą próbę wyznaczono na sobotę po południu).

Ranek był wspaniały, chłodny i wietrzny, ale przez granatowo--szare chmury przebijało słońce. Powietrze działało orzeźwiająco Pan Kugel, kierownik Musikvereinsaal i korespondent pana Dropiowskiego, czekał na nas w hallu hotelowym. Był to człowiek miły, uprzejmy i łagodny, ale z tych, których po wyglądzie trudno rozpoznać przy drugim spotkaniu; zdał mi szczegółowo sprawę z przygotowań do koncertu, nie szczędząc przy tym pochwał pod własnym adresem.

— Cudów musiałem dokonać, żeby zapewnić panu dobrą publiczność — oświadczył. — Niedziela to kiepski dzień na koncert, nawet jeśli idzie o recenzentów, ale moja reklama zmusi ich do przyścia. Drugą próbę ma pan jutro rano o dziewiątej, poprowadzi ją asystent dyrygenta, bo pan Nedbal przebywa na gościnnych wyspach za granicą — lecz widząc, jak mnie ta wiadomość rozczarowała, dorzucił pospiesznie: — Proszę się nie martwić, do piątej wam, żeby wszystko było w porządku.

Kiedy nas pożegnał, zabrałem Połę na zwiedzanie miasta.

W owych czasach Wiedeń wciąż jeszcze był miastem Haydn, Mozarta, Beethovena i Schuberta, a z nowszych — Brahmsa i Brucknera. W powietrzu wciąż jeszcze unosiły się walce Straussa, a jego następcy, Lehar i Fali, byli ulubieńcami całego miasta. Stary cesarz Franciszek Józef pozostawał absolutnym władcą rozległego imperium i bożyszczem poddanych. W mieście |

356

o Czechów, Polaków, Węgrów, Chorwatów, Włochów; wielkie arystokratyczne rody czeskie, węgierskie i polskie miały tu swoje Wspaniałe pałace, z których wiele należało do pereł stołecznej architektury.

Najęliśmy dorożkę, aby przejechać się po mieście. Fiakier, wielce szykowny w swej podbitej futrem kurtce, w meloniku i z goździkiem w klapie, oczarował nas miękkim wiedeńskim dialektem, a także gotowością do pokazywania i objaśniania najciekawszych zabytków.

Kupiliśmy kwiaty i pojechaliśmy na cmentarz, by złożyć hołd wielkim muzykom. Przewodnik zaprowadził nas do sławnego narożnika i oto w nabożnym skupieniu, wstrzymując oddech, stanęliśmy wśród grobów Haydna i Beethovena, Schuberta i Brahmsa, nawet Hugo Wolfa i Jana Straussa. Był tam też grobowiec Mozarta, ale tylko symboliczny — niewdzięczni wiedeńczycy pozwolili na to, by pochowano go we wspólnej mogile. Pola i ja nie byliśmy w stanie powiedzieć słowa, przepęliło nas uczucie wdzięczności i miłości dla tych nieśmiertelnych geniuszów.

W drodze powrotnej do hotelu ślubowałem sobie, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby w czasie koncertu nie sprawić im zawodu.

Tego samego popołudnia młody dyrygent (zapomniałem nazwiska) przyszedł po mnie do garderoby, zaprowadził na scenę i w kilku miłych słowach przedstawił mi zebraną już orkiestrę.

Podziękowałem mu, a zwracając się do muzyków, powiedziałem, jaki to dla mnie zaszczyt grać razem z nimi w tej samej sali, gdzie grał i dyrygował Brahms. Przyjęto mnie serdecznie, uderzając smyczkami w instrumenty. Kiedy podniosłem wieko fortepianu, ujrzałem — ku swemu przerażeniu, że był to Bechendorfer wiedeńskiej produkcji, a nie, jak się tego spodziewałem — Bechstein. Gdy protestowałem, kierownik zapewnił mnie, że wszelkie wysiłki zmierzają do znalezienia Bechsteina okazały się daremne. Byłem bardzo zdenerwowany:

t ~~ To absurd! Bechsteinowie zawsze dostarczali mi swoich for-ePjanów. Zajmę się tym po próbie.  
t ^a razie jednak nie pozostawało mi nic innego, jak zagrać na  
y«ą wiedeńskim instrumencie, który zresztą okazał się zupełnie  
Qobry

przeszła gładko, orkiestra grała z widocznym zadowole- a dyrygent był doskonałym  
akompaniatorem. Skończyliśmy ^gu niespełna trzech godzin.

?róbie natychmiast pobiegłem do magazynu Bechsteina, chcąc Przed zamknięciem. Na szczęście  
był jeszcze otwarty. Dwaj wcy kręcili się po sklepie; zapytałem o dyrektora. Po chwili  
357

wszedł wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna, o wyglądzie ypt wego Prusaka: okrągła, surowa  
twarz z charakterystyczną szrama zdobytą podczas jakiegoś studenckiego pojedynku, zgodnie z b  
barzyńskim niemieckim obyczajem.

— Czym mogę panu służyć? — spytał z widocznym zniecierplj. wieniem; było już późno.

W paru słowach wyjaśniłem mu, o co mi chodzi.

— Nie otrzymałem z Berlina w tej sprawie żadnych poleceń 1 odparł chłodno. — A może pan ma  
dla mnie list od pana Bech\* steina?

— Nie, nigdy mi nie był potrzebny — powiedziałem, lekko poiry. towany. — Bechsteinowie, a także  
ich przedstawiciele zawsze radzj byli, mogąc wyświadczyć mi taką przysługę.

— Być może — odparł — ale tutaj wymaga się formalnych instrukcji z Berlina.

Ogarnęła mnie wściekłość:

— W Berlinie dowiedzą się o tym — odpowiedziałem gwałtownie. — Pańska postawa jest  
oburzająca. W pańskim dobrze poj\$ tym interesie leży, by na koncertach tej wagi, i to w wielkiej  
Musikvereinsaal, korzystano z waszych fortepianów. A zresztą prawdę mówiąc, wcale nie  
martwi mnie, że będę grał na bosendor-ferze... To doskonały instrument!

Wyszedłem, trzaskając drzwiami.

Pola czekała w hotelu; mieliśmy iść razem na kolację, Śmiała się z mojego starcia z antypatycznym  
Prusakim:

— Dałeś mu porządną nauczkę — powiedziała — ale czy ten fortepian jest naprawdę  
zadowalający?

Uspokoilem ją: rzeczywiście był doskonały.

— Czy były jakieś wiadomości od księcia Lubomirskiego? S spytałem.

— Nie, na razie nic.

W głębi ducha zacząłem się już trochę niepokoić. W Krakowie ksiązę przyrzekł mi, że na koncert  
przybędzie, ale od tego czb nie miałem od niego żadnych wiadomości. Portier w hotelu Saeher\* gdy  
zatelefonowałem, udzielił mi dwuznaczonej odpowiedzi: „%|&? cia nie ma” — co mogło znaczyć, że  
nie ma go w hotelu albo że fl ma go w mieście. Więcej nie dzwoniłem; nie znoszę narzucania  
komukolwiek. Próba w niedzielę rano przebiegła bardzo doki a fortepian miał znakomite brzmienie.  
Przed samym koncertem wydarzył się drobny incydent. \* o siódmej czterdzieści zjawiłem się przed  
wejściem dla artySI' (w Wiedniu koncerty zaczynały się o ósmej), aby mieć j^ czas na rozgrzanie rąk,  
a także odświeżenie się, poprawienie wata i przyczesanie włosów, kierownik chwycił mnie za \*\*\*

“\*\*

rvwał mi płaszcz i kapelusz i wypchnął mnie na scenę, wołając:

— Prędszej, prędszej, spóźnił się pan, publiczność czeka już od dziesięciu minut!

W niedzielę koncerty rozpoczynały się pół godziny wcześniej, le nikt nie zadał sobie trudu, aby mnie  
o tym uprzedzić, publiczność przyjęła mnie chłodno, a spojrzenia muzyków orkiestry  
wymownie dawały mi do zrozumienia, że widocznie nieźle musiałem się bawić w damskim  
towarzystwie, skoro zupełnie zapomniałem o koncercie.

Wszystko to jednak znikło wobec wspaniałego początku Beetho-venowskiego Koncertu G-dur. Sala  
o tak wielkich tradycjach i wzruszenie, jakiego doznałem na cmentarzu, stały się dla mnie  
natchnieniem w czasie występu. Dyrygent i orkiestra idealnie ze mną współgrali. Na koniec  
otrzymałem rzeczywiście burzliwe okłaski. Po krótkiej przerwie przystąpiliśmy do Brahmsa. Tu byłem  
w swoim żywiole. Od pierwszego mego zetknięcia się z tym dziełem zdałem sobie sprawę, że jest to  
„mój” koncert. Tego wieczora wydawało mi się, że oto sam Brahms siedzi na widowni. Grałem  
wyłącznie dla niego. Zgotowano nam owację. Wielokrotnie kłaniałem się razem z dyrygentem,  
koncertmistrzem i pierwszym wiolonczelistą, który swoje rozległe solo wykonał przepięknie.  
W czasie dużej przerwy zauważyłem za kulisami bardzo sędziwego pana w krótkim futrzanym

płaszczu z szalikiem owiniętym dookoła szyi i w kapeluszu na głowie. Lekko przygarbiony, podszedł do mnie wolnym krokiem i przedstawił się:

— Nazywani się Ludwig Bbsendorfer. Mam osiemdziesiąt sześć lat i teraz już wieczorami nie wychodzę z domu, ale musiałem zobaczyć i posłuchać młodego Rubinsteina, który nie chciał grać na moim fortepianie, podczas gdy wielki Antoni Rubinstein właśnie tfoje instrumenty przedkładał nad wszystkie inne.

Zarumieniłem się ze wstydu, pełen obawy, że uraziłem tego wspaniałego staruszka, zwłaszcza że to jego fortepian tak walnie Przyczynił się do odniesionego przeze mnie sukcesu. Kiedy usiłowałem się usprawiedliwić, przerwał mi lekkim klepinięciem w ramię.

~~~ Młody człowieku, proszę sobie tego nie brać tak bardzo do rca — powiedział. — Wiem doskonale, co się za tym kryje, się, że znalazł pan wreszcie drogę do moich instrumentów. ę jutro w południe przyjdź do mojego magazynu; mam kilka p yslów, które mogą pana zainteresować.

°dziękowałem, a on wolnym krokiem wyszedł na ulicę. wan?nc.ert Saint-Saensa zrobił swoje — ogromna owacja, wywoły-cJ2ia \* kisy. Pola wróciła ze łzami w oczach. To był nasz wielki jeden dysonans — nieobecność księcia Lubomirskiego.

358

359

Zadnej wiadomości, żadnego znaku życia. Czy to znów Fitelbergj A może to ja czymś go uraziłem? Pola twierdziła z uporem, ^ przyczyną była jej obecność w Wiedniu, ale ja miałem pewność^ że to by księciu nie przeszkadzało — nie było to do niego podobne, Jednakże Pola, czując, że jest mi zawadą, postanowiła nazajutrz wracać do Warszawy.

55

Pan Ludwig Bbsendorfer przyjął mnie w prywatnym biurze wie!-) kiego składu fortepianów przy Herrengasse.

— Proszę usiąść blisko mnie, nie słyszę już tak dobrze jak daw-f niej — powiedział. — Widzi pan, wytwórnia nie należy już do! mnie... Sprzedałem ją memu przyjacielowi, Hutterstrasserowi; jest dużo młodszy i zna się na interesach. Ale nadal należy do mnie sala koncertowa, Bosendorfer-Saal. Czy mógłby się pan zatrzymać w Wiedniu jeszcze przez tydzień?

— Tak, sądzę, że to możliwe — odpowiedziałem.

— To dobrze. Bo mam zamiar przedstawić pana, młody człowieku, wiedeńskiej publiczności tak jak się należy. Moja sala wynajęta jest na cały sezon, ale mógłbym jednego śpiewaka przełożyć na przyszłą jesień, a jego termin odstąpić panu na recital w przyszły piątek. Chciałbym, żeby to była okazja specjalna; roześlę osobiste zaproszenia tym wszystkim, którzy się liczą w wiedeńskich kołach artystycznych, no i oczywiście wszystkim muzykom. Jak się panu ten pomysł podoba? Byłem tak wzruszony uprzejmością starszego pana, że w odpowiedzi skinąłem tylko głową.

Uśmiechnął się.

— Widzisz, mój chłopcze, robię to po prostu dlatego, że panu mój fortepian zabrzmiał tak pięknie. Pobiegłem do hotelu, żeby opowiedzieć o tym Poli. Reeepjonis przekazał mi otrzymaną telefonicznie wiadomość: „Księżę I mirski zaprasza dziś pana Rubinsteina na kolację do hotelu Sac\* ra. Godzina dziesiąta. Strój dowolny”

— Nareszcie — odetchnąłem z ulgą; a więc to nie intrygi F berga! Jednak nieobecność księcia wciąż pozostawała zagadką, wyjechała późnym popołudniem. Nie chciałem jej puścić, ale łem, że ma słusność.

360

U starego „Sachera”, w najwytworniejszym hotelu w Wiedniu, zaprowadzono mnie do prywatnej jadalni, gdzie zastałem księcia oraz jeszcze dwie osoby przy stole nakrytym do kolacji.

\_\_Panie Arturze, cieszę się, że znów pana widzę — księżę powitał mnie jowialnie, lecz z odcieniem zakłopotania/Przedstawił mnie następnie swym towarzyszom: otyłemu mężczyźnie o czerwonej twarzy — „ma najlepsze konie wyścigowe w Austrii”, oraz bardzo ładnej młodej kobiecie — „to jest Rosy”, po czym zadzwonił na Itelnera; pojawił się maltre d'hôtel.

— Możecie już podawać kolację... Wstawcie też szampana do lodu — i nagle wybuchnął śmiechem: — Nie uwierzy pan, panie Arturze, ale przez dwa tygodnie nosiłem w kieszeni bilety na pański koncert i jak głupi zapomniałem, że to miało być wczoraj, cha, cha, cha!

Nie roześmiałem się ani nawet nie uśmiechnąłem.

— Nieobecność księcia bardzo mnie zmartwiła — powiedziałem. — Mój wczorajszy koncert był wyrazem wdzięczności za wszy-gtko, co pan, księżę, dla mnie zrobił.

Spoważniał natychmiast.

— Wiem, wiem, mnie samemu bardzo przykro... A zresztą sam bardzo wiele sobie po tym obiecywałem. Ale teraz proszę mi opowiedzieć, jak panu poszło.

Moja relacja o koncercie i o propozycjach Bbsendorfera zachwyciła go.

— A nie mówiłem, że Wiedeń to dla pana właściwe miejsce! Tymczasem kelner podawał kawior i szampana. Książę uniósł szklaneczkę:

— Pijmy za pańskie światowe sukcesy! Rosy, pocałuj go! Rosy usłuchała.

Krótki pobyt w Wiedniu upłynął mi przyjemnie. Ranki poświęcone były na ćwiczenia przed zbliżającym się koncertem; w składzie fortepianów Bbsendorfera miałem do dyspozycji specjalne pomieszczenie. Po lekkim obiedzie w „Opernkeller”, złożonym przeważnie ze sławnych Wiener Würstel, kielbasek z musztardą i zimną sałatką ziemniaczaną, następowała z reguły kawa z ciastkiem w jednej ze starych kawiarni, gdzie pokazyują ten sam stolik, przy którym „noć Schubert „komponował niektóre swoje pieśni”. Po południu

„wiedziałem wielką cesarską galerię sztuki albo jedną z licznych „spaniałych kolekcji prywatnych — Liechtensteinów, Harrachów

y Czerninów. A potem przychodziła pora teatru. Miałem szczęś-

6 °§13dać wielkiego aktora komediowego Maxa Pallenberga, wi-11 •'ec\*na- z operetek Lehara oraz parę innych doskonałych. Każdego wieczora po spektaklu książę Władysław oczekiwał

361

mnie w znanym mi już gabinecie u „Sachera”. Rosy zawsze była obecna, a niekiedy bywał tam również ten czy ów z jego wyścigo, wych przyjaciół; na ścianie jadalni wisiało wiele sztychów przedstawiających sławne konie wyścigowe i sceny myśliwskie.

Książę dbał teraz o mnie, jak mógł. Jego kolacje były prawdziwy! mi orgiami kulinarnymi; zaczynaliśmy zawsze od kawioru i szampana, by następnie przejść do różnych specjalności kuchni wiedeńskiej i zakończyć obowiązkowym tortem Sachera. Sławna Frau Sacher, która hotel i restaurację trzymała żelazną ręką, często przychodziła upewnić się, czy wszystko w porządku.

— Załatwiłem panu koncert w Berlinie — oświadczył książę w czasie jednej z takich kolacji. — Tym razem będzie pan grał w Beethoven-Saal. Chciałbym, aby pan pokazał berlińskiej publiczności, co pan potrafi.

Faktycznie skontaktował się osobiście z biurem Hermanna Wolffa i był szczęśliwy, że po moich bolesnych przejściach z Fitelbergiem udało mu się stworzyć mi jeszcze jedną szansę.

W dzień czy dwa później zadzwonił do mnie do składu fortepianów:

— Proszę natychmiast przyjść do „Sachera”. Otrzymałem depeszę od Skrzyńskiego.

W dziesięć minut później byłem już w hotelu.

Książę, w płaszczu kąpielowym, przyjął mnie w sypialni.

— Proszę powiedzieć, co pan o tym myśli — wręczył mi telegram.

Jeszcze dziś pamiętam w przybliżeniu tekst tej depeszy: „Agencje koncertowe odmawiają zaangażowania Rubinsteina, twierdząc, że jest we Włoszech nieznanym stop jeśli nadal zamierza przybyć do Rzymu, proszę mnie zawiadomić o dacie przyjazdu, słowa oczywiście dotrzymam, pozdrowienia, S.”

Byłem nieco zakłopotany.

— Wcale mnie to nie dziwi, tego się właśnie spodziewałem, kte' dy w Krakowie wyłonił się ten pomysł. Oczywiście, nie ma mowy o wyjeździe do Rzymu.

— Bzdura! — zawołał książę. — Musi pan jechać, ja chcę teg< Śmiało może pan koncertować w Rzymie bez niczyjej pomoc A o Skrzyńskiego niech się pan nie martwi... Jest bogaty... a go\* czenie pana sprawi mu przyjemność. Każę zamówić dla pana D\* lety kolejowe na przyszły tydzień i przetelegrafuję hrabiemu da pańskiego przyjazdu.

I nie czekając na moją zgodę, pożegnał mnie:

— A teraz muszę się ubrać. Proszę się nie spóźnić na koła1 Wyszedłem zaniepokojony, ale jednocześnie podniecony perspektywą poznania Rzymu.

362

Recital w Bbsendorfer-Saal odbył się w pełnej gali. Wiedeńska „mietanka towarzyska odpowiedziała gremialnie na zaproszenie pana Bbsendorfera, obecnych było także wielu znanych muzyków,

profesor Leszetycki przybył ze swoją piątą żoną, Polką z pochodzenia; w pierwszych rzędach zasiedli światowej sławy pianista Maurycy Rosenthal, nie mniej sławny Emil Sauer, skrzypek Arnold Rosę z kwartetu noszącego jego imię, Franz Schalk, pierwszy dyrygent wiedeńskiej Opery, a także najwybitniejsi recenzenci. Bogato reprezentowana była również kolonia polska — wśród przybyłych znajdowali się między innymi dwaj ministrowie stanu. Książę Władysław przyszedł ze swymi krewnymi — księżną Marią Lubomirską i jej córkami.

Nietrudno sobie wyobrazić, jak strasznie byłem podenerwowany, stając przed tak onieśmiałą publicznością. Jednakże idealna akustyka sali oraz naprawdę wspaniałe fortepiany dodawały mi otuchy. Obecność tylu muzyków stanowiła dodatkową podniecie. Denerwowałem się jedynie z powodu profesora Leszetyckiego, który uzbrojony w potężną lornetkę przez cały czas trwania koncertu siedział, wbijając wzrok w moje palce! W sumie grałem zupełnie dobrze i otrzymałem wiele serdecznych braw; były bisy i wywoływania — a więc demonstracja rzadko tylko spotykana ze strony publiczności przybyłej za zaproszeniami. Wiele osób wpadło za kulisy, żeby mi pogratulować, wśród nich słynący z dowcipu i ostrego języka Rosenthal — lecz ku mojemu zdumieniu, poprzestał na kilku miłych słowach otuchy.

Brakło mi na koncercie kochanego starego pana Bbsendorfera, ale była to już zbyt późna jak na niego pora: przesłał mi za to Serdeczne pozdrowienia.

Książę Władysław wydał na moją cześć kolację. Obecna była księżna Maria z córkami oraz paru innych dostojnych gości. Rosy nie została zaproszona.

Tak więc w Wiedniu stanąłem na twardym gruncie: recenzenci nie szczędzili mi pochwał, a publiczność zaczęła zwracać na mnie uwagę. Co najważniejsze, dwaj impresariowie wystąpili z propozycjami koncertowymi na następny sezon. W czasie kolacji pożegnał książę Władysław wręczył mi bilet kolejowy pierwszej klasy Rzymu i z powrotem wraz z oddzielnym przedziałem w wagonie I

i hf długim liście do Poli opisałem wszystkie te sensacyjne nowiny \_błagałem ją, by przyjechała na mój recital do Berlina pod koniec arca- To była długa rozłąka i bardzo mi było Poli brak.

363

56

Znaleźć się — po raz pierwszy — w jednoosobowym przedziale sypialnym train de luxe — toż to prawdziwa rozpusta! Było mi zbyt wygodnie, czułem się zbyt szczęśliwy — nie mogłem zmrużyć oka. Był to zapewne skutek podniecenia myślami o Rzymie. Długa podróż stała się dla mnie jednym pasmem radości. Na każdym postoju: w Wenecji, Bolonii, Florencji — serce zaczynało mi mocniej bić, bo już same nazwy tych miast brzmiały w moich uszach jak muzyka.

Przed Rzymem zacząłem się niepokoić. Jak przyjmie mnie hrabia Skrzyński? Czy będzie próbował mnie spławić, wypłacając pieniądze i odsyłając natychmiast z powrotem? (Nigdy nie byłem zadowolony z całej tej historii i nadal miałem uczucie, że książę wykorzystał nieświadomość hrabiego, a ja, niechcący, stałem się współnikiem w tej wątpliwej transakcji.)

Kiedy pociąg stanął wreszcie u celu, usiłowałem przygotować się wewnętrznie na każdą ewentualność. Na peronie dostrzegłem czekającego na mnie, uśmiechniętego hrabiego Skrzyńskiego.

Nie będę nużył czytelników dalszymi próbami odtworzenia właściwej mu wymowy litery „r” i pozwolę hrabiemu (w tej książce)

wypowiadać ją prawidłowo.

— To cudownie, że mimo tych durniów, którzy nie wiedzą, kim pan jest, zdecydował się pan przyjechać — powiedział, ujmując mnie pod ramię. — Zarezerwowałem panu pokój w „Excelsiorze”; Grand Hotel, gdzie mieszkam, wyprzedany jest do końca sezonu. W drodze do hotelu wtajemniczył mnie w swoje zamiary. Załatwiłem panu pojutrze koncert w sali balowej Grand Hotelu. Proszę się nie obawiać... To doskonałe pomieszczenie, często wykorzystywane na odczyty i koncerty. Wystąpi pan przed jak najstaranniej dobraną publicznością. Zaprosiłem tout Rome. Przed recitałem podejmuję kolację dwadzieścia osób, w tym czterechl ambasadorów z małżonkami. Co pan o tym sądzi?

— Ależ to- cudownie z pańskiej strony, że tyle pan dla mnie zrO” bił — powiedziałem, lecz bez przekonania. Cały ten pomysł prz5 pominął mi bowiem nieco inicjatywę Bbsendorfera, tyle że \* muzyków. Kiedy o nich spytałem, Skrzyński powiedział:

— W Rzymie muzyka to opera i właśnie dlatego nie mogłem z1 leżć nikogo, kto podjąłby się

urządzić panu publiczny koncert. Jest wszakże jeden człowiek, prezes Akademii św. Cecylii, hrabia San Martino, który zorganizował dobrą orkiestrę symfoniczną, a

364

mauzoleum rzymskim cesarza Augusta wybudował wspaniałą salę. Był jednym z tych, do których się zwróciłem, ale oświadczył mi, że nie dysponuje wolnym terminem, a zresztą i tak nie angażowałby się w sprawę zupełnie nieznanego artysty. Lecz pozna pana, gdy nasłucha jutro pańskiej gry: zaprosiłem go zarówno na kolację, jak i na koncert.

Przybyliśmy do hotelu. W hallu, przy recepcji, polecił mnie opiece urzędnika, zaprosił na kolację i pożegnał się.

Kiedy już rozpakowałem się w moim ślicznym pokoju z łazienką, rzuciłem się na przewodnik po Włoszech i starannie przestudiowałem wszystkie zabytki oznaczone czterema gwiazdkami, które przede wszystkim pragnąłem poznać w Wiecznym Mieście. Zabrałem się do tego równie skrupulatnie jak pedantyczny Niemiec. Pierwszy dzień poświęciłem zabytkom starożytnego imperium rzymskiego. Dorożka zawiozła mnie na Forum Romanum, gdzie znów ożyło moje namiętne zainteresowanie historią. Zwiedzałem wszystko, żaden kamień nie uszedł mojej uwadze, dumny byłem, że potrafię odcyfrować niektóre łacińskie inskrypcje. Łuk Tryumfalny, wzniesiony dla upamiętnienia zwycięstwa Tytusa nad Hebrajczykami i zburzenia Drugiej Świątyni, przyprawił mnie o smutek i ból. Przekąsiłem coś szybko w jakiejś trattorii i kontynuowałem pielgrzymkę po pamiątkach minionej chwały Rzymu. W ogromnym, budzącym grozę Koloseum oczyma wyobraźni widziałem okrutne walki gladiatorów oraz pierwszych chrześcijan, rzuconych lwom na pożarcie. Świątynia Vesty, Via Appia Antica, katakumby z grobami męczenników — wszystko to przypomniało mi lekcje z Altmannem i nagle poczułem, jak mi go brak.

Popadłem w taki zachwyt, że o mało co, a byłbym zapomniał o kolacji. Pospiesznie umyłem się, przebrałem, i do Grand Hotelu Przyszedłem punktualnie. Kiedy zadzwoniłem do apartamentu, hrabia Skrzyński zszedł na dół i zaraz zaprowadził mnie do sali restauracyjnej.

W czasie długiej kolacji d deux pokazał mi listę osób zaproszonych na koncert; w głowie zakręciło mi się od tych tytułów, podawszy od diuków aż po baronów — najbardziej nieprawdopodobną publiczność koncertową, jaką można by sobie wyobrazić! Ale "rabia przedstawił mi również ogólnie polityczną, społeczną i artystyczną sytuację we Włoszech. Było to błyskotliwe resume, dokonane przez wyjątkowo inteligentnego człowieka (po I wojnie światowej został ministrem spraw zagranicznych wolnej Polski). Przygotowania do przyjęcia oraz do koncertu poczynił ze sprawnością hodowca.

\*-\* Akustyka jest tu idealna — powiedział, pokazując mi salę — oto adres pani Bretschneider, która jest przedstawicielką firmy

365

Bechstein w Rzymie. Zajmie się ona pańskim fortepianem i w ogóle jest do pańskiej dyspozycji. Kiedy szedłem spacerkiem do hotelu przy Via Veneto, moje samopoczucie wydatnie się poprawiło. Czytelnicy zdziwią się zapewne, słysząc, że tak sławna dziś Via Veneto, miejsce spotkań dolce vita oraz świata filmu, wzdłuż której od „Excelsioru” aż do bramy Pincio ciągną się zatłoczone tarasy kawiarni, w owych czasach była cichą, wytworną uliczką, której centrum stanowił Palazzo Margherita, rezydencja królowej-matki.

Nazajutrz z samego rana udałem się pod wskazany adres przy Via Condotti, gdzie miałem spotkać się z przedstawicielką firmy Bechstein i omówić sprawę fortepianu. Uroczą starszą pani, ma-dame Bretschneider, pokazała mi bardzo dobry instrument i przyrzekła przysłać najlepszego stroiciela w mieście. Cóż to za kontrast z tamtym Prusakiem z Wiednia!

Wypiłem filiżankę kawy w liczącej sobie cztery czy pięć stuleci „Cafe Greco”, gdzie niegdyś mieli swój stolik Byron i Shelley, Chateaubriand i Stendhal, Mickiewicz i Słowacki — i pobiegłem do Watykanu.

Nie zapomnę nigdy owego głębokiego wzruszenia, kiedy raz pierwszy zobaczyłem arcydzieło Michała Anioła — freski na sklepieniu Kaplicy Sykstyńskiej. Leżąc na podłodze, w milczącym podziwiewie długo kontemplowałem monumentalne dzieło, jego gigantyczną koncepcję i realizację. Geniusz Michała Anioła przyćmił znakomite malowidła Botticellego, Ghirlandaia i innych, wiszące na ścianach tej samej kaplicy, za to freski i stanze (pokoje papieskie) Rafaela, tego Mozarta wśród malarzy, oczarowały mnie prostotą i subtelnością wyrazu.

Tego samego popołudnia w Museo delle Terme zwiedziłem ogromną kolekcję rzeźb. Monotonny rząd popiersi rzymskich imperatorów zaczął mnie już nużyć, gdy nagle w jednej z nisz ujrzałem

przepiękny posąg Venus Kallipygos („Pięknotyłej”), odnaleziony niedawno w Cyrenajce. Jej biodra były tak cudownie doskonałe, że nie mogłem się powstrzymać, by nie pogłaskać delikatnie marmurowych pośladków, jak gdyby była żywą istotą.

Wieczorem, po kolacji, poszedłem na program variete do Salonu Margherita. Główną atrakcją był śpiewak Pasquariello, popularny wykonawca pieśni neapolitańskich. Sala była wypełniona po brze ale mnie uderzyło zachowanie większości mężczyzn. W czasie pierwszych numerów programu siedzieli w kapeluszach na ławach i czytali ogromne, wieczorne wydania gazet, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co się dzieje na scenie. Za to z chwilą pojawienia się Pasquariella przodemowali kapelusze z głów, mężczyźni składali gazety i ci sami ludzie zamienili się nagle w najbardziej

366

hałaśliwą i entuzjastyczną publiczność, jaką w życiu widziałem. Należałem do tych, którzy zachowywali się najgłośniej. Pasquariello oczarował mnie swym ciepłym głosem i ślicznymi piosenkami. Dwie z nich pamiętam po dziś dzień i czasem, gdy jestem sam, grywam je z uczuciem nostalgii.

57

Koncert, a ściślej mówiąc przyjęcie, stało się tryumfem hrabiego Skrzyńskiego. Dzięki jego savoir faire wieczór ten stał się wydarzeniem, o którym długo mówiono. Kolacja, jak mnie zapewniano, była znakomita. Zrezygnowałem z niej, ponieważ nigdy nie jadam przed występem.

Później, gdy goście zaczęli wchodzić do sali balowej, słysząc było jedynie pełne podziwu „achy i ochy” na widok tego, jak zdołano zmienić to banalne pomieszczenie. Układ kwiatów oraz sposób rozmieszczenia czerwonych i złotych foteli przekształciły tę wielką salę w elegancki salon.

Słuchacze siedzieli nie w równych rzędach, jak to zazwyczaj bywa na koncercie, lecz dookoła mnie w małych grupkach. Nigdy jeszcze nie grałem w lepszych warunkach.

Wśród obecnych spotykało się najwybitniejsze nazwiska włoskie. Rzym reprezentowali między innymi książęta Colonna, Doria, Aldobrandini, Buoncompagni, Rospigliosi; z Wenecji przybyła piękna hrabina Annina Morosini i urocze siostry, księżna Potenziani i Arabina Arrivabene; księżę i księżna Trabia zaliczali się do najwyższej arystokracji sycylijskiej.

We Włoszech, bardziej niż gdziekolwiek indziej, utytułowana szlachta wciąż jeszcze stanowiła czynnik decydujący o życiu i karierze artysty.

Grałem przeszło godzinę bez przerwy. Toccata Bacha wywołała

lesny oklaski, lecz prawdziwy sukces przyniósł mi Chopin, utwór, transkrypcję Franciszka Liszta „Śmierci miłosnej w rym” z Tristana, przyjęto owacyjnie. Skrzyński przedstawił mnie gościom, którzy mi gratulowali, otrzymałem też szereg zaproszeń. San Martino wyraził życzenie zaangażowania mnie solisty na jeden z koncertów symfonicznych w Augusteo. W końcu przeonał się kłopotem Pan Jest — powiedział mrugając do mnie okiem, kiedy mu o tym powiedziałam.

367

— Jutro przypomnę mu o tej obietnicy i nie pozwolę, żeby się z niej wycofał.

Ten wspaniały wieczór miał jeszcze inne, bardziej bezpośrednie następstwo. Markiza Rudini, bogata i piękna młoda kobieta, zaprosiła mnie, bym wystąpił na przyjęciu z okazji przeprowadzki do nowej rezydencji. Wynajęła jedno ze skrzydeł wielkiego Palazzo Barberini, w którym znajdowała się ogromna pusta kaplica, idealna, nie jej zdaniem nadająca się na koncerty. Skrzyński, do którego zwróciła się o radę w sprawie mego honorarium, nie omieszkał zażądać dwóch tysięcy lirów (w roku 1910 równowartość 400 dolarów); przystała na to z ochotą.

Z dnia na dzień stałem się w Rzymie popularny. Kilka dni dzielących mnie od przyjęcia u Rudinich przyniosło mi mnóstwo obowiązków towarzyskich: tu obiad, tam kolacja, gdzieś indziej herbatka — tak przedstawiał się mój codzienny program. Nie wiem, w jaki sposób udało mi się kontynuować zwiedzanie miasta, a przy tym nie zaniedbywać ćwiczeń u pani Bretschneider.

Hrabia Skrzyński był zadowolony, że ustalił termin mego debiutu w Augusteo w sezonie zimowym.

— To żalosne Towarzystwo — powiedział — nie godzi się na zapłacenie więcej niż sześciuset lirów, co ledwie wystarczy panu na pokrycie kosztów podróży. Mimo to, ze względu na wagę takiego występu, radziłbym wyrazić zgodę. Ach, jaka szkoda, że Luisa nie ma w Rzymie!

— Kto to jest Luisa? — spytałem.

— Markiza Casati — odparł. — Najbardziej interesująca i urocza kobieta w mieście. Mam jednak nadzieję, że niebawem wróci.

Zaproszenie z ambasady amerykańskiej pokazało, że ambasadorem był ten sam pan Leishman, którego poznałem niegdyś w Paryżu. Zarówno on, jak i jego małżonka przyjęli mnie jak starego

przyjaciela. Ich córka, hrabina Gontaut-Biron, przekazała mi wiadomości o Armandzie, którego dawno już nie widziałem. Pani Leishman prosiła, bym czuł się w ambasadzie jak u siebie w domu. Otwarcie nowej rezydencji Rudinich było wspaniałą imprezą, prawdziwym clou sezonu. Amfilada pięciu czy sześciu królewskich komnat, z pięknymi freskami, pokrywającymi ściany i sufity, PrL wadziła do kaplicy przerobionej na salę koncertową z estradą i rzędami foteli. Jediną ozdobę stanowiły piękne gobeliny.

Znakomita publiczność powoli wkraczała do kaplicy i zajmowała miejsca. Nigdy w życiu nie widziałem wytworniejszego zgromadzenia. Liczba gości Skrzyńskiego, którzy tym razem także obecni, została trzykrotnie przekroczona.

Odegrałem cały program recitalu, kolejno zapowiadając każdemu utwor. A ta publiczność „de luxe” słuchała uważnie i reagowała

368

łm sercem. Włosi mają wrodzone umiłowanie muzyki — uświadomiłem to sobie z radością. p0 sonacie Beethovena zgotowano mi owację, a kolejne utwory Schumann, Chopina i Liszta wywołały salwy braw i rosnący entuzjazm.

p0 zakończeniu koncertu w trzech pokojach podano zimną kofeinę. Dora Rudini, blondynka i ciemnowłosa piękna pani domu,

omieniała z zadowolenia. Przedstawiła mi wielu interesującym osobistościom, między innymi maestro Sgambatiemu, sławnemu pianistę i kompozytorowi, z którym przyjaźnili się Liszt i Wagner, oraz Modestowi Czajkowskiemu, bratu rosyjskiego kompozytora. Obaj mnie zafascynowali, a ja chyba przypadłem im do gustu. pozostaliśmy do późnej nocy; Czajkowski opowiadał o muzyce rosyjskiej i o swoim bracie, a Sgambati przytaczał zabawne anegdoty o Liszcie i Wagnerze. W sumie był to pamiętny dzień w moim życiu.

58

Poranna poczta przyniosła mi honorarium od Rudinich. Otrzymałem pieniądze, natychmiast postanowiłem pojechać do Neapolu — baedeker palił mi ręce. „Zobaczyć Neapol i umrzeć!” — powiada przysłowie, ale moja wersja brzmiała: „Umrę, jeśli nie zobaczę Neapolu!” Kiedy przy obiedzie zwierzyłem się z tego Skrzyńskiemu, roześmiał się.

— Po co się tak spieszyć i chce zobaczyć wszystko za jednym zamachem? W przyszłości będzie pan miał mnóstwo czasu na spokojne zwiedzenie Włoch.

Zarumieniłem się ze zniecierpliwienia:

. ^~\_ Nie chcę niczego w życiu odkładać na później. Uważam, że jeśli ma się na coś ochotę, a jest szansa, by to zdobyć, to nie ma a co czekać, tylko trzeba chwytać ją natychmiast. Takie chwile częścią to prawdziwe dary niebios i nie przychodzą nigdy na żądanie!

a zrozumiałym uśmiechem skwitował to szaleństwo młodego

czy inaczej, niech pan nie zabawi w Neapolu zbyt długo na temat swojego powrotu. Moja droga przyjaciółka, Luisa a nie Dawem wrócić do miasta, a chciałbym, żeby ją pan

369

Jeszcze tego samego wieczora wybrałem się w drogę. Do Neapolu, jechało się pociągiem tylko sześć godzin, ale nie miałem zamiaru tracić drogiego dnia na podróż koleją. Przybyłem na miasto o siódmej rano. Na nic się tu nie zdał mój francuski i angielski; zupełnie wystarczające w Rzymie; trudno mi też było zrozumieć dialekt neapolitański. Gesty i miny musiały zastępować mowę. Zaprzężona w wynędzniałego konia dorożka zawiozła mnie do niedrogiemu hotelu (oznaczonego w moim przewodniku jedną gwiazdką). Na szczęście z okna pokoju rozciągał się szeroki widok na przepiękną zatokę, z imponującym Wezuwiuszem z lewej strony. Zszedłem na dół na śniadanie, żeby doczekać się dziewiętej, kiedyś to otwierano Museo Nazionale, mieszczące najwspanialszy zbiór posągów i popiersi z brązu odkopanych w ruinach Pompei i Herculaneum. Kiedy nadeszła pora, wybrałem dorożkę z mocniejszym koniem i powiedziałem woźnicy:

— Museo Nazionale, Museo Nazionale — jednocześnie gestem, dając mu do zrozumienia: „Jedź naprzód, jedź!”

Woźnica uśmiechnął się i skinął głową: „Si, signore” — a koń; pokłusował wcale rażno. Musiałem dorożkarzowi przypaść do serca, bo koniecznie chciał mi objaśnić wszystkie mijane po drodze widoki i zabytki, zwłaszcza te, które mnie nie interesowały.

— Garibaldi, Garibaldi — krzyczał na cały głos albo wskazując dom towarowy: — Grand magazzino!



## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

W jakiejś większej uliczce zatrzymał się raptownie i wskazał w podnieceniu jakiś dom, zmuszając mnie, abym wysiadł. Myślałem, że pokaże mi, iż tu się urodził albo umarł ktoś wybitny (w jego mniemaniu!), poszedłem więc za nim aż do wejścia. U podnóża schodów stała mała dziewczynka, licząca sobie nie więcej niż dziesięć lat, i uśmiechała się do mnie. „Bella ragazza, bella ra-gazza” — zaintonował dorożkarz, przewracając ekstatycznie oczami—W tym momencie nie wiadomo skąd pojawiła się tęga kobieta, która popchnęła dziecko w moją stronę, powtarzając raz po raz: „Mia figlia, mia figlia”. Widząc moją obojętność, rozpięła bluzie dziewczynki, odsłaniając malutkie okrągłe piersi i zmusiła nmi\* bym ich dotknął. Były twarde jak kamień. A wszystko to cizia\* się o godzinie dziewiątej rano! Kochany Neapol! W 1910 roku by& to najbardziej niemoralne i pełne pokus miasto. Wybiegłem z powrotem na ulicę i gniewnie krzyknąłem na rożkarza:

— Museo Nazionale! Z żalem usłuchał.

Brązy z Pompei i Herculaneum wydały mi się genialnymi łami sztuki. Mistrzostwo tych starożytnych rzeźbiarzy nie Dc sobie równych. Kiedy podziwiałem piękno konnego posągu ^

370

ra

f) poruszyła mnie nagle myśl, że nowożytna rzeźba, w porów-z muzyką czy malarstwem, poczyniła od tych starożytnych bardzo skromne postępy.

pierwszym piętrze mieściła się kolekcja obrazów i gobelinów, •gnąca się przez wiele pokoi, ale ja widziałem tylko jeden obraz: Tycjana — wszystkie inne zatarły się w mojej pamięci, posiadał tylko ten obraz, moje życie stałoby się stokroć

bogatsze.

Resztę dnia poświęciłem na wycieczkę do Pompei, gdzie z przy-ernnością zanurzyłem się we wspaniałą przeszłość i przez kilka godzin czułem się jak szlachetnie urodzony patrycjusz tamtych czasów. Liczne zabytki pornograficzne i obsceniczne w Hercula-neum i w Pompei są chyba dowodem, że Neapol, jaki wtedy poznałem, odziedziczył po przodkach przynajmniej część obyczajów. Wieczorem to wielkie miasto wyglądało jak jeden wielki burdel. Na każdym rogu zaczęli przechodniów stręczyciele, dorożkarze proponowali zawiezenie do rewelacyjnych domów publicznych, a w wielu oknach widziało się młode kobiety zapraszające gestem: „Proszę wejść na górę!” Dzięki ojcowskim ostrzeżeniom, wydrukowanym przez wiernego przyjaciela, pana Baedekera, ominąłem szczęśliwie te niebezpieczne zasadzki. Zamiast tego radził mi on wspiąć się na szczyt Wezuwiusza i nie wyjeżdżać z Neapolu, dopóki nie zwiedzę wyspy Capri. Ufnie posłuchałem jego cennych rad.

Rano omnibus zawiózł mnie do Torre del Greco, wioski, z której należało rozpocząć wyprawę na szczyt wulkanu. Na pierwszy rzut oka piesza wspinaczka wydała mi się czymś przerażającym. Już zamierzałem z niej zrezygnować, gdy nagle pojawił się jakiś nieznajomy z atrakcyjną propozycją: dostarczy mi osiodłanego konia 1 zaprowadzi aż na skraj krateru. Cena nie wydała mi się zbyt wygórowana, więc zgodziłem się. Będąc dobrym jeźdźcem, z początku ucieszyłem się, że znów dosiadam konia, mimo że posuwaliśmy się naprzód bardzo powoli. Mój wierzchowiec miał łagodne usposobienie i musiałem go popędzać, klepiąc lekko otrzymaną od paderewskiego laską, którą z sobą zabrałem. Po chwili jednak właściciel konia zaczął mnie denerwować, bo zamiast iść przodem

.. Prowadzić konia za uzdę, uczeplił się jego ogona, zmuszając tedną stworzenie, żeby go wlokło po stromej ścieżce. Kiedy usiło-sm go powstrzymać, odpowiedział z gniewem, gestykulując

. że robi, jak sobie życzę, ale tylko wtedy gdy będzie Pob drugieg° konia dla siebie. Przystąpiłem na to, acz niechętnie. c leS\* z powrotem do wioski, każąc mi czekać pół godziny, po drv Wrocil> jadąc na... mule. „Cena ta sama” — powiedział byliśmy już w połowie drogi na szczyt, wskazał mi jakąś

371

chatę i kazał zsiadać z konia; sam zresztą także zsiadł z my}. „Lacrimae Christi” — oświadczył z namaszczeniem. Kiedy lj dziłiśmy do środka, spodziewałem się ujrzeć wnętrze kaplicy, czasem była to po prostu gospoda. Barman, czy jak mu tam, po francusku i wyjaśnił, że „Lacrimae Christi” to nazwa miejsca wego gatunku wina i że zwyczaj każe pić je w drodze na szczyt wulkanu. Mój przewodnik z uznaniem potakiwał głową. Barman odkorkował butelkę, napełnił trzy wysokie szklanki. Wino byfc słodkie i ciężkie. Kiedy chciałem płacić, powiedział:

— On już za pana zapłaci.

Przewodnik wysączył butelkę do dna i ruszyliśmy dalej. pol drodze była jeszcze jedna chata — i jeszcze jedna butelka „Lacri-mae Christi”.

Wreszcie zbliżyliśmy się do szczytu; pozostał jeszcze niewielki stromy odcinek, który trzeba było pokonać pieszo. Kiedy zrobiłem pierwszy krok, poczułem, że ziemia w tyrr miejscu to po prostu<sup>^</sup> warstwa miękkiego popiołu, w którym nogi zapadały się po ko-f lana. Robiłem, co mogłem, aby posunąć się naprzód, lecz daremnie Tamten facet umiał sobie radzić z popiołem, bo niebawem był już wyżej niż ja i rzucił mi sznur, żeby mnie podciągnąć.

— Dwadzieścia lirów — powiedział, trzymając jednak sznur poza zasięgiem mojej ręki.

Pieniłem się z wściekłości.

— Nie, nigdy! — zawołałem, cierpiąc męki Tantała. Na koniec! zupełnie wyczerpany dałem za wygraną i złapałem koniec tej prze-i klętej liny.

— Zapłacisz ty mi za to, bratku — mruknąłem, ale moje pogroźki nie docierały do niego; śmiał się tylko. Posunąłem się teraz ostrożnie aż na sam skraj krateru i zajrzałem do środka. W pevmej chwili wulkan jak gdyby zagrział, z głębi krateru wyleciały P0' tężne kamienie, a ogromny płomień omal mnie nie wchłonał; poczułem, że ziemia trzęsie się pod stopami. Krzyknąłem, laska Pade-rewskiego wysliznęła mi się z ręki i wpadła w płomień, a Ja> przerażony, zsunąłem się po popiołach w dół. Koń i muł czekały spokojnie, najwidoczniej przyzwyczajone do tego wszystkiego. % oprawca, idealnie opanowany, dał mi do zrozumienia, że Wezuwn\*sl jest wciąż czynny i że wobec tego nie ma się czego bać.

Na dół zjechaliśmy w milczeniu. W Torre el Greco popr°s bym zaszedł do jego biura i uiścił rachunek. Biuro okazało się noi w której pięciu czy sześciu mężczyzn, wyglądem przypominający bandę rzezimieszków z hollywoodzkiego westernu, popijało Pr stole wino. Byli to serdeczni przyjaciele mego przewodnika i łem, że nie darzą mnie zbytnią sympatią. Kiedy ten szatan p\*1 stawil mi rachunek, przeraziłem się. Każdą pozycję pomnoży\*

372

mi na przykład za cztery (!) butelki mdlących „tez Chry-sowy Oburzony podniosłem głos, lecz jego przyjaciele wy- dali na niezadowolonych. „Lepiej zapłacić od razu” — pomyśla-f m i tak też spiesznie uczyniłem.

?o powrocie do hotelu spojrzałem z pogardą na mego baedekera, ie mogłem jednak sprawić mu zawodu, jeśli idzie o Capri. W moim „Hotel del Vesuvio” (czyżby nomen-omen?) istniała agencja zajmująca się organizowaniem niedrogich wycieczek, w tym także jednodniowej wycieczki na Capri. W cenie biletu mieściła 5jo podróż statkiem tam i z powrotem, obiad w restauracji hotelo-Wej w porcie Capri, zwiedzanie sławnej Lazurowej Groty, objazd miasta i oglądanie ruin willi cesarza Tyberiusza. Rozkład jazdy przewidywał odjazd o dziewiątej rano, a powrót o siódmej wieczór. Tyle pięknych rzeczy do oglądania! Cuda opowiadano mi o tej rajskiej wyspie!

Średniej wielkości statek przypominał te, które kursują pomiędzy Dover a Calais. Ranek był słoneczny i pogodny, morze spokojne, powietrze rześkie, ale nie chłodne. Na górnym pokładzie przyłączyłem się do grupki rozbawionych turystów.

Wysoki mężczyzna w stroju żeglarskim, trzymający się nieco na uboczu, nagle zwrócił się do mnie po angielsku:

— Czy to pańska pierwsza wizyta na Capri?

Skinąłem głową.

—• Wygląda pan na artystę. Nie mylę się, prawda?

Gdy powiedziałem, że jestem muzykiem, dodał:

— To interesujące. Domyśliłem się tego od razu.

Wyglądał na nie więcej niż czterdzieści pięć lat, a choć jak na Anglika był nieco zbyt bezpośredni i rozmowny, nie ulegało wątpliwości, że miałem do czynienia z dżentelmenem.

— Mieszkam w Anglii — powiedział. — Piszę książki, ale każdego roku dwa miesiące spędzam na Capri, żeby uciec od obrzydliwego klimatu w kraju. Proszę opowiedzieć mi coś o sobie.

Opowiedziałem mu szczegółowo o mojej (nie)chlubnej wspinaczce na szczyt Wezuwiusza.

. Ach ci neapolitańscy oszuści — roześmiał się. — Trzeba mieć ^ przed nimi na baczności... To niebezpieczne towarzystwo. Rozmowa zesłała na literaturę, mój ulubiony temat. Wykazał się t° a znajomością pisarzy francuskich i rosyjskich, ja zaś ze swej wyraziłem podziw dla Dickensa i Oscara Wilde'a, i tak ^lawialiśmy z ożywieniem. edy zawinęliśmy do portu, szepnął:

cł Pan nie zwiedza Lazurowej Groty z tym tłumem. Wszy- ^ P°PSU3^ Chciałbym tam pana

zawieźć łodzią, która może do pieczary... Tamci obejrzą ją tylko z zewnątrz.

373

Przystaliśmy z wdzięcznością. Było południe. Przewodnik zwo; wał turystów.

— Najlepiej zrobimy, gdy po ich odejście udamy się na obi a wyruszymy w drogę, jak oni wrócą — powiedział mój no przyjaciel. Jego pewność siebie oraz znajomość wyspy sprawiły, zaufałem mu bez zastrzeżeń.

Zwiedzanie grotty była to iście niebiańska rozkosz. Nasza łó. prowadzona przez doświadczonego wioślarza, wpłynęła do piecz\$y przez wąski przesmyk i spokojnie krążyła po szafirowo błęki wodzie. Kiedy wróciliśmy, mój przewodnik-amator wynajął i kazał mi podziwiać romantyczne uliczki, place i fontanny t uroczego miasteczka.

W kawiarni, gdzie zamówiliśmy lody, zauważyłem Maksyma kiego, wielkiego rosyjskiego pisarza; siedział przy stoliku, piony w lekturze i pił z wysokiej szklanki herbatę z cytryną. M niedyskretne zainteresowanie i yrybałuszanie oczu nie przesz dzało mu zupełnie. Nie miałem odwagi podejść do niego.

Robiło się późno — była za kwadrans szósta — chciałem v wracać już do portu, ale mój cicerone powstrzymał mnie:

— Ależ nie może pan odjeżdżać, nie zobaczywszy Anacapri o za» chodzie słońca ani lśniących jak brylanty Neapolu i Ischii. % jedna przejażdżka warta jest tyle, co cała pańska wyciecz^ A zresztą, ma pan jeszcze mnóstwo czasu, żeby zdążyć na statek

Musiałem się zgodzić. Otwarta dorożka powiozła nas więc dróg? wykutą w skale, wysoko ponad morzem. To było naprawdę wspaniałe.

Jechaliśmy wygodnie i spokojnie, gdy raptem uświadomiłem sobie, że mój towarzysz całym ciężarem ciała napiera na mnie-Próbowałem się odsunąć, ale on przysuwał się coraz bliżej i bliżej.

Zachowywał się dokładnie tak, jak gdybym był kobietą.

Okropnie zażenowany i przerażony powiedziałem, że nie czuj się dobrze i chciałbym natychmiast wracać. Zrozumiał, dał u spokój i polecił woźnicy, by zawiózł nas do portu.

Posuwaliśmy się powoli wśród zapadającej nocy. Kiedy przybS liśmy na miejsce, czekała mnie najprzykrzejsza niespodzianka a statek już odpłynął! Wszystko stało się jasne. Celowo doprowadz do tego, żebym się spóźnił.

— Proszę się nie denerwować — powiedział. — Następnym s ma pan o dziewiątej rano. Hotel jest przepelniony, ale może V

ć i z r2

p

v

przenocować u mnie. Mam dwa pokoje. Chodźmy się umyć i z kolację... Jestem strasznie głodny.

Głowa do góry, jutro Pr

południem będzie pan w Neapolu — dorzucił, widząc moje poko jenie. Nie odezwałem się słowem, ale ogarnął mnie strach.

374

Niewysokie schody wiodły do jego mieszkania. Weszliśmy do zego pokoju, po czym otworzył drzwi do drugiego, mniejszego.

— To pański pokój — powiedział z ujmującym uśmiechem.

wpadłem w panikę. Nie było żadnych innych drzwi oprócz tych, które prowadziły do jego pokoju! I ani śladu klucza! Zachowałem

dnak spokój. Umyliśmy ręce i zeszliśmy na kolację. Nie mogłem <ie zdecydować, czy mój nowy znajomy był rzeczywiście dżentelmenem, na jakiego wyglądał, i który początkowo wzięwszy mnie homoseksualistę, zdał już sobie sprawę z popełnionej pomyłki, czy też maniakiem seksualnym, gotowym zagrozić mi nożem.

postanowiłem uciekać. W połowie kolacji udałem gwałtowny ból głowy i pobiegłem do swego pokoju. On pozostał, uprzejmy i niewzruszony, nie przerywając jedzenia. Na górze zapewnilem sobie możliwość ucieczki. Przede wszystkim zabarykadowałem drzwi\* ciężką komodą, na której ustawiłem dwa fotele i wszystko, co tylko mogłem w pokoju znaleźć. Potem przyjrzałem się oknu, mojej jedynej drodze ucieczki. Nie było zbyt wysokie, aby wyskoczyć — pokój znajdował się na niskim pierwszym piętrze, mimo to wiązało się z tym jednak pewne ryzyko. Na końcu korytarza znajdował się balkon. Mogłem go dosięgnąć prawą ręką i podciągnąć się nań. Przy odrobinie zręczności powinno mi się to udać. Położyłem się, nie zdejmując ubrania. O spaniu nie było mowy. Po godzinie zobaczyłem, że klamka w drzwiach podnosi się i opada. Potem krótkie pukanie i

pchnięcie. Kiedy wyczuł opór, musiał zdać sobie sprawę, że jeśli nie chce wywołać skandalu, nie ma sensu nalegać. Nie odważyłem się ani poruszyć, ani zasnąć. To była jedna z najdłuższych nocy w moim życiu.

O piątej nad ranem posłyszałem odgłosy dochodzące od strony portu. Podeszedłem na palcach do okna i ujrzałem duże statki Przygotowujące się do odpłynięcia i sygnalizujące ten zamiar krótkimi rykami syren okrętowych. Nie było chwili do stracenia. Wychyliłem się przez okno, jak tylko mogłem najdalej, jedną ręką trzymałem się kurczowo parapetu, drugą natomiast usiłowałem d<sup>o</sup>sięgnąć balustrady balkonu. Kiedy już udało mi się ją mocno schwycić, znalazłem na murze wąskie oparcie dla stopy i zawi-JHwszy na moment w powietrzu, przerzuciłem się na balustradę, kilka sekund później byłem już na balkonie; otworzyłem drzwi na korytarz i przebiegłem przez hali. Obudziłem nocnego i spytałem, dokąd udają się te statki. Napoli, Napoli — odpowiedział. rt pr2. a.p\*,tan Jednego ze statków rybackich zgodził się za kilka lirów mnie jako pasażera; po czterech godzinach byłem z po-w Neapolu.

375

W „Hotel del Vesuvio” dowiedziałem się, że pociąg do Rzym,, odchodzi za godzinę. Wsiadłem do pociągu i nie miałem już ochoty zaglądać do mego baedekera: obawiałem się, że mogłoby się okg. zać, iż opuściłem jeszcze jakąś oznaczoną czterema gwiazdkami atrakcję.

59

» Po powrocie do Rzymu przeprowadziłem się z hotelu „Excels do „Rertolini Splendid” przy Corso Umberto 1. Był znacznie tań a Corso uchodziło za najruchliwszą ulicę w mieście. Kiedy zad niłem do hrabiego Skrzyńskiego i powiadomiłem go o swym wrocie oraz o zmianie adresu, ucieszył się.

— Wrócił pan w samą porę — powiedział. — Luisa jest w cie i mam być u niej na podwieczorku.

Musi pan pójść ze i Wiele jej o panu opowiadałem i bardzo chciałaby pana poznać.

Pojechaliśmy do dużej, nowoczesnej willi; drzwi otworzył n kamerdyner.

— Pani markiza czeka w swoim pokoju — powiedział i wsk nam drogę.

Z tego, co opowiadał mi o niej Skrzyński, spodziewałem zastać jasno- lub ciemnowłosą piękność o nieprzepartym uroku, gdy weszliśmy do saloniku, z trudem zdołałem powstrzymać okr\* zdumienia: dama siedząca na kanapce była tym samym widme które kiedyś tak straszliwie mnie przeraziło, pojawiając się i naćka po drugiej stronie mego biurka w ciemnej czytelnii Tao chijskiego hotelu „Vier Jahreszeiten”. Te same fioletoworózo włosy, niesamowicie umalowane oczy, długie żółte zęby!

Luisa Casati miała dobrą pamięć; uśmiechnęła się:

— Proszę się nie obawiać. Pamiętam pański krzyk w chium i przyrzekam, że nie zrobię panu krzywdy.

Powiedziała to tak mile, że natychmiast znalazłem się P0^ urokiem. Opowiedziałem Skrzyńskiemu, jak to ukazała mi zjawa w ciemnym pokoju i w jaki wprawiła mnie popłoch. \$& się serdecznie razem z nami. Luisa Casati była postacią, której sposób zapomnieć (stwierdzam to bez cienia sarkazmu), odznak się też wyjątkową inteligencją.

Tego popołudnia zawarliśmy serdeczną przyjaźń, która I trwała długie lata.

376

\_ - Czy zgodziłby się pan zagrać dla mnie, gdybym wydała przy-ięcie na pańską cześć? — zwróciła się do mnie.

Skrzyński szepnął jej coś do ucha, na co odrzekła, że oczywiście, jak mógłby w to wątpić.

później, już na ulicy, hrabia stwierdził:

\_\_ Ma pan zaklepane jeszcze jedno honorarium!

Uczył się szybko, miał zadatki na dobrego impresaria.

Wkrótce po przyjęciu u markizy Casati miałem wyjechać do Berlina i spotkać się tam z Połą. We Włoszech pozostało mi już tylko pięć dni; bardziej sumieaany pianista przeznaczyłby je na ćwiczenia przed zbliżającym się koncertem — ale nie ja! Program berlińskiego recitalu był trudny, grałem go już jednak parę razy i nie chciałem przesadzać w przygotowaniach. Tak więc, kierując się wrodzoną lekkomyślnością, postanowiłem zwiedzić jeszcze Włochy.

Wsiadłem do porannego pociągu do Florencji i zająłem miejsce przy oknie w przedziale pierwszej klasy. Naprzeciwko mnie siedział wytworny starszy pan, Francuz, który słyszał mnie podczas przyjęcia u Rudinich. Przedstawił się, wypowiedział kilka słów pochwały i wciągnął mnie w przyjacielską pogawędkę. Do przedziału weszło polskie małżeństwo w średnim wieku i zajęło dwa miejsca przy drzwiach. W ostatniej chwili na pozostałych, środkowych miejscach, usiadł zdyszany, czerwony na twarzy Niemiec z żoną.

Pociąg gładko pokonywał przestrzeń, gdy w pewnym momencie doszło do zabawnego qui pro quo. Francuz i ja wszczęliśmy namiętą dyskusję o sztuce. Aby podkreślić wagę moich argumentów, podniosłem rękę do góry i zawołałem:

— Ależ Michał Anioł jest z nich wszystkich największy! Polka spojrzała na mnie karcąco.

— Patrz, jak ten smarkacz sobie pozwala z tym starszym panem — odezwała się do męża. — Ci francuscy chłopcy w ogóle nie mają wychowania... Zatracili wszelkie poczucie szacunku. Gdyby mój syn ośmielił się tak zachować, to by dostał takie lanie, że Popamiętałaby je na długo! Ten tu sprawia wrażenie bardzo niegrzecznego, Bóg raczy wiedzieć, kim są jego rodzice!

Bswiłem się doskcnale, zachowując absolutny spokój. Ale nie yi to jeszcze wcale koniec zabawy. Grając w Rzymie, skaleczyłem \*ę w palec i ciągle jeszcze opatrywałem go, posługując się małą uteleczką spirytusu. Żona Niemca przyglądała mi się i nagle za- pytała po niemiecku:

^~ Co się panu stało? Czy palec bardzo dokucza? 0 Niemiecku powiedziałem jej, w czym rzecz.

377

— Mój mąż jest farmaceutą, mógłby panu pomóc. Mężczyzna wydobyl z walizki pudełko, obejrzał palec i czyjA

go posmarował. Uprzejmie podziękowałem mu w jego języku. Gdy tylko Niemcy wszczęli ze mną rozmowę, moja Polka zaczęła się denerwować.

— Wiedziała, wiedziała — powiedziała z sardoniczny^ uśmiechem. — To jest ordynarne szwabisko. Jakżeż mogłam go wziąć za Francuza... Tylko Niemiec może być taki arogancki.

Bawiłem się coraz lepiej i czekałem na stosowny moment. Z roa mowy dowiedziałem się, że Polacy pochodzą z Krakowa. Francuz i ja kontynuowaliśmy dyskusję, od czasu do czasu, rozmawiałem też po niemiecku z moimi sąsiadami. Na krótko przed Florencją wy-ciągnąłem pudełko wysmienitych czekoladek i poczęstowałem towarzyszy podróży. Francuz wziął jedną czekoladkę, Niemcy także, ale kiedy grzecznie podałem pudełko Polakom, pani odmówiła wzgardliwym gestem.

— Wyglądają smakowicie, ale nie przyjąłabym niczego od tego smarkacza — odezwała się do męża po polsku.

Kiedy pociąg zatrzymał się i wszyscy przygotowywaliśmy się do wyjścia, zwróciłem się do niej najczystsza polszczyzną:

— A co słycać w Krakowie, proszę pani?

Spojrzała na mnie z wyrazem osłupienia na twarzy i wydała z siebie przeciągłe „Auuuu”. Mąż obrzucił ją morderczym spojrzeniem i szybko wyprowadził z przedziału. Opowiedziałem całą historię Francuzowi — zaśmiewaliśmy się do łez.

Florencja mnie urzekła. Nim jeszcze zabrałem się do skrupulatnego zwiedzania wszystkich czterogwiazdkowych cudów, godzinami spacerowałem po ulicach, po Lungarno, Piazza delia Signoria, Ponte Vecchio, zachłystując się czarem tego romantycznego miasta.

Zachwycąłem się pięknymi obrazami Botticellego w Uffizi, wyrafinowanymi rzeźbami Donatella w Bargello, delikatną, glazurowaną terakotą Luki delia Robbia. Wytworny Perseusz Benvenuto Celliniego wzruszył mnie, zwłaszcza gdy przypomniałem sod-pełną pasji opowieść o pracy nad tą rzeźbą w jego Żywocie u snym. Jednakże freski Fra Angelica nie wzbudziły we mnie z teresowania; nigdy nie potrafiłem docenić sztuki prymitywistę spośród nich jedynie Giotto zdołał przekonać mnie o swej w^ kości. Ale ze wszystkich wrażeń tego wielkiego dnia najmocr utkwil mi w pamięci gigantyczny Dawid Michała Anioła.

Pełen wdzięczności za to, że dane mi było oglądać te wszys\* nieznórnnane cuda, i za to, że objawił mi się ten klejnot PoL miast, udałem się w dalszą drogę — do Wenecji.

Siedząc w milczeniu w kąciiku przedziału (tym razem incoga1

378

rałem się odświeżyć sobie znajomość dziejów miasta dożów. Nie S dowolił mnie długi ustęp w książeczce pana Baedekera. Teraz 5 z kolei mógłby dowiedzieć się ode mnie o tym i owym. Z radością stwierdziłem, że moja wiedza sięga znacznie głębiej.

Wenecja była dla mnie niemal domem. Kochałem to miasto tak, iak kocha się kobietę. Z zapamiętaniem uczyłem się jej historii; wiedziałem o niej wszystko, co tylko można było wiedzieć. Jej wielcy malarze byli moimi ulubieńcami. Stare kroniki, powieści • Wszelkie wiadomości na jej temat — nie wyłączając nawet rozwlekłych pamiętników Casanowy — były przedmiotem mego nieustającego zainteresowania.

Gdy pociąg wjechał powoli na dworzec, pobiegłem nad Canale Grandę i wskoczyłem do gondoli. — Ali' albergo Luna — zawołałem do gondoliera. Zdażyłem już udoskonalić znajomość włoskiego. Od samego początku musiałem się z nim wyklócać o to, jaką ma obrać trasę. Zamierzał, jak zwykle, popłynąć krótszą drogą przez wąskie kanały, ja natomiast, nie licząc się ze stratą czasu, uparłem się, żeby do miasta moich marzeń wjechać jedyną godną trasą — przez majestatyczny Canale Grandę. Parę dodatkowych lirów przekonało opornego wioślarza i gondola szybko pomknęła po sławnym kanale.

— Scco ii ponte del Rialto! — pozdrowiłem sławny most, zrywając kapelusz z głowy. Przez cały czas przejazdu entuzjastycznie wykrzykiwałem nazwy pałaców, jak gdybym spotykał starych znajomych. — Il Vendramin, dov'e morto Wagner! — wołałem. La bella Ca' d'Oro! Il palazzo Mocenigo! Palazzo Papadopoli! Il Desde-mona! Il Dario! — i tak dalej, dopóki nie dotarliśmy do hotelu. W mgnieniu oka załatwiłem formalności i zostawiłem walizkę, po czym pobiegłem na Piazza — Piazza San Marco, najwspanialszy ze wszystkich placów. Byłem wzruszony, że wygląda dokładnie tak samo jak na oglądanych przeze mnie starych obrazach i że nie ustępuje moim najwznioślejszym wyobrażeniom. Poszedłem więc wprost na taras „Cafe Florian”, usiadłem przy stoliku i podziwiałem złotą aureolę nad połyskującymi w cudownym blasku zachodzącego słońca kopułami katedry Sw. Marka.

Przeżyłem „chwilę wieczności” — określenie, którym posługuję się w odniesieniu do tych rzadkich momentów, gdy czas traci rok

znaczenie. Obojętne, czy taka chwila trwa godzinę, dzień czy miesiąc. Jest w stanie zwiększyć czy pomniejszyć doskonałość

czemu dwa dni spacerowałem, chodziłem i biegałem po uliczkach i mostach tego rajy amatorów przechadzek. Sdy zgubiłem drogę, zapytany przechodzień nieodmiennie

↓  
379

— Cały czas prosto, minie pan most i potem spyta o drogę! i Trzymałem się tej rady i w rezultacie gubiłem się całkowi

Ale później zawsze jakoś odnajdywałem drogę na Piazza.

Zbyt szybko nadszedł dzień powrotu do Rzymu na przyjęcie u markizy Casati; czas było też przygotować się do berlińskiego koncertu. Napisałem do Poli obszerny list o Wenecji i o tym, jak bardzo mi jej było brak w tym mieście miłości; ponownie prosiłem by spotkała się ze mną w Berlinie. Pożegnanie z Wenecją przypominało pożegnanie z najbliższym przyjacielem. Nie ma takiego miejsca na świecie, gdzie grałbym z większą radością i gdzie czułbym się bardziej swojsko. Po powrocie do Rzymu nie miałem chwili do stracenia. Kilka godzin spędziłem, ćwicząc intensywnie u pani Bretschneider, bowiem dni bez fortepianu dały już znać o sobie.

Przyjęcie u Luisy Casati okazało się pod pewnymi względami ciekawsze od poprzednich. Oprócz kilku posiadaczy wielkich nazwisk, przybyli także prawdziwi intelektualiści, autentyczni miłośnicy muzyki, ci, którzy stanowią znaczną część publiczności koncertowej. Grałem więc tak, jak gdyby to była próba generalna przed berlińskim koncertem. W dniu wyjazdu Skrzyński zaprosił mnie na obiad do Grand Hotelu i wręczył dwa tysiące lirów za koncert oraz pozostały tysiąc z tytułu przyjętej gwarancji. Podarował mi także śliczną srebrną papierošnicę z moimi inicjałami i wykonanymi w złocie.

— Pisałem do księcia Lubomirskiego o pańskich rzymskich sukcesach i trochę się sam pochwaliłem; sądzę, iż mu się to należało za to że mnie tak bezceremonialnie potraktował. Nawiasem mówiąc — ciągnął dalej — szkoda, że musi pan wyjeżdżać; sezon jeszcze w pełni i z pewnością mógłby pan częściej występować w wielkim świecie.

Pożegnał się ze mną serdecznie, a ja podziękowałem mu z całego serca.

Nocny pociąg dowiózł mnie do Berlina rano w dniu koncertu Pola, która przyjechała godzinę wcześniej, czekała już na nas w naszym pokoju hotelowym. Przez dłuższą chwilę ściskaliśmy się i całowali ze wszystkich sił. Sporo czasu minęło od naszego wspólnego pobytu w Wiedniu, tak wiele mieliśmy sobie do opowiedzenia — wreszcie musiała mi przypomnieć, że mam tego dnia k01 cert. Szybko zjedliśmy śniadanie, a potem wysłała mnie, obejrzał salę i fortepian.

— Zadzwoń do profesora Bartha i spytam, czy może cię zobaczyć dzisiaj po południu. Pamiętasz, że obiecałeś go odwiedzić?

Anioł nie kobieta, a przy tym mądra!

380

pan Fernow, nowy kierownik agencji Hermanna Wolffa, potężny zbudowany olbrzym o krótkiej brodzie i karku, na którym twożyły się dwie fałdy tłuszczu, czekał na mnie w hallu. Mamy kłopoty z pańskim koncertem — powiedział surowo. — Właściciel hotelu „Bellevue” zgłasza pod pańskim adresem roszczenie o niezapłacony rachunek. Grozi opieczętowaniem wpływów kasowych. Co pan zamierza zrobić? Serce zamarło mi w piersi, ale uśmiechnąłem się:

— To głupstwo. Zaraz to załatwię — powiedziałem wesoło. — Nisch mi pan da sześć dobrych biletów na dzisiejszy wieczór. On i jego rodzina to wielcy miłośnicy muzyki.

Niespełna pół godziny zajęła mi próba fortepianu i odpowiednie ustawienie stołka. W drodze do „Bellevue” popadłem w nerwową depresję. Czyżby znów ten sam koszmar?

Pan Metzger przyjął mnie u siebie w gabinecie. Upierał się przy odzyskaniu swych należności; z zapowiedzi koncertu w Beethoven--Saal wywnioskował, że opływam w dostatki. Z trudem udało mi się go przekonać, że koncert odbywa się w ramach gwarancji księcia Lubomirskiego i że dochód ze sprzedaży biletów potrąca się jedynie z przewidywanego deficytu. Metzger zadzwonił do Fernowa, aby uzyskać potwierdzenie moich słów, na koniec zgodził się przyjąć niewielką sumę pieniędzy jako zaliczkę oraz sześć biletów. Kiedy wróciłem do Poli na obiad, czułem się o dwadzieścia lat starszy. Profesor Barth oczekiwał mnie wczesnym popołudniem. To była bardzo trudna wizyta. Szczerze mówiąc, przerażała mnie myśl, że znów mam się z nim spotkać. Przeprowadził się do innego mieszkania, co mnie ucieszyło, gdyż czułem, że nie zniósłbym spotkania z nim w tej samej, dawnej scenerii. Pokojówka wprowadziła mnie do małego saloniku, gdzie siedział na swym obrotowym fotelu.

— Co u pana słychać, panie Rubinstein? — spytał uprzejmie, jak gdybym był nowo poznanym człowiekiem.

Wyjąkałem kilka niezrozumiałych słów.

— „Przyjdę dziś posłuchać pana — dodał. — Co pan zamierza grać?”

„Beethovena Opus 53 — zacząłem; z aprobatą pokiwał głową. — wudty symfoniczne Schumanna — znów skinął głową. — Jedną

ballad i dwie etiudy Chopina — kolejne kiwnięcie głowy — a na Skończenie dwa utwory Debussy’ego.

Usłyszawszy to, nagle walnął obydwojoma pięściami w stół: c ~~~ Takie świństwo! Jak pan może grać takie świństwo! — krzy-

;a\* > nie przestając wydziwiać, że mam zamiar wykonywać taką „fińską muzykę”.

O był znów cały mój, stary Barth! Próbowałem go przekonać,

381

że być może polubi także : te niezwykle utwory, ale nie chciał mnie nawet słuchać — zupełnie jak za dawnych czasów. Kiedy się żegnałem, złagodniał nieco i życzył mi powodzenia.

Byłem tak błądy i wyczerpany, że biedna Pola przestraszyła się nie na żarty.

— Czy po takim napięciu będziesz w stanie grać?

Starąłem się dodać jej otuchy, ale sam byłem pełen obaw. Na koncert jechaliśmy niemal jak na pogrzeb. Kiedy pan Fernow po« wiedział mi, że czas zaczynać, wpadłem w panikę. Ale gdy wszedłem i ukloniłem się, powróciła moja wiara we własne siły. Bardzo pomogła mi obecność na widowni wielu przyjaznych twarzy, W pierwszym rzędzie siedział pan Metzger z rodziną. Zadowolony byłem, mogąc mu pokazać, że umiem również grać, nie tylko zaciągać u niego długi. Tak czy inaczej, grałem znacznie lepiej niż ostatnim razem z Fitelbergiem, a mój sukces był autentyczny i zasłużony. Oklaskiwano nawet, ku memu szczególnemu zadowoleniu, utwory Debussy’ego. Pani Emma Engelmann z synem Hanser przyszła do mnie za kulisy; podobnie profesor Max Friedlandei z małżonką i paru innych starych przyjaciół. Jak zawsze serdecznie i miło, odnosili się do mnie tak, jakbym nigdy nie wyjeżdżał. P przedstawiłem jako „starą przyjaciółkę z Warszawy bawiącą t przejazdem w drodze do Paryża”.

Na ulicy, w pobliżu wejścia dla artystów, ujrzałem czekając? na mnie Henny. Była nieco onieśmielona, widząc mnie z Połą, alf uściśnęła mi dłoń i powiedziała kilka miłych słów na temat mojej gry, dodając, że urosłem (!), po czym uciekła. Przypuszczam, że na koncert przyszła po kryjomu. Profesor Barth tym razem nie napisał, ale dowiedziałem się później od jego ucznia, że mu zaimponowałem, powiedział podobno: „Łobuz, mimo wszystko musiał trochę popracować”.

Zabrałem Połę na kolację do Dressela, gdzie oblewaliśmy nasze spotkanie i udany koncert. Mówiła, że ma nadzieję odzyskać dzieci.

— Musimy być jeszcze ostrożniejsi niż zazwyczaj, kochanie — powiedziała. — Im rzadziej będą nas widywać w Warszawie, ty\* lepiej.

Nie chciałem jej tak szybko puścić z powrotem, więc podsunąłem<sup>1</sup> myśl, która mnie od dawna nurtowała:

— Co byś powiedziała na wspólny wyjazd do Rzymu? — spytałem i wyjaśniłem, że mam tam widoki na prywatne koncerty, że ciągle jeszcze mogę tam zarobić i że dobrze nam będzie z sobą w tym boskim mieście.

Pola znów martwiła się, czy nie będzie mi tam zawadą, ale ja uspokoiłem. Berlin nie miał nam już nic do zaoferowania<sup>r</sup> przykrych wspomnień.

382

Rano, przy śniadaniu, przeglądaliśmy gazety. Większość chwaliła mój talent; najbardziej podobał się wszystkim mój Chopin i De-bussy- Jeden z krytyków uznał, że moja Sonata Beethovena jest niedostatecznie „pogłębiona”, którym to pojęciem Niemcy obficie szafują, lecz którego ja nie potrafię zrozumieć. Jeśli miał na myśli grę »z głębokim uczuciem«, to miałoby to jakiś sens, ale nie mogło odnosić się do mnie, bo mimo wszelkich usterek technicznych oraz innych niedostatków, „głębokie uczucie” było samą istotą mego talentu.

pan Metzger przysłał mi list z podziękowaniami i gratulacjami. Miałem nadzieję, że znajdę w kopercie skreślenie mego zadłużenia — ale płonne to były nadzieje; elegancki gest to coś, czego niemieccy oberżyci zupełnie nie znają.

Mimo wszystko pozostałem wierny memu motto: „Nie dam się!”

60

W Rzymie, w hotelu „Bertolini Splendid”, nająłem tym razem dwa pokoje, a Pola zarejestrowała się pod własnym nazwiskiem. Choć musiała strzec swego incognito, żadna z drobnych niedogodności nie pomniejszała naszego szczęścia płynącego stąd, że możemy być razem.

Przed wszystkim zatelefonowałem do hrabiego Skrzyńskiego, ale powiedziano mi, że wyjechał do Wiednia. Wiadomość ta wielce mnie rozczarowała. Liczyłem na jego dar uzyskiwania zleceń na Prywatne koncerty. A oto teraz, nieoczekiwanie, zdany byłem tylko na siebie. Pozostawało mi jedynie składanie kart wizytowych (jak to było tu w zwyczaju) w pałacach wpływowych osób, które miały sposobność uprzednio poznać.

W odpowiedzi Luisa Casati i Dora Rudini zaprosiły mnie na iad — musiałem przyjść, choć nieznośna była mi myśl o pozostawieniu poli samej; nie przyjąłem jednak zaproszenia hrabiny rivabene na bal. Leishmanowie byli tak uprzejmi, że zaprosili<sup>^</sup> oboje na herbatę; przedstawiłem im Połę jako przyjaciółkę st<sup>ł</sup> <sup>^</sup>U tymczasem nie zmaterializowały się żadne kontrakty. Zo-jak Inni niewiele pieniędzy, które szybko topniały — fakt ten ja, zwykle nieprzewidujący, po prostu lekceważyłem, <sup>^</sup>żliś z Połą tydzień szczęścia. Trzymając się za ręce, skarby Rzymu i jak para dzieciaków gapiliśmy się

383

na nie z rozdziawionymi ustami; cieszyliśmy się włoską kuchnią zabobonnie wrzuciliśmy nawet kilka miedziaków do Fontana di Trevi, by zapewnić sobie powrót do Rzymu, poszliśmy posłuchać Pasquariella, który Połę doprowadził do łez. Najbardziej lubiliśmy przechadzać się po ulicach, pić kawę w „Cafe Greco” i oglądać wystawy sklepów. Na Piazza di Spagna kupiłem jej suknię, na którą, jak zauważyłem, spojrzała dwukrotnie. Tegoż wieczora po kolacji musiałem jej jednak powiedzieć:

— Kochanie, obawiam się, że musisz wracać do Warszawy. Za\* stało mi już niewiele pieniędzy, a nie mam prawie żadnej nadziei, na kontrakt. Sezon zbliża się już ku końcowi.

Pola słuchała w milczeniu, ale potem zaczęła się denerwować:

— Ależ Arturze — powiedziała z wyrzutem — dlaczego w Berlinie nic mi o tym nie powiedziałeś? Przecież chciałam wtedy wyjechać.

— Nie, nie, kochanie — przerwałem jej. — Nie wyrzekłbym się ani jednej godziny z naszego cudownego tygodnia, choćby nawet przyszło mi za to pójść do więzienia. Każda minuta naszego życia jest jedyna i niepowtarzalna, pieniądze zaś można zarobić, \ wygrać, odziedziczyć, znaleźć, a nawet ukraść!

Z rezygnacją pokiwała głową, ale niepokoiła się o mnie.

— Nie martw się, kochanie — powiedziałem. — Pisałem do pana Turka, zapowiadając koncert we Lwowie, gdzie z pewnością zdołam wypełnić salę.



Nazajutrz wieczorem odprowadziłem ją z westchnieniem ulgi Nie mogłem znieść myśli, że miałyby paść ofiarą mego braku przezorności.

Przyzwyczajony do kłopotów finansowych, przygotowywałem się do stawienia im czoła w pojedynkę. W liście do pana Turka prosiłem, aby mi wysłał kilkaset lirów jako zaliczkę na poczet przyszłych wpływów ze sprzedaży biletów. Tiirk odpowiedział telegraficznie: „Koncert chwilowo nie wskazany, lepiej poczekać do zimy stop Paderewski właśnie dwukrotnie występował po bardzo wyśrubowanych cenach i opróżnił ludziom kieszenie”.

To była wiadomość zniechęcająca, ale mimo wszystko musiałem wydostać się z Rzymu, a nawet do połowy wypełniona sala mogłaby mi w tym pomóc. Zadepeszowałem w odpowiedzi:

„Koniecznie zapowiedzieć koncert natychmiast stop wydatki gwarantuję s proszę podać datę i wysłać pieniądze”.

Żyłem oczekiwaniem. Moim codziennym pożywieniem spaghetti, owoce i kawa.

Pani Leishman przysłała list z zaproszeniem na kolację i okazji wspomniała: „Zainteresuje pana z pewnością, że naszym honorowym gościem będzie pan John Pierpont Morgan, ie1

384

jjier. Mamy nadzieję, że będzie pan tak uprzejmy i po kolacji ?pchce nam zagrać”.

!^iediałem oczywiście, że będę musiał grać, i to nie za pieniądze, byli przecież mymi serdecznymi przyjaciółmi, ale dlaczego spotkanie z panem Morganem miałyby mnie interesować? — rozmyślałem Przecież z pewnością nie powie: „Arturze, pańska gra mi się oodoba... Proszę, oto milion lirów, idź i zabaw się dobrze!” Tak ^ęC \_\_ snułem dalej rozmyślania — ja, biedny pianista, będę grał, dając mu wszystko, co mam najlepszego, on natomiast, jeden z najbogatszych ludzi świata, otrzyma to za darmo.

Udałem się n& tę kolację rozgniewany i uprzedzony do nieznanego potentata. Przyjęcie było niewielkie, wszyscy czekaliśmy na honorowego gościa, który się spóźniał. Gdy wszedł do pokoju, doznałem wstrząsu. Pan Morgan był raczej wysoki, siwy, mocno zbudowany i gdyby nie nos, mógłby przejść nie zauważony. I właściwie trudno to było nawet nazwać nosem: przypominało raczej ogromną, niebiesko-brązowo-fioletowawą bulwę, na której tu i ówdzie widać było ropę. Poczulem nagle, że ogromnie żal mi tego człowieka: jakież katusze musiały mu sprawiać spotkania z ludźmi! Bardzo uprzejmie przeprosił za spóźnienie, po czym weszliśmy do jadalni, gdzie zasiadł u szczytu stołu między panią Leishman a inną damą. W trakcie kolacji dwukrotnie wzywano go do telefonu; oczekiwał jakichś bardzo ważnych wieści z Londynu. Później, przy kawie, kiedy zostałem mu przedstawiony, spytał:

— Grał pan w Ameryce? No i jak się tam panu podobało? Ja zaś, udając naiwnego, ciekawskiego chłopca, zapytałem:

— Czy to prawda, panie Morgan, że mógłby pan utrzymywać swoją prywatną flotę i zaatakować jakiegokolwiek państwo? I czy naprawdę mógłby pan żyć w dostatku tysiąc lat, nie będąc zmuszony do pracy? To wszystko wyczytałem właśnie w dzisiejszej Porannej prasie.

Morgan zmarszczył czoło:

\*~\* Nie powinien pan czytać takich bzdur. Ja bardzo ciężko pra-cuję.

, -Dowiódł tego zresztą, gdyż po moim drugim utworze podniósł się 1 Pożegnał.

Biedny pan Morgan, codziennie już o siódmej rano zasiada biurku — powiedział ambasador, usprawiedliwiając jego

^ ciwszy do hotelu i znalazłszy się w ciepłym łóżku, pomyśla-, ^: o ileż szczęśliwszy jest biedny pianista od tego multimilionera,

ry musi wstawać o siódmej rano, żeby troszczyć się i utrzymy-aj c w Porządku wielką górę złota, którą uważa za swoją własność,

do grobu jej i tak zabrać z sobą nie może.

wnstein

385

Tiirk przetelegrafował termin i przysłał pięćset lirów. Jeszc& raz byłem uratowany.

Podróż do Lwowa zwykłą drugą klasą ciągnęła się długo, bardz« długo. Co gorsza, jechałem w niesłychanym napięciu: a co będzk jeśli koncert zakończy się finansową katastrofą? Cóż to za lekko! myślność z mojej strony przyrzekać, że pokryję koszta! Brudny i śmiertelnie wyczerpany po dwóch prawie bezsennych nocach przybyłem do Lwowa przygotowany na najgorsze. Na peronie stał pan Tiirk z taką miną, jak gdyby przybył na pogrzeb całej rodziny, która zginęła w wypadku. Serce we mnie zamarło. Uścisnęliśmy sobie dłonie.

— Czy jest aż tak źle? — spytałem nieśmiało. — Nie sprzeda ani jednego biletu?  
— Sala wyprzedana — odparł, potrząsając smutno głową.  
— Co takiego? — krzyknąłem. — Pan chyba żartuje, prawda?  
— Nie, nie żartuję. Salę wyprzedano w ciągu dwóch dni, a pan się zgodzi, zapowiem drugi koncert. Gotowy byłem udusić tego człowieka!  
— To dlaczego, u diabła, ma pan taką ponurą minę? — wrzesz czałem. — Śmiertelnie mnie pan wystraszył!  
— Jak mogę wyglądać na szczęśliwego, skoro nie mam już cc sprzedawać? — zdziwił się. Cóż to był za człowiek z tego pana Turka! Tak czy inaczej, dałem dTva wyprzedane koncerty, a dopominano się o jeszcze. Niech Bóg pobłogosławi Lwów i jego wierną publiczność!  
Podróż powrotna do Warszawy była raczej urozmaicona. Wiza na fałszywym paszporcie, którym posługiwałem się w drodze do KrJ kowa, siraciła ważność. Na powrót pan Tiirk zaopatrzył mnie wi# w paszport austriacki, podpisany przez burmistrza jakiejś nie znanej bliżej nikomu miejscowości, a więc dokument niezbyt bezpieczny. Nie miałem jednak wyjścia, musiałem ryzykować. Na granicy, o pół nocy, rosyjski żandarm wziął mój dokument i znikł wraz z nin1' Czekałem, a tymczasem pozostałym pasażerom zezwolono kontyni wać podróż. Po upływie długiej godziny żandarm wrócił, zaproWJ mnie do poczekalni pierwszej klasy i zamknął drzwi na klucz. By\*6 aresztowany! Umysł pracował gorączkowo: pułkownik Striemucbo^ Mógłby pomóc... — ale właśnie wszedł policjant, niosąc herb i jakieś biszkopty. Wszedł bez słowa i znów zamknął mnie klucz. Strudzony, raz po raz zapadałem w drzemkę w wygo\*\*0 fotelu, gdy nagle o szóstej rano obudziło mnie dwóch żandarm zwrócili mi dokument i surowym tonem oświadczyli, że jest wystarczający (!) i że muszą mnie wsadzić do pociągu ja^a< z powrotem do Austrii. Uff! Znalazłszy się ponownie na ^°  
386

i, wsiadłem do pociągu jadącego nad granicę niemiecko-rosyj-L i' tam miałem czelność przedłożyć Rosjanom znów ten sam bezwartościowy świstek. Tym razem granicę przekroczyłem bez trudu. Do Warszawy przyjechałem roztrzęsiony, lecz szczęśliwy.  
61

ponowne spotkanie z Karolem i Pawłem w hotelu „Victoria” przyniosło mi wiele radości i szczęścia. Mój przyjazd był dla nich niespodzianką; spędziliśmy razem cały wieczór i pół nocy. Zaprosiłem ich na kolację do najlepszej w mieście restauracji w Hotelu Europejskim i tam opowiedziałem im całą moją Odyseję ze wszystkimi szczegółami. Najbardziej ubawiły ich epizody z Wezuwiusza i Capri, co potwierdza moją teorię, że szczególnie przykre wydarzenia i niebezpieczne przygody z czasem zamieniają się w najweselsze anegdoty. Pola, do której natychmiast zadzwoniłem, nie posiadała się ze szczęścia, usłyszawszy o tym, jak to Lwów mnie ocalił. Umówiliśmy się na następny ranek. Warszawska wiosna rozpostarła nad nami swe niezrównane czary. Nie mogliśmy się im oprzeć i moja Pola znów zaczęła odwiedzać mnie w hotelu, ukradkiem, ale tym razem korzystając z głównego wejścia.

Dzięki Pawłowi poznałem nowych cudownych przyjaciół — rodzi-nę Moszkowskich. Ojciec, makler giełdowy, był kuzynem kompozytora Maurycego Moszkowskiego; jowialny, dowcipny starszy pan, bardzo przypominał swego sławnego krewniaka. Matka była kobietą wyjątkową — pomimo swych pięćdziesięciu pięciu lat miała ei\*ergię młodej dziewczyny. Entuzjastyczna czytelniczka najbardziej wartościowej literatury w trzech językach, była przy tym idealną ^n i matką. Spośród trzech synów, nieco od nas starszych, których

Paweł tera —

znał od 'dzieciństwa, jeden był inżynierem, drugi architekt-cała rodzina żywiła jednak namiętą miłość do muzyki; nie

a rodzina żywiła jednak namiętą miłość do muzyki; nie ^szczali żadnego koncertu, a Paweł i ja należeliśmy do ich ulu-encó. Niebawem stałem się w tym niezwykłym domu gościem

uprzywileJ°wanym Jak on- Od czasu do czasu grywaliśmy

bie;

—y, nad którymi właśnie pracowaliśmy przed planowanymi °«iymi koncertami w Warszawie i w Łodzi: chodziło o to, by

Q^ siłę ich oddziaływania na muzycznych uszach rodziny 2«owskich i wysłuchać jej komentarzy.  
387

Ktoregoś wieczora najstarszy syn, Antek, przyniósł rosyjską

zetę i podsunął mi ją. — Masz, czytaj — powiedział. — To powinno cię zainteresować Była to

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

szczegółowa relacja o zbliżającym się konkursie imienij Antoniego Rubinsteina dla pianistów i kompozytorów, który n<sup>^</sup> się odbyć tego lata (dokładnej daty zapomniałem) w Petersburgu. Przewodniczącym jury miał być Aleksander Głazunow. Granica wieku wynosiła dwadzieścia pięć lat (ja liczyłem wówczas dwa dzieścia trzy). Przewidywano dwie odrębne nagrody po dwa tysiące rubli (1000 dolarów) — jedną dla pianisty, drugą dla kompozytora, Mój wielki imiennik zawsze postępował szlachetnie; dzięki niemu czułem się dumny, nosząc to samo nazwisko. On to właśnie zorganizował pierwszy międzynarodowy konkurs, w którym rasa, wy. znanie czy kolor skóry nie miały znaczenia. Aby zapewnić bezstronność, zarządził, że konkurs odbywać się ma co pięć lat na przemian w Petersburgu, Berlinie, Wiedniu i Paryżu, w każdym z tych miast pod przewodnictwem aktualnego dyrektora tamtejszego konserwatorium państwowego.

— No i co ty o tym sądzisz, Arturze? — spytał Antek.

— Myślę, że to wielka okazja dla utalentowanych młodych pianistów — odparłem.

— Ależ nie rozumiałeś mnie. Chciałbym, żebyś to ty pojechał do Petersburga i zdobył nagrodę!

— Miło mi usłyszeć, że masz do mnie aż takie zaufanie — uśmiechnąłem się. — Ja sam niczego bardziej bym nie pragnął, ale i nie jestem do tego przygotowany. Wiesz doskonale; że po prostu nie potrafię opanować utworu aż do ostatniego szczegółu... Zawsze pozostawiam nieco miejsca na improwizację. Zresztą program, który wykonać mają uczestnicy konkursu, jest bardzo trudny; potrzebowałbym kilku miesięcy, aby się go nauczyć.

Moje argumenty nie przekonały Antka. Przyłączył się do niego również Paweł.

— Nie doceniasz własnego talentu, Arturze.

— Samym tylko talentem nie zdobywa się nagród — powiedziałem. — Do tego trzeba czegoś więcej.

Wreszcie dali za wygraną. Dyskusja została przerwana, ale w \$& bi duszy poczułem niepokój. Prawdę mówiąc, zazdrościłem młod; pianistom umiejącym pracować po osiem godzin dziennie i opa\* wać do perfekcji wykonywane przez siebie utwory. Starłem zapomnieć o konkursie. Koncerty z Pawłem przebiegały cudpwn W sonatach Francka i Brahmsa byliśmy dla siebie wzajemnie źródłem natchnienia, a publiczność to wyczuwała.

Tymczasem jednak znów znalazłem się pod wpływem cza Syreny, symbolu Warszawy, i miałem do tego więcej powodów

^

388

kiedykolwiek dotąd. Miłość, czułość i urok Poli dodały mi nowej erg" \* siły\* Je;> odważa wyzwołała mnie raz na zawsze spod po-*envoutement* rodziny Harmanów. Dzięki Poli mogłem się do syta urzekającą atmosferą Warszawy, na którą się wszystko — przyjaciele, teatry, ulice, kawiarnie, ludzie \*Tch poczucie humoru! Pochlebiali mi także i to, że do Warszawy i Łodzi dotarły echa moich zagranicznych sukcesów.

Ten szczęśliwy romans z warszawską Syreną został jednak raptownie przerwany.

prasa zamieściła artykuł, od którego krew zakipiała mi w żyłach. Chodziło o nagrodę imienia Rubinsteina. Głazunow i pozostali członkowie jury podpisali petycję do cara, prosząc o złagodzenie ustawy zabraniającej Żydom rosyjskim przebywania w stolicy dłużej niż dwadzieścia cztery godziny oraz o zezwolenie żydowskim uczestnikom na przebywanie w Petersburgu przez cały czas trwania konkursu.

Car odpowiedzi nie udzielił, ale uczynił to za niego premier Sto-lypin. Odmowa była ordynarna i kategoryczna.

Pogodzenie się z tą bezczelną, wołającą o pomstę do nieba niesprawiedliwością było ponad moje siły. Nie tylko dlatego, że jako Żyd zostałem osobiście upokorzony, buntowałem się też przeciwko obrażaniu pamięci mego wielkiego imiennika, który nigdy nie dopuściłby do tego rodzaju dyskryminacji. Zapłonąłem myślą o odwecie.

Paweł i Antek także czytali ten artykuł.

— Antek, jadę do Petersburga i biorę udział w konkursie! — zapowiedziałem z determinacją. — Jeśli spróbują mi przeszkodzić, to zrobię z tego międzynarodową aferę, prawdziwy skandal!

— Mam nadzieję, iż zdajesz sobie sprawę z tego, że konkurs rozpoczyna się za dwa tygodnie — powiedział Paweł. — Jak sobie dasz radę z opanowaniem repertuaru?

Nie obchodzi mnie muzyka — odparłem. — Pojadę, żeby zaprotestować przeciwko Stołypinowi.

| ~- Słuchaj, Arturze, postaram ci się o wszystkie nuty potrzebne Programu — powiedział spokojnie Antek — a ty przyjdiesz rano do nas do domu i dokładnie się z nimi zapoznasz. Do-wtedy będziesz mógł stwierdzić, co dalej. Zgodziłem się. Nazajutrz rano uśmiechnięta pani Moszkowska Poczęstowała mnie obfitym drugim śniadaniem, na które złożyły ę kawa, jaja, ciasto i dżem. r- •& teraz, chłopcy, siadajcie do fortepianu — powiedziała we-

^JPierw przeczytałem Koncert d-moll Rubinsteina, utwór obo-dla każdego uczestnika konkursu. Na koncertach sprawiał

389

wrażenie trudnego, okazał się jednak znacznie łatwiejszy, niż my. siałem. Reszta programu konkursowego składała się na pełny recital: czterogłosowa fuga Bacha, jedna z ostatnich sonat Beethovena jeden z ważniejszych utworów Schumanna, jedna z ballad, nokturn i jeden z mazurków Chopina, a także jedna z czterech wytypowanych etiud Liszta.

Wszystko to razem przedstawiało się nie najgorzej. Z Barthem studiowałem Sonata op. 90 Beethovena; jest to jedna z łatwiejszych sonat i składa się tylko z dwóch części. Z Schumanna miałem do wyboru Papillons lub Karnawał. Utwory Chopina znałem, nie miałem jednak w repertuarze żadnej etiudy Liszta ani czterogłosowej fugi. Jednocześnie, o czym sam wiedziałem najlepiej, żaden z wymienionych wyżej utworów nie był należycie przygotowany do wykonania go na konkursie. Zawsze potrafiłem zaprezentować je pięknie i z muzycznego punktu widzenia poprawnie, ale lekceważyłem szczegóły i wykończenie techniczne; ta przywara prześlą- i dowala mnie przez wiele lat.

Antek i cała rodzina byli jednak pełni optymizmu.

— Jeżeli postanowisz naprawdę wziąć się do roboty, to nauczysz się tego w mgnieniu oka.

— W tym właśnie cały szkopał. Uwielbiam grać całymi dniami, ale po godzinie ćwiczeń czuję się znużony.

— Posłuchaj, Arturze — powiedział Antek — po prostu dla na- ; szej zabawy naucz się do obiadu pierwszej części Koncertu.

Nigdy nie potrafiłem oprzeć się podobnemu wyzwaniu:

— Dobrze, spróbuję.

Antek wyszedł z pokoju i — łotr! — zamknął drzwi na klucz. Około drugiej umiałem już na pamięć dwie części i zabierałem się do trzeciej.

— Obiad na stole — zawołała pani Moszkowska.

Po wesołym i pożywnym posiłku wróciliśmy do pracy w ty» samym stylu.

Ten sprytny plan okazał się trafny. Antek wiedział, jak pobudza\* moją ambicję i ducha sportowego. W gruncie rzeczy cieszyłem L że zamknięto mnie w pokoju i zmuszono do pracy, ponadto odczwałem dumną satysfakcję ze stawienia czoła wyzwaniu Ant Po dziesięciu dniach takiego reżimu miałem pewność, że potrai -;~; «5ń oiromoromitować się na konkursie. \*

'-- - !lak

dv zaimponowała moja stanowcza decyzja, toteż okazywała PZyg łne' Poparcie moralne.

Wyjechałem, żegnany błogosławieniem wszystkich przyjaciół.

62

Stefan Grostern, kuzyn Zosi, miał sympatyczną, chłopięcą twarz, falujące blond włosy i przymrużone oczy krótkowidza. W drodze 7, dworca do domu udzielił mi wielu cennych informacji.

— Znam pańskie położenie — powiedział — i sądzę, że nie ma się pan czego obawiać. Tu, w Petersburgu, pańską sprawą zainteresował się jeden z moich dobrych przyjaciół, Żyd-prawnik. W razie jakichkolwiek kłopotów zgodził się on występować w pańskim imieniu bez wynagrodzenia.

Stołypin tak go rozsierdził, że gotów bj\$ wytoczyć rządowi sprawę przed sąd, co oczywiście na nic by się nie zdało. Przyjaciel jednak jest pewien, że pan zwycięży.

Nim jeszcze rozlokowałem się u niego w pokoju, Grostern poprosił mnie o dokumenty.

— Muszę dać je stróżowi — wyjaśnił. — Odpowiada za to przed policją.

— A co mam zrobić, jeśli jutro policja nakaże mi natychmiastowy wyjazd? — spytałem.

—! Oświadczy pan, że ma pan prawo do udziału w konkursie. Wtedy zaczną badać sprawę. Jeśli odpowiedź będzie odmowna, do akcji wkroczy adwokat.

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

Podtrzymany nieco — choć niezupełnie — na duchu, wręczyłem <sup>o</sup>iu swój stary paszport. Spałem długo, a po śniadaniu udałem się do Konserwatorium, żeby zapisać się i zobaczyć z Głazunowem. Wszyscy uczestnicy konkursu byli już na miejscu, a ich liczba nie ! Przekraczała dwudziestu. O czterech spośród nich już słyszałem — z kilkoma innymi cieszyli się sławą dość znanych pianistów-<sup>o</sup>rtuozów. Głazunow przyjął mnie w gabinecie dyrektorskim. W widocznie zaniepokojony.

. ~~~ Nie powinien pan być przyjeżdżać — powiedział. — Obawiam <sup>o</sup> że nie pozwolą panu pozostać.

"-" Jeśli tak się stanie — oświadczyłem z naciskiem — spowoduję <sup>o</sup>ynarodowy skandal. A zresztą miejscowy adwokat gotów jest <sup>o</sup>Pić w mojej obronie. i Niepokoi mnie fakt, że pan jest jedynym, którego te przy-

391

390

kości dotyczą — powiedział Głazunow. — Pozostali Żydzi rosyjscy są absolwentami rosyjskich konserwatoriów i dzięki temu otrzymali status tak zwanych wolnych artystów, natomiast Żydzi z zagranicy mają cudzoziemskie paszporty.

— Cokolwiek by się stało, proszę, by zechciał mi pan zezwolić na udział w konkursie — powiedziałem błagalnie.

Zgodził się; nie miał zresztą prawa odmówić.

Na dole, w hallu, wraz z innymi wypełniałem formularz zgłoszeniowy i losowałem numer ustalający kolejność, w jakiej mieliśmy występować. Wyciągnąłem numer dwunasty. Później zgromadziliśmy się wszyscy wokół bufetu i zaczęliśmy nawiązywać znajomości. Niebawem powietrze wypełniło się gwarem rozmów i plotek w różnych językach. Jeden z Rosjan wskazał młodego człowieka w okularach.

— To Alfred Hoehn, Niemiec — powiedział mi. — To właśnie on zdobędzie nagrodę.

— Skąd ta pewność? Czy to jakiś geniusz?

— Ma list od wielkiego księcia heskiego do siostry, carycy Aleksandry — odpowiedział. — Jestem pewny, że nasze jury zostanie o tym poinformowane.

Zwykłe plotki, pomyślałem, zaintrygowało mnie to jednak i postanowiłem bliżej poznać niemieckiego pianistę. Po kilku minutach rozmowy stało się jasne, że Hoehn i ja mamy z sobą wiele wspólnego. Jego poglądy na muzykę i pianistykę przypominały moje własne, a ponadto obaj uwielbialiśmy Brahmsa.

Ponieważ uczestnikom konkursu przysługiwało prawo wyboru fortepianu, pierwszą moją troską stanowiło odszukanie przedstawiciela firmy Bechstein. Znalazłem go w osobie Andre Diederichsa, który sam był producentem fortepianów, a przy tym najmiłszy<sup>o</sup>1 człowiekiem pod słońcem. Poprosił mnie o wypróbowanie przyg<sup>o</sup>1 towanego na konkurs instrumentu, wspaniałego bechsteina, a sam uważnie przysłuchiwał się mojej grze.

— Ma pan zadatki na zwycięzcę — zawołał. — Założę się, że pał

1 mój fortepian będziecie tryumfatorami!

Po tych pełnych otuchy słowach nastąpiło zaproszenie na obi\* W restauracji dowiedziawszy się, że mój przyjazd jest protesty przeciwko Stołypinowi i że mogę mieć kłopoty z policją, Diederich tak gwałtownie dał wyraz oburzeniu, że musiałem go mityg<sup>o</sup>1 Znalazłem w nim wiernego i oddanego przyjaciela. Odpr<sup>o</sup>wał mnie na kwaterę do Grosterna, dzieląc mój niepokój w zwł z policją. Grostern, który przez cały dzień trwał w pogot<sup>o</sup> zakomunikował nam jednak, że jak na razie nie był wzywany przesłuchanie. Postanowiłem spokojnie oczekiwać dalszego woju wypadków.

^

392

Konkurs rozpoczął się nazajutrz o dziesiątej rano Numer pierwszy wyciągnął szwajcarski pianista Edwin Fischer :óry wykona pierwszą i drugą część Koncertu Rubinsteina komT-sja odrzuciła trzecią część). W dwóch pierwszych rzędach zSo jury pod przewodnictwem Głazunowa; stanowiło je dwunastu pro-Worów kilku rosyjskich konserwatoriów cesarskich, przy czym na<sup>o</sup>-iej\*zą osobą była wielka pianistka Annette Jetópowa Szeria Leszetyckiego. Ze względu na wczesną --\*-' - :- sławny w latach

eS> g^r f

Na każdym konkursie zawsze pierwszy wykonawca pada ofiarą. Wszyscy czekają na następnego,

żeby Leć możliwość porówny-  
warna.

c J

To właśnie spowodowało, iż grał z niejaką dezyn<sup>o</sup>olturą. Koncert Rubmstema, klasyczny w formie,  
zawiera sporo

zażartował,

wykazali i

im tych dwóch elementów. s powiedział mi, że policja • — Pewnie zapomnieli o panu poszliśmy  
razem na wesołą kolację.

południu przyszła moja kolej wykonania Koncertu. " występowało chyba pięciu pianistów, ale ogólna  
:zcie była raczej bezbarwna, a publicz-

i ka«7W Z u~7 r~ J~"iem obiadu, wypilem tylko dwie fili-- Z Z w.bufec<sup>^</sup>. Nerwy miałem napięte do  
ostatnich gra-życiu brałem udział w konkursie, a poza 'iestrą, sądząc, że nie przygotowany j  
spontanicznie!

m<sup>o</sup>je nazwisko; palce miałem jak sople lodu. Ukłoni-, gracją i usiadłem, bliski zemdlenia. Ale wraz z  
pierw-Koncertu nagle przeobraziłem się w innego czło-w trans i grałem, jakby napędzany jakąś  
tajemni-<sup>^</sup>OTłBni f musiała podzielać elektryzująco, gdyż nim jesz-Ostatni6j Z kadencję, na  
widowni rozległy się okrzyki, a po leżała it e .wybuchła burzliwa owacja. Publiczność klaskała  
J'lałem sip n"Pała n<sup>o</sup>gami. Jury wstało z miejsc i biło brawo. Oba-e ć Ńrorów i Ze Uga  
CZĘŚĆ> Ur0Cza Romanz<i> może trochę ostu-C2ł<sup>o</sup>nkowi entuzjazm nie słabł. W czasie  
przerwy wszys-

-! 2<Jawało JUry.Przyszli d<> garderoby, żeby mi pogratulować.

" owiS1-8<sup>^</sup> SłySZę A11\*01111<sup>^</sup>0 Grigoriewicza (Rubin-jWledział Głazunow.

esipowa ucałowała mnie. Byłem w siódmym niebie.

Wiek\*

T 2 M

393

Diederichs zaprosił Grosterna i mnie do „Cubat", najlepszej jw cuskiej restauracji w mieście.

Świętowaliśmy do późnej nocy. j czyniałem zapominać o Stołypinie i o policji.

Poranne gazety przyniosły płomienne relacje z mojego występ,, wszystkie też wspominały o tym, jak  
to jury konkursu mnie u<sup>^</sup>J norowało.

Pozostali pianiści poradzili sobie z Koncertem nie lepiej od swych poprzedników. Hoehn zagrał go  
skrupulatnie, ale bez ognia. Przed rozpoczęciem recitali fortepianowych przez cały dzień  
prezentowali swoje prace kompozytorzy — w sumie było ich pięciu. Mie-liśmy dwa wolne dni na  
ćwiczenie na dowolnie wybranym instru-mencie; z dużym zainteresowaniem, lecz bez cienia  
zawiści, przy. słuchiwaliśmy się nawzajem swojej grze. Wszyscy moi koledzy okazali się  
znakomitymi pianistami, a wielu z nich zrobiło później wielką karierę artystyczną. Dwaj Rosjanie,  
Pysznow i Borowski, byli uczniami Jesipowej i mieli nadzieję na zdobycie nagrody, ja zaś  
odkrywałem coraz to nowe pokrewieństwo muzyczne z Alfredem Hoehnem, wykształconym, choć  
skromnym młodym człowiekiem; Emil Frey ze Szwajcarii brał udział w konkursie i jako pianista, i  
jako kompozytor — zaimponowało to nam wszystkim.

Na trzeci dzień Edwin Fischer znów miał grać pierwszy. Tyra razem sala była nabita. Publiczność,  
prasa, cała Rosja pasjonowała się konkursem — w tej jego fazie praktycznie biorąc każdy z nas  
miał już swoich zwolenników, ale szczerze mówiąc, ja miałem ich najwięcej. Gdybym był koniem  
wyścigowym, dawano by mi szansę w stosunku dziesięć do jednego.

Po Fischerze słuchałem Siroty, Pysznowa i jakiegoś Anglika. Podziałali na mnie przygnębiająco —  
grali za dobrze. Wszyscy czterej odznaczeni się techniczną biegłością, jakiej ja nigdy nie miałem. I —  
szatani! — nigdy nie opuszczali żadnej nuty. Doszedłem do wniosku, iż lepiej będzie dla mnie, jeśli  
zrezygnuję ze słuchania gry pozostałych uczestników, czułem bowiem, że jeszcze trochę, a ucieknę  
z konkursu, nie czekając na policję. Tak naprawdę t( cierpię na kompleks niższości co się tyczy  
mojej gry; każdy r<sup>o</sup>ł\* dzian wykonujący poprawnie na przykład sonatę Scarlattiego wydaje mi się  
lepszym pianistą niż ja. Chciałbym, oczywiście, aby czj telnicy zdali sobie jednak sprawę, że jako  
muzyk w pełnym tego słowa znaczeniu nie mam żadnych kompleksów.

Następnego dnia po południu usłyszałem wreszcie: „Numer dwunasty!" Czułem się tak, jak bym miał  
iść na szafot. Sala wypełniona była po brzegi. Po wysłuchaniu jedenastu pianistów publiczność  
ogarnął nastrój gorączkowego wyczekiwania. Nawet członków jury wyglądali na  
podenerwowanych. Aby rozszyfrować, co czułem potrzebny byłby dobry psychoanalityk.

394

wna rzecz, ale atmosfera napięcia i podniecenia sprzyja dobre-Lykonawstwu.

mU- wszy utwór, preludium i fuga Bacha, zabrzmiał na bechstei-dobrze i szlachetnie. Publiczność przyjęła go ciepło, a jury nie robatą kilkakrotnie skinęło głową. Z kolei o Sonatę Beethovena a^he sie, martwiłem — była krótka i miała mało efektowne, nie nkonywające zakończenie. Pierwsza część jest wspaniała i wzru-ale w ostatniej zbyt często powtarzający się piękny temat koniec nagle zamiera. Profesor Barth mówił mi, że Antoni Rabinstein tą częścią wzruszał słuchaczy do łez. Pamiętając o tym, włożyłem w Sonatę całe serce, każdemu powtórzeniu uroczej melodii nadając nowe, mocniejsze znaczenie. Gdy skończyłem, publiczność, początkowo zdeorientowana, nagrodziła mnie fanatycznym aplauzem, tak charakterystycznym dla wszelkich stronników — owacja przeznaczona była nie tyle dla mnie, co przeciwko moim konkurentom. Mimo to zacząłem się czuć tak, jak gdybym już wygrał bitwę.

Papillons Schumanna przyniosły mi rzetelny sukces, a utwory Chopina — tryumf. Przy mazurku madame Jesipowa ocierała łzy. Etiudę Liszta, mimo wielu fałszywych nut, wziąłem z rozpędu. Reakcja sprzed kilku dni wydawała się umiarkowana w porównaniu z tym, co działo się po moim recitalu. Rosjanie potrafia być najbardziej entuzjastyczną i szaloną publicznością w świecie — a wtedy właśnie dowiedli tego. Wrzeszcząc i krzycząc, hurmą próbowali rzucić się na mnie. Z trudem udało mi się przedostać do garderoby, jurorzy zaś zdołali dotrzeć tam tylko pojedynczo — niektórzy nieco potargani. Głazunow powiedział kilka wzruszających, słów, madame Jesipowa podziękowała mi za Chopina, „którego nigdy nie zapomnę” — dodała.

Jury powróciło na miejsca i przystąpiło do dalszego pełnienia obowiązków. Teraz grał jakiś Francuz — dobrze, ale w sposób niezbyt poruszający.

Poranne gazety zamieściły obszerne artykuły na mój temat. wszystkie bez wyjątku określały mnie mianem „zwycięzcy”. Pe-wien „liberalny” dziennik, szeroko czytany przez Żydów, posu-ł się nawet za daleko — tytuł głosił: „Głos ludu jest głosem p°ša”, i „Trzeba Rubinsteina, żeby zdobyć nagrodę Rubinsteina”. r5asa warszawska przedrukowała ten przesadny nagłówek. Pola, jszkowscy i Paweł nadesłali entuzjastyczne depesze.

ostatni dzień konkursu upłynął mi na słuchaniu pięciu czy pozostałych pianistów, wśród których znajdowali się Bo-i» Hoehn, Isserlis (Rosjanin) i Emil Frey. Borowski był do-pianistą i rzetelnym muzykiem, ale brakło mu indywidual-°Sci; wszystko, co grał, było zbyt wydumane i przez to banalne.

395

Ale wielu jego przyjaciół z Konserwatorium gorąco reagowało

W napięciu oczekiwano recitalu Hoehna. Wśród P ży\* Zhy o liście do carycy; szeptano sobie nawet, naturalnym synem wielkiego księcia heskiego. W Hoehn okLf się młodzieńcem poważnym i bezp y\*

nsjonalnym

^botar

wvkonął ia z muzycznego punktu widzenia doskon bTzmTał monotennie "jego' drugim utworem była^ największa Wszystkich sonat Beethovena, tak zwana >>\*™™™f™™ «^L

To arcydzieło Hoehn zagrał fantastycznie, jak mlzyka tkwiła w nim - brzmiała tak ^?

właśnie przed chwilą sam ją skomponował Byłem

wrażeniem szlachetnej koncepcji pierwszej c^s"

m-osto i Pięknie odegrane Adagio, a końcowa, trudna

wprtt VPspęantła; itą Sonat, wykonał po ^

Xymał zasłużoną owacją. Reszta P™™6^

resująco - Hoehn był za mało romantyczny

mu feź'należytego wyczucia Chopina, utwory zas

w rodzaju etiudy Liszta, zdecydowanie nie^^

Po takiej indywidualności, jaką był ^<>ehn nawo, za to Frey okazał się cudowny. Na jury^duze J biło jego Trio, uchodził więc za jedyne kandydata za kompozycję ale nikt nie przypuszczał że okaże^ komitym pianistą. Jego Sonata ^™™™k\*™™^ jeszcze doskonalsza niż Hoehna, choć nie odegrany przezeń program stanowił jedną ski muzyk wydał mi się najgroźniejszym oklaskiwała go entuzjastycznie, a jurorzy wy tanych.

była

nud-  
cały  
na  
zakłopo-

La cztery godziny takich katuszy było ^ Mój przyjaciel Andre Diederichs wydał na cześć mojego zwycięstwa, jak się okazało Tak czy inaczej, kolacja była wyśmienita, ^ wiernymi zwolennikami, a sam Andre, mo nik, gorąco opowiadał się za mną. Powiedział Silótig jeden z ostatnich uczniów Liszta cheri b solista na dwóch jego koncertach symfonicznych, burgu cieszyły się dużym wzięciem.

396

\_\_ Nic mu na razie nie obiecałem — powiedział Andre. — Mam nadzieję, że postaram się dla ciebie o coś bardziej konkretnego. Na zelki Wypadek nie chciałem go jednak zniechęcać.

przez pół nocy siedzieliśmy, popijając i rozmawiając. O trzeciej nad ranem musiałem budzić biednego, ciężko pracującego Stefana Grosterna; spałem do południa. O pierwszej przyszedł Andre i za-brał mnie na szybką zakuskę, na którą złożyła się solidna porcja ..osyjskich przystawek, po czym udaliśmy się do zatłoczonej sali Konserwatorium. Moje wejście wywołało hałaśliwą i entuzjastyczną demonstrację, co mnie podniosło na duchu. Dochodziła druga. Cierpliwie czekaliśmy jeszcze godzinę, ale nic się nie działo. Wielu z nas wyszło więc obok do bufetu na filiżankę kawy. Jeden z bileterów obiecał zawołać nas, gdy tylko będziemy potrzebni. Znów minęła godzina, kawy już zabrakło, a my wciąż nie mieliśmy żadnych wiadomości. Wyczerpani ze zdenerwowania wróciliśmy na salę. Dopiero po bitych trzech godzinach na estradzie pojawił się Głazunow i pozostali jurorzy. Przyjęto ich w głuchym milczeniu. Głazunow, blady i spocony, wyszedł na proscenium i drżącym głosem zakomunikował:

— Nagrodę za kompozycję, dwa tysiące rubli, przyznano jednogłośnie panu Emilowi Freyowi. Owacja. Frey wdrapał się na estradę, przyjął gratulacje jury i długo niemilknące oklaski publiczności. — Nagrodę dla pianistów, dwa tysiące rubli, przyznano jednogłośnie panu Alfredowi Hoehnowi — ciągnął dalej Głazunow.

Nastąpił moment osłupienia, a po nim natychmiast rozległy się gwizdy, na przemian z brawami i oklaskami. Głazunow usiłował opanować wrzawę, podnosząc do góry rękę i dając do zrozumienia, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale wszystko na nic. Dopiero po dłuższej chwili zdołano przywrócić spokój. Mówiąc znacznie głoś- nieJ> niemal krzyżąc, zakomunikował:

j Specjalną nagrodę pierwszą i dyplom honorowy, przyznano Jednogłośnie panu Arturowi Rubinsteinowi — i dalej bez żadnej ^zerwy — specjalną nagrodę drugą i dyplom honorowy, przy-,nan° Panu Aleksandrowi Borowskiemu — po czym poprosił nas, ° znaczy Hoehna, Borowskiego i mnie, o wejście na podium j gratulacji jury.

y ten manewr, tak sprytnie pomyślany, zdezorientował pub- ść która na koniec zrozumiała, że dziełę pierwszą nagrodę m, ale tylko on otrzyma pieniądze. Nie aprobowano tego i ale nastrój został rozładowany. Jedyным wojowniczo opozycjonistą pozostał Andre, który krzychał: „Hań-: Jeśli o mnie idzie, przyjąłem to z mieszanymi uczu-

\*• Nie miałyby sensu ukrywać, że powszechna akklamacja dała

397

o

ba!

mi pewność wygranej, a werdykt stał się gorzkim rozczarowanie W skrytosci ducha muszę jednak wyznać, że wysłuchawszy w Z konaniu Hoehna Sonaty „Hammerklavier", dzieła o wiele bard? znaczącego od mojej krótkiej Sonaty e-moll, a ponadto po pięw] recitalu Freya, straciłem nieco przeświadczenie, że w gruncieT!)? czy to ja zasługuję na nagrodę.

Wraz z Andre Diederichsem zjedliśmy jedną z najposepniejszy,\* kolacji w moim życiu. Język rosyjski należy do najbogatszy^ jeśli idzie o przekleństwa, a podczas posiłku mój przyjaciel dowiódł że opanował go gruntownie. Wykrzykiwał między innymi że caryca wydała rozkaz, a te „świnie" usłuchał^!

Nie podobały mi się tego rodzaju oskarżenia.

— Andre — powiedziałem — zapominasz, zdaje się, że Hoehn to zwcTs PlamSta \* nie P°trzebu3e niczyjej protekcji. Zasłużył na

Nie chciał mnie słuchać; stronnicy zwykle pozostają ślepi i ślasi na wszystkie argumenty.



— Dosyć tego gadania, Andre — powiedziałem, nieco zniecierpliwiony. — Złość czyni cię niesprawiedliwym, a ja jestem zbyt zmę-

Dał spokój i zawiózł mnie na moją kwaterę. Stefan Grostern czekał na mnie.

— Proszę zgadnąć, kto tu był u pana? — spytał i nie czekając odpowiedzi, ciągnął dalej: — Policja. Jakiś policjant przyniósł pański paszport z rozkazem wyjazdu w ciągu dwudziestu czterech godzin. I dodał jeszcze, mrugając porozumiewawczo, że „Żydzi nie mający prawa do zwolnienia z tego zakazu pobytu, muszą się ściśle do mego stosować”. Kiedy wyszedł, roześmiałem się...

Przyłączyłem się do niego, wybuchając rubasznym śmiechem. Tego rodzaju „komiczne intermedium” po prostu idealnie pasowało jako zakończenie tego tak dramatycznego dla mnie dnia.

— Jutro wieczorem wyjeżdżam do Warszawy — powiedziałem, dodając: — Drogi Stefanie, cieszę się, że uwalniam cię od tak uciążliwego współlokatora!

Zaprotestował, rzecz jasna, ale wyglądało na to, że faktycznie odetchnę z ulgą. Nazajutrz z samego rana do pokoju wszedł, trzaskając drzwiami, Andre.

— Arturze — wołał — mimo wszystko wygrałeś konkurs! Jeszcze dziś wieczór musisz jechać do Charkowa!

Roześmiał się, widząc moje rozdziawione usta i zdumioną. Po czym zrelacjonował całą historię.

— Wczoraj wieczorem dzwonił z Charkowa Sergiusz Kusewicz<sup>1</sup>. Chciał się dowiedzieć o wynikach konkursu. Kiedy opowiedział<sup>1</sup> mi o niesprawiedliwości, jaka cię spotkała, bardzo się rozgniewał-  
398

miejsca postanowił ci to wynagrodzić. A oto jego propozycja: Z rnce koncertowe po Rosji, w tym dwa występy na koncertach tomfonicznych w Moskwie i w Petersburgu oraz jako równowartość nagrody imienia Rubinsteina — dwa tysiące rubli zaliczki na ooczet tego tournée.

Żadne słowa nie potrafią opisać mej radości. Wydawało mi się, że śnię.-

— To nie wszystko — ciągnął dalej Andre. — Kuse wieki zaprasza cię do Diergaczi, to jego posiadłość wiejska pod Charkowem. Chce cię poznać i omówić szczegóły propozycji.

Opowiedziałem mu o wizycie policjanta. Roześmiał się. — A więc te sukinsyny przypomniały sobie nagle o tobie, co? Dobrze, nie mamy czasu do stracenia, jeszcze dziś musisz wyjechać do Charkowa. Powiadomię Kusewiczego o twoim przyjeździe i poproszę, żeby wysłał po ciebie powóz. Uściskałem go. Uściskałem także Stefana. Gotów byłem uściskać cały świat!

Kusewicz znany był już w Europie jako jeden z najlepszych kontrabasistów owych czasów, prawdziwy wirtuoz tego nieporęcznego instrumentu. Nikisch i inni wielcy dyrygenci angażowali go jako solistę na swoje koncerty. Karierę artystyczną rozpoczął jako pierwszy kontrabasista w orkiestrze moskiewskiej Opery. Bardzo bogata i inteligentna pani zakochała się w wysokim, przystojnym młodzianie, który tak pięknie grał na swym instrumencie. Miłość zakończyła się małżeństwem. Prezentem ślubnym panny młodej była pełna orkiestra symfoniczna nosząca jego imię. Po studiach u Nikischa Kusewicz zainaugurował wielki sezon koncertowy w Petersburgu i w Moskwie. Jednocześnie założył w Moskwie biuro koncertowe z agencjami w całej Rosji; Diederichs był jego przedstawicielem w Petersburgu. Tak wyglądało to w roku 1910, kiedy Kusewicz tak szlachetnie stanął po mojej stronie. Wszyscy wiedzą, że później stał się jednym z najwybitniejszych dyrygentów i przez dwadzieścia pięć lat był ukochanym dyrektorem muzycznym okrytej chwałą Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej.

63

. Iergaczi leżało na przedmieściu Charkowa; dojazd powozem "ni niespełna pół godziny. Sergiusz Kusewicz z małżonką i mnie jak najuprzejmiej w swej prostej, ale przestronnej

399

willi. W trakcie kolacji rozmawialiśmy o Konkursie imienia Rubin, steina; szczegółowo opowiedziałem o roli, jaką w nim odegrałem, qa samego początku w Warszawie aż po niespodziewane zakończenie Najbardziej podobało im się moje postanowienie przeciwstawienia się Stołypinowskiemu dekretowi i moje skryte zwycięstwo.

— Aha! Więc nie odważyli się nic panu zrobić, co? — powiedzaj uradowany Kusewicz.

Po całonocnym wypoczynku i smacznym śniadaniu Kusewicz zaprowadził mnie do gabinetu i opowiedział o zamierzonym tourn.ee koncertowym.

— Chciałbym, żeby pan zagrał ze mną Koncert Rubinsteina. To będzie prawdziwa sensacja. Cuda słyshałem o pańskiej interpretacji,

Prawdę mówiąc, wolałbym zagrać jakiś bardziej znaczący kon-cert, ale musiałem się zgodzić.

— Moja agencja zorganizuje panu recitale w Moskwie, w Petersburgu, w Kijowie i w Odessie, a może także w Charkowie.

— Obiecałem Andre, że na recitalach zagram Sonatę „Hammer-klavier"... Chciałbym natychmiast zabrać się do pracy nad nią — powiedziałem.

— Dla obu stolic to będzie dobre, ale nie radziłbym panu grać jej na prowincji.

Kiedy poproszono nas na obiad, sięgnął do kieszeni.

— Oto pański bilet do Warszawy — powiedział. — Pociąg odchodzi o dziewiątej, kolację zjemy więc wcześniej. Ach, żebym nie zapomniał — z szuflady biurka wyciągnął kopertę i podał mi ją.— Tu ma pan nagrodę imienia Rubinsteina. Ale za to będzie pan musiał jeszcze grać — dorzucił z uśmiechem.

Po południu otworzyłem fortepian, doskonałego bliithnera, żeby go wypróbować. Ponieważ oboje bardzo pragnęli posłuchać mojej gry, wykonałem pełny program koncertowy. Pani Kusewicka, która sprawiła na mnie wrażenie osoby bardzo powściągliwej i mało mównej, wykazała gorące zrozumienie muzyki i zaczęła odnosić się <\* mnie znacznie serdeczniej. Małżonek słuchał uważnie, a jego reakcja przypominała reakcję Diederichsa.

— Ma pan wszelkie dane po temu, by zrobić wielką karierę powiedział. — I bez wątpienia zrobi ją pan, jeśli starczy panu \* trwałości i pracowitości.

Odwiózł mnie na stację i na pożegnanie ucałował w oba policzki. Podróż zajęła mi całą noc i pół dnia. W Warszawie przyjaciele przyjęli mnie gratulacjami przemieszonymi z oburzeniem i wściekłością. Rosjan oskarżano o zdradę. <sup>TM</sup> bardziej zajadły był Antek Moszkowski.

— Wszystkich członków jury należałoby powyszczać —

400

wał z wyrazem okrucieństwa na twarzy. Jednakże interwencja Kusewickiego przyczyniła się do zmiany nastrojów. Z przyjemnością s ważyłem, że w czasie konkursu cały kraj trzymał moją stronę. I Le jnoja popularność wydatnie wzrosła.

połą zastałem bladą; nie czuła się też zbyt dobrze. Przyjaciele wyjechała z nimi do Zakopanego, do czego zachęcałem ją mimo wiążącej się z tym nowej rozłąki — Pola bo-Tjńem prosiła, bym nie starał się do niej przyjeżdżać. Biedaczka, żyła nadzieją odzyskania dzieci i wciąż obawiała się pokazywać w moim towarzystwie w miejscach zbyt rzucających się w oczy. Karol Szymanowski zamierzał resztę lata spędzić w Tymoszwówce i namówił mnie, bym mu towarzyszył. Wyjechaliśmy w kilka dni później, przed wyjazdem jednak z dumą spłaciłem dług zaciągnięty u pana Szaniawskiego w hotelu „Victoria". I nie muszę chyba dodawać, że Kapnik także dostał dość pieniędzy, aby móc za nie kupić proszków dla całej rodziny.

Matka Karola i reszta rodziny ucieszyli się chyba, widząc mnie znowu. Rozkład dnia był tu taki jak dawniej: rano muzykowanie z Karolem, potem jazda konna, następnie trochę ćwiczyłem sam lub zaznajamiałem się z Sonatą oraz nową Symfonią Karola, wieczorami graliśmy w karty lub w „inteligencję"; spać chodziliśmy wcześniej. Spędziłem tam przeszło cztery tygodnie i pobyt ten doskonale mi zrobił.

Po powrocie do Warszawy do hotelu „Victoria" rzeński i wypoczęty, zabrałem się do pracy nad groźną Sonatą „Hammerklavier". Sezon koncertowy rozkręcał się bardzo powoli, miałem więc nieco wolnego czasu. Pola przyjechała trochę później, czuła się znacznie lepiej. Wznowiliśmy potajemne schadzki — w naszej miłości nic się nie zmieniło.

List z Rzymu przyniósł potwierdzenie zaproszenia na koncert symfoniczny w Augusteo. Termin wyznaczono na późne niedzielne Popołudnie w styczniu 1911 roku, na pięć dni przed moim debiutem w Moskwie. Hrabia San Martino prosił, bym zagrał dwa wybrane Przez siebie koncerty przedzielone dwoma lub trzema utworami solowymi Chopina. Było to okazałe zamówienie, i to w dodatku za

°noriarium nie wystarczające nawet na pokrycie kosztów. Mimo byłem dumny i szczęśliwy na myśl o publicznym występie moim ukochanym Rzymie!

sPaniate widoki na przyszłość zachęciły mnie do poszerzenia <sup>^6^</sup> Tym razem nie trzeba mnie było zamykać na klucz, prace- nac\* nowymi utworami. Ożywiło się także moje towarzyskie. Dzięki sukcesom odniesionym w Petersburgu ł dawną popularność; „afery" poszła w zapomnienie. Co 401

się zaś tyczy koncertów, to stałem się wybredny: odrzuciłem S2 reg kiepsko płatnych występów na prowincji i zgodziłem się ty<sup>^</sup> raz zagrać w Warszawie i raz w Łodzi. Z myślą o Rzymie i R08\*

zamówiłem kilka nowych garniturów.

I tak minęła mi bardzo udana jesień — pogrążony byłem w ny. łości i pracy, ciesząc się towarzystwem przyjaciół.

W połowie grudnia otrzymałem depeszę od Kusewickiego-„W drodze do Berlina mam przesiadkę w Warszawie, proszę mnie czekać na dworcu i przynieść program recitali"; tu następowała data i godzina przyjazdu.

Pociąg przyszedł punktualnie. Pojechaliśmy na inny dworzec gdzie przy herbacie w restauracji odbyliśmy miłą rozmowę. Kuse-1 wickiemu spodobał się mój program, zaproponował tylko kilka nieznaczących zmian i po pół godzinie odjechał.

Koncert w Łodzi zakłóciło dramatyczne interludium. Sala była wypełniona, moja rodzina zasiadła w pierwszych rzędach pełna oczekiwania, a ja grałem zupełnie nieźle. Tymczasem podczas przerwy do garderoby wpadł nagle jeden z wujków, błądy i przerażony,

— Policja jest tutaj. Jakiś policjant dowiadywał się o twoją służbę wojskową. Błagałem go, żeby nie przerywał koncertu, i obiecałem, że jutro rano wszystko się wyjaśni. Musiałem mu dać twój adres i parę rubli.

Nadludzkiem wysiłkiem woli opanowałem się i ukończyłem koncert. Po powrocie do domu cała rodzina wpadła w panikę. Jedynym sposobem wyjścia z tej sytuacji było przekupienie policjanta; wiązało się to z ryzykiem, ale w owych czasach nie znano żadnego innego sposobu radzenia sobie z carskimi funkcjonariuszami. Tym razem udało się — za cenę pięciuset rubli policjant przyrzekł przerwać dochodzenie. W Warszawie pierwszą moją troską było spotkanie z człowiekiem, który zajmował się odroczeniem mego powołania do wojska na dalszy rok.

— Niech się pan nic nie martwi — uspokajał mnie. — Zdobyłem już papiery na ten rok i potrzebuję tylko siedmiuset pięćdziesięciu rubli, żeby załatwić zwolnienie na rok przyszły.

Pieniądze z tytułu nagrody zaczynały topnieć, ale najgorsze był<sup>o</sup> jeszcze przede mną — moja biedna Pola musiała poddać się opera\* cji. Sprawa była pilna — mówiła — no i potrzebne były »a \* pieniądze. Przeżyłem kilka dni straszliwego niepokoju, ale wszys\*\* ko przeszło pomyślnie, a Pola powróciła do zdrowia. Boże Narodź nie i związany z tym tradycyjny zwyczaj rozdawania prezentów potem zaś kosztowny sylwester doprowadziły mnie wreszcie kompletnej ruiny finansowej.

Zbliżał się dzień wyjazdu do Rzymu i zaraz potem do Mo a ja byłem bez grosza — nie miałem pieniędzy ani na bilet, &

(  
402

koszta podróży.- Prosiłem Pawła, Antka, a także jego brata ^\ożyczenie niezbędnej sumy, ale oni tak samo jak ja mieli płótno

— tak się złożyło

który

Od jednego z przyjaciół Pawła, Jana Styczyńskiego, — urodził się we Francji, otrzymałem paszport, francuski. Jan powiedział, że pozostaje mi >dynie postarać się o nową wizę francuską przed powrotem do

Rosji-\_. Kiedy będzie pan w Wiedniu, może pan posłać boya hotelowego do konsulatu, mówiąc, że przyjaciel prosił pana o tę przysługę-

W wigilię dnia, w którym bezwzględnie musiałem wyjechać, popadłem w rozpacz i wściekłość.

— Toż to prawdziwy absurd, żeby przez brak głupich pieniędzy na bilet tracić takie okazje jak Rzym i Rosja i nie mieć nikogo, kto mógłby mi pomóc! — mamrotałem sam do siebie.

Nagle przypomniałem sobie Andre Diederichsa. Oddany przyjaciel! Przedstawiciel agencji Kusewickiego! Mógł przecież przekazać mi pieniądze i potraćić je sobie zaraz po koncercie w Petersburgu! Wysłałem mu nocną depeszę, żeby natychmiast telegraficznie wysłał mi pięćset rubli jako zaliczkę na poczet petersburskiego koncertu.

Nadejścia tych pieniędzy mogłem spodziewać się nie wcześniej niż w południe, ale i tak przez całą noc nie zmrużyłem oka. Na próżno usiłowałem spać, grać, czytać lub jeść — jedno, co mogłem robić, to tylko czekać, czekać, czekać! W południe nic, godzina pierwsza — nic, druga — nic... Już straciłem nadzieję, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyłem — w progu stał listonosz, który wydał mi się aniołem z nieba.

— Pan Artur Rubinstain? — spytał po rosyjsku. — Tak, to ja — odparłem.

— Czy spodziewa się pan pieniędzy wysłanych telegraficznie? ~~ Tak, tak, oczywiście, spodziewam się! — krzyczałem.

— 2 Moskwy? Tysiąc rubli? — wypytywał dalej.

Byłem tak zaskoczony, że przez moment nie byłem w stanie odpowiedzieć, ale w ciągu niespełna sekundy wykalkulowa-sobie: Andre nie miał pewnie pieniędzy pod ręką, zadzwonił do Moskwy, gdzie eleganckim gestem wysłano mi sumę dwu-tnie większą niż ta, o którą prosiłem. \*\* Tak, oczywiście, że tak! — odpowiedziałem. Tru.Oc\*a\* m\* depeszę i przekaz na Bank Handlowy w Warszawie. cu .ra\*em s^ w pośpiechu — banki zamykano o czwartej. Od tej ^ili wszystko grało jak w zegarku. Z pieniędzmi w kieszeni znów \*j°c5Ułem się milionerem. Wykupiłem bilet powrotny (drugiej klasy) ~"i, zaprosiłem Połę na dinner de luxe w jednym z prywat-

403

nych gabinetów w „Bristolu”, a później w „Vietorii” urządził dla Pawła i braci Moszkowskich pożegnalne przyjęcie z mnóstw wódki. O północy wyjechałem do Wiednia, dokąd przybyłem n zajutrz w południe. Prosto z dworca pojechałem na obiad do hotelu „Imperiał”; austriacką stolicę znałem już jak własną kieszeń. Podałem paszport głównemu portierowi:

— Proszę posłać kogoś z hotelu do konsulatu francuskiego i po, prosić o wizowanie tego paszportu na Rosję. Mój przyjaciel, pail Styczyński, przebywa obecnie na wsi i prosił mnie, abym wyświadczył mu tę przysługę.

Prośbę poparłem paroma guldenami. Portier przyrzekł dopiln0. wać sprawy, udałem się więc na obiad. Wysłannik wrócił, kiedy byłem już przy kawie.

— Bardzo mi przykro, proszę pana — powiedział, zwracając mi paszport — ale odmówiono wystawienia wizy. Twierdzą, że ten pan nie dopełnił obowiązku służby wojskowej we Francji. Kawa stanęła mi w gardle. Cios był bolesny. Absolutnie nie miałem czasu na to, by po powrocie z Rzymu walczyć o paszport w Krakowie czy Lwowie. Musiałem jechać wprost do Moskwy, je dynie na kilka godzin zatrzymując się w Warszawie. Na razie jednak nie pozostawało mi nic innego, jak w posępnym nastroili czekać w kawiarni na pociąg do Rzymu.

W Wiecznym Mieście dyrektor hotelu „BertoHni Splendid” przyjął mnie uśmiechem chyba .jeszcze bardziej promiennym niż za poprzednim razem; w hallu wisiał afisz zapowiadający koncert w Augusteo z moim nazwiskiem wypisanym wielkimi literami. Od hrabiego San Martino otrzymałem na powitanie liścik zawierający wszystkie szczegóły koncertu: miałem odbyć trzy próby, dyrygentem był pan Molinari, fortepian firmy Bechstein.

Ku memu wielkiemu żalowi dowiedziałem się, że hrabia Skrzyó-ski przebywa w Polsce, zwróciłem się więc myślami ku jedynej osobie mogącej okazać mi pomoc w sprawie paszportu — ku Mo\* destowi Czajkowskiemu. Zebrałem całą odwagę i zadzwoniłem S niego. Sam odebrał telefon, był ogromnie serdeczny i przyjął moją nieśmiałe zaproszenie na obiad. Przestrzegając dobrych manier, P słałem boya hotelowego, by złożył moje bilety wizytowe u Leishnów, Rudinich i Casatich, no i oczywiście w rezydencji hrabi San Martino.

Modest Czajkowski przybył punktualnie i zgodnie z rosyjs obyczajem ucałował mnie w oba policzki. Zabrałem go do restauracji, gdzie zwykle z Połą jadaliśmy obiady.

— Z niecierpliwością czekam na pański koncert — powiedział-Co pan zamierza grać?

— Beethovena Koncert G-dur, Barkarolą, jeden z nokturn\*

404

neza op.

53 Chopina, a na zakończenie Koncert g-moll Saint-Truy program. Czy mogę przyjść na próbę? — spytał, oczywiście. Będzie to dla mnie zaszczyt. Tymczasem cierpiałem katusze na myśl, że mam mu opowiedzieć kłopotach paszportowych. Czy powiedzieć prawdę? Jak na to ° eaguje? Jego zainteresowanie koncertem dodało mi nieco otuchy. -^czerze zrelacjonowałem fakty, a ten szlachetny człowiek świetnie zrozumiał, w jakim jestem kłopotcie.

— Znam doskonale rosyjskiego konsula — powiedział. — Posta-am się przedstawić mu sprawę w taki sposób, żeby zrozumiał. On może panu pomóc.

Wylewnym ruchem ręki przerwał moje podziękowania i uśmiechnął się:

— Zdąży mi pan jeszcze podziękować po otrzymaniu dokumentu.

Pójdę teraz do konsulatu. Proszę czekać na mnie w hotelu; przyniosę panu odpowiedź.

Wróciłem do hotelu w znacznie lepszym nastroju. Na duchu podniósł mnie zupełnie niespodziewany list markizy Rudini: „Mój drogi Rubinstainie — pisała. — Czy może Pan, jeśli jest Pan wolny, przyjść do mnie na kolację jutro o dziewiątej? Mam nadzieję, że zgodzi się Pan potem zagrać dla mnie (oczywiście zawodowo). Pozostają itd.”

Z uwagi na skąpe honorarium za koncert, dodatkowe dwa tysiące tirów były bardzo mile widziane. Czajkowski wrócił po godzinie ze smętną miną.

— Odmówił, złośliwiec. A na domiar złego oświadczył surowo, że nie zadeneducjuje pana tylko przez wzgląd na mnie.

No więc stało się! Sytuacja bez wyjścia. Czajkowski był niepokieszony.

— Proszę nie rozpaczać — powiedział. — Muszę znaleźć i znaleźć sposób, żeby panu pomóc.

Zobaczymy się wieczorem na próbie, do tego czasu coś wymyślę.

Jego współczucie głęboko mnie wzruszyło i już samo w sobie stanowiło jakąś pociechę.

próba we wspaniałym Augusteo przebiegła doskonale. Dyrygent, ejnardino Molinari, był doświadczonym akompaniatorem, orkiestrę is °d samego początku miałem za sobą. Hrabia San Martino, który yszał tylko Beethovena, dał wyraz zadowoleniu. Czajkowski oświadczył, że jestem stworzony do gry z orkiestrą: ~~~ Mam nadzieję, że usłyszę kiedyś w pańskim wykonaniu Kon- \*\* mego brata.

Obiecałem, że opanuję to dzieło, on zaś ciągnął dalej: \*- czy jest pan wolny w sobotę po południu? 405

Był to dzień poprzedzający koncert, ostatnią próbę wyznaczy właśnie na sobotę, odpowiedziałem więc twierdząco.

— Widzi pan, mamy tu niewielki klub rosyjski. Założyli 1 mieszkający w Rzymie członkowie rosyjskiej arystokracji. W naj, bliższą sobotę o czwartej jesteśmy zaproszeni na odczyt księcia Sergiusza Wołkońskiego, dyrektora teatrów cesarskich w Peters, burgu. Obecny będzie ambasador rosyjski wraz ze wszystkimi pra,, cownikami ambasady. Chciałbym, żeby pan tam poszedł ze miis jako mój gość. Może coś z tego wyniknąć...

— A konsul? — spytałem.

— Nie jest członkiem i nie został zaproszony.

Zachowałem sceptycyzm, ale od Modesta Czajkowskiego przyjął. bym każdą propozycję. Poranna próba piątkowa trwała bardzo długo. Molinari opracowywał każdy szczegół i powtarzał wiele fragmentów, zwłaszcza w Beethovenie. Wymęczył mnie, ale gra była warta świeczki.

Po południu odpoczywałem, żeby czuć się rześko na koncercie u Rudinich. We fraku, białej muszce, czarnym płaszczu i w cylindrze pojechałem do Palazzo Barberini; znalazłem się tam punktual-; nie o dziewiątej. Kamerdyner otworzył mi drzwi, odebrał ode mnie cylinder i płaszcz i oświadczył, że markiza będzie gotowa za kilka minut. Pomyślałem, że musiałem pomylić godzinę i przybyłem za wcześnie. Przez długą amfiladę salonów zaprowadził mnie do ma- k tego buduaru, w którym siedział młody człowiek w smokingu po- f grażony w lekturze. Ukłoniłem się, a on odkłonił się uprzejmie, nie przerywając czytania. Zająłem miejsce i czekałem — czułem się trochę tak iak w poczekalni u dentysty.

Po chwili zaczęliśmy rozmawiać po francusku. Był Argentyńczykiem i mówił z silnym obcym akcentem:

— Bawię tu dla przyjemności — oświadczył. — Życie w Buenos Aires jest nudne, a Rzym i Paryż to jedyne miasta, w których znaleźć można jakąś rozrywkę.

Oto młody człowiek, który wie, czego chce. Był przy tym przy stojny, typowy Hiszpan — miał czarne włosy, baczki i gęste brwi-Naszą zdawkową rozmowę przerwało wejście markizy, jak zawss pięknej, ubranej po domowemu.

— Ach, mój drogi Rubinsteinie, tak się cieszę, że znów pana \* dzę — powiedziała, wyciągając ku mnie obie dłonie. — Mam fl dzieję, że pan się nie pogniewa za tę nieoficjalną kolację a tT° z moim drogim przyjacielem (przedstawiła nas, ale zapomniał® jego nazwiska).

Aha — pomyślałem — przyjęcie odbędzie się bardzo późno, pewne gdzieś po północy! Weszliśmy do jadalni, a raczej czegoś w rodzaju pokoju

406

tfrfzie podano wystawną kolację z deserami, winami ,anioweg°> guprawie nic nie jadłem i wymawiałem się od wina, i całą resztJ" „rzyęciu i o występie. Zacząłem jednak czuć się tro-oai-niStająC ° V>Ora Rudini ani słowem nie wspomniała o koncercie chś nieSW° kiedy gdzie i jak ma się odbyć. Gdy uprzejmie zapytali o ty^.. odparła z uśmiechem: łem ° m? ta óan nic nie wie? Żyjemy w separacji. - A nwa przy kolacji nie była interesująca. Mówili o sporcie, nitkowali Młody człowiek wspominał przyjęcia i bale,

wyścigach, PL . charakterystycznych cechach tanga, ja zaś opo-mówił o waloracji x ^ .

^^ ^ podanQ

wiedf i^erSLrowi zanieść ją do sali muzycznej Przeszliśmy kaZ^ STz większych salonów, gdzie Dora i Argentyńczyk usiedli d0 jednego z wię^ ^ naprzeciw; rozdzielał nas stolik z kawą.

S0f16' tak w milczeniu, pijąc kawę, aż wreszcie Dora ode-  
imuiacym wdziękiem:

Arturo zagraj nam, proszę. Chciałabym znów usłyszeć Cnopina, która wówczas, na moim przyjęciu, tak mi przypadła do^serca ^ qwo przyjęcie!

Dopiero terazjpowłem. ^^^ nań uwagi, bo był przy-

! kwiatami, zdjęciami i książ-

nadzieję, że spodoba się panu mój fortepian. Kupiłam

^^^^ niepotrzebne przed- go wypróbować. To był dobry bluthner, DL! i j^ przyjaciel wrócili -^fcOf

trakcie gry widziałem, jak Dora, najwidoczniej pod-^ j całuje ukochanego i tuli się do niego, hLpa?iiego hidalg

mi

a w hallu

407

ściowym kamerdyner pomógł mi nałożyć płaszcz, po czym mi cylinder i kopertę. Powróciłem do hotelu „Splendid” o dwa tysiące lirów.

64

Ostatnia próba w sobotę rano przebiegała wyśmienicie. Nauczy. łem się cenić powolne, staranne przygotowywania do koncertów w trakcie trzech prób —• w przeciwieństwie do pośpiesznych pojedynczych prób, na które tak często zmuszony byłem godzić się,

Czajko wski, oczarowany naszą grą, zaprosił mnie na obiad.

— Chciałbym udzielić panu kilku dodatkowych informacji o klubie rosyjskim — powiedział. — Jest pewien drobny szczegół, który powinien pana zainteresować. Po ostatnim koncercie w Rzymie Antoni Rubinstein podarował klubowi swój fortepian. Jeśli tak się zdarzy, że odczyt nie potrwa zbyt długo, być może będzie pan miał okazję uraczyć obecnych krótkim koncertem na „fortepianie Rubinsteina”, w obecności ambasadora może się to na coś przydać. Niezła myśl, prawda? — roześmiał się, bardzo z siebie zadowolony.

Klub rosyjski mieścił się w szacownie wyglądającym, szarym budynku w cichej uliczce. Hali wejściowy prowadził prosto do przestronnej sali muzycznej. Wytworna publiczność, w sumie nie więcej niż sto osób, zasiadła w kilku rzędach wygodnych foteli. Na podium, nieco z boku, ustawiono wysoki pulpit; fortepian stał w środku. Czajkowski i ja zajęliśmy miejsca z tyłu.

Książę Sergiusz Wołkoński zbliżył się do pulpitu, wyciągnął grvJ by plik zapisanych kartek, zaczerpnął duży łyk wody, zapalił n wielką stołową lampę i rozpoczął odczyt. Tematem była histon teatru i sztuki aktorskiej. Przemawiał głosem monotonnym, ^ chwilę potykając się, za to z pewną wyniosłością i pedantefl Wszystko to podziałało usypiająco, toteż po godzinie zauważył że wielu osobom pochyliły się głowy w dyskretnej drzemce KiC odczyt dobiegł końca, mówcę nagrodziły leniwe oklaski; ność zaczęła podnosić się z miejsc, rozmawiając głośno i z niem, jakby chciała sobie w ten sposób powetować długie czenie.

mil'

dc

Gdy zaczęto roznosić kawę, Czajkowski podszedł wraz ze n ambasadora, który witał się z przyjaciółmi. Książę Dołgoruki, a'

408

A r Rosji, był prawdziwym uosobieniem arystokraty w nieco baSSł\*nodnym stylu: starszy pan, wysoki, szczupły, o kształtnym staf° n0Sie, krótkich wąsikach en brosse; nosił też bardzo duży id w jasnoblękitnym, głęboko osadzonym oku. Ubrany był y żakiet, szare spodnie w paski, białą kamizelkę, biały kołnierzyk i sztywny gors z krawatem spiętym szpilką f czarną p

Modest Czajkowski przedstawił mnie temu eleganckiemu panu:

\_ Ekscelencjo, to niezwykle utalentowany młody pianista, nazywa się Rubinstein.

\_\_ gft, eh, to bardzo interesujące... I to samo nazwisko? Znaczy się, też pianista, eh, eh.

\_1 Jeśli Wasza Ekscelencja zezwoli, a inni członkowie klubu wyrażą ?:godę, młody Rubinstein pragnąłby wykonać kilka utworów z muzyki rosyjskiej na tym, dla niego świętym fortepianie, który był własnością nigdy nie zapomnianego Antoniego Grigoriewicza.

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

Czajkowski wypowiedział te słowa z namaszczaniem, choć podobnie jak jego brat, należał raczej do osób niechętnie nastawionych do Antoniego Rubinsteina.

— Eh, eh, mais c'est charmant! Ależ oczywiście, bardzo chcemy posłuchać młodego człowieka. Fortepian okazał się starym beckerem rosyjskiej produkcji, ale był dobrze nastrojony. Grałem wszelkie znane mi utwory z muzyki rosyjskiej: dwa preludia i etiudę Skriabina, sławne Preludium cis-moll Rachmaninowa i coś Medtnera.

Po śmiertelnie nudnym odczycie muzyka podziałała na obecnych wyjątkowo orzeźwiająco. Mój sukces przypomniał mi Petersburg oraz to, że nie ma na świecie publiczności równie żywo reagującej na muzykę jak Rosjanie.

Ambasador był tak rozentuzjasmowany, że upuścił monokl.

~~~ Eh, eh, brawo, brawo! Pięknie, wyśmienicie, czarująco!

Palcem dotknąłem pleców Czajkowskiego.

~~" Ekscelencjo — rozpoczął (teraz był najodpowiedniejszy moment) — temu nieszczęsnemu młodzianowi przydarzyła się straszna

^Cz: zgubił paszport. Jutro koncertuje w Augusteo, a w ponie-

Złatek z samego rana wyjeżdża wprost do Moskwy, gdzie wielkim

'ncertem z\* orkiestrą otwiera tournée koncertowe. bok- ^Cil' t0 smutne> to bardzo smutne! —

powiedział ksiązę z głę-te lm Współczuciem. — Ale konsul natychmiast mu pomoże, jestem

=>° Pewien, co? — uśmiechnął się znowu. ^"7 Konsulat jest zamknięty do poniedziałku rano, a sam konsul

y3echał — bezwstydnie kłamał mój obrońca.

Eh

och, och, ale przecież musi być jakiś sposób... Przecież

\*, uuu, och, aie przecież musi uyy; jax\*.ia apuouu... w Moskwie czekają na niego, on musi tam dotrzeć!

409

Po.

Szczerze zatroskany, ambasador wezwał młodego attache sady. Obaj coś tam przez chwilę szeptali, ksiązę co pewien a przerywał szept swego rozmówcy krótkimi okrzykami w „Dlaczego nie?“, „Pour un seul passage!“, czy „Eh, eh, mniei

0 to". Po krótkiej naradzie ambasador zwrócił się do mnie i wiedział z niezwykłą uprzejmością:

— Młody Rubinsteinie, eh, eh, przyjdę jutro na pański koncen

1 przyniosę panu ładny prezent, cha, cha, co?

Taka uprzejmość to budząca sympatię cecha prawdziwego ary. I stokraty. Obaj z Czajkowskim wyszliśmy z klubu w nastroju p( nym nadziei.

— Przyniesie panu liścik przez siebie podpisany, który pan! w zupełności wystarczy na jednorazowe przekroczenie granicy więc nie musi się pan już o nic martwić — powiedział Czajkowski.

Mój debiut w Rzymie był dla mnie doniosłym wydarzeniem i niezapomnianym przebyciem.

Zapoczątkował romans między publicznością włoską a mną, romans, który trwa aż po obecny, tak późny okres mego życia.

Rozpocząłem Koncertem Beethovena, który wypadł bardzo dobrze, choć zabrakło- mu najwyższego polotu. Uwagę Molinarię i moją rozpraszają wchodzenie spóźnionych gości i hałasy dochodzące z parteru wypełnionego przez niezbyt muzykalny grani monde. Na szczęście balkon wypełniali studenci szkół muzycznych i miłośnicy muzyki. Następnym punktem programu był występ solowy: trzy utwory Chopina. Pierwszy z nich, Barkarolę, zawsze darzyłem szczególną sympatią — nigdy mnie nie zawiodła, nieodmiennie dostarczając natchnienia na całą resztę programu. Tym razem także nie sprawiła mi zawodu. Kiedy doszedłem do ostatnie" akordów, publiczność miała za sobą: zmuszono mnie do trzei czy czterech ukłonów, a dopiero potem pozwolono zagrać noktu Od tej chwili moje powodzenie rosło, a po Polonezie As-dur nastąpił prawdziwy wybuch entuzjazmu.

Balkon krzyczał i wołał „Br wo, bis, bis, brawo!" Podczas przerwy zszedłem z estrady, a publiczność nie przestawała wołać „Bis!". Pięć czy sześć razy r siałem się kłaniać przy narastającym żądaniu bisów, które z r< rezerwuję sobie na zakończenie koncertu. Nagle za kulisami PO' wił się zadyszany maestro Sgambati, krzyżąc do mnie:

— Presto, presto! Proszę coś zagrać. Oni się wściekną.— \* panu coś zrobić!

Przestraszył mnie. Rzuciłem się do fortepianu i zagrałem eti Chopina, co ukoilo krewki temperament

włoskiej publiczność Do garderoby wszedł książę Dołgoruki w towarzystwie  
410

wskiego. Ambasador, pod silnym wrażeniem mego sukcesu, C > wał mnie w oba policzki. u Eh  
eh, ty niegrzeczny chłopcze, doprowadziłeś mnie do pł-

eh!  
powiedział, podając mi wielką kopertę. — A tu masz prezent, mój drogi, czekającego na korytarzu  
tego samego co poprzedniego  
dnia attache.

— Proszę zebrać od młodego człowieka potrzebne dane i wpisać wszystko do dokumentu. Ja już  
podpis złożyłem.

zacząłem bąkać słowa podziękowania, przerwał mi wy-  
K mownym gestem.

— Eh, eh, żadnych podziękowań, żadnych podziękowań, to głupstwo. Fo przekroczeniu granicy  
proszę po prostu ten papier zniszczyć i postarać się o inny paszport. To wszystko głupstwo, ale pan  
mnie doprowadził do płaczu, eh, eh! — i wyszedł z garderoby.

Attache wyciągnął z koperty imponujących rozmiarów dokument i spytał, gdzie się urodziłem i ile  
mam lat.

— To paszport dyplomatyczny — powiedział mimochodem — muszę go dokładnie wypełnić.  
Po chwili wahania odpowiedziałem spokojnie:

— Urodzony w Warszawie w 1889 roku — błyskawicznie odmładzając się, żeby nie mieć jeszcze  
wieku poborowego. Wpisał to wszystko i wręczył mi dokument. Na wielkiej sztywnej karcie  
papieru, wypełnionej po rosyjsku (a także po francusku), przeczytałem: „Numer 1. W imieniu Jego  
Cesarskiej Mości Mikołaja II, Cara Wszzechrosji, prosimy o udzielanie pomocy i opieki naszemu  
poddanemu, Arturowi Rubinsteinowi” — po czym następowała data. Podpisał to osobiście książę  
Dołgoruki, Coś niewiarygodnego! Nawet Czajkowski był tym z lekka zaskoczony.

— Nie spodziewałem się, że zrobi coś podobnego!

Koncert Saint-Saensa przeszedł jak huragan. Wraz z Molinarim ganialiśmy się bez końca, musiałem  
jeszcze dwa razy bisować. Wielu, nowych przyjaciół przyszło nam pogratulować, a maestro  
Sambati powiedział z uśmiechem:

~- Uratowałem panu życie... Mógłby pan zginąć z rąk któregoś z Pańskich entuzjastów.. n 9rabia  
San Martino zaproponował mi termin koncertu w następ-  
ym sezonie; z Modestem Iliczem pożegnałem się z sercem prze-<sup>^</sup>nionym wdzięcznością. Nigdy nie  
zapomniałem wielkodusznego j <sup>^</sup>mienia, jakie mi okazał ten wielki pan w tak delikatnej  
pOntr°wersyjnej sprawie, on, który uważał się za rosyjskiego t <sup>^</sup>mnie, który w głębi serca byłem  
zbuntowanym rosyjskim

r°śa powrotna do Polski była długa i nużąca, ale cudowny

411

dokument palił mi kieszeń. „Zbyt dobre, by mogło być \*

we” — mówi stare porzekadło. Czy nie odnosi się to do moi paszportu? A może zaaresztują mnie za  
bezprawne posiadanie kiego dokumentu? Tego rodzaju dręczące myśli nie dawały spokoju aż  
do chwili przyjazdu na rosyjską granicę. Z mocno cym sercem drżącą ręką podałem złowrogi papier.  
Żandarm łożył go, uważnie przeczytał, złożył z powrotem, po czym mi go salutując i trzaskając  
obcasami. Następnie zaprowadził <sup>^</sup>j do bufetu, poprosił, abym usiadł, i kazał natychmiast podać j  
herbatę oraz zakuska. Powiedzieć, że zrobiło to na mnie wraże. nie — to o wiele za mało, muszę  
stwierdzić, że nabrałem należy] tego szacunku dla tego dyplomatycznego paszportu i postanowiłeś  
go nie niszczyć.

Po powrocie do Warszawy czekała mnie największa zagadka W hotelu „Victoria” zastałem depeszę  
od Andre Diederichsa: „Właśnie wróciłem z dwutygodniowych wakacji w Finlandii i znalazłeś twój  
pilny telegram stop jeśli nadal potrzebujesz pieniędzy depej szuj wyśle natychmiast stop  
pozdrawiam Andre”.

Niewiarygodna tajemnica! W żaden sposób nie mogłem się w tyc wszystkim połapać. No bo jeśli  
Diederichs nie dostał mojej prośby; to jak się to, u diabła, stało, że pieniądze nadeszły, i to na  
dodałi z Moskwy?

Pola i Zosia, Paweł i Moszkowscy byli pod wrażeniem zarówno" imponującego paszportu, jak i tej  
ostatniej zagadki. Tak czy inaczej, musiałem wyjeżdżać do Moskwy. Wszyscy odprowadzili mnifj na  
dworzec i życzyli powodzenia. Pola była niepokieszona; tm razem czekała nas długa rozłąka.



Do starej stolicy Rosji przybyłem rankiem, było przeraźliwa zimno. Przez okno pociągu nie widziałem nic prócz pokrytej śniegiem równiny, wyludnionych pól i nędznych chłopskich chałup. Nawet mijane miasta wyglądały smutno i zimno.

Pan Awierino, dyrektor agencji Kusewickiego, doskonały altowiolista, którego poznałem niegdyś w Warszawie, czekał na dworcu. W drodze do hotelu „Metropol” wyjaśnił mi zagadkę: piana była to fantastyczna komedia pomyłek, niewiarygodne, nieprawdopodobne deus ex machina.

— Czy pamięta pan spotkanie z Kusewickim w Warszawie kiedy zatrzymał się w drodze do Berlina? — spytał mnie.

— Tak, oczywiście.

— No więc było tak: parę dni po waszym spotkaniu otrzymałem w biurze telegram następującej treści: „Pilną depeszą wysłać rubli Rubinsteina widziałem w Warszawie wszystko w Kusewicki”. Między słowem „rubli” a „Rubinsteina” opuścił „stop”. Rozumie pan? A ja, głupi idiota, przeczytałem tę

412  
byłem uważnie i wysłałem pieniądze panu, zamiast jemu! Kiedy nie przeczytałem tekstu, było już za późno! — ja te pieniądze otrzymałem tego samego dnia!

przykrym następstwem tej historii była konieczność zwrócenia rubli panu Awierino. Dałem mu a conto pięćset rubli, co

• miał całkowicie wypróżniło mi kieszenie, resztę zaś miały przynieść moje przyszłe koncerty w Rosji. Kusewicki przedstawił mi orkiestrę w sposób nadzwyczaj ochlebny. Podczas prób Koncertu Rubinsteina przekonałem się jednak ku memu wielkiemu żalowi, że nie był tak dobrym akompaniatorem, za jakiego go uważałem. Po próbie zabrał mnie na obiad do siebie do domu, gdzie jego małżonka przyjęła mnie jak najuprzejmiej.

Koncert w sali Zgromadzenia Szlacheckiego odbył się nazajutrz wieczorem. Sala była pełna. Koncert Rubinsteina, zwłaszcza jego część pierwsza, przyniósł mi wielki sukces, ale czułem, że w Beethovenie, Chopinie czy Saint-Saënsie zaprezentowałbym się znacznie korzystniej. Na konkursie imienia Rubinsteina w grę wchodził element uczuciowy, którego zabrakło na publicznym koncercie w mieście tak muzykalnym jak Moskwa.

Krytykom podobał się mój występ, ale z oceną końcową wstrzymywali się do recitalu.

W dwa dni później powtórzyliśmy program w Petersburgu, w pięknym gmachu Zgromadzenia Szlacheckiego. Nim jeszcze przystąpiłem do gry, spotkałem się tu z gorącym przyjęciem ze strony moich zwolenników. Sam występ przyjęto podobnie jak w Moskwie. Koncert Rubinsteina zdecydowanie nie odpowiada mojej wrażliwości muzycznej: brak mu polotu, jest jedynie instrumentem w rękach dobrego wykonawcy. Mimo to stanąłem na wysokości zadania, a sukces, jaki odniosłem, był w pełni zasłużony.

Andre Diederichs wyraził zadowolenie, Kusewicki również. Po koncercie poszliśmy we trójkę na kolację; rozmowa toczyła się głównie wokół historii tysiąca rubli.

Znacznie bardziej interesujące były moje recitale w obu stolicach. Żywo komentowano włączenie do programu Sonaty „Ham-

re?klavier”. Wszyscy krytycy dokonywali narzucających się po-

ważnych między moją koncepcją tego dzieła a koncepcją Hoehna. — uznali moją interpretację za zbyt romantyczną, inni że — za interpretację Hoehna za mniej poruszającą. Rzecz w tym, że drudzy mieli słuszość.

— Jakżeż to możliwe? — spytał Andre Diederichs, mój zaprzy-

any stronnik. — Zaraz ci to udowodnię — odparłem. — Widzisz, Andre, gdybyś

413

poprosił dziesięciu sławnych malarzy, by wykonali twój obraz, okazałoby się, że twoja twarz na każdym obrazie byłaby inna, lecz artyści zapewniłoby cię, że malowali twoją twarz dokładnie tak, jak ją widzieli.

— Dobrze, zgoda — powiedział Andre — ale jaki to ma związek z muzyką?

— To jasne! Widzisz, Andre, każda kreacja staje się częścią wszechświata, podobnie jak kwiat czy istota ludzka. W rezultacie sonata brzmi inaczej w wykonaniu każdego utalentowanego artysty. I to jest prawdziwe powołanie naszych poszczególnych talentów. Nietzsche w swych Narodzinach tragedii nazywa muzykę sztuką dionizyjską, wszystkie zaś pozostałe dziedziny sztuki — apollinijskimi, wyjaśniając, że interpretują przyrodę albo własne wizje i idee, podczas gdy muzyka jest niezależną metafizyczną siłą twórczą. Podoba mi się ta przenośnia. Ja także na

swój nieskromny sposób uważam wielkich twórców muzyki za dionizyjczyków, a nas, odtwórców, za apollińczyków.

Uśmiechnąłem się, zawstydzony nieco tym pretensjonalnym wykładem.

Na Andre zrobiło to pewne wrażenie, ale w dalszym ciągu upierał się, że tylko moja koncepcja tej Sonaty była właściwa.

— Rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć, Andre — odparłem — i to jest interesujące, ponieważ dla nas rzeczą najważniejszą jest umiejętność przekonywania słuchaczy, dokładamy więc wszelkich starań, żeby nam się to udało.

W Moskwie Sonata odniosła znacznie większy sukces; tu nie słyszano Hoehna!

Moje recitale w obu miastach udały się doskonale, publiczność okazywała mi serdeczne zrozumienie, chwilami nawet entuzjazm ale mego sukcesu nie mógłbym nazwać sensacyjnym. Były po to' powody. Przede wszystkim moje nazwisko — bardziej mi zaszczyt dźiło, niż pomogło. Józef Hofmann miał w owych czasach monop< pianistyczny w Rosji. Jako uczeń Antoniego Rubinsteina, legęJ darnego bożyszczka tego kraju, uchodził powszechnie za prawowitego następcę wielkiego mistrza, wskutek czego ja sprawiałeś wrażenie samozwańczego pretendenta do uświęconego nazwiska.

Mimo to mój sukces zwrócił uwagę i zapewnił nowe kontrakt W Moskwie zatrzymałem się przeszło tydzień.

Pierwszym wrażeniem ze starej stolicy Rosji było rozczarowali Zamiast wspaniałej metropolii na wzór Londynu, jaką spodzie^łem się ujrzeć, zastałem miasto, które składało się jak gdyby zbiorowiska małych miasteczek i wsi, wzniesionych wokół ś niowiecznej twierdzy i zamku, Kremla, otoczonego niedostęp13' murem. Nowoczesny, pięknie rozplanowany Petersburg i bezksz 414

niec azjatycka Moskwa zdawały się przynależć do dwóch n^ gbnych kultur. Mimo to zewnętrzną brzydotę Moskwy rekon-sowało bogate życie wewnętrzne oraz charakter jej mieszkań-^w Miasto należało do kupców. Spotykało się ich na każdym kroku, ubranych w tradycyjny strój mużika, ze spodniami wpusz-onymi w wysokie buty z cholewami, w koszulach z barwnymi lamówkami i kołnierzykiem zapinanym z boku. Ich ciężkie płaszcze oodbite były tanimi cuchnącymi futrami. Większość nosiła długie brody i czesała się z przedziałkiem w środku. Nawet najbogatsi nie gardzili tym strojem, tyle tylko że ich długie futra uszyte były z soboli, karakułów lub fok. Wielu z nich posiadało przy tym subtelne poczucie piękna. Wtedy gdy sami Francuzi ociągali się jeszcze z uznaniem wielkości swych mistrzów, kupcy Morozow i Szczukin zakupili całą kolekcję francuskich impresjonistów. W muzeum ufundowanym przez tych dwóch kupców mieścił się jeden z najwspanialszych zbiorów Cezanne'a, Renoira, Moneta, Maneta, Degasa, Pissarra, Gauguina, Van Gogha, a nawet parę obrazów Picassa i Matisse'a.

Moskwa dumna była ze swej Wielkiej Opery, gdzie największymi gwiazdorami byli Szalapin i tenor Sobinow. Założone przez Mikołaja Rubinsteina Cesarskie Konserwatorium, w którym Czajkowski był profesorem kompozycji, kontynuowało te wielkie tradycje.

Najbardziej wszakże podziwiałem moskiewski Teatr Artystyczny Stanisławskiego i Niemirowicza-Danczenki. Założyli oni zespół na cześć Czechowa, który na otwarcie napisał Mewą; ptak ten stał się symbolem teatru. Widziałem tam kilka przedstawień, między innymi Wiśniowy sad; niezapomniany wieczór! Nie było tu gwiazd: każdy aktor i aktorka musieli grywać zarówno wielkie, jak i małe r^le odpowiadające ich osobowości.

Kiedy wracam myślą do tamtych dni, przypominam sobie zabawny przykład obyczajów kulinarnych panujących wówczas w tym fascynującym mieście. Przyjaciel Kusewickiego zaprosił ^ftie na obiad do jednej z najlepszych restauracji. Przybyliśmy tam o pierwszej w południe i udaliśmy się wprost do bufetu — •stawiono tu ze trzydzieści smakowitych gorących i zimnych zaka-wokół kilku rzędów tac z małymi kieliszkami wódki, które się zapraszać spragnionych moskwičan. Długo raczyliśmy tymi specjałami, po czym zajęliśmy stolik w sali jadalnej. Co możesz nam polecić? — mój gospodarz zwrócił się do d'hôtel.

Mamy spory wybór ryb — odpowiedział kelner i wskazał po-rozmiarów zbiornik, z którego wybraliśmy dużą, żwawą

Za godzinę będzie gotowa — zapewnił nas.

415

— Zagrajmy tymczasem partyjkę bilarda — zaproponował ^ towarzyszy.

Graliśmy przeszło godzinę.

— Pańska ryba jest gotowa — zakomunikował kelner. Wróci, liśmy do stolika i spożyliśmy ją z apetytem. To samo nastąpi przy następnym, mięsnym daniu. Wybraliśmy kawał surowej łowiny i jeszcze na godzinę udaliśmy się do stołu bilardowego Przygotowanie wymyślnego deseru pozwoliło nam na dwie długie partie pikiety. Cały obiad — który trwał do dziewiątej wieczór i musiał kosztować majątek — zakończyliśmy doskonałym francuskim burgundem.

Moje tournée zawiodło mnie też do Charkowa i do Rostowa nad Donem, gdzie zostałem zaangażowany przez Cesarskie Rosyjskie Towarzystwo Muzyczne. Oba miasta przyjęły mnie z nieklamany entuzjazmem, o obu jednak niewiele mam do powiedzenia. Hotele S były prymitywne i pozbawione wygód, a ludzie tak na ulicach, jak i w salach koncertowych wyglądali ponuro i nieciekawie.

Następnym i ostatnim już przystankiem był Kijów, który pamiętałem z poprzednich wizyt. Koncert organizowała tu moskiewska agencja Kusewickiego, przygotowaniem zaś kierował Polak, pan Idzikowski, właściciel wielkiego magazynu książek i nut. Do stolicy Ukrainy przybyłem rankiem w dniu koncertu; panował S dojmujący mróz. Po gorącej kąpieli i śniadaniu udałem się na spotkanie z Idzikowskim, niskim, starszawym panem o inteligentnej twarzy, który przyjął mnie w swym gabinecie.

— Tak się cieszymy, że przyjechał pan grać u nas, w Kijowie — powiedział. — Szkoda tylko, że nie ma pan w programie nic Szymanowskiego. Żyje tu spora grupa Polaków, przejawiających ogromne zainteresowanie naszym młodym kompozytorem.

— To cudownie! — zawołałem. — Okazuje się, że Kijów wiecie wie o Szymanowskim niż Warszawa. Bardzo proszę, niech P zamiast Schumanna wstawi do programu Wariacje Szymanowskiego-

Wi-

— Obawiam się, że dziś będzie pan miał marną frekwencję. «

dzi pan, publiczność pana nie zna, ale jestem przekonany, z zmianą programu wyjdzie panu na dobre. Słyszałem pańską e w Warszawie i przepowiadam panu wielki sukces — uśmiechu Zaprowadził mnie do sali koncertowej będącej własnością {skiej Resursy Kupieckiej. Położona w parku miejskim odznaka się pięknymi proporcjami i idealną akustyką, wyglądała też sympatycznie. Fortepian, dobry bechstein, był nastrojony. C<sup>^</sup>tem na nim około godziny, a następnie zjadłem lekki obiad \*

416

wypoczywałem. Granie Wariacji Karola dla znajdującej się na &° publiczności było przyjemnością, po której wiele sobie obiecywałem.

Wieczorem, na koncercie sala była właściwie pusta. Jeśli nie ryc garstki młodych ludzi na miejscach stojących, widownię tanowiło około pięćdziesięciu osób rozproszonych po całej sali. Byłem tym dość przygnębiony, ale tym bardziej zdecydowany dać siebie wszystko. W odróżnieniu od wielu moich kolegów, którzy widząc słabą frekwencję, zachowują się jak „obrażeni”, zawsze uważałem garstkę obecnych na sali za wybraną reprezentację nabitej widowni. Toteż otwierając program Sonatę Beethovena zagrałem starannie i z wyczuciem. Nieliczni zebrani okazali się muzyczną śmietanką mającą pełne zrozumienie dla muzyki, którą wykonywałem. Po Sonacie otwarto drzwi; weszło osiem czy dziewięć osób w wieczorowych strojach i zajęło miejsca w pierwszym rzędzie. Wyglądali na nieco zawstydzonych spóźnieniem, ale uśmiechnąłem się do nich uspokajająco.

Następnym punktem programu był Szymanowski. Uwielbiałem ten utwór i zagrałem go całym sercem. Przyjęto go z szacunkiem, ale bez zapału. Tylko nowo przybyli oklaskiwali entuzjastycznie, a w czasie przerwy jeden z nich przyszedł do garderoby i przedstawił się jako hrabia Pruszyński, Polak. Po francusku mówił lepiej niż po "polsku i prosił o wybaczenie, że on i jego towarzysze opuścili początek koncertu.

f

— W Kijowie koncerty rozpoczynają się za wcześnie — powiedział — a kolację zjeść trzeba, nieprawdaż? Przyszliśmy, żeby pana posłuchać, ale głównie dla muzyki Szymanowskiego. Dymitr Lwo-wicz Dawydow z małżonką są moimi sąsiadami i serdecznymi Przyjaciółmi, w ich imieniu chciałbym zaprosić pana po koncercie na wspólną kolację.

Zaproszenie przyjąłem z radością; jego przyjaciele zaintrygowali mnie — sprawiali wrażenie sympatycznych i inteligentnych. Zakończenie programu przyniosło mi wielki sukces. Młodzi słudze z miejsc stojących podeszli pod samą scenę i wołali o jesz-z!\* jeszcze. Uspokoił się dopiero po

czwartym bisie, drabia Pruszyński był oburzony. pr~~ ^°ż to, za brak wychowania! Zmuszać pana do gry i stać nam

^i d nosem, jak gdyby sala do nich należała...

si<T~ ^roszQ ich zbyt nie winić, panie hrabio — roześmiałem ^ 7- Tak się składa, że na moich koncertach lubię takie zachowanie • ^tnnie ^° restauracji w Grand Hotelu, gdzie zastaliśmy ^ ^Jęcych już jego towarzyszy. Spotkała mnie miła niespodzianymi^ Dawydow był siostrzeńcem kompozytora Czajkowskiego-

417

go a więc również mego przyjaciela Modesta Czajkowskiego, któremu tak wiele zawdzięczałem. Zona, Natalia, okazała się jed z owych tak rzadko spotykanych istot ludzkich, których zapomnij nie sposób — emanowała z niej jakaś światłość, niezwykła S2ia. chętność serca i inteligencja; oczarowała mnie z miejsca. Ich pr2y. iaciele byli interesujący i pełni życia, a kolacja w Grand Hotelu stała się załączkiem przyjaźni, którą z radością przechowuję w Pa, mięci Co więcej — wszyscy jednomyślnie nalegali, bym nie opuszczał Kijowa, nim nie dam mieszkańcom miasta jeszcze jednej szansy posłuchania mojej gry. Kiedy pesymistycznie pytałem, skąd mają pewność, że tym razem ktoś zechce przyjść, odpowie.

dziano mi:

— Dymitr Dawydow jest marszałkiem szlachty ukraińskiej, a jego szwagier, Gudim-Lewkowicz to zięć generała Trepowa, gubernatora Ukrainy. We dwójkę potrafią wypełnić w Kijowie dzie-

sieć sal.

To położyło kres moim wątpliwościom. Obiecałem, że w sprawie drugiego koncertu porozmawiam z Idzikowskim. Biedak przyjął

mnie ze smutną miną.

— Agencja Kusewickiego straciła wczoraj nieco pieniędzy -oświadczył. - Mam nadzieję, że w przyszłym roku będzie pan miał więcej szczęścia.

Ki-dy mu powiedziałem o swych zamiarach i wymieniłem nazwiska protektorów, klasnął w dłonie i zawołał:

— Pan się w czepku urodził!

Koncert zapowiedziany został na koniec tygodnia, miałem w pięć dni na przygotowanie programu. Dawydowowie opiekowały mną przez cały czas pobytu w Kijowie; wszystkie dni spędziłem\* w ich domu, ćwiczyłem na ich fortepianie i jadałem z mmx po\* Wydali też wielkie przyjęcie, na którym przedstawiono mme \* jowskiej socjocie. W dniu koncertu wszystkie miejsca były J. Przedane. To był wspaniały wieczór: gubernator w PetaejLj obwieszony orderami, zajął miejsce w pierwszym rzędzie w niu adiutantów oraz ich małżonek, a za nim wszyscy miejy notable. Grałem dużo Chopina, który odniósł ogromny sukces. \* dzimierza Horowitza, wówczas małego chłopca - jak się poz od niego samego dowiedziałem - przyprowadzono, zęby posła mojej gry. Dymitr Lwowicz z małżonką wydali wielkie przyF

w Grand Hotelu.

Idzikowski nie posiadał się z radości.

— Musimy natychmiast zapowiedzieć jeszcze jeden zawołał. — Pełny recital chopinowski!

byjy

W sumie dałem w Kijowie cztery koncerty. Dwa ostatnie równie udane jak drugi. W czasie całego tournée po Rosji

418

moją jedyną prawdziwą konkietą. Kiedy się rozli-z idzikowskim, spodziewałem się, że otrzymam pokaźną lke tymczasem wręczył mi a conto niespełna tysiąc rubli. sU^ LZy to wszystko, co zarobiłem na trzech wyprzedanych koniach? — spytałem.

ce^\_ jestem — odparł — przedstawicielem agencji Kusewickiego, irt'ra obciążyła mnie ogromnym rachunkiem pańskiego zadłużenia. Musiałem potrącić deficyt z pierwszego koncertu oraz pięćset rubli, które otrzymał pan w Warszawie. Ponadto koszty związane z czte-a koncertami kijowskimi były bardzo wysokie.

Chcąc nie chcąc, musiałem mu wierzyć i wbrew własnemu przeświadczeniu pieniądze przyjąć, ale obiecałem sobie w duchu, że na przyszłość będę uważniej śledził wpływy ze sprzedaży biletów.

Dawydowowie nalegali, bym lato albo przynajmniej część lata spędził w ich posiadłości wiejskiej, Werbowce; oczywiście przyrzekłem: z każdym dniem coraz bardziej przypadał mi do gustu.

Hrabia Pruszyński okazał się doskonałym przewodnikiem. Oprowadził mnie po mieście, pięknym wprawdzie, lecz bardzo interesującym. Znajdował się tam wielki podziemny monaster, zwany Ławrą, gdzie mnisi trzymali miliardy rubli w złocie; gdy któryś z carów potrzebował pieniędzy, musiał o nie zabiegać u mnichów. Miasto zbudowano na wzgórzu, z którego rozciągał się widok na majestatyczny Dniepr. Sobór św. Michała był wspaniałym zabytkiem architektury, bogatym w witraże, przedmioty sakralne ze złota i klejnotów oraz przepiękne mozaiki.

Pewnego ranka hrabia Pruszyński, wesoły i wypoczęty, zaprosił mnie do rosyjskiej bani, łaźni parowej.

— Rosyjska bania to najlepsza instytucja w Kijowie — powiedział żartobliwie. — Istny cud!

~~ Zaintrygowany, przyjąłem zaproszenie, choć pocenia się nie znoszę.

Rosyjska łaźnia mieściła się w ładnym budynku przy głównej ulicy. Weszliśmy do rozległego hallu wyłożonego marmurem, skąd Wysoki, atletycznej budowy mężczyzna w białym fartuchu zaprowadził nas do mniejszego pomieszczenia i spytał, czy pragniemy ^ wypocić, czy też wolimy inny rodzaj łaźni, prysznic lub masaż, drabia Pruszyński łamaną ruszczyzną powiedział: 7~ Krasiwoju żeńszczyń dla niewo i malczika dla mienia. . ha! Nagle zrozumiałem jego skłonność do tego rodzaju insty-skł zaskoczył mnie też jego „wybór”: uprzedzano mnie o jego stJ^^ściach homoseksualnych. Uderzył mnie raczej jego władczy ^n; yc^a- Byłem jednak ciekaw tej młodej kobiety, którą dla 5 zamówił. Poproszono go do innego pomieszczenia, ja zaś 419

zostałem i czekałem. Po chwili do przyciemnionego pokoju 2ja wysoka, mocno zbudowana kobieta. Lecz po bliższym przyjrzeniu się jej stwierdziłem z przerażeniem, że była w ostatnich miesiąca^ ciąży! Ochłonawszy nieco, oświadczyłem jej uprzejmie, że lepiej będzie dla mnie, jeśli oprę się pokusie, a dla niej, jeśli na razie wyrzeknie się gwałtowniejszych ruchów. By wynagrodzić stracony czas, dałem jej parę rubli; uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Pruszyński, kiedy mu opowiedziałem o tej przygodzie, aż po-czerwieniał ze złości.

— Bandyci! Złodzieje! — przeklinał. — Nigdy więcej mnie już I tu nie zobaczą. Chce pan spróbować inną banię?

— Nie, nie, dziękuję — odparłem.

W ostatnim dniu pobytu w Kijowie odbyło się małe przyjęcie u Dawydowów, na którym grałem do późnej nocy.

— Czekamy na pana w Werbowce! — wołali za mną, gdy odjeżdżałem. x

65

J

W Warszawie rankiem w dniu przyjazdu Pola czekała na dwór cu. Depesza wysłana z Kijowa z zapowiedzią mojego powrotu była jedynym znakiem życia, jaki ode mnie otrzymała, odkąd wyjechałem do Moskwy. To była całkowicie moja wina. Wrodzona niechęć do pisania listów zamieniła się w pożałowania godną praktyk? odraczenia ad infinitum nawet najbardziej naglącej korespondencji\* Nic dziwnego, że robiła mi teraz gorzkie wyrzuty, twierdząc, z( jestem bez serca, ale mimo wszystko była uszczęśliwiona, znajdując mnie takim samym, jak przed wyjazdem. Zresztą i tak wie" działa o mnie wszystko: Józef Jaroszyński zdał jej dokładną relacja o moich kijowskich sukcesach.

Natychmiast też wróciłem do normalnego trybu życia '— koin ty na prowincji, jeden lub dwa występy w Warszawie, konc z orkiestrą, recital z Pawłem.

Karol i Józef bawili w mieście; Karol zachwycony był E przyjaźnią z panią Dawydow, którą kochał, a Józef pysznił sukcesem, jaki odniosłem w „jego" mieście.

Warszawska wiosna była, jak zwykle, urzekająca, toteż s wałem każdą jej chwilę. Łaziłem po teatrach, bywałem na czych przyjęciach u przyjaciół, no i oczywiście długie L>° spędzałem na muzykowaniu z Pawłem i jego bratem.

Któregoś popołudnia, gdy graliśmy w bilard u „Lourse'a", Pa-rgj powiedział, jak to zwykle on, jak gdyby od niechcenia:

\_ ^ Nie śmieję się, Arturze, ale mam dla ciebie miłą niespodziankę... Zamierzam się ożenić.

Spojrzałem nań niedowierzająco.

\_\_\_ A z kim to, jeśli łąska, zamierzasz się żenić?

\_\_\_ Z naszą Zosią, ma się rozumieć — powiedział. — To już wiadomość oficjalna.

jsjie chciałem wierzyć własnym uszom. Przez wszystkie te lata nigdy nie dostrzegłem w nim najmniejszych nawet oznak miłości czy choćby zwykłego zainteresowania jej osobą. Nigdy się pod

tyra względem nie zmienił i zawsze traktował ją jak dobrego, pożytecznego kumpla. Co się tyczy Zosi, byłem zupełnie pewien, że nie jest w Pawle zakochana, i to nie bez powodu: sama wyznała mi namiętną miłość do Kazia, najstarszego z czterech braci Ba-rylskich.

— Paweł — powiedziałem ostrożnie — przemyśl to sobie dobrze; moim zdaniem robisz wielki błąd, — Nie bądź takim pesymistą — odparł. — Zosia oświadczyła, że czuje się dumna na myśl, iż zostanie moją żoną; również cała jej rodzina jest z tego powodu bardzo uszczęśliwiona. Ojciec dał mi w prezencie wspaniałego stradivariusa, którego nabył w Rosji.

Przyszło mi wtedy na myśl, że to właśnie ów podarunek mógł okazać się czynnikiem decydującym w postanowieniu Pawła. Nie powiedziałem ani słowa, ale pozostałem stanowczo przeciwny temu związkowi. Odmówiłem też obecności na ślubie Pawła. Przełknął ten afront i w dniu własnego ślubu przyszedł jak zwykle zagrać ze mną w bilard.

Nigdy nie cieszyłem się życiem tak mocno jak owej wiosny.

Byłem człowiekiem szczęśliwym! Ośmielałem się jednak twierdzić, e nadal jestem najszczęśliwszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek w życiu spotkałem. Tak pretensjonalna deklaracja wymaga

ujasnienia. Moja koncepcja szczęścia narodziła się tamtego popołudnia w Berlinie, wkrótce po owej samobójczej próbie. Był to żal nagłego objawienia, ale od tamtego czasu nauczyłem się

5<sup>e</sup> kochać bezwarunkowo.

Olm zdaniem większość ludzi podchodzi do szczęścia w sposób >gd \*h \*\*?tyczny> nieodmiennie posługując się fatalnym spójnikiem hlh "" Często słyszy się — Jaki byłbym szczęśliwy, gdybym b y °Şaty albo gdyby mnie ta dziewczyna kochała, albo g d y-2(jrón miał talent. No i najczęstsze „gdyby” — gdybym był feu , ' Często osiągają swój cel, ale wtedy szybko odkrywają znów ~ „gdyby”.

420

421

Świat, w którym się urodziliśmy, jest niezgłębiony, maczamy, nielogiczny, absurdalny, niebezpieczny i nie dający powieździ na pytanie: przez kogo lub co został stworzony i w ^ właściwie celu? Co do mnie — to kocham życie na dobre i na złe nie stawiając mu żadnych warunków, ponieważ w moim przekolnaniu jest to jedyny modus vivendi.

Przypominam sobie uroczą opowieść o cesarzu, któremu astrolog poradził, by włożył koszulę należącą do człowieka szczęśliwego. Po długich poszukiwaniach znaleziono pewnego wieśniaka, który oświadczył, że jest bezgranicznie szczęśliwy, tylko że... nigdy nie posiadał koszuli.

Daleki jestem od twierdzenia, jakobym odznaczał się jakąś wyjątkową konstytucją lub hartem ducha czy też potrafił „śmiać się w obliczu przeciwności”. Wręcz odwrotnie — jak każdy podatny jestem na depresje lub wybuchy gniewu i zniecierpliwienia; jedyna różnica polega na tym, że w podświadomości akceptuję to wszystko jako nieuchronne przeciwieństwo stanu euforii.

Życie może pozbawić nas wolności, zdrowia, majątku, przyjaciół, rodziny, sukcesu, ale nie może nam odebrać naszych myśli ani naszej wyobraźni, a zawsze jeszcze pozostaje miłość, muzyka, sztuka, kwiaty i książki. A także namiętne zainteresowanie wszystkim.

Zabrzmie to być może jak paradoks, ale moje świadome umiłowanie życia rzeczywiście zrodziło się w Berlinie tamtego najniezszczęśliwszego dnia mego życia.

Antek i Wacek Moszkowscy poprosili mnie, abym odwiedził wra z nimi doktora Goldflama, wielkiego przyjaciela ich rodziny, który pragnął mnie poznać. Był to człowiek niezwykłych zalet — sławny lekarz, który odziedziczywszy duży majątek, praktykował bez wynagrodzenia i najchętniej leczył najuboższych.

Któregoś wieczora po kolacji udaliśmy się do jego mieszkań\* w starym pięknym domu stanowiącym własność doktora. Otwór nam drzwi on sam i powitał mnie bardzo serdecznie; od razu z"<sup>c</sup> ciem uwagę, że jego ciemne oczy i cała twarz nacechowane mądrością i dobrocią.

— Ach, nareszcie mam przyjemność poznać pana! Wiele słuahałem pańskiej gry, a Antek tyle mi o panu opowiadał!

Od razu poczułem się swobodnie. Był to wysoki, żwawy, szp waty mężczyzna po pięćdziesiątce, ale nie wyglądający na s lata. W przestronnej bibliotece, gdzie poczęstował nas kawą i/\* karni, pokazał mi wspaniałą kolekcję niewielkich rzeźb z wśród których znajdował się prześliczny Rodin.

— Te brązy to moja namiętność — powiedział. — To

ru

422

mojej samotności. Jak panu wiadomo, jestem starym kawalerem. Nigdy jakoś nie miałem czasu na małżeństwo... Moi pacjenci zawsze zajmowali mi zbyt wiele czasu.

Jego ogromna biblioteka oraz rodzaj książek, jakie się w niej znajdowały, świadczyły, że doktor Goldflam to człowiek wszechstronnie odczytany. Rozmowa z nim była nad wyraz interesująca, poruszaliśmy wszystkie możliwe tematy, ciesząc się, ilekroć znajdowaliśmy kwestie do dyskusji. Sprawiał wrażenie człowieka wszytkowiedzącego; jego argumenty zawsze były argumentami fachowca.

W pewnym momencie Antek poruszył sprawę antysemityzmu — wśród Żydów był to częsty temat rozmów. Uważałem, że wiele względów mogłoby usprawiedliwić antysemityzm.

— Kiedy widzę, jak ci bogaci Żydzi i ich żony zachowują się publicznie, jak obnoszą się ze swym bogactwem, klejnotami, futrami, jak się na każdym kroku przepychają, mogę zrozumieć oburzenie nie-Żydów.

— Zapomina pan chyba — odpowiedział miękko doktor Goldflam — że ci Żydzi, o których pan mówi, to jedynie znikoma mniejszość. Pańska krytyka nie może odnosić się do całego narodu żydowskiego.

Niewykluczone, że lata spędzone pośród surowych protestantów i dystyngowanych katolików wywarły pewien wpływ na moje poglądy.

— Zgoda, doktorze, zgoda — dowodziłem gorąco — ale co znajdujemy po drugiej stronie? Getto? Te masy potulnych ludzików z brodami i pejsami żyjących w strachu przed wszystkim i przed wszystkimi? Dlaczego nie wykorzystują swych wrodzonych talentów i inteligencji na coś pożyteczniejszego niż kupno i sprzedaż starzyzny? Do wściekłości doprowadza mnie, gdy antysemita szka-\*UJ3 nas, nazywając nas, Żydów, lichwiarzami i złodziejami. Wiem, że na szczęście mamy również elitę o wysokiej kulturze, 1 byłbym skłonny głosować na pana, doktorze, jako na jej prezesa, pe ta elita jest zbyt mała i nie potrafi zrównoważyć złego oddziaływania całej reszty.

Doktor posmutniał i spoważniał, a po chwili odezwał się stłu-^ym głosem:

"~ Z przykrością słucham pańskiej pesymistycznej oceny naszego c/°du/ W tym, co pan mówi, jest wiele trafnych spostrzeżeń, ale stvi ^rÓD0wał pan kiedy zastanowić się nad przyczynami tych wszy-zjawisk, które pan tak surowo ocenia?

byłem przyznać, że zdaję sobie sprawę jedynie ze  
musi mi pan przyrzec, że przeczyta pan uważnie kilka

423

książek, które panu prześlę. Odniesie mi je pan po przeczytaniu a wtedy dokończymy dyskusji.

— Nade wszystko uwielbiam dobre książki, doktorze, obiecują więc przeczytać je i troskliwie je szanować.

W drodze do domu żałowałem, że tak się uniosłem w rozmowie z człowiekiem, dla którego poczułem tyle szacunku i podziwu.

Doktor przysłał mi cztery tomy Historii Żydów Heinricha Graet-za w języku niemieckim. Cały tydzień, a może i więcej spędziłem na czytaniu ich, głównie w łóżku. Pochodzenie naszego narodu i okres biblijny nie były dla mnie niczym nowym: orientowałem się w tym zupełnie nieźle, główne święta żydowskie zawsze służyły upamiętnianiu najważniejszych wydarzeń historycznych, a ponadto zapamiętałem treść moich berlińskich lekcji religii. Ale kiedy przeczytałem opis straszliwej wojny przeciwko Rzymianom za panowania cesarza Tytusa, bohaterskiej obrony Żydów, zburzenia Drugiej Świątyni i początków Diaspory, moje zainteresowanie rosło z rozdziału na rozdział, aż przerodziło się w gorączkową niecierpliwość dowiedzenia się czegoś więcej. Niechętnie odkładałem książkę. Kiedy wreszcie doczytałem cztery tomy do końca, w moich zapatrywaniach na kwestię żydowską zaszła ogromna zmiana: uświadomiłem sobie jasno, że dumny jestem z tego, iż urodziłem się Żydem. Nigdy nie potrafię wyrazić wdzięczności, jaką winien jestem doktorowi Goldflamowi za to, że otworzył mi oczy na prawdziwy, fundamentalny charakter Żydów.

Żyjąc na wygnaniu dwa tysiące lat, Żydzi bohatersko zachowali narodową i religijną odrębność.

Ostracyzm, prześladowania, inkwizycja, tortury, mordy, wygnania — nic nie było w stanie złamać ich oporu i wiary we własne przeznaczenie.

Zwróciłem książki doktorowi Goldflamowi. Zajęty był pacjentami, ale tego samego wieczora zaprosił mnie na kolację. TyiB razem nasza rozmowa przekształciła się w swobodną wymianę my\* śli i spostrzeżeń.

— Cechą charakterystyczną antysemitów na całym świecie powiedział dr Goldflam — jest gotowość

tolerowania Żydów tego pokroju, jakich pan poprzednio krytykował — tych nawet lub Bogaci Żydzi imponują im: pieniądz to ogromna potęga. Potona kt wie najznakomitszych i najznacniejszych rodzin chrześcijańskich często żenią się z córkami bogatych Żydów. Nie przeszkadzają ] nawet tak zwani lichwiarze, bankierzy, którzy pożyczają im pieniądze; ci są im potrzebni. Jeśli zaś idzie o pozostałych, o Ży z getta, to uważają ich za pośledniejszy gatunek ludzki; antyse skłonni są traktować ich łagodnie i opiekuńczo, tak jak się trak służbę czy niewolników.

424

A więc jeśli bliżej się temu przyjrzeć — powiedziałem — nienawiść wymierzona jest przeciwko Żydom o naj-

Prawych standardach etycznych, przeciwko inteligencji i uzdolnie-

! przeciwko tym, którzy ilekroć dopuszczani są do współza-

ni dnictwa, wybijają się we wszystkich możliwych dziedzinach,

kich jak nauka, sztuka czy ekonomia. Nienawidzi się ich za to, są oddani rodzinie, za rozważę, za miłosierdzie. W oczach prawdziwego antysemitę te właśnie cechy są po prostu nie do przyjęcia.

Doktor Goldflam uśmiechnął się.

— Doktorze — spytałem — czy nie sądzi pan, że u podstaw tego wszystkiego kryje się spora doza zawiści?

— Tak, oczywiście — odparł. — Zawiść zatruwa umysły i może doprowadzić do zbrodni, a nie tylko do oszczerstw i niesprawiedliwości.

Muszę wyznać, że dziś, kiedy piszę tę książkę, jestem ogromnie szczęśliwy i wdzięczny Opatrzności za to, iż dane mi było dożyć tych czasów, w których odrodziło się państwo Izrael. Mój ojciec zawsze — jak daleko sięgam pamięcią wstecz — mówił i marzył o tej chwili. Mam uczucie, jak gdybym w głębi serca reprezentował go w tym podniosłym momencie.

66

Rozłąka z dziećmi sprawiała, że Pola czuła się coraz bardziej Przygnębiona, bała się też pokazywać w mieście w moim towarzystwie. Zaczęliśmy więc ponownie spotykać się u Zosi i spędziliśmy raczej dość melancholijny tydzień w majątku Pauliny Nar-"uttowej.

Kiedy nadeszło lato 1911 roku, postanowiłem przyjąć wielokrotnie Ponawiane zaproszenie Dawydowów. Drogę znałem, bo korzyli z tej samej stacji kolejowej co Szymanowscy, a majątek

— erbowka położony był w odległości około dziesięciu wiorst od Molowej Kamionki. Dwór

Dawydowów bardzo różnił się od sta-Polskiego dworku w Tymoszwówce i przypominał raczej podmiejski- M willę o białej fasadzie — wytworną i obszerną, lecz pozbawioną charakteru. Ogród równie

dobrze mógłby być niewielkim parkiem. Wnętrze utrzymane było w stylu angielskim, umebło- zaś — jak na ówczesne czasy — okazało się nader nowo-

425

^

czesne. W niedużych, ale za to wygodnych pokojach można się było czuć jak w domu.

Cała rodzina przyjęła mnie bardzo serdecznie, nie wyłączając trzech młodych synów, którzy sprawiali wrażenie zachwyconych tym ponownym spotkaniem ze mną.

— Zamieszka pan w tym samym pokoju i spać będzie pan w tym samym łóżku, które służyło mojemu wujowi, Piotrowi Iljiczowi Czajkowskiemu, ilekroć spędzał u nas lato — zapowiedział Dymitr Lwowicz. — Tutaj właśnie skomponował kilka swych najświetniejszych utworów.

Łatwo sobie wyobrazić, jak mi to zaimponowało. Czasem nocami sławny kompozytor nawiedzał mnie we śnie, ale zawsze w sposób bardzo przyjemny.

W sumie prowadziłem w Werbowce uroczy tryb życia. Nikt niczego ode mnie nie wymagał, dyskretnie pozostawiając mnie samemu sobie, nawet posiłków nie podawano o stałych porach.

Ktoregoś dnia przyjechał Karol w towarzystwie kuzyna, Harry'ego Neuhausa, bardzo utalentowanego młodego pianisty i kompozytora, syna niemieckiego profesora fortepianu, który

poślubił kuzynkę pani Szymanowskiej. Karol ukończył swoją Sonatę i przywiózł mi rękopis do przeczytania. Był to bardzo skomplikowany i trudny utwór, ale istne arcydzieło, pełne nowych

pomysłów, rozmachu i pasji. Wszyscy byliśmy nią poruszeni, a ja natychmiast zapragnąłem ją opanować. Karol pozostawił mi rękopis, od razu zabrałem się więc do pracy. Wyczułem, że Karol

jest głęboko przywiązany do Natalii Michajłowny Dawydowej — może nawet zakochany w niej. A



kiedy pracowałem nad jego wielką Sonatą, Natalia Michajłowna nigdy nie wychodziła z pokoju. Któregoś wieczora Dawydowowie zabrali mnie na bal wydany przez ich sąsiadkę, rosyjską księżną Jaszwił. Nastrój, otoczenie, goście — wszystko przypominało mi bal z Eugeniusza Oniegiw Czajkowskiego; brakowało tylko operowej muzyki, ale nawet tano były te same — polonez i prawdziwie polski mazur. Było cza jęco, do domu wróciliśmy dopiero o szóstej nad ranem. Dni s się dla nas zbyt krótkie, wypełniały je długie rozmowy z uro panią domu oraz muzyka. Grywałem Czajkowskiego — wszyscy co tylko pamiętałem, ale ranki poświęcone były Sonacie Kar( którą zacząłem już opanowywać pamięciowo.

Któregoś popołudnia pani Natalia i ja odwiedziliśmy Sz, nowskich, i wtedy to doszło do pewnego zabawnego zdarzē Stara ciotka — ta, która stała z nimi mieszkała — otrzymała J nie nową powieść jednego z najpopularniejszych wówczas V[ polskich Stefana Żeromskiego. Była to Uroda życia w d^ tomach. Ciotka właśnie skończyła tom pierwszy i była tak u?

426

że mi go pożyczyła. Wróciwszy do Werbowki, zabrałem się j0 'cZytania i skończyłem o siódmej rano. Książka była po prostu . cynująca. Nie mogłem wytrzymać bez natychmiastowego przepytania drugiego tomu, uprosiłem, więc młodych Dawydowów, żeby osiodłali mi konia, pogalopowałem do Tymoszwki, rzuciłem sic ciotce do stóp i zacząłem błagać, by użyczyła mi bezcennego drugiego tomu! Święta kobieta dała mi upragnioną książkę, pogalopowałem więc z powrotem, uszczęśliwiony, że skarb ten znajduje się w moim posiadaniu. W ciągu drugiej bezsennej nocy doczytałem ją do końca.

Pobyt w Werbowce dobiegał końca. Żegnałem się z żalem, musiałem też przyrzec, że wrócę następnego lata.

Po powrocie dc Warszawy dowiedziałem się, że Pola, która nie opuszczała miasta, miała mi do zakomunikowania wyłącznie złe wiadomości. Rodzina w dalszym\* ciągu ją bojkotowała i zerwała z nią wszelkie stosunki.

— A może byś wdardała się tam siłą i wywołała skandal? — zaproponowałem. — Ostatecznie matka zawsze ma prawo widywać Źwoje małe dzieci.

Ale Pola nie chciała mnie słuchać, po tym wszystkim, co spotkało ją od rodziny, zbyt była zastraszona. Biedaczka, przeżywała bardzo ciężki okres, a ja w niczym nie mogłem jej pomóc. Jedyną nadzieją była możliwość wspólnego wyjazdu za granicę, na razie jednak miałem koncerty wyłącznie w Polsce i w Rosji, dokąd nie mogłem jej z sobą zabrać. Polski się bała, a moje honoraria w Rosji były zbyt skąpe, by pokryć koszta podróży dwóch osób. Jedyną pociechą pozostawała nasza miłość.

Warszawski sezon koncertowy rozpoczął się wspaniale. W sali ^harmonii dwa recitale sonat dali Eugene Ysaye, wielki skrzypek ^gijski, oraz Raoul Pugno, francuski pianista; było to pamiętne ydarzenie. Fitelberg, Szymanowski, Paweł i ja spędzaliśmy w ich °warzystwie wiele czasu. Po każdym koncercie szliśmy wszyscy azeitl na kolację i siedzieliśmy do późna, opowiadając sobie legdoty, a także jedząc i pijąc niemało. Ysaye bardzo polubił Wawła i mnie.

Przyjdźcie panowie jutro po południu do naszego pokoju ho- mamy tam fortepian, i zagrajcie nam jakąś sonatę — się do mnie.

Zywiście zgodziliśmy się ochoczo, choć byliśmy śmiertelnie rażeni perspektywą grania przed takimi mistrzami. W każdym ftran° Przećwiczyliśmy Sonatę Kreutzerowską oraz jedną z so-rahmsa i odważnie poszliśmy na przesłuchanie. Obaj mistrzo-

427

wie z uwagą wysłuchali naszego występu, a kiedy skończyliśmy Pugno poderwał się i ucałował Pawła w oba policzki:

— Nie sposób lepiej zagrać!

Ysaye zaś podbiegł, aby uściskać mnie:

— W życiu nie słyszałem takiego wykonania Kreutzerowskiej\ Prawdziwy z pana poeta.

Rozbawił nas ten drobny przejaw wzajemnej nielojalności dwóch wielkich artystów.

Innym sławnym gościem w Warszawie był Szalapin.

Okoliczności jego przyjazdu były raczej dość niezwykłe. Bogaty handlarz kawioem z Astrachania, który uwielbiał sławnego basa zaangażował go za ogromne honorarium na krótkie tournée koncertowe w Rosji i w Warszawie, i to tylko po to, by móc podróżować w jego towarzystwie.

Przyjechali więc we czwórkę: ów kupiec Żizin, Szalapin, jego akompaniator Koenneman oraz

mój stary przyjaciel Awierino, ten od sławetnej historii tysiąca rubli, który I tym razem także uczestniczył w programie, wykonując kilka utwo- i rów na altówce.

Koncert stał się ogromnym sukcesem. Fiodor Szalapin, który miał bardzo ograniczony repertuar recitalowy, wynalazł sprytny fortel, aby ukryć ten swój słaby punkt. Zamiast drukowanego programu rozdawał niewielkie broszury zawierające około pięciuset ponumerowanych pieśni; pozostawało mu więc jedynie zapowiedzieć numer » następnej pieśni, którą słuchacze odszukiwali sami. Jeśli o mnie i idzie, to zawsze potrafiłem odgadnąć, jaki będzie następny numer: nieodmiennie Dwaj grenadierzy Schumanna, Pchła Musorgskiego, dwie pieśni Antoniego Rubinsteina i jeszcze jakieś dwie lub trzy inne. To było wszystko. Ale nieświadomą niczego publiczność zdumiewał ogrom repertuaru tego spryciarza.

Po koncercie kupiec urządził przyjęcie w prywatnym gabinecie w „Bristolu”. Wśród gości znalazły się dwie uroczyste baletnice z Opery i rosyjski śpiewak, przyjaciel Fiodora. Kolacja rychło przekształciła się w najprawdziwszą orgię, jako że wszyscy wypiliśnin ogromne ilości wódki. Fiedia tak się zapalił do zgrabnych fig111 baletnic, że ani na chwilę nie dawał im spokoju, ja wygrywałe najrozmaitsze melodie na straszliwym fortepianie, a Żizin, ten oj kawioru, ścisnął mnie i całował, wykrzykując raz po raz płaczu wym głosem:

— Artusza, musisz mi przysiąc, że przyjedziesz na koncert Astrachania. Ja cię zrobię sławnym w Astrachaniu i zaproszę na prawdziwą kolację... Ta tutaj to tylko żarty!

Czy mogłem oprzeć się takim argumentom? Przysiągłem, r jasna, że przyjadę (i dotrzymałem słowa!). Potrzebowałem jec11 dobrych kilku dni, nim się otrząsnąłem po tym wieczorze.

428

Kiedyś Karol poprosił mnie, abym wykonał jego Sonatę dla stki przyjaciół w domu wielkiej miłośniczki muzyki, leciwej już gd i Spiess, wdowy po zamożnym fabrykancie chemikaliów. Zakosiła niewielką grupę wielbicieli Szymanowskiego (jej syn, Ste-P był serdecznym i zawsze chętnym do pomocy przyjacielem Karola), w tej liczbie Fitelberga, który miał zaprezentować kilka fragmentów U Symfonii Karola.

Sonata wywarła głębokie wrażenie, zwłaszcza na pani Spiess.

— Toż to arcydzieło! — zawołała. — Cały świat powinien je poznać!

Kiedy Fitelberg i Karol odegrali na cztery ręce kilka fragmentów pierwszej części Symfonii oraz całą przepiękną część drugą, starsza pani miała łzy w oczach.

— Oba te dzieła wywodzą się z tego samego źródła natchnienia i wzajemnie uzupełniają się — powiedziała, poruszona do głębi.

Praktyczny zmysł Fitelberga błyskawicznie dostrzegł szansę, zawartą w tej uwadze.

— Madame! — zawołał — jak to cudownie, że domyśliła się pani ścisłych związków między Sonatą a Symfonią! Gdybym był bogaty, nie zawahałbym się zorganizować koncertów złożonych tylko z tych dwóch dzieł w Berlinie, Wiedniu i Lipsku. Jestem pewien, że Artur zgadza się ze mną — dodał, szukając u mnie poparcia.

— To na pewno genialny pomysł — przyznałem — tylko że bardzo kosztowny.

Pani Spiess przez chwilę wyglądała na zaskoczoną, po czym jakby w nagłym przypływie determinacji, powiedziała:

— Jeśli Ficio przyrzeknie dyrygować Symfonią, a Artur wykona Sonatę, to gotowa jestem sfinansować ten cały projekt.

Fitelberg i ja — chociaż raz zgodni — idealnie odegraliśmy zapierające dech w piersi osłupienie wobec tej „niespodziewanej”, »nie oczekiwanej nawet w najśmielszych marzeniach" propozycji. wspomagani przez Karola, obsypaliśmy wspaniałomyślną, entuzjastyczną starszą panią istną lawiną podziękowań. Ficio, jak było do Przewidzenia, zajął się wszystkimi przygotowaniami, no i oczy-Włście stroną finansową tych koncertów.

^eśli o mnie idzie, byłem dumny z okazji przedstawienia światu ^rcydziela Karola, lecz zarazem — po wcześniejszych złych do-jV'iadczeniach — nie mogłem pozbyć się obaw związanych z po-^\*ną współpracą z Fitelbergiem.

Koncerty zaplanowaliśmy na styczeń lub luty 1912 roku, co postawiało mi jeszcze dość czasu na kilka występów w Polsce

.az pięć lub sześć w Rosji, w tym obiecaną wizytę w Astracha-  
l°\*a przyjechała do Krakowa. Ukryła się starannie w hotelu,

429

ale na koncert poszła, udając, że przebywa w mieście „przypała kiem”. Poza Krakowem i Lwowem grałem też w innych miastach zaboru austriackiego, czując się wspaniale bezpieczny dzięki mojemu cudownemu paszportowi.

W Rosji za śmiesznie niskie honoraria grywałem w małych salkach Cesarskiego Rosyjskiego Towarzystwa Muzycznego w Moskwie Charkowie, Rostowie i Saratowie. Prymitywny pociąg bez elektryczności, oświetlany tylko świecami, potrzebował dwudziestu czterech godzin, żeby mnie zawieźć do Astrachania. To była niesamowita podróż wzdłuż całej Wołgi aż do jej ujścia. Wagony wypełniali żółtoskórzy Tatarzy, Kałmucy i Mongołowie, w cuchnącym wagonie restauracyjnym ich twarze oświetlone migotliwymi płomykami świec wyglądały wprost przerażająco. Na szczęście cały ten okropny koszmar skończył się, gdy dotarłem wreszcie do stolicy kawioru.

Mój protektor, pan Żizin, powitał mnie okrzykami radości i uściskami, po czym zawiózł do jedyne go w mieście przyzwoitego hotelu. Po drodze starał się rozproszyć moje wątpliwości w sprawie koncertu.

— Salę wypełniłem moimi przyjaciółmi — powiedział — a oni obiecali klaskać, jak gdybyś był samym Szalapinem.

7/padłem w świetny nastrój, nowa przygoda zaczynała mnie bawić.

Koncert był szaleństwem. Jego przyjaciele (a moja publiczność) dotrzymali słowa i klaskali zawzięcie podczas każdej przerwy w występie, nawet w środku utworu.

Po koncercie Żizin zaprosił mnie na kolację.

— Mam dla ciebie małą niespodziankę — powiedział.

Sądząc po jego minie, domyśliłem się, że istotnie zanoszą się na coś niezwykłego. I nie rozczarowałem się. Zaprowadził mnie do ogromnej sali w hotelu, w którym się zatrzymałem. Stał tani olbrzymi stół nakryty na jakieś trzydzieści osób; w środku leżał potężny, wydrążony blok lodu, wypełniony po brzegi świeżym niesolonym kawiozem. Był to najznakomitszy kawior, jaki w życiu jadłem. Nim zdążyłem się zorientować, już wychyliłem dwie < trzy wódki.

Nagle, jak spod ziemi, wyłonił się chór Tatarów, który śpiewał a cappella tak zwanego Poloneza Wojskowego A-dur C pina. Podczas całego ich występu goście stali na baczność w Pr2 świadcząc, że to polski hymn narodowy, po czym wszyscy siedliśmy do kolacji.

Gospodarz przedstawił mi swoją kochance, która stała pomiędzy nami, wysokiej pięknej brunetce o zaskakująco &1 karnacji i wielkich oczach z długimi rzęsami, ale o niecieB

430

twarzy- Miała na sobie fantastyczny strój perski i obsypana była brylantami.

Kawior jedliśmy dużymi łyżkami do zupy, popijając wódką. Kołać zdawała się nie mieć końca: ryba, szaszłyki kaukaskie flambées z ryżem, a potem cała procesja słodczy — turecka chałwa, rachatlukum i ciasteczka, lody, owoce wszelakiego rodzaju, daktyle . orzechy wypełniały wielkie srebrne półmiski. Była już chyba czwarta lub piąta nad ranem, kiedy zorientowałem się, że wszyscy oprócz mnie są pijani, przewagę tę jednak musiałem przypłacić gwałtownym atakiem nudności. Jakaś przyjazna dusza zaprowadziła mnie do toalety, gdzie zwróciłem całą kolację.

Nieco później, odzdrobiały i odświeżony, powróciłem do gości, gdzie libacja dalej toczyła się pełną parą.

Właśnie odbywały się występy. Tureckie czy też perskie tancerki tańczyły taniec brzucha, szybkim ruchem to podrzucając obnażone łona, to obracając nimi wolno. Od czasu do czasu odwracały się i dla odmiany, ku wielkiej uciechu wszystkich widzów, wykonywały podobne ćwiczenia pośladkami.

Byłem pochłonięty tym widowiskiem, gdy nagle usłyszałem, jak gospodarz wrzasnął na ukochaną: — Nie siedź tu jak mumia! Wstawaj i uciesz naszego gościa!

Nieszczęsna młoda kobieta, która przez cały czas bez słowa solidnie jadła i piła, podniosła się i wygodnie rozsiadła na moich kolanach, ramieniem obejmując mnie za szyję. Ten nieoczekiwany gest raczej mnie krępował, obawiałem się, że kupiec, teraz już zupełnie pijany, może nagle odzyskać przytomność i widząc mnie w takiej pozycji, zechce poderżnąć mi gardło. Moje skrupuły rychło się wszakże rozwiały, gdyż gospodarz zapewnił mnie\* że wszystko \*° jest jedynie wyrazem tradycyjnej wschodniej gościnności.

Wprawdzie bardzo chciałem zabrać dziewczynę do siebie do P°koju, ale jego oferta, złożona tak publicznie, niezbyt mnie pociągała. W rezultacie na pieszczoty dziewczyny reagowałem, jak gdybym był dziewczyną.

, Wczesny ranek na nowo ożywił przyjęcie. Podano królewskie Sludanie, zaczynając od obfitej świeżej porcji kawioru wraz

\* nieodłączną wódką; po nim szły jaja, zimne mięsiwo, kiełbaski,  
\* ry> a na koniec gorąca kawa i przeróżne rodzaje bułeczek, chleba 1 jlaftj mi°du i dzemu.

Wszystko to trwało do południa, tak że

wie zdążyłem się spakować i złapać pociąg. Żizin i jego dziew- ^a i

p . mieli jeszcze dość siły, żeby odprowadzić mnie na dworzec

^Pożegnanie wyściskać i wycalować ze łzami w oczach. ^e t ' to PrzynaJrnnieJ była prawdziwa, autentyczna orgia!" —

tchnąłem, kiedy do cna wyczerpany zająłem wreszcie miejsce przedziale.

431

67

Pierwsze koncerty Szymanowskiego odbyły się w Berlinie kilka dni po Nowym Roku 1912. Fitelberg znów wybrał wielką salę Filharmonii i Orkiestrę Filharmoniczną, ale tym razem, dzięki Bogu, pozostawiony byłem samemu sobie. Na program składały się II Symfonia, a po długiej przerwie II Sonata fortepianowa op. 21.

W gruncie rzeczy były to dwa odrębne koncerty. Karol uparł się, by Sonatę grać na końcu, twierdząc, że „stanowi właściwą muzyczną przeciwagę”. Koncert był dla nas wielkim wydarzeniem, W trakcie dwóch pełnych prób Fitelberg osiągnął piękne wyniki, uświadamiając orkiestrze całą wagę i piękno Symfonii. Jeśli zaś idzie o Sonatę, wybrałem najlepszy z dostępnych u Bechsteina fortepianów i pracowałem nad nią gorączkowo.

Natalia Michajłowna Dawydow przybyła na koncert z Kijowa, a kuzyn Karola, Harry Neuhaus, znajdował się podówczas w Berlinie, gdzie studiował u profesora Bartha (!).

Koncert przyniósł prawdziwy sukces. Liczne audytorium — w większości „papierowe” (korzystające z bezpłatnych biletów) — składało się mimo to ze znanych muzyków, wśród których znaj- j dował się Buśoni, oraz z prawdziwych melomanów. Gazety wysłały czołowych krytyków, atmosfera była pełna napięcia i oczekiwania, jaka zawsze towarzyszy wydarzeniom muzycznym dużej wagi.

Oba dzieła przyjęto z ogromnym szacunkiem, choć opinie były podzielone. Fitelberga podziwiano za mistrzowską dyrygenturę, mnie natomiast chwalono za doskonałą koncepcję, pamięć i temperament.

Pani Natalia zaprosiła naszą czwórkę (dołączył się do nas Harry) na kolację do „Dressela”, gdzie doskonały szampan rozwiązał nam języki: każdy wznosił toast za pomyślność pozostałych. Wyszliśmy z restauracji bardzo późno. Żegnając się, Karol zaprosił Harry'eg° na godzinę pierwszą na wspólny obiad.

Spaliśmy do południa, rezygnując ze śniadania, a potem cz« liśmy z obiadem na Harry'ego.

Wreszcie po godzinie postanowili zabrać się do jedzenia, ale Karol niepokoił się o kuzyna.

— To do niego niepodobne, żeby nie przyjść na umówione spot\* nie. A skontaktować się z nim trudno, bo nie ma telefonu.

Zjedliśmy obiad w pośpiechu i pojechaliśmy z Karolem do F sjonatu Harry'ego. Przywitała nas zaniepokojona gospodyni-

— Zachowywał się jakoś dziwnie — powiedziała. — Łóżko

432

tmjęte, a rankiem wybiegł w pośpiechu. Na stole zostawił list do pana Szymanowskiego.

Karol drżącą ręką otworzył kopertę a gdy przeczytał list, zbladł •jak ściana; nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa, po prostu podał mi kartkę.

Dokładnie pamiętam treść tego listu, choć nie dosłowne sformułowania. Harry pisał, że koncert uświadomił mu dobitnie, iż nigdy nie będzie ani kompozytorem, ani pianistą, a ponieważ nie potrafi żyć w przeświadczeniu, że jest zerem, postanowił wyjechać do swej ukochanej Florencji i tam umrzeć.

— Karolu, nie ma chwili do stracenia — powiedziałem. — Musisz natychmiast jechać do Florencji i powstrzymać go, nim zrobi coś, czego się już nie da naprawić.

— Tak — bełkotał Karol. — On miewa straszliwe depresje, ale proszę cię, Arturze, jedź ze mną...

Ja po prostu sam nie dam sobie z tym rady.

Pobiegliśmy do hotelu, dowiedzieliśmy się, kiedy odchodzi najbliższy pociąg, i jeszcze tego samego wieczora wyjechaliśmy do Florencji; przybyliśmy tam nazajutrz wczesnym popołudniem. Karol prosto z dworca udał się do baru przy via Tornabuoni, gdzie miał na mnie czekać, a ja pobiegłem do najbliższego komisariatu policji, żeby dowiedzieć się, czy nic tam nie wiadomo o młodym człowieku

odpowiadającym rysopisowi Harry'ego. Po kilku rozmowach telefonicznych powiedziano mi, że jakiś młody Rosjanin, nazwiskiem Ni-kolski, podciął sobie żyły w hotelowej łazience, ale zdjęty straciłem zaczął wzywać pomocy; odratowano go i teraz powraca do zdrowia w miejscowym szpitalu. Mój instynkt podpowiedział mi, że ów Ni-kolski to nikt inny tylko Harry. Wróciłem więc do baru, gdzie Karol z posępną miną sączył swój kieliszek. Wyciągnąłem go stamtąd i pojechaliśmy do szpitala, gdzie wszystkie nasze obawy Potwierdziły się. Nieszczęsny Harry leżał w łóżku, blady, z na wpół Przymkniętymi oczami i zabandażowaną ręką na temblaku.

Nasze pojawienie się poderwało go. Chciał coś powiedzieć, ale ar<sup>o</sup>l powstrzymał go silnym braterskim uściskiem i koszmar ten płynął się we łzach radości całej trójki.

Na szczęście doktor orzekł, że chory może podróżować, więc Pakowaliśmy go do sypialnego wagonu pociągu jadącego do Berli-<sup>r</sup> i Ja spędziliśmy całą noc, czuwając przy nim na zmianę. S2 adLarstek Harry'ego goił się bardzo długo. Jednakże po pierw-<sup>jca</sup> \ w<sup>o</sup>nie światowej Harry pozostał w Rosji i zrobił tam wielką ^lerC. artystyczną — mianowany został dyrektorem i profesorem lyc, neśo moskiewskiego konserwatorium; dał też szereg wspania-iL koncertów. Kilku najwybitniejszych rosyjskich pianistów ko-ało z jego opieki pedagogicznej, a jego ogólna kultura oraz 433

głęboka znajomość i wycucie muzyki stały się dla nich natchnienia.

Rzecz dziwna, ale w czasie całego pobytu w Berlinie nikt ze rych przyjaciół i znajomych ani się nie pokazał, ani też ze nie skontaktował; można by sądzić, że koncert odbywał się w iy<sup>^</sup> mieście. Po powrocie z Florencji było już za późno na odwiedzanie kogokolwiek. Musieliśmy wyjeżdżać do Lipska. Nasz koncert w sto-licy Saksonii, tak słynącej z muzyki, przyniósł nam znacznie mniej zadowolenia niż występ w Berlinie. Wspaniały Gewandhaus, rozślawiony przez Feliksa Mendelssohna, okazał się dla nas niedostępny musieliśmy się więc zadowolić wielką, okrągłą i niepopularną salą o kiepskiej akustyce. Orkiestra, zaimprovizowany zespół złożony z różnorodnych elementów, nie potrafiła sprostać wysokim wymaganiom Symfonii. Jeśli zaś idzie o publiczność, z pewnością uł stanowiła jej lipska elita muzyczna.

Orkiestra, z niewielkimi wyjątkami pozostała obojętna na muzykę, ale publiczność gorąco oklaskiwała zarówno Ficia, jak i mnie, Kiedy poprosiliśmy Karola, żeby się także uklonił, oklaski by\*y ledwie grzecznościowe. Krytycy znaleźli wiele podstaw do pochwał, choć mieli pewne zastrzeżenia co do gęstości instrumentacji Symfonii. Jeśli idzie o Sonatę, to podobało się jej dynamiczne narastanie i oryginalność, otrzymała też znacznie pochlebniejsze recenzje.

Dziwnym zbiegiem okoliczności Paweł i Zosia przebywali wtedy w Lipsku z wizytą u krewnych Pawła. Ich obecność na koncercie stanowiła cudowną niespodziankę. Nazajutrz wieczorem byłem na kolacji w mieszkaniu rodziców Pawła, gdzie poznałem całą rodzinę.

Z miejsca przypadła mi do gustu matka, która miała takie \$ame ezarne aksamitne oczy i tę samą żywotność co syn. Ojciec okazał się mniej interesujący: zrobił na mnie wrażenie typowego rosyj\* skiego ortodoksyjnego Żyda, z tym tylko, że był milczący i niek< munikatywny. Obie siostry były wesołe i gościnne, choć niez) ładne, za to młodszy brat, pianista, który właśnie ukończył konsei watorium, zraził mnie swymi manierami i brakiem szczeros Prócz mnie był jeszcze jeden gość: urocza, ładniutka młoda skrz, paczka angielska, Sylvia Sparrow, która studiowała u Pa' w Brukseli. Niebawem zostaliśmy serdecznymi przyjaciółmi całe życie.

Zosia wyraźnie źle się czuła w tym towarzystwie. Ci Pj\* ludzie byli jak na jej gust nie dość „wykwintni”, usilnie ie"n~ starała się to ukryć, ujmująco się do wszystkich uśmiechając, P sądnie chwając jedzenie i proponując matce pomoc. Dzięki sefl nej rekomendacji Pawła przyjęto mnie z otwartymi ramion

W kilka dni później nasza karawana ruszyła w dalszą dtoi Wiednia, gdzie zainstalowaliśmy się w sympatycznym i dys\*

flym hotelu „Kranz”. Właściciel, pan Kranz, kochał muzykę Wa der był zadowolony z tego, że nas gości.

iJp0 raairo. obiecującym debiucie wiedeńskim obecnie wiązałem, że nadzieje z naszym koncertem w tym mieście. Prasa intereso-ja się nami, koncert traktowała jak wydarzenie dużej wagi Opublikowała anegdoty na nasz temat. Fitelbergowi udało się 1ozvSkać znakomitą Musikvereinsaal oraz Tonkiinstler Orchester |trzy próby. Jeśli idzie o Sonatę, tym razem nie wahałem się: wybrałem fortepian Bbsendorfera. Organizator oświadczył nam z dumą, że był duży popyt na bilety. Książę Lubomirski bawił w mieście i wydał wspaniałą kolację u „Sachera”.

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

Nasz koncert wiedeński stał się prawdziwym tryumfem. Publiczność oklaskiwała nas gorąco, a Karol musiał się wielokrotnie kłaniać. Prasa jednomyślnie chwaliła oba utwory, nazywając je „wielkimi arcydziełami wzbogacającymi naszą puściznę muzyczną”. Leopold Godowski, który stał na czele Meisterklasse w wiedeńskim Konserwatorium, przyszedł nam pogratulować i zaprosić do siebie do domu.

Nasz koncert stał się jednym z największych muzycznych ewenementów sezonu. W rezultacie najpoważniejsze wydawnictwo muzyczne, Universal Edition, zaproponowało Szymanowskiemu długoterminowy kontrakt, co było dużym krokiem naprzód na drodze do powszechnego uznania wartości jego muzyki. W kilka dni później Karol z głęboką satysfakcją pokazał nam podpisany już kontrakt; z całego serca dzielił się jego radość.

Wkrótce potem książę Lubomirski podczas obiadu u „Sachera” oświadczył z dumą, że dzięki jego rekomendacji Fitelbergowi zaproponowano stanowisko dyrygenta w sławnej wiedeńskiej Operze, z czym wiązał się tytuł Kaiserlicher und Kdniglicher Hofkapell-meister — Cesarsko-Królewski Dyrygent Nadworny. Ta sensacyjna wiadomość tylko dla mnie była wielkim zaskoczeniem. Pozostali Wz o tym wiedzieli, ale do oficjalnego komunikatu dochowywali aJemnicy. Zdrowie Ficia i księcia wypiliśmy niemałą ilością lam-pe\* wina.

•Nawet mnie przypadła w udziale skromna cząstka zainteresowa-0,a.' Jakim darzono całą naszą trójkę. Godowski zaproponował mi Jecie początkowej klasy fortepianu w jego Meisterschule przy ark

aj y p jg py  
arsko-Królewskim Konserwatorium, z tytułem K.-und K. Pro-  
ok °r ^a^s\*e» kusząca i pochlebiana mi propozycja, ale w tym staeSI€- życ\*a byłem zupełnie nieprzygotowany do objęcia takiego 2JiQ ?^iska. Nauczyłem się cenić wolność, mimo wielu trudów, jakie fcy lc ^usiałem, by tę wolność zachować. Podświadomie żyłem ti5gj ^ oczekiwaniu na coś nieprzewidzianego, na jakiś cud, jakąś a °dmianę losu.

434

435

Cała nasza trójka, Ficio, Karol i ja, cieszyliśmy się wiedeńskie sukcesem. Wiele wpływowych osób traktowało nas jak gwiazd a miejscowi muzycy zasypywali zaproszeniami na koncerty, przei stawienia teatralne i przyjęcia. Młody krytyk nazwiskiem Han" Effenberg, przystojny, o ciemnych, rozmarzonych oczach i czarnej brodzie, chodził za nami jak pies. Twierdził, że jest nieślubnym synem polskiego arystokraty i polskiej hrabiny, a jego prawdziwe nazwisko brzmi Śliwiński. Podrzucony na stopniach jakiegoś kościoła, został zaadoptowany przez bezdzietne austriackie małżeństwo Effenbergów, mieszkających w Pradze. Ukończył uniwersytet praski i zajął się krytyką muzyczną i literacką; był też jednym z bibliotekarzy w cesarskim Hof burgu.

Tę uroczą, romantyczną opowiadkę przyjęliśmy z dużą dozą sceptycyzmu, ale lubiliśmy go za słodycz, urok i entuzjastyczne podejście do muzyki Karola.

Mieszkanie Godowskiego stało się naszym drugim domem. Wielki artysta lubił grywać nam, najnowsze własne kompozycje w ten swój niezrównany sposób — nonszalancko pokonując trudności jeżące włos na głowie. Żona, zażywna brunetka, traktowała nas jak najbliższą rodzinę, podobnie zresztą cała czwórka dzieci — dwóch chłopców i dwie dziewczynki, wszystko kilkunastoletki. Młodsza córka, Dagmar, wyróżniała się urodą; miała lat trzynaście i z wyglądu podobna była do perskiej miniatury, czym ogromnie i przypominała mi Manię Szer z Łodzi. Ciężkie czarne warkocze, | oczy w kształcie migdałów, ładny nos i pełne, czerwone, kształtne wargi sprawiały, że jak na swoje lata wyglądała poważnie. Tak Karol, jak i ja zaczęliśmy zmysłowo reagować na jej obecność, ona zaś zachowywała się w stosunku do nas kokieterijnie i prowokująco. Lubiła opowiadać o swojej „przyjaźni” z Franzem Leharem, sławnym kompozytorem operetek, oraz z Józefem Hofmannem). wielkim pianistą; nazywała ich „wuj Franz i wuj Józef”. Prawdziwa bestyjka była z tej Dagmar!

Ktoregoś ranka przeczytałem w gazecie, że Pablo Casals ma I kilka dni zadebiutować w Wiedniu; była to dla mnie podniecająca wiadomość! Nazwisko Casalsa znano już wówczas dobrze, < powitała go nabita Musikvereinsaal: Ku naszemu zdumieniu występ z orkiestrą wybrał koncert szwajcarskiego kompozj Emanuela Moore'a, znanego wyłącznie jako wynalazca fortep\* ; o podwójnej klawiaturze. Koncert okazał się bląhostką, ale C wykonał go z tak niepowtarzalnym brzmieniem i tak gl@30 skupieniem, że nie sposób było mu się oprzeć. A kiedy P1"2^ pora bisów, Wiedeń został całkowicie podbity. Później w i robię, dokąd udaliśmy się wszyscy, aby mu

pogratulować, prze0

436

a tanie swemu angielskiemu impresariowi, który przyjechał wraz z nią do «stolicy-  
!L Pan Montague Chester — wyjaśnił Casals — jest szefem tej londyńskiej firmy Vert's Concert Agency. — Prosił, żebyśmy zjedli jutro z nim obiad — dodał. — Ma panu coś interesującego do zaproponowania.

J Zaprośnię, rzecz jasna, przyjąłem, obiad jedliśmy w „Bristolu”. — Wiem wszystko o pańskich wiedeńskich sukcesach — rozpowiedział Chester — a Casals bardzo pana chwalił. Podsunął mi on myśl, abym w czasie wielkiego sezonu w maju i czerwcu tego roku zorganizował panu kilka koncertów w Londynie. Co pan o tym sądzi? — Czy mam rozumieć, że chce mnie pan zaangażować za z góry ustalone honorarium? — spytałem pełen nadziei.

— Nie — odparł — moja firma działa wyłącznie na zasadzie pośrednictwa, ale byłbym skłonny organizować pańskie koncerty za niewielki procent od wpływów brutto. Proponowałbym trzy koncerty w Bechstein Hali, a ponieważ jestem pewien pańskich sukcesów, otrzyma pan natychmiast szereg dobrze płatnych kontraktów. Uśmiechnąłem się smutno:

— Panie Chester, nie mam pieniędzy na koncerty, o których z góry wiem, że przyniosą straty. Dobrze wiem, jakie to kosztowne.

— A więc w jaki sposób mógł pan sobie pozwolić na pierwsze koncerty w Wiedniu i Berlinie?

— Był ktoś, kto za mnie poręczył, kto uwierzył w mój talent — odparłem.

— Ach, tak! — zawołał Chester. — A zatem proszę mnie z tym kimś skontaktować. Może poręczy za pana także w Londynie. Casals przerwał nam.

— Na otwarcie sezonu damę w Londynie koncert w Queen's Hali. Jeżeli chciałby pan zagrać ze mną kilka sonat, mogłoby to stać się korzystnym wprowadzeniem do pańskich recitali. Chester klasnął w ręce:

— „Pablo, jesteś czarodziejem! Podajesz Rubinsteinowi sukces na J^rzu... jak panu z pewnością wiadomo — zwrócił się teraz do „!nie — Casals wypełni salę, a pana usłyszy cały Londyn. No więc, p., m\* Pan poda nazwisko i adres pańskiego poręczyciela, a ja zekony jestem, że zgodzi się udzielić zabezpieczenia pańskim 2e ? . om« Natychmiast do niego zadzwonię i poproszę, żeby mnie ^ejał przyjąć — zapalił się. ^° -kilku godzinach zadzwonił do mnie książę. T^2y ten Anglik, który przyszedł mnie odwiedzić, jest osobą zfanianą? — spytał.

to impresario sławnego wiolonczelisty, Pablo Casals.

437

— A więc proszę mu powiedzieć, że zgadzam się na jego propozycję — po czym rzucił słuchawkę, nie słuchając moich podziękowań.

Chester i Casals tak byli uradowani nowiną, że natychmiast przy, stąpiliśmy do układania planów na Londyn — na debiut zgodziłem się zagrać z Casalsem jedną sonatę Brahmsa i jedną Griega. Obie całem też przesłać trzy różne programy recitali.

Karol chciał, by jego siostra Stanisława, znakomita śpiewaczka wystąpiła z recitalem jego pieśni, i poprosił mnie, abym akompaniował jej oraz zagrał kilka jego utworów solowych. Nie było to najkorzystniejsze z punktu widzenia mojej własnej kariery artystycznej, ale zgodziłem się z przyjaźni dla Szymanowskiego i po. dziwu dla jego twórczości. Koncert odbył się w dwa tygodnie później w sali jakiegoś klubu. Stasia śpiewała bardzo dobrze, ja grałem Wariacje Karola, a także kilka etiud i preludów. Mieliśmy nieliczną, ale bardzo wdzięczną publiczność.

Tymczasem prowadziłem w Wiedniu ten sam ożywiony tryb życia. Niejaki pan von Oberleithner, właściciel dużego domu towarowego, obdarzony namiętnością do komponowania oper, często zapraszał mnie wówczas na obiad lub kolację. Jego ostatnia opera Afrodyta miała właśnie premierę w wielkim gmachu wiedeńskiej Opery, z młodą, piękną i niezwykle utalentowaną Marią Jeritzą w roli tytułowej. Jeritza śpiewała pięknie, ale muzyka pozbawiona była rzetelnego talentu i oryginalności, i szczerze mówiąc, byłem nieco zaskoczony, że wiedeńska Opera w ogóle to wystawiła. Po premierze pan von Oberleithner wydał wspaniałe przyjęcie w prywatnym gabinecie u „Sarhpra” ^on y

Po premierze pan von Oberleithner wydał wspaniałe przyjęcie w prywatnym gabinecie u „Sachera”, zapraszając śpiewaków, dyrygenta i kilku wiedeńskich notabli. W pokoju stał doskonały fortepian i gdy tylko wstaliśmy od stołu, poproszono mnie, bym zagrał; zgodziłem się z przyjemnością — właśnie takiej publiczności potrzebowałem.

Fitelberg, Karol i ja jadaliliśmy zwykle w naszym hotelu. Fie zawiadywał finansami- i regulował

rachunki, a więc sprawom P nięznym nie poświęcałem większej uwagi. Mimo to sam także d dużo wydawałem w drogeriach, w sklepach z galanterią, na PoC cie, u fryzjera, na napiwki i przejazdy; w rezultacie znów zaczął się zbliżać do kresu moich możliwości finansowych. Ktor ranka postanowiłem poprosić Fitelberga o niewielkie kieszeń\*0 Ponieważ ani jego, ani Karola nie zastałem w ich apartanie udałem się do recepcji, żeby dowiedzieć się, czy nie zostawić mnie żadnej wiadomości. Urzędnik oświadczył, iż poprzedzi wieczora obaj panowie wyjechali do Wenecji. Po prostu mnie zatkało! Co za bezduszne potwory! Zo mnie na pastwę losu! Oczywiście mogło się to stać tylko za-sP 438

Karol był jedynie nieodpowiedzialnym dzieckiem, cał-lo^icie PTzez niel° zdominowanym — ale Fitelberg! Znów mi Lciał taki kawał.

2sTa szczęście miałem być tego wieczora na kolacji u księcia, który agnął dowiedzieć się szczegółów o Londynie.

j]jo cóż, nie mogłem się powstrzymać i opowiedziałem mu o Wenecji- Książę wiedział, że ze względu na tournée Szymanowskiego, a którym grałem bez wynagrodzenia, zrezygnowałem z kilku ważnych kontraktów, co z punktu widzenia mojej własnej kariery artystycznej było niemałym poświęceniem. Toteż gdy usłyszał, jak Fitelberg ze mną postąpił, zawołał:

— A to łajdak! Zerwę jego kontrakt z Operą! I powiem mu, co o nim myślę!

Z trudem udało mi się księcia uspokoić i ubłagać, aby nic podobnego nie czynił, tłumacząc, że wywołałoby to głośny skandal, w który wszyscy byśmy byli wplątani. Książę Lubomirski obiecał, zaczął się znów uśmiechać i na koniec, kiedy się już żegnałem, wręczył mi banknot wartości tysiąca koron, mówiąc:

— Nie pozwolę, aby stał się pan ofiarą tego łajdaka.

W kilka dni potem obaj „łajdacy” powrócili z Wenecji, a Fitelberg zamiast wyjaśnienia powiedział tylko:

— Nagle poczuliśmy się tak zmęczeni Wiedniem, że postanowiliśmy trochę wypocząć.

Nic nie odpowiedziałem i prawdę mówiąc, w ogóle przestałem z nim rozmawiać. Ale Karolowi powiedziałem kilka słów do słuchu, lecz ten zamiast się usprawiedliwiać zaatakował mnie znienacka w sprawie Dagmar Godowskiej. W jego oczach dostrzegłem nienawiść i zazdrość.

— Stałeś się ogromnie irytujący, wciąż wybałuszasz na nią oczy, usiłujesz zrobić na niej wrażenie, a wszystko po to, żeby mnie zdenerwować. Jeśli jeszcze raz choćby tylko spojrzysz na nią, mo-Zssz Przestać mnie uważać za przyjaciela.

Zawrzałem wściekłością. „...~ W porządku! — wykrzyknąłem. — Dopiero teraz zacznę z nią 5fować naprawdę! — i wybiegłem, trzaskając drzwiami. siło e<^ następnym razem byliśmy na kolacji u Godowskich, popro-p."^1 dagmar, by zechciała mi towarzyszyć do Muzeum Sztuk \*e»i C^" 2s°działa się chętnie, a i rodzice nie mieli nic przeciwko wą ,u; Od tego dnia Karol i ja przez cały okrągły rok nie rozma-Caj 1Smy z s°b% i dopiero sama Dagmar zbliżyła nas ponownie, ta historia stała się dla mnie gorzką nauką.

439

Pie

IV

Anglia, rwsza wojna światowa

W miarę jak zbliżał się termin wyjazdu do Londynu, coraz bardziej rosło moje podniecenie na myśl o angielskich koncertach. Puściwszy wodze wyobraźni, marzyłem na jawie, że właśnie tam rozpocznę wielką karierę artystyczną.

Mając głowę pełną owych urojonych widoków na przyszłość, zapragnąłem, aby Pola dzieliła to wszystko ze mną. Zdawałem sobie oczywiście sprawę, że dla nas obojga pieniędzy starczy nie na dłużej niż na dwa, trzy tygodnie, wierzyłem jednak w zapewnienia Chestera dotyczące wysoko honorowanych umów, a ponadto spo-dsiewałem się, że także Casals zapłaci mi za współpracę. Napisałem do Poli obszerny list, w którym wszystko to jej wyjaśniłem, jednocześnie błagając, aby w drodze do Londynu spotkała się ze mną w Paryżu. Oddepeszowała, że jest szczęśliwa i że spotkamy się na Gare du Nord.

Nie posiadałem się z radości. Na wszelki wypadek postanowiłem zwrócić si^ do bardzo bogatego pana von Oberleithnera z prośbą 0 Pożyczenie mi tysiąca koron, w nadziei iż sumę tę ofiaruje mi jako nigdy nie uregulowane honorarium za to, że grałem kiedyś u niego na przyjęciu. Kiedy



## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

zadzwoń, zaproponował spotkanie Jj w.nie w hotelu. Przyszedł promiennie uśmiechnięty, uściskał mi ^otiiie, najwidoczniej spodziewając się zaproszenia na koncert lub j fjs innej miłej propozycji. Słyszając prośbę o pieniądze, zmienił ^ na twarzy i przybrał minę surowego kasjera bankowego, ale

1010 Wszystko czuł się poniekąd zobowiązany pójść mi na rękę.

r~ Mogę panu dać najwyżej osiemset koron — powiedział. — ^ilo mam trudności z gotówką.

\v „rzyJ3\*em więc osiemset koron, on zaś poprosił o pokwitowanie. Sq ^ultacie wyjeżdżałem z Wiednia w nieco lepszej sytuacji finan-

pe3> pełen najlepszych nadziei na Londyn.

0 a przybyła na Gare du Nord; wyglądała świeżo, uroczo i szczę-le- Spędziliśmy cudowny dzień i noc w „Ville Lumiere" i był

443

ta»

! faripn z tvch dni prawdziwego szczęścia, które określam ZWYk 3 rlnmentów wieczności".

Nazajutrz rano wsiedliśmy d

mianem „momentów w Londynu. Jak zwykle czew

\*°Ci^r™ZTkyZXóż do Calais, cuchnący statek g nas długa, zasnuta 7 ^ w Dover przyjemny pulmanowski

SU3f I Pw którym podawano obfity angielski podwieczorek. Nie wagon w którym p n&

Victoria station; me chcia-

-powiedz.awszy się W^Y^ .. ^ przyjdza

łem, zęby Cnester o adził mi, bym wynajął mieszkanie

W Wiedniu pewien Anglią P & nawet przyrzekł ^

w jednym z donlpOWp^eZcyhaliśmy ^d wskazany adres i przekona-jatwić rezerwację- {^^dafccy

budynek w haUu hśmy się, że jest l° Pr ^ p0Sadzką siedział umundurowany wyłożony^ ff^^Z

kierownik zaprowadził nas do nie-portier. Bardzo sympatyczny ^ przytulnego saloniku

i łazienka.

angielskie ^^ W obawie, że takie

tu niezwykle ^J mo\* możliwi elegancki odwrót, (25 do,-

rówl) tygodlloW°;wni

wszystkie posiłki do pokoju. Nie ale kuchnia jest bardzo dobra

wielką sumę

Sy

żna byto

S^f y

i tańczyć po pokojach

od

zacz.l.my

skierowałem do firmy Bechste^ j

ciel fi

zbliżających si

który ucieszył się na mój widok: 444

Lubię, gdy artyści przyjeżdżają na długo przed publicznym Pozwała im to poznać salę oraz

fortepian, a także ewen-z przedstawicielami prasy. Casals przebywa tournee po prowincji, wróci

jednak na dwa dni przed żeby odbyć z panem dwie próby. Bilety na wasz reci-

cert,

n natowy w Queen's Hali zostały już wyprzedane.

Zapr°sił mnie na ODia<\*> ale odmówiłem: Pola na mnie czekała.

Cztery dni dzielące nas od przyjazdu Casalsa spędziliśmy na

wiedzaniu miasta. Dwukrotnie byliśmy w National Gallery; na Foli ogromne wrażenie wywarły skarby

British Museum. Widzieliś-

v świetnie graną komedię pióra Pinero z panią Patrickową Camp-v,e]l w roli głównej i wspaniały

program variete. Nasze mieszkanie wciąż sprawiało nam tak ogromną radość, że niemal wszystkie

Pggiłki jadał w domu. Śniadania i podwieczorki były doskonałe, obiady i kolacje nie

nadzwyczajne, za to zdrowe i pożywne.

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

Na pierwszą próbę Casals przyszedł do nas do mieszkania. Z muzycznego punktu widzenia było to nader interesujące doświadczenie. W Sonacie e-moll Brahmsa parokrotnie dochodziło między nami do różnicy zdań w sprawie interpretacji tego utworu. To prawda, że Brahms ulegał w pewnej mierze wpływom Schuberta i Schu-raanna, a jego muzyka często bywa rozlewna, zawsze jednak wyczuwa się w niej powściągniętą rękę drzemiącego w nim klasyka — i tak właśnie tę muzykę pojmuję.

Casals grał pierwszą część Sonaty, wkładając w nią całe swoje niezrównane śpiewne brzmienie i gorącą pasję, ale dodawał też sporo patosu, który uważałem za zbędny, choć nie odważyłem się go krytykować — na to jego gra była po prostu zbyt piękna. Natomiast jego frazowanie w triu drugiej części było jak na mój gust %t słodko-romantyczne. Nie zgadzaliśmy się też w sprawie nibata, które mi sugerował, koniec końców znaleźliśmy jednak rozwiązanie kompromisowe. Sonata Griega poszła nam gładko od początku do końca, a gdy skończyliśmy, Casals wykrzyknął „Brawo! Brawo!” Dumny byłem, że mogę grać z tym wielkim mistrzem.

Koncert w Queen's Hali był popołudniówką i zaczynał się o godzinie trzeciej po południu — ulubionej przez angielskich meloma-nó^ porze koncertów.

Przed występem byłem mocno podenerwowany: obawiałem się, Cz^ nie zostanę potraktowany jak zwykły akompaniator wielkiego ^° \*%• Ale moje obawy okazały się płonne: Casals wyszedł na po-trzymując mnie za rękę i klaszczącej publiczności obaj kła-się wspólnie.

ms wywarł na słuchaczach ogromne wrażenie: wywoływało cztery czy pięć razy. Następnym punktem programu była jedna

445

z sonat Bacha na wiolonczelę solo — cieszący się stałym powocj2 niem mistrzowski popis wielkiego wiolonczelisty. Po przerwie gr liśmy Griega i zgodnie z moimi oczekiwaniami, ten właśnie utwór" najbardziej trafił do publiczności. Przyjęto nas wielką owac/ i okrzykami uznania, a na koniec musieliśmy bisować ostatnia część. W garderobie Casals uściskał mnie.

W tajemnicy przed Chesterem zaprosiłem go na kolację do naszego mieszkania, gdyż chciałem, aby poznał Połę, która nie była obecna na naszych próbach. Kiedy zostaliśmy sami, wyjaśniłem mu całą sytuację: przyjął to jak rzecz zupełnie naturalną. W trak-cie kolacji widać było, że oczarowany jest Połą, która zresztą wy= glądała wspaniale, ciągle jeszcze radośnie podniecona naszym sukcesem. Surowi krytycy londyńscy mieli dla nas wyłącznie słowa po-chwały, traktując mnie na równi z uznanym od dawna idolem. Pamiętam, co pisał jeden z recenzentów: „Ich wspólna gra stanowiła najbardziej doskonały związek chemiczny”. Nie dociekałem, eo przez to rozumiał, lecz przyjąłem to po prostu jako swoisty komplement pod moim adresem. Pan Chester w każdym razie uznał mnie już za „wschodzącą gwiazdę”.

Mój pierwszy recital w Bechstein Hali miał miejsce w tydzień później. Chester oznajmił, uśmiechając się, bardzo z siebie zadowolony: „Zgromadziłem panu piękną publiczność!”, co miało znaczyć, że będzie to w większości tak zwana publiczność „darmowa”. Byłem na to przygotowany. Anglicy znani są z tego, że z trudem akceptują młodych i nieznaną. Wysoko cenili za to takich weteranów, jak Joachim, Paderewski, Melba czy Pachmann, uwielbiając jednakowo swych faworytów, którzy w ich mniemaniu nse mogą zawieść.

Bechstein Hali doskonale nadawał się do niewielkich recitali' Mieścił dziewięciuset słuchaczy; na mój występ przybyło ich okoi< sześciuset. Przygotowałem program z gatunku tych, jakie nazywam „wprowadzającymi”: fantazja i fuga Bacha, sonata Beeth< vena, Etiudy symfoniczne Schumannna, kilka utworów Chopina oi rapsodia Liszta. Byłem w dobrej formie i od początku czułem, ^ publiczność jest po mojej stronie: każdy kolejny utwór przyn^ mi coraz większy sukces. Liszt wzbudził wołania o bisy — wp nałem ich aż trzy. Zmęczony, ale szczęśliwy wróciłem do garder gdzie Pola obsypała mnie pocałunkami i uściskami. Później zaC2 napływać ludzie z gratulacjami, wśród nich Destinn i JaC(\* Thibaud.

— Słyszałem, że miał pan wspaniały recital z Pablem 0^ dział Jacques. — Nie zagrałby pan dwóch koncertów ze w tej sali?

446

;e wiedziałem, co odpowiedzieć, ale Chester zapalił się do tego

Musi się pan zgodzić! — wołał. — To będzie prawdziwa sensa-Dałby pan w sumie sześć koncertów w ciągu niespełna sześciu tygodni!

\_ potraktujemy to wyłącznie jako recitale sonatowe, bez żadnych występów solowych — dorzucił Jacques. Byłem wniebowzięty: sześć sonat z Thibaudem!

Potem pojawiła się Destinn, prowadząc bladego mężczyznę, nrawdopodobnie swego nowego kochanka:

— A nie mówiłam ci, że Rubinstein jest cudowny? — zwróciła się do niego, lecz ten nie wyglądał na przekonanego.

Weszło też małżeństwo w starszym wieku; mąż przedstawił się jako John Bergheim.

— Otrzymaliśmy z Wiednia list od naszego przyjaciela, pana von Sachsa. Pisał nam, żebyśmy nie omieszkali pójść posłuchać pana.

(Pan von Sachs był zamożnym człowiekiem interesów, który wycofał się już z czynnego życia zawodowego; uwielbiał muzykę i lubił wydawać skromne przyjęcia na cześć obiecujących młodych artystów. Nastrój na tych przyjęciach był jednak jak na mój gust zbyt homoseksualny i zawsze czułem .się tam nie na swoim miejscu.)

— Ale jeśli idzie o pana — starszy pan ciągnął dalej w podnieceniu — to Sachs okazał się niesprawiedliwy! Pan jest znacznie lepszy, niż pisał!

Państwo Bergheimowie zapraszali mnie na kolację, nalegając tak uporczywie, że nie mogłem odmówić. Nie lubiłem przyjmować zaproszeń bez Poli, z drugiej jednak strony nie miałem odwagi przedstawić jej jako „przyjaciółki”, która podróżuje w moim towarzystwie. Usiłowałem właśnie znaleźć jakiś pretekst, gdy Pola szepnęła P° polsku:

~" Zgódź się, proszę, tak im na tobie zależy, a przy tym są tacy serdeczni.

t Przyjąłem więc zaproszenie, a pan Bergheim z miejsca wyznaczył erDiin, podał adres i powiedział, że przyśle po mnie samochód) ^JazaJutrz prasa przyniosła bardzo pochlebne recenzje z koncertu. aJ lub trzech krytycy uznali, że jestem nadmiernie rozlewny, Myrazali nadzieję, że się utemperuję, inni natomiast za tę samą wychwalali mnie pod niebiosa; za to wszyscy bez przyznawali, że jestem „urodzonym” pianistą, i przepo-!~4 mi wielką przyszłość. Jedno, co mnie uderzyło, to podo-«„jgUstwo stylu londyńskich krytyków. Nigdy nie pisali o swych Sillych wrażeniach, nie mówili, co im się podoba, a co nie, nie

447

starali się uzasadnić swych ocen. Po prostu jak sędziowie na sal1 rozpraw ferowali werdykt, ostateczny i nieomylny. Obawiam si \* że w ciągu tych wszystkich lat styl ten nie uległ żadnej zmianie 69

Bergheimowie mieszkali w północnej podmiejskiej dzielnicy Hampstead. Za rogiem krótkiej uliczki, zwanej Belsize Park, pod-jazd prowadził pod sam dom — był to obszerny, ale bezpretensjonalny, stojący samotnie trzypiętrowy budynek.

Dwie pokojówki otworzyły drzwi, odebrały ode mnie płaszcz i kapelusz, po czym jedna z nich zaprowadziła mnie do salonu na pierwszym piętrze, otworzyła drzwi i głośno zaanonsowała:

— Pan Artur Rubinstein!

W salonie było trochę gości. Pan Bergheim powitał mnie entuzjastycznie i przedstawił — ku memu niezadowoleniu — jako „młodego geniusza”. Był to niski mężczyzna po siedemdziesiątce, o bystrych szarych, nabiegłych krwią oczach, które w podnieceniu nieustannie wytrzeszczał, oraz kształtnym, ale niewątpliwie żydowskim nosie. Pani Clara Bergheim, niewiele młodsza i równie niewysoka jak mąż, była szczupła i elegancka, a siwe włosy układała a la Queen Mary.. Nosiła grube szkła i miała skłonność do tak gwałtownego rumienienia się, że nawet nos przybierał kolor czerwieni.

Goście okazali się interesujący: był wśród nich sir Edmund Da-vis, jeden ze" słynnych żydowskich milionerów, którzy zdobyli majątek w Afryce Południowej; młody i niezwykle przystojny ^&^ Pęto z żoną, wysoką, uroczą brunetką, siostrzenicą księżnej Rutland oraz kuzynką lady Marjory i lady Diany Manners, dwóch l nych angielskich piękności; sir George Henschel, znany śpię koncertowy, a zarazem pierwszy dyrygent Bostońskiej Orkies Symfonicznej z córką Heleną, obiecującą sopranistką.

Kolację podano na dole w dużej sali jadalnej. Stół przy!

ii

e bardzo przyP^

mi do gustu. Pod koniec posiłku pan domu zaprezentował kiści ogromnych czarnych winogron.

— Z mojej własnej cieplarni — oświadczył z dumą. Kiedy panie opuściły jadalnię, podano porto, a pan B&ci

ję p

j

j

był wytwornie storczykami rozmaitych kształtów i odcieni jedzenie, choć w najlepszym angielskim stylu, nie bardzo

448

drzwi prowadzące do ogrodu i wskazał nam długi rząd  
sZ "Tutaj właśnie hoduję storczyki i owoce — powiedział, po czym "głosił dłuższą mowę na temat  
pożytku, jaki przynosi cieplarnia. Anglicy luDią te cłwile> kiedy po kolacji pozostają w męskim onje i  
mogą rozmawiać i pić wino. Minął więc czas jakiś, nim

^ ni Bergheim otworzyła drzwi i poprosiła nas, byśmy dołączyli  
L damskiego towarzystwa. W salonie pan Bergheim odciągnął  
mnie na bok i poprosił, bym zagrał:

— Mamy wspaniałego, dobrze nastrojonego bechsteina — powiedział — a nasi goście są  
prawdziwymi miłośnikami muzyki.

Nie musiał mnie wcale prosić; i tak miałem ochotę grać. W cza-s}8 krótkiej rozmowy z sir Georgem  
Henschelem dowiedziałem się, że jest starym wagnerzystą, zacząłem więc od „Liebestod" z  
Trista-m, po czym zagrałem „Jazdę walkirii" we własnej transkrypcji — dwa moje niezawodne  
numery. Wrażenie było piorunujące. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek swą grą sprawił  
większą przyjemność niewielkiej grupce słuchaczy. Byłem wzruszony, gdy sir George mnie uściskał,  
a pani Pęto ucałowała. Wszyscy obecni stali się odtąd moimi entuzjastami na długie lata. Kiedy  
zbieraliśmy się do wyjścia, pan Bergheim poprosił, bym zatrzymał się jeszcze na chwilę.  
Zaprowadził mnie do swego gabinetu, który wyglądem przypominał kancelarię.

'•— Chciałem opowiedzieć panu nieco o sobie — zaczął. — To powinno pana zainteresować.  
Po czym opowiedział mi, że urodził się w Jerozolimie (Palestyna znajdowała się wówczas pod  
panowaniem tureckim).

— Mój ojciec był człowiekiem interesów, ale mnie pociągała Rafta, więc przyjechałem do  
Londynu, żeby rozejrzeć się w możliwościach. Moim partnerem został pewien Kanadyjczyk,  
pan ^cGarvey. Wkrótce potem zakupiliśmy kilka koncesji naftowych y Galicji i założyliśmy tam  
spółkę wraz z dwoma Polakami, hra-

% Skrzyńskim i panem Bernsteinem, którego syn został francus-01 dramaturgiem. I tak w Polsce  
dorobiłem się majątku. - A czy ten hrabia Skrzyński miał syna? — spytałem. &Z- °Wszem> miał  
syna imieniem Aleksander, a także dwie urocze

Pan

a, cha — roześmiałem się. — Teraz moja kolej opowiedzieć

ę  
j\ Aleksandrze i o Henri Bernsteinie! ^ J\_a opowieść ogromnie go ubawiła.

Co łdę, że chciałby się pan już pożegnać. Robi się późno. Mój ^i odwiezie pana do domu. I  
proszę przyjąć drobne honora-Z\*Pański wspaniały występ — otworzył biurko i wręczył mi i pięć  
funtów. Z radością przyjąłem pieniądze, wiedząc,

449

jak bardzo mi się przydadzą. Pan Chester do tej pory wem me wspomniał o kontraktach, wpływach  
czy ^

zap na

,roszenia bez niej, i tak dalej, o mojej \* '

skończyłem, rzekła z zadowoleniem:

— Czułam, że powinieneś być tam pójść, że to może być bie ważne — po czym dodała z tą swoją  
minką Pytii: — C grają doniosłą rolę w twoim życiu.

Poranna prasa przyniosła wspaniałą wiadomość: ^7t^b^dC

na

P

alibi

skim,

ł gdzie wśród gości znajdowały się ^™ "" na dwadzi^ finansów i przemysłu. Obecny był  
także^i508\*8^ Ze \*\*\* Duhc, bardzo wówczas en vogue dzięki 'i^1 malarz Edl\*uuu Bslgheimowie nie  
zostali zaproszeni %??StracJ^m książkowym. Ucząc na pokaźne honorarium ale S' m na  
tym

były tysiące podziękowań i setki nnlw??™ moim W3™al

tym

T? Setki

przybyła za-

oczywiście płacąc za bilety. Był to prawdziwie fantastyczny wieczór. Pola karni w oczach.

. ują wtdie zazdrosna, DO 1 samo. Wyszliśmy z teatru nieprzytomni ze wzruszenia.

Na mój drugi recital przyszło mniej ludzi niż na pierwszy, „/-a \* większość zapłaciła za bilety” — powiedział ze śmiechem Chester Tym razem wykonałem kilka utworów, których nigdy przedtem publicznie nie grałem: V Sonatę Skriabina, dwa utwory Medtner oraz etiudę i dwa preludia Szymanowskiego. Krytycy oceniali n<^ >ozycje mniej lub bardziej korzystnie, nie mogli się P& trzwać, żeby nie udzielić kompozytorom kilku dobrych rg

\_\_\_utwory te przyjęła burzliwymi oklaskami, ale PoL

ła się znacznie swobodniej, kiedy zabrałem się za Poloneza A' , Chopina, po którym nastąpiły moje ulubione utwory „ns

Później, w garderobie, pojawiła się nasza serdeczna pr z Warszawy, Paulina Narbuttowa.

Powiedziała, że ma w i^» parę spraw do załatwienia i że umiera z chęci obejrzenia tów Rosyjskich.

Pola była zachwycona, że znalazła partnerki chodzenia po sklepach i zwiedzania miasta. Biedaczka,

człJ niekiedy osamotniona, gdyż mnie coraz bardziej absorbowawała^ ra artystyczna: odbywałem

próby przed koncertami, przyj\*110" 450

rozliczeńp wi , -^ pan m°wi — odoarł td

« def?cyt wła księda Lubomirskiego bSL^T tOWUJę

nościn „• Wynosza-Cy blisko dwieścip w- musiał jeszcze

Cfe ^me zof anie ani grosza. \* fUnt°W' ale dla pana

^ndIOWe^aiWny by\* ze mnie głupiec' kktą ^f^Wem za rf

przec

'Sa.

za rzecz samo prz wszystkie wydatki związane ;dażv biletów pozostanie do \_ ~.oje koncerty nie miały musiałem pokryć kosztą krótko mówiąc — za coś żyć.

braku

. zrozumiały," że koncertami, a cały

eJ dyspo- gt honorari^,

7Zakwater°wania lądał

v;

Antraktów, Jeśli odni ' sukces ^ Y °braz dob"e

451

^TylSoZło ^^SSt^Ji^ wiosny, dla pana jednak.dwa do ^ śpiewak z zOną - oświad

- Pewien młody amc\_ybardzo interesująca para, byli na \*> nagle, zmieniając temat

zachwyceni. Czy mogą k;

stkich pana konce^ta fl nerbatkę? Błagali mnie, abym pana UprOs zabrać pana do nich na

o przyjście. lk aby mu nie sprawiać przykry

Zgodziłem Się, \_±^°^n'ly.

\*u

czułem, że moje Przy obiedzie

górą.

się podnieść mnie na duchu: powiedziała z uśmiechem — a z ni wszystkie trudności. Zawsze

Bergheim z ponownym zaproszenie w rachubę; byłem pewien,

u

ednak

>

znów zarobię trochę

i rry Paula Drapera, amerykańską

Nazajutrz, gdy ^°.^™JODziałem, że sa to Ut

śpiewaka, oraz jego ™\*\$ \*f nie minęło pięć minut, a ji=«

•gheimowie coraz trudniej obchodzili się bez mego było prawie dnia bez zaproszenia czy karteczki.

., zawsze otrzymywałem czek na dwadzieścia iys w czasie przyjęcia pan Bergheim poprosił

Marsza żałobnego Chopina. Odmówiłem, podając że Marsz stanowi część Sonaty, zbyt długiej lecz

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

w rzeczywistości od czasu tamtego po-ibią Strogonowem w Rambouillet, przesądnie tego utworu. Pan Bergheim nie przestawał ać, ja zaś nie miałem ochoty opowiadać mu, że ślubo-; nigdy prywatnie, dla przyjaciół, nie wykonywać tego koniec ustąpiłem, a gdy skończyłem grać, ten kochany w oczach.

muszę opowiedzieć o pewnym niezwykłym wyda-dnia Bergheimowie zaprosili mnie na obiad, chcieliby, abym poznał niezwykle interesującą damą z Polski.

— Ogromnie Wyspy Kamaryjskie i wiedział pan Bergheim.

Kiedy pokojówka otworzyła mi drzwi do salonu, stanąłem jak wryty! Na kanapce siedziały dwie panie: jedną z nich była Paulina Narbutkowa, drugą... Pola! Scena jak z komedii.

Paulina, dzięki swej przytomności umysłu, natychmiast zapano-

w tym

v sie oodczas wycieczki morskiej na y się pode y & \_\_

jestem, ze ^ p

za

niespodziani

1^C2ute że -1"\*słuszn0SC-

u«ia jak biała Murzynka. Wieie o»uU ^

za piękną, lecz mimo swej agresywnej osobowości inteligencji obdarzona była wielkim kobiecym czarem.

Po wyjściu Chestera Draper cienkim i nieco zgrzytliwym \*f rem, za to z wielkim wyczuciem muzycznym odśpiewał parę P Schuberta, którego uwielbiał. Ludziom takim jak oni nie waD\*1 się opowiedzieć o Poli, toteż jeszcze tego samego wieczora zaj nas oboje na kolację. Paul Draper bardzo się Poli podobał, ai niczny uśmiech Muriel, jej arbitralne sądy i głośny śmiech ją zaniepokoiły ze Koncerty \* Thibaudem - była to istna rozk-"j^f™

powadzą\* z ^^mT^^T^^T^-

N

452

tego boskiego napoju. Przeznaczoną dla mnie filiżankę postaw po mojej stronie pulpitu, lecz w tej samej chwili Thibaud, c\ jakiś trudny pasaż, popchnął ją smyczkiem, zalewając kawą trze otwartego instrumentu. Wszyscy czworo wydaliśmy o\*r zgrozy, ja zaś byłem szczególnie wzburzony, gdyż odpowiada? za fortepian nie będący moją własnością. Pola i Sylvia, nie tra ani chwili, z właściwym kobietom darem pokonywania takich \* ciwności, malutkimi kawałkami gąbki wycierały płyn, który aM się pod struny. Wreszcie po długich wysiłkach płyta rezonanse była sucha. Głośno odetchnęliśmy z ulgą! Ale biedny bechstein

końca swych dni zachował chyba aromat kawy.

Pola postanowiła- wyjechać do Warszawy z Paulina Narbuttm

i spędzić jakiś czas u niej na wsi. Biedna Pola — nieusttn

trapiła ją myśl o odzyskaniu dzieci! W nocy poprzedzającej jej wyjazd przeżyliśmy straszny wsimi

Spaliśmy jak zabici, gdy o trzeciej nad ranem zadzwonił telfo

stawiając nas na równe nogi. Z hallu wejściowego mówił w

Draper:

— Muszę się z tobą natychmiast zobaczyć — oświadczył, a w głos zabrzmiał jakoś dziwnie.

— Dlaczego... Co się stało? — spytałem, przerażony nie na żarn

— Idę na górę. Muszę z tobą porozmawiać — i rzucił słuchawką Ledwie zdążyliśmy włożyć szlafroki, gdy stanął u drzwi. Wpaść

łem go do saloniku, usiadł i zdyszczanym głosem zaczął mówić ą bez ładu i składu, a jego mocno

błyszczące oczy i czerwone policzki dodatkowo zwiększyły nasze zaniepokojenie. I właśnie wtedy A rientowaliśmy się, że był kompletnie pijany. Dopiero po chwili mogliśmy zrozumieć, co chce powiedzieć.

— Arturze, muszę mieć pełną listę pieśni Schuberta, któryś

% rui<l w Londynie opróżniły z komornym. y

Casals wrócił do

mi

Tprosił

Casals był człowiekiem ych stronach

em ?« |

TeS<> ranka • \*

=L55=

anarchistą. W czasie

obowiązek Ja «

am Jestem

||''''\*•!

na szczęście o nie potrafi mi S2^ . Moim zamiarem było pomyśleć o oddaniu mi

w

P°s^arzyłem się »«\* » to \*L'

-WyStępu- Ssakowi

a zaprowadził wspomnianą ^irn ^

ozieble i pozeenał\* - \* Wl^czył mi go Pognałem się.

s :

W mjarę m , Jażń dla mnie rnoJ ?Zych odwiedzin u

wystawił czek owałem mu dość

Nie pozostało mi więc nic innego, jak poszukać kartki p-L i nabrać kilka tytułów pieśni, jakie przyszły mi do głowy. chwycił kartkę, zerwał się z miejsca i wybiegł w pośpiechu.

Postanowiliśmy zadzwonić do Murlel.

— Pewnie zamartwia się, nie wiedząc, co się z nim sta powiedziałem, ale ona odparła zaspanym głosem:

— Nie martw się o niego. Właśnie przechodzi jeden ze s napadów pijaństwa, potrwa to cztery albo pięć dni, a potem wróci do siebie.

Wydało mi się to dziwne, ale uspokoiłem się.

Po wyjeździe Poli postanowiłem pozostać na razie w L01 licząc na jeden lub dwa czek od pana Bergheima lub te\*-» spóźniony kontrakt, który załatwiłby mi nieszczęsny pa» I Resztki funduszy szybko topniały. Siedem tygodni sp#

454

smutną histo.

455

rie. — jak się okazało, Paul od lat studenckich był notoryczny\* alkoholikiem, mimo że w rzeczywistości alkoholu nie znośił, 2cja jąc sobie sprawę, ile szkody wyrządza sobie i swemu głosowi.! — No więc, walczy z tym całymi tygodniami, ale jeśli którego\* pechowego dnia wypije choćby kropelkę alkoholu, nikt i nic nje potrafi go powstrzymać. Znika na trzy lub cztery dni, a w wiel. kim mieście trudno go nawet odnaleźć. Czasem muszę zwracać si do policji, żeby mi w tym pomogła.

Co za straszna choroba! Ale chyba jeszcze tragiczniejszy był wprost niewiarygodny kontrast między sporadycznymi napadami pijaństwa a okresami trzeźwości, kiedy Paul był najbardziej uprzejmym, uroczym i ujmującym człowiekiem. Całe godziny spędzał uszczęśliwiony przy fortepianie, sam był dobrym pianistą a Schuberta, Schumanna i Brahmsa śpiewał z takim właśnie uczuciem, jakie było potrzebne. Gdyby miał lepszy głos, mógłby się stać jednym z najwybitniejszych pieśniarzy swoich czasów.

Dzięki niemu spotkała mnie nie lada gratka. Draperowie zmieniali mieszkanie, a Paul poprosił mnie, abym wybrał mu koncertowego bechsteina do dużego studia w" nowym domu. Bardzo starannie dokonywałem wyboru i udało mi się znaleźć wyjątkowo piękny instrument. Nazajutrz firma Bechstein przesłała mi czek na trzydzieści funtów — była to prowizja z tytułu dokonanej transakcji.

Opuściłem Londyn z błogosławieństwem oraz czekiem na pięć- ' dziesiąt funtów (premią?) od państwa Bergheimów, gorąco żegna- f ny przez Draperów. Kiedy Chester wspomniał o dwóch kontraktach, jakie miał dla mnie na następny sezon, poprosiłem, żeby skontaktował się z panem Bergheimem, z góry ciesząc się, co też przyjdzie mu usłyszeć z ust starszego pana.

70

W drodze do Rosji pierwszy przystanek zrobiłem w Obiecałem resztę lata spędzić u Dawydowów w Werbowce, żeby przekroczyć rosyjską granicę, musiałem zdobyć nowy port. Paszport dyplomatyczny, otrzymany od ambasadora W • mie, był dokumentem w pewnym sensie niebezpiecznym —~ rzucał się w oczy, był za poważny jak dla młodego, skroci pianisty. Choć w drodze do Warszawy graniczne miasteczki

456

androwo mijałem bez przeszkód, za to Brody leżące na trasie do jajowa słyęły z tamtejszej tajnej policji. Już sama myśl, że mógłbym być poddany drobiazgowemu przesłuchaniu w związku z tym dyplomatycznym paszportem, napawała mnie nieopisanym

kiem.

Człowiekiem, który obiecał mi

z tym

lękiem.

Cł

. -«\* mnie nieopisanym

Człowiekiem, który obiecał mi pomoc, ilekroć będę tego potrzebował, był wierny entuzjasta Karola i

mój, Hans Effenberger; wspomniał o tym kiedyś, gdy rozmawialiśmy na ten temat.

2 rana, po pospiesznie zjedzonym śniadaniu w kawiarni, przeszedłem Spacerkiem do Hofburgu,

pytając o drogę do Cesarskiej Biblioteki. Umundurowany portier, którego prosiłem, żeby mnie

zaanonsował Hansowi Effenbergowi, odparł, że to niepotrzebne i że sam mnie zaprowadzi.

Hans, zobaczywszy nas, zatrzasnął pośpiesznie pochyły blat biurka, wepchnął do szuflady kilka

książek i zerwał się, żeby mnie

przywitać.

— Co za miła niespodzianka! — powiedział. — Mam nadzieję,

że zatrzymasz się tu czas jakiś.

— To zależy wyłącznie od ciebie — odparłem, dodając, że potrzebuję jego pomocy.

— Jestem pewien, że Maria będzie mogła ci pomóc.

— Kto to jest Maria?

— Urocza kobieta, moja kochanka.

A gdy zacząłem dopytywać się o szczegóły, wyjaśnił, że jest mężatką, że kochają się i że zaprasza

mnie na obiad, który zjemy w jej towarzystwie.

— Wszystko to bardzo pięknie — powiedziałem, śmiejąc się — ale skąd, u licha, wytrzaśnie dla

mnie paszport?

— Jej mąż ma paszport i na pewno zgodzi się dać ci go. To bardzo miły facet.

Brzmiało to wszystko dość nieprawdopodobnie, jedniak nie mo-e»i sobie w żadnym wypadku

pozwolić na rezygnację z jakiej-%xek okazji.

.,~::~ Hans — spytałem — dlaczego w takim pośpiechu zamknąłeś

'urko, kiedy wchodziłem do pokoju?

Rozejrzał się dookoła, chcąc się upewnić, czy jesteście sami.

"~ Widzisz, Arturze — wyszeptał — przygotowuję właśnie ka-

°g iftędzynarodowej literatury pornograficznej. Dostanę za to \z-^ grosza, ale tymczasem moje

biurko zawalone jest "°."K'—

^ Pikantnymi i świńskimi materiałami, "v;-----

to ze szkodą

wyrzucono by

zbity łeb.

457

Muszę wyznać, że zestawienie świątobliwego dworu cesarza Austrii Franciszka Józefa z katalogiem

światowej literatury pOr> nograficznej miało pewien zabawno-ironiczny smaczek!

Przyszła pora obiadu; Hans zamknął biurko oraz szuflady na cztery różne klucze, po czym

wyszliśmy, kierując się w stronę kawiarni.

— Umówiłem się tutaj z Marią. Zaczekaj na nas w dorożce Jj powiedział Hans.

Wyszli rozpromienieni, trzymając się za ręce.

— To jest Maria — Hans przedstawił mi niską, ale dobrze zbu-dowaną brunetkę o błyszczących

oczach, niewielkim zadartym nosku i ujmującym uśmiechu. Życie kipiało w niej, ani na moment

nie przestawała szczebiotać, a jej twarz co chwilę zmieniała wyraz; innymi słowy, by użyć

potocznego określenia, była wyśmienitym kumplem. Nic dziwnego, że zakochał się w niej

marzycielski, spokojny i pogodny Hans.

W czasie obiadu poruszył natychmiast sprawę paszportu. Maria z zadowoleniem klasnęła w dłonie.

— Jeszcze dziś po południu będzie pan miał najwspanialszy, najpiękniejszy paszport, jaki pan

kiedykolwiek w życiu widział. Mojemu mężowi nie jest już potrzebny.



Ucałowałem ją gorąco i ślubowałem dożywotnią wdzięczność.

W niespełna dwie godziny później Effenberg przyniósł mi pożądany dokument, po czym spędziłyśmy wesoły wieczór na programie variete Ronachera. Wróciłem do hotelu „Kranz” na dobrze zasłużony wypoczynek. O siódmej rano ktoś zapukał do drzwi.

Myślałem, że to pokojówka budzi mnie przez pomyłkę, ale gdy otworzyłem drzwi, serce we mnie zamarło na widok Hansa w opła' kanym stanie — z obandażowaną głową, zakrwawionym nosen i ustami, z ręką na temblaku.

— Na miłość boską, co się stało? — zawołałem, zmuszając go<sup>o</sup> by usiadł.

— Zostałem pobity — odpowiedział drżącym głosem.

— Przez kogo?

— Przez jej męża i dwóch braci — rozplakał się. — Zagr że znów mnie pobiją, jeżeli tylko spróbuję się z nią jesszcz baczyć.

Cała moja sympatia była po jego stronie, ale jednocz strach mnie obleciał w związku z paszportem. Hans jednak u ^ koił mnie, twierdząc, że Maria zapewniła go, iż mąż nig<sup>o</sup> spostrzeże jego braku, a zresztą jeśli chcemy, możemy Pa odesłać.

W dwa dni później przybyłem do Werbowki. Pierwsze, ® biłem, to odesłałem dokument Hansowi.

458

Lato 1912 roku było w tej ukraińskiej wiosce urocze. Spokój, oderwanie od świata i proste, nie narzucające się piękno krajobrazu podziało kojąco na moje nerwy. Ostatnie miesiące ^ Wiedniu i w Londynie odbiły się na mnie dość mocno. Nieustanne podniecenie, konieczność podejmowania decyzji, liczne rozczarowania i ciężar odpowiedzialności, wieczne kłopoty finansowe — wszystko to podkopało moją odporność psychiczną. Wystarczyło jednak kilka dni w tym cichym zakątku, bym wrócił do siebie.

Dawydowowie stanowili rodzinę idealną do współżycia. Ojciec oraz trzej synowie byli weseli, pełni wigoru i, dzięki Bogu, dyskretni. Nigdy nie wtrącali się do moich spraw osobistych, nigdy nie prosili, abym grał, jeśli sam im tego nie zaproponowałem. Pani Natalia była idealną towarzyszką. Kiedy grałem, siadała cichutko w kąciku, a kiedy indziej całymi godzinami rozprawialiśmy o sztuce i literaturze, o życiu i ludziach. Dawała mi do czytania wiele rosyjskich książek, których dotąd nie znałem. Była uzdolnioną malarką i zorganizowała szkółkę dla rozwoju sztuki ludowej wśród miejscowych chłopów. Jedna z tamtejszych wieśniaczek nosiła na łańcuszku złoty medal zdobyty na wystawie w Londynie.

Moim ulubionym miejscem lektury była ławeczka otoczona klombami kwiatów i kilkoma brzózkami. Stąd miałem wspaniałe widoki na majestatyczne zachody słońca nad bujnymi, falującymi polami, za którymi rozciągał się bezkresny — zdawało się — step ukraiński. Tym razem nie odwiedziłem rodziny Szymanowskich: zbyt świeżo jeszcze miałem w pamięci głupi spór z Karolem; zresztą od Natalii Michajłowny dowiedziałem się, że Fitelberg i Karol wynajęli sobie w Wiedniu mieszkanie i że spędzają tam razem lato.

Pewnego dnia otrzymałem list zawierający niezwykle przykre wiadomości. Pan Bergheim zginął w wypadku samochodowym, jego żona, która jechała wtedy wraz z nim, odniosła drobne obrażenia.

Kochany starszy pan! Płakałem jak dziec-poczuwając się do winy za to, że jednak zagrałem tego zło-Marsza żałobnego. Myślałem o tym ze zgrozą, napisa-jednafc obszerny list do pani Bergheimowej i kartkę do bra-który mnie powiadomił o tym strasznym wypadku.

pobyty spędziłem głównie przy fortepianie, moim wiel-Poeieszycielu. Natalia Michajłowna okazywała mi wiele współ-J z moich opowieści o naszej krótkotrwałej przyjaźni wie-ta o Sergheimach wszystko, awydowowie zatrzymali mnie tydzień dłużej, niż było plano-

wi

I

459

— Nie chcemy pana widzieć tak przygnębionego — mówili. Mieli słuszność — wziętem się więc w garść, zdecydowany wy-B ruszyć na podbój Londynu dla uczczenia pamięci pana Berghei-ma — i bez Chestera.

Po powrocie do Warszawy zastałem w hotelu „Victoria” list od pani Bergheimowej. Przebywała w Wiedniu u innej bratanicy jej męża, Marjorie, która poślubiła Freda McGarveya, syna i spadkobiercę współnika pana Bergheima. Starsza pani przekazała mi w liście szczegółowy opis wypadku, w prostych słowach opowiadając, jak to wyrzuciło męża z samochodu, którym właśnie jechali, wskutek czego poniósł śmierć na miejscu.

W postscriptum dodała kilka wzruszających słów: „Pamiętam dobrze o zamierzeniach mego drogiego męża w stosunku do Pana i postanowiłam je spełnić. Proszę więc, Drogi Chłopcze, przyjąć moje zaproszenie i w czasie pobytu w Londynie zamieszkać u mnie w domu, a także dać mi znać, jak mogę być Panu pomocna w Pańskiej karierze artystycznej”.

To postscriptum poruszyło mnie do głębi serca; była to nader pomyślna niespodzianka. Ze wstydem muszę wyznać, iż nie doceniałem pani Bergheimowej. Wywodziła się ze środowiska zamożnego protestanckiego mieszczaństwa angielskiego, wraz ze wszystkimi jego wiktoriańskimi obciążeniami. Stąd wydawało mi się, że wystarcza jej szczęśliwe bytowanie w cieniu dominującej osobowości męża, a nie zdawałem sobie sprawy, jak silnym charakterem odznaczała się ona sama.

Odpisałem w gorących słowach, z góry dziękując za zaproszenie. Przyrzekłem też złożyć jej niebawem wizytę w Wiedniu, gdzie miałem wystąpić z koncertem.

Pola po powrocie do miasta była wstrząśnięta wiadomością o wypadku.

— I ja miałam złe przeczucie owego wieczora, kiedy mi o wiedziałeś o Marszu żałobnym — powiedziała.

Sezon zacząłem od koncertu w Łodzi, gdzie rodzice i \* rodziny ciekawi byli mojej relacji z koncertów za granicą. E wszakże najlepszymi detektywami w świecie, z góry znali wszystkie szczegóły.

Po dwóch czy trzech koncertach w zaborze rosyjskim wyje ^ łem na doroczny występ do Krakowa. Kierownik sali z za leniem zakomunikował mi, że będę miał bardzo wysoką wencję:

— Niebawem prześcigniemy Lwów — chełpił się. Jego sekretarz, Rudolf Eisenbach, kuzyn pianisty  
460

Friedmana, zajmował się praktycznymi przygotowaniem do koncertów. Po wyjątkowo pomyślnych rezultatach mego recitalu podziękowałem mu za doskonałą pracę. Poprosił wówczas o spotkanie w cztery oczy: miał dla mnie pewne propozycje. Siedliśmy w kawiarni, gotów byłem go wysłuchać. — Pan wie, co o panu sądzę — zaczął nieśmiało, a uszy mu spłoszowały. — Ma pan zadatki na zrobienie wspaniałej kariery artystycznej, ale potrzebny jest panu ktoś, kto pomógłby panu to osiągnąć.

— Nie zgadzam się z panem — przerwałem mu. — Jeśli moje koncerty będą nadal przynosić podobne rezultaty jak ten ostatni w Krakowie, to nie będę musiał się o nic martwić.

— Ależ pan się myli — odparł podniecony. — Pan jest artystą, a tymczasem żeby osiągnąć powodzenie i korzyści, potrzeba człowieka interesów. Panu potrzebny jest ktoś, kto potrafiłby wykorzystać sprzyjające okazje, kto nawiązałby kontakty z agencjami koncertowymi i umiał rozmawiać o pieniądzach. I właśnie ja jestem dla pana takim człowiekiem — jego podniecenie wzrosło jeszcze bardziej. — A oto mój plan: będę pańskim prywatnym impresariem. Przygotuję pańskie tournée od strony praktycznej, roześlę organizatorom koncertów materiały reklamowe, uzyskam dla pana wyższe honoraria i na własną rękę zorganizuję panu koncerty w miastach, gdzie ma pan widoki na wyprzedanie sali. Będę też podróżował z panem i czuwał, by nikt pana nie wykorzystywał — zatrzymał się dla nabrania oddechu.

— Drogi przyjacielu — powiedziałem, uśmiechając się smutno — pański plan jest znakomity i wszystko to brzmi cudownie, tylko skąd ja wezmę pieniądze, żeby panu za to wszystko płacić? Ledwie wystarcza mi na pokrycie własnych wydatków, a pan chciałby ze mną podróżować.

!-\* Ależ nie, nie! Pan mi nie pozwolił skończyć! — wykrzyknął Pośpiechu. — Na razie nie musi mi pan nic płacić. A kiedy już d pan mógł sobie na to pozwolić, wystarczy mi dziesięć pro- od pańskich dochodów netto. Zresztą postaram się, żeby pan tyle, aby móc sobie na to pozwolić. Koszta podróży wezmę sobie do czasu, gdy będzie pan w stanie zwrócić mi je bez , °niemiałem. Jego propozycja brzmiała zbyt pięknie, by mogła yć prawdziwa. Perspektywa posiadania własnego impresaria, °ry zajmowałby się moimi sprawami bez żadnych z mojej strony iążaó' była nie do odrzucenia- \* przyjąłbym ją od razu, nie obawiał się~> Ż€ przegapiłem jakiś niekorzystny dla e Punkt w jego planach. Proszę mi to przedstawić na piśmie — powiedziałem. —

Omówię tę sprawę z pańskim obecnym pracodawcą. Zrobię tak, jak mi poradzi, bo on od lat obserwował pańską działalność.

Wyraził zgodę. Z papierem w rękę (po dokładnym przestudiowaniu go) przedstawiłem całą sprawę jego szefowi.

— Od dawna już nosił się z tą myślą — potwierdził pan Trzcziński. — Wiem, że tracę w ten sposób dobrego sekretarza, ale moja rada brzmi: proszę go zaangażować, okaże się nieoceniony.

Eisenbach i ja sporządziliśmy i podpisaliśmy kontrakt na trzy lata. Nie tracąc czasu, Eisenbach zabrał się do dzieła, a wyniki nie dały na Siebie długo czekać. Koncerty we Lwowie odbywające się pod jego zarządem przyniosły więcej pieniędzy. Ponadto uzyskał dla mnie w Galicji kilka kontraktów za wyższe honoraria. Skutecznej korespondencji z rosyjskimi towarzystwami muzycznymi zawdzięczałem niezłe tournee, obejmujące między innymi także Petersburg. W celach reklamowych kazał wydrukować kilka eleganckich broszurek z moim zdjęciem oraz cytatami z różnych recenzji i rozesłał je do ważniejszych ośrodków muzycznych.

Przez całą jesień nie dawał mi wytchnienia. Koncerty w Rosji były Szczególnie udane, zwłaszcza w Kijowie, gdzie moi przyjaciele podejmowali mnie jadłem i napojem. W tym samym czasie, gdy dawałem koncert w Petersburgu, Dawydowowie także przebywali w stolicy i nalegali, abym towarzyszył im na różne przyjęcia. Raz nawet (co prawda pod nieobecność cara) byliśmy w Pałacu Zimowym na obiedzie wydanym przez generała-komendanta gmachu.

Wspaniały był Eugeniusz Oniegin w Teatrze Maryjskim. Wielkie przyjęcie odbyło się w okazałej rezydencji baronowej Ttekuli--Gilenband, którą poznałem w Kijowie. Setki ludzi wypełniły pięć czy sześć sal recepcyjnych. Zmęczony dokonywanymi przez panią domu niezliczonymi prezentacjami różnym książętom i hrabio©) a nie znajdując prócz mych przyjaciół nikogo, z kim mógłby<sup>^</sup> porozmawiać, próbowałem odnaleźć drogę do bufetu. Mijając jak« buduar, zauważyłem potężnego mnicha, który siedział na tabor cie i przemawiał do otaczającej go grupy ludzi. Byłem przekonany że to zbiegły z monasteru mnich Teodor, który publikował pal flety wymierzone przeciwko wszechpotężnemu Synodowi i stał si

popularny w niektórych petersburskich salonach. Ze swymi brud-

nymi włosami i rozczochraną brodą wyglądał tak odrażająco, oddaliłem się. Później, gdy szliśmy ulicą, Dymitr Dawydow s nął mi:

— Ten mnich to Rasputin. Wywiera niebezpieczny carycę i cara.

Żałuję, że nie przyjrzałem mu się wówczas dokładniej.

462

W okresie Bożego Narodzenia i Nowego Roku spędziłem kilka tygodni w Warszawie. Eisenbach przyjechał do mnie w związku z nowymi planami. Pozostał mi jedynie kontrakt na dwa koncerty w Rzymie. Ważne było, abym po udanych debiutach w Wiedniu, gerlinie i Londynie wystąpił w tych miastach ponownie. Nie mieliśmy jednak pieniędzy na pokrycie związanych z tym dużych wydatków. Po starannym przestudiowaniu całej sprawy doszliśmy do wniosku, że mogę zaryzykować dwa koncerty w Wiedniu. Londyn z Chesterem nie wchodził w rachubę. Musieliśmy szukać innego impresaria.

Wyjechaliśmy do Wiednia, gdzie Eisenbach zaczął przygotowywać moje recitale w Musikvereinsaal. W tydzień później wsiadłem do' pociągu jadącego do Rzymu. W Augusteo frekwencja była dobra, publiczność zgotowała mi owację, ale honorarium było tak śmiesznie niskie, że ledwie pokryło kosztą podróży i utrzymania. Wszyscy moi „znaczący” przyjaciele powyjeżdżali z miasta, nie miałem więc żadnych widoków na jakiś miły dochodowy kon-cercik prywatny.

— W sezonie zimowym wszyscy wyjeżdżają na narty lub przebywają na Riwierze — wyjaśnił hrabia San Martino.

W Rzymie spędziłem tylko kilka dni, w Wenecji zabawiłem niespełna tydzień i wróciłem do Wiednia. Eisenbach, który oczekiwał mnie na dworcu, o naszych koncertach wyrażał się raczej pesymistycznie.

— Podczas pierwszego recitalu będziemy mieli przeciwko sobie doroczny wielki bal — powiedział — natomiast drugiego wieczora odbędzie się galowa premiera w Operze.

Słuchałem, nie denerwując się ani nie upadając na duchu. Moje długoletnie obserwacje nauczyły mnie, że ile razy publiczność ociąga się z nabywaniem biletów, miejscowy impresario zawsze pąjdzie jakieś rzeczywiste i niezaprzeczalne powody po temu: pieniny burmistrza, obchody patriotyczne albo epidemia kataru. .Ie jeśli publiczność naprawdę chce artystę usłyszeć, to adne

wojny, rewolucje ani strajki powszechne nie przeszkodzą je3 w przybyciu na koncert. z hotelu „Kranz” zastałem kartę pocztową od pana von Sachsa ^Proszaniem na herbatkę „na cześć pani Bergheimowej”. Zate-^nowałem, że zaproszenie przyjmuję, i wtedy dowiedziałem się, aSza PrzyJaciółka wróciła do Wiednia i zamieszkała u państwa " Odnalazłem ich numer w książce telefonicznej i nie , zadzwoniłem. Pani Bergheimowa ucieszyła się, słysząc S?Os- Przez telefon przedstawiła mnie swej bratanicy, która °S\* mnie nazajutrz na obiad.

463

—! Ciotka Clara tyle nam o panu opowiadała — rzekła McGarvey.

Fred i Madge McGarveyowie zajmowali duży, wygodny aparta« ment przy Arenburg-Platz, niedaleko od Godowskich. Kiedy wszedłem do salonu, byli sami.

— Ciotka przyjdzie do nas za chwilę, ale wcale nie jest nam potrzebna do zawarcia znajomości.

Znamy pana doskonale z jej opowiadań i od dawna cieszyliśmy się na to spotkanie.

Od razu poczułem się w ich towarzystwie zupełnie swobodnie a gdy pani Bergheim weszła do pokoju, wszyscy troje gawędziliśmy z ożywieniem, jak gdybyśmy się znali od wieków. Wydawało mi się, że starsza pani otrząsnęła się już po przeżytej tragedii; wyglądała dokładnie tak samo jak w dniu, w którym ją pożegnałem.

— Mój drogi Arturze — objęła mnie i ucałowała. — Jakże się cieszę, że pana widzę. Tak bardzo mi go pan przypomina — dodała cicho, po czym rozplakała się.

Byłem głęboko wzruszony.

Przy stole wywiązała się ożywiona rozmowa o muzyce; tak Fred, jak i Madge McGarvey byli bardzo muzycy, szczególnie zaś pasjonowali się pianistyką. Wieść o moich wiedeńskich koncertach bardzo ich poruszyła.

— A co z Londynem? — spytała pani Bergheim. — Kiedy pan przyjedzie? Mam nadzieję, że nie zapomniał pan o obietnicy zamieszkania u mnie?

— Nie sądzę, abym mógł przyjechać w tym roku — powiedziałem. — Nie mam w Londynie żadnych koncertów.

— Sądziłam, że wszystko jest już dawno załatwione — zdziwiła się pani Bergheim. — Johnny mi mówił, że osobiście zamierza się tym zająć. Dlaczego zmienił pan plany?

Niebawem wskutek mego niepohamowanego gadulstwa jej c\*e" kawość została zaspokojona. Po półgodzinnej rozmowie zarówno ona, jak i państwo McGarvey wiedzieli już o mnie wszystko, o wiedzieć było warto. Panią Bergheimową najbardziej zafaseync wał mój niezwykle kontrakt z Eisenbachem.

tego pańskiego sekretarza czy

-m0

— Chciałabym poznać impresaria.

— On jest i jednym, i drugim — powiedziałem.

Jeszcze tego samego popołudnia Eisenbach w długiej xozii( przedstawił pani Bergheimowej plany na najbliższą przysz i uzyskał od niej kredyt do wysokości tysiąca pięciuset f zaś od Freda McGarvey dodatkowe pięćset funtów. miały służyć rozreklamowaniu moich koncertów w L° Wiedniu, Berlinie i w innych ważniejszych miastach. Mój s

zys fu\*

464

rZ zobowiązał się przedkładać okresowe rozliczenia ze swych ^datków.

po pomyślnym zakończeniu tej wizyty Rudolf z miną Napoleona

0 bitwie pod Austerlitz opowiedział mi dokładnie o tym swoim tryumfie. Pani Bergheim szlachetnie odmówiła przyjęcia jakichkolwiek podziękowań:

\_\_\_ Zrobiłam tylko to, co zamierzał zrobić Johnny.

^ gdy zażenowany próbowałem wyrazić wdzięczność, Fred jLcCrarvey przerwał mi i położył dłonie na ramionach:

\_\_\_ - Mój drogi przyjacielu, swój majątek zawdzięczam Polsce, a pan tylko dał mi okazję odwzajemnienia się za to.

Oba koncerty wiedeńskie sprawiły mi dużą satysfakcję. Na pierwszym wykonywałem arcytrudną Sonatą „Hammerklavier” Beethovena, która dla przeciętnego pianisty stanowi przeszkodę nie do pokonania. Przykucie uwagi słuchacza w czasie długiego, spokojnego i majestatycznego Adagia to zadanie niełatwe, z którym — jak sądzę — tego wieczora zdołałem się uporać. Repertuar drugiego koncertu miał nieco lżejszy charakter. Po Bachu i Chopinie grałem utwory, które zazwyczaj

zapewniały mi sukces. Pierwszy recital przyniósł deficyt, ale koszty drugiego zostały niemal całkowicie pokryte.

Godowski obecny był na obu koncertach i nie szczędził pochwał Sonacie.

— Ale musi pan ćwiczyć — dodał.

Ku naszej obopólnej uldze młodzieńca Dagmar Godowska zdołała doprowadzić do całkowitego pojednania między Karolem a mną. W sławnej herbaciarni Dehmela uszczęśliwieni ze spotkania wyśmialiśmy naszą bzdurną, dziecinną sprzeczkę. Od owego dnia nasza przyjaźń pozostała nienaruszona aż do przedwczesnego zgonu Karola.

!— Jak ci idzie z Ficiem? — spytałem, lecz pytanie to okazało się fatalne.

~ Nie wypowiadaj przy mnie imienia tej bezwstydnej kreatury — zawołał z obrzydzeniem.

A có on ci takiego zrobił? — byłem coraz bardziej zacie-

Karol, do żywego oburzony, zaciskając nos palcem, powiedział yc\*ąc z wściekłości:

0,-" Arturze, wyobraź sobie tylko, że ten łajdak pod moją nie-^cność przyprowadził do naszego mieszkania kobietę i miał nie-godną czelność spać z nią na moim łóżku, tuż pod portretem matki. Rozumiesz, Arturze? Pod portretem mojej J} z o n e j matki! Powinienem być zabić go za to! Le mogłem się powstrzymać i zachichotałem.

465

Historia ta przypominała mi podobny incydent między C nem a Lisztem, który dopuścił się takiej samej profanacji. 7^ czy inaczej, wcale nie byłem niezadowolony, że Karol poznał oblicze „prawdziwego” Fitelberga.

Eisenbach zorganizował mi recital w Berlinie, w starej SW akademii, w tej samej sali, gdzie niegdyś słuchałem Joachima i Hausmanna grających Podwójny koncert Brahmsa z towarzyszeniem Meininger Hofkapelle pod dyktando Fritza Steinacha. Czuję się zaszczycony, występując w tej czcigodnej sali.

Oczekiwała mnie miła niespodzianka. Pani Emma Engelmann w liście przekazanym mi za pośrednictwem naszego agenta zaprą-szała, abym w czasie pobytu w Berlinie był jej gościem. Straciła męża i mieszkała z synem Hansem nieopodal KurfiirstendamiB, Z wdzięcznością podziękowałem telegraficznie.

Rankiem, w dniu naszego przyjazdu do stolicy Niemiec, Hans, obecnie wysoki, dość otyły młody człowiek, przywitał mnie szerokim uśmiechem i zawiózł do ich nowego domu. Rudolf wynajął pokój w pobliskim hotelu.

Pani Engelmann prawie zupełnie się nie zmieniła; pozostała taką samą serdeczną, ruchliwą, okrągłą i niewielką damą, jak wówczas kiedy się z nią żegnałem. Przy śniadaniu mieliśmy sobie tyle do opowiedzenia, głównie o sprawach muzycznych. Jakże przyjemnie było znów zanurzyć się w znajomej atmosferze.

Koncert przebiegł doskonale. Publiczność była niezbyt liczna, za to nad wyraz wdzięczna. Grałem, zwracając baczną uwagę na szczegóły, precyzyjnie pod względem technicznym, ale bez zwykłej pewności siebie. W Berlinie mój naturalny entuzjazm często tracił spontaniczność, jak gdyby wciąż jeszcze ciążyła na mnie atmo sfera dawnych czasów Bartna. A propos Bartha — profesor obecny był na koncercie i napisał mi list pełen krytycznych aluzji choć w kilku słowach pochwalił mnie za Chopina. W jego Hs^ daremnie doszukiwać by się choć śladu poważniejszego podejścia do samej istoty muzyki; nie było w nim nic, prócz kilku rad doty czących lepszego rozwiązania problemów technicznych.

Pani Engelmann przez całe popołudnie grała ze mną kwar Beethovena i Schuberta w opracowaniu na cztery ręce. I w siódmym niebie. To popołudnie przetrwało w mojej pais\* jako najprzyjemniejsze chwile owych berlińskich dni.

m je określać mianem Wiednia Wschodu. Starszy pan którego ;azWiska zapomniałem, czekał na mnie na dworcu

g  
\_ To właśnie ja pana zaangażowałem — powiedział

LLLLL \* " hpt6IU ZaPytałem ° te^ odpowiedź

^

Wyjechaliśmy z Rudolfem do Krakowa. Miał tam jakieś sprawy do załatwienia, a ja dawałem w Galicji dwa dcda koncerty, w tym jeden w Czerniowcach, bogatym ośrodku P myślowym nieopodal granicy rumuńskiej. Mieszkańcy tego J

466

\_\_\_ Mój drogi chłopcze, może pan być dumny, że ma pan okazję tępować w Czerniowcach. Abonentami moich koncertów są ^wybitniejsze osobistości miasta, znacznie wytworniejsi niż jakakolwiek publiczność wiedeńska.

Jego przechwałki zrobiły na mnie\* pewne wrażenie, choć wcale mnie nie przekonały. Sala odznaczała się właściwymi proporcjami i była w dobrym guście, akustykę miała idealną, a instrument okazał się dobrym fortepianem Bdsendorfera. Tylko jeden szczegół, dość zresztą osobliwy, nie przypadł mi do gustu: po jednej stronie sali znajdował się ciąg dziesięciu drzwi, które wychodziły wprost na ulicę. Na myśl o tym, że mam grać tak blisko ulicznego gwaru, czułem się nieco zaniepokojony. Przyzwyczajony byłem do sal dobrze odizolowanych od dźwięków z zewnątrz. "Wieczorem, w czasie koncertu, publiczność prezentowała się naprawdę imponująco. Sale wypełniali ludzie ubrani tak, jak gdyby zostali zaproszeni na bal do cesarza, a nie na zwykły koncert. Impresario miał rację — była to najwytworniejsza, ale też i naj-obojętniejsza i najbardziej zimnokrwista publiczność, przed jaką zdarzyło mi się występować. Po każdym wykonanym przeze mnie utworze — a grałem dobrze — z trudem dało się słyszeć kilka uprzejmych okłasków urękawiczonych dłoni; okłaski te zamierały, zanim jeszcze zdążyłem się uklonić. Nic więc dziwnego, że w tej sytuacji zamierzałem recital zakończyć jak tylko można naJszybciej. Kiedy rozległ się ostatni akord, publiczność poczęsto-Wała mnie trzema dodatkowymi kłaśnięciami i gotowała się do |puszczenia sali. Wszystkie drzwi wyjściowe otwarto na oścież, I U na salę wdarł się podmuch zimnego powietrza. Schroniłem się ° garderoby i właśnie sięgnąłem po płaszcz i kapelusz, gdy nagle . yszalem odgłos prawdziwego aplauzu. Zerknąłem na widownię 2e zdumieniem zobaczyłem, że cała publiczność stoi w płaszczach , ^Pamiętała klaszcze. dj > Pomyślałem drwiąco, a więc tutaj klaszcze się tylko wtedy, y chodzi o bisy, a przedtem nie? No to ja ich nauczę. Wszedłem Scenę, żeby z lodowato chłodną godnością złożyć ukłon. Brawa l^% się coraz głośniejsze. Ukloniłem się jeszcze dwa-trzy razy, fW c n\*e mogłem powstrzymać się od uśmiechu. Teraz roz-y si<? okrzyki: „Brawo, «bis! Brawo, bis!" — okrzyki, którym ^en artysta nie potrafi się oprzeć. Zagrałem więc. Kiedy skoń-em- wybuchł istny szal. Zmuszony do trzykrotnego jeszcze

467

bisowania, zakończyłem kncert uradowany odniesionym su sem.

Podczas całego koncertu stary impresario siedział spokojnie w kącie garderoby, najwidoczniej zadowolony i ze mnie, i zW bliczności. Ale gdy zaczęły się okłaski, zaniepokoił się. Słyszał jego gniewne mamrotanie: „Muszę wreszcie z tym skończyć, m. żej już tego nie zniosę. Muszę zrobić z tym koniec!"

Jego gniew narastał po każdym bisie, aż wreszcie w istnym roksyzmie wściekłości zaczął krzyczeć, wałąc pięściami w stół;

— Za wezwę policję! Ja muszę wezwać policję!

— Co się stało? — spytałem troskliwie. — Ma pan jakieś poty? Czy mógłbym panu w czymś pomóc?

— Nie — odparł z gestem zniechęcenia. — To na nic. Nic pa nie powstrzyma od bisowania. Tego było mi już nadto.

— Nie widzę żadnego związku pomiędzy moimi bisami a wściekłością? — powiedziałem ostro. Uspokoił się i odrzekł drżącym głosem:

— Widzi pan, to wszystko wina tych przeklętych drzwi wyj ściowych. Otwiera się je po zakończeniu koncertu i kiedy moi publiczność opuszcza salę, tysiące łobuzów, którzy czekali na tf chwilę po kawiarniach i na ulicy, pcha się do środka i głośniejsze okłaskuje moich artystów, aby zmusić ich do darmowego koncertu, a ja nie mam żadnego sposobu, żeby temu zapobiec! -y westchnął głęboko i opadł na krzesło.

Wyraziłem mu kilka słów współczucia, ale przysiągłem sobie że w przyszłości grać będę w Czerniowcach wyłącznie dla „& buzów".

Nim wróciłem do Wiednia, pani Bergheim wyjechała już ® Londynu. Często widywałem McGarveyów, którzy okazywali ® wszelką możliwą pomoc. Zaprosili mnie, bym ćwiczył na ich. f°r> tepianie, lepszym od tego, jakim dysponowałem w hotelu.

Mój repertuar wymagał poszerzenia. W ciągu niespełna dwc tygodni wzbogaciłem go więc o dwie ważne sonaty Beethovett krótkie utwory Brahmsa i Schumanna oraz wielką Sonatę h'™ Chopina. Jak dawniej — i co zresztą sprawdzić się miaiO w ciągu wielu lat następnych — moje podejście do utworu, miałem na warsztacie, stanowiło proces przedziwny i zloi zawsze posiadałem jasną

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

koncepcję struktury dzieła i \*eZ potrafiłem wczuć się w emocjonalne intencje kompozyto1"8^ z powodu wrodzonego lenistwa zbyt mało uwagi P0^ szczegółom, a także wykończeniu i precyzji wykonania t\*1 szych miejsc, których ćwiczenia nienawidziłem. Cały ciężar

168

uCałem więc raczej na wewnętrzne posłanie samej muzyki, na x%. zaWartość treściową i emocjonalną.

!fiienberg, powróciwszy całkowicie do zdrowia po odniesionych krążeńiach i otrząsnąwszy się z zadurzenia w Marii, zakończył •liż swą niedozwoloną działalność. Odkąd znów stał się sobą, prze-prził się w uroczego towarzysza, wzbogacał moje życie swą zległą wiedzą, która obejmowała wszystko, co godne było czytania\* obejrzenia czy posłuchania. To właśnie on zaznajomił mnie pierwszymi powieściami Tomasza Manna, z poezją Rainera arii Rilkego i z muzyką młodych kompozytorów austriackich. Karol pokazał mi szkice koncertu fortepianowego, który zamierzał napisać dla mnie, ale wykorzystał je później w swym I Koncercie skrzypcowym, zadedykowanym Pawłowi Kochańskiemu. Wynagrodził mi to później, poświęcając mi piękną Symfonię koncertującą na fortepian i orkiestrę.

Oglądaliśmy Kawalera srebrnej róży z Lotte Lehmann i Elisa-beth Schumann — cóż za wspaniały duet! Ale najwybitniejszym wydarzeniem sezonu był Koncert podwójny Brahmsa w wykonaniu Ysaye'a i Casalsa. Ponieważ na sali nie było ani jednego wolnego miejsca, musiałem stać wśród orkiestry, ukryty za kontrabasem, ale żadna niewygodność nie była w stanie ani na chwilę odebrać mi rozkoszy i wzruszenia, jakie odczułem słuchając niezapomnianej gry tych dwóch wielkich artystów.

71

Sezon londyński właśnie się rozpoczął. Po długiej i męczącej Naroży z Wiednia przyjechaliśmy, Rudolf i ja, do Londynu «oneczny poranek. Na Victoria Station czekał szofer pani Berg-sD1?IO.Wei> który przez zatłoczone miasto zawiózł nas na odległą, njną ulicę Belsize Park. Starsza pani powitała mnie ze swą ą szczerością i prostotą. ""Mam nadzieję, że będzie panu wygodnie, mój drogi — po-Jteiała, prowadząc mnie do uroczego pokoju na drugim pię-" ~~~ Nina i Peter są pańskimi sąsiadami, więc nie dokuczy ? samotność. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę weta ^gins, moją pokojówkę, ona będzie się panem opieko-^em się, jak gdybym mieszkał tutaj przez całe życie. Wiggins

469

w milczeniu, sprawnie rozpakowała kufer, ułożyła wszystkie rzeczy i zabrała garnitury do prasowania.

Eisenbacha szofer odwiózł do hotelu, w którym pani zarezerwowała mu pokój.

W czasie obiadu poznałem dwoje pozostałych domowników Nina Bergheim była wysoką szczupłą kobietą pod trzydziestkę nieśmiałą i sympatyczną; wydatnie pomagała ciotce w prowadzę.! niu domu. Niestety, twarz miała tak absolutnie przeciętną, że na ulicy nie byłbym w stanie jej rozpoznać. Jej brat, Peter, był czło. wiekiem interesów; zajmował odpowiedzialne stanowisko w jednej z wielkich spółek stalowych. Żyd, urodzony podobnie jak jego stryj w Jerozolimie, usiłował wyglądać i zachowywać się bardziej po angielsku niż sami Anglicy, wskutek czego wiało od niego chłodem i obojętnością. W późniejszych latach zmienił nawet zwisko.

Tydzień minął mi na wypoczynku — włączyłem się w spokojny^i uregulowany jak w zegarku tryb życia mieszkańców tego domu/ Rano, po śniadaniu, pani Bergheim zapraszała mnie zwykle do\* swego buduaru, żebym jej przeczytał listy, które przyniosła ranna poczta — domyślam się, że był to rytuał, który odprawiała codziennie ze swym nieżyjącym już mężem. Po przeczytaniu ostat-1 niego listu byłem wolny i mogłem swobodnie poświęcić się pracy | nad nowym repertuarem.

Eisenbach zarezerwował dwa terminy moich recitali w Bech-stein Hali, pierwszy pod koniec maja, drugi w czerwcu. Impre-sario, którego teraz wybrał — nazywał się Daniel Meyer — miał na swojej liście wielu artystów i zasługiwał na zaufanie... W każdym razie nie mógł okazać się gorszy od starego Chestera!

Paul Draper przysłał mi list z zaproszeniem na kolację. „P°z niej pomuzykujemy trochę" — pisał. Oczywiście zadzwoniłem, % przyjdę.

Draperowie wyprowadzili się z uroczego domu w dzielnic Kensington i przenieśli się na Edith Grove 19 — była to krót uliczka o niezbyt zachęcającym wyglądzie, a otoczenie jej b biedne i ponure. Muriel Draper posiadała jednak wprost c dziejski dar, dzięki któremu potrafiła przekształcić zwykły, b ny domek pod numerem 19 w miejsce najmilsze pod słońcem tyłach domu znajdowała się stara przybudówka, która J służyć za studio, stajnię, pracownię lub piwnicę i Bóg wie

jeszcze. Muriel opróżniła ją i oczyściła od wewnątrz, pozostaw jedynie nagie ściany z cegły; jedną ze ścian zburzyła, aby u miejsce na drzwi i schody prowadzące do tego pomiesz a potem cudem wyczarowała z niego wspanią, przestronni dratowa sale mn7MP7r\la v>n i^a\*\*\*

pm udem wyczarowała z niego wspanią, przestronni \* dratową salę muzyczną. Po jednej stronie ogromnego k\*\*

470

tal wielki koncertowy fortepian Bechsteina, kilka pulpity i pół-L z nutami. Przeciwległą ścianę zajmowała szeroka, majestatycz-sofa, a po obu jej stronach stały dwa długie renesansowe stoły aZ olbrzymi fotel. Nad kominkiem wisiała stara gotycka ma-jjata. Sufit podtrzymywały ciemne drewniane belki, a ogromne gwiec oświetlały najważniejsze miejsca w pokoju. Wszystko to razem przypominało wnętrze jakiegoś florenckiego pałacu. Ale najcenniejszą zaletą tego pomieszczenia była jakaś jego niezwykła siła przyciągająca wielkich artystów do gry.

Owego wieczora, kiedy miałem po raz pierwszy wkroczyć do tego zaczarowanego pomieszczenia, już od drzwi usłyszałem temat z drugiej części Kwartetu F-dur op. 59 nr 1 Beethovena. Nigdy nie napisano nic piękniejszego! Paul Draper wskazał mi drogę do sali muzycznej, nie chcąc jednak przeszkadzać grającym, przysie-dliśmy na jednym ze stopni. Byłem przeświadczony, że zaproszono mnie na rodzaj soiree musicale, w Anglii zwanego at home, lecz ku memu zdumieniu zobaczyłem z radością nie więcej niż sześć czy siedem osób, które w zapamiętaniu wsłuchiwały się w ową dumną rezygnację, jaką przepojone jest to wzniosłe dzieło. Kiedy dobiegł końca finał z rosyjską melodią, zszedłem po schodach, aby przywitać się z Muriel Draper i poznać jej gości. Trzech z nich było Hiszpanami: Enrique Arbós, skrzypek i dyrygent, oraz Augustin Rubio, wiolonczelista, byli profesorami w Royal Aca-demy of Music, natomiast trzeci, Pedro Morales, grał na altówce. Pozostali to Eugene Goossens, młody skrzypek i kompozytor pochodzenia belgijskiego, który później miał zostać wybitnym dyrygentem; jakaś nieznajoma pani oraz wielki amerykański malarz John Sargent, który — jak się dowiedziałem — był zagorzałym melomanem.

London String Quartet, pod kierownictwem młodego, utalentowanego Alberta Sammons'a, był na najlepszej drodze, aby stać się najwybitniejszym ensemblem tego rodzaju. Czterej muzycy zaproponowali mi, żebym do nich dołączył, tworząc kwintet.

7- Tak, tak! — zawołała Muriel. — Artur zagra z wami, ale Raipierw zjemy kolację.

Udaliśmy się za nią na górę, gdzie stół, zastawiony był homa-ailJi na zimno, szampanem, świeżymi owocami, serami i deserem, Puentując miły dla oka widok. Na jedzeniu i pogawędce minęła a^1, Uroczą godziną, podczas której mogliśmy się lepiej poznać. r '5 rozśmieszał nas do łez zabawnymi historyjkami, a John nt podzielił się ze mną wspomnieniami o Józefie .W#»fc\*\*—\*-rego żywił podziw i którego portret !\*»«<<\*— w doskonałych

471

Zasiedliśmy do wykonania Kwintetu j-móll Brahmsa. Co ^ mnie — musiałem go grać a vista, znałem jednak ten utwór 1 słyszenia, wykonywałem go też nieraz w układzie na cztery ręce Początkowo grałem nieco zbyt ostrożnie; wersja oryginalna ok^ zała się znacznie trudniejsza, niż sądziłem.

Wkrótce jednak roz. grzałem się i przy wrażliwej, skutecznej współpracy Sammons'a i jego kolegów dobrze wykonaliśmy to arcydzieło, co spotkało się z gorącym przyjęciem słuchaczy.

Jak to zwykle bywa wśród muzyków, wdaliśmy się potem w długą dyskusję nad każdym szczegółem naszej interpretacji dopóki nie przerwał nam rozkazujący głos Muriel:

— A teraz proszę o Schumanna!

Usłuchaliśmy. Kwintet Schumanna, istny klejnot muzyki kameralnej, dawał mi lepszą sposobność wykazania się wrodzonym darem i zamiłowaniem do gry zespołowej. Był łatwiejszy do odczytania a vista niż Brahms, toteż z rozkoszą i pasją pogrążyłem się w tym utworze. Kiedy skończyliśmy, nagrodziły nas głośnie brawa. Byłem już pijany muzyką. Rezygnując z członków kwartetu, którzy potrzebowali chwili wytchnienia, łakomym wzrokiem obrzuciłem Goossensa i Rubio.

— Błagam panów, błagam, zagrajmy Trio Schuberta! — namawiałem ich.

Początkowo opierali się, ale gdy prawie siłą zaciągnąłem ich do instrumentów, dali za wygraną i zabraliśmy się do wykonania wielkiego Tria B-dur. W triach czułem się jak u siebie, to była moja domena. Dziesiątki razy wykonywałem je z Pawłem Kochaó-skim i jego bratem. W efekcie nasza gra miała wszelkie cechy wykonania koncertowego. Piękno tej muzyki zaostriżyło nasze apetyty na jeszcze. Nie tracąc czasu, zabraliśmy się do drugiego wielkiego utworu Schuberta, Tria Es-dur, które wypadło nawet jeszcze lepiej niż pierwsze. Zadowoleni, choć nieco znużeni, podnieśliśmy się z miejsc, skłonni na tym dzień — a raczej noc — zakoi czyć, gdy Muriel odezwała się tonem nie



znoszącym sprzeciwu

— Paul, zaśpiewaj nam parę pieśni z Winterreise.

Tak więc Paul przy moim akompaniamencie odśpiewał prawie cały cykl Podróży zimowej Schuberta swym niewielkim, lecz brzo wyszkolonym głosem i z ogromną siłą wyrazu. Skończyć a ja w dalszym ciągu grałem ulubione pieśni Brahmsa, Schumana, Huga Wolfa i innych, wszystko, co tylko przychodziło mi na myśl. Po tej muzycznej orgii naprawdę była już pora wracać do «

— Chodźcie na górę na małą przekąskę — zawołała z PIĘ Muriel. — Na pewno jesteście głodni.

Tak, rzeczywiście byliśmy głodni, choć nie zdawaliśmy sobie sprawy. „Przekąska” okazała się obfita: składały się na

472

lii

dziane jaja, zimne mięso, ser i kawa. Rozmawiając, śmiejąc się i żartując pożegnaliśmy się wreszcie i poszliśmy każdy w swoją stronę. Od tego wieczora sala muzyczna przy Edith Grove 19 stała się świątynią tak fantastycznego muzykowania, jakiego świat nie widział w swojej pamięci; pozostaje wspomnieniem najwyższej muzycznej euforii.

Przez jutro obudziłem się w południe. Przy obiedzie pani Bergheim spytała:

— Czy był pan wczoraj na tańcach? Słyszałam, jak pan wracał

o piątej nad ranem.

Opowiedziałem jej, na jakim byłem przyjęciu. Staruszka nie kryła zdumienia:

— Ależ to niewiarygodne! To bardzo nieładnie tak kazać gościom, żeby grali i jeszcze komenderować nimi! I dwie kolacje, powiada pan? Oni muszą być bardzo bogaci!

— Nie, nie sądzę — odparłem. — Za to pewien jestem, że wydadzą jeszcze niejedno takie przyjęcie i bardzo chciałbym kiedyś tam panią zabrać.

Biedna pani Bergheimowa! Sporo czasu upłynęło, nim wreszcie zdołałem jej wytłumaczyć, jak ja to rozumiem. W każdym razie — chcąc ją udobruchać — grzecznie zabrałem się do czytania jej listów. Maj 1913 roku minął jak sen. Miesiąc ten przyniósł mi kilka zaproszeń na przyjęcia, kilka przedstawień teatralnych, wielkich

i pomniejszych koncertów — często pobudzających do myślenia, czasem zabawnych, lecz zawsze interesujących; jednak natchnieniem, i to natchnieniem w najlepszym tego słowa znaczeniu — były dla mnie wieczory muzyczne przy Edith Grove. Towarzystwo wybitnych muzyków, którzy życie całe poświęcili, by wyrazić to, Co jest w muzyce najczystsze, wzbogacało, uszlachetniało i pobudzało .

wszystkich obecnych — zarówno wykonawców, jak i słuchaczy. Do następnego spotkania u Draperów doszło zupełnie nieoczekiwanie, spontanicznie. Zeszliśmy się wszyscy na koncercie Jacquesa Thibaud, który występował z orkiestrą w Queen's Halli. Urzeczony jego piękną grą, Draperowie, ja, a także wielu innych muzyków udaliśmy się do pokoju artystów, by podziękować wielkiemu tytkowi.

Chodźmy wszyscy na kolację na Edith Grove — powiedziała Muriel jak to zwykle ona, tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Jaj idźcie po instrumenty — dodała, zwracając się do grupy. — Jacques i Artur będą chcieli pograć.

Ależ z rozkoszą, moja droga — powiedział Thibaud, który już w ich dawnym domu.

473

Draperowie, Jacques i ja wsiedliśmy do taksówki i byliśmy w miejscu na długo przed pozostałymi.

Kolacja stała na stole: Muriel zamówiła ją telefonicznie w „Savoy Grill”.

Tego wieczora poznałem Lionela Tertisa.

— To mój przyjaciel, gra na altówce — powiedział Albert Sammons, przedstawiając mi niskiego, niepozornego mężczyznę lat około trzydziestu pięciu, który miał najłagodniejsze oczy w świecie skryte za okularami i zawsze chętnie się uśmiechał. Sumiasty, groźny wąs koloru jasnego tytoniu nie pasował do jego przyjaznej twarzy.

— Chodźmy jeść — zarządziła Muriel, klaszcząc w dłonie, a cała wygłodzona trzódka ruszyła do jadalni i dosłownie rzuciła się na smakowite dania z „Savoy Grill”. Kiedy ucichł już nieco radosny szmer wokół zastawionego stołu, Thibaud dał sygnał:

— Chodźcie, chłopcy, zagramy sobie jakiś kwartecik!

Paul ustawił pulpity, a Jacques, Sammons, Tertis i Rubio zasiedli do wykonania jednego z utworów Debussy'ego.

Już po kilku pierwszych taktach uświadomiłem sobie, że zespół brzmi jakoś inaczej, takiego brzmienia nigdy przedtem u nich nie słyszałem — ponad wszystkich wybijał się potężny, śpiewny i

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

uduchowiony ton altówki, na której grał Lionel Tertis. Oto miałem przed sobą jednego z największych artystów, jakich dane mi było poznać i usłyszeć w ciągu całego życia. Od tego wieczora datuje się nasza bliska i serdeczna przyjaźń.

Po Debussym zagrałem z Tertisem, Thibaudem i Rubiem Kwartet fortepianowy c-moll Brahmsa. Brzmienie solą altówki w pierwszej części dźwięczy mi w uszach po dziś dzień. Był to wprost cudowny wieczór muzyczny!

Daniel Meyer starannie przygotował mój pierwszy koncert i jeś nawet sala nie została wyprzedana, to i tak frekwencja była zupeł\* nie przyzwoita. Po raz pierwszy wykonałem kilka utworów z nc wego repertuaru; miałem pewne opory, ale obecność i przyjaciół oraz kolegów-muzyków w ciągu całego recitalu dod wały mi otuchy.

Podczas przerwy Meyer i Eisenbach przynieśli dobrą now1 sir Henry Wood zaprasza mnie, abym w lipcu wystąpił z orkiestrą. Spełniły się moje tajemne życzenia; już od'dawna o marzyłem.

g^o-

Koncert zakończył się głośnym sukcesem Poloneza As-a,ur pina i nieuniknionymi bisami.

Qlll^

Później, w zatłoczonej garderobie, Muriel Draper z < zręcznością wyłowiła właściwych ludzi, żeby zabrać ich d na kolację. Tym razem była na to przygotowana. Pom5

474

Le jest to dobra sposobność, aby pani Bergheim mogła przekonać się, jak właściwie wygląda takie „przyjęcie” u Draperów.

\_ - Czy mogę przyprowadzić do was na kolację panią Bergheimo-^a? — dyskretnie spytałem Muriel Draper.

— Możesz, jeżeli musisz — odpowiedziała na swój zwykły, męski, niezbyt uprzejmy sposób.

Bynajmniej nie zniechęcony tą odprawą, zaprosiłem starszą panią w jej imieniu.

Kolacja była fantastyczna — z homarami i mnóstwem szampana. Tego wieczora oprócz pani Bergheim byli jeszcze inni goście: znów John Sargent, pianista i organista Warner, który w czasie studiów w Harvardzie mieszkał z Johnem w jednym pokoju, a także trzy zachwycające młode Amerykanki, siostry — Sarah, Hoyty i Olga Wiborg. Wszyscy muzycy przynieśli z sobą instrumenty — stało się to już regułą tego domu.

Wieczór rozpoczął się Kwintetem fortepianowym Schumanna, w którym Thibaud i Tertis dokonywali cudów; następnie Jacques i ja wykonaliśmy Sonatę Francka. Wszyscy byliśmy oczarowani czteroletnim rudowłosym synkiem państwa domu, który pojawił się w piżamie, aby posłuchać muzyki. Po chwili matka zaprowadziła go z powrotem do łóżka. Później mieliśmy szczęście wysłuchać Sekstetu smyczkowego Brahmsa w wykonaniu Sammons'a i Goossens'a na skrzypcach, Tertisa i Gertrud Bauer (siostry pianisty Harolda Bauera) na altówkach oraz Rubia i May Mukle (która pojawiła się tu po raz pierwszy) na wiolonczelach — cudowny utwór cudownie wykonany. Po niewielkiej przekąsce nastąpiło uroczne interludium. Siostry Wiborg poprosiły mnie o akompaniament w Tercecie cór Renu ze Zmierzchu bogów Wagnera. Śpiewały przeuroczo, młodymi, świeżymi głosami. Paul, podniecony ich śpiewem, zatrzymał mnie Przy fortepianie i zaśpiewał Ich grolle nicht Schumanna oraz Króla Olch Schuberta.

Pani Bergheim, której wpojono wiktoriańskie tradycje, właściwego organizowania „przyjęcia”, początkowo była nieco zgorszona ^ezceremonialnością panującą w domu przy Edith Grove. Raził k obcesowy, apodyktyczny sposób bycia Muriel, a jej sarkastyczne Uwagi oraz głośny śmiech nie godziły się z kanonami mieszczańskiego dobrego wychowania pani Bergheim. Niebawem jednak Ur°k tego domu, a także piękno muzyki wykonywanej i słuchanej ^radością, jakiej nigdy dotąd nie zaznała, zaczęły czynić cuda. ^a koniec Edith Grove oczarował starszą panią zupełnie. Kiedy Wracaliśmy do domu, nie przestawała mówić o najdrobniejszych Szczegółach wieczoru.

Począwszy od tego dnia, dzieliłem czas między Belsize Park

475

a Edith Grove, co zresztą wymagało wcale niemałego wysiłku fizycznego: długie czekanie na autobus lub taksówkę, przy pozor< nie wprost nieskończenie wielkiej odległości pomiędzy obydwojma domami, wywierało widoczny wpływ na mój system nerwowy. Ogromną pociechą stał się dla mnie przyjazd Pawła Kochań-skiego z Zosią. W początkach czerwca, gdy w Londynie sezon był w całej pełni, do brytyjskiej stolicy ściągali większość wykonawców, ponieważ na kontynencie wszelką działalność artystyczną zawieszano do jesieni. Pawła Kochańskiego Draperowie

natychmiast uznali za pełnoprawnego uczestnika wieczorów muzycznych odbywających się w ich studio, a niebawem oboje z Zosią czuli się domownikami zarówno u Draperów, jak i u Bergheimów. Mój drugi recital, mimo dobrej frekwencji i dobrego przyjęcia, nie spełnił wszystkich pokładanych w nim nadziei. Po prostu zginął w nawale koncertów tradycyjnych ulubieńców angielskiej publiczności; Paderewski, Ysaye, Casals i Kreisler po brzegi wypełniali Queen's Hall; Carusó, Melba i Destinn królowali w Covent Garden. Wielkimi atrakcjami sezonu były też premiery sztuk Bernarda Shawa, Jamesa Barrie i Johna Galsworthy'ego. No i, last but not least, na lipiec zapowiedziano przyjazd Baletów Rosyjskich Diagilewa.

Paweł, Zosia i ja entuzjastycznie uczestniczyliśmy w tej orgii spektakli — czasami udawało nam się zdobyć dobre miejsca, kiedy indziej staliśmy przez całe przedstawienie.

Mimo to muzykowaliśmy przy Edith Grove jak zwykle, a może nawet więcej — nastąpiła bowiem nowa era. Muzycy, dowiedziawszy się o naszych spotkaniach, dopraszali się, aby pozwolić im się do nas przyłączyć, snobi zaś, nie mogąc ścierpieć myśli, że mogliby zostać pominięci, za wszelką cenę starali się uzyskać prawo wstępu. Co do tego Muriel była jednak nieubłagana: wykonawcy zawsze byli mile widziani, nawet jeśli nie mieli widoków na udział\* w grze, ale słuchaczy tolerowała tylko kilku, i to najwybitnie; szych, takich jak Sargent, Henry James czy Norman Doug! Jeśli zmuszona była zapraszać żony muzyków, przygotowywała & nich przytulny kącik na piętrze, gdzie mogły plotkować, nie wżi szkodząc grającym. Natomiast doskonale rozumiały się (z Zosią, choć często dochodziło między nimi do utarczek słowny

Pamiętam wieczór, kiedy Rubio po raz pierwszy przyprowadził Casalsa na Edith Grove. Siedzieliśmy właśnie przy kolacji, w s dio zaś grano jeden z kwartetów Mozarta. Pablo stanął w drzwi wejściowych i nagle spytał:

— Kto to gra na altówce?

Nawet z tak znacznej odległości potrafił odróżnić brzmie

476

Lionela Tertisa. Doszło wówczas do radosnego spotkania dwóch wielkich artystów, którzy dziwnym zbiegiem okoliczności — urodzili się w tym samym dniu tego samego roku, a teraz, w roku 1972, kiedy piszę te słowa, obaj cieszą się dobrym zdrowiem, oSiągnąwszy piękny wiek dziewięćdziesięciu sześciu lat.

Paweł Kochański i ja mieliśmy wielkie szczęście, że dane nam było w owym roku 1913 wykonywać muzykę kameralną wraz z takimi mocarzami. Rubio uwielbiał Casalsa i zawsze nazywał go Pablissimo. Zresztą on sam był także wyjątkową osobowością — po sześćdziesiątce, wysoki, imponującej postury, ze swą rozwianą siwą brodą i grzywą falujących włosów, wydatnym nosem i błękitnymi oczami, w których płonęła wiara i namiętność, mógłby służyć Michałowi Aniołowi jako model posagu Mojżesza.

Tego wieczora, gdy Pablo po raz pierwszy pojawił się w naszej sali muzycznej, ja po raz pierwszy mogłem wysłuchać Kwintetu smyczkowego z dwiema wiolonczelami Schuberta, wykonanego w najwyższym natchnieniu przez Thibauda, Pawła, Tertisa, Casalsa i Rubia. Nie potrafię opisać wzruszenia, jakie przeżyłem, słuchając tego dzieła. Mogę tylko powiedzieć, że począwszy od owego wieczoru moim niezmiennym pragnieniem jest, aby w godzinie śmierci móc słyszeć — rzeczywiście lub w wyobraźni — owo niebiańskie Adagio, brzmiące spokojem i rezygnacją.

Ale wróćmy do mojej kariery artystycznej. Pan Daniel Meyer uzyskał dla mnie dwa zaproszenia na at home'y — pierwsze u lorda i lady Esherów, drugie w pięknym domu południowoafrykańskiego milionera, sir Otto Beita, przy Belgrave Square. Angielskie at home'y miały charakter bardziej oficjalny niż paryskie soirees musicales; traktowano je jak koncerty, tyle że odbywające się w domach prywatnych. Oczywiście wiązało się z tym niemało snobizmu. Tu przypomina mi się następująca anegdota: pewna angielska księżna poprosiła Paderewskiego, aby zagrał P° kolacji, jaką wydawała na cześć króla Jerzego i królowej Marii. Wielki artysta zażądał ogromnie wysokiego honorarium, na co zresztą od razu wyrażono zgodę. Na dzień przed występem otrzy-mał od księżnej liścik: „Drogi Mistrzu! Proszę przyjąć wyrazy ubolewania, że nie zapraszam Pana na kolację. Jako zawodowy artysta, będzie się Pan czuł swobodniej w uroczym pokoju, gdzie także będzie Pan mógł odpocząć przed koncertem. Łączę wyrazy itd.”

Paderewski odpowiedział: „Droga Księżno! Dziękuję za list. Skoro była Pani tak uprzejma i zawiadomiła mnie, że nie mam °bowiązku uczestniczyć w wydawanej przez Panią kolacji, zadowolę się połową honorarium. Łączę wyrazy itd.”

L

477

Znam także inną jeszcze uroczą odpowiedź: Pablo Sarasate, świeżo przybyły do Londynu sławny skrzypek hiszpański, otrzymał następujący liścik:

„Najdroższy Przyjacielu! Jakże się cieszę, że wrócił Pan do miasta! Czy mógłby Pan przyjść do nas jutro na kolację? Pański oddany itd. Postscriptum: Proszę nie zapomnieć przynieść swego stradivariusa”.

Sarasate odpisał: „Cieszę się ogromnie z ponownego spotkania. Przyjmuję oczywiście Pańskie zaproszenie na jutrzejszą kolację. Pański kochający itd. Postscriptum: Mój stradivarius kolacji nie jada”.

Początek lipca przyniósł wiele szybko po sobie następujących interesujących wydarzeń. Paweł Kochański dał wspaniały recital w Bechstein Hali, po którym nastąpiła jeszcze większa porcja muzykowania u Draperów.

Mój pierwszy występ jako solisty z orkiestrą w Koncercie f-moll Chopina publiczność przyjęła przychylnie, nie spodobałem się jednak krytykom. Ich nieomylnym zdaniem koncepcja Paderewskiego, który utwór ten wykonywał w sposób znacznie bardziej sentymentalny i romantyczny niż ja, była ostateczna.

Kreisler, Casals i Harold Bauer zorganizowali w Queen's Hali wspaniały popołudniowy koncert złożony z samych triów. Trzej wielcy artyści o tak różnych temperamentach zespolicili się w idealnej harmonii.

Pewien dziesięcioletni chłopiec zademonstrował ogromny talent w koncercie Mozarta.

Zapowiedziano go po prostu imieniem — Solomon.

Pani Bergheim, która zdążyła się już nawrócić i należała do entuzjastek „przyjęć” u Draperów, nie bez pewnej zazdrości usiłowała dorównać im na swój skromny sposób. Jej nieliczne przyjęcia z muzyką „dostarczoną” przez niedoświadczone trio nie były zbyt udane, za moją więc namową postanowiła wydać prawdziwy angielski at home. Zaproponowałem, rzecz jasna, że wykonani pełny program recitalu. Z dużej sali jadalnej usunięto meble, a firma Bechstein przysłała dobry fortepian koncertowy. Salę wypełnili przyjaciele pani Bergheimowej i ich muzycyści, a ponadto wypróbowana klika Muriel i moi nowi znajomi. Impreza wypadła wspaniale.

Starsza pani nie posiadała się z dumy i radowała się minutą. Do wczesnych godzin rannych zatrzymała Zosię, Pawła i Paula, ażeby rozmawiać o przyjęciu. Udany at home stał się dla niej jakby nowym zastrzykiem sił witalnych. W reZ tacie niemal codziennie wyruszała na zwiedzanie miasta.

Rano, P

478

biadaniu i lekturze listów, zabierała mnie do Kew Gardens albo LO Hampton Court, na wystawę do Royal Academy lub na Chelsea flower Show, i gdy ja często byłem już u kresu sił, ona pozostawała świeża jak kwiat; ponadto codziennie zmuszała mnie do inspekcji wszystkich cieplarni w swym ogrodzie. Nina i Peter Bergheim nie brali w tym udziału.

Kiedyś, późnym popołudniem, gdy czytałem w swoim pokoju, Wiggins zawołała:

— Panie Rubinstein! Dzwoni pani Draper.

Ponieważ sądziłem, że chodzi o umówienie się na wieczór, krzyknąłem:

— Proszę przyjąć dla mnie wiadomość.

— Pani Draper pragnie rozmawiać z panem — zawołała jednak Wiggins po krótkiej chwili.

Zszedłem na dół, podniosłem słuchawkę i powiedziałem wesoło:

— Jak się masz, Muriel.

— Arturze, jeśli możesz, przyjedź natychmiast. Jesteś mi potrzebny. Czuję się taka nieszczęśliwa, chodzi o Paula — usłyszałem cichy, tragiczny głos.

Nie tracąc czasu, wsiadłem do taksówki i pojechałem na Edith Grove. Muriel siedziała przy biurku w małym pokoiku prowadzącym do studia. Muriel, którą w tym momencie ujrzałem, i Muriel, którą znałem tak dobrze, były to dwie zupełnie różne osoby. Miałem przed sobą drobną postać kobiecą w luźnym różowym peniuarze, jedwabiste blond włosy szeroką falą opadały jej na ramiona i część twarzy. Wielkie błękitne oczy spoglądały na mnie z rozpaczą. Na moje pytanie — „Co się stało?” — odpowiedziała niepohamowanym łkaniem. Uspokoiwszy się nieco, zaczęła opowiadać.

— Paul znikł przed czterema dniami i tym razem nikt go nigdzie nie widział. Przepadł bez śladu.

Robiłam wszystko, żeby go odnaleźć, dzwoniłam po wszystkich znanych mi barach. Wreszcie zwróciłam się do policji i dziś rano przyniesiono go W stanie, którego nie potrafię opisać...

Myślałam, że umiera. Lekarz zaaplikował mu jakiś środek uspokajający. Arturze, ja już dłużej tego ^e znieosę — znów zaczęła "plakać. — Męcę się z tym sama jedna.. Próbuję to ukryć przed ludźmi. Jesteś jednym z nielicznych, którzy 1 tym wiedzą. Widziałeś go już w takim stanie... Błagam cię, turze, pomóż mi!

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie mogłem nic zrobić. Zapadło ugie milczenie. I nagle wziąłem ją w ramiona i pocałowałem, ^mawiałem do niej miękko i łagodnie głaskałem po włosach. Pchałem się.

Arti

479

72

Dzięki Baletom Rosyjskim sezon w Londynie zakończył się wspaniale; przez dwa tygodnie całe miasto było pod ich urokiem. Dla mnie osobiście rewelacją stał się wielki kompozytor Igor Strawiński. Ognisty Ptak, odtańczony przez Karsawinę, Bolrtia i corps de ballet, był widowiskiem bardzo pięknym, ale moją uwagę całkowicie zaprzętnęła muzyka. Bogactwo barw orkiestralnych, rytmiczna pulsacja, finezja melodyczna i modulacyjna, wreszcie majestatyczne crescendo końcowego hymnu — zachwyciły mnie.

A zachwyt mój wzrósł jeszcze bardziej, gdy po raz pierwszy zobaczyłem Pietruszką. Podczas całego przedstawienia tocząca się na scenie akcja urzekała mnie w nie mniejszym stopniu niż muzyka tego arcydzieła. Orkiestra zaprezentowała tu istną orgię najautentyczniejszych od czasów Musorgskiego rosyjskich brzmień. Do łez wzruszyła mnie śmierć kukielki w wykonaniu Niżyńskiego oraz towarzysząca temu pełna rozpacz muzyka. Widzieliśmy także czarujące Popołudnie fauna — nową kreację Niżyńskiego, oraz Dafnisa i Chloe Ravela. Ostatnim spektaklem było Święto wiosny.

Podniecające opowieści o głośnym skandalu, jaki wybuchł podczas paryskiej premiery, wywołały w Londynie nastrój gorączkowego oczekiwania. W zatłoczonym po brzegi teatrze Drury Lane siedzieliśmy jak na szpilkach. Krótkie preludium zabrzmiało ładnie i obiecująco. Ale gdy kurtyna poszła w górę, muzyka okazała się trudna w percepcji, a w miarę jak balet posuwał się naprzód, hałas i monotonia partytury oraz niezrozumiała akcja sceniczna zaczęły ninie drażnić. A gdy doszło do ostatniego histerycznego tańca dziewczicy składanej w ofierze, nerwy odmówiły mi posłuszeństwa. Poczuliśmy się przybiti i nieszczęśliwi.

Rozległy się uprzejme oklaski, a także kilka gwizdów —• dobr» wychowana publiczność angielska czuła respekt dla twórcy P\*( truszki. Dopiero po kilkutygodniowym studiowaniu partytury P<sup>o</sup> jałem wielkość tego dzieła. W dziesięć lat później młodzi uczniowie Paryskiego Konserwatorium grali tę muzykę jak gdyby to by etudy Czernego!

Przez cały sezon batutę dźmierzył wybitny dyrygent Pierre teux. Na prawie wszystkich przedstawieniach bywałem w tov rzystwie Draperów, Kochańskich lub pani Bergheim, do k\*Ł Muriel mówiła teraz „ciociu Claro", ale za plecami nazywała f drwiąco „Claritą".

480

paweł i Zosia wyjechali do Polski, Eisenbach również. Począł- zamierzałem pojechać z nimi, ale zmieniłem plany. Po pro-gtu nie mogłem oderwać się od Londynu. Przy Edith Grbve znajdował się teraz mój drugi dom. Całe dni spędzałem w towarzy-stwie Muriel i Paula; obiady jadaliliśmy w „Savoy Grill" albo w którejś z włoskich restauracji w Sołio, towarzyszyłem Muriel jjo krawca lub do handlarzy obrazami, chodziliśmy do teatrów i na programy yariete albo muzykowaliśmy w studio.

Odkryłem w Paulu nową cechę: był zagorzałym hazardzistą, na wyścigach grywał z nieprawdopodobnym szczęściem. Wydało się to któregoś dnia w „Savoyu". Paul nagle wstał i wyszedł z restauracji. Widząc moją strapioną minę, Muriel uspokoiła mnie:

— Tym razem, Arturze, wszystko jest w porządku.

Wrócił po kilku minutach z lekka zarumieniony i oświadczył:

— Wygrałem trzy tysiące funtów! — po czym opowiedział mi, że zawsze pasjonował się wyścigami konnymi, codziennie studiował „typy" jak również opinie specjalistów toru, tak że z czasem wyrobił w sobie coś w rodzaju daru przepowiadania, instynktu jasnowidza.

—• Kiedy przychodzi na mnie takie przecucie —! ciągnął dalej — biegnę do telefonu i obstawiam konia. Moi bookmacherzy, firma Landbrokes, w której mam otwarty kredyt, przyjmują moje zakłady nawet w ostatniej chwili przed rozpoczęciem gonitwy. Zawsze gram o wielkie stawki, ale też bardzo dużo ryzykuję — dodał z uśmiechem.

Muriel potwierdziła jego słowa:

— Dzięki intuicji Paula i jego wyczuciu spłaciliśmy dom przy Edith, Grove, płacimy za muzykę,

kolacje, dostatnie życie, no i za 5ego lekcje u von Zur Miihlerna — roześmiała się z zadowoleniem.

W ciągu tych ostatnich dni w Londynie znalazłem nowego przy- w osobie znanego pisarza Normana Douglasa. Od czasu czasu wpadał na Edith Grove na pogawędkę i kieliszek wina. I, którą poznał jeszcze jako młodą pannę, była mu bardzo jadana. Największy mistrz języka angielskiego, w rozmowie często 'Ubił posługiwać się taką mieszaniną przekleństw i sprośności, której nawet Rabelais by się zarumienił. Przy tym wszystkim ^ człowiekiem o rzadko spotykanej inteligencji, dowcipie i de-"atności, prócz tego wielkim miłośnikiem muzyki. Kiedy był . Ustroju sentymentalnym, przypominał mi ukochanego Franca szera z Polski. Douglas lubił zabierać mnie do Soho na obiad ^o\$aduszki. Zaszczycony przyjaźnią o tyle starszego i bardziej "iadzonego mężczyzny, zwierzyłem mu się z moich miłosnych Potów, a w szczególności z poczucia winy wobec Poli. r Chryste Panie, Arturze, toż to wszystko jest cholerną bzdu-

481

L

ra. Kieruj się tylko instynktem, bądź zawsze sobą! Jeśli owa Pola utraciła twoją miłość, to jest to jej własna wina; nie była dość silna, by ją utrzymać.

Byłem tego samego zdania, ale nie miałem odwagi przyznać się do tego.

Któregoś dnia Muriel powiedziała jakby od niechcenia:

— Arturze, jedziemy z Paulem do Florencji. Będziemy mieszkać u naszej dawnej przyjaciółki, Mabel Dodge. Ma piękną willę na wzgórzach nieopodal miasta. Napisała, żebyśmy przywieźli kogoś z naszych przyjaciół. Nie chciałbyś z nami pojechać?

Zgodziłem się bez chwili wahania, ale w głębi serca uczułem przypływ wyrzutów sumienia.

Obiecałem Poli, że przyjadę do Zakopanego, gdzie spędzała resztę lata.

„Ciotka Clara" wieść o wyjeździe do Florencji przyjęła z wyrozumiałym uśmiechem.

— Wcale mnie to nie dziwi, mój drogi — powiedziała. — Nawet się tego spodziewałam.

Wydała na naszą cześć bardzo miłą kolację pożegnalną, a nazajutrz ruszyliśmy w drogę.

Podróż była długa i nużąca. Kiedy wysiedliśmy z pociągu we Florencji, wyglądaliśmy jak kominiarze.

Owe przeszło sto tuneli na trasie między Genuą a Florencją omal że nie zadusiły nas na śmierć.

Dwie dorożki konne zawiozły nas do willi, ale nie chcieliśmy widzieć nikogo, nie doprowadziwszy się uprzednio do porządku. Kiedy wreszcie zabrzmiał gong wzywający na kolację, zszedłeś na dół ostatni i znalazłem się w przestronnym pokoju, gdzie Muriel przedstawiła mnie pani Dodge oraz jej gościom.

„Villa Curonia" położona była bardzo pięknie. Z Florencji d jeżdżało się do niej stromą krętą dróżką, gdyż stała na wzgórze Arcetri. Renesansowe palazzo otoczone było wysokimi cyprysami<sup>11</sup> i pachnącymi kwietnikami. Z obszernej loggii rozciągał się widok na okoliczne łagodne wzgórza i skąpane w słońcu krajobraz Toskanii.

Gdybyśmy — Muriel i ja — znajdowali się w willi sami, by-nam jak w raj; w rzeczywistości pobyt tu stał się piekłem.

Mabel Dodge była młodą kobietą lat około trzydziestu, o twarzy, odrobinę zbyt bujnych kształtach i niewzruszony<sup>^</sup> jętnym uśmiechu Momy Lisy. Mówiła monosylabami, chyOfra<sup>t</sup> zwracała się do służby, a na wszystkie pytania odpowiadała -0 kim skinieniem głowy. Życie w „Villa Curonia" przyp<sup>o</sup>J nieustającą karuzelę. Pani domu miała szczęśliwy dar gr0 nia razem najbardziej niespójnego pod słońcem zestawu ;

482

pył więc krytyk malarski i muzyczny Carl van Vechten, istny geniusz od prowadzenia dyskusji; Robin de la Condamine, uroczy, jękający się aktor, którego nikt nigdy nie widział na scenie; John McMullen, młody przystojny amator-dekorator wnętrz, sympatia Muriel, oraz John Reed, dziennikarz-poeta, wojujący komu-ni?ta, często markotny i napastliwy — to właśnie on był ulubionym towarzyszem Mabel, ponadto dwie krzykliwe Angielki, których nazwisk nie pomnę, a jakby tego wszystkiego było mało, nieustający strumień gości z zewnątrz bez przerwy, od rana do nocy, przewalał się przez dom. Przychodziła Gertruda Stein, która toczyła nie kończące się batalie słowne z van Vechtenem, Reed nienawdził wszystkich i wszystkiego, Norrnan Douglas z rozkoszą popisował się najsprośniejszym repertuarem przekleństw, wreszcie last but not least, ja sam byłem stale zazdrosny i poirytowany. Kiedy bym nie grał i co bym nie grał, obojętne — Beethovena czy Strawińskiego — zawsze ktoś z obecnych na znak protestu opuszczał pokój, ponieważ właśnie tego nie znosił.

Zdegustowany tym wszystkim Paul Draper postanowił samotnie wrócić do swoich lekcji w Londynie.

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

Jedna tylko Muriel zachowywała niewzruszony spokój pośród powszechnego zgiełku. Podejrzewałem nawet, że sprawiała jej to przyjemność. Jej donośny głos i piskliwy śmiech denerwowały mnie, nie cierpiałem jej sposobu ubierania się a la Szeherazada— w turban i tak dalej. Co więcej, nigdy nie udawało mi się być z nią samą, gdyż nasze pokoje znajdowały się na różnych piętrach. Wreszcie po dziesięciu dniach owych katuszy wszyscy mieliśmy już tego dość. Muriel, John McMullen i ja postanowiliśmy pojechać do Wenecji na krótki odpoczynek. Przy pożegnaniu Mabel Dodge obdarzyła nas jeszcze jednym ze swych tajemniczych uśmiechów i znaczącym skinieniem głowy, Po czym- ruszyliśmy w drogę. Wenecjo, kochana Wenecjo! Dziękuję ci za te trzy dni niewy-sfc>wionego szczęścia! W atmosferze szlachetnego spokoju tego piasta cudów odkryłem na nowo tę samą Muriel co w dniu, kiedy SI? vv niej zakochałem. Tu nareszcie rozpuściła złote włosy, zawsze skrępowane nienawistną siatką, nauczyła się mówić cichym gło-Setll» odzyskała kobiecy wdzięk. Godzinami przesiadywaliśmy na Piazza, w milczeniu napawając ^ jej pięknem, chodziliśmy do Accademia, żeby oglądać płótna .arPaccia, w restauracji „Martini” zajadaliśmy scampi z rusztu, ^2cśliwi, toczyliśmy nie kończące się rozmowy. John McMullen się miłym i zabawnym kompanem. niego ranka, podczas śniadania na tarasie naszego hotelu, zakomunikowała nam z promiennym uśmiechem:

483

— Kochani, wyjeżdżam dzisiaj do Londynu, żeby zawieźć wi radosną nowinę. Spodziewam się dziecka.

Dzielnie zniosłem ten cios. Zarówno John, jak i ja zareagowa. liśmy tak, jak należało:

— Ależ to cudowne! Dzielna z ciebie dziewczyna! Brawo, Mu. riel, brawo, Paul... — a do tego życzenia pomyślności, uściski i całusy.

Po południu odwieźliśmy ją gondolą na dworzec, na peronie ucałowaliśmy na pożegnanie i dopilnowaliśmy, aby zajęła wy, godne miejsce w przedziale. Kiedy pociąg ruszył, pod wpływem jakiegoś niepohamowanego impulsu wskoczyłem za nią, a do Johna krzyknąłem tylko: — Wróć po bagaż!

Muriel miała dobry humor, tak że resztę dnia i noc, aż d\$ samego Paryża spędziliśmy na rozmowie, jedzeniu i spaniu. Odprowadziłem ją na Gare du Nord i przygnębiony strawiłem cały dzień w upalnym, wyludnionym mieście. Po powrocie do Wenecji podziękowałem Johnowi za pomoc, zapłaciłem za hotel i wsiaadlsra do pociągu jadącego do Wiednia, Krakowa i Zakopanego.

Pola — do której zadepeszowałem — czekała na dworcu i powitała mnie ze swą zwykłą słodyczą i łagodnością. Nie mogłem tego znieść, czułem, że muszę wyjawić prawdę. W drodze do jej mieszkania wyznałem wszystko. Wysłuchiwała w spokoju, z pochyloną głową i przez dłuższą chwilę milczała.

— Już od dawna czułam, że to nadchodzi, Arturze — powiedziała łagodnie. — Jestem .dla ciebie naprawdę za stara, nie dałam ci nic, prócz zmartwień.

— Nie! Nie! Nie! — zawołałem. — To nieprawda! Nie rozumiesz mnie, najdroższa! Kocham cię bardziej niż kiedykolwiek, uwielbiam cię! Po prostu nie mogłem nic na to poradzić, musiałem zakochać się w tej kobiecie, ale ja jej nie lubię!

Pola nie odpowiedziała nic.

Nasza dorożka zatrzymała się przed dość dużym domem w stylu zakopiańskim, który tak mi się podoba. Nie był to pensjonat, 1\* dom prywatny i należał do pani Zagórskiej, osoby niezwykle d styngowanej, kuzynki Josepha Conrada. Po śmierci męża zio^ szona była przyjmując kilku pensjonariuszy, z reguły jej osobisty przyjaciół. Pola należała do tego grona i postarała się dla o pokój tuż obok swojego, gdzie gadaliśmy i gadaliśmy do a potem spędziliśmy uroczą noc miłości. Pani Zagórska miała niezamężną córkę Anielę, która razem z nią. Ta wesoła i utalentowana młoda niewiasta w gruncie rzeczy spiritus movens całego domu, a jako dosl

^ \*

484

tlu powieści Conrada cieszyła się dużym szacunkiem pisarzy i poetów. Dzięki niej dom pani Zagórskiej stał się ulubionym unktem zbornym polskiego środowiska literackiego. Stefan Że-romski, Leopold Staff oraz mój stary drogi przyjaciel Witkacy bywali codziennymi gośćmi na obiedzie. Przystuchiwaliśmy się, 2 także braliśmy udział w najciekawszych dyskusjach intelektualnych, jakie pamiętam.

Od czasu do czasu pojawiał się przy stole wysoki, szczupły i posępny mężczyzna o niewielkiej

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

głowie, stanowczych rysach twarzy, krzaczastych brwiach, sumiastych wąsach i krótko przystrzyżonych włosach. Milczący i nieprzystępny, jedynie Anielę i jej matkę zegnał uprzejmym ucałowaniem dłoni, na nikogo innego nie zwracając uwagi. Krążyło na jego temat wiele drwiących historyjek, dawano też do zrozumienia, że organizuje przeszkolenie wojskowe garbatych i kulawych studentów. Jak się okazało, mężczyzną tym był Józef Piłsudski.

Po tarapatach minionego „sezonu” sześć czy siedem tygodni spędzonych w Zakopanem pozwoliły mi całkowicie przyjść do siebie. Dzięki troskliwej opiece Anieli mogłem bez przeszkód korzystać z fortepianu w salonie, który każdego ranka rezerwowany był dla mnie. Resztę dnia spędzałem w sposób, jaki lubiłem najbardziej: czytałem, chodziłem z Połą na długie spacerunki, zbierałem grzyby, najchętniej zaś w kawiarni „Morskie Oko” toczyłem nie kończące się filozoficzne dysputy z Witkacym.

Między mną a Połą panowała idealna harmonia, byliśmy z sobą szczęśliwi. O niej nie wspominało się ani razu, zresztą nie miałem od Muriel żadnych wiadomości i nie utrzymywałem z nią kontaktu. Pani Bergheim przesłała mi kilka kartek z jednego z angielskich uzdrowisk, ale o Draperach nie wspominała.

Eisenbach przyjechał na parę dni, ażeby się naradzić przed niedalekim już tournée koncertowym, które zapowiadało się obiecująco. Pomógł mi też w zorganizowaniu koncertu dobroczynnego z którego dochód ofiarowałem doktorostwu Dłuskim dla ich sanatorium przeciwgruźliczego. Koncert odbył się w przeddzień mego wyjazdu. Tego wieczora grałem nostalgicznie i sentymentalnie, pamięcią wracając do dnia, kiedy to w tym samym miejscu, Składnie dziesięć lat wcześniej, próbowałem skrzydeł przed odlotem w samotną, nieznaną przyszłość.

Zakopane zawsze wywierało na moje życie jakiś tajemny i szczęśliwy wpływ. Po wielu latach powróciłem do tej samej miejscowości, by zabiegać o rękę mojej przyszłej żony.

485

73

bardzo. Przez  
spodzianką, z którą wiązało się  
cztery recitale złożone z samych tylko utworów

&&4

=5r &S

tournee, opracować na chybcika

jrsL

Esrsr

E

jak o osobistą prz

Profesor opuścił salę, ale na

^

486

wiernego

jęrn rumuńskiej muzyki ludowej, którą odkrył i pięknie wyraził w swych utworach mój przyjaciel, Georges Enesco. Jest to muzyka nie tak tęskna jak węgierska, lecz o wiele żywsza i bardziej podniecająca.

Nazajutrz w pałacu królewskim grałem dla starej królowej Elżbiety, znanej autorki sentymentalnych wierszy pisanych w języku niemieckim i publikowanych pod pseudonimem Carmen Sylva. Wraz ze swą damą dworu przez pół godziny słuchała w roztertargnieniu mojej gry, szczerze mówiąc — kiepskiej. W chwili gdy przerwałem, królowa wypowiedziała po niemiecku kilka uprzejmych słów i przypięła mi do kłapy błyszczący medal z wrytym napisem „Bene Merenti”, co znaczy: dobrze zasłużonym!

Do Warszawy wróciłem z przyjemnością, ale zatrzymałem się tylko kilka dni. Eisenbach postarał się, abym nie miał chwili wytchnienia; czas aż do Bożego Narodzenia wypełnił mi koncertami w Polsce. Grałem też w Łodzi, gdzie rodzicom oraz całej rodzinie niezwykle zaimponował ów zwrot na lepsze, jaki właśnie dokonywał się w mojej karierze artystycznej.

Sezon świąteczny w stolicy Polski odznacza się szczególnym pięknem, zawsze też uważałem się za szczęśliwca, jeśli mogłem w nim uczestniczyć. Są to święta najczystszej, niczym niezmaconej dobrej woli i błogiego spokoju. Pola i ja bez reszty pograżyliśmy się w ich cudownej atmosferze. Ale



nic nie da się porównać z warszawskim wieczorem sylwestrowym. Polaków cechuje wrodzony dar radości, zabawy i cieszenia się wszystkim, co niesie życie. Polacy krzyczą, śpiewają, tańczą i piją, ale wszystko to robią z najczystszej radości życia, nigdy nie tracąc wrodzonego Poczucia godności, uprzejmości czy elegancji.

Tak, więc wkroczyliśmy w złowrogi rok 1914, przez całą noc bawiąc się i szalejąc w gronie przyjaciół.

W początkach stycznia wyjechałem na długie tournée do Rosji. Poczynając od Kijowa i Odessy, trasa wiodła aż do Rostowa nad P<sup>o</sup>nem, po drodze miałem wystąpić w Połtawie, Krzemieńczugu i Charkowie. Po koncercie i krótkim wypoczynku w Moskwie, d bywałem codziennym gościem w Teatrze Stanisławskiego, ^em się dalej. Ostatnie koncerty odbyły się w miastach poło-Zoilych wzdłuż Wołgi — w Niżnym Nowgorodzie, Kazaniu, Sama-r\*e i Saratowie.

Szczerze mówiąc, ta długotrwała seria koncertów nie przyniosła P ani zadowolenia, ani zysku. Sale były niewielkie, a publiczność wna. Potężne Cesarskie Towarzystwo Muzyczne, które zaangażował0 mnie na całe tournée, widocznie lekceważyło swoje agencje r<sup>o</sup>wincjonalne, pozostawiając je w rękach nieudolnych impres-

487

riów. A co gorsza, moje honoraria ledwie starczały na pokrycie kosztów podróży i hotelu.

Szczęśliwy, że wróciłem do domu — dla mnie Warszawa oznaczała „dom” — przygotowywałem się do coraz bliższych ważnych koncertów w Wiedniu, Rzymie, Berlinie i Londynie. Poę niepokoiło to ostatnie miasto.

— Znów będziesz się z nią widywał — powtarzała.

— Tak, przypuszczam, że tak — przyznałem. — Ale nie martw się, kochanie, jestem już całkowicie wyleczony.

Po jej oczach poznałem, że nie była o tym w pełni przekonana; przyznać muszę, że ja tak samo.

Ucieszyłem się na wieść, że Paweł i Zosia znów przyjadą do Londynu. Po serii pożegnań z przyjaciółmi wyjechałem z Eisenbachem do Wiednia. Austriacka stolica powitała nas dojmującym mrozem i lodowatym wiatrem, w porównaniu z nią Moskwa wydała mi się ciepła. Spacer po mieście bywał niebezpieczny, bo na oblodzonych chodnikach panowała ślizgawica. Na szczęście w dniu mego pierwszego koncertu pogoda zmieniła się. Wszystko przeszło dobrze. Publiczność przyjęła mnie ciepło, pbecni byli wszyscy moi przyjaciele. Byłem na kolacji z księciem Władysławem, odwiedziłem McGarveyów, jadłem obiad u Godowskich. Od pani Bergheim otrzymałem obszerny list z zaproszeniem, abym znów zatrzymał się u niej przy Belsize Park. Effenberg przyniósł mi kilka wartościowych książek i przedstawił mi paru uzdolnionym młodym muzykom.

Drugi koncert z Kwartetem Rosego był bardzo interesujący; światowej sławy zespół zaprosił mnie do wykonania wraz z nim kwintetów fortepianowych w Musikvereinsaal. Graliśmy kwintety Brahmsa i Schumanna, które znałem dzięki wieczorom muzycznym w Londynie. Odniesiony przez nas sukces był szeroko komentowany, zwłaszcza że ani publiczność, ani krytycy nie wierzyli, iż w dziedzinie muzyki kameralnej w ogóle mogę mieć coś do powiedzenia.

Arnold Rose zaproponował, bym dołączył do jego kwartetu w czasie tournée po Hiszpanii w 1915 roku. Nic nie mogło mn# bardziej ucieszyć. Od dzieciństwa miałem słabość do melo i rytmów hiszpańskich, a w latach późniejszych wszystko, co fc pańskie — a więc muzyka, sztuka, literatura czy historia — szC gólnie mnie pasjonowało. Toteż mimo iż w Hiszpanii wyst^P1^ miałem po raz pierwszy jako członek zespołu, a nie jako solista -z wdzięcznością przyjąłem tę propozycję.

Eisenbach złożył mi żalosne sprawozdanie o stanie naszych nansów. Twierdził, że jeśli nawet był jakiś niewielki doo to pochłoneły go nasze wydatki

488

Do Rzymu przybyliśmy więc z pustymi kieszeniami i niewielkimi widokami na napełnienie ich w sposób wystarczający na najbliższą przyszłość. Hrabia San Martino chciał, abym wystąpił na jego koncertach, ale uparcie odmawiał podwyższenia honorarium, twierdząc, że orkiestra za drogo go kosztuje. Trafiła mi się jednak niespodziewana gratka w postaci dobrze płatnego soiree musicale u markizy Casati. W Augusteo, gdzie dyrygował Moli-nari, grałem Koncert G-dur Beethovena, który co prawda nie spowodował żądania bisów, ale wśród muzyków odniósł solidny sukces.

Mój recital w sali Santa Cecilia oparty był głównie na muzyce Liszta i Chopina, co ogromnie publiczności przypadło do gustu.

Z Rzymu pojechaliśmy wprost do Berlina, gdzie Rudolf zorganizował mi recital w Beethoven-Saal.

Podobnie jak poprzednio, teraz także miałem tremę. Sala wypełniona była tylko w połowie, przy czym sporo „darmochy”. Czyniłem ogromne wysiłki, aby zagrać wszystkie nuty, w tym jak najmniej fałszywych, i w rezultacie moja gra była wymuszona, bez polotu.

Ku memu zdziwieniu publiczność, nie wyłączając moich osobistych przyjaciół oraz prasy, chwaliła ten właśnie koncert jako najlepszy z dotychczasowych. Na szczęście nie mieliśmy kłopotów z deficytem. Eisenbach przysłał pieniądze, które w całości pokryły wszelkie koszty.

Berlin żył w stanie niepokoju wywołanym napiętą sytuacją polityczną w Europie. Prasa niemiecka publikowała niepokojące wieści o groźnych manewrach wojsk rosyjskich w pobliżu granicy austriackiej. W Wiedniu słyszałem doniesienia o rozruchach studentów ukraińskich we Lwowie domagających się autonomii oraz o jawnym buncie w Bośni i Hercegowinie przeciwko cesarstwu austro-węgierskiemu, ale Wiedeń nie traktował tego zbyt poważnie. „Jesteśmy do tego przyzwyczajeni, damy sobie z tym radę” — powtarzali niefrasobliwi wiedeńscy.

Wiadomości tych Niemcy nie traktowali równie niefrasobliwie. Zyjąc w ustawicznym strachu przed własną armią oraz marynarką Wojenną, stracili wszelkie poczucie rzeczywistości, a nieustanne słowne napaści cesarza Wilhelma na Anglię, Francję i Rosję utrzymywały ich w nastroju czujności. Opuściliśmy Berlin z wes-tchnieniem ulgi.

489

74

Londyn skąpany był w promieniach słońca. Z nastaniem wiosny całe miasto przybrało odświeżony wygląd. Londyńczycy, znużeni długą zimą i chłodnymi, ciemnymi, mglistymi dniami, poobsiadali stopnie wokół kolumny Nelsona na Trafalgar Square i wokół fontanny Erosa na Picadilly Circus, a także zielone trawniki parków, jak szampanem upajając się niebiańskimi promieniami słońca. Dom przy Belsize Park również uczestniczył w tym święcie słońca: wyglądał czysto i biało, szklarnie lśniły, a w ogrodzie - pokazały się pąki, zwiastując bogactwo kwiatów.

Pani Berghem ubrana w jasnoszarą suknię powitała mriś z matczyną serdecznością i aby uczcić mój przyjazd, zaprosiła na kolację gości.

— Mam nadzieję, że swój pokój zastanie pan w porządku — powiedziała. — Wiggins nim się opiekowała. Kazałam też nastroić fortepian — dodała z uśmiechem zadowolenia.

W czasie długiej, miłej pogawędki przy herbacie i bułeczkach, opowiedziałem jej obszernie o moich podróżach oraz o pobycie w Wiedniu i w Berlinie, z kolei ona opowiedziała o tym, co robiła, o znajomych, ani słowem nie wspominając jednak o Dra-perach. Bardzo mnie to zaintrygowało. Od owego smętnego pożegnania na Gare du Nord w Paryżu nie miałem żadnych wiadomości ani od nich, ani o nich, a pytać nie chciałem. Po dwóch czy trzech dniach dojmującej niecierpliwości zatelefonowałem do domu przy Edith Grove. Odezwała się pokojówka.

— Mówi Rubinstein. Proszę poprosić do telefonu pana Drapera.

— Jak się masz? — w chwilę później usłyszałem głos Paula, chłodny i rzeczowy.

Zaskoczony, odpowiedziałem w tym samym tonie:

— Dziękuję, doskonale. A co u ciebie i u rodziny? — Ale to już było ponad moje siły: — Paul — powiedziałem — to jak! cholerny nonsens. Coś się między nami zepsuło. Spotkajmy ' jutro na obiedzie u „Scotta”. Musimy to obgadać.

—• W porządku, przyjdę — usłyszałem. Jego głos brzmiał naturalnie.

Nazajutrz, u „Scotta”, wyjawiał mi całą prawdę. We Floren<sup>ca</sup> obserwując moją nieskrywaną zazdrość, sam poczuł się zazdros\*. Kiedy Muriel wróciła i powiedziała mu, że pojechaliśmy razeca Wenecji, nie chciał wierzyć, że nie byliśmy tam sami.

— Przyznaję — odpowiedziałem — że byłem w niej

490

jak zresztą również inni mężczyźni wokół niej, ale teraz to minęło. Szczęśliwe lato spędzone z Po/ą sprawiło, że zapomniałem i o Florencji, i o całej reszcie. Jeśli zaś idzie o Wenecję, to przysięgam cj( Paul, na wszystko, co najświętsze, że John McMullen był nieustannie z nami i że ani przez chwilę nie pozostawałem z nią sam na sam. Zapomnij więc o całej tej historii. Myśl o Londynie bez domu przy Edith Grove, bez studia i wieczorów muzycznych jest dla mnie nie do zniesienia. Wolę raczej natychmiast wyjechać z miasta. Paul dopił kawę. Podnieśliśmy się z miejsc, gotowi do wyjścia.

— Arturze — powiedział — chodź zobaczyć naszego bobasa.

Muriel zastaliśmy na dole, w sali muzycznej. Siedziała na kanapce przy stole zastawionym filiżankami i ciastkami i nalewała herbatę.

— Halo, Arturze — powiedziała — zeszczuplałeś.

— Cieszę się, że cię widzę, Muriel. Wyglądasz bardzo dobrze. Chyba przybrałaś na wadze. Przy stole siedziała jakaś młoda kobieta.

— To Ruth, moja młodsza siostra. Mieszka teraz u nas — powiedział Paul, przedstawiając mnie.

— Cieszę się, że nareszcie mogę pana poznać — powiedziała miękko, melodyjnym głosem. — Paul bardzo wiele pisał mi o panu.

Brat i siostra nie byli do siebie podobni, ale Ruth miała w sobie coś z jego ciepła i uroku; jej twarz była pociągła i delikatna, włosy ciemne, nos subtelny, lekko zakrzywiony, a oczy ciemne i pełne wyrazu.

Przy herbacie rozmawialiśmy o muzyce. W pewnej chwili pojawiła się Nancy, irlandzka piastunka, z niemowlęciem oraz starszym braciszkiem, Paulem-juniorem. Muriel przerwała rozmowę

1 wzięła na ręce dziecko, które wyglądało jak każde inne niemowlę.

— Nazywa się Smudge \* — oświadczyła (nigdy nie dowiedziałem się., jak ten kleks miał naprawdę na imię).

Ruth i ja zaprezentowaliśmy klasyczny repertuar wykrzykników: „Co za śliczne dziecko! Zupełnie do ciebie podobne, Muriel! ^ak, ale oczka ma po Paulu! itp. itd.” Kiedy dziecko zaczęło płakać, Nancy wyniosła je z pokoju. Mały Paul, ładniutki cztero- czy Pięcioletni rudowłosy chłopczyk, został z nami i zjadł kilka ciastek.

Muriel, opanowana bardziej niż kiedykolwiek, z włosami staran-

1 Smudge (ang.) — kleks.

491

nie upiętymi pod siatką, opowiadała nam o cudach nadchodzącego sezonu Diagilewa.

— Będziemy mieli i operę i balet. Szalopin ma śpiewać w Bo-rysie Godunowie, Książu Igorze i w Chowańszczyźnie. Znowu zobaczymy Święto wiosny i Pietruszkę. Wykupiłam łożę na wszystkie przedstawienia premierowe.

— To będzie wspaniałe! — zawołałem. — Ale kto to wszystko finansuje?

— Ojciec Thomasa Beechama, który zrobił majątek na pigułkach przeczyszczających. Udzielił gwarancji na cały sezon i w zamian pragnie tylko, żeby Thomas dyrygował kilkoma baletami i żeby na wszystkich programach wydrukować: „Pigułki Beechama, Pigułki Beechama, Pigułki Beechama”.

— A zatem — powiedziałem — chce rozpropagować jednocześnie rosyjską sztukę i angielskie środki przeczyszczające.

Ale nikt nie roześmiał się z mojego żartu. Sztuka rosyjska była w owych czasach rzeczą świętą. Czas w Londynie mijał szybko. Nim zdążyłem się obejrzeć, nastąpił mój pierwszy recital, w mieście pojawili się Paweł i Zosia i rozpoczął się wielki sezon. Muriel wydała fantastyczne przyjęcie z wielką ilością muzyki oraz niespodzianką. Oprócz Pawła i mnie grali Sammons, Tertis, Sylvia Sparrow, Rubio, a także niezwykle wysoki Felix Salmond, znakomity wiolonczelista. Wśród gości znajdowali się Henry James, John Sargent, Norman Douglas, trzy siostry Wiborg, które wróciły do Londynu, a nawet jeszcze bardziej niż dotychczas nadęty Montague Chester, który pojawił się we fraku i białych rękawiczkach. Program rozpoczęliśmy od Tria Es-dur Schuberta; razem ze mną grał Paweł i Salmond. Nie mając trudności z czytaniem nut ani problemów technicznych — jako że znaleźliśmy ten utwór doskonale — zagraliśmy > wkładając weń całe serce. Potem nastąpił jeden z prześlicznych kwartetów Haydna w wykonaniu Sammons, Sylwii, Tertisa i Rubia, a następni Kwintet Brahmsa w interpretacji Pawła, Sammons, Salmonda, Tertisa i mojej. Nasi słuchacze byli wniebowzięci, z wyjątki® Henry Jamesa, który zdaje się nie lubił muzyki, za to lubił Muriel> oraz Chestera, którego zadowolenie objawiało się jedynie krótkie chrząknięciami.

Po doskonałej, trwającej dość długo kolacji, podczas której P jawił się Pierre Monteux, powróciliśmy do studia.

Oczekiwaliśmy, że Muriel, jak zwykle, zakomunikuje nam, utwór pragnęłaby usłyszeć, gdy ona tymczasem zaczęła coś Draperowi do ucha. Odpowiedział jej także szeptem, a oboje zawzięcie szęptali z Ruth, która początkowo odpowie'

492

zdecydowanym „nie!”, ale po dalszych szeptach uległa, wobec czego Muriel zapowiedziała donośnym głosem:

— Moja szwagierka, Ruth Draper, wygłosi monolog.

Nastąpiła chwila powszechnej konsternacji; przyszliśmy tu przecież nastawieni na wykonywanie wielkiej muzyki, a tymczasem Draperowie zmuszali nas do wysłuchiwanie jakiegoś szczebiotu

nadającego się na gwiazdkę w gronie rodzinnym lub na imieniny dziadunia!

Ruth przyniosła stary brązowy szal, zarzuciła go na głowę i związała pod brodą, po czym spokojnie wyjaśniła:

— Stara imigrantka z Irlandii przybywa do Ameryki, żeby zamieszkać z córką, której nie widziała od dwudziestu pięciu lat. Spodziewa się, że zastanie ją czekającą na przystani, ale córki nie ma.

I nagle Ruth stała się staruszką, która uważnie przeszukuje wzrokiem tłum, niecierpliwie oczekując szczęśliwego spotkania. Zapytuje o coś ludzi, ale nikt nie rozumie jej irlandzkiego dialektu. Po chwili jej twarz i całe ciało zdają się kurczyć; staruszka zaczyna bać się tego, co będzie, na koniec — jest to już teraz postać tragiczna — ledwie słyszalnym głosem mamrocze o swej samotności, przygnębieniu i nędzy w obcym kraju.

Ruth zdjęła szal. Wszystkich nas schwyciło coś za gardło. Henry James wyjąkał:

— Ależ moja droga, pani jest genialna!

Ruth uśmiechnęła się radośnie i zapowiedziała:

— A teraz przedstawię angielską damę, oprowadzającą przyjaciółki po swoim ogródku.

Gestem przygładziła włosy i błyskawicznie przeobraziła się w kapryśną angielską arystokratkę:

— Czyż nie podziwiacie moich petunii, moje dhogie? Czyż nie S3 po phostu boskie? A to są moje najukochańsze dalie... — i pa-Plała tak bez końca, idealnie naśladowując akcent i brzmienie głosu szlachetnie urodzonych Angielek.

Oczarowani i podnieceni, nagrodziliśmy ją głośnymi brawami

\* Pochwałami:

— Gdzie się pani tego nauczyła? — pytaliśmy. — Kto pisze pani teksty?

~ Eh tam, sama je układam — odpowiedziała skromnie Ruth. — ^awsze lubiłam naśladować i parodiować bliźnich, traper i Muriel byli dumni z tej „niespodzianki”. Zaiste, była

\* wielka rewelacja.

Recital w Bechstein Hali przyniósł mi autentyczny sukces; go-ąc° oklaskiwano Bacha Fantazję i Fugę g-moll oraz Etiudy sym-

493

foniczne Schumanna. Teraz zaczynałem już na dobre torować sobie w Londynie drogę. Eisenbach z radością stwierdził, że tym razem deficytu nie było.

Później muzykowaliśmy jeszcze na Edith Grove. Thibaud, Paweł, Tertis, Monteux, Salmond i May Mukle pięknie Wykonali dwa sekstety Brahmsa. Ruth przedstawiła nam dwa zabawne skecze. Tym razem Sargent przyszedł głównie po to, aby studiować jej twarz; rysował ją w rozmaitych rolach. Spytałem Normana Douglasa, co o niej sądzi.

— Pieprzę tę starą cholerną irlandzką zdziwę, ale podobają mi się jej popisy komediowe — odparł.

Żyłem teraz w obłędnym pośpiechu, każdy dzień przynosił coś nowego. Londyn był najgościnniejszym miastem świata. Modne było przyjmowanie zaproszeń na obiad i do Opery czy do teatru lub na koncert i kolację. Poznałem przy tej sposobności wiele interesujących osób. Jedną z nich, lady Colefax, żona wybitnego prawnika, sir Arthura Colefaksa, była zapamiętałą łowczynią „gwiazd”, prawdziwym geniuszem na tym polu, a przy tym niezwykle czarującą kobietą. Posługiwała się zresztą dość szczególną metodą: wysyłała na przykład do Bernarda Shawa depeszę: „Proszę przyjść jutro na herbatkę, H. G. Wells pragnie pana spotkać” — i drugą depeszę do H. G. Wellsa: „Bernard Shaw przychodzi jutro na herbatkę, ma nadzieję, że pana spotka, czy mógłby pan wpaść?” Pojawiali się obaj... Podobną sztuczkę stosowała w stosunku do polityków, artystów, muzyków, do każdego, kto zdobył sobie popularność.

Oprócz obowiązków towarzyskich miałem jeszcze ważniejsze sprawy — koncerty. Następnym był recital sonat z Pawłem. Korzystając z zaproszenia Drapera, próby często odbywaliśmy u niego w studio.

— Słyszałam, że Casals jest w mieście — powiedziała pewnego ranka Muriel. — Zaproszmy go na dziś wieczór, zagrać Kwintet Schuberta.

Draper z Pawłem zafiarowali się go odnaleźć. Kiedy fc liśmy na ich powrót, Muriel zadzwoniła do pozostałych ków — wszyscy obiecali przyjść. Po dwóch godzinach Paul i j! weł wrócili do studia.

— No i co? — spytałem. — Spotkaliście go? Przyjdzie? Usiedli z posępnymi minami.

— Co się stało? Dlaczego nic nie mówicie? Zachowywali uparte milczenie. Nie mogłem tego znieść.

— Pawle, powiedz mi natychmiast, co się stało — odez"< się po polsku. — Czuję, że ta sprawa dotyczy mnie osobiście-

Paweł ustąpił z ociąganiem:

494

— Owszem, Casals odmawia przyjęcia do domu, w którym ty bywasz.

— Co-o-o? — wyjąkałem zupełnie zmieszany. — Ale dlaczego?

— Nie wiemy... Nie chciał nam powiedzieć. Nalegaliśmy, błagaliśmy, by wyjawiał przyczynę, ale był niewzruszony.

Usiadłem. Ten okrutny, nieoczekiwany afront dotknął mnie do żywego. Najbardziej jednak urażony czułem się ową tajemniczością — można by pomyśleć, że popełniłem jakąś zbrodnię. Przy całej dobrej woli i największym nawet wysiłku intelektualnym nie byłem w stanie przypomnieć sobie, abym dopuścił się czynu usprawiedliwiającego takie traktowanie. Wysłałem więc doń list, który brzmiał mniej więcej następująco: „Obraził mnie Pan bardzo dotkliwie. Pańską odmowę ujawnienia, jakie są tego przyczyny, uważam za niedopuszczalną i po prostu nie do przyjęcia. Musiało zajść jakieś nieporozumienie. Moje sumienie jest czyste; zawsze noszę w sercu pomnik Pański i Pańskiej wielkiej sztuki (brzmi to okropnie, ale naprawdę tak właśnie napisałem!). Nie ma Pan prawa ukrywać przede mną prawdy. Żądam natychmiastowej odpowiedzi”.

Odpowiedź nadeszła nazajutrz, pamiętam każde jej słowo: „Przyjaciele, którzy pożyczają pieniądze i nie zwracają ich, przestają być przyjaciółmi” — po czym następował jego podpis.

Przeczytawszy te słowa roześmiałem się serdecznie: „A więc tylko o to chodzi!” Tak, oczywiście, pamiętałem owe dziesięć funtów, które mi pożyczył. Nie oddałem ich, bo uważałem je za symboliczne honorarium za udział w jego koncercie. Zresztą w dalszym ciągu nie miałem pieniędzy, żeby mu zwrócić, i musiałem pożyczyć od Pawła. W swym liście napisałem: „Dowiaduję się 2 ogromną ulgą, że chodzi jedynie o prozaiczną kwestię pieniężną. Jeśli dobrze pamiętam, jestem Panu winien piętnaście funtów, które załączam wraz z wyrazami ubolewania z powodu tak długiej zwłoki w ich spłaceniu”.

Odpowiedzi na ten list nie otrzymałem. Jak to zwykle bywa, cała sprawa stała się przedmiotem licznych plotek. Część kome-<sup>\*</sup>arzy musiała najwidoczniej dotrzeć do jego uszu, bo w kilka tygodni później przesłał mi list wraz z pięcioma funtami. List b „Sprawdzając rachunki i wpływy, stwierdziłem, że nad-  
pan pięć funtów, które niniejszym zwracam”.

. Na tym zakończyła się ta smutna, absurdalna historia. Casals jja Pogodziliśmy się dopiero po latach: stało się to za sprawą jUbia. Raz czy dwa nawet występowaliśmy razem, ale czar prysł. <sup>^</sup>„pomnik” w moim sercu skurczył się do małej grudki po- dla wielkiego wiolonczelisty, nie dla człowieka. Każdy z nas rzył na świat innymi oczami.

495

Bajeczny sezon Opery i Baletu Diagilewa rozpoczął się od galowego przedstawienia Borysa Godunowa z Szalapinem, który w roli nieszczęśliwego, oszalałego cara był wprost niezrównany. Owego pierwszego wieczora śpiewał jeszcze piękniej niż zazwyczaj i odniósł ogromny tryumf. Kochańscy i ja siedzieliśmy z Draperami w ich wielkiej łoży — po prostu oczarowani. Po dwudziestu czy trzydziestu wywołaniach Fiodora przed kurtynę udaliśmy się za kulisy, aby się z nim przywitać. Przebojem torując sobie drogę wśród rozentuzjzmowanych londyńczyków, którzy zachowywali się tak, jak gdyby byli Rosjanami, na koniec zdołaliśmy wreszcie dotrzeć do jego garderoby.

— Artusza, strasznie się cieszę, że cię widzę — zawołał, całując mnie trzy razy, zgodnie z najlepszymi moskiewskimi tradycjami. Kiedy dokonałem prezentacji, obiecał w pierwszy wolny wieczór wpaść na Edith Grove.

Miałem to szczęście, że obecny byłem na wszystkich premierach oper i baletów, bądź z Draperami, bądź to z panią Bergheim, która na większość przedstawień zarezerwowała bilety. Zwabieni atrakcjami sezonu, pojawili się w Londynie Karol Szymanowski i Józef Jaroszyński. Pani Bergheim, wiedząc, jaką mi tym sprawi przyjemność, zaprosiła Karola, by zamieszkał przy Belsize Park. Karol oczywiście zaproszenie przyjął, ale wkrótce zaczął tego żałować, gdyż nie był przyzwyczajony do zrzedliwości, jaka cechowała naszą panią domu. Oczarowany był natomiast domem przy Edith Grove. I on, i Józef, nie mówiąc już o Szalapinie, stali się wkrótce stałymi bywalcami studia. Przy tej okazji Fiodor wspomniał mi wybaczyć Józefowi popełnioną kiedyś gafę. Któregoś wieczora Fiodor przyprowadził swoją przyjaciółkę, Jeanne Gra-nier, sławną wówczas śpiewaczkę operetkową i aktorkę komediową. Po kolacji Draper zaśpiewał kilka nowych trudnych pieśni Szymanowskiego; akompaniował mu kompozytor. Pieśni te, zbyt nowoczesne, zbyt zawile, nam wszystkim nie trafiały

Młode lata - Artur Rubinstain.txt

do przekonania. Tylko Jeanne Granier wołała:

— Brawo! Brawo! To cudowne!

— Nie udawaj, moja droga... Nie zrozumiałaś z tych pieśni ani jednej nutki — skarcił ją Szalopin, który nie cierpiał nieszczerych komplementów.

— Jak śmiesz mówić coś podobnego! — odparła z gniewem. -Zawsze uwielbiałam jego pieśni. Jak byłam młodsza, to śpiewałam całą jego Amour d'un poète]

Najwidoczniej miała na myśli cykl Dichterliebe Schumann\* biedaczka, myślała pewnie, że w Polsce Schumann znaczy Szy(u man(owski)!

Pragnąc zmienić temat, Fiodor wyjął wyciąg fortepianowy c

496

pańszczyzny Musorgskiego, zmusił mnie hvm i odśpiewał nam całą operę.

Paweł i ja odnieśliśmy wielki sukces

ak°mpamował,

załatwił mi trzy cenne kontrakty na styczeń

Pewnego wieczora znów byliśmy na Pietm\*?™ c- j • i parterze z „ciotką Klarą”, a KaTol Paweł i 7^

Siedziałem na z Muriel. Balet odniósł sukces równie T \ W ^

miery. Po kilkakrotnym Z^

jił i i

Zgoda — odpowiedział po rosyjsku

^4: k

To jest Rubinstein.

Kompozytor zatrzymał się, czekając, co mam mu do powiedzenia UdI°?ałem UWażnie Pańskie

S"\*# wiosny - L

gaw na ten temat?

Zamierzał od razu odesłać mnie z kwitkiem, ale

^ hł l dl ^^

PTZ?ZC\*ly,dzień za^y - odparł niskim, do-8: f JeSh JGdnak zechciałby P^ przyjść o dziewię-  
zastanie mnie pan przy śniadaniu i będziemy mogli przez dmy P°Ozmawiać- Mies\*kam w  
hotelu „Cecil” przy

mu { PobieSłem z powrotem na swoje miejsce

[to\$Z \ niG ChCaC Się SpÓŻniĆ) zerwałem si^ Juz o siódmej rano punktualnie o dziewiętej

zapukałem do jego drzwi. Kiedy wszed \*> siedział przy stoliku pod oknem i kończył śniadanie

Poprosił

497

bym usiadł, a ja nie tracąc czasu, zacząłem objaśniać mu moje wrażenia dotyczące Święta,  
oczywiście wyraziwszy uprzednio gę. boki podziw dla Ognistego Ptaka i Pietruszki.

— Kiedy słyszałem Święto po raz pierwszy, poczułem się niesłychanie zakłopotany —

powiedziałem. — Mój instynkt muzyczny buntował się przeciwko dzielnemu impetowi pańskiego  
dzieła. Nie chciałem jednak iść za tymi wszystkimi współczesnymi zarozumiał. cami, którzy każdy  
niepojęty dla siebie utwór zbywają tanią uwagą w rodzaju — „On chyba oszalał!”, albo jeszcze  
gorzej: „On nie jest szczerzy!”. Długo studiowałem partyturę i doszedłem wreszcie do wniosku, że  
pańska zasadnicza koncepcja polegała raczej na odzwierciedleniu ewolucji dźwięku podczas  
narodzin przyrody aniżeli na ilustrowaniu jakichś plemiennych obrządków składania dziewic  
w ofierze dla prześlągania bogów. /

Zrobiło to wrażenie na Strawińskim — przyznał, że wiele moich uwag dość wiernie oddaje to, o co  
mu właśnie chodziło.

— Święto — oświadczył — było właściwie buntem przeciwko istniejącym tradycjom  
muzycznym. Starłem się jedynie włać w muzykę trochę świeżej krwi, tchnąc w nią nowe życie.  
Posłużyło nam to za punkt wyjścia do jednej z owych niekończących się dyskusji na wszelkie  
możliwe tematy: o sztuce, literaturze, języku, polityce, religii i miłości. Nagle Strawiński zatrzymał się  
w pół zdania:

— My tu sobie gadu-gadu, a ja tymczasem zapomniałem, że jestem umówiony! Zresztą,  
mniejsza z tym, to i tak nudziarze!

Rozmawialiśmy więc dalej. Zbliżało się południe, gdy zaproponował z błyskiem w oku:

— Spróbujmy wśliznąć się na nowy balet Ryszarda Straussa, właśnie teraz odbywa się próba.

Diagilew zrujnował się i dekoracje oraz kostiumy zamówił u Serta; chciałem się przekonać, czy g<sup>^</sup> jest warta świeczki.

Do teatru Drury Lane mieliśmy tylko kawałek drogi piechotę-Weszliśmy na ciemną widownię i usiedliśmy w ostatnim rzędzie-Dekoracje Serta stanowiły właściwie pastisz sceny biblijnej z Szefem i Putyfarą, pędzła Veronesa lub Tintoretta (nie pamiętać którego z nich).

Na próbie generalnej dyrygował sam Strauss. Muzykę cechował charakterystyczny Straussowski „szwung”, orkiestracja odznacza się bogatą strukturą polifoniczną, lecz w swej istocie była VnS i brakło jej natchnienia.

Od czasu do czasu; w momentach szczególnie uderzają<sup>^</sup> Strawiński szczyptał mnie w ramię i niecenzuralnymi słowami \* tykował muzykę. Wyszliśmy z teatru nie zauważeni przez mi\* Na ulicy powiedział:

498

— Czas na obiad. Zna pan tu jakiś dobry lokal, gdzie moglibyśmy oś zjeść?

przy Edith Grove czekano na mnie z obiadem; mieli tam być także Paweł, Zosia, Karol i Jaroszyński.

— Czy nie zechciałby pan pójść ze mną na dobry obiad do moich przyjaciół, gdzie spotka pan kilka interesujących osób mówiących po francusku i po rosyjsku?

Spodobał mu się ten pomysł. Mieliśmy jeszcze trochę czasu, bo Muriel lubiła późne obiady.

Niespodziewanego gościa przyjęto oczywiście ze wszelkimi honorami, jemu zaś z kolei nasze towarzystwo przypadło do gustu. Rozmowa przy stole była nad wyraz ożywiona. Kawę wypiliśmy w studio. Strawiński natychmiast wyczuł urok tego miejsca, ale na widok koncertowego fortepianu wygłosił parę uwag deprecjonujących wartość fortepianu jako instrumentu muzycznego.

— Fortepian to instrument perkusyjny i nic więcej — powiedział.

— Nie zgadzam się z panem — zaproponował Karol. — Najwięksi kompozytorzy napisali na fortepian arcydzieła wymagające śpiewnego brzmienia.

— Wszyscy oni mylili się — stwierdził rosyjski kompozytor. — Jestem pewien, że powstanie nowa muzyka, która fortepian potraktuje we właściwy sposób.

Karol, chcąc podeprzeć swą argumentację, wszedł na tory osobiste:

— Zmieniłby pan zdanie na temat fortepianu, gdyby pan posłucha, jak Artur gra pańskiego Ognistego Ptaka lub Pietruszkę.

— To Rubinstein jest pianistą? — zapytał szczerze zdumiony Strawiński.

Wszyscy się roześmieli, traktując to jako żart, ale ja nagle zda-tem sobie sprawę, że zapomniałem mu o tym powiedzieć.

Pozostaliśmy przy Edith Grove do czwartej nad ranem. Wieczorem była muzyka kameralna, dwie kolacje, mnóstwo szampana. Wracając taksówką do domu, podrzuciłem Strawińskiego do jego hotelu. Na pożegnanie pocałowaliśmy się i postanowiliśmy mówić s<sup>o</sup>bie po imieniu. Przez cały tydzień jego pobytu w Londynie chodziliśmy razem na obiady i mimo wielu artystycznych sporów 1 dyskusji pozostaliśmy na zawsze najserdeczniejszymi przyja- eiółmi.

28 czerwca 1914 roku arcyksiążę Franciszek Ferdynand, austro-<sup>ni</sup> następca tronu, zabity został w Sarajewie przez fana-g patriotę serbskiego. Ta nowa tragedia w domu Habsbur- wstrząsnęła całym światem. Nieszczęsny, tak ciężko doświad-

499

czony cesarz budził powszechne współczucie. Król Jerzy zarządził na dworze tydzień żałoby.

Owa zbrodnia polityczna nie poruszyła zbytnio naszego towarzystwa. Życie toczyło się zwykłym torem: w Drury Lane nadal wystawiano opery i balety, w mieście przebywali wciąż wszyscy wielcy artyści, nasze wieczory muzyczne wzbogaciły się o nowy repertuar i nowych 'wykonawców, a wesole kolacyjki bywały nawet weselsze niż zazwyczaj. Zaiste, życie w Londynie było upajające. A wspaniały sezon jeszcze się nie kończył.

— Arturze, nie mów nikomu, ale jestem zrujnowany — powie, działo mi Draper w zaufaniu któregoś dnia. — Od dwóch tygodni mam nieustannego pecha. Chcąc odbić straty, grałem o coraz większe i większe stawki, ale wszystko poszło. Moją jedyną nadzieją jest Derby; postawiłem pięć tysięcy funtów na konia, który nie może przegrać. Chodź ze mną na wyścigi, czuję, że przyniesiesz mi szczęście.

Obiecałem, toteż w dniu Derby, tym najważniejszym święcie wszystkich Anglików, Draper, Paweł i ja pojechaliśmy taksówką do Epsom. Dzień był upalny i słoneczny; ponad milion osób wypełniało wszystkie miejsca wzdłuż rozległego pola wyścigowego. Przepchnęliśmy się przez zbitą ciżbę aż do samej barierki i uczepiliśmy się jej żelaznych prętów. Król i królowa przyjechali powozem

zaprzężonym w czwórkę koni i zajęli miejsca w łoży królewskiej. Lada moment miała się rozpocząć największa gonitwa roku. Na torze zaczęły ukazywać się konie, było ich przeszło dwadzieścia; szły powoli jeden za drugim, niosąc na grzbietach małych, drobnych dżokejów ubranych w różnokolorowe stroje. Skuleni jeźdźcy, jak gdyby przyrośnięci do siodeł, prezentowali podnieconym tłumom kosztowne wierzchowce.

Draper, błądzący ze zdenerwowania, wskazał na kasztanek:

— To Kenymore. Powiedziałem „merde” na szczęście.

Konie ustawiono w jednym rzędzie. Ostry sygnał, bomba poszła w górę i rozpoczęła się gonitwa. Początkowo konie szły łąwą, zbite w gromadę, ale po pierwszym zakręcie sformowały się w sznuf> który rozciągnął się po chwili, gdy kilka koni oderwawszy się 0(i reszty, gwałtownie ruszyło do przodu.

Przez tłum przeszedł dziki, rozsadzający uszy krzyk. Ludzie k sterycznie wykrzykiwali imiona koni, na które stawiali. wrzeszczał razem z innymi: „Kenymore! Kenymore!” Cztery wysforowały się daleko do przodu: Kenymore wśród nich nie br° Draper piał teraz głosem przerażonego kurczęcia: „Kenymore! & nymore!” — lecz jego głos stopniowo słabł coraz bardziej; \* wreszcie, gdy gonitwa dobiegła końca, słyszałem już tylko Je^ szept: „Kenymore!” Tragiczna, rozdzierająca serce scena...

500

nie zapomnę imienia tego nieszczęsnego konia, dźwięczy mi ^ uszach po dziś dzień.

Po miasta wróciliśmy zatłoczonym autobusem, większą część drogi na stojąco. Draper był tak załamany, że nie mógł wykrztusić słowa. Paweł, który oglądał gonitwę oddzielony od nas tłumem ludzi, doskonale zdawał sobie sprawę z rozgrywającego się dramatu — Draper opowiedział mu o wszystkim.

Na Edith Grove Muriel, Ruth i Zosia piły herbatę i czekały na nasz powrót.

— Muriel, jesteśmy zrujnowani. Jesteśmy kompletnie zrujnowani — głośno oznajmił Draper, wchodząc do studia.

— Siadajcie i napijcie się herbaty — odpowiedziała Muriel, najwidoczniej przygotowana na złe wieści.

— Ależ Muriel — upierał się Draper — ja mówię zupełnie poważnie. Straciliśmy dziś wszystko, co posiadaliśmy. Wszystko, co do grosza.

— Nie nudź. Dziś jemy kolację w „Savoy Grill”, pozostało nam też jeszcze trochę kredytu.

Draper, zrezygnowany, opadł na fotel.

Ich sytuacja finansowa była naprawdę rozpaczliwa. Paul nie tylko stracił wszystkie pieniądze, ale był też zadłużony w firmie bookmacherów Landbrokes. Długi hazardowe traktuje się w Anglii bardzo poważnie. Nastąpiły długie debaty i rozmowy, konsultacje ze specjalistami i rokowania z wierzycielami. Dom i studio obciążono hipoteką. Na odsiecz przybył w końcu1 anioł w postaci Ruth Draper. Ruth, ogromnie do brata przywiązana, chcąc go uwolnić od najbardziej naglących długów i na jakiś czas pomóc w utrzymaniu się na powierzchni, zaoferowała mu gros odziedziczonego przez siebie majątku. Draper był tym gestem ogromnie wzruszony, ale Muriel przybrała pozę królowej przyjmującej daninę od swych wasali.

Tymczasem polityka znów wysunęła się na plan pierwszy. w związku z zabójstwem arcyksięcia Austria domagała się nad-2^yczajnych ustępstw, ale Serbia odmówiła.

Ktoregoś ranka Eisenbach przyniósł mi wiedeńską „Neue Freie presse” i zawołał podekscytowany:

Proszę to przeczytać, proszę czytać, to oznacza wojnę! i Preczytałem, że rząd austriacki poprzedniego wieczora prze-póżył Serbii ultimatum i że jeśli Serbia nadal będzie trwać l \* Uporze, wojska austriackie przekroczą granicę. i, ~- Nie ma się o co martwić — powiedziałem, rzucając gazetę — J ^ojna będzie po prostu ekspedycją karną wielkiego imperium jPf2eciwno małemu zbuntowanemu sąsiadowi! ! ^le nazajutrz rano zmieniłem zdanie. Tytuły gazet nie mówiły

501

już o niczym innym, jak tylko o tym, że Rosja zagroziła interwencją zbrojną w razie napaści Austrii na Serbię.

Gazety londyńskie publikowały artykuły określające sytuacją mianem poważnego kryzysu, ale ludność w większości nie zwracała na to zbytnej uwagi, zachowując nastrój beztroski. Sytuacja pogarszała się jednak z dnia na dzień. Kajzer Wilhelm najwidoczniej czekał tylko na taki kryzys. Zaczął on naciskać zgrzybiałego cesarza Austrii)by bezzwłocznie zaatakował Serbię i wystosował do Rosjan notę, grożąc wojną w razie ich ingerencji w konflikt austriacko-serbski.

Rządy Anglii i Francji zaniepokoiły się teraz nie na żarty. Trójstronna Entente Cordiale zawarta



między tymi dwoma krajami a Rosją zobowiązywała każdego z partnerów do interwencji, jeśli jeden z nich znajdzie się w stanie wojny.

Zwykli ludzie, nie wyłączając nas, nie chcieli i nie mogli wprost uwierzyć, by w naszym cywilizowanym świecie mogło dojść do wojny o tak monstrualnych rozmiarach. Ale wieści były niepokojące.

Paweł z Zosią, zaproszeni na lato do majątku państwa Emilostwa Młynarskich, wyjechali na Litwę, zabierając z sobą Sylwię Spar: row. Karol wrócił do Tymoszkówki, a Jaroszyński do Kijowa. Miałem wyjechać z Pawłem i Zosią, ale zdecydowałem się zostać — po części dlatego, że lubię być tam, gdzie dzieją się rzeczy ważne, głównie jednak dlatego, że ciągle jeszcze byłem zakochany.

Paul Draper postanowił nagle wyjechać, i to ni mniej, ni więcej tylko do Niemiec, prosto w sam środek niebezpiecznego kryzysu politycznego. Przyczyny, jakie podawał, były mgliste i nie-przekonywujące: chciał uczyć się niemieckiego, posłuchać niemieckich pieśni czy coś w tym rodzaju. Moim zdaniem jednak, chciał uciec od całego tego bałaganu, którego sam był sprawcą i z któryto nie potrafił sobie poradzić. Muriel przyjęła jego wyjazd z całkowitą, tym spokojem. Tego wieczora byliśmy na balecie, ostatnim już w tym sezonie.

Kajzer otwarcie groził teraz nie tylko Rosji, ale i Francji W jednym z wojowniczych wystąpień ślubował narodowi, że < dzie walczył z nieprzyjacielem aż do końca. Niemieckie wojsła w pogotowiu na granicy francuskiej i rosyjskiej. Sytuac] zaczęła się gwałtownie pogarszać. Rządy Francji i Rosji zarea wały na te groźby powszechną mobilizacją swych wojsk W wych i marynarki wojennej.

Tysiące londyńczyków, porządnie już teraz zatrwożonych, stawały przed plakatami w milczeniu, z niepokojem czytają0 wrózone doniesienia z zagranicy. Gazety co pół godziny ( wały nowe komunikaty.

502

Król Jerzy i car Mikołaj zaapelowali do kuzyna, cesarza Niemiec, by bezzwłocznie jeszcze raz przemyślał swą ostateczną decyzję; wyrażali gotowość wzięcia udziału we wspólnej konferencji celem wypracowania zadowalającego rozwiązania konfliktu. Kaj-zer propozycję tę oschle odrzucił. W uroczystym posłaniu do swego narodu oświadczył, że zarządzona przez Francję i Rosję powszechna mobilizacja stanowi wrogą prowokację, na którą jedyną odpowiedzią może być wojna. A potem nastąpił dzień, kiedy to przeczytaliśmy nagłówki, które wprawiły nas w osłupienie: „Belgia ofiarą inwazji wojsk niemieckich”.

Anglia, która wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu ciągle żywiła nadzieję, że w ostatniej chwili jakiś cud zdoła powstrzymać złowrogi rozwój wydarzeń, brutalną napaść na mały, miłujący pokój kraj przyjęła z oburzeniem. Parlament jednomyślnie głosował za wypowiedzeniem wojny; król deklarację tę podpisał. Francja już przedtem znajdowała się w stanie wojny. Rosja rów-  
nież.

Tragiczna katastrofa, która dała początek tylu innym, rozpoczęła się. Długa era łatwego, pokojowego współżycia między narodami, era dobrobytu, dobrego smaku i dobrego wychowania przeminęła na zawsze. Świat utracił wiarę w przyszłość.

75

W pierwszych dniach wojny wybici z równowagi londyńczycy ^teli Niemcom za złe przede wszystkim brak zrozumienia. — »I pomyśleć tylko, że ci Niemcy rozpoczęli wojnę, kiedy u nas Jest Bank Holiday!"1 — Ale jednocześnie cały kraj, gotów do ^zelkich poświęceń, twardo stanął za królem. Pani Bergheim, jeszcze bardziej .zręczliwa niż zazwyczaj, ale [^rzeczywistości uszczęśliwiona możliwością powrotu do czynnego tycia — odprowadziła Petera Bergheima, który przywdział mundur i1 Wyruszył do swego pułku. Jego siostra Nina podjęła pracę w jed-!^tt ze szpitali. Londyn przypominał obóz wojskowy. Eisenbach \?23sł się ze strachu, bo jako poddany austriacki stanął w obliczu \ ?lematu: pozostanie w Anglii groziło mu internowaniem w obo-  
<losł. \_\_ święto bankowe. W Anglii dzień zwyczajowo wolny od pracy.

503

zie; z drugiej zaś strony wszystkie drogi powrotu do Krakowa były już zamknięte. Przeczytałem w gazecie, że personel ambasady austriackiej miał udać się drogą morską do Triestu.

— Jeżeli zgodzą się zabrać pana z sobą, będzie pan bezpieczny — powiedziałem do mego biednego, mocno wystraszonego sekretarza. — Podczas któregoś z at home'ów poznałem waszego ambasadora; to miły człowiek, więc szansa jest. Wątpię tylko, czy w tych warunkach zechce mnie

przyjąć.

Ambasador, hrabia Mensdorff (serdeczny przyjaciel króla Edwarda VII i najpopularniejszy dyplomata w Londynie), przyjął nas bezzwłocznie i obiecał pomoc. Tego samego wieczora otrzymałem od niego depezę z poleceniem, by Eisenbach tego a tego dnia dołączył się w Southampton do personelu ambasady. Był to zaiste gest godny wielkiego pana.

Muriel Draper, Amerykanka z Bostonu, z dnia' na dzień stała się najgorliwszą angielską patriotką, a w jej oczach mogłem wyczytać, że ma mi za złe, iż nie ruszam na wojnę. Nie miało sensu tłumaczyć, że w rozdartej na trzy zabory Polsce bracia zmuszeni byli walczyć przeciwko sobie i że niczego bardziej bym nie pragnął, jak walczyć z Niemcami, ale nie po stronie Rosjan.

Manifest wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, kuzyna cara i głównodowodzącego sił zbrojnych, obiecywał, że Polakom z zaboru rosyjskiego wolno będzie wziąć udział w wojnie pod własnymi sztandarami. Jednocześnie nadeszły wieści, że tysiące Polaków mieszkających we Francji formuje legion polski, który będzie walczył z nieprzyjacielem w szeregach armii francuskiej.

Postanowiłem bezzwłocznie wyjechać do Paryża i zaciągnąć się do legionu moich rodaków. Z niewielką sumką, jaka mi jeszcze pozostała, z małą walizką zawierającą tylko najniezbędniejsze rzeczy, wsiadłem do pociągu na dworcu Victoria. Pani Bergheim i Muriel przysły mnie odprowadzić. Kochana „ciotka Klara" dała mi pięć funtów w złocie:

— To na wypadek, gdyby pan potrzebował dodatkowego wyżywienia; nie mam zaufania do tych Francuzów — oświadczy wierna najlepszej angielskiej tradycji. Muriel odprowadzała mn dumna, że dla sprawy wojny pozyskała jeszcze jednego rekr\* Do Paryża przybyłem pod wieczór i pojechałem prosto do b lu „Scribe" przy Boulevard des Capucines, gdzie wynająłem P na jedną noc. Nazajutrz rano zamierzałem zameldować się ^ a basadzie rosyjskiej i zaciągnąć się natychmiast do formowa legionu polskiego.

Ulice były udekorowane flagami, jak gdyby to był c . j.0\*-e Lipca, miasto ogarnęło patriotyczne uniesienie. Oddziały "« ze swoimi orkiestrami maszerowały w równym szyku przez

504

zatlócone bulwary. Kумы podnieconych paryżan pozdrawiały żołnierzy okrzykami „Vive la France! Vive la Belgique!", powiewając kapeluszami i chusteczkami; kobiety rzucały im kwiaty, a dziewczęta tłoczyły się, by ich ucałować. Podniosły patos niektórych marszów granych przez orkiestry wojskowe nieodmiennie chwycił mnie za gardło; Sambre et Meuse i Le Chant de Depart budziły to samo szlachetne wzruszenie co Marsylianka.

Tej nocy nie mogłem spać. Wizja samego siebie w roli żołnierza uzbrojonego w karabin i gotowego zabijać innych była dla mnie koszmarem i nie pozwalała mi zasnąć. Czuję, że zdolny byłbym z zimną krwią zabić kajzera, ale myśl o zabijaniu niewinnych młodych Niemców, wśród których znajdują się być może moi przyjaciele z „Lesekranzchen", wydawała mi się tak krzyczącą niesprawiedliwością, że budziła wręcz odrazę.

Na tarasie „Cafe de la Paix", gdzie jadłem śniadanie, wszyscy z niepokojem czytali najświeższe komunikaty wojenne. „Nieprzyjaciel dotarł do granic Francji. Inwazja jest bliska!" Gazety głosiły chwałę Alberta, króla Belgów, i jego dzielnej armii za bohaterską postawę, która dała Francji trochę czasu tak potrzebnego dla przegrupowania wojsk.

Nadeszła pora, by udać się do ambasady rosyjskiej. Taksówka dowiozła mnie na róg rue de Grenelle, gdzie zastałem grupki bezradnych i zagubionych w Paryżu poddanych rosyjskich, stojących na dziedzińcu i czekających, kiedy wolno\* im będzie wejść do środka. Poprosiłem portiera w liberii, by doręczył moją kartę wizytową attache wojskowemu.

— Hrabia Ignatiew przebywa w Petersburgu — odparł portier — ale może zechce pana przyjąć pułkownik Osnobiszyn, który go zastępuje.

Znikł wraz z moją wizytówką. Nazwisko Osnobiszyn wydało mi się znajome. Po chwili na korytarzu zjawił się wysoki, tęgi oficer rosyjski. Spojrzał na mnie, a potem na wizytówkę: I — Rubinstein? >— i nagle roześmiał się. — Artur Rubinstein? A cóż, na Boga, pan tu robi? i W tym momencie i ja go poznałem: był przyjacielem pułkownika ; Striemuchowa, wielkiego melomana, który za dawnych, warszaw-|skich czasów chronił mnie i Pawła przed służbą wojskową. Przy-1 ^taniałem sobie, że ów tęgi mężczyzna z widocznym zadowoleniem ^Uchał niekiedy naszej gry. Opowiedziałem, co mnie sprowadza do t ai%yża, i przeszedłem do sedna sprawy.

I"- W armii francuskiej wymagany jest dokument podpisany rosyjskiego attache

wojskowego, będący zezwoleniem na do legionu polskiego walczącego we Francji. Osnobiszyn spoważniał:

505

— Jego Cesarska Mość odwołał manifest głównodowodzącego Polacy walczą pod sztandarem rosyjskim, a we Francji nie ma żadnego polskiego legionu.

Cios był dotkliwy! Przez chwilę nie wiedziałem, co zrobić ani co powiedzieć.

— Nie pozostaje mi więc nic innego, jak zaciągnąć się do francuskiej Legii Cudzoziemskiej — powiedziałem po chwili z rezygnacją. — Jak pan sądzi, czy zostanę przyjęty?

— Oczywiście, że tak — odpowiedział — ale niech pan posłucha mojej rady i niech pan tego nie robi. Jeśli nawet będzie pan miał szczęście i powróci z wojny zdrow i cały, służba we francuskiej Legii Cudzoziemskiej zrujnuje panu ręce na zawsze.

Bez przekonania odpowiedziałem coś o moim postanowieniu wzięcia udziału w wojnie.

— Bzdura — zaprotestował pułkownik. — W polu mamy dość ludzi. A naszym obowiązkiem wobec ludzkości jest ochraniać osoby o wyjątkowych uzdolnieniach. Proszę zostawić swój adres, postaram się znaleźć panu jakieś zajęcie wojskowe, które nie zaszkodzi pańskim bezcennym palcom.

Pożegnał mnie serdecznym uściskiem dłoni. W drodze powrotnej do hotelu pomyślałem z ulgą: „Moje szczęście, że hrabia Ignatiew przebywa w Petersburgu! Z pewnością odesłałby mnie prosto do Rosji!”

Czekając na wieści od pułkownika, próbowałem odszukać miejsce pobytu mego brata, Ignacego; wiedziałem, że mieszka w dzielnicy Montparnasse, ale adres zgubiłem. Rozpytując się tu i tam, trafiłem do kawiarni, gdzie miałem szansę go spotkać; „Cafe de la Rotonde” była wówczas bardzo modna jako punkt zborny artystów wszystkich narodowości. Duży taras kawiarni wypełniał różnorodny, barwny tłum. Mężczyźni w większości wyglądali na malarzy, muzyków i pisarzy. Dookoła widać było długie, nie uczesane włosy, brody i wąsy. Ubrani byli przeważnie w najrozmaitsze malowniczo wyglądające stroje — sztruksowe spodnie robocze, wytarte swetry, koszule rozpięte pod szyją, znoszone, wyświecające garnitury ze sztywnymi białymi kołnierzykami, a do tego zabawna różnorodność butów — mokasyny obok lakierków, brązów cholewy obok sandałów i pantofli; jednakże wszystko to doskonale z sobą harmonizowało. Słyszało się tu przeróżne zna\* i nieznanne języki z wyjątkiem francuskiego, gdyż wszystkich m»° dych Francuzów powołano pod broń. Większość kobiet stanowi modelki i les petites amies malarzy. Odnosiło się wrażenie, wszyscy się tu znają, pokrzykiwano od stolika do stolika.

Spodobał mi się ten lokal. Zauważywszy stolik, przy któr

506

trzech mężczyzn rozmawiało po polsku, spytałem jednego z nich, czy zna mego brata.

— Owszem, znam go doskonale — odparł. — Ale chyba nie ma go w mieście, bo w przeciwnym razie byłby tu z nami.

ponieważ nikt nie znał adresu Ignacego, postanowiłem częściej bywać w tej kawiarni.

Tydzień minął bez żadnej wiadomości od pułkownika Osnobiszyna, zacząłem się denerwować. Pokój w hotelu „Scribe” był dla mnie o wiele za drogi, a zresztą takiego rozwoju wypadków nie przewidziałem. Najgorsze zaś, że nie mogłem wyprowadzić się z hotelu, gdyż ten właśnie adres podałem pułkownikowi.

Z frontu dochodziły alarmujące wieści. Wojska niemieckie zajęły Sedan i St. Quentin \ bardzo szybko posuwały się w kierunku Paryża. Generał Joffre, głównodowodzący sił francuskich, wycofywał się na bezpieczniejsze pozycje, żeby zorganizować obronę zagrożonej stolicy. Pewnego ranka na ulicach pojawiły się obwieszczenia. Generał Gallieni, wojskowy gubernator Paryża, wygłosił apel do obywateli, ostrzegając przed nadciągającym niebezpieczeństwem i wzywając do opuszczenia stolicy. Pozostać mieli tylko zatrudnieni w pracach związanych z wojną.

Paryż i tak już opustoszał. Wypowiedzenie wojny zamieniło doroczną ucieczkę z miasta w istny exodus.

Nowe zarządzenia wydała policja: wszystkie lokale publiczne zamykano o dziewiątej wieczór, światła należało zaciemniać; z godziny na godzinę ukazywały się nowe rozporządzenia i zakazy. Wczesnym rankiem wyrwał mnie ze snu jakiś dziwny hałas. Wskoczyłem z łóżka i wybiegłem na balkon, żeby zobaczyć, co się dzieje. Hałas dochodził od strony bulwarów, gdzie nie kończący się sznur taksówek wiozł żołnierzy w nieznanym kierunku. Przerażony tym widokiem, w pierwszej chwili pomyślałem, że garnizon Paryża ucieka, Joffre przegrał bitwę, a Gallieni niebawem Podda miasto. Ubrałem się w pośpiechu i pobiegłem po informacje do ambasady rosyjskiej. Przy rue de Grenelle

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

dwaj francuscy policjanci Zzymali wartę przed gmachem i nie pozwolili mi przejść.

— Jestem umówiony z attache wojskowym — powiedziałem su-r°wym tonem.

— Wczoraj w nocy wyjechał wraz z całą ambasadą do Bordeaux — odparł jeden z nich.

— Ależ to niemożliwe — obruszyłem się. — Ambasada nie ma Prawa wyjeżdżać, jak długo rząd pozostaje w stolicy.

— Wczoraj rano rząd francuski przeniósł się do Bordeaux — opowiedział i odwrócił się do mnie plecami.

507

Serce zamarło mi w piersi. To była ta ostatnia kropla! Do hotelu wróciłem zrozpaczony; oczyma wyobraźni widziałem się już aresztowanym przez Niemców jako szpieg i torturowanym przez przypiekanie rąk. W hotelu „Scribe” spakowałem walizkę, uregulowałem rachunek i poszedłem szukać jakiegoś taniego pokoiku w skromnym hotelu. Przechodząc koło tarasu „Cafe de la Paix”, usłyszałem dochodzące z placu Opery wołania i okrzyki. Sprzedawcy gazet wykrzykiwali ostatnie komunikaty: „Wielka bitwa nad Marną! Garnizon paryski przewieziony na samą linię frontu przez Gallieniego przełamał skrzydło, nieprzyjaciela! Armia von Klucka w odwrocie!”

: Krew zaczęła szybciej krążyć mi w żyłach. Tłum skandował „Gallieni! Gallieni!” Krzyczałem razem z nim.

Na pobliskiej rue du Helder znalazłem w „Hotel du Nil” (bzdurna nazwa, nic z Egiptem nie mająca wspólnego) malutki pokoik za trzy franki dziennie; był to nad wyraz skromny hotelik, ale sprawiał wrażenie czystego. Rozpakowałem się, zszedłem na dół i autobusem pojechałem na Montparnasse. „Cafe de la Rotonde” wypełniona była po brzegi; wielu klientów musiało stać z filiżanką kawy lub kieliszkiem wina w ręku. Wszyscy naraz mówili o bitwie nad Marną. Moi Polacy siedzieli przy tym samym stoliku co zwykle, zaprosili mnie do siebie, a jeden z nich odstąpił mi połówkę krzesła. Kiedy poznaliśmy się bliżej, dowiedziałem się, że mój „współmieszkaniec” jest doktorem medycyny i że uwielbia muzykę, jak zresztą większość przedstawicieli tego zawodu. Wiele godzin spędziliśmy w tym zatłoczonym lokalu; od czasu do czasu któryś z nas wychodził po nowy komunikat. Wiadomości były te same: nieprzyjaciel cofał się. O dziewiątej zaczynała się godzina policyjna, wszyscy musieli opuścić lokal. Lekarz-Polak zaproponował, bym go odprowadził do szpitala, gdzie pełnił nocny dyżur. — Będzie się pan mógł napić herbaty w naszej kantynie — powiedział po polsku — a nawet mamy pianino.

Nie potrafiłem się oprzeć takiemu zaproszeniu: od wyjazdu z Londynu nie widziałem fortepianu. Hôpital Lariboisiere sprawia\* tej nocy posępne wrażenie: co chwila przyjeżdżały z frontu Ł retki z ciężko rannymi żołnierzami i nie tracąc ani chwili odjeZ” dźwały po następnych. W kantynie mój znajomy Polak przedstawił^ mnie garstce lekarzy siedzących przy długim stole i popijający\* herbatę lub kawę. Beznamiętnie omawiali jakieś trudniejsze prz?

padki, ale nikomu nie udawało się wypić filiżanki do końca i \*\*

zostać wezwanym do wykonania nowej operacji. Po raz pierwszy dobitnie uświadomiłem sobie bezsens i Pr8^

dziwa grozę wojny. Niewinni młodzi ludzie, Wczoraj jeszcze zdro

508

i beztroscy, dziś masakrowani byli przez innych niewinnych młodych ludzi. Cóż za nieznośna, tragiczna farsa!

Wylóżył wzrok nieśmiało powędrował ku stojącemu w kącie pokoju pianinu; zbliżyłem się, podniosłem wieko i zagrałem kilka dźwięków. Instrument był haniebnie rozstrojony, a dwa lub trzy klawisze miały głucho. Mimo to usiadłem i zacząłem grać. Grałem Sonatę „patetyczną” Beethovena; nigdy jeszcze nie grałem jej w taki sposób. I nieważne jest, jak brzmiała, ale jak ją czułem. Byłem blisko płaczu, podobnie zresztą jak wszyscy obecni.

Moje skromne rezerwy finansowe szybko zaczęły topnieć. Pięć funtów w złocie już wydałem, ale z uporem trzymałem się sumy potrzebnej na opłacenie jeszcze dwóch tygodni pobytu w hotelu. Na prawdziwe jedzenie nie zostało mi więc nic. Przez cztery czy pięć dni jedynym moim pożywieniem były małe francuskie winogrona, w sezonie winobrania sprzedawane na ulicach za parę centimów. Przymierałem głodem; bywałem tak głodny, że nie mogłem zasnąć. Te straszne dni przywodzą mi na pamięć pewne drobne tragikomiczne interludium: któregoś wieczora, gdy przechodziłem obok „Cafe de la Paix”, w jasno oświetlonej restauracji zobaczyłem trzech angielskich oficerów jedzących kolację przy stoliku pod oknem. Jeden z nich okazał się moim znajomym z Londynu. Dostrzegłszy

mnie przez okno, zaczął gestami i znakami zachęcać mnie, bym się do nich dołączył. Gdy wszedłem do restauracji, podniósł się z miejsca i w nader pochlebny sposób przedstawił mnie swym towarzyszom.

— Cieszę się, że pana widzę, stary! Cholernie paskudna historia, ta cała wojna, no nie? Ale ja ci mówię, stary, już my damy wycisk tym szkopom! — towarzyszyły temu głośnie wybuchy śmiechu. — Niech pan siada, drogi przyjacielu, i zje razem z nami kolację.

— Nie, dziękuję — odparłem szybko i bez zastanowienia — właśnie wracam z kolacji.

Było we mnie coś takiego, co sprawiało, że nie zniósłbym myśli, & owi Anglicy mogliby zauważyć, jak straszliwie wygłodniały człowiek rzuca się na jedzenie. Zaproponował mi filiżankę kawy, na co zgodziłem się, ale byłem tak zdenerwowany, że pierwszym wkiem poparzyłem sobie język.

, Rezultatem tego denerwującego przeżycia była bezsenna noc i wizje wielkich potci połędwicy z pommes souffles i sauce

Nazajutrz rano poszedłem pieszo aż do „Cafe de la Rotonde”, ^sie mój przyjaciel-lekarz wspaniałomyślnie poczęstował mnie ^iz herbaty. Przy sąsiednim stoliku ktoś głośno mówił o ja-509

kiejś soupe populaire dla artystów. Gdy spytałem, co to jest, p0. wiedziano mi, że na Polach Elizejskich znajduje się lokal, gdzie dwa razy dziennie pewna instytucja dobroczynna wydaje zagubionym w Paryżu artystom talerz zupy i chleb. Tym razem wsią. dłem do autobusu i bez trudu odnalazłem to miejsce, ale dowie, działem się, że będę musiał godzinę zaczekać, nim zaczną wyda-wać ten bezcenny posiłek. Dla zabicia czasu kupiłem jeszcze kiść winogron i jadłem je, siedząc na ławce. Tymczasem zaczęli się schodzić moi towarzysze w sztuce i w niedoli, w sumie przyszło około pięćdziesięciu osób. Niektórzy wydawali mi się znajomi, ale wszyscy zachowywali się z rezerwą i byli raczej mała rozmowni, co zresztą doskonale rozumiałem.

Za długim stołem pojawiło się kilka dam (tych od dobroczynności), które zajęły się ustawianiem misek, krojeniem chleba oraz innymi podobnymi czynnościami. Wreszcie jakiś mężczyzna postawił na stole wagę gorącej zupy z długą chochlą. Ustawiliśmy się rzędem. a dwie panie zaczęły wydawać porcje. Była to dobra zupa jarzynowa z pływającymi w niej kawałkami chleba i smakowała jak najlepsze danie. Kiedy tak jadłem powoli, z należyłym szacunkiem smakując każdy łyk zupy, usłyszałem, że ktoś woła mnie po imieniu:

— Arturze! Co pan robi tu w Paryżu? — Gabriel Astruc we własnej osobie patrzył na mnie osłupiały. Zarumieniłem się ze wstydu, że zobaczył mnie przy soupe populaire.

— Jeśli to pana interesuje, opowiem panu, co robię, a także dlaczego mnie pan tutaj spotyka •— powiedziałem.

— Proszę na mnie poczekać... Za chwilę wracam — i odszedł porozmawiać z paniami oraz kilkoma „biesiadnikami”.

Sam Astruc, jak się później dowiedziałem\* był organizatorem tej soupe. Zaprosił mnie do pobliskiej kawiarni, gdzie opowiedziałem mu o moich niefortunnych przygodach.

i— Postaram się panu coś załatwić — powiedział, obiecując dae mi znać możliwie najszybciej.

Wręczył mi też sto franków:

— A to zaliczka na poczet przyszłych pańskich koncertów -powiedział z uśmiechem i pożegnał się.

Wkrótce Astruc wynalazł mi posadę tłumacza listów i dok mentów, które znajdowano przy jeńcach wojennych. Moja znJ mość niemieckiego, polskiego, rosyjskiego, francuskiego i angjc skiego okazała się przydatna; płacono mi sto franków tygodniom popołudnia zaś miałem wolne. Nie był to przydział wojko^ zostałem zatrudniony jako pracownik cywilny.

Moją kwaterą główną stała się teraz „La Rotonde”, gdzie stałem członkiem „klubu”. Któregoś dnia pojawił się Ignacy. ^

510

cały czas przebywał w Tours, dokąd uciekł wraz z innymi wkrótce po wypowiedzeniu wojny. Nie widzieliśmy się już od bardzo daw-na. Rozdzieliło nas życie, choć i tak nigdy zbyt wiele nas nie łączyło. „La Rotonde” wszakże, chcąc nie chcąc, zbliżyła nas do siebie. Dołączyli się do nas dwaj Polacy, również nowi w tej kawiarni; jednym z nich był malarz z Warszawy nazwiskiem Kram-szytk, drugim — Morawski, muzyk, od lat mieszkający w Paryżu. Wspólnie stanowiliśmy nierozłączną czwórkę: codziennie o tej samej porze spotykaliśmy się w kawiarni i razem spędzaliśmy resztę dnia. Wojna w pewnym sensie utknęła na martwym punkcie; rozpoczęła się straszliwa, najokrutniejsza ze wszystkich wojna .pozycyjna. Francuzi zdecydowani byli utrzymać się na swoich pozycjach. Ich hasłem stało się „lis ne passeront pas!” Armia angielska oko-pała się mocno na lewym skrzydle, a

bohaterski król Albert uparcie stawiał opór na skrawku swego dzielnego kraju. Włochy, które z początku wraz z Niemcami i Austrią tworzyły Trójprzymierze, zmieniły front i wiosną wypowiedziały wojnę Austrii.

Gazety francuskie publikowały przerażające sprawozdania o zbrodniach popełnianych przez wojska niemieckie w Belgii, Polsce i północnej Francji. Z zimną krwią rozstrzeliwano setki niewinnych obywateli tych krajów w odwet za zabicie przez partyzanta jednego żołnierza. Wciąż dochodziły niesamowite wieści o bezsensownych zabójstwach, gwałtach i torturach. Władze niemieckie określały te oskarżenia mianem „Greulenpropaganda”, ale niektóre dokumenty i listy, jakie wpadły mi w rękę, potwierdzały francuskie doniesienia. Znany kompozytor Alberic Magnard zabity został jedynie dlatego, że okazał się nie dość uprzejmy dla najeźdźców. Czułem się głęboko upokorzony na myśl, że nasza wielka cywilizacja tak haniebnie się poniżyła, idąc posłusznie za zbrodniczym Kajzerem. W przypiływie bezsilnej wściekłości uroczyście ślubowałem sobie wtedy, że już nigdy w życiu nie będę grał w Niemczech!

Dotrzymałem tej przysięgi aż po dzień dzisiejszy, kiedy piszę te słowa, i niestety, dla znacznie poważniejszych i znacznie istotniejszych powodów.

Serdecznie zaprzyjaźniłem się wówczas z Eugeniuszem Morawskim, który w wiele lat później został dyrektorem Państwowego konserwatorium Muzycznego w Warszawie. W kawiarni wymiebaliliśmy poglądy na wiele tematów, a także poznaliśmy się lepiej tajemnie, nie tylko osobiście, ale i jako muzycy. Godzinami Przesiadywałem u Morawskiego przy fortepianie; on grywał mi i s<sup>o</sup>je kompozycje, które zdradzały prawdziwy talent, ja zaś za-

1 ^nawałem go z muzyką Szymanowskiego.

511

sk.

W owych dniach przypadła mi w udziale jeszcze jedna rola; pozowanie do portretu. Malarką była Polka, leciwa stara panna, Olga Boznańska, dość sławna w paryskim środowisku artystycznym. Słyszała mnie w Krakowie i podobała się jej moja gra, a teraz uparła się, by mnie malować. Miała dużą pracownię przy Boulevard Montparnasse, gdzie zjawiałem się codziennie o czwartej, siadałem w fotelu stojącym na niewielkim podwyższeniu i pozostawałem tak godzinę lub dwie.

Olga Boznańska była osobą nieco ekscentryczną — liczyła sobie około pięćdziesiątki, niska i szczupła, miała ciemne, wyraziste oczy i drobną, przesadnie upudrowaną twarz, co czyniło ją podobną do pierrota. Nosiła zawsze długą czarną suknię, jak gdyby wybierała się właśnie do kościoła, i boa — prawdopodobnie aby ukryć podwójny podbródek. Codziennie, punktualnie o piątej, Boznańska, przerywała malowanie.

— Czas na herbatę — oznajmiała — i na wizytę moich małych myszek.

W tym momencie tuzin, a może jeszcze więcej myszy wybiegało nie wiadomo skąd na środek pracowni, by otrzymać jedzenie od swej przyjaciółki-malarki. Niektóre z odwiedzających ją pań rzucały się wtedy z piskiem do drzwi, ale ja przyjmowałem to w sposób raczej filozoficzny. Tak czy inaczej, mój portret en pied (całej osoby) był wspaniały; natychmiast też przystąpiła do malowania następnego, z półprofilu.

Kramsztyk, który sam był wyśmienitym malarzem-portrecistą, poprosił pannę Olgę o zezwolenie na jednoczesne malowanie mnie w jej studio, na co uprzejmie wyraziła zgodę. Do tej pory jestem w posiadaniu bardzo pięknego portretu jego pędzla, ale oba portrety Boznańskiej znikły gdzieś z mego paryskiego domu w czasie II wojny światowej.

Ale wróćmy do I wojny światowej. Któregoś wieczora Morawski przedstawił mnie pewnej rumuńskiej rodzinie, wdowie z dwiema córkami i synem; cała trójka parała się muzyką. Syn był bardzo utalentowanym skrzypkiem, starsza siostra nieźle grała na fortepianie, młodsza zaś okazała się dobrą wiolonczelistką. Byli to wspaniali i pełni energii ludzie. Morawski uczył jedną z córek gry na fortepianie i w ten sposób serdecznie zaprzyjaźnił się z całą rodziną. Już w czasie mojej pierwszej wizyty matka zatrzymała i na kolacji i uraczyła wspaniałymi rumuńskimi potrawami. Okaza się niebawem, że mamy z sobą wiele wspólnego. Po kolacji, rzecz jasna, długo muzykowaliśmy. Z synem wykonałem jakąś bardzo pięknie odegrała Temat z

512

Justaurego, a ja — ja grałem wszystko. Wyszliśmy z Morawskim do północy.

Od tego czasu dość często zachodziłem do ich gościnnego domu. Justaurego była gadatliwą, ale mądrą kobietą, która z dużą inteligencją zaplanowała karierę swoich dzieci. Czuło się wyraźnie, że jej

ulubieńcem jest syn, miły i przystojny chłopiec; względem młodszej córki była niezwykle macierzyńska, natomiast pianistkę, Margueritę, traktowała jak kopciuszka. Nie mogłem tego pojąć, gdyż była to urocza dziewczyna, miała urodę typowej Rumunki, I piękną cerę, ciemne włosy i czarne aksamitne oczy. Wzruszał mnie jej melancholijny wyraz twarzy, tak więc stałem się poniekąd jej obrońcą — namawiałem ją do gry, chwaliłem z emfazą, przy stole obsypywałem uprzejmościami, a także całowałem, kiedy tylko choćby na sekundę zostawaliśmy sami, lub pod stołem trzymałem ją za rękę.

Rząd francuski powrócił wreszcie do Paryża, a wraz z nim cały korpus dyplomatyczny. Pewnego dnia odważyłem się więc znów iść na rue de Grenelle, gdzie powiedziano mi, że hrabia Ignatiew wrócił do ambasady; mimo to poprosiłem o rozmowę z pułkownikiem Osnobiszynem. Tym razem przyjął mnie w niewielkim gabinecie. Wyglądał na nieco zakłopotanego.

— Przykro mi, że sprawiłem panu zawód — powiedział — fclie nie było już na nic czasu.

Otrzymaliśmy polecenie natychmiastowego wyjazdu. Całą ambasadę ogarnęła panika. Tak... No, a co się z panem działo po naszym wyjeździe?

Złożyłem mu mniej więcej dokładną relację. Wysłuchał mnie ze zrozumieniem, a gdy podniosłem się z miejsca, powiedział:

— Proszę posłuchać, jeśli będzie pan czegoś potrzebował, niech Pan zgłosi się do mnie! -

W gruncie rzeczy życie w Paryżu podczas wojny było nie tylko znośne, ale nawet posiadało pewien urok. Wielka stolica, porzucona przez większość obywateli, skurczyła się, przybierając rozmiary i charakter bardzo atrakcyjnego prowincjonalnego miasta. Mimo niebezpiecznej bliskości frontu i nieustannych ruchów wojsk Przyzwyczailiśmy się do tego rodzaju egzystencji. Jestem głęboko Przeświadczony, że możliwość przystosowania się rodzaju ludzkiego do wszelkich zmian bytowania jest po prostu nieograniczona.

Pewnego dnia pokojówka w „Hotel du Nil” zbudziła mnie 0 ósmej rano:

Jakaś młoda panienka chce się z panem zobaczyć. Czeka na spytałem, kto to taki.

Rubinstein

513

— Nie chciała podać nazwiska.

Tajemnica! Pomyślałem, że to na pewno ktoś świeżo przybyły z zagranicy, bo w Paryżu nikt nie budziłby mnie ó tak wczesnej porze.

Ubrałem się i zszedłem do znajdującej się tuż przy wejściu małej poczekalni, gdzie siedziała sobie spokojnie, z torbą podróżną u nóg, pianistka Marguerite. Ujrawszy mnie, wstała z miejsca i powiedziała po prostu:

— Uciekłam z domu. Przyszłam zamieszkać z tobą.

Moją pierwszą reakcją było osłupienie, lecz zaraz potem przypomniałem sobie koszmarny ranek z Połą w Warszawie. Ująłem

Marguerite za rękę.

— Powiedz mi, moja droga, co oni ci zrobili? — spytałem.

— Nic. Nie wiedzą nawet, gdzie jestem. Nikt nie widział, jak wychodziłam. To wszystko nie miało sensu! Musiałem się dowiedzieć, co się za tym kryło.

— Zostaw torbę u portiera — powiedziałem. Trzeba to wszystko obgadać.

Zaprowadziłem ją do małej kawiarenki na bulwarach, zamówiłem kawę i rogaliki i poprosiłem, żeby opowiedziała mi o wszystkim. Niewiele miała do opowiadania.

— Matka mnie nie lubi... Nigdy mnie nie lubiła. Kocha jedynie brata i siostrę. Chodzi jej tylko o to, żeby odesłać mnie z powrotem do Rumunii i wydać za mąż za jakiegoś bogatego starucha. Ale ja chcę żyć z tobą, Arturze! Przecież my się kochamy... I tylko to się liczy. Była tragiczna i śmieszna zarazem.

— Moje drogie dziecko — zacząłem — byłby to uroczy sen, ale musi pozostać snem i niczym więcej. Rzeczywistość często bywa okrutna... Rzadko pozwala nam realizować marzenia. — Poglaskałem ją po rękę: — Jesteś jeszcze niepełnoletnia, moja droga. Matka ma prawo kazać cię poszukiwać przez policję i siłą sprowadzić do domu, a mnie wytoczyć proces o uwiedzenie

małoletniej.

Sibdziała w milczeniu i słuchała z absolutną obojętnością; z wyrazu jej wielkich oczu można było poznać, że cała zatopiona jest w marzeniach.

To był trudny dzień, którego nie zapomnę nigdy. Siedzieliśmy w tej kawiarni i siedzieli, aż wreszcie zacząłem się obawiać, że nas w końcu wyrzucą, poszliśmy więc spacerkiem do ogrodów Tui" leries i usiedliśmy na ławeczce, z której roztaczał się widok na plaC de la Concorde. Nie poszedłem do pracy, dawno też minęła PoVi obiadu, a ja tymczasem wciąż mówiłem i mówiłem, a ona słuchała! i słuchała. Był mroźny, grudniowy dzień, oboje więc przemarliśmy\*

§14

Znużony i rozgniewany, złapałem ją wreszcie za rękę i oświadczy-jem sucho:

— Zaprowadzę cię do Morawskiego. Niech on nam poradzi, oo robić.

Zgodziła się potulnie. W „Rotonde" Morawski siedział przy stoliku z Ignacym i Kramsztykiem. Na moją usilną prośbę wyszedł ze mną na ulicę, gdzie czekała Marguerite.

U siebie w pokoju Morawski słuchał mnie z rosnącym zniecierpliwieniem.

~ Ty głupiotka dziewczyno! — krzyknął gniewnie. — Jak śmiesz zapaskudzać życie sobie i jeszcze Rubinsteinowi? Chodź, zaprowadzę cię z powrotem do matki.

I tym razem potulnie usłuchała. Zabraliśmy z mojego hotelu jej torbę podróżną, po czym oboje pożegnali się ze mną.

Dziwna dziewczyna była z tej Marguerite. Nawet słodka i urocza, ale w ciągu tego długiego dnia zatrąła mi cały nastrój w Paryżu.

W „Rotonde" zaczął mnie kiedyś pewien Anglik:

— Mam nadzieję, że w styczniu usłyszę pana na koncercie w Londynie.

Widząc rysujący się na mojej twarzy wyraz niedowierzania, wyciągnął londyńską gazetę, „Daily Telegraph", gdzie zobaczyłem swoje nazwisko jako solisty mającego wykonać Koncert G-dur Beethovena z Londyńską Orkiestrą Symfoniczną. Nie posiadając się z radości, wylewnie podziękowałem mojemu Anglikowi i wprost nie mogłem się doczekać wyjazdu do Anglii.

Wizyta u pułkownika Osnobiszyna załatwiła wszystko. Wręczył mi podpisany przez siebie oficjalny dokument, stwierdzający, że moja działalność artystyczna stanowi cenny wkład w trudy wojny, jako propaganda na rzecz aliantów. Napisałem krótki liścik do pani Bergheimowej, w którym zawiadamiałem ją o swym przyjeździe, oraz list do Muriel z wyjaśnieniem motywów powrotu.

Z Paryża wyjeżdżałem nie bez żalu; przywiązałem się do „Rotonde" i do tamtejszego pełnego życia „klubu", do Olgi Boznań-skiej oraz jej myszy, a także do namiętnych Rumunów. Paryż czasów wojny był tragiczny i piękny, a lud Paryża okazywał serce i odwagę, jakich nigdy u niego nie widziałem — ani przedtem, «ni potem.

Ignacy, Morawski i Kramsztyk odprowadzili mnie na Gare du Nord. W czasie pożegnania przyrzekłem, że zaraz po wojnie spotkam się z nimi w „Rotonde".

515

76

Londyn w dniach wojny krańcowo różnił się od Paryża. Spodziewałem się odpływu ludności, gdy tymczasem widać było wyraźnie, że do stolicy Anglii w początkach 1915 roku napłynęła znaczna fala ludzi.

Tysiące Belgów w ucieczce przed najeźdźcą szukało schronienia w Anglii. Wiele rodzin francuskich uważało Wyspy Brytyjskie za bezpieczniejsze od kontynentu. Na ulicach wszędzie widziało się żołnierzy i marynarzy na przepustkach lub udających się na front. Teatry, music-halle i kina wypełnione były każdego wieczora. Koncerty przyciągały jeszcze więcej publiczności niż przed wojną.

Pani Bergheimowa wysłała po mnie samochód na Victoria Station i przyjęła mnie z tą samą co zwykle życzliwością. Czuła się jednak urażona, że w ciągu całej długiej nieobecności nie otrzymała ode mnie żadnej wiadomości — wyrzut zupełnie normalny ze strony osoby, która tak bardzo lubiła korespondować.

Muriel, z którą spotkałem się nazajutrz, potraktowała to z większym zrozumieniem. Straciła wiele ze swej agresywnej wojowniczości i stała się bardziej wyrozumiała. Paul, jak mi powiedziała, zaraz po wybuchu wojny wrócił, po czym pojechał do Ameryki, do swej obłożnie chorej matki.

— Zostawił mnie na pastwę losu — stwierdziła bez odrobiny użalania się nad sobą. — Bierko



zawalone jest niezapłaconymi rachunkami od rzeźnika, mleczarza, ze sklepu spożywczego i Bóg wie, od kogo jeszcze. Ale angielscy sklepikarze są najbardziej wspaniałomyślnymi i ufnymi ludźmi pod słońcem. Nadal udzielają mi kredytu w przeświadczeniu, że prędzej czy później spłacą długi.

W rezultacie Muriel nadal urządzała wieczory muzyczne, spotykała się z przyjaciółmi i podawała w studio herbatę. Oczywiście na znacznie skromniejszą skalę.

Sylvia Sparrow wróciła z Litwy; musiała jechać przez północną Finlandię i Szwecję, skąd statek bezpiecznie dowiózł ją do Anglii. Cuda opowiadała o majątku Młynarskich, o ich ogromnej gościnności, o gościnnym dworku, o przepięknym Niemnie i o ich uroczych dzieciach.

— Niemcy wygrali wielką bitwę w Prusach Wschodnich i wkroczyli na Litwę — powiedziała. — Cała rodzina Młynarskich schroniła się w Moskwie, a Paweł z Zosią powrócili do Warszawy.

Tegoż wieczora Sylvia zabrała mnie do swych przyjaciół,  
516

muzyków belgijskich wykonywało muzykę kameralną. Łatwo sobie wyobrazić moją niespodziewaną radość, gdy zobaczyłem wśród nich Eugene Ysaye'a. Grali Kwartet fortepianowy g-moll Jylozarta, a partię fortepianu odtwarzał Mark Hambourg, pianista ze starej szkoły wirtuozów, którego perkusyjny charakter brzmienia i swobodna interpretacja zupełnie do Mozarta nie pasowały. Gdy skończyli, Sylvia przedstawiła mnie pani domu, która sama była pianistką, oraz Belgom. Ysaye przywitał mnie bardzo serdecznie i od razu uprzejmie zaprosił do wykonania razem z nim i jego kolegami (członkami brukselskiego kwartetu, noszącego jego imię) Kwartetu c-moll Faurego. Za uprzejmym przyzwoleniem Hambourga, który mnie nigdy przedtem nie słyszał, z bijącym sercem wyraziłem zgodę i z zapałem wzięliśmy się do dzieła. W połowie pierwszej części fortepian ma piękną frazę, którą powtarzają skrzypce. Natchniony przez mistrza, wykonałem wtedy tę frazę ze szczególnym wzruszeniem. Ysaye przestał grać.

— C'est beau, c'est beau — wołał. — Tu es un poète! Zagrajmy to jeszcze raz!

Zarumieniony powtórzyłem frazę, wkładając w nią wszystkie swe uczucia. Tym razem Ysaye wtórował mi tak bosko, że z kolei mnie coś ścisnęło za gardło. Choć mogłoby się to wydać dziwne, ta właśnie fraza Faurego przypieczętowała między nami swoistą, jak gdyby ojcowsko-synowską przyjaźń, która przetrwała aż do zgonu Ysaye'a.

Sylvia pomogła mi zorganizować nowy sposób zarabiania na życie. Wynajęła mianowicie studio z fortepianem, gdzie udzielała lekcji gry na skrzypcach. Kiedy powinszowałem jej pomysł, zaproponowała, bym został jej partnerem w tym przedsięwzięciu.

— Dwie panny i jeden młody chłopiec pytali mnie, czy nie udzielasz lekcji. Kazałam im przyjść jutro w południe i zagrać w twojej obecności. Cała trójka może sobie pozwolić na płacenie za naukę. Jestem przekonana, że uczniów znajdziesz tylu, ilu tylko zechcesz.

Propozycja przypadła mi do gustu, tak więc nazajutrz stałem się nauczycielem gry na fortepianie. Jedna z dziewcząt okazała się pilną uczennicą, natomiast druga tak się obficie pocila, że co kilka taktów musiała przerywać grę, aby wytrzeć sobie twarz i ręce. Chłopiec zaś miał zdolności, ale brakowało mu zmysłu koordynacji.

Poważny problem wyłonił się w związku z moim mieszkaniem Przy Belsize Park: za daleko miałem stamtąd do moich codziennych zajęć. Musiałem znaleźć jakieś pomieszczenie w okolicach Kensingtonu i Chelsea, między studiami Sylwii i Muriel. Pani ^ergheim odniosła się do tego w sposób wzruszający.

\*— Będzie mi pana brak, drogi chłopcze, ale rozumiem pana  
517

doskonale. Proszę przyrzec, że od czasu do czasu będzie mnie pan odwiedzał.

Po daremnych próbach znalezienia czegoś lepszego wynajęłem ponury pokój przy Fulham Road (nieopodal Edith Grove). Oświetlany gazem, cuchnący i niezbyt czysty, miał tylko jedną zaletę — był tani.

Dzięki Eugene Ysaye'owi, z którym spotykałem się prawie codziennie, moja działalność koncertowa niebawem zaczęła się rozwijać naprawdę interesująco. Mistrz mieszkał wraz z żoną w pięknej rezydencji miejskiej; na czas trwania wojny oddał im ją do dyspozycji jeden z jego wielbicieli, angielski lord, który sam wołał przebywać na wsi. Ysaye lubił, jak przychodziłem po południu, kiedy już skończył sjęstę — piliśmy wtedy mocną kawę (nie znosił herbaty!), graliśmy jakieś sonaty lub rozmawiali o koncertach. Pochwalił moje wykonanie Koncertu G-dur Beethovena, za które zebrałem moc braw, i zgodził się pójść ze mną na kolację na Edith Grove — kolację złożoną z sera cheddar,

krakersów, szynki i mocnej kawy. Na szczęście Muriel miała w spiżarni także zimne piwo. Rzuciwszy po raz pierwszy okiem na salę muzyczną, Ysaye wykrzyknął:

— Cóż za wspaniała piwnica! Mógłbym tu spędzić życie całe! Sammons i Sylvia (zakochani w sobie), drogi mój Lionel i Rubio

wykonali na cześć mistrza Kwartet Debussy'ego, zadedykowany Ysaye'owi. Był zachwycony ich grą, ucałował Tertisa w oba policzki, ale ku naszemu zdumieniu oświadczył, że zupełnie nie rozumie tej muzyki i że jest dla niego zbyt nowoczesna.

Ysaye i ja daliśmy w tym sezonie przeszło dwadzieścia koncertów, w tym wiele na rzecz Czerwonego Krzyża, na rzecz Belgów, Polaków i na inne cele dobroczynne. Ale grałem też z nim sonaty na jego własnym recitalu w Queen's Hall, nie przyjmując oferowanego mi przezeń honorarium; a potem on grał ze mną »a moim recitalu w Wigmore Hall (nowa nazwa Bechstein Hall) na mój benefis. Często, rzecz jasna, graliśmy też muzykę kameralną na Edith Grove, zarówno ze starą gwardią, jak i z nowo przywłóconymi Belgami — przy czym tym razem kolację organizowali my, muzycy. To było cudowne! Kiedy tak o tym myślę, to dziwne mi się wydaje, że tak wielki wpływ na rozwój mojej kariery jako pianisty wywarli właśnie dwaj najwięksi skrzypkowie naszych czasów.

Kiedyś po południu, gdy spacerowałem po Picadilly, zatrzymał mnie John Sargent.

— Rubinstein? Co za miła niespodzianka! Właśnie czorem rozmawiałem o panu z pewną uroczą starszą panią gorąco pragnie pana spotkać. Od lat stara się dowiedzieć

518

z panem dzieje, aż wreszcie poprosiła mnie o pomoc. Niech pan przyjdzie jutro o czwartej do mojej pracowni przy Tite Street. Ona tam będzie, robię właśnie szkice do jej portretu.

— Czy zna mnie osobiście okej tylko ze słyszenia — byłem ogromnie zaintrygowany.

— Zna pana doskonale... Tak mi przynajmniej powiedziała. Zachodziłem w głowę, ale nie mogłem przypomnieć sobie żadnej pani odpowiadającej temu rysopisowi.

— Dziękuję panu — powiedziałem. — Będę jutro o czwartej. Nazajutrz, płonąc z ciekawości, udałem się do studia Sargenta.

W pracowni znajdowały się już trzy osoby — siwowłosa pani i jakieś młode małżeństwo — wszyscy zajęci oglądaniem jego obrazów. Na mój widok pani zawołała w kilku językach:

— Ah, ah, voila! Rubinstein, nareszcie... Ach, jakże się cieszę, oh, que c'est bien! Juanita! Jose Antonio! To jest właśnie Rubinstein — i uśmiechając się do mnie, wyjaśniła. — To mój siostrzeniec, a to jego żona. Och...

Ciągle jeszcze nie mogłem dojść, kim była; sprawa wyjaśniła się dopiero po kilku dalszych oderwanych okrzykach.

Nazywała się Eugenia Errazuriz i razem z córką była na obiedzie z Armandem Gontaut-Bironem i ze mną u Romaine Brooks w Paryżu w roku 1906. Nagle przypomniałem sobie, jakie wrażenie wywarło na niej moje wykonanie Popołudnia fauna. Na swój nieco zabawny sposób oświadczyła, że nigdy mnie nie zapomniała, że od tamtego dnia zawsze starała się mnie odnaleźć, niestety, bez skutku.

Siostrzeniec, Jose Antonio Gandarillas, wysławiający się najbardziej zrozumiale z całej trójki, wyjaśnił, że ciotka jest fanatyczną wielbicielką mojej sztuki i że tak wiele o ronie opowiadała, iż obecnie ma uczucie, jak gdyby znał mnie przez całe życie.

A teraz, skoro już udało nam się pana odnaleźć, postaramy się nigdy więcej nie stracić pana z oczu —•! dorzucił.

Ciotka potwierdziła to niezliczonymi „ach” i „och”. Siostrzenica, urocza, niezwykle elegancka młoda kobieta, Delfina, ale jej oczy błyszczały jak gwiazdy.

Byłem skonsternowany i nieco zażenowany tym przesadnym Wychwalaniem mnie. John Sargent stał na uboczu i uśmiechał się

I. Eugenia Errazuriz znów zaczęła radować się, Veneg, ah, los dos, proszę pójść na kolację, ach, dziś wie-zwróciła się do Sargenta > do muła t ufaekającym uśmiechem-

! Dziękuję, z przyjemnością • odpowiedzieliśmy chórem. Miała w sobie coś, czemu nie sposób się było oprzeć.

Wtedy do domu przebrać się w smoking, ale postanowiłem do Sargenta i pójść na tę kolację WfiS I nim.

mówiąc, chciałem dowiedzieć się o nich czegoś bliższego. Sargent uprzejmie opowiedział mi o „Eugonii”, jak ją powszechnie nazywano. Była rozwiedziona żoną chilijskiego dyplomaty. Od czasu zamążpójścia mieszkała na przemian to w Paryżu, to w Londynie. Słynąca z urody, w Paryżu znana była jako la belle Madarne Errazuriz. Żyjąc tak wiele lat z dala od swego kraju, zapomniała co nieco rodzinnego hiszpańskiego języka, a jej francuski i angielski zawsze pozostawiały wiele do życzenia, co tłumaczyło tę jej dziwaczną paplaninę.

— Mimo to — stwierdził Sargent, grożąc mi palcem — nie znałem w życiu nikogo, kto odznaczałby się równie niezawodnym — wręcz nieprawdopodobnym — gustem jak ona. Obojętne, czy chodzi o sztukę, muzykę, literaturę czy o dekorację wnętrz, ta kobieta ma dar widzenia, słyszenia i czucia prawdziwych wartości, prawdziwego piękna. Toteż — uśmiechnął się — jej radość z ponownego z panem spotkania świadczy, iż dostrzegła w panu coś bardzo szczególnego, bardzo cennego. Roześmiałem się niedowierzająco.

Nasi Chilijczycy mieszkali na rogu Tite Street i Embankment, zaledwie kilka domów od pracowni Johna Sargenta. Po drodze udzielił mi on kilku dodatkowych informacji:

— Zamieszkuje wraz z siostrzeńcem i jego żoną, bardzo bogatą siostrą ambasadora Chile w Londynie. Sama Eugenia nigdy nie miała naprawdę dużych pieniędzy, a jeśli je ma, to wydaje lub darowuje je jakiemuś artyście czy poecie będącemu w potrzebie.

Weszliśmy do domu, a kamerdyner wskazał nam drogę do salonu. Wszyscy troje powitali nas nie mniej wylewnie niż przedtem. W ogromnym pokoju o dębowych boazeriach znajdowało się mnóstwo pięknych przedmiotów, wśród nich wspaniały fortepian koncertowy Steinwaya. Oprócz płótna Boldiniego na ścianie wisiał portret Eugonii pędzla Sargenta (dowiedziałem się, że malowało ją także wielu innych, znanych i nieznanymi malarzy). Kwiaty i meble dobrane były i rozmieszczone z idealnym smakiem. Moje słowa podziwu spotkały się z protestem Eugonii:

— Za wiele tu rzeczy, ach, za wiele drobiazgów, ah, ah, ii faut jeter tout ca. Juanita gustuje w bibelotach, hm, hm — i tak dalej\* i tak dalej.

Wreszcie mogłem dokładnie przyjrzeć się Eugonii. Musiała być niegdyś fantastycznie piękna; zresztą na swój sposób nadal był\* piękna mimo pięćdziesięciu czy więcej lat. Przyjemnie pulchniutka, odznaczała się wyjątkową karnacją i świeżością cery (czytelnik\* nie powinien zapominać, że nie wynaleziono jeszcze wówczas operacyjnego usuwania zmarszczek), miała zuchwale zadarty nose» i piękne usta, wygięte w idealny łuk. Włosy siwe, przetykane

520

czarnymi pasmami. Ale to, dzięki czemu nadal pozostała piękna, to jyył przede wszystkim jej nieodparty wdzięk i energia.

Przy kolacji, której menu zadowoliłoby samego Lukullusa, 2 ożywieniem rozmawialiśmy o wojnie i związanych z nią tragediach. Eugenia, mimo wszelkich drobnych usterek językowych, często wypowiadała moje własne myśli: była, na przykład, zdecydowana „nie dać się”, wyznawała też koncepcję bezwarunkowego umiłowania życia. Rozmawialiśmy o cudach, temat delikatny w obecności katolików, ale nie mogłem się powstrzymać od wypowiedzenia tego, co miałem na sercu. Zawsze lubiłem słowo „cud”, ponieważ zawsze czułem, że we wszechświecie wszystko bez wyjątku jest cudem i że żadna rzecz wykoncypowana w naszym umyśle czy nawet w naszych snach nie jest niemożliwa.

— Gdyby można było po wyjściu ze stanu amnezji spojrzeć na świat świeżym, nieskażonym okiem, rozumielibyście państwo, co mam na myśli — powiedziałem. — Czyż może być cud większy niż samo życie, niż muzyka, niż kwiaty, niż miłość? Pożałowania godna jest skłonność natury ludzkiej do takiego oswojenia się z cudem, że wyrabiamy w sobie fałszywą metodę traktowania wszystkiego, jak rzeczy samo przez się zrozumiałych.

Moje często powtarzane, ulubione credo filozoficzne spotkało się u Eugonii z przyjacielskim zrozumieniem. Obawiam się jednak, że reszta towarzystwa niezupełnie rozumiała, o co mi chodzi, ale spodobało im się moje namiętne dowodzenie. Tak czy inaczej, ukołem ich nerwy, wykonując kilka utworów na cudownym steinwayu.

Eugenia, Jose Antonio i Juanita rzeczywiście nie stracili mnie więcej z oczu. Wdarli się w moje życie w dziwny a podstępny sposób. Codziennie dawali mi o sobie znać. Pewnego dnia do mego mieszkania przyniesiono ciężką skórzaną torbę podróżną od Aspreya zawierającą zestaw srebrnych przyborów toaletowych z moimi inicjałami oraz bilecik od Eugonii: „Dziękuję za pańską cudowną muzykę”. Kiedy indziej znalazłem rano w swym pokoju piękny atlasowy szlafrok od Harborowa z Bond Street; Juanita wyjaśniała w liście, że obawia się, iż w lżejszym mógłbym się przeziębnić.

Któregoś wieczora zwróciłem uwagę na delikatny, męski zapach na chusteczce do nosa Jose Antonia; nazajutrz znalazłem w posiadaniu dużej butelki wody „Hamman Bouquet” od Penhaligona — i wyznać muszę, że odtąd nigdy nie przestałem Jej używać. Na wydawanych przez siebie proszonych obiadach Przedstawiali mnie artystom, pisarzom, politykom, ambasadorom, Zawsze traktując mnie jak honorowego gościa. Nie dość na tym: i któregoś ranka pojawił się u mnie kamerdyner Juanity.

— Przyszedłem po pański bagaż, sir — powiedział.

521

— Jak to? Po co? — spytałem zaskoczony.

— Madame kazała sprowadzić pana do domu.

Była sobota. Pewnie chcą mnie zabrać z sobą na weekend, ale czy nie kryje się za tym jakaś niespodzianka? W mgnieniu oka spakowaliśmy walizy; mój wielki kufer i cała reszta znajdowały się jeszcze w domu pani Bergheim. Szofer zawiózł mnie na róg Royal Hospital Road i Tite Street. Kamerdyner otworzył drzwi, wyjął walizki i wniósł je na piętro. Szedłem za nim potulnie jak dziecko za świętym Mikołajem. Weszliśmy do obszernego pokoju, do którego przez dwa okna wlewało się słońce. W kącie stał fortepian koncertowy Bechsteina. Resztę umeblowania stanowiła wygodna kanapka, dwa fotele i stolik do kawy. Na stole stały też kwiaty i owoce. Kamerdyner wskazał mi niewielką sypialnię i przylegającą do niej łazienkę.

— To pański apartament, sir — powiedział z uśmiechem. Pobiegłem do ich mieszkania, gdzie wszyscy czekali, wiedząc

że przyjdę. Doszło wtedy do tak wzruszającej i chwytającej za serce sceny, że lepiej będzie powstrzymać się od wszelkich opisów.

Naturalną kolejną rzeczą przedstawiłem moich Chilijczyków Mu-riel, wprowadziłem do ich domu Ysaye'a i poznałem ich z „ciotką Klarą”. Z Muriel niezbyt sobie przypadli do serca. Jej ledwie skrywana poza wyższości i przenikliwy śmiech urażały ich wrodzoną łacińską uprzejmość. Ale Eugenia zakochała się w sali muzycznej. Na kolejnym wieczorze muzycznym z Ysaye'em oraz jego kwartetem, a także Syla, Tertisem i Sammonsem, kolacją zajęła się Juanita — przypomniało mi to, dawne dobre czasy, gdy Paul wygrywał na wyścigach konnych.

Któregoś wieczoru graliśmy muzykę kameralną w domu państwa Gandarillas; obecny był Sargent, Augustus John, ambasador chilijski z małżonką oraz ambasadorowa hiszpańska.

Ysaye, Desire Defauw, Tertis, pewien belgijski wiolonczelista i ja wykonywaliśmy właśnie Kwintet fortepianowy Francka, L\$1? nagle głośne walenie w ścianę zmusiło nas do przerwania gry.

—! Aha, znów się zaczyna — powiedział Jose Antoni o. — Nass sąsiad to stary hipochondryk, emerytowany pułkownik, który służył w Indiach, Nienawidzi cudzoziemców i dokucza nam jak rooz\*\* Walenie ustało, powróciliśmy więc do naszego Kwintetu.

Nagle na ulicy, tuż pod naszym otwartym oknptn rozległy f krzyki:

— Przerwać te cholerne hałasy! Teraz jest wojna! Jak nie wstyd tańczyć w takich czasach!

Policja powinna

% kraju wiiystklch cudzoziemców!

Przerwaliśmy grę i zaczęliśmy nadśłuchiwać- GandaHlte tknięty do żywego tyini obelżywymi epitetami, wybjpgł tx'A

522

gotów wszcząć bójkę, ale sąsiad schronił się u siebie w domu. Jose Antonio nie dawał za wygraną; pociągnął za dzwonek u drzwi. Mężczyzna nie reagował. Zadzwonił znowu, tym razem trwało to dłuższą chwilę — cisza. Wreszcie nie panując nad sobą, Grandarillas z wściekłością rozbił szybę w oknie znajdującym się tuż przy drzwiach i z okrwawioną ręką powrócił do domu. Wszyscy podziwialiśmy jego odwagę, gdy nagle zadzwonili do drzwi dwaj policjanci i zażądali widzenia się z panem domu. Jose Antonio wyszedł do uich, a po chwili wrócił nieco zażenowany:

— Chcą, abyśmy wszyscy bezzwłocznie udali się z nimi na komisariat.

A to ci dopiero gratka! Zaczęło nas tdx bawić. Całe towarzystwo w eleganckich strojach wieczorowych, mężczyźni w cylindrach, wkroczyło na komisariat, gdzie szowinistycznie nastrojony pułkownik o pąsowym nosie i wybałuszonych oczach już na nas czekał. Na widok ambasadora, dwóch wybitnych malarzy, imponującej sylwetki Ysaye'a, dystyngowanych pań oraz całej reszty, funkcjonariusz policji osłupiał. Potem z gniewem zwrócił się do oskarżyciela:

— I to mają być ci hałaśliwi pijacy zakłócający spokój? I gdzie jest ta orkiestra grająca okropną muzykę taneczną?

Pułkownik nie odezwał się ani słowem; zamurowało go, no a poza tym był nieco pijany.

Pan Sargent, starannie dobierając słów, wyjaśnił pokrótce, o co chodzi. Czerwony na twarzy funkcjonariusz pożegnał nas, wielokrotnie przeprasząc za sprawiony kłopot. Państwo Gandarillas zaproponowali sąsiadowi-cholerykowi, że zapłacą za zbitą szybę, ale ten dumnie odmówił przyjęcia pieniędzy.

Któregoś ranka przeczytałem w gazecie, że wojska rosyjskie wycofały się na nowe ufortyfikowane pozycje za Bugiem. Polskę wydano na łup Niemców. Jeszcze tego samego dnia dodatki nadzwyczajne doniosły: „Wojska niemieckie zajęły Warszawę”.

W bezsilnej wściekłości waliłem się pięściami po głowie. Oczywiście wyobraźni widziałem moją rodzinę wymordowaną, Połę zgwałconą, Warszawę płonąca — koniec świata. Nie wiedziałem już, kogo bardziej nienawidzę, Rosjan czy Niemców. Uspokoiwszy się ftieco, żywiłem tylko nadzieję, że Pola zdołała wreszcie połączyć się ze swymi dziećmi, że schronili się w głębi Rosji, że Paweł i Zosia ocalili i że mojej rodziny nie spotkała żadna krzywda, byliśmy od siebie zupełnie odcięci. Pograżony w rozpacz, cały tfzień przesiedziałem w domu.

Nazajutrz Muriel przysłała mi kartkę: „Rozumiem, co czujesz. ^rzyjdź, zjemy razem porcyjkę sera. Kochająca M.” Juanita przy-

523

słała mi kwiaty jak na pogrzeb — pocziwa dusza! Ysaye, częstując mnie jeszcze jedną filizanką mocnej kawy, znalazł najlepsze pocieszenie:

— Nie przejmuj się zbytnio, mon petit, Brukselę także zajęli, ale przyjdzie dzień, kiedy damy im radę!

Któregoś dnia Ysaye zaproponował belgijskiemu wiolonczeliście, a także Lionelowi i mnie, abyśmy razem spędzili weekend i dali koncert muzyki kameralnej w posiadłości lorda Curzona of Kedle-ston, byłego wicekróla Indii.

— Królowa Elżbieta Belgijska, moja wierna i oddana uczennica gry na skrzypcach — wyjaśnił — na okres trwania wojny powierzyła lordowi Curzonowi opiekę nad trojgiem swych dzieci. Jako stary przyjaciel rodziny królewskiej, wyraziłem życzenie odwiedzenia ich. Lord Curzon bardzo uprzejmie zaprosił nas czterech do swego domu na weekend i na muzykowanie.

Chętnie przyjęliśmy tak atrakcyjne zaproszenie i w następną sobotę po południu przybyliśmy do wiejskiej rezydencji lorda Curzona w pobliżu Basingstroke. Przy wejściu do okazałego pałacu witała nas z typowo angielskim wdziękiem lady Irenę, najstarsza córka pana domu.

— Ojciec nie wrócił jeszcze z miasta — powiedziała — ale przyjedzie na kolację — po czym zwracając się do Ysaye'a, dodała: — Książę Leopold wyjechał dziś rano na front do króla Alberta, a jego brat spędza weekend u szkolnego kolegi. Tak więc została nam tylko mała księżniczka Marie-Jose, ale też tylko ona naprawdę kocha muzykę.

Doprowadziwszy się do porządku, zeszliśmy na herbatę z lady Irenę i jej dwiema siostrami.

Wszystkie trzy były jeszcze bardzo młodzietki (matkę straciły w dzieciństwie) i o uderzającej urodzie, podczas gdy Irenę nalewała herbatę (kawę dla Ysaye'a), d° pokoju weszła prześliczna mała księżniczka i każdemu z nas podała maleńką rączkę królewskim (już!) gestem.

Wielki skrzypek zwrócił się do niej troskliwie:

— Moja mała księżniczko, chyba bardzo ci smutno po wyjeździe brata na front, co?

Zrobiła przeczący ruch głową:

— Ależ skąd, bynajmniej Pojechał, by dać dobry przykład, t( wszystko.

Ysaye zagrał jej kilka utworów skrzypcowych, które już dawni słyszała w jego wykonaniu, a ona klaskała z radości.

Do kolacji przebrali się wszyscy z wyjątkiem maestra, 1 przywiązany był do swego tradycyjnego czarnego garnituru z a mitnym "kołnierzem, białej koszuli i luźnego czarnego krawata.

Lord Curzon, ostatni, który powitał gości w przestronnej

524

recepcyjnej, wkroczył jak najwyższy sędzia trybunału mający ogłosić wyrok śmierci. Łysa czaszka, zimne stalowe szare oczy i wąskie, zaciśnięte usta nadawały mu wygląd ironiczny i pozbawiony wyrazu; poruszał się z nadętym dostojeństwem. Jego wielki portret en pied w paradnym stroju wicekróla i rycerza Orderu podwiązki jak gdyby przytłaczał cały pokój.

Mimo to podczas kolacji okazał się doskonałym angielskim panem domu, interesował się, jakim

winem nas traktowano, pilnował, by dolewano do kieliszków, a gdy damy opuściły jadalnię, częstował portem i cygarami.

Później, w salonie, kiedy przygotowywaliśmy się do wykonania kwartetu, lord Curzon powstrzymał nas:

— Moi panowie, mam nadzieję, że zaszczycicie nas swoją muzyką jutro po południu. Teraz, sędzę, nadeszła pora udania się na spoczynek.

Rano kamerdyner poinformował nas, że śniadanie podaje się w jadalni.

— Bez żadnej etykiety, proszę pana — dodał.

Lionel i ja pierwsi zeszliśmy na dół. Lady Irene, która siedziała już przy stole i jadła, wskazała nam długi stół zastawiony potrawami i poprosiła, abyśmy wybierali według własnego gustu. Stało tam dziesięć czy dwanaście podgrzewanych dań, między innymi jajecznicą z wędliną, bekon, cynadry, pieczarki na grzance, wędzone śledzie i łupacz. Obsłużony się, zasiedliśmy obok Irene. Niebawem pojawili się obaj Belgowie i wtedy nastąpiła scena zupełnie jak w komedii. Ysaye, ujrawszy wszystkie rybne dania, zawołał głośno do swego towarzysza:

— Ależ to barbarzyńcy! Jedzą ryby o ósmej rano! — po czym zaczął skarżyć się biednej Irene, że nigdzie nie widzi tu uczciwego kawałka pieczywa, że kawa ma zapach herbaty, a herbata kawy.

Młodziutka lady odznaczała się poczuciem humoru, śmiała się więc do łez, a my z nią. Ysaye odzyskał spokój dopiero wtedy, gdy dowiedział się, że w okolicy są doskonałe miejsca do łowienia ryb — był zapalonym wędkarzem.

Lord Curzon nie zszedł na śniadanie. Ranek spędziliśmy w towarzystwie panienek. Maestro wraz z jednym ze służących poszedł Ha ryby. Ja zaś grałem z Lionelem jakąś sonatę na altówkę, a potem sam coś Brahmsa i Chopina. Przy obiedzie lady Irene powiedziała:

— Ojciec prosi panów o wybaczenie. Wróci na podwieczorek. Przyszedł rzeczywiście o czwartej, przywitał nas uprzejmym

skinieniem głowy i powiedział:

, —! Moi panowie, jeśli nie czujecie się zmęczeni, to z przyjemnością posłuchałbym muzyki.

525

I

Zasiedliśmy do Kwartetu Dworzaka. Panny oraz mała księż. niczka przysunęły się do nas z krzesłami, lord Curzon zaś rozsiadł się w wygodnym fotelu stojącym w kącie pokoju. Pod koniec pierwszej części zobaczyliśmy, że śpi spokojnie. Gdy skończyliśmy grać, obudził się nagle: — To było bardzo, bardzo zachwycające; najmocniej panom dziękuję.

Przed kolacją wsiedliśmy do pociągu i do Londynu przybyliśmy nieco utrudzeni, ale w doskonałych humorach. „Moi panowie, to było bardzo, bardzo zachwycające” — powtarzaliśmy sobie raz po raz. Jose Antonio i Juanita wydali wielką proszoną kolację. Wśród gości znajdowało się dwóch ambasadorów z małżonkami, Harold Nicolson z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, John Sargent i parę innych osób, których nazwiska wypadły mi z pamięci. Siedziałem przy Eugenii. W trakcie kolacji, obok wielu innych tematów, pozwoliłem sobie wygłosić panegiryczną pochwałę Hiszpanii. Mówiłem o swej namiętności dla wszystkiego, co hiszpańskie. Wspomniałem także, że ominęła mnie sposobność występów w Hiszpanii z kwartetem Rosego.

Eugenia uważnie słuchała mojej długiej przemowy. Nagle po- \ klepała mnie po ramieniu z tajemniczą miną dobrej wróżki z bajki o kopcuszu.

— Demain, ah, ah, a więc jutro pojedzie pan do Hiszpanii!

Ucałowałem jej dłoń za to urocze życzenie.

Tymczasem już następnego dnia zatelefonował do mnie pewien impresario, nie był to jednak mój Daniel Meyer.

— Czy przypadkiem nie gra pan Koncertu d-moll Brahmsa? — spytał.

— To chyba jedyny utwór, którego odkąd skończyłem dwanaście lat, nigdy grać nie przestałem! — roześmiałem się.

— Maestro Arbós depešował, pytając, czy nie znam pianisty, który mógłby wykonać z nim ten koncert w takim, a takim terminie (dokładnej daty zapomniałem) w San Sebastian w Hiszpanii-Czy byłby pan w stanie dotrzeć tam na czas?

Eugenia? — zadawałem sobie pytanie. Czyżby ona mi to złatwiła? Ale to przecież zupełnie niemożliwe, Eugenia nigdy w i T ciu nie znała Arbósa!

Jeśli o mnie idzie, była to najbardziej kusząca propozycja w moim życiu, ale czy w ogóle wykonalna? Hiszpania była krajem neutralnym, a ja poddany rosyjskim, zaangażowanym w sprawy wojny. Na domiar złego, coraz trudniej było przejeżdżać przez Francję. Mimo to postanowiłem nie zniechęcać owego impresario

526

— Postaram się — odpowiedziałem. — Proszę do mnie zadzwonić jeszcze dziś po południu.

Nieprzytomny z podniecenia, pobiegłem do Eugenii. Wysłuchiwała nowiny w spokoju.

— Ach, przecież mówiłam panu, ach, ach... Przeczuciwałam to, n'est-ce-pas?

A zatem był to jeszcze jeden przypadek działania *d e u s e x j a a c h i n a*! Kiedy zwróciłem jej uwagę na związane z tym ogromne komplikacje, uśmiechnęła się tylko, bynajmniej nie poruszona.

— Po co się denerwować, Arturo, je vais arranger ça, na pewno pan pojedzie.

Udała się do swego pokoju, żeby zatelefonować do pewnej damy, „serdecznej przyjaciółki ambasadora rosyjskiego”, jak mi wyjaśniła. Po krótkiej rozmowie wróciła, oświadczając z błyskiem tryumfu w oczach:

— Dostanie pan wizę, ach, ha, proszę poczekać!

Następny telefon był do Harolda Nicolsona. Choć i po angielsku, i po francusku mówiła w sposób dość nieporadny, ten zrozumiał dokładnie, o co jej chodzi, i przyrzekł bezzwłocznie udzielić odpowiedzi.

Wczesnym popołudniem zadzwoniłem do impresaria:

— Proszę zadepeszować do Arbósa, że wszystko wskazuje na to, iż przybędę na czas.

Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Wieczorem od rosyjskiego ambasadora otrzymałem depeszę: „Oczekuję Pana w ambasadzie w niedzielę o jedenastej rano. Proszę przynieść paszport”. Jednocześnie Nicolson przekazał pomyślnie wieści: lord Grey, minister spraw zagranicznych, udzielił mi zezwolenia na zaokręgowanie się na angielski pomocniczy okręt wojenny odpływający do Bilbao.

W niedzielę rano ambasador baron Benckendorff przyjął mnie w kancelarii zupełnie pustej ambasady.

- Przyjechałem ze wsi specjalnie po to, aby podpisać pański dokument \*— oświadczył sucho. — Mam nadzieję, że pan na to zasługuje,

Jednakże ujrawszy mój paszport dyplomatyczny, zmienił ton. Ach, widzę, że mój kolega wysoko pana ceni — po czym podpisał deklarację zezwalającą mi na pobyt w krajach neutralnych. Poszedłem do Muriel, żeby się pożegnać.

- Szczęściar z ciebie! — roześmiała się. - Po powrocie pewnie nie tu już nie zastaniesz... Muszę wracać do starego kraju, i to dobre, Londyn nie jest w stanie nas już dłużej żywić.

527

Nie bardzo jej wierzyłem, ale oboje popadliśmy w nastrój sen, tymentalny.

Wyjechałem, żegnany błogosławieństwem moich chilijskich aniołów. Ciągłe tylko nie mogłem się zdecydować, czy Eugenia jest czarownicą, czy królową wszystkich dobrych wróżek.

Podróż do Bilbao była koszmarem. Morze wzburzone, a co gorsza z uwagi na zagrożenie ze strony niemieckich okrętów podwodnych zobowiązani byliśmy do bezustannego noszenia kamizelek ratunkowych. Do Bilbao przybyliśmy w przeddzień koncertu, stąd pociąg zawiózł mnie do San Sebastian, gdzie Arbós zarezerwował mi pokój w hotelu „Continental”.

Na tarasie przy kawie Arbós wprowadził mnie w sprawy koncertu:

— Hiszpanie, podobnie jak Francuzi i Włosi, nie lubią Brahmsa. Chcąc przełamać to głupie uprzedzenie, zorganizowałem właśnie tu, w San Sebastian, festiwal jego muzyki. W Madrycie nie pozwolono by mi na to. Ale tutaj z moją orkiestrą mogę robić, co mi się żywnie podoba.

Nazajutrz rano, idąc na jedyną próbę, zauważyłem, że na afiszach moje nazwisko zostało dopisane odręcznie; widocznie żywno wątpliwości, czy rzeczywiście zdołam przyjechać. Koncert miał odbyć się w małym teatrze przy legalnie działającym kasynie gier hazardowych — co stanowiło niezbyt atrakcyjną oprawę dla mego ukochanego Koncertu d-moll.

Jednakże madrycka orkiestra symfoniczna pod batutą Arbósa była dobrze przygotowana i próba przebiegła gładko. Wyglądało na to, że moja gra zafascynowała członków orkiestry, zachowywali się

wręcz histerycznie — pośrodku frazy wykrzykiwali „Brawo!”, a na koniec zgotowali mi ogromną owację, nie przestając klepać mnie po, plecach i powtarzać swego hiszpańskiego „Que bien, que bien” — co bez trudu rozumiałem. Arbós zapewniał mnie, że nigdy nie widział, aby muzycy z jego orkiestry zachowywali się w taki sposób.

Frekwencja na koncercie nie była zbyt wielka, teatr wype<sup>1</sup>\* się tylko do połowy, ale mój osobisty sukces, odniesiony dzi<sup><?</sup> temu dziełu — monumentalnemu i statecznemu zarazem — s się absolutną sensacją, Żaden Saint-Saens, żaden Liszt czy ChopiJ nie zdołali nigdy do tego stopnia poruszyć publiczności. Kłaniały się i kłaniałem bez końca, dopóki — wbrew wszelkim festiwa wym regulaminom — nie zgodziłem się bisować. Dyrektor kasyn pan Dominguez, natychmiast zaproponował mi trzy dodatkom koncerty — jeden z orkiestrą oraz dwa recitale. . +, Królowa-matka Maria Krystyna zaprosiła mnie do swego

528

niego pałacu Miramar. Przyjęła mnie nad wyraz łaskawie, ubolewając nad tym, że nie ma W pałacu fortepianu, przyrzekła jednak przybyć na któryś z moich koncertów.

Drugi koncert, także z orkiestrą, zgromadził istne tłumy. Wszystkie bilety zostały wyprzedane w ciągu jednej godziny. Zdawało się, że usłyszeć mnie pragnie całe miasto. Arbós prosił, abym zagrał Koncert g-moll Saint-Saensa. W czasie próby teatr pełen był intruzów, którzy pod takim czy innym pretekstem siłą wdarli się na salę.

Przedstawiciel Hiszpańskiego Stowarzyszenia Towarzystw Fil-harmonicznych zaproponował mi kontrakt na dwadzieścia koncertów w głównych miastach Hiszpanii, poczynając od stycznia 1916 roku. Nie wiedziałem, jaką przyszłość los mi zgotuje, ale zaryzykowałem i podpisałem umowę. Cokolwiek miało się stać, byłem gorąco wdzięczny Opatrzności, że pozwoliła mi postawić stopę w kraju moich marzeń.

Następny recital miał się odbyć w San Sebastian za dwa tygodnie. Podskoczyłem do góry z radości — oto teraz mogło spełnić się marzenie całego mego życia, marzenie o poznaniu Hiszpanii (vide moje wyczyny we Włoszech); byłem przesądny i zawsze bałem się odkładać na później to, co nadarzało mi się właśnie teraz.

Arbós pouczył mnie o sposobach praktycznego podróżowania po tym kraju:

— Niech pan zsumuje kilometry, jakie zamierza pan przebyć, i wykupi tak zwane „kilometrico”. Na każdym postoju kontroler wyrwie z pańskiej książeczki ilość kilometrów przejechanych na danym etapie podróży. Wygoda polega na tym, że podróżuje pan pierwszą klasą za cenę trzeciej.

Z dumą wykupiłem książeczkę na dwa tysiące kilometrów, co dla mnie znaczyło: Madryt, Toledo, Kordowa, Sewilla, Grenada i powrót do San Sebastian.

Nie chwalać się, był to wyczyn iście bohaterski! W sierpniu w Madrycie i w Andaluzji jest gorąco jak w piekle; nawet nocą Panuje tu wręcz nieznosny upał. Niewygodę dodatkowo pomnażał \*akt, że moja garderoba była absolutnie nie przystosowana do takiej fali ciepła. Wśród tubylców ubranych możliwie jak naj-swobodniej mój jesienny ubiór szczególnie rzucał się w oczy. Ale ttiimo to nigdy miałem tych nie poznałem lepiej niż wtedy, gdy zetknąłem się z nimi po raz pierwszy!

Madryt był zupełnie wyludniony. Powiedziano mi, że większość Mieszkańców przeniosła się do San Sebastian (!). Toteż długie Sodziny podczas dwudniowego pobytu w stolicy poświęciłem na zwiedzanie muzeum Prado, które w moim przekonaniu jest naj-

529

wspanialszą galerią sztuki na świecie. Wszystkie znajdujące się tu obrazy to arcydzieła najwyższej klasy. Wielką sztukę Yelazquezą i Goyi można należycie ocenić jedynie w Madrycie; praktycznie biorąc cała ich twórczość zawarta jest w zbiorach Prado. Król Hiszpanii Filip IV — jak się dowiedziałem — był na tyle inteli-gentny, że wysłał do Rzymu samego Velazqueza, by zakupił mu najlepsze obrazy najwybitniejszych malarzy włoskich — co tłu. maczy bogactwo płócien Rafaela, Tycjana, Tintoretta oraz wielu innych wielkich mistrzów, których podziwiać można w tym jedynym w swoim rodzaju muzeum.

W Toledo największe wrażenie wywarła na mnie średniowieczna atmosfera tego miasta, majestatycznie rozłożonego nad rzeką Tag, oraz posępna, bogato zdobiona katedra, skryta w labiryncie sta» rych wąskich uliczek. Najbardziej chciałem zobaczyć rozległą „plaża” pośrodku miasta, gdzie za czasów hiszpańskiej inkwizycji odbywały się cmo-da-fe Żydów.

Ale dopiero Sewilla, Kordowa i Grenada sprawiły, że zakochałem się w Hiszpanii; to była ta Hiszpania, o jakiej marzyłem. Hiszpania, którą pragnąłem poznać. Zdaję sobie sprawę4 że wielu



moich hiszpańskich czytelników pokiwa głową: jeszcze jeden, dla którego nasz kraj to tylko Espana de la pandereta — jak to drwiąco określany bywa kraj flamenco, gitar i walk byków stanowiących normalne turystyczne atrakcje. Ze swego punktu widzenia będą mieli słuszność. Ale przemawiając wyłącznie we własnym imieniu, przyznaję bez żadnego wstydu, że moje trwające przez całe życie umiłowanie ich kraju zrodziło się z namiętności, jaką darzyłem Mozartowskiego Don Juana i Wesele Figara, Bize-towską Carmen, rapsodię Espana Chabriera, Cyrulika sewilskiego Rossiniego, suitę Iberia Albeniza oraz wiele innych dzieł wybitnych kompozytorów z szeregu krajów, którzy natchnienie czerpali z bogatego folkloru Hiszpanii. Większość z nich nawiązuje do muzyki, życia i obyczajów Andaluzji, krainy rozciągającej się głównie wokół Sewilli. Wyzwolenie Grenady i reszty kraju przez królową Izabelę Katoliczkę, a także prorocza wizja, która kasała jej wyposażyć Kolumba w środki dla odkrycia Ameryki, zawsze budziły wzruszenie w moim młodzieńczym sercu. To, czego jeszcze nauczyłem się z historii Hiszpanii i co wT; warło na mnie największe wrażenie — to były dzieje Wielkiej Inkwizycji, która pozbawiła życia tak wielu spośród mojego „a” rodu, spowodowała nie kończące się wojny sukcesyjne o tron B^z\* panii i była przyczyną klęski Armady w wojnie z Anglią. Cm° wiekiem, który otworzył moje serce na niezwykle cuda Hiszpanii -później tak dokładnie i tak blisko przeze mnie poznane Cervantess a stało się to wtedy, gdy zdołałem opanować hispa\*\*8'

na tyle, by przeczytać Don Kichota w niezrównanym języku oryginału.

Mam nadzieję, że to przydługie plaidoyer wystarczająco tłumaczy radość, jaką odczuwałem w chwili, gdy w Sewilli przewodnik pokazywał mi Barrio de Santa Cruz (nietkniętą siedemnastowieczną część miasta),\* a potem wskazał ławeczkę w poetycznym zakątku:

— Tu Doña Elvira czekała na Don Juana.

Przed moim balkonem na Plaža San Fernando tuzin uroczych dziewcząt tańczyło sevillanę, podając sobie z rąk do rąk jedną parę kastanietów.

Przypominająca pałac fabryka cygar i przedmieście Triana wzbudziły we mnie nostalgiczne wspomnienia o Carmen. Plaža de Toros wyglądała tak, jak gdyby za chwilę miała się tu rozpocząć walka byków.

Choć upał był ogromny, zmusiłem przewodnika, aby wspiał się ze mną na szczyt Giraldy. Biedak drapał się po kręconych schodach tej wieży, mamrocząc pod moim adresem najstraszliwsze przekleństwa.

Uwielbiałem rozleniwionych dorożkarzy z ich zawadiackimi som-breros i czerwonymi goździkami w butonierkach, a także Venta Eritana, gdzie śpiewali i tańczyli flamencos. Przyglądałem się im z rozkoszą, pijąc jerez i jedząc jamón crudo, czyli wspaniałą wędzoną szynkę. Fantastyczne były te pierwsze dni w Sewilli!

Kordowa w południe w upalnym dniu mego przyjazdu zdawała się pogrążona w drzemce. Na opustoszałych ulicach jedynie tu i ówdzie trzymały straż bezpieczeństwa psy i koty. Urzędnik w hotelu obiecał załatwić mi przewodnika na popołudnie. Dla zabicia czasu wyszedłem powłóczyć się trochę po ulicach i sam odnalazłem Mezquita i jej labirynt marmurowych i porfirowych kolumn. Spędziłem w tej ogromnej mauretańskiej katedrze (cztery gwiazdki w baedekerze) pełne dwie godziny, nie tyle dla jej piękna, co dla panującego tam drogocennego chłodu.

Po poobiedniej sjeście wybrałem się z przewodnikiem na długi spacer. Pokazał mi kilka typowych andaluzyjskich domów z uroczymi patios i rejas, wiele kościołów, miejscową arenę walki byków, na koniec w kawiarni zmusił mnie, bym napił się okropnego miejscowego napoju orzeźwiającego zwanego horchata. Zmęczony i zadowolony, zamierzałem mu już zapłacić, kiedy ftagle zatrzymał mnie:

; — Nie może pan opuścić Kordowy, nie odwiedziwszy najwspanialszego bordello w całej Hiszpanii — dał mi do zrozumienia słowem i gestem.

Nie jestem dziś erotycznie nastrojony — powiedziałem na po francusku, na wpół na mię.

531

530

— To nieważne! — gestykulował. — Wystarczy, jeśli zafunduje im pan jedną lub dwie butelki jerezu. Dałem się skusić, zaprowadził mnie więc do pewnego domu który z pozoru niczym nie różnił się od wszystkich pozostałych

na tej ulicy.

W chłodnym, przyjemnym patio z niewielką orzeźwiającą fontanną ujrzałem jakieś starsze małżeństwo, które rozsiadłszy się wygodnie na bujanych fotelach, szybko i zręcznie poruszało drewnianymi wachlarzami. Dookoła siedziało osiem lub dziewięć uroczych dziewcząt, z których żadna nie przekroczyła jeszcze dwudziestu pięciu lat — jedne robiły na drutach, inne oglądały ilustracje w czasopiśmie lub po prostu wachlowały się. Wszystkie były przyzwoicie ubrane, nie umalowane i zachowywały się jak panienki w pierwszym lepszym mieszczańskim domu. Słowem — była to najidealniejsza scena rodzinna, jaką kiedykolwiek widziałem. Nasze wejście nie przeszkodziło im w najmniejszym nawet stopniu.

Przewodnik szepnął coś starszemu panu, który klasnąwszy w ręce wydał jakieś krótkie polecenie. Jedna z dziewcząt wyszła i po chwili wróciła z dwiema butelkami jerezu. Wtedy oboje państwo wstali, zapraszając nas do sali recepcyjnej. Dopiero tutaj czerwone pluszowe kanapy, stoliki zastawione kieliszkami oraz kilka sugestywnych obrazów zdradzało prawdziwy charakter lokalu. W rogu nad pianinem wisiał jednak także obraz Madonny.

Cała „rodzina” rozsiadła się z kieliszkami wina w ręku. Dziewczęta, pod pretekstem upału, podniosły spódnice wysoko, odsłaniając uda. Wówczas starszy pan poklepał mnie po ramieniu i przymrużywszy oko, wskazał na ich kształtne nogi. Sytuacja stawała się nieco żenująca. Zbyt wytrawny jerez, gorące, ciężkie powietrze i nieznajomość języka stłumiły we mnie wszelkie żądze erotyczne. Jednakże wrodzona próżność nie pozwalała mi znieść myśli, że mógłbym stać się dla dziewcząt pośmiewiskiem jako impotent.

Jedyną, czym mogłem im imponować, to tylko muzyką. Podniosłem wieko pianina i dałem prawdziwy koncert melodii hiszpańskich, arii z Carmen, wiedeńskich walców i Bóg wie czego jeszcze. Rezultatem nie był zwykły sukces, lecz raczej wprost apokaliptyczny tryumf. Dziewczęta rzuciły się na mnie z całusami i uściskami! starszy pan odmówił przyjęcia pieniędzy za wino i wyraził gotowość służenia mi każdą z dziewcząt, jaka tylko przypadnie mi o gustu. Oczywiście nie skorzystałem ze wszystkich tych faworów! za to musiałem podpisać się na pianinie, co zresztą uczyniłem a\* bez pewnej satysfakcji. Mam nadzieję, że pianino to stoi tam dziś jeszcze i stanowi potwierdzenie tej uroczej letniej historii

Gdy rankiem przyjechałem do Grenady, kazałem dorożkarzowi ^wieźć się do hotelu „Alhambra Pałace”, ogromnie polecanego przez mój baedeker. Śródmieście, które mijaliśmy po drodze J-fotelu, sprawiło na mnie wrażenie sennego prowincjonalnego -gtecza z piękną katedrą jako jedynym uzasadnieniem jego czenia.

Na końcu niczym nie wyróżniającej się uliczki była stara, Vc4SKa brama, a za nią piękny park. I nagle całkowita zmiana nastroju \_ poczułem, że ogarnia mnie jakiś tajemniczy urok. Postanowiłem iść piechotą, aby lepiej wyczuć atmosferę tego czarującego miejsca i jego chłodną cieniistość osłoniętą gęstym listowiem drzew. Słyszysz szmer jakichś niewidzialnych strumyków, które kaskadami opadały nie wiadomo skąd i dokąd, i jak w krainie marzeń szeptały urzekające tajemniczością historie z zamierzchłej przeszłości.

Głos dorożkarza wyrwał mnie z tego hipnotycznego stanu; stromą uliczką pojechaliśmy do hotelu — czerwonego budynku

stromą uliczką pojechaliśmy do hotelu czerwonego budynku w pseudomauretańskim stylu. Gdy zaprowadzono mnie do Pokoju, spytałem o śniadanie. „Podajemy je na balkonie” — usłyszałem i Jkz fi! Widk t b j

wo

Spy UeHCiJ.1 \J J3lliauai«v. „j. w^j----j j- ---- ----- ~~-j "J^rCtL( w odpowiedzi. Jakże słusznie! Widok z tarasu był wyjątkowo piękny. Ta część miasta, oglądana z góry, sprawiała wrażenie błogosławionej oazy osadzonej w Vega — przed oczami rozciągają się żyzna równina koloru żywej zieleni strzeżona przez daleki majestatyczny łańcuch górski Sierra Nevada. Klasztory o szerokich przestronnych krużgankach i wieże kościołów tchnęły na\_ strojem spokoju i błogości. Byłem szczęśliwy, mogąc napawać się tym widokiem w samotności, przez nikogo nie niepokojony.

Po południu poszedłem spacerkiem do sławnej Alhambry, ^\_ łacu kalifów mauretańskich. Wygląda ona dokładnie tak samo jak wtedy, gdy ostatni kalif, Boabdil, zmuszony był ją porzucić po zdobyciu Grenady przez Izabelę Kastylijską i Ferdynanda A\_ gońskiego. Jest to rozległa budowla w stylu

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

czysto mauretańskim | z wieloma kopułami i wieżyczkami, loggiami i zewnętrznymi kruż-kankami, a wzniesiono ją na wysokim wzgórzu panującym nad całą okolicą. W środku jest zachwycająca. Z zewnątrz ścieżka Jedzie do najpiękniejszego paradnego ogrodu, zwanego Generalife, który stanowi część Alhambry. Wszędzie panuje nastrój melancholii, który wzruszył mnie do głębi serca.

Wspaniałą przeszłością Alhambry byłem oszołomiony i zafascynowany.

Wieczorem, po kolacji, przewodnik namówił mnie, abym wybrał się na Albaicin; jest to wzgórze naprzeciwko Alhambry, gdzie w pieczarach żyją Cyganie, którzy zabawiają turystów pieśnią i tańcem. Recepcjonista w hotelu ostrzegał mnie, że niezbyt beZ\_ Piecznie jest chodzić tam tylko z przewodnikiem.

533

p]

powiedział. - Cyganie, Ponieważ jednak zawsze

pójść mimo ^^ ile moim zdaniem p jąc u kierownika hotelu.

na wzgórze i »\*\*\*?» ciągnął się długi rząd naścioro wrzeszczących bezwstydnie i^ ich pozbyć ale przew z pomocą ^u starszych

kliwie zapraszać mnie' komplikował fakt ze gnąc mnie za rękawy

I tym razem p na kawałki, wskaf ?^ dotknięciem czarodziejs szaniu. Weszliśmy do wszystko było juz V\* umeblowanie składało dla gitarzystów oraz

Lepiej odwiedzać ich w towarzystwie innych turystów — - • —,„ przysporzyć panu kłopotów.

przygodę, zdecydowałem się z sobą tylko tyle pieniędzy, tam wydać, resztę pozostawia-krętymi ścieżkami zawiozła nas na tarasie, gdzie zamiast domów Natychmiast otoczyło mnie kilka-i ciemnokochanych dzieciaków, pieniądze. Trudno było się je w końcu rozpędzić sami z kolei jęli krzy-ich tańce. Zaproszenie jednak w różnych pieczarach, a cią-j, to innej jaskini, coraz to goszczenia mnie u siebie, mie przed rozszarpaniem z pieczar, co jak gdyby za położyło kres całemu zamie-dziury w stoku wzgórza, gdzie do rozpoczęcia widowiska. Całe krzesel dla gości, dwóch krzesel „nrystusa w kącie na ścianie. Tań-uderzająco piękne Cyganki, kobieta po sześćdziesiątce i «~-----rnka mniej więcej dziesięcioletnia.

Dwaj gitarzyści, którzy wyglądem przypominali przemytników z Carmen, zaczęli brzdąkać na swych instrumentach. Zachwyił mnie ten mocny rytm i wspaniałe brzmienie. Jeden z nich od czasu do czasu przerywał grę i śpiewał jakieś dziwne koloratu rowe wokalizy, które jak się dopiero później dowiedziałem, autentycznym flamenco, tak zwanym cante fondo. Melodie te, re nigdy zresztą nie zostały zapisane, to zupełnie swobodne in wizacje. Odziedziczone po Arabach, wykorzystują ludowe \* hiszpańskie i cygańskie jako akompaniament do pieśni i Dziewczęta w <tt«sich sukniach z trenem, z czerwonymi

534

nie. Przewodnik uiścił opłatę wstępną, ale uznano, że to za mało. 2 trudem wybroniłem się.

Rozdałem już wszystkie pieniądze, jakie miałem przy sobie, a oni wciąż jeszcze biegli z wrzaskiem za nami, dopóki nie dotarliśmy do czekającej dorożki, skąd przewodnik pogroził im laską.

Odjeżdżałem z mieszanymi uczuciami piękna i obrzydzenia.

Nazajutrz rano wsiadłem do pociągu jadącego do Madrytu i dalej do San Sebastian, gdzie przybyłem zupełnie wyczerpany. Ale gdy Arbós z radością zawiadomił mnie, że oba recitale są wyprzedane, odżyłem i grałem naprawdę zupełnie dobrze. Publiczność przyjęła mnie jak swego dawnego ulubieńca. Arbós wydał na moją cześć przemiłą pożegnalną kolację, w trakcie której zabawiałem go oraz jego gości anegdotami o moich przygodach w ich kraju.

Na szczęście, dzięki zwycięstwu odniesionemu nad Marną, do Londynu mogłem wracać przez Francję. Długa, tragiczna wojna pozycyjna toczyła się nadal.

77

Po powrocie do Londynu w mym mieszkaniu przy Royal Hospi-tal Road zastałem list od Muriel, w którym zawiadamiała mnie o swym wyjeździe do Ameryki, Życie w Londynie stało się dla niej zupełnie nie do zniesienia. Muszę przyznać, że okazała wprost nadludzką odwagę i siłę charakteru., utrzymując przez okrągły rok j wielki dom z dziećmi, piastunką i pokojówką, nie tylko bez pie między, ale także mimo rosnącego zadłużenia w rozmaitych sklepach i w hotelu „5avoy". Jeśli mam być szczerzy, to jej wyjazd m raczej z ulgą, gdyż czułem się nieszczęśliwy, nie mogąc jej z pomocą; ntpłniałe mnie to przykrym poczuciem niższości.

, Eugenia, Juanita i Jose Antonio powitali mnie jak bohatera E tyumfatora. Otrzymali wiadomości od

swych przyjaciół z Ran ^bastito, którzy obecni byli na mych koncertach.

^0 kilku dniach w Londynie wyjechałem wraz z nimi do Szkocji, fosie na resztą Tata i jasień wynajęli fobie dom.

Mamy dla ciebie dobry fortepian oświadczyli mi. | M<>-\*!\* pracować. je\*<Mć konno i polować nft kuropatwy, przybyliśmy do FÓTTUS, BłifitgO RIUitiOfIeT w jwibluu Inverness, J°li okazał się prtwdsiwym gatotóftffl i należał do Bif Wilki&mfi

535

Gordona Cummingsa, uroczego człowieka, którego Jose Antonio za-prosił, by był gościem w swoim własnym domu. W Szkocji spędziłem dwa najbardziej urocze i beztrudne miesiące: pracowałem z przyjemnością, codziennie z Jose Antoniem jeździłem konno i przyglądałem się strzelaniu do biednych kuropatw, które zresztą zjadałem później z rozkoszą w bajecznej jadalni przy wtórze muzyki granej na dudach przez mężczyzn ubranych w spódniczki i maszerujących dookoła stołu. W moim pokoju znajdowała się okazała biblioteka, w której znalazłem wiele arcydzieł literatury angielskiej; był tam także stół do bilardu — mojej ulubionej gry. Przede wszystkim jednak, z zapalem przygotowywałem świeży repertuar na kilka koncertów z orkiestrą w Szkocji i w Leeds, gdzie poproszono mnie o wykonanie Koncertu b-moll Czajkowskiego oraz U Koncertu Rachmaninowa. Miłą niespodzianką sprawiło mi zaproszenie do występu w Glasgow i w Edynburgu z Orkiestrą Szkoeką pod batutą Emila Młynarskiego (mego przyszłego teścia).

Czasami nocą, kiedy jeszcze ćwiczyłem, gospodarze jak również niektórzy z gości schodzili na dół w szlafrokach, by posłuchać mojej gry.

Do Londynu wróciliśmy samochodem, po drodze mijając brzegi osławionego Loch Ness oraz Kanału Kaledońskiego; zatrzymaliśmy się w Leeds, gdzie dałem pierwszy koncert w tym sezonie.

To właśnie tam zobaczyłem prawdziwą, klasyczną angielską mgłę, której do dziś nie potrafię zapomnieć. Samochód potrzebował całej godziny, by dojechać do ratusza, podczas\* gdy na piechotę odległość tę można było pokonać w niespełna dziesięć minut. Kiedy usiłowałem odnaleźć pierwszy stopień niewidocznych schodów, z całej siły walnąłem głową o łeb jednego z dwóch kamiennych lwów, „zdobiących” fronton gmachu; tak więc na koncercie wystąpiłem ze sporym guzem na czole, czego na szczęście publiczność nie mogła dostrzec, gdyż audytorium spowijała szczelnie wypełniająca salę mgiełka, jedynym więc środkiem porozumienia między nami była moja muzyka i ich oklaski.

Nazajutrz rano przejaśniło się i wieczorem zdołaliśmy dotrzeć do Londynu.

Nie będę szczegółowo opisywał miesięcy przed moim powrót do Hiszpanii. Sylvia przy wydatnej pomocy Juanity wydała sze\*T wspaniałych przyjęć w domu przy Edith Grove, który Muriel dała do jej dyspozycji aż do czasu wygaśnięcia umowy na^

lonCi

Ysaye, Tertis, Sammons, Defauw oraz jeden belgijski "w'iozni lista, którego nazwiska zapomniałem, byli wprost fantasty ^.

Grywaliśmy Mozarta, Brahmsa, Faurego, Francka, a ^ ^r do mieliśmy szczęście pozyskać paru doskonałych wykonawc

|||||||

Oktetu Schuberta, do ulubionego przeze mnie Schubertowskiego z dwiema wiolonczelami, a także do Septetu Beethovena. j Młynarski był jednym ze szczęśliwych słuchaczy. Jemu to plaśnie zawdzięczałem możliwość wykonania po raz pierwszy # życiu Koncertu Czajkowskiego. Opowiedział mi, że jego rodzina schroniła się bezpiecznie w Rosji, on zaś przez Szwecję przybył na zakontraktowane już wcześniej występy w Szkocji. Powiedział też, że nie ma żadnych wieści z okupowanej Polski, tak więc, niestety, nie wiedziałem nic o losie Poli i mojej rodziny. Jeśli idzie o Kochańskich i Karola, to Sylvia powiedziała mi, że zatrzymali się u Jaroszyńskiego w Kijowie. Po dwóch koncertach w Londynie — jeden z Londyńską Orkiestrą Symfoniczną, po festiwalu Beethovenowskim pod batutą Ver-brugghena i po recitalu z Ysaye'em, wyjechałem do Glasgow. W dniu koncertu podczas ранней próby wyszły na jaw liczne nie^ dostatki „wynikłe z mojej zbyt świeżej znajomości trudnego Koncertu Czajkowskiego, lecz Młynarski nie- tylko nie okazywał zniecierpliwienia, ale był wprost uosobieniem łagodności.

— Proszę zjeść ze mną obiad — powiedział — a po kawie pójdziemy do mojego pokoju. Mam tam fortepian, będziemy więc mogli wszystko przedyskutować.

Jego bezcenne rady dotyczące opanowania, muzycznego i technicznego, tej skomplikowanej kompozycji pozostały mi w pamięci po dzień dzisiejszy. Ilekroć fraza na to zezwalała, przerywał

## Młode lata - Artur Rubinstain.txt

naznaczone w partyturze nieprzerwane fortissimo, a wprowadzał piano i crescendo, odświeżając w ten sposób i wzmacniając efekt całości. Dowiedział mi także, jak błędne jest zbyt szybkie wykonywanie sekwencji walca w drugiej części. Ilekroć grywałem to dzieło, &wsze miałem w pamięci jego słowa. I dzięki niemu tak \* Glasgow, jak i w Edynburgu odniosłem prawdziwy sukces. W Londynie spędziłem wraz z moimi Chilijczykami piękną wigiliję Bożego Narodzenia obchodzoną zgodnie z tradycją katolicką, j\* także uczestniczyłem w typowym angielskim świątecznym obiedzie z indykiem i plum-pudding flambé u pani Bergheimowej. ^ 1916 powitaliśmy o północy na wielkim przyjęciu wydanym przez Juanitę przy Edith Grove dla wszystkich naszych przyjaciół muzyków i słuchaczy. po Nowym Roku wyjechałem do Hiszpanii. Pierwsze trzy certy odbyły się w Saragossie, Oviedo i Bilbao i dzieliłem je z akomitym młodym wiolonczelistą hiszpańskim, Gasparem Ssadó; graliśmy na zmianę. Po tych trzech udanych, ale niczym Wyróżniających się występach, kontynuowałem tournée sanie, \*!

537

Walencja była miastem, w którym ponownie nawiązałem ów podniecający i elektryzujący kontakt z hiszpańską publicznością kontakt, który tak intensywnie odczułem w San Sebastian. Umowa przewidywała dwa koncerty dzień po dniu, ale na przerwie podczas drugiego koncertu zarząd Towarzystwa Filharmonicznego uchwalił przez akklamację dwa dodatkowe recitale w ciągu następujących dwóch dni. Tak więc w ciągu czterech dni występowałem czterokrotnie przed tą samą publicznością!

Przy tej okazji nauczyłem się cenić hiszpańską gościnność. Kilku malarzy z austriackiego zaboru Polski, którzy jako poddani nieprzyjacielskiego mocarstwa zmuszeni byli opuścić Francję, osiedlili się w Sagunto, nieopodal Walencji. Kilku z nich znałem z Polski i z Paryża, więc oczywiście ucieszyłem się ze spotkania. Po ostatnim koncercie zaprosiłem ich na kolację do dobrej restauracji. Było nas chyba dziesięciu; rozmawialiśmy po polsku, gdy do naszego stolika podszedł jakiś pan i gratulując mi odniesionego sukcesu, wziął krzesło i przysiadł się do naszego stolika. Poczuliśmy się nieco skrępowani tym nieproszonym towarzystwem — nikt z nas nie znał dostatecznie hiszpańskiego, ale będąc cudzoziemcami, staraliśmy się zachować jak najuprzejmiej. Poczęstkowałem go szklaneczką wina, które wypił za moje zdrowie. Po kilku minutach daremnych prób nawiązania rozmowy podniósł się z miejsca, kolejno uścisnął dłoń każdemu z nas i opuścił restaurację. Znacznie później, gdy poprosiłem o rachunek, kelner oznajmił mi, że za wszystko zapłacił ów Hiszpan, którego nazwiska nawet żaden z nas nie znał, O ile dobrze zrozumiałem wyjaśnienia kelnera, ów nieznamy miał podobno powiedzieć: — Ci panowie są gośćmi mojego kraju.

Po Walencji moje tournée przekształciło się w istny tryumf. Mój debiut w Barcelonie, drugim co do wielkości mieście Hiszpanii; odbył się w niewielkiej sali, ale już w pięć dni później grałem w ogromnej sali Palacio de la Musiea, która jednak takie okazała się za ciasna. Grałem Bacha, Beethovena, Schumanna, Chopina, Liszta, a także Debussy'ego, Szymanowskiego, Sknabma i Medtnę, ale nie Brahmsa i nic z muzyki hiszpańskiej — nazbyt się obawiałem, że mógłbym ją interpretować „z cudzoziemskim akcentem”. Najbardziej podobał się Chopin i Liszt. Madryckie Towarzystwo Filharmoniczne — jak się dowiedziałem — chciało zaangażować, ponieważ woleli muzykę kameralną niż solistyczną. Tymczasem mój debiut w San Sebastian stał się w Madrycie głośny, teatr wystawiający zazwyczaj dramaty i komedie zaczął gromadzić publiczność na trzy koncerty, które miały się odbyć w Hiszpanii, gdzie kolację jada się; bardzko ja to przyjęta pora rozpocsynth koncertów,

Gdy przybyłem do stolicy, wszystkie trzy koncerty były wyprzedane, a dyrektor zaproponował mi dwa dodatkowe. Na szczęście znalazłem w składzie fortepianów starego, wielokrotnie używanego bechsteina, który wciąż jeszcze nie stracił swych szlachetnych przymiotów. Pierwszy recital w Teatro Lara przyniósł mi tak fantastyczny sukces, że zmuszony byłem cztery czy pięć razy bisować, a i tak publiczność nie chciała wyjść z teatru. Na sali obecna była infantka Izabela, stara ciotka króla Alfonsa XII, która podczas przerwy wezwała mnie do swojej łoży i zaprosiła na następnego dnia na herbatę.

— Oczekuję pana jutro o piątej w moim pałacu. Obecna będzie również Jej Królewska Mość królowa Wiktoria Eugenia, która chciałaby posłuchać pańskiej gry — powiedziała bardzo łaskawie. „Herbatka” ta była początkiem mej dozgonnej przyjaźni z hiszpańską rodziną królewską. Zdaję sobie sprawę, że określenie „przyjaźń” brzmi tu może zbyt pretensjonalnie i właściwie należałoby powiedzieć, iż „rodzina królewska łaskawie obdarzyła mnie licznymi względami”, ale nie mogę

oprzeć się chęci wyznania, że moje uczucia dla nich to uczucia serdecznej, ludzkiej przyjaźni, ponieważ u każdego z członków tej rodziny znalazłem najbardziej wielkoduszny i spontaniczny entuzjazm oraz zrozumienie — które to uczucia przetrwały rewolucję i wojnę domową i są kontynuowane przez trzecie pokolenie potomków króla Alfonsa i królowej Wiktorii Eugonii. Od tego czasu moje koncerty w Madrycie zaszczycała swą obecnością urocza, piękna i niezwykle muzyczna młoda królowa, infantka Izabela, królowa-matka Maria Krystyna, a często także infantki Beatrycze i Maria Krystyna.

Wydawało się rzeczą całkiem oczywistą, że moja publiczność składała się z najbardziej interesujących ludzi w Madrycie. Oprócz tek zwanych kół dworskich na moich koncertach systematycznie bywali muzycy, znakomici pisarze, politycy i korpus dyplomatyczny. Wielki hiszpański dramaturg Jacinto Benavente wysłuchiwał f^ykle moich koncertów siedząc na scenie w bujanym fotelu i paląc ogromne cygaro. Król Alfons był zupełnie niemuzyczny i na koncertach bywał jedynie wtedy, gdy to było konieczne, ale 'ferzył mnie uczuciami przyjaźni czysto osobistej: lubił ze mną rozbawiać, a także słuchać moich opowieści.

Na ostatnie recitale przybyła z Londynu Eugenia Errazuriz wraz \*• Jose Antonio — czyli Tonim, jak go nazywano — oraz Juanitą. ^genia cieszyła się wyjątkową popularnością w hiszpańskiej sorcie i przedstawiła mnie licznym rodzinom arystokratycznym, ^ielu spośród owych grandów zostało dzięki niej mymi serdecznymi i bliskimi przyjaciółmi.

539

W kwietniu Tony oraz księstwo Fernan-Nuñez zorganizowali wielką wycieczkę do Sewilli z okazji Semana Santa i Ferii, czyli Wielkiego Tygodnia oraz sławnego jarmarku wielkanocnego. Wśród zaproszonych byli księstwo Montellano z synem i córką, księstwo Aliaga z córką, hrabia Cuevas de Vera, Carlos Salamanca (którego piękna siostra, markiza Villavieja, była najlepszą przyja. ciótką Eugonii), a także Eugenia, Juanita i ja. Nasza rzucająca się w oczy „karawana” składała się z czterech rolls-royce'ów oraz kilku samochodów do przewożenia bagaży, żywności i innych pik. nikowych akcesoriów. Po jednodniowym postoju w Toledo i w Kordowie bez pośpiechu ruszyliśmy dalej do celu podróży. Do jedzenia zasiadaliśmy w malowniczych okolicach w cieniu drzew. O tym, gdzie się mamy zatrzymać, decydował zazwyczaj książę Fernan-Nuñez. Wtedy to służba rozkładała na trawie dywan, przynosiła wygodne ogrodowe krzesła i przed każdym z nas ustawiała niewielki składany stolik, a na nim półmiski, szkło i srebrne nakrycia. Menu składało się głównie z kawioru, wędzonego łososia, kaczki na zimno, różnych rodzajów sałat, serów i owoców, znakomitego wina, likierów i kawy. Po jedzeniu panów częstowano cygarami z wielkich utrzymujących wilgoć skrzynek, a dla pań były papierosy w srebrnych papierośnicach. Moi nowi hiszpańscy przyjaciele to właśnie nazywali „piknikiem”!

Przy jednej z takich okazji zatrzymał się niedaleko nas stary pasterz prowadzący dwie kozy i patrzył, jak jemy. Miał na sobie podarte portki, wypłowiałą koszulę i postrzępiony kapelusz, ale nieogolona twarz zdradzała szlachetne rysy. Książę Fernan-Nuñez zagadnął go:

—¡ Compadre, czy możemy poczęstować cię czymś do zjedzenia?

— Owszem, chętnie przyjmę — odparł mężczyzna. — Dziękuję. Służbie polecono, aby podała mu to samo co i nam, nie wył3”

czając wina i cygara. Pasterz spokojnie zjadł swoją porcję, wino wypił i zapalił cygaro. Gdy piknik dobiegł końca i zaczynaliśmy się zbierać do odjazdu, starszek zwrócił się do księcia:

— Señor, kiedy w następnej wiosce znajdziesz się na długiej ulicy, to drugi dom po lewej stronie należy do mnie. Ilekroć raczysz mnie w nim odwiedzić, zawsze będziesz mile widziany\*\*1 gościem.

Powiedziawszy to, pożegnał nas gestem pełnym godności i oddalił się wraz ze swymi kozami.

Książę przez chwilę milczał, po czym głosem ochrypłym z wzruszenia powiedział:

— Dumni i szlachetni są ci nasi hiszpańscy wieśniacy, ni prawdaż?

^

Uroczystości Semana Santa zrobiły na mnie duże wrażenie,

540

odbijała się w nich głęboko zakorzeniona wiara hiszpańskich katolików, a także liczne elementy pogańskie. W Wielki Piątek obnoszono ciężkie feretrony, na których znajdowały się obrazy przedstawiające sceny Męki Pańskiej. Były też drewniane malowane posągi wyobrażające Chrystusa uginającego się pod ciężarem Krzyża, Apostołów lub Pannę Marię ubraną na biało i przyozdobioną prawdziwymi brylantowymi naszyjnikami i broszkami, wypożyczonymi na tę

okoliczność przez bogate damy z miasta. Przez cały dzień procesje wolno posuwały się głównymi ulicami Sewilli. I Od czasu do czasu zatrzymywano się, żeby tyknąć wina lub posłu-| chać dziewczyny śpiewającej z balkonu saetę, improwizowaną modlitwę błagalną do Najświętszej Pani. Jeśli przypadkiem procesja z kościoła położonego w zamożnej dzielnicy miasta spotykała się z inną, z uboższego kościoła, między uczestnikami, którzy o tej porze byli już porządnie pijani, nieraz dochodziło do bójki na pięści. „Wasza Panienska jest zwykłą ladacznicą” — krzyczeli ci i z uboższej dzielnicy, a przyglądający się tym scenom tłum wiernych przy mował je raczej z radością.

W ciągu całego Wielkiego Tygodnia sklepy, teatry, banki i restauracje były zamknięte aż do soboty wieczór. W przeddzień Niedzieli Wielkanocnej, kiedy to na mocy jakiejś dziwnej tradycji wszystkie teatry w Hiszpanii wystawiały klasyczną sztukę Don \ Juan Tenorio Zorrilli, otwierano music-halle i zaczynał się powszechny karnawał przypominający nieco zabawę sylwestrową. W Niedzielę Wielkanocną i przez dwa następne dni odbywały się też najważniejsze doroczne walki byków, w których brali udział j najwybitniejsi ówczesni matadorzy: Gallito, Belmonte i Gaona. Uczestniczyliśmy we wszystkich imprezach rozpoczynającej się wówczas Ferii, oglądaliśmy i tańczyliśmy sevillanas, a całe noce j spędzaliśmy na słuchaniu flamencos w Venta Eritana. W sumie było to wyjątkowo miłe przeżycie; przez wiele następnych lat zali-: cząłem się do stałych bywalców Ferii.

Nasza karawana udała się dalej do Algeciras, skąd — zamiast wypocząć — Carlos Cuevas, Manolo Pons (obecnie książę Montellano), Carlos Alamanca i ja popłynęliśmy do Tangeru, by móc choć Przez chwilę rzucić okiem na Afrykę. Podróż morzem trwała zaledwie dwie godziny. W Tangerze wóczyliśmy się po arabskiej dzielnicy miasta, na rynku kupiliśmy kilka fezów i arabskich babouches, paliliśmy nargile w kawiarni i chłonęliśmy egzotyczny , Qouleur locale. Po powrocie do Algeciras zasiedliśmy we czwórkę do wesołej kolacji, a wypiwszy trochę za wiele jerezu, zachowywaliśmy się raczej dość hałaśliwie.

Przy sąsiednim stoliku siedziała przystojna młoda dama; ubrana była na czarno, a na jej twarzy malował się smutek. Po kolacji

541

całe towarzystwo rozpiezchło się w różnych kierunkach — jedni poszli do kasyna gry, inni położyli się spać. Zostałem w foyer sam, pijąc kawę, gdy nagle owa dama w czerni zwróciła się do mnie po francusku, pytając o statek do Tangeru. Udzieliłem jej żądanej informacji, po czym nie przerywając rozmowy, przeszliśmy do uroczego ogrodu, który schodził aż na brzeg morza, skąd rozciągał się widok na Gibraltar. Powiedziała mi, że straciła na wojnie męża. Wiedziony współczuciem ująłem ją za rękę, na co rzuciła się na mnie gwałtownie, niemal histerycznie, i tak natychmiast na ławce w ciemnym zakątku ogrodu zaczęliśmy się kochać. Była to w moim życiu najbardziej niespodziewana przygoda. Potem pobiegła do swego pokoju, a rano odjechała. Kiedy później zastanawiałem się nad tym, uświadomiłem sobie nagle, do czego wojna może doprowadzić załamana kobietę.

„Karawana” wracała do Madrytu przez Malagę, Grenadę i Ron-dę, gdzie w pałacu książąt Parcent księżna oraz jej urocza córka Piedita Iturbe, wyniosła i piękna dziewczyna, która raz odezwała się do mnie w Karlsbadzie, wydały na naszą cześć wspaniały obiad i przyjęcie. Po powrocie do stolicy Tony i Juanita odjechali pociągiem do Londynu, a Eugenia i ja zatrzymaliśmy się w Madrycie.

Młoda królowa często zapraszała mnie do swych prywatnych apartamentów, bym grał dla niej i jej córek, jedynie w obecności damy dworu, księżnej San Carlos. Kiedy indziej koncertowałem w Pałacu Królewskim dla licznie zebranych dyplomatów, grandów Hiszpanii oraz rozmaitych infantów i infantek. Po każdym z takich występów otrzymywałem wspaniałe prezenty tak od króla, jak i od królowej: parę spinek z małymi brylantami, złoty zegarek, złotą papierośnicę z wygrawerowanym podpisem „Wiktoria Eugenia” i datą, platynowy łańcuszek.

Książę Alba, najznacniejszy po królu hiszpański arystokrata, często zapraszał mnie na kolację. Ponieważ posiadał także szkocki tytuł księcia Berwick, uważał za swój obowiązek wprowadzić w Hiszpanii brytyjski zwyczaj siadania do kolacji o godzu ósmej wieczorem, nie zaś, jak to jest w Hiszpanii przyjęte, o dzie siątej lub jeszcze później. Ponadto książę był pedantycznie PurL^ tualny — jeszcze jedna jego zupełnie nie-hiszpańska cecha, memu ubolewaniu za pierwszym razem spóźniłem się na \* o piętnaście minut. Palacio do la Liria, historyczny pałac Alba, znajdował się dość daleko od mego hotelu, a ja błędnie niłem czas potrzebny na dojazd. Gdy wszedłem do hallu, dwa] ^ zacy w książęcej liberii odebrali ode mnie

płaszcz i kapelusz i nie mogli komunikowali surowo, że księżę oraz zaproszeni gościli, -ajś już do stołu. Mocno speszony, musiałem szybko wynieść

542

wiarygodny wykręt. Wszedłem więc do sali jadalnej z miną zwiastującą katastrofę.

— W łazience hotelowej doznałem bolesnego wypadku, seńor — wyjąkałem. — Przegrzane pomieszczenie i za gorąca kąpiel przyprawiły mnie o omdlenie — zamknąłem oczy. — Ledwie zebrałem siły, żeby się ubrać.

Moją opowieść przyjęto głośnymi okrzykami współczucia.

— Proszę spokojnie się usiąść i odprężyć się — powiedział księżę, autentycznie zatroskany. — Filiżanka gorącego consomme dobrze panu zrobi.

— Proszę to zażyć — powiedziała jedna z pań wręczając mi pigułkę. — To dobre na serce.

W trakcie kolacji przez cały czas zwracano się do mnie z troskliwością:

— Czy lepiej się pan już czuje? Może jeszcze jedną pigułkę?

Prawdę mówiąc czułem się wyśmianicie. Pałac był istnym muzeum. Kawę podano nam w salonie, w którym na ścianie wisiały dwa portrety pędzla Tycjana przedstawiające przodka pana domu, księcia Albę, osławionego namiestnika Flandrii. Był tu też inny portret tego samego księcia Alby malowany przez Rubensa. Do domu odwiozło mnie przemiłe małżeństwo, które uparło się, by odprowadzić mnie do pokoju.

Następnym razem, ku memu najwyższemu niezadowoleniu, znów się spóźniłem, i to nie z własnej winy. Eugenia oraz jacyś jej przyjaciele przetrzymali mnie zbyt długo na koktajlu. W drodze do Palacio do la Liria wymyśliłem dobrą wymówkę usprawiedliwiającą spóźnienie.

Tym razem nieco zirytowany księżę wstał, by mnie powitać: j — Mój drogi panie Rubinstain, wybacz pan, że siadamy do stołu bez niego, ale jestem zwolennikiem ścisłego przestrzegania godzin posiłków.

— Ma pan zupełną słuszność, seńor! — odparłem ze spokojem — przydarzyło się coś nieoczekiwanego. Kiedy wsiadałem do ówki, boy hotelowy powiedział mi, że jest do mnie pilny telefon. Pewien amerykański impresario proponuje mi na przyszłą tournée koncertowe po Ameryce. Przez tę właśnie rozmowę ilem się. Jest mi z tego powodu niewymownie przykro.

Księżę zmieniła się, na jego twarzy pojawił się uśmiech enia:

"— No, no, gratuluję, mój drogi — a zwracając się do swych gości wyjaśnił: — Rubinstain został zaangażowany na tournée po Ameryce.

•Bravo! Bravo! Enhorabuena" zakrzyknęli goście. Wzniesiono toast za moją pomyślność, stałem się bohaterem wieczoru.

543

=

pijskie, i do pałacu dobiegłem ~ ledwie o dziesięć minut. Na nieszczęście wszyscy stoł. Byłem tak wzburzony, że aż bliski płaczu. — Przydarzyła mi się najkoszarniejsza historia — powiedział

----- -^olaieionowałem całe tragiczne

nieszczęśliwy, że

mle pana roz-

^° |

się Alet P^t utoiechem dorzuć\*

^srs-- —Prawda okazała się niewystarcz>'

jaea!

\*-\*

to wymaga targowania się ze skąpymi Towarzystwami Filharmicznymi — powiedział. — W Madrycie i w Barcelonie powinien pan organizować koncerty na własne ryzyko; po pokryciu kosztów reszta należy do pana.

Zaangażowałem go jako mego impresaria na Hiszpanię — i jeszcze dziś jest tam moim przedstawicielem. Opracowaliśmy plan na następny sezon, a on natychmiast zabrał się do pracy nad przygotowaniem mego tournée.

W Madrycie w maju panuje nieznośny upał, a życie w mieście staje się wprost nie do wytrzymania. Umysł wszystkich zaprzętała wojna. W tym neutralnym kraju wyraźniej niż w kraju ogarniętym wojną wyczuwało się puls sytuacji międzynarodowej. Hiszpanię zalewali obywatele obu wojujących stron, którzy w Madrycie toczyli własne małe wojny. Ich tajną bronią było szpiegostwo, intrygi, fałszywe alarmy i obmowa. Trudno było odróżnić, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Pewnego



razu zwrócił się do mnie jakiś Francuz:

— Czy to prawda, że rozmawiał pan z radcą ambasady austriackiej?

— Oczywiście, że nie — odparłem, ale było to kłamstwo: radca był Polakiem i moim przyjacielem. Gdziekolwiek się poszło, trzeba było mieć oczy szeroko otwarte: czy to nie szpieg? Dlaczego tak szybko się pożegnał? Pewnie poszedł zatelefonować...

Tak czy inaczej, wielu moich przyjaciół wyjechało na wieś albo nad morze. Eugenia z markizą Villavieja udały się w odwiedziny do swej przyjaciółki mieszkającej niedaleko Kordowy, dwór zaś na lato przeniósł się do placu królewskiego w Santander.

78

tak znikome, że «-»- •!"/.- nowiedział mi o u«»j-~ Jeden ze ^ajomych muzyków^w ^ ^^ ^.^ bimla^^

chłopięcego, co f^0, ^jednak wyczulem, ze \*^ reS^o był też dość ^e^aly, od mu J\_ naprawdę rasowy \*\* Jie człowiek, jakiego mi trzeba ^ aK

kOrW°prZysZły- sezonie możemy znacznie więcej

544

Do San Sebastian przyjechałem w ciepły, słoneczny poranek z początkiem czerwca 1916 roku. Wprawdzie moje koncerty zaplanowane były dopiero na lipiec, potrzebowałem jednak wypo-C2ynku i świeżego powietrza, nade wszystko zaś chciałem wyjechać 1 Madrytu.

Zainstalowałem się wygodnie w hotelu „Continental” w pokoju wychodzącym na sławną zatokę la Concha (Muszla), a widok tego foczego miasta napenił mnie radością. Na obiad do restauracji rodłem w doskonałym nastroju, pogwizdując jakąś hiszpańską pJodię. Przy stoliku pod oknem siedział wielki Sergiusz Diagi-

Hubinstein

545

lew w towarzystwie młodego Leonida Miasina, który po odejściu Niżyńskiego był teraz pierwszym tancerzem w zespole i ulubień-cem tego czarodzieja baletu. Przy poprzednich spotkaniach Diagilew nie zwracał na mnie uwagi, tym razem jednak wstał, żeby się przywitać.

— Co za miła niespodzianka — uśmiechnął się, odsłaniając szeroko wszystkie zęby. — Proszę przysiąść się do naszego stolika.

Tak też uczyniłem (w hotelu mieliśmy pełne utrzymanie) i od tego czasu jadaliśmy razem.

Ten wielki człowiek znalazł się w poważnych tarapatach. Większości Europejczyków wojna przyniosła dotkliwe zmiany, ale dla Diagilewa stała się wręcz katastrofą. Posiadał zespół baletowy najwyższej klasy, ale świat, jego konkretny świat, nagle zamknął przed nim podwoje. Hiszpania, jako jedyne dostępne państwo neutralne, udzieliła mu schronienia. Ale cóż to był za niespokojny azyl!

Wprawdzie na nadchodzącą jesień miał poważną ofertę ze strony Metropolitan Opera w Nowym Jorku, a jeszcze inną na cały letni sezon 1917 roku w Argentynie i Urugwaju, ale oba te życiowej wagi kontrakty zawierały trudną, jeśli w ogóle możliwą do przyjęcia klauzulę: ani Metropolitan Opera, ani Teatro Colón w Buenos Aires nie zgadzały się, aby balet występował bez Niżyńskiego. „Nasza reklama opiera się na jego nazwisku” — twierdzili. Diagilew zaś, który małżeństwo Niżyńskiego przyjął z niepomaganą wściekłością i zazdrością, zwolnił wielkiego tancerza i zastąpił go nie tak popularnym Miasinem. Tak więc musiał teraz, biedak, pójść na kompromis: przypodchlebiać się, nieomal błagać sławnego gwiazdora, by na oba sezony powrócił do jego baletu. On sam i Miasin mieli zostać w Europie. Tymczasem jednak, nie posiadając dostatecznego finansowego zabezpieczenia, rozpaczliwie walczył o utrzymanie zespołu w całości. Oprócz właściwego baletu do zespołu należeli dwaj rosyjscy malarze oraz dyrygent Ernest Ansermet, ponadto musiał też znaleźć pieniądze dla hiszpańskiego kompozytora Manuela de Falli, u którego zamówił muzykę do baletu na nadchodzący sezon; dekoracje i kostiumy do tego hiszpańskiego baletu opracowywał Picasso.

Tak się rzecz miała w chwili mojego przyjazdu. Diagilew jedna odznaczał się nieprawdopodobnym hartem ducha: nigdy nie daw« poznać po sobie, że coś go gnębi, zawsze potrafił zachować ni wzruszone poczucie humoru, toteż podczas naszych wspólnych P° siłków zwykle toczyliśmy ożywione, dowcipne i ciekawe rozmo > podczas których często rodziły się genialne pomysły do noW^ie baletów. Poznałem oczywiście wszystkich członków zespołu, wyłączając maszynistów sceny. De Falla, Łopuchowa ^p^^ żona sławnego ekonomisty Johna Maynarda Keynesa),

546

Bolm, Lila Kaszuba i siostry Szabelskie stali się mymi nieodłącznymi kompanami. Zamierzona „spokojna przystań” w San Sebastian zamieniła się w dziką karuzelę. Podniecające było oglądanie porannych prób uroczych tancerek w trykotach. Lubiłem długie narady z malarzami i z Ansermetem na tarasie kawiarni i wesole obiady w hotelu, a wprost uwielbiałem słuchać, jak de Falla gra fragmenty swego nowego baletu Trójkątny kapelusz. Późnym wieczorem Lidia Łopuchowa, Bolm oraz inni entuzjaści muzyki ciągnęli mnie zwykle do pustego hallu kasyna i zmuszali do wielogodzinnej gry, często nawet po północy. Cały zespół zachowywał się nader dzielnie: tancerze po kilka dni potrafili obchodzić się bez przyzwoitego pożywienia, nie płacili rachunków w hotelu, nie mieli grosza przy duszy, ale nikt nigdy nie tracił naturalnego dobrego humoru. Zawsze gotowi do zabawy, nie dopuszczali, by kłopoty przeszkadzały im w pracy.

Manuel de Falla okazał się nieprzeciętną osobowością. Wyglądał jak ascetyczny mnich przebrany w cywilne ubranie. Nosił się zawsze na czarno, a jego łysa głowa, przenikliwie czarne oczy i krzaczaste brwi miały w sobie coś melancholijnego, nawet jego uśmiech zawsze był pełen smutku. Jego muzyka zdradzała jednak tak wielką namiętność, że wydawała się być absolutnym przeciwieństwem człowieka. Nieśmiały i pełen kompleksów, gdy szło o partyturę baletową, włączył do swojej muzyki kilka staroświeckich menuetów i gawotów, ale Diagilew ani słyszeć o tym nie chciał.

— Ja chcę, żeby wszystko tu było hiszpańskie, bez żadnych takich tam obcych śmieci — wrzeszczał.

Nazajutrz biedny de Falla przyniósł krótki zarys joty, klasycz-I nego tańca hiszpańskiego.

— No właśnie, to jest to, czego nam trzeba — mówił Diagilew, I a Miasin potakiwał z aprobatą. — Potrzebujemy tego więcej.

I tak z dnia na dzień de Falla — ku radości swego prześladowcy — przekształcał jotę w długi, namiętny taniec finałowy. Rezultat był oszałamiający: Trójkątny kapelusz stał się w repertuarze Zespołu jednym z najbardziej udanych baletów.

Na sezon letni przybył z Madrytu Arbós i dał pierwszy koncert, Qa którym grałem jako solista. Przed rozentuzjasmowaną, rozkrzyczaną publicznością powtórzyliśmy Koncert Czajkowskiego. , Jednym z najbardziej uważnych słuchaczy był Diagilew oraz .fego przyjaciółka pani Misia Sert. Oboje uwielbiali ten Koncert 1 a jego interpretacją tego właśnie dnia naprawdę pozyskałem przyjaźń Diagilewa. Liczne grzeczności, jakie mi uprzednio ł, wiązały się w znacznym stopniu z moimi hiszpańskimi sukcesami i z możliwością, że mógłbym okazać mu się w tym kraju pomocny.

Misia Sert była niezwykłą kobietą o urzekającym wdzięku, nie tyle piękną, co pełną temperamentu. W Paryżu sławna była z tego, że malowali ją Manet, Renoir, Toulouse-Lautrec, Vuillard i Bon-nard, poślubiła hiszpańskiego malarza Jose Maria Serta i posiadała w środowisku artystycznym Paryża duże wpływy. To ona między innymi pomogła Diagilewowi w uzyskaniu środków na ekstrawagancko kosztowne spektakle w bogatych sferach międzynarodowych. Jej pojawienie się w San Sebastian przyniosło mu tak potrzebną pomoc w postaci okazałej sumy pieniędzy. Misia Sert szczyła się tym, że była jedyną kobietą pod słońcem, którą ten wróg kobiet nie tylko tolerował, ale wręcz uwielbiał.

Balet dał dwa przedstawienia galowe w Teatro Victoria Eugenia w San Sebastian z Orkiestrą "Madrycką pod dyktando Ernesta Ansermeta. W związku z tym Ansermet zatrzymał Orkiestrę na koncert ze mną w roli solisty. Mieliśmy wyprzedaną salę, a cały dochód przeznaczaliśmy na zapłacenie rachunków hotelowych tancerzy. Diagilew, który pojechał do Londynu, żeby postarać się o jakieś fundusze, przywiózł mi dwa piękne krawaty; był to gest iście czarujący.

Mój sezon koncertowy właśnie się zaczął. Tournée rozpocząłem od Barcelony oraz innych miast Katalonii. Wszędzie owacje i wyprzedane sale. W Palma de Mallorca wdowa po Albenizie zaprosiła mnie na kolację; poszedłem z ochotą. Mieszkała na przedmieściu Palmy z dwiema córkami — jedna była mężatką, druga, Laura, okazała się bardzo ładną dziewczyną. W trakcie kolacji ubawiłem je swym opowiadaniem, jak to poznałem Albeniza, nie wiedząc, kim jest.

— Czy gra pan któryś z jego utworów? — spytała señoira Albeniz.

— Oczywiście — odparłem. — Znam i bardzo lubię jego suitę Iberia, ale boję się ją grać w Hiszpanii. W Polsce najlepsi zagraniczni pianiści budzą śmiech, gdy grają mazurki Chopina, gdyż P° prostu nie są w stanie przyswoić sobie rytmiki tych czysto poi" skich utworów. A ja nie chciałbym się narazić na drwiny w Hiszpanii, gdzie dotychczasowe sukcesy przysporzyły mi tyle radości-

— Ale prosimy zagrać coś Albeniza tylko dla nas — nastawały panie.

— Señora — powiedziałem nieco zawstydzony — wykonuję Je»\_ muzykę z pasją, ale po swojemu. Widzi pani, według mnie s tura Iberii jest nieco za gęsta... Hamuje naturalny bieg m ,0, Być może będzie pani nieco zaszokowana, słysząc, jak dla wy bycia na pierwszy plan. istoty tej muzyki, omijam wiele t

548

Nic jednak nie mogło odwieść pań od ich postanowienia.

— Proszę grać tak, jak pan to czuje... Jesteśmy strasznie ciekawe pańskiej interpretacji.

Zacząłem od Triany, wkładając w ten utwór całe swe wrodzone umiłowanie hiszpańskich rytmów, a gdy skończyłem, señora Albe-niz zwróciła się do Laury:

— Czy to nie zdumiewające? Gra dokładnie tak samo, jak grał twój ojciec!

— Tak, tak — potwierdziła Laura. — Ojciec także omijał znaczną część nieistotnego akompaniamentu.

Aprobata ze strony wdowy i córki kompozytora — obie także były pianistkami — ogromnie dodała mi otuchy. Zagrałem t.zy czy cztery dalsze fragmenty Iberii, interpretując je na swój sposób, a moje słuchaczki co chwila przerywały mi okrzykami:

— Ojciec to grał rubato, kończył pianissimo, tempo było zupełnie takie samo — i tak dalej.

Tak więc podjąłem decyzję.

— Madame — rzekłem — jeśli obieca mi pani przybyć na pierwsze wykonanie tego utworu do Madrytu lub do Barcelony, zagram na moich koncertach wszystkie dwanaście części Iberii.

Panie złożyły mi solenną obietnicę.

Wyjechałem z Palmy na dalsze tournee, ale kiedy tylko mogłem, wciąż pracowałem nad tym niezmiernie trudnym dziełem.

W miesiąc później zapowiedziałem trzy koncerty specjalne w Madrycie, włączając do każdego programu cztery z dwunastu części Iberii. Do tej pory nikt ich nigdy nie grywał, toteż dla publiczności stało się to prawdziwą rewelacją. Koncerty te bez przesady mogę nazwać punktem zwrotnym w mojej karierze artystycznej. Po każdej z części suity wybuchała wrzawa! „Bis! Bis! Bis!” — wołała publiczność, zmuszając mnie do powtarzania kolejno każdego utworu. Na koniec zgotowano mi największą w moim życiu owację: musiałem się kłaniać kilkanaście razy, obsypano mnie kwiatami, a później tłum odprowadził mnie aż do hotelu, nie przestając krzyżeć „Brawo!”. Sefiora Albeniz, Laura, Arbós, de Falla, a także inni muzycy ściskali mnie i wychwalali z najwyższym entuzjazmem. ^Zagrał pan tę muzykę jak rodowity Hiszpan” — słyhać było wkoło. Od tego czasu przylgnęła do mnie na zawsze fama najwybitniejszego interpretatora muzyki hiszpańskiej; niektóre z tych Utworów grywałem odtąd we wszystkich miastach, wszędzie odno-sząc podobny sukces. Wykonywałem także pośmiertne dzieło Albe-ftiza, Navarrę, które w mojej karierze artystycznej stało się ulubionym utworem „na bis”. Przez lata całe nie pozwalano mi zakończyć programu bez wykonania tego utworu.

Miałem też inną jeszcze dziwną przygodę muzyczną. Manuel

549

de Falla i ja staliśmy się serdecznymi przyjaciółmi. Pewnego wieczora zabrał mnie na występ Pastory Imperio, sławnej cygańskiej śpiewaczki i tancerki, która występowała w jego balecie Czarodziejska miłość. Przedstawienie odbywało się w teatrze późnym wieczorem po zakończeniu normalnego spektaklu. Balet opowiadał

0 dziewczynie, na którą rzucił czary pewien mężczyzna (znakomity tancerz). Grało pięciu czy sześciu muzyków, zespół, jaki słyszy się zazwyczaj w nocnych lokalach, przy czym pianista grał nie na fortepianie, lecz na pianinie. Ale muzyka mnie zafascynowała, zwłaszcza taniec zwany Tańcem ognia, fantastycznie wykonany przez Pastorę Imperio.

— Czy mógłbyś mi udostępnić partyturę tego tańca? — poprosiłem kompozytora. — Chciałbym ją transkrybować na fortepian

1 zagrać na którymś z koncertów.

— Dam ci, oczywiście — uśmiechnął się de Palia — ale wątpię, czy zrobi to jakieś wrażenie.

Dokonałem transkrypcji, opierając się wiernie na oryginalnej partyturze. Kiedy na następnym koncercie wykonałem ten taniec na bis, publiczność oszalała: musiałem powtarzać go trzykrotnie! Królowa Wiktoria Eugenia bywała na wszystkich moich koncertach, często też zapraszała mnie, bym grał w jej prywatnych apartamentach, podobnie jak to czyniła stara infantka Izabela oraz królowa-matka.

Fortepian, na którym grałem podczas koncertów, zaczął się tak szybko psuć, że aż wstyd mi było na

nim grać. Pewnego dnia poskarżyłem się młodej królowej, przeprasząc za chłodne, metaliczne i zdarte brzmienie instrumentu.

— Sama zwróciłam już na to uwagę — powiedziała Jej Królewska Mość, a po krótkim milczeniu dodała: — Jeśli przyrzeknie pan dochować tajemnicy, to z przyjemnością będę posyłać mego własnego steinwaya na koncerty w Madrycie, kiedy pan sobie będzie życzył.

— Uśmiechnąłem się nieco zmieszany; była to zupełnie nadzwyczajna propozycja.

— Mam nadzieję, że nie sprawi to kłopotu Waszej Królewskiej Mości — powiedziałem.

— Ani trochę. Po każdym koncercie każę go przewieźć z P<sup>o</sup> wrotem do pałacu. Ale nie chciałabym, by ktokolwiek, nawet kro, o tym wiedział. Mogłoby mu się to nie spodobać — dorzuci

z uśmiechem.

Nie potrafiłem wyrazić swej najgłębszej wdzięczności; trud mi było znaleźć właściwe słowa.

Tak więc na następne koncerty przywożono mi królewski

550

fortepian, a gdy tylko skończyłem grać, odwożono go z powrotem. Królowa była zachwycona, słysząc, że jej własny instrument ma tak wspaniałe brzmienie. Publiczność także zauważyła zmianę, przypuszczano powszechnie, że to jakiś meloman użył mi swego fortepianu.

Na jednym z takich koncertów stało się coś nieoczekiwanego: właśnie miałem wychodzić do teatru, gdy nagle zadzwonił telefon:

— Pańskiego fortepianu jeszcze nie ma, a publiczności coraz więcej... Co robić?

Wpadłem w popłoch.

— Zaraz dowiem się, co się stało — odparłem i zadzwoniłem do pałacu księcia Santo Mauro, szambelana królowej, wtajemniczonego w nasz sekret.

— Księżę bawi za miastem — odparł kamerdyner.

Pobiegłem do teatru — na widowni już prawie komplet, lecz na scenie wciąż pusto: fortepianu nie było! Nadeszła godzina rozpoczęcia koncertu, a ja nie miałem jeszcze żadnych wieści. Szalałem ze zdenerwowania. Po upływie kwadransa publiczność klaskaniem i szuraniem nogami zaczęła okazywać zniecierpliwienie. Kierownik wyszedł na scenę i wyjaśnił, że fortepian się spóźnia, ale już jest w drodze. Po godzinie katuszy wśród głośnych protestów publiczności instrument wreszcie nadszedł i został pośpiesznie ustawiony na scenie. W kilka minut później w łoży honorowej pojawiła się królowa. Odetchnąłem z ulgą i zacząłem grać. Koncert należał do najbardziej udanych — chciałem przeprosić publiczność i udało mi się dokonać tego, że cały incydent poszedł w zapomnienie.

W czasie przerwy poproszono mnie do łoży królewskiej. Królowa była zarumieniona ze zdenerwowania:

— Bardzo mi przykro, że naraziłam pana na to okropne czekanie na fortepian, ale zaszło coś zupełnie wyjątkowego. W czasie obiadu królowa-matka i król wdali się w ożywioną dyskusję polityczną. Z reguły po obiedzie oboje udają się na odpoczynek, ale dziś różnica zdań sprawiła, że kontynuowali sprzeczkę, i to właśnie w tym apartamencie, gdzie stał czekający na transport fortepian. Siedziałam jak na szpilkach, ale nie miałam odwagi im przerywać. Gdy tylko wyszli z pokoju, moi ludzie natychmiast przewieźli fortepian do teatru, a myśmy też tu goniły, nieprawdaż? — uśmiechnęła się do księżnej San Carlos.

Sezon 1916/17 zapisał się w mej pamięci jako ten, w którym w samej tylko Hiszpanii dałem przeszło sto koncertów. Nie przychodzi mi na myśl żadne miasto w tym kraju, w którym bym nie Występował. W tym czasie mówiłem już płynnie po hiszpańsku.

551

Największą trudność podczas tournée sprawiało mi znalezienie instrumentów, które nadawałyby się do występów koncertowych. I Bardzo często przychodziło mi grywać na słabych fortepianach domowych lub na bardzo starych fortepianach koncertowych wypożyczonych przez kogoś z miejscowych właścicieli.

Przypominam sobie miasto, w którym rada nadzorcza chciała się zdobyć nowiuteńkiego fortepianu, specjalnie dla mnie. Kiedy ku swemu przerażeniu przekonałem się, że było to pianino, odmówiłem dania koncertu i zamierzałem odjechać, na dworcu jednak złapał mnie miejscowy burmistrz:

— Błagam pana, niech pan nie upokarza naszego ukochanego miasta! — wybuchnął płaczem. To mi trafiło do serca — i w rezultacie cały program koncertu wykonałem na tym ohydny

półinstrumencie.

W Palmie, na Wyspach Kanaryjskich, dowiedziałem się, że bogaty właściciel plantacji bananów ma autentycznego koncertowego bechsteina. Nie tracąc chwili, udałem się do niego w nadziei, że wypożyczy mi instrument na koncerty. Właścicielowi, niewykształconemu facetowi o prostackim wyglądzie, moja prośba chyba pochlebiła — ktoś musiał mu powiedzieć, że będzie to dla niego zaszczyt, jeśli pozwoli mi skorzystać z instrumentu.

— Niech pan patrzy — powiedział z dumą — to najlepszy i najdroższy fortepian świata... Bo ja zawsze kupuję tylko to, co najlepsze — a pokazując mi kluczyk, dorzucił: — Nikt nigdy nie dotknął nawet mego fortepianu... Kluczyk od niego zawsze trzymam w kieszeni i pan będzie pierwszym, który na nim zagra.

Z nabożeństwem otworzył instrument... i coż za straszny widok! Co za spustoszenie — struny pordzewiałe i częściowo zerwane, drewno przeżarte przez termity, nawet szczury raz czy dwa musiały się tam pożywić. Wyszedłem pośpiesznie, nie mając serca patrzeć na rozpacz tego człowieka.

Po powrocie do Madrytu miałem szczęście być obecnym na premierze baletu Diagilewa w Teatro Real. Było to przedstawienie galowe z udziałem rodziny królewskiej. Zostałem zaproszony do łoża księstwa Montellano, a po spektaklu na kolację. Oczarowani byliśmy pięknem Szeherazady, w której w roli niewolnika znów wystąpił Niżyński. Podczas przerwy zauważyłem w bufecie, 2 przygląda mi się jakiś krępy, ciemnowłosy mężczyzna w zwykły\*\*\* ubraniu; miał najbardziej przenikliwe oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Zwrócił się do mnie po hiszpańsku:

— Es Usted el pianista Rubinstein? Nagle domyśliłem się, kto to jest.

— Picasso? — spytałem.

, . Obaj wybuchnęliśmy śmiechem:

rozpoznaliśmy się z łatwością

552

na podstawie opisów naszych wspólnych przyjaciół. Po balecie wymówiłem się od pójścia na kolację z księstwem Montellano, poszedłem z Picassem do „Cafe Levante” przy Puerta del Sol, sławnego miejsca spotkań świata artystycznego i intelektualnego. Przegadaliśmy parę godzin, a mówiło się o wszystkim; obaj doskonale rozumieliśmy się. Tej nocy narodziła się nasza piękna przyjaźń.

Eugenia ogromnie chciała poznać wybitnych ludzi związanych z Baletami Rosyjskimi. Udało mi się w jej imieniu zaprosić Dia-gilewa, Miasina, de Fallę i Picassa na obiad w „Pałace Hotel Grill”. Eugenia była nimi wszystkimi zafascynowana, zwłaszcza Picassem. Podobnie jak wcześniej Gertruda Stein, zamówiła u niego portrety swój oraz córki; ponadto także parawan, projekt broszki i kilka innych przedmiotów. Pewnego lata, już po wojnie, zaprosiła go do siebie, do willi w Biarritz. Picasso, chcąc odwdziżyć się jej za gościnę, wpadł na uroczy pomysł. Ostatniego dnia pobytu, na ścianie swojej sypialni namalował w tajemnicy kilka fresków, po czym wyjechał, całując ją na pożegnanie. Kiedy Eugenia weszła do jego pokoju, wydała głośny okrzyk — zachwyty i rozpacz zarazem! Willa nie była jej własnością, wynajęła ją tylko na jeden sezon!

Wiadomości z Rosji z dnia na dzień stawały się coraz bardziej alarmujące. Wojska niemieckie odnosiły zwycięstwa na całym froncie rosyjskim i wdzierały się coraz dalej w głąb kraju. Wydarzenia brzemienne w historyczne skutki następowały teraz szybko po sobie. Sensacyjny mord na Rasputinie położył kres zgubnym ingerencjom politycznym carycy. Po abdykacji cara nowy rząd liberalny pod przewodnictwem wybranego przez Dumę księcia Lwowa postanowił kontynuować wojnę, i to mimo przytłaczającej przewagi nieprzyjaciela.

Wtedy to właśnie zacząłem się obawiać, że mój paszport może okazać się bezwartościowy, rosyjski ambasador w Madrycie był jednak tak uprzejmy, że zastąpił mi go nowym dokumentem dyplomatycznym, wydanym w imieniu rządu republikańskiego. Tymczasem w sytuacji politycznej w Rosji nastąpił nagle nowy zwrot.

Ze Szwajcarii przedarł się potajemnie do Petersburga Lenin. Wkrótce coraz więcej robotników i chłopów zaczęło się opowiadać Po jego stronie. Duma usiłowała temu przeciwdziałać, wybierając nowego premiera, socjalistę Aleksandra Kiereńskiego. Wtedy to Lenin powołał do życia komitet rewolucyjny z siedzibą w Pałacu Smolnym i stamtąd też coraz skutecznie zwalczał dekrety Dumy. Zdemoralizowana armia bliska była poddania się nieprzyjaciel-

553

łowi. Żołnierze — traktowani jak mięso armatnie przez cyniczne, wyzute z wszelkich skrupułów

rzędy ulegające wpływowi posłusznej Rasputinowi carycy — w ogromnej masie zasilali siły kierowanej przez Lenina rewolucji. W porcie wojennym w Kronsztadzie dochodziło do licznych buntów.

Tak się przedstawiała tragiczna sytuacja w Rosji. Na froncie zachodnim wojska sprzymierzonych trzymały się mocno, a wojna pozycyjna toczyła się nadal mimo zwycięskiej bitwy pod Verdun, gdzie setki tysięcy dzielnych ludzi poległo w obronie tej posępnej twierdzy.

Telefonista centrali hotelu „Pałace” zadzwonił do mnie pewnego ranka z wiadomością, że w hallu czeka jakiś pan, który pragnie się ze mną zobaczyć. Kiedy spytałem, w jakim celu, telefonista odparł po chwili:

— Ten pan nie chce mówić o tym przez telefon, ale twierdzi, że sprawa jest ważna.

Nieco zaintrygowany, zszedłem do hallu. Jakiś niski, tęgi mężczyzna o okrągłej, spoczonej twarzy podniósł się z miejsca i spytał:

— Gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać?

— Sadzę, że najlepiej będzie w moim pokoju — zaproponowałem.

Wsiedliśmy do windy, a gdy już weszliśmy do pokoju, nieznajomy upewnił się, czy drzwi są zamknięte, po czym nie zdejmując płaszcza ani kapelusza, powiedział podniecony:

— Chciałbym, żeby pan pojechał do Argentyny.

— W jakim celu? — spytałem.

— Na koncerty.

— Czy jest pan impresariem?

— Nie — odparł. — Ale mój szwagier ma wielki teatr w Buenos Aires.

Zrobił na mnie wrażenie dziwaka i człowieka nieodpowiedzialnego, ale tak był przejęty swoim planem, że postanowiłem zadzwonić w tej sprawie do Quesady.

— Czy mógłby pan przyjść jutro w południe? — spytałem gościa. — W sprawie pańskiej propozycji muszę się skontaktować z moim sekretarzem. Mam na widoku także inne plany.

— Dobrze, przyjdę, ale błagam, niech pan nie przyjmuje innych ofert, zanim nie porozmawia pan ze mną — a gdy zgodziłem się, wyszedł.

Ernesto de Quesada, który tak dobrze znał mnie w Madrycie i w Barcelonie, przyszedł z samego rana; opowiedział mi o dziwnej propozycji tego faceta.

— Niech się pan nie wiąże — poradził Quesada. — Lepiej za CZ

554

kac na poważną ofertę od Faustina da Rosy, dyrektora Teatro Colón, słynnej Opery w Buenos Aires, a także innych teatrów. To jedyny człowiek, który mógłby pana należycie zaprezentować w tym bogatym i ważnym kraju.

Pamiętając o tej radzie, przyjąłem nieznajomego (zapomniałem, jak się nazywał) z chłodną obojętnością i starałem się go spławić, ale facet był tak strasznie uparty, że wprost nie można było się od niego uwolnić.

— Jestem właścicielem wielkiej wytwórni czekolady w Buenos Aires — powiedział — i jestem bogaty. Chciałbym pomóc mężowi mojej jedynej siostry w jego teatralnych przedsięwzięciach. Prosił mnie, żebym zaangażował do jego teatru najlepszy zespół dramatyczny w Madrycie, najchętniej Teatro Lara. Parę dni temu kupiłem więc bilet, chcąc obejrzeć komedię Benaventa, którą ten zespół ponoć wystawia. I co zobaczyłem, gdy wszedłem do teatru? Na scenie siedzi jakiś człowiek i gra na fortepianie, a pełna sala wraz z królową i infantami oklaskuje go tak, jak jeszcze nigdy w życiu nie słyszałem. Postanowiłem więc natychmiast, że na nadchodzący sezon w teatrze mego szwagra zaangażuję nie tylko zespół, ale i tego pianistę!

Wysłuchawszy tej historyjki, nie mogłem się powstrzymać od śmiechu.

— Zespół Lara być może zechce przyjąć pańską ofertę — powiedziałem — ale jeśli o mnie idzie, to postanowiłem pojechać do Argentyny tylko na zaproszenie Faustina da Rosy, który dysponuje właściwą organizacją i właściwym teatrem dla artysty mego pokroju, a ponadto...

— Jest pan w błędzie — przerwał mi. — Należący do mego szwagra Teatro San Martin jest większy od teatru Odeon Rosy, a ponadto Rosa ma już na ten sezon ustalony repertuar.

— Przykro mi — powiedziałem chłodno — ale wolę odczekać rok lub dwa, niż być

przedstawiony w pańskim wielkim kraju przez człowieka, który nigdy nie organizował występów pianisty. A teraz zechce mi pan wybaczyć... Jestem zajęty — powiedziałem, podnosząc się z krzesła.

Nieznajomy wyszedł rozniewany, nawet się nie żegnając.

Quesada, a także aktorzy w teatrze, śmiali się, gdy opowiadałem im tę historię. W parę dni później ktoś rankiem zapukał do moich drzwi. Otworzyłem i oto ujrzałem argentyńskiego producenta czekolady z teczką w ręku, którą bez słowa otworzył i wysypał na moje łóżko istny grad złotych suwerenów:

— Oto zaliczka na poczet pańskich przyszłych koncertów — powiedział z uśmiechem. — Gotowi jesteśmy zagwarantować panu cztery tysiące pięćset funtów w złocie (złoty suweren wart był 555

złocie)  
dał

do

mnie natychmiast i przedstawił znajdującemu się w pokoju mężczyźnie:

— Mój jefe de seguridad — szef służby bezpieczeństwa. Wyda panu normalny paszport hiszpański, stwierdzający, że jest pan obywatelem Polski nie mającej wprawdzie przedstawicielstwa dyplomatycznego przy moim dworze, ale za to z moją osobistą gwarancją pańskiej tożsamości.

Sądzę, że taki dokument umożliwi panu

wjazd do każdego kraju.

Moje podziękowania skwitował uroczym uśmiechem i na pożegnanie podarował mi swoje zdjęcie w srebrnej ramce, na którym widniała inskrypcja: „Para Arturo Rubinstein, el grañ amigo de Espafia. Alfonso R.”

Bardzo długo strzegłem tego zdjęcia, podobnie jak dwóch innych, otrzymanych od królowej.

Niestety, utraciłem je, gdy hitlerowcy wtargnęli do mego domu w Paryżu.

Dzięki temu hiszpańskiemu paszportowi zostałem uznany przez wielkie państwo jako pierwszy obywatel wolnej Polski, która w rzeczywistości dopiero znacznie później odzyskać miała niepodległość.

W połowie maja 1917 roku Quesada i ja odpłynęliśmy z Kadyksu do Buenos Aires na pokładzie hiszpańskiego parowca „Infanta Isabel”. Podczas długiej, trwającej przeszło dwa tygodnie podróży, wreszcie mieliśmy możliwość odpocząć — co było nam bardzo po- i rzebne. Wraz z nami płynął uroczy zespół Lara oraz francuski zespół komediowy Andre Brule i Reginy Badet, który udawał się do Chile i Peru. Wszyscy aktorzy okazali się cudownymi kompanami; często dla nich grywałem, oni zaś lubili mnie słuchać.

Na dwa dni przed przybyciem do Buenos Aires otrzymałem radiogram od mego impresaria (szwagra fabrykanta czekolady): „Kontrakt z Teatrem Lara i z Panem odsprzedałem Faustinowi da Rosie — stop — jest mu Pan koniecznie potrzebny do Teatro Odeon — stop — zaangażowany uprzednio zespół Guitry odmówił wyjazdu w obawie przed okrętami podwodnymi”.

Zawołałem Quesadę, uściskałem go i zacząłem tańczyć i krzyczeć z radości: '

, — Ernesto, oto mój najlepszy deus ex machina! Quesada kilkakrotnie przeczytał tekst depeszy.

^B — To niewiarygodne, wprost nie mogę w to uwierzyć — powiedział. — Przecież właśnie o to mi chodziło od samego początku...

Ależ szczęściarz z pana!

— Tak, Ernesto — powiedziałem, poważniejąc nagle. — Jestem szczęściarzem, ale mam w tej sprawie pewną małą teorię. Z moich własnych doświadczeń i obserwacji wynika, że Opatrzność, Przyroda, Bóg — czy jak inaczej nazwalibyśmy Się Twór-

\ 36 — Hubinstain

557

556

istoty

• które życie akceptują ie, które j ewnOscią  
mianem c^ pragnie, życie tak czy

to

POSŁOWIE

Z rozmysłem zdecydowałem się w tym iiaejscu opuścić kurtynę. Wtedy właśnie dobiegły końca moje

Młode lata - Artur Rubinstain.txt

młode lata. Odtąd moje życie zmieniło barwę i zaczęło toczyć się bardziej równomiernym rytmem. Udało mi się znaleźć punkt oparcia dla mojej kariery artystycznej — kariery, która mimo licznych wzlotów i upadków trwa nadal i po dziś dzień przysparza mi niezmiernie wiele radości.

Artur Rubinstein

New York City, styczeń 1973.

INDEKS OSÓB

Addlington, impresario 100 Alamanca Carlos 541 Alba, książę 542—544 Albeniz Isaac 156, 548 Iberia 156, 530, 548 Triana 549

Navarra 549

Albeniz Laura 548—549 Albeniz Rosina 548—549 Albert Eugen d' 42, 50—51, 52, 111, 349

Aldobrandini, książę 367 Alfons XIII, król Hiszpanii 539,

542, 550, 551, 556, 557 Aliaga, książę i księżna 540 Altmann Theodor, nauczyciel A. R. 35—36, 44, 45, 49, 56, 60, 61, 66,

73—74, 81, 121, 365 Alvarez, śpiewak 249 Anselmi Giuseppe, śpiewak 129 Ansermet Ernest 546, 547, 548 Arbór Enrique, dyrygent 471, 472,

526, 527—529, 535, 547, 549, 556 Arrivabene, hrabina 367, 383 Astruc Gabriel, impresario A. R.

141, 146, 147, 148—149, 151, 152,

153, 154, 155, 157, 158, 159, 160,

161, 162, 167, 169, 171, 172, 174,

179—180, 181, 182, 184, 187, 194,

201, 222, 226, 229, 230, 235, 249,

253, 256, 257, 258, 265, 271, 272,

293, 510

Astruc Lucienne 154 Avierino Konstantin, dyrektor  
agencji Kusewickiego 412—413,

428 Avignon Mathilde d' 264, 270, 274,

278

Johann Sebastian 16, 40, 43, 49, 50, 70, 108, 120, 148, 217, 284,

367, 390, 395, 396: 446, 465, 538 Das wohltemperierte Klavier

3 preludia i fugi 72 Fantazja i Fuga g-moll 72, 493 Toccata organowa F-dur 47 Badet Regina,

aktorka 557 Bakst Leon (Lew), scenograf 258,

450

Bariatyński, książę 167, 236, 237 Bartet Jeanne, aktorka 262 Barth Heinrich, profesor pianistyki

A. R. 35, 36, 37, 38, 39, 40, 45, 46, 48, 49, 52, 53, 54, 58, 60, 63—64, 65, 66, 68,

72, 73, 76, 77, 79—80, 81, 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 97, 98, 99, 103, 104, 107, 110, 112, 113,

119, 120, 121, 122, 138, 144, 166, 350, 380, 381, 382, 390, 395, 432, 466 Barth Richard,

skrzypek, dyrygent

67, 85

Barylscy 239, 241, 242, 261 Barylski Kazimierz (Kazio) 241, 421 Barylski Zygmunt 241 Battistini

Mattia, baryton 24, 129,

213

Bauer Gertrud, altowiolistka 475 Bauer Harold, pianista 475, 478 Bearn de, hrabina 251 Beatrix (Beatrycze), infantka hiszpańska 539

Bechstein Karl, producent fortepianów 65

Beecham Thomas sir, dyrygent 492 Beethoven Ludwig van 24, 39, 40, 42, 43, 49, 73, 148, 186,

219, 323, 330, 333, 346, 348, 349, 356, 357, 369, 390, 396, 413, 446, 471, 483, 537, 538

111 Koncert fortepianowy c-moll op. 37 138

561

IV Koncert fortepianowy G-Dur op. 58 138, 348, 349, 350, 356, 359, 404, 406, 410, 489, 515, 518

Sonata B-dur „Hammerklavier” op. 106 400, 401, 413—414, 417,

465 Sonata C-dur „Waldsteinowska”

op. 53 53, 163, 381, 383, 395 Sonata c-moll „Patetyczna” op. 13

509 Sonata D~dur „Pastoralna” op.



28 163 Sonata e-moll op. 90 72, 85, 112,  
390, 395, 398 Sonata f-moll „Appassionata” op.  
57 138  
Sonata A-dur „Kreutzerowska” na skrzypce i fortepian op. 47 283, 427, 428  
Sonata c-moll na skrzypce i fortepian op. 30 nr 2 132 Beit Otto sir, milioner 477 Bellincioni  
Gemma, śpiewaczka 128 Belmonte, matador 541 Benavente Jacinto, dramaturg 539  
Benckendorff Aleksander, ambasador rosyjski w Anglii 527 Berg Alban 75  
Bergheim Clara („ciotka Klara”) 448, 449, 452, 459, 460, 463—464, 465, 468, 469, 470, 473, 475,  
478, 479, 480, 482, 485, 488, 490, 496, 497, 503, 504, 515, 516, 517, 522,  
537 Bergheim John 447, 448, 449, 453,  
454, 455, 459, 460, 464, 465 Bergheim Nina, 455, 469, 470, 479,  
503 Bergheim Peter 455, 463, 470, 479,  
503 Bergheimowie 447, 450, 451, 453,  
455, 456, 476 Berlioz Hector 185, 186 Bernhardt Sarah 182, 191, 249 Bernstein Henri 159—160,  
182, 449 Biernacki, sekretarz hr. Potockiego 263, 264, 270—271, 273, 274,  
277, 278 Bizet Georges 294, 295, 530, 531,  
532, 534  
Bogorska Helena, aktorka 1 śpiewaczka 130 Boito Arrigo 181, 185 Bolm Adolf, tancerz,  
choreograf  
480. 547 562  
Bonnat Leon, malarz 252  
Borodin Aleksander 73, 118, 256  
257, 450, 492 Borowski Aleksander, pianista 394,  
395, 397  
Bosendorfer Ludwig, producent fortepianów 359, 360, 361, 363, 364  
Boznańska Olga 512, 515 Brahms Johannes 45, 46, 48, 55, 61, 70, 73, 94, 96, 98, 108, 118, 143,  
155, 158, 161, 189, 194, 348, 356, 359, 388, 392, 427, 438, 445, 456, 466, 468, 472, 475, 494,  
525, 528,  
536, 538  
II Koncert fortepianowy B-dur op. 83 348, 350, 356, 359  
I Koncert fortepianowy d-moll op. 15 45—46, 127, 138, 166,  
526—528  
III Kwartet fortepianowy c-moll  
op. 60 474 Kwintet fortepianowy f-moll  
op. 34 472, 488, 492 Dwie rapsodie na fortepian  
g-moll i h-moll op. 79 51 I Sonata e-moll na fortepian  
i wiolonczelą op. 38 445 III Sonata f-moll op. 5 55 Wariacje i fuga na temat Haen-  
dla B-dur op. 24 55 Wariacje na temat Paganiniego  
a-moll op. 35 85, 93 Brandes Emma, patrz: Engelmann  
Emma  
Braque Georges 258  
Bretschneider, przedstawicielka firmy Bechstein w Rzymie 365, 366,  
368  
Breval Lucienne, śpiewaczka 249 Brocheton Georges 229, 235 Brooks Romaine, malarka  
233—234,  
519  
Bruch Max 54, 66, 87, 148 Bruckner Anton 356 Brule Andre, aktor 557 Biuneau Alfred, kompozytor i  
krytyk 194  
Brussel Robert, krytyk 157, 163 Budę, profesor 90, 95—96 Buł w Hans von 325 Buoncompagni,  
książę 367 Burnham Harry Lawson, lord 19° Busoni Ferruccio 34, 42—43, 51. 54, 111, 226,  
432  
Caetani Roffredo 153  
Camondo Isaak, bankier 146, 162  
Campbell Patrickowa, aktorka 445  
Capllonch Miguel, pianista, nauczyciel A.R. 38—39  
Carregño Teresa, pianistka 54, 55

Młode lata - Artur Rubinstein.txt

Carre Albert, dyrektor Opera Co-mique 161  
Carre Marguerite, śpiewaczka 165  
Caruso Enrico 24, 129, 165, 212, 213, 251, 261, 313, 476  
Casals Pablo 166, 436, 437, 438, 445, 446, 455, 469, 476—477, 478, 494— 495  
Casati Luisa, markiza 368, 369, 375— 377, 380, 383, 404, 489  
Cassadó Gaspar, wiolonczelista 537  
Castellane Jean de, księżę 230  
Cavalieri Lina, śpiewaczka 167, 168, 169, 170, 171, 225, 236  
Chabrier Emmanuel 530  
Chagall Marc 258  
Chałubiński Tytus 136  
Chanler Robert (Bob), malarz 225  
Chausson Ernest 118  
Chester Montague, impresario 437, 438, 444, 445, 446, 447, 450, 451, 452, 454, 456, 457, 460, 463, 470, 492  
Chevillard Camille, dyrygent 152, 157, 161  
Chevrier, impresario 100, 101  
Chopin Fryderyk 21, 43, 48, 72, 73, 94, 106—107, 114, 138, 140, 148, 155, 156, 158, 159, 163, 175, 179, 186, 231, 242, 249, 250, 255, 263, 280, 297, 348, 350, 352, 355, 367, 369, 381, 383, 390, 395, 396, 401, 413, 418, 430, 446, 465, 466, 486, 489, 525, 528, 538, 548  
Andante spianato i Polonez Es-dur „Grandę Polonaise” na fortepian z orkiestrą” op. 22 237  
Barkarola Fis-dur op. 60 138  
274, 404, 407, 410 Etiuda a-moll op. 25 nr 11 158—159, 160 Etiudy As-dur i f-moll op. 25 nr 1 i 2 158  
Fantazja f-moll op. 49 138 Fantazja na tematy polskie op. 13 71  
Korcert f-moll op. 21 155, 157— 158, 277, 478  
Nokturn Des-dur op. 27 nr 2 233  
Polonez A-dur op. 40 nr 1 450 Polonez As-dur op. 53 138, 153, 210, 250, 405, 410, 474 Polonez fis-moll op. 44 138 Rondo C-dur na dwa fortepiany op. 73 350, 354—355 Scherzo b-moll op. 31 115 Scherzo h-moll op. 20 65 Sonata b-moll op. 35 138, 272, 451, 453 Marsz żałobny 272, 453, 459, 460 Sonata h-moll op. 58 138, 350, 468 Clayton, pułkownik 193, 195—197, 199  
Clayton 193, 195—198, 199 Clement Edmond, śpiewak 165 Colefax Arthur, sir i lady 494 Colette Sidonie Gabriele 162, 170 Colonna, księżę i księżna 367 Condamine Robin de la 483 Connaught księżę, brat króla Anglii Edwarda VII 193, 197, 198  
Conried Heinrich, dyrektor Metropolitan Opera 213  
Cocquelin Benoit Constant (starszy), aktor 249, 251 Cordovinus, konsjerż 154, 158, 166, 226, 228  
Cowl, właścicielka domu w Paryżu 248—249, 265 Cubiles Jose, pianista 556 Cuevas de Vera Carlos 540—541 Curzon George Nathaniel, markiz of Kedleston 524—526 Curzon Irena lady, córka George'a 524—526  
Czartoryska Marcelina 231 Czajkowski Modest 369, 404, 405,

Młode lata - Artur Rubinstain.txt

406, 408—411, 418 Czajkowski Piotr 42, 54, 105, 109, 118, 127, 277, 280, 327, 369, 405, 415, 417, 426  
Koncert fortepianowy b-moll 536—537, 547  
Daniel, patrz: Quesada Ernesto de Davis Edmund sir 448 Davis lady 448, 451 Dawydow Dymitr Lwowicz 437—418, 426, 462  
563  
Dawydow Natalia Michajłowna  
418, 420, 426, 432, 459 Dawydowowie, Dymitr i Natalia  
419, 420, 425, 456, 459, 462 Debussy Claude 153, 155, 156, 159, 165, 256, 258, 381, 382, 383, 474, 480, 538  
Popołudnie fauna 234, 519 Defauw Desire, skrzypaczka 522, 536  
Derain Andre 258 Destinn Emmy 213, 253, 254, 255—256, 259, 260, 261, 262, 294, 297, 446, 447, 476 Dettelbach 172, 174 Dettelbachowie 166, 172 Diagilew Sergiusz 256, 257, 258, 450, 476, 492, 496, 498, 545, 546, 547, 548, 552—553 Diederichs Andre, przedstawiciel firmy Bechstein w Petersburgu 392, 393, 394, 396, 397, 398, 399, 400, 403, 412, 413—414 Dłuski Kazimierz 136, 485 Dodge Mabel 482, 483 Dołgorukij książę, ambasador Rosji w Rzymie 408, 409—411 Dominguez, dyrektor kasyna 528 Doria, księżna 367 Douglas Norman, pisarz 476, 481—482, 483, 492, 494 Dranem, śpiewak 229 Draper Muriel 452, 454, 455—456, 470, 471, 472, 473, 474, 475, 476, 478, 479, 480, 481, 482, 483—484, 485, 490, 491—492, 493, 494, 496, 497, 499, 501, 502, 504, 515, 516, 517, 518, 522, 523—524, 527—528, 535, 536  
Draper Paul 452, 454, 455, 456, 470, 471, 472, 473, 474, 475, 476, 478, 479, 480, 481, 482, 483, 484, 485, 490—491, 492, 493, 494, 496, 500, 501, 502, 516  
Draper Paul (junior) 475, 491 Draper Ruth 491, 492—493, 494, 501 Drew Bertha 47, 48, 49, 54, 61—64, 66, 221 Dropiowski, impresario 345, 350, 352, 356  
Dufy Raoul 258 Dukas Paul 148, 156, 181, 163, 193, 194, 240—241  
Ariane et Barbe-Bleue (fragmenty partytury) 241  
564  
Sonata es-moll 156 Uczeń czarnoksiężnika (na 4 ręce) 193 Wariacje na temat Rameau 156, 163, 164  
Dulac Edmund, malarz 451 Duparc Marie Eugene, kompozytor 118 Dworzak Antoni 526  
Edward VII, król Anglii 195, 259, 260—261, 504 Effenberg Hans (Śliwiński) 436, 457—458, 469, 488 Ehrlich Heinrich, profesor pianistyki 33 Eisenbach Rudolf, impresario A.R. 460, 461—462, 464—465, 466, 469, 470, 474, 481, 485, 486, 487, 488, 489, 494, 501, 503, 504 Elżbieta, królowa Rumunii 487 Emmanuela, patrz: Pottier Emmanuela  
Enesco Georges 487 Engelmann Emma, nee Brandes 46, 54—55, 56, 68, 71, 86, 87, 98, 382, 466  
Engelmann Hans 46, 65, 382, 466 Engelmann Wilhelm, profesor 46, 87 Epsteinowie Mieczysławostwo 244, 286 Errazuriz Eugenia 234, 519—523,

526, 527, 528, 535, 537, 539—540,  
 542, 544, 545, 553 Esher, lord i lady 477 Esparbes Germain d' 192 Eustis George 224 Eysoldt  
 Gertrud, aktorka 75  
 Fali Leo 310, 356  
 Falla Manuel de 546, 547, 549, 550, 553, 556  
 Czarodziejska miłość Taniec ognia transkrypcja na  
 fortepian A.R. 550, 556 Noce w ogrodach Hiszpanii 556  
 Fallieres, Armand, prezydent Francji 253, 272, 273  
 Farrar Geraldine, śpiewaczka 251, 295  
 Faure Gabriel 118, 194, 230, 513, 517, 536 t7  
 Kwartet fortepianowy c-moii o\*  
 Feraudy Jacques de, aktor 149, \*  
 L ..  
 Fernan-Nunez, książę i księżna 540 Fernow Karl, impresario 381, 382 Fischer Edwin, pianista  
 393, 394 Fiszer Franc 343, 344, 350, 481 Fitelberg Grzegorz (Ficio) 245, 247, 280, 288, 302,  
 327, 328, 330, 331, 336, 346, 347, 348, 349, 350, 351, 352, 360, 362, 382, 427, 429,  
 432, 434, 435, 436, 438, 439, 459, 465, 466  
 Flagstad Kirsten, śpiewaczka 327 Flesch Karl, skrzypek 111 Fokin Michaił, tancerz 257  
 Follman Natan, wuj A. R. 12, 25,  
 28  
 Follman, ciotka A. R. 28 Foy Eddie, komik 216 Fragson, śpiewak 229 Franek Cesar 42, 73, 388, 536  
 Kwintet fortepianowy f-moll 522 Sonata A-dur na skrzypce i fortepian 475  
 Fredro Aleksander 129 Frandzia, patrz: Kravets (Krawec?) Fremstad Olive, śpiewaczka 260 Frey  
 Emil], pianista i kompozytor  
 394, 395, 396, 3S7 Friedlander Max, muzykolog 111,  
 382  
 Friedlander 111, 122, 382 Friedman Ignacy 350, 354—355, 460—461  
 Gabriłowicz Osip 51, 54, 297, 298 Gallito, matador 541 Ganay de, hrabia 229, 230 Gandarillas  
 Jose Antonio 519—523,  
 526, 535, 536, 537, 539—540, 542 Gandarillas Juanita 519—523, 526,  
 535, 536, 537, 539—540, 542 Ganz Rudolf, pianista i dyrygent  
 218, 223  
 Gaona, matador 541 ~ „;”  
 Garden Mary, śpiewaczka i53,' 155,  
 158, 159 Gasiński Edmund Ludwik, aktor  
 130 Gauthier-Villars Henri (Willy),  
 krytyk 162  
 Gaveau Etienne, producent fortepianów 152, 154  
 Gilibert Charles, baryton 225, 226 Gilibert, sopran 225, 226 Gintowt, bankier Lubomirskich  
 346, 347  
 Glass Izabela 23  
 Glass, właścicielka stancji A. R. 23,  
 24 Głazunow Aleksander 256, 282—  
 283, 284, 388, 389, 391—393, 395,  
 396, 397, 398  
 Godowska Dagmar, córka Leopolda 436, 438, 465  
 Godowski Leopold 66, 435, 436, 464, 465  
 Goldflam, doktor 422—425  
 Gontaut-Biron Antoine de 229, 230  
 Gontaut-Biron Armand de 202, 203, 204, 205—208, 211—215, 220, 222, 227, 228, 229, 230, 231,  
 232, 233, 234, 241, 251—252, 261, 311, 368, 519  
 Gontaut-Biron Louis de 206, 230, 231  
 Gontaut-Biron hrabina, nes Leish-man 368  
 Goossens Eugene, kompozytor i dyrygent 471—472, 475  
 Górki Maksim (właśc. A. M. Pie-szkow) 181, 183, 184, 374  
 Gottschalk Louis Moreau, pianista i kompozytor 249

Gounod Charles 181, 225  
 Grandmaison Henri de 229, 235  
 Granier Jeanne, śpiewaczka i aktorka 496  
 Greffulhe, hrabina 153, 154, 181, 253, 254  
 Grey, lord 527  
 Grieg Edward 16, 77, 235, 237, 438, 445, 446  
 Sonata e-moll na wiolonczelę i fortepian 445  
 Gromadzki Bronisław 139—140, 142, 143  
 Grossman Ludwik, przedstawiciel firm Bechsteina i Steinwaya 77  
 Grostern Stefan 390, 391, 392, 394,  
 397, 398, 399  
 Grunbaum Fritz, komik 308 Guilbert Yvette, śpiewaczka 229 Guitry Lucien, aktor 180, 182, 249  
 Guitry Sacha, aktor, pisarz i reżyser 180, 254, 255  
 Gunsbourg Raoul, impresario 169, 171, 181, 182  
 Hahn Kurt 45, 55 Hann Lotte 44, 45, 87 Halif Karol, skrzypek 43  
 I  
 565

Hambourg Mark, pianista 517 Harden Maximilian, dziennikarz  
 56  
 Harman Barbara (Basia) 78—79, 107—108, 109, 110, 111, 112, 113, 114—115, 116,  
 117, 118, 119, 129, 132, 134, 136—137, 139, 142, 150, 151, 156, 159, 160, 165,  
 172, 174, 182—183, 187, 192, 193, 229, 245—246, 247, 259, 277, 280—281, 290, 292, 306,  
 320, 321, 322, 337, 338 Harman Fryderyk 77—79, 104—113, 114, 117, 119, 127—128, 129,  
 130, 131, 132—133, 135, 136, 137, 139, 140, 141, 142, 143, 144, 150, 173, 178,  
 187, 188, 189, 190, 192, 193, 229, 239, 241, 242, 245, 246, 247, 248, 249, 253, 256,  
 259, 261, 264—265, 280, 281, 282, 287, 290, 291, 292, 302, 306, 328, 337 Symfonia „Per  
 aspera ad astra”  
 108  
 Harman Magdalena 107—108, 109, 110, 115, 116, 117, 118, 120, 127, 129, 130, 131, 133—134,  
 135, 136, 137, 141, 142, 143, 144, 149—150, 151, 156—157, 159, 160, 161, 163, 165, 178, 187,  
 189, 192, 193, 229, 243, 244, 245, 246, 247, 281, 287, 290, 291, 292, 302, 306, 320, 328,  
 229\_330 337  
 Harman Paweł 110, 112—113, 114, 115, 117, 118, 119—120, 127, 130—131, 134, 136, 150, 151,  
 156, 243, 245, 281, 290, 336, 337, 338, 339,  
 340  
 Harman Pola 105, 137, 142, 246—248, 253, 255, 259, 265, 277, 280, 281—282, 287,  
 288, 290, 291, 292, 296, 302, 328, 329, 335, 336, 337, 338, 339, 340, 342, 343, 344,  
 347, 348, 350, 356, 357, 358, 360, 363, 377, 380, 382, 383, 384, 387, 389, 390, 395,  
 401, 402, 403, 412, 420, 425, 427, 429—430, 443—444, 445, 446, 447, 450, 452, 453, 454,  
 481—482, 484, 485, 486, 487, 488, 491,  
 514, 523  
 Harmanowie Magdalena i Paweł 112—113, 116, 120, 150, 151, 244, 247, 280, 287, 336, 342,  
 389  
 Hausmann Robert, wiolonczelista  
 43, 466 Haydn Franz Joseph 356, 367, 492  
 Heinitz Paul 33  
 Hen>Pel«-f-4rCiyCiemal°rte”  
 , cōrka  
 He  
 Hetselt Adolph von, pianista i kompozytor ił  
 •wuj A.B. 14, 23-  
 pianow  
 Hochwaechter Alec von 235, 236, 238, 239, 241 Q9 004  
 108, iu», i”» ' , Kaz Hofmann (Hoimanj profesor 33—34  
 111 231 Humperdinck Engelbert 51 Hurok Soi, impresano A. K. i«-.

, 506, 513

l s i : a

|

i ;HI3

537

Jaszwili, księżna 426 . t

jedliczka, profesor P<sup>^</sup>jeritza Maria śpiewacka

jesipowa Anette 393,39\*. Joachim Józef 12, 13,

i 33

38, 43, 46, 52, 53, 59, 66, 67, 86,

87, 88, 89—90, 93, 94, 97, 98, 122,

326, 446, 466, 471 John Augustus, ambasador Chile

w Anglii 522—523 Joly Charles, krytyk 160 Juriewa Helena, księżna 236, 237

K., mąż Poli Harman 287—289, 290 Kapnik 340—342, 345, 348 Karsawina Tamara, tancerka

258,

450, 480

Kaszuba Lila, tancerka 547 Kawecka Wiktoria 130 Kerr Alfred, krytyk 56, 74 Kijeńska, nauczycielka

fortepianu

A. R. 11

Knabe Ernest, producent fortepianów 210

Knabe William, producent fortepianów 180, 210, 211 Knabe, bracia 211, 212, 213, 214,

221

Kochański Eli 327, 330, 420, 472 Kochański Paweł 131—132, 277, 280, 281, 284—285, 286, 287,

290, 291, 292, 301, 302, 303, 304, 306—317 passim, 320, 322—324, 327, 328, 330, 334, 336,

338, 341, 345, 347, 348, 350, 387, 388, 389, 395, 403, 412, 420, 421, 427—8, 434, 453, 469, 472,

476, 477, 478, 480, 481, 488, 492, 494, 495, 496, 497, 499, 500, 501, 502, 505, 516, 523, 537

Kochańscy, rodzina 434, 453 Koennemar., akompaniator Szala-

pina 428

Kochańska Zofia, patrz: Kohn Zofia

Kohn Józef Leon 421 Kohnowie, rodzice Zofii 282, 286,

302, 303, 306

Korolewicz-Waydowa Janina 129 Kusewicz Sergiusz 194, 398, 399—400, 401, 402, 403, 412,

413, 415, 416, 418, 419

Kramsztyk Roman 511, 512, 515 Kravets (Krawec?) Frandzia, ciotka A. R. 14, 15 Krehbiel Henry

Edward, krytyk

211—212, 217, 221

^reisler Fritz, skrzypek 49—50, , 314, 476, 478

1, impresario 356

566

Kuiemicampr, profesor kompozycji

52 Kwast Julius, dyrygent 16

Laborde Françoise de 231, 232 Laborde Liiv de 231, 232 Laborde de, markiza 231, 232 Lalo

Pierre, krytyk 161 Lamoureux Camille, dyrygent 152 Landau Adolf, szwagier A. R., mąż

Heleny 27 Landau Helena, nee Rubinstein,

siostra A.R. 11, 27, 128, 176, 177,

335 Landau Jadwiga, nee Rubinstein,

siostra A.R. (Jadzia), 11, 12, 13,

14, 17, 18, 28, 66—67, 128, 171—

172, 173, 244, 245, 295—297, 300,

306, 308, 330, 331, 335 Landau Maurycy, szwagier A. R.,

mąż Jadwigi 12, 67—68, 173,

282—283, 284, 296, 300, 330, 331 Landau Wilhelm, bankier 43, 44 Landau, żona Wilhelma

44 Landowska Wanda 141 Laurencin Marie, malarka 258 Lavalliere Eve, aktorka 262 Le Bargy

Charles, aktor 249, 251 Lehar Franz 356, 361, 436 Lehmann Lotte, śpiewaczka 469 Leishman

John, dyplomata 230,

368, 384, 385

Młode lata - Artur Rubinstain.txt

Leishmanowie 230, 383, 404 Leoncavallo Ruggiero 313 Leszetycki Teodor 29, 54, 317, 354, 363, 393  
Lessmann Otto, krytyk 66 Levy Martin 34—35, 87, 90, 97—99, 123, 310 Lhevinne Józef (Lewin) 223—224, 225, 297 Lhevinne Rosina, pedagog pianistyki 297  
Lind Jenny, śpiewaczka 223 Liszt Franciszek 43, 54, 68, 72, 85, 111, 163, 198, 325, 367, 369, 390, 395, 396, 446, 451, 466, 489, 528, 538  
Transkrypcja Wagnerowskiej „Liebestod” 198, 251, 367, 449, 451  
Walc „Mefisto” 138, 163, 226 L'Ouvreuse, pseudonim, patrz: Gauthier-Villars Henri Litvinne Felia, śpiewaczka 249, 251 567  
Lubomirska Maria 363  
Lubomirski Stanisław 345-340  
Łubomirski Władysław 245, 327, 328, 330, 345, 346, 347 35, 351 355 358, 359, 360-364, 380, 381, 435 437, 438—439, 451, 488  
Lubomirska, żona Władysława 351, 352  
Meyer Daniel, impresario 470, 474,  
Meyero<sup>e</sup>/ Saiomea i 61,  
Łopuchowa Lidia, tancerka 546, 547  
Magnard Alberic, kompozytor 511 Mahler Gustaw 118, 328, 349 Mann Tomasz 469 Marcellin, kamerdyner Paderewskiego 91, 94, 95, 96, 99 Maria, wielka księżna Meklembur-gii-Schwerinu 68, 69, 70, 71, 72 Maria Krystyna, infantka hiszpańska 539 Maria Krystyna, królowa-matka hiszpańska 528—529, 539 Maria-Jose księżniczka, córka Alberta, króla Belgii 524—526 Mascagni Piętro 77, 313 Massenet Jules 165, 169, 170, 171 Matisse Henri 258 Mayol, śpiewak 229 McGarvey Fred 460, 463—465, 468, 488 McGarvey Marjorie (Madge) 460, 463, 464, 468, 488 McMullen John, scenograf 383, 384, 391  
Medtner Mikołaj 112, 409, 450, 538 Melba Nellie, śpiewaczka 59, 446, 476  
Melcer-Szczawiński Henryk 486 Melchior Lauritz, śpiewak 327 Mendelssohn-Bartholdy Felix 16, 17, 39, 72, 148, 163—164, 434 Pieśni bez słów Duet 53  
Mendelssohn Robert 34, 87, 123 Mensdorff hrabia, ambasador Rosji w Anglii 504  
Mero Yolanda, pianistka 297, 298 Messenger Andre, kompozytor i dyrygent 226 Messal Lucyna 129—130 Metzger, właściciel hotelu 293, 298, 381, 382, 383 568  
pianistyki 22-23 Miciński Tadeusz 343  
rii i prawa 73  
  
Morawski Eugeniusz 511, 512, 513, Morgan John Pierpont, milioner Mo<sup>?</sup>leT3John, lord 195-196 Sororinl Annina hrabina 367  
Morozowicz <sup>^</sup>oPo1\*, j<sup>^</sup>dra 387, Moszkowska, żona Aleksandra <sup>^</sup>89 390, 395, 412 Sk Al  
oSc-wsk Ale— \*u\*y Maurycego 387 395, \*\* } 387, 423 Moszkowski Maurycy, i Waclaw (WaceW a6'  
24, 42, 47, 65, 66, 70, 130, 324,

Młode lata - Artur Rubinstain.txt

356, 357, 476, 478, 517, 530, 536  
Koncert A-dur KV 488 52, 53, 55  
Koncert B-dur KV 456 66, 67, 85  
Rondo a-moll KV 511 34 Muck Karl, dyrygent 320—321 Mukle May, wiolonczelistka 475,  
494 Miiller Fritz, pianista, kompozytor  
59—60, 65, 73, 107, 326—327  
Narbuttowa Paulina 342, 343, 344,  
350, 425, 450, 451, 453, 454 Nedbal Oscar 351, 356 Neuhaus Gustaw, profesor 140 Neuhaus  
Henryk (Harry), pianista,  
pedagog 426, 432—433 Neumark Adolf, kuzyn A. R. 209 Nicolson Harold, pisarz 526—527 Niżyński  
Wacław, tancerz 258, 450,  
480, 546, 552 Noailles Annę de 230 Noskowski Zygmunt 140 Nossig Alfred, librecista Manru  
Paderewskiego 100, 102 Nossig Alfredowa 100, 101—102 Nufies Maitre, prawnik 168  
Oberleithner von, biznesmen i  
kompozytor 438, 443 Oldenburga wielka księżna 70 Osnobiszyn, pułkownik 505—506,  
507, 513, 515  
Pachmann Władimir, pianista 446 Paderewski Ignacy Jan 33, 77, 90—  
97, 98, 99—103, 105, 106, 180,  
205, 223, 224, 371, 372, 446, 476,  
477, 478 Paderewska Helena 92, 93, 96, 99,  
101—102, 103  
Palienberg Max, aktor 361 Palmer Potterowa "259—60 Pankiewicz Eugeniusz 118 Parcent,  
księżna 542 Parizer Franz 44—45 Pasquariello, śpiewak 366—367, 384 Patricia, córka księcia  
Connaught  
193, 197, 198  
j^awłowa Anna, tancerka 258 ^awłowska, pierwsza nauczycielka  
fortepianu A. R. 16  
Perls Hugo 45  
Pęto Ralph 448  
Pęto, pani Ralphowa 449  
Phillips, malarz 46  
Picasso Pablo 258, 552—553  
Pierne Gabriel, kompozytor 161  
Piłsudski Józef 485  
Plante Francis, pianista 249, 250-r-251  
Polaire, aktorka 162  
Polignac Melchior de 214, 229  
Pons Manolo, książę Montellano 541  
Potenziani, księżna 367  
Potocka Elżbieta (Betka) 351, 353, 354, 355  
Potocki Mikołaj 252, 253, 262, 263, 264, 265—266, 269—270, 271, 272, 273, 274, 275, 276, 277,  
278, 279, 310  
Potocki Roman 353, 354, 355  
Pottier Emmanuela 274, 278  
Prechner Adolf, nauczyciel fortepianu A. R. 16, 17, 20  
Proust Marcel 230  
Pruszyński, hrabia 417, 419, 420  
Puccini Giacomo 263  
Pugno Raoul, pianista 223—224, 225, 427—428  
Pysznow, pianista 394  
Quesada Ernesto de 544, 545, 554— 555  
Rachmaninow Sergiusz 256, 257,  
297  
Preludium cis-moll 409  
II Koncert fortepianowy c-moll  
op. 18 536



Młode lata - Artur Rubinstain.txt

Radwan August, pianista 172 Radziwiłłowa, księżna 353—354 Raimu, właśc. Jules Auguste Cesar Muraire, aktor 182 Rajchman Aleksander, impresario 77  
Rasputin Grigorij Jefimowicz 462 Ravel Maurice 148, 156, 256, 280 Recope, hrabia 229, 252 Redo Józef 130  
Reed John, poeta i dziennikarz 483 Reger Max 328  
Reinhardt Max 41, 74—75, 191 Reisenauer Alfred, pianista 68—69 Rejane (Reju Gabrielle), aktorka 182 569  
Rembéliński Stanisław 268, 270—271, 274, 278—279, 310 Reszke Edward 129, 213, 340 Reszke Jan 129, 151, 156, 174 Reymont Władysław 21 Rimski-Korsakow Mikołaj 42, 73, 218, 256, 258, 450, 552 Reisler Edouard, pianista 54 Rosa Faustino da, dyrektor teatru w Argentynie 555, 557 Rosę Arnold, skrzypek, twórca Kwartetu Rosę 363, 488, 526 Rosenthal Maurycy, pianista 363 Rosentower Alice 37, 47, 54 Rosentower Elsa 37, 45, 49, 50 Rosentower Johanna, właścicielka domu i opiekunka A. R. 37, 44, 47, 49, 50, 53, 60, 61—62, 63, 64 Rosentower Maria 37 Rospigliosi, księżę 367 Rossini Gioacchino 530 Rothschild, baronowa Gustawowa 261  
Rothschild Nelly de 262 Rothschild Robert de 262 Roault Georges 258 Rousseliere, śpiewak 169 Różycki Aleksander, profesor pianistyki A. R. 22—24 Różycki Ludomir 24, 245 Rubinstein Antoni 16—17, 24, 29, 33, 73, 111, 155, 205, 210, 223, 283, 359, 388, 389, 393, 395, 399, 400, 408, 409, 413, 414, 428 IV Koncert fortepianowy d-moll 389, 390, 393, 394, 395, 400, 413 Rubinstein Dawid, brat A. R. 27 Rubinstein Felicja, nee Heyman, matka A.R. 9, 10, 11, 12, 13, 20, 22, 23, 25, 26—27, 28, 33, 34, 35, 37, 59, 60, 61, 86—89, 90, 95, 97, 151 Rubinstein Frania, siostra A.R. 17, 27, 86 Rubinstein Helena, siostra A.R. patrz: Landau Helena Rubinstein Ignacy, brat A. R. 10, 27, 28—29, 244, 251, 506, 507, 510, 511, 515  
Rubinstein Izaak, ojciec A.R. 9, 10, 11—12, 14, 16, 18, 20, 25, 26, 27, 28, 33, 60, 79, 80—81, 86, 89, 151, 425  
Rubinstein Jadwiga, siostra A. R., patrz: Landau Jadwiga 570  
U<sup>m</sup> 150, 245, 282, 300, 518 Rudini Dora, markiza 368—369, 377, 383, 404, 405—407 Rzewuski Stanisław 243—244, 288, 289  
Rzewuska Zofia 243—244 Rzewuscy 286, 291, 306, 317  
Sacher, właścicielka hotelu w Wiedniu 362  
Sachs von, biznesmen 447, 463 Saint-Saens Camille 65, 155, 157, 162, 225, 251, 528 Koncert fortepianowy g-moll op. 22 65, 66, 77, 85, 115, 157, 159, 206, 210, 217, 328, 348, 356, 359, 411, 413, 529 Salamanca Carlos 540 Salmond Felix, wiolonczelista 492, 494  
Salomon Fritz 47 Salomon Georg, lekarz, profesor ' 47, 81—82, 87 Salomon Richard 47 Salomon, żona Georga 47, 82, 87 Sammons Albert, skrzypek 471—472, 474, 475, 492, 518, 522, 536 San Carlos, księżna 542, 551 San Martino, hrabia 364, 367, 401, 404, 405, 411, 463, 489 Santo Mauro, księżę 551 Sarasate Pablo de 478 Sargent John, malarz 471, 475, 476, 492, 494, 518—19, 520, 522, 523, 526 Sauer Emil, pianista i kompozytor 363  
Scarlatti Domenico 394 Schalk Franz, dyrygent 363 Scharwenka Xaver, kompozytor i profesor pianistyki 33 Scheel Fritz, dyrygent 209—210, 211, 214 Schmitt Alois, pianista, dyrygent

Młode lata - Artur Rubinstain.txt

i kompozytor 67—68 Schnabel Arthur, pianista 54  
Schubert Franz 17, 72, 98, 118, 297, 330, 356, 357, 361, 445, 454, 456, 466, 472, 475, 477, 494, 537 VII Symfonia h-moll „Niedokończona” (fragmenty) 13 Trio B~dur op. 99 472 Trio Es-dur op. 100 472, 492 Wanderer-Fantasie 77  
Schumann Clara, nee Wieck 55—56  
Schumann Elisabeth, śpiewaczka 469  
Schumann Robert 39, 48, 54, 55—56, 118, 138, 251, 297, 330, 369, 390, 396, 416, 428, 445, 446, 456, 468, 472, 475, 496, 538 Davidsbiindlertanze op. 6 73, 85 Etiudy symfoniczne op. 13 48, 138, 381, 446, 493, 494 Karnawał op. 9 138, 163, 390 Kreisleriana op. 16 48 Kwintet fortepianowy Es-dur op. 44 472, 488  
Papillons op. 2 65, 163, 390, 395 Utwory fantastyczne op. 12 48  
Sembrich-Kochańska Marcelina 129  
Sert Jose Maria, malarz 498  
Sert Maria (Misia) 547—548  
Sgambati Giovanni, pianista, dyrygent 389, 410, 411  
Sienkiewicz Henryk 23  
Siloti Aleksander, pianista i dyrygent 396  
Sirota Leo, pianista 394  
Skarżyńska Helena 145  
Skarżyński Konstanty 135, 141, 145—146, 147, 148, 149, 150  
Skriabin Aleksander 140, 143, 164, 175, 194—195, 225, 226, 409, 538 V Sonata 450  
Skrzyński Aleksander . 352—353, 362, 364, 365—367, 380, 383, 404, 449  
Słowacki Juliusz 129  
Sobinow Leonid, śpiewak 415  
Sorel Cecile, aktorka 262  
Sparrow Sylvia, skrzypaczka 434, 453, 454, 492, 502, 516, 518, 522, 536, 567  
Spiess Jadwiga 429  
Spiess Stefan 429  
Staff Leopold 485  
Stein Gertrudę 483  
Steinbach Fritz, dyrygent 466  
Steinmann, nauczyciel fortepianu 58  
Stein way Charles, producent fortepianów 102—103  
Stock Frederick, dyrygent 217, 218  
Stojowska 100  
Stojowski Zygmunt, pianista 100  
Strauss Johann 49, 179, 225, 236, 357  
Strauss Oscar 129  
Strauss Richard 42, 73, 75, 253, 254, 255, 328, 336, 469, 498 Die Feuersnot (fragm.) 161 Salome (wyciąg fortep.) 256, 293 Taniec siedmiu zasłon 259—260  
Strawiński Igor 165, 258, 480, 483, 497—499  
Ognisty Ptak 499 Pietruszka 499  
Striemuchow, pułkownik 301, 303, 306, 331, 340, 386, 505  
Strogonow, hrabia 268, 272  
Styczyński Jan 403, 404  
Styczyńscy 131, 286  
Szalapin Fiodor, 24, 171, 181—182, 183—184, 185, 186, 187, 213, 256, 257, 415, 428, 430, 492, 496  
Szeluto Apolinary 245  
Szer Mania 27—28, 33, 58, 436  
Sznek Bolesław, wuj A. R. 24  
Szymanowska Anna 346, 401  
Szymanowska Nula 346  
Szymanowska Stanisława 438  
Szymanowska\ Zofia (Zioka) 346

Szymanowski Aleksander 333, 335  
 Szymanowski Feliks 346  
 Szymanowski Karol 139—141, 142— 143, 144, 164, 175, 245, 247, 280, 281, 284, 287, 302, 327, 332, 336, 345, 346, 347, 387, 401, 416, 417, 420, 426, 427, 429, 432, 433, 435, 438, 439, 450, 457, 459, 465, 466, 469, 496, 497, 499, 502, 511, 537, 538 Etiudy fortepianowe op. 4 245, 438, 450  
 Preludia op. 1 245, 438, 450 17 Sonata fortepianowa op. 21 401, 426, 429, 432, 434, 435 II Symfonia B-dur op. 19 (fragm.) 401 IV Symfonia — koncertująca op. 60 469 Wariacje fortepianowe h-moll op. 3 245  
 "Wariacje na temat ludowy h-moll op. 10 333, 416, 438 571  
 Sliwiński Józef 16  
 Tarnowska, hrabina 353, 354 Tertis Lionel, altowiolista 474, 475, 477, 492, 494, 518, 522, 524—526, 536  
 Teyte Maggie, śpiewaczka 174 Thibaud Jacques, skrzypek 54, 148, 446, 447, 453, 454, 473—474, 475, 477, 494  
 Trabia, księżę i księżna 367 Trapszo Marcelli 130 Trzciński, impresario 462 Tiirk M., impresario 353, 354, 384, 386  
 Ulrich Bernard, impresario 204, 205—206, 208, 210, 211, 216, 220, 221, 222 t?xkull-Gilenband, baronowa 462  
 Vallandri Jeanne, śpiewaczka 249, 250  
 Vechten Carl van 483  
 Yerbrugghen Henri, skrzypek i dyrygent 537  
 Verdi Giuseppe 15, 24, 213, 255, 261  
 Villavieja, markiza 540, 545  
 Vuillard Jean Edouard, malarz 272  
 Wagner Cosima 321, 322, 325 Wagner Richard 62, 73, 140, 143, 165, 198, 244, 291, 317, 318, 319, 320, 322, 324, 325, 327, 330, 337, 352, 369, 455, 475 Śpiewacy norymberscy (uwertura) 108, 153  
 Tristan i Izolda (fragm.) 234, 325 „Liebestod" 198, 251, 367, 449, 451  
 Walkiria (fragm.) 244 Jazda walkirii w opracowaniu A. R. 198, 449  
 Zmierzch bogów (fragm.) 244 Zygfryd (partytura) 325 Warner John, pianista 475 Warschauer Robert 34, 87, 123  
 Watson John 189, 190—191, 192  
 Weber Karl Maria von 209, 258, 450  
 Weingartner Felix, dyrygent 41  
 Weisweiler Edouard, bankier 263, 264, 265, 266—268, 293  
 White Olive 235, 236—237, 238, 239, 241, 261  
 Wiborg Hoyty, Olga, Sarah, śpiewaczki 475, 492  
 Wielopolska, margrabina 244  
 Wieniawski Henryk 118  
 Wiesiowie, wuj Izaak i ciotka A. R. 77, 78  
 Wiktorja Eugenia, królowa Hiszpanii 539, 548, 550, 551, 556, 557  
 Wilamowitz-Moellendorff Ulrich von, profesor hellenista 73  
 Wilde Oscar 75, 190, 191, 253, 373  
 Wilhelmina, królowa Holandii 71  
 Willard Joseph E., dyplomata 556  
 Winkler Marian Edward, aktor 130  
 Winter Henny 65, 68, 79, 83—85, 86, 88, 97, 107, 110, 111, 112, 119, 122, 127, 144, 382

Młode lata - Artur Rubinstain.txt

Winter Paul 65, 68, 76, 79, 83, 84, 86, 88, 107, 110  
Wirth Emanuel, altowiolista 43  
Witkiewicz Stanisław Ignacy (Witkacy) 143, 485 •  
Witowski Maks, patrz: Harden Maximilian  
Wolf Hugo 357, 472  
Wolff Herman, impresario 42, 50, 51, 52, 66, 109—110, 362, 381, 544  
Wood Henry sir, dyrygent 474  
Wyspiański Stanisław 129  
Ysaye Eugene 43, 427—428, 469, 476, 517, 518, 522—523, 524—526, 536, 537  
Zagórska Aniela 484—485, 486 Zagórska 484, 486 Zamoyski Jan 231, 232  
Żeromski Stefan 129, 426, 427, 485 Żiżin, kupiec 428, 430—431

SPIS TREŚCI

Słowo od Autora

Część I

Dzieciństwo w Polsce

Część II

Dojrzewanie w Berlinie .

Część III

O własnych siłach ....

Część IV

Anglia. Pierwsza wojna światowa

Posłowie . . . . .

Indeks osób.....

6

7

31 125

441 559 561

!!!

Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków, al. Krasińskiego 11 a. Printed in Poland. Wyd. II, 200 170 egz., 37,9 ark. wyd., 37 ark. druk. Papier offs. z roli „A”. Podpisano do druku w lutym 1985. Druk fotooffsetowy ukończono w 1986. Zakłady Graficzne w Gdańsku. Zam. nr 120/8.5 R-10/423.